

W.E.B.
Griffin



Kapitanowie

CYKL
**BRATERSTWO
BRONI**



REBIS

Kapitanowie

Koniec drugiej wojny światowej nie oznacza dla oficerów US Army zasłużonego odpoczynku. Politycy wiktają ich wciąż w nowe wojny.

Akcja *Kapitanów* rozpoczyna się 25 czerwca 1950 roku, w dniu inwazji Koreańskiej Armii Ludowo-Demokratycznej na pozycje armii południowokoreańskiej.

W skład pośpiesznie ściągniętych do Korei posiłków wchodzi pilot Rudolf „Mac” MacMillan, czołgista Craig Lowell i oficer wywiadu Sanford T. Felter – bohaterowie cyklu „Braterstwo broni”.

W tej niezwyklej powieści wiedza historyczna Griffina splota się nierozzerwalnie z niekwestionowanym darem narracji, co sprawia, że miliony czytelników z utęsknieniem czekają na kolejny tom...

W. E. B. Griffin – jest autorem wielu amerykańskich bestsellerów o tematyce wojskowej. „Braterstwo broni” to najstynniejsze jego dzieło. Nakładem Domu Wydawniczego REBIS ukazały się dwa tomy jego cyklu „Prezydencki agent”: *Z rozkazu prezydenta i Zakładniczka*.



REBIS

www.rebis.com.pl

Cena 27,90 zł

ISBN 978-83-7301-975-1



**W.E.B.
Griffin**

Kapitanowie

Przekład
Leszek Erenfeicht



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

Poznań 2007

Tytuł oryginału
The Captains

Copyright © 1982 by W.E.B. Griffin
All rights reserved including the right of reproduction
in whole or in part in any form.
This edition published by arrangement with G. P. Putnam's Sons,
a member of Penguin Group (USA) Inc.

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2007

Redaktor tego wydania
Elżbieta Bandel

Konsultacja militarna
Jarosław Kotarski

Opracowanie graficzne serii, projekt okładki i ilustracja
Zbigniew Mielnik

Wydanie II poprawione
Wydanie I ukazało się w 2000 roku
nakładem Wydawnictwa Adamski i Bieliński

ISBN 978-83-7301-975-1

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 061-867-47-08, 061-867-81-40; fax 061-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Skład Gdańsk, tel. 058-347-64-44

Dla wujka Charleya i Byka,
zmarłych w październiku 1979 roku

I dla Donna.

Kto kiedyś uwierzyłby w
c z t e r y gwiazdki?

Okolo 5.00 w niedzielę 25 czerwca 1950 roku Koreańczycy obudzili majora Georgea D. Kesslera, który był szefem zespołu Grupy Doradców Wojskowych w Korei przy 10. Pułku na półwyspie Samczok. Powiedzieli mu, że na 38. równoleżniku zaczął się północnokoreański atak na wielką skalę.

Armia Stanów Zjednoczonych w wojnie koreańskiej,
Instytut Historii Wojskowej Armii Stanów Zjednoczonych,
Waszyngton, 1961, t. 1, str. 27.

I

1
Seul, Korea Południowa
25 czerwca 1950

Trzydziesty ósmy równoleżnik dzieli Półwysep Koreański na połowę. Ciągnie się na przestrzeni ponad 300 km od Ongdzin nad Morzem Żółtym do Jangjang nad Morzem Japońskim.

Gdyby żołnierzy armii Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej, Immun Gun, liczącej wówczas 90 000 ludzi, rozstawić wzdłuż tej linii, zajmowałiby pozycje co cztery metry. Co trzeci z nich był weteranem z armii chińskich komunistów, która dopiero co wygoniła Czang Kaj-szeka na Tajwan.

Oczywiście nikt ich nie ustawiał wzdłuż granicy. Koreańska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza zorganizowana była na sposób sowiecki. Składała się z 7. Dywizji piechoty, brygady pancernej wyposażonej w T-34/85, te same czołgi, które rozniosły w proch i pył elitę niemieckich wojsk pancernych, wydzielonego pułku piechoty, pułku motocyklowego i brygady Wojsk Ochrony Pogranicza, Bo An Dae, która w krótkim okresie istnienia zdołała już sobie wyrobić opinię koreańskiej wersji SS.

Siły te miały do dyspozycji 150 czołgów, 200 samolotów, wielką liczbę SU-76 (samobieżnych dział kalibru 76 mm na zmodyfikowanym podwoziu

lekkiego czołgu T-70) i jeszcze większą liczbę haubic wz. 38 kalibru 122 mm, ciągnionych przez ciężarówki. Oni także mieli „doradców”, sowieckich oficerów, podoficerów i techników, tyle że było ich o wiele więcej niż ich amerykańskich odpowiedników po drugiej stronie frontu. Uzbrojenie stanowiła nowoczesna broń strzelecka produkcji sowieckiej.

Stamtąd również pochodziły barki desantowe, których użyli, by wysadzić dwa desanty na południowokoreańskich tyłach, pomiędzy 38. równoleżnikiem a Samczok od strony Morza Japońskiego. Desanty te były ściśle skoordynowane z atakiem 5. Pułku Piechoty na stojący po drugiej stronie granicy 10. Pułk Piechoty ze składu 8. Dywizji Piechoty Armii Republiki Korei.

Północnokoreańskie 2. i 7. Dywizje Piechoty zaatakowały zdekompletowaną południowokoreańską 6. Dywizję Piechoty w Czhunchon. Celem ataku 3. i 4. Dywizji Piechoty, wspieranych przez 14. Pułk Czołgów, stała się południowokoreańska 7. Dywizja Piechoty w Ujdžongbu. 1. i 6. Dywizje Piechoty przy wsparciu 203. Pułku Czołgów zaatakowały w Kasong maszerującą z Seulu i Inczhon południowokoreańską 1. Dywizję Piechoty „Stołeczną” (bez 17. Pułku Piechoty, który bronił sięgającego w Morze Żółte półwyspu Ongdżin). Na jego pozycje, na skraju lewego skrzydła frontu, ruszyły w ten spokojny niedzielny poranek brygada Wojsk Ochrony Pogranicza i 14. Dywizja Piechoty.

2

Półwysep Ongdżin, Korea Południowa
25 czerwca 1950, 4.00

Kiedy na pozycje 17. Pułku Piechoty spadła bez żadnej zapowiedzi lawina ognia artylerii, moździerzy i ciężkiej broni maszynowej brygady Wojsk Ochrony Pogranicza, trzech oficerowie amerykańscy - kapitan i dwóch poruczników z Grupy Doradców Wojskowych w Korei - smacznie spali w swoim bunkrze. Obłożony workami z piaskiem bunkier zajmował szczyt trawiastego pagórka, na którego zboczach rozmieścił się sztab pułku.

Ich kwatera, urządzona tak wygodnie, jak się tylko dało, była kiedyś domkiem rolnika. Podłoga zrobiona była z wypalanej gliny. Przez poprowadzone w niej kanały rozprowadzane było ciepło z paleniska, tworząc najstarszy chyba na świecie system centralnego ogrzewania. Ściany zbudowane z ciosanego kamienia miały prawie pół metra grubości, a dach stanowiła gruba na trzydzieści centymetrów słomiana strzecha.

8

Wiedząc, jak to ważne dla morale, trzech lokatorzy bunkra dokładali wszelkich starań, by poziomem życia nie razić swych koreańskich podwładnych. Niemniej jednak można tu było znaleźć kilka przedmiotów, których próżno by szukać na innych pozycjach w całym 17. Pułku. Mieli lodówkę, radio z gramofonem i trzy-płytową elektryczną kuchenkę. Prądu do ich zasilania dostarczał kablem zamontowany na płozach generator polowy, ustawiony na zewnątrz ze względu na potworny hałas. Oficjalnie służył on do zasilania sprzętu radiowego, nadajnika BC-610 i odbiornika AR-88, łącznie tworzących radiostację służącą do utrzymywania łączności z odległym o niecałe sto kilometrów na wschód w linii prostej seulskim dowództwem Grupy.

17. Pułk Piechoty pod dowództwem pułkownika Paik In-Jupa właściwie zajmował pozycje na wyspie, choć Ongdżin był półwyspem. Po zakończeniu wojny Wielka Trójka podzieliła pomiędzy siebie Koreę, wybierając 38. równoleżnik na granicę obu stref okupacyjnych, oddzielającą tę część Korei, w której rządili popierani przez Chińczyków i Stalina koreańscy komuniści, od tej, którą rządził popierany przez Amerykanów rząd Republiki Korei.

Granica odcięła półwysp Ongdżin tuż u nasady, tworząc z niego południowokoreańską wyspę. Nie było mowy o przedostaniu się tamtędy na stały ląd, a już zwłaszcza po stronie południowokoreańskiej - granica została ufortyfikowana zaraz po tym, jak ją wyznaczono. Całe zaopatrzenie pozycji 17. Pułku Piechoty na półwyspie musiało się odbywać drogą morską. Wszyscy byli zgodni co do tego, że jeśli czerwoni coś zaczną, trzech Amerykanów w dowództwie 17. Pułku nie będą mieli pomyslnych widoków na przyszłość.

Kilka sekund po pierwszym wizgu, towarzyszącym opadającemu pociskowi północnokoreańskiej artylerii, poszły następne. Chwilę później przyłączyły się do nich gwizdzące na inną nutę granaty kalibru 120 mm z ciężkich moździerz pułkowych. Zrywający się z posłań amerykańscy oficerowie usłyszeli dochodzący z oddali głuchy terkot broni maszynowej. Nie ulegało wątpliwości, że siedzą w gównie po uszy.

Ubrali się szybko, wciągając sztywne od krochmalu drelichy i lśniące świeżą pastą buty polowe (ten luksus kosztował ich zaledwie trzy dolary miesięcznie w gotówce lub towarach z amerykańskiej kantyny wojskowej), po czym wzięli ze stojaków broń osobistą. Właściwie jako instruktorzy armii południowokoreańskiej nie powinni być uzbrojeni. Przemykano na to oko, bo raz, że czerwoni znani byli z zamiłowania do przenikania na tyły i mordowania doradców, a dwa, ich pobratymcy z Południa mieli zwyczaj kraść wszystko, co nie było przywiązane łańcuchem.

W obu wypadkach broń była do przeżycia równie niezbędna jak tabletki do odkażania wody i papier toaletowy w rolkach po 1000 odcinków, które w nieregularnych odstępach dostarczały im należące do południowokoreańskiej marynarki wojennej okręty desantowe LST.

Kapitan złapał swój karabinek Garand M1 i oznajmił, że idzie na stanowisko dowodzenia, żeby się zorientować, co się, do cholery, wokół wyrabia. Jeden z jego podwładnych, również z karabinkiem, wyskoczył odpalić silnik generatora. Trzeci Amerykanin, uzbrojony w prywatny rewolwer Smith & Wesson.357Magnum, zabrał się do rozgrzewania aparatów radiowych.

Kiedy generator pracował już wystarczająco długo, by lampy radiostacji zdążyły się rozgrzać, kapitan wrócił.

- No i co? - zapytał porucznik, odwracając się znad stołu z mikrofonem w ręku.

- Złapałeś coś? - odpowiedział pytaniem na pytanie kapitan.

Porucznik pokręcił głową.

Dowódca zespołu zabrał mu mikrofon.

- Victor, Victor, tu Tahiti, tu Tahiti - powiedział do mikrofonu.

Przez następny kwadrans powtarzał to jak zaklęcie, które miało powstrzymać huczącą za ścianami nawałę eksplozji, które siekły stalowymi odłamkami worki z piaskiem, okrywające ściany i sufit bunkra. Wreszcie z głośnika dobiegł rozespany głos dyżurnego radiowca dowództwa Grupy Doradców. Przekonany, że w Kraju Porannych Mgieł nic nieprzewidzianego nie może się zdarzyć o tak barbarzyńskiej porze, zapewne uciął sobie drzemkę i nie był zachwycony, że jakiś natręt mu ją przerwał.

- Ja Victor, ja Victor, Tahiti, słyszę cię głośno i wyraźnie. O co chodzi?

- Gdzieś ty się, kurwa, podziewał?! - przywitał go mało uprzejmie kapitan. Był wściekły na tego palanta, który zamiast siedzieć na służbie jak Pan Bóg przykazał, spał gdzieś w kącie i jeszcze miał najwyraźniej pretensje o to, że go zbudzono. Nie czekał jednak na odpowiedź, tylko wrócił do przewidzianego regulaminem sposobu prowadzenia komunikacji radiowej. - Victor, tu Tahiti, przygotujcie się do odebrania pilnej operacyjnej, powtarzam pilnej operacyjnej.

Zapowiedź nadania depezy pilnej o znaczeniu operacyjnym, najwyższej kategorii pilności, zastrzeżonej na czas wojny, musiała odpowiednio podzielać na dyżurnego, który natychmiast odparł regulaminową formułką i bez śladu uprzedniego protekcjonalnego tonu:

- Ja Victor, Tahiti, gotów do odebrania pilnej operacyjnej. Tahiti, rozpocznij nadawanie.

- Tahiti Sześć do Victor Sześć, stop. Siedemnasty Pułk Piechoty pod ciężkim ogniem moździerzy, artylerii i broni maszynowej od czwartej zero zero, stop. Prawdopodobnie wkrótce rozpocznie się natarcie sił lądowych, stop. Cały personel doradczy obecny na stanowisku dowodzenia pułku, stop. Podpisano Delahanty, kapitan. Odbiór.

- Zrozumiałem, Tahiti. Przejdź na nasłuch.

3

Dowództwo

Grupy Doradców Wojskowych w Korei (K MAG),

Seul, Korea Południowa

25 czerwca 1950

Generał dowodzący Grupą Doradców Wojskowych wsiadł poprzedniego dnia na pokład statku w Pusan, wyruszając w drogę powrotną do domu. Jego następca jeszcze nie objął oficjalnie dowodzenia. To był etat generała brygadiera, a żaden nie palił się do tego, by objąć dowództwo gdzieś na końcu świata, gdzie śnieg leży do czerwca. To była posada dla podpadniętego, bo żaden generał by się nie zgłosił na ochotnika do dowodzenia garstką równie podpadniętych oficerów, zesłanych tu, na koniec świata, by z gromady obdartusów zrobili prawdziwe wojsko.

Póki nie było nowego dowódcy, jego obowiązki objął szef sztabu Grupy, pułkownik artylerii. Kiedy usłyszał, że nie ma do czynienia z kolejnym incydentem granicznym, a z najprawdziwszą ofensywą na czterech odcinkach przełamania, wzdłuż całej granicy od morza do morza i jeszcze dwoma desantami morskimi na lewym skrzydle - pułkownika naszły głębokie wątpliwości, czy aby potrafi zrobić coś, by ją powstrzymać. Dowodził jedynymi amerykańskimi żołnierzami w Korei, a ci nie byli nawet zorganizowani w jakiś związek taktyczny, lecz rozrzućeni po całym kraju i wszystkich jednostkach wojskowych. Wierzył, że Koreańczycy z Południa będą walczyć, ale doskonale wiedział, że nie bardzo mają czym.

W takiej sytuacji zarządzenie wycofania czy ewakuacji, czy jak tam jeszcze inaczej nazwać branie nóg za pas, z Seulu było jedynym sensownym wyjściem. Nie dość, że zostało na to niewiele czasu, to jeszcze wcale nie zapowiadało się na łatwą operację. Ewakuacja stwarzała tysiące problemów naraz i wszystkie wymagały

natychmiastowego rozwiązania. Na przykład tych trzech pechowców, którzy utkwili z 17. Pułkiem na półwyspie Ongdżin.

Był tylko jeden pewny sposób na to, żeby ich wydostać: drogą powietrzną, przydzielonym mu jednosilnikowym samolotem obserwacyjnym artylerii typu L-5 Stinson, następcą słynnego z czasów wojny Pipera Cuba. Używano ich do lotów łącznikowych, korygowania ognia artylerii i nadzorowania z powietrza ruchów własnych oddziałów. Był czymś w rodzaju latającego jeepa. Ale jeśli ma ich stamtąd wyciągnąć, będzie potrzebował trzech L-5, albo trzech lotów jednego L-5, bo maleńki samolocik mógł zabrać tylko jednego pasażera. Poza tym pułkownik miał ważniejsze zadania dla pilota swojego L-5. Nie tylko było to najlepsze źródło informacji, jakie posiadał, ale w dodatku potrzebował go niezbędnie do przesyłania meldunków. Łączność radiowa, która i tak nigdy nie była najlepsza, zaczęła właśnie wysiadać na dobre, być może wskutek sabotaży. Prawdopodobnie będzie musiał pozostawić tych trzech biedaków na pastwę losu. Nie podobała mu się wcale ta myśl, ale niewiele mógł na to poradzić. Potarł z rezygnacją podbródek i wtedy doznał olśnienia.

Przecież na Kimpo stał L-17 Navion ze sztabu Naczelnego Dowództwa Sił Sojuszniczych! Jakaś szychy z gwardii pałacowej MacArthura, pułkownik z dowództwa administracji armii okupacyjnej w Japonii, smalił cholewki do panienki z Departamentu Stanu, która przyjechała do ambasady, i załatwił sobie przelot z Tokio, żeby się z nią zobaczyć. To była czteromiejscowa maszyna, na tyle duża, by zabrać w jednym locie wszystkich instruktorów z 17. Pułku. Trzeba tylko będzie ubłagać tamtego pułkownika, żeby ją oddał... Nie, nie będzie z tym do niego szedł. Jeśli tamtemu się powiodło, to właśnie śpi gdzieś w jej objęciach. Będzie wkurzony, że ktoś śmie mu przeszkadzać, a poza tym może uznać, że sytuacja wymaga, by natychmiast wracał do Dai Ichi, siedziby władz okupacyjnych w Japonii. Jeśli uda się go obejść, rozumował pułkownik, to L-17 zdąży polecieć po oficerów na Ongdżin i potem zabrać pułkownika do Japonii.

Kiwnął na sierżanta, który stał przy mapie.

- Proszę wziąć jeepa, sierżancie, i jechać na Kimpo, szukać pilota L-17 z Tokio. Kiedy go pan znajdzie, niech pan go poprosi, by poleciał na Ongdżin po trzech oficerów odciętych na półwyspie. Jeśli nie posłucha, niech do mnie zadzwoni. Jeżeli będzie taka potrzeba, z pańskim pistoletem przystawionym do głowy.

Lotnisko Kimpo
Seul, Korea Południowa
25 czerwca 1950

Poprzedniego dnia kapitan Rudolf G. „Mac” MacMillan z sekcji lotnictwa sił lądowych sztabu Armii Naczelnego Dowództwa Sił Sojuszniczych przyleciał jednym z L-17 dowództwa z Tokio. Wylądował około południa po dwudniowym locie na trasie ponad półtora tysiąca kilometrów.

Kapitan MacMillan pochodził z rodziny szkocko-irlandzkiej, urodził się w Mauch Chuck w Pensylwanii. Do wojska zaciągnął się dziesięć lat wcześniej, w wieku siedemnastu lat, po przepracowaniu dwóch lat w kopalni. Nie miał pojęcia, jak będzie w wojsku, ale jedno wiedział na pewno: nie może być gorzej niż tam, na dole. Wtedy nawet mu się nie śniło, że kiedyś zostanie oficerem i dżentelmenem. Gdzieś w głębi duszy kołatało mu się marzenie, że może w ciągu czterech lat, które mu pozostały do pełnoletności, czyli do dwudziestych pierwszych urodzin, zostanie kapralem i wtedy będzie mógł poślubić swoją ukochaną Roxę. Może po trzydziestu latach służby dojdzie nawet do pełnego sierżanta, kto wie? Wtedy będzie zgarniał kupę forsy i z taką emeryturą będzie miał dość pieniędzy, żeby uzyskać kredyt i kupić bar.

Rok później przysłała druga wojna światowa i wszystko się zmieniło.

Wśród floty samolotów lotnictwa US Army, przydzielonych do dowództwa amerykańskich sił okupacyjnych w Japonii były trzy L-17. Nawiony (od North American Aviation) zostały zakupione z funduszy z trudem wydartych z Kongresu nie tyle na poprawę wyposażenia armii, ile dla utrzymania przy życiu firmy, która produkując tysiące myśliwców P-51 Mustang, przyczyniła się znacznie do wygrania wojny. Firma, rozbudowana w czasie wojny, miała poważne problemy z przestawieniem się na cywilną produkcję.

L-17 Navion nie bardzo przypominał Mustanga. No, może miał rzeczywiście trochę smuklejszą i bardziej rasową sylwetkę niż inne lekkie samoloty (poza Beechem Bonanza, ale to już zupełnie inna historia), a jego statecznik pionowy przypominał kanciastym obrysem statecznik Mustanga, ale na tym koniec. To był samolot na wskroś cywilny i nawet białe gwiazdy z pasami na bokach kadłuba i skrzydłach do pary z napisami US ARMY na stateczniku pionowym niewiele mogły tu zmienić.

W nakrytej odsuwanej do tyłu osłona kabinie znajdowały się obite skórą fotele, tablica przyrządów zaś przypominała bardziej samochodową niż lotniczą.

To podobieństwo nie było chyba zwykłym przypadkiem. Kierownictwo North American widziało oczyma wyobraźni powojenne niebo nad Ameryką zapchane Navionami, za sterami siedzą dyrektorzy i komiwojażerowie, a których nawet ojcowie rodzin zabierający swoją czeredkę na piknik własnym samolotem, jakby to był po prostu buick lub chrysler ze skrzydłami. A skoro tak, to i wewnątrz powinien przypominać samochód.

Oczywiście samolot to nie samochód i ludzie nie rzucili się kupować Navionów. Samoloty zapełniły magazyny i kurzyły się w skrzyniach, póki armia nie zakupiła około czterdziestu maszyn. W wojsku przeznaczono je na samoloty dyspozycyjne dla generałów, żeby ich woziły na przykład z dowództwa 3. Armii do Fort Benning, jeśli nie udało się znaleźć pasującego do rozkładu ich zajęć lotu liniowego.

Część trafiła też do wojsk stacjonujących poza Strefą Wewnętrzną, a więc kontynentalnymi stanami USA, na przykład na Alasce czy na Hawajach, a jeszcze inne do wojsk stacjonujących poza granicami kraju, w Strefie Kanału Panamskiego, Niemczech czy Japonii. Jedna maszyna tego typu należała się każdemu generałowi porucznikowi i wyżej. Na tej zasadzie przydzielono Naviony w Stanach i w Europie, ale gdyby ją zastosować do Dowództwa Sił Dalekowschodniego Okręgu Armii Stanów Zjednoczonych w Japonii, należałyby im się tylko dwa.

Generał porucznik Walton H. Walker dowodził amerykańską 8. Armią w Japonii. Jego zwierzchnikiem był sam generał armii Douglas MacArthur. Rangę generała podlegającego bezpośrednio pięciogwiazdkowemu generałowi reguluje zwyczaj, nie regulamin. Kiedy Eisenhower jako generał armii dowodził amerykańskimi siłami okupacyjnymi w Niemczech z budynku IG Farben we Frankfurcie, jego szefem sztabu był generał czterogwiazdkowy, którego zastępcą był dopiero generał porucznik. Pięciu innych generałów poruczników rozrzuconych było pomiędzy tymi dwoma oficerami, na różnych szczeblach hierarchii wojskowej.

Kiedy jednak MacArthur wystąpił o przydzielenie mu oficera w odpowiednim stopniu, by w Dai Ichi pełnił rolę jego szefa sztabu, Pentagon zdołał mu jedynie zaproponować generała majora Edwarda M. Almonda, który w czasie całej swojej dotychczasowej kariery najbardziej wyróżnił się, dowodząc we Włoszech dywizją w przeważającej części składającą się z czarnoskórych żołnierzy.

MacArthur zniósł tę zniewagę w milczeniu, podobnie jak inne, choćby nierówny rozdział Navionów pomiędzy jego siłami a Europą. Dowództwo Europejskiego Teatru Działań Wojennych miało trzynaście skrzydlatych buicków, on musiał się

zadowolić ledwie trzema. MacArthur odplacił kolegom z Europy pięknym za nadobne - swoje trzy L-17 odarł z prestiżu symbolów statusu, oddając do dyspozycji każdemu, kto potrzebował transportu powietrznego na terenie Korei i Japonii.

Niższe szarże w Dai Ichi przywitały tę zmianę z entuzjazmem, choć szybko doszło do całkowitego wypaczenia intencji Cesarza. Teraz także generałowie brygadierzy i, o zgrozo, pułkownicy, mogli kalać swymi siedzeniami fotele samolotów, których w Europie nie mieliby szansy nawet oglądać. Lot Navionem stał się dla nich kwestią prestiżu, przywilejem, wreszcie sprawą honoru, zupełnie jak w Europie, tyle że na niższym szczeblu.

Dowódca lotnictwa Naczelnego Dowództwa Sił Sojuszniczych, pułkownik i jego zastępca, podpułkownik, zaliczyli najwięcej godzin w L-17. Poza kapitanem MacMillanem za jego sterami wolno było zasiadać tylko podpułkownikom pilotom i - wyjątkowo - kilku zaufanym majorom.

MacMillan miał specjalne kwalifikacje, które czyniły go godnym tego zaszczytu, chociaż miał najmniej godzin wylatanych za sterami spośród uprzywilejowanych, jako że lotnikiem został dopiero cztery lata wcześniej i to nie do końca z własnej woli. Po pierwsze, w 1940 roku w pięknym stylu zdobył Złotą Koronę - tytuł pięściarskiego mistrza wszech wag Armii Stanów Zjednoczonych - przynosząc splendor Filipińskiemu Okręgowi Wojskowemu. Turniej odbywał się w Fort McKinley koło Manili, więc MacArthur, dowódca okręgu i wielki miłośnik boksu, mógł na bieżąco śledzić jego treningi i kibicować mu, a potem osobiście zapiąć wokół jego bioder złoty pas.

MacMillan nie pozostał z MacArthurem na Filipinach, więc nie mógł się zaliczać do Bandy z Bataanu* - jej członkowie mieli u generała zawsze specjalne fory - ale i tak poradził sobie nie najgorzej. Udało mu się coś, co jako jedyne chyba równało się członkostwu w Bandzie - zdobył Medal Honorowy Kongresu. Banda była droga sercu MacArthura, bo dzieliła z nim jego tułaczę losy, ale żaden

* Banda z Bataanu - grupa oficerów, która wraz z MacArthurem wydostała się w ostatniej chwili z Filipin na pokładzie kutrów torpedowych i która wraz z generałem przeszła do Naczelnego Dowództwa Alianckich Sił Zbrojnych na obszarze Południowo-Zachodniego Pacyfiku, organu, za pomocą którego MacArthur z Australii kierował ofensywą na Pacyfiku. Nazwa ta jest nawiązaniem do słynnej z korupcji, nadużyć i skandali grupy otaczającej prezydenta Warrena G. Hardinga, zwanej „Bandą z Ohio” (przyp. tłum.).

z nich nie miał tego najwyższego odznaczenia. Głównodowodzący nigdy nie krył swej słabości do kawalerów Medalu, którzy podobnie jak on mogli się pochwalić baretką z błękitnego jedwabiu z białymi gwiazdkami na lewej piersi kurtki mundurowej.

Wniosek odznaczeniowy MacMillana uzasadniał jego nadanie „bezprzykładnym męstwem i odwagą w obliczu przytłaczającej przewagi sił wroga”. MacMillan, wówczas spadochroniarz, podoficer 82. Dywizji Powietrznodesantowej, który wykonywał piąty bojowy skok w tej wojnie, został odcięty po drugiej stronie Renu w czasie operacji „Market-Garden”. O tym, że odznaczono go Medalem Honoru i awansowano na podporucznika, oficera i dżentelmena, dowiedział się dopiero ponad pół roku później. Do tego czasu siedział w obozie jenieckim na terenie Polski, z którego udało mu się wraz z około dwudziestoma jeńcami uciec tuż przed ostateczną ewakuacją obozu i po dłuższej odysei wydostać bezpiecznie ze strefy objętej walkami. Za tę ucieczkę dostał kolejne odznaczenie, Distinguished Service Cross, który otrzymał razem ze swoją złotą belką podporucznika i Medalem.

Kiedy więc z dowództwa przyszedł rozkaz wyjazdu do Seulu na konferencję sztabową w dowództwie Grupy Doradców, wystawiony na pułkownika dyplomowanego Jaspera B. Downsa ze sztabu Naczelnego Dowództwa, nikt się nie dziwił, że na pilota wyznaczono Maca.

Mac leciał do Seulu ze szczegółowymi instrukcjami od pani MacMillanowej, dwudziestoosmioletniej rudej Irlandki, z którą był żonaty od dziesięciu lat. Miał przywieźć osiem metrów „porządnego zielonego jedwabnego brokatu”. Roxy miała z części uszyć sukienkę dla siebie, a resztę wysłać siostrze do Mauch Chuck w Pensylwanii.

W olbrzymim tokijskim sklepie wojskowym było wiele towarów niedostępnych w Korei. Jeśli się wiedziało, co robić, można było polecieć do Seulu z dodatkową, nie rzucającą się w oczy wojskową walizką, wypełnioną tym co trzeba, a wracać z pustą walizką, za to z grubą paczką zielonych papierków. Albo okupacyjnych bonów dolarowych. Albo, jeśli ktoś lubił takie rzeczy, z walizką jedwabiu, na przykład owiniętego wokół nefrytowej wazy, która miała trzysta lat.

Kiedy sierżant z dowództwa Grupy Doradców wpadł do pokoju Maca w hotelu oficerskim na lotnisku Kimpo, walizka kapitana zawierała prócz ośmiu metrów jedwabnego brokatu dla Roxy serwis z niemal przezroczystej chińskiej porcelany, który miał mieć, według zapewnień sprzedającego, co najmniej trzysta lat.

W pokoju poza zawartością walizki było jeszcze coś, czego nie powinno tam

być - piersiasta blondyna, która właśnie się obudziła i podjęła pewne czynności, które miały dać kapitanowi do zrozumienia, że mogliby spróbować raz jeszcze. Nie planował żadnych tego typu podbojów, ale jakoś samo tak wyszło, kiedy zaszedł na drinka do baru na dachu hotelu Naija. MacMillan nie latał za spódniczkami, ale jak się same prosiły... Nosił na palcu obrączkę, nigdy jej nie zdejmował, więc nie było mowy o nieporozumieniach. Jeśli już skakać w bok, to lepiej ze znudzoną urzędniczką z amerykańskiej ambasady, która miała do stracenia przynajmniej tyle co on.

Niemniej jednak było mu trochę głupio, kiedy sierżant nakrył go z nią w łóżku, zwłaszcza kiedy robiła to, co robiła. I to tak dobrze.

- Co jest, sierzancie?! Nie uczyli pana pukać?! - zawołał, siadając na łóżku.
- Panie kapitanie, żółtki atakują na całej długości pieprzonego równoleżnika.

Blondynka patrzyła na niego jak w szoku przez kilka sekund, zanim do niej dotarło, że mówi poważnie. Teraz dopiero trafiło ją to jak obuchem. Zakryła dłonią usta.

- O Boże! - krzyknęła.
- Jezu - mruknął Mac, sięgając na podłogę po spodenki.
- Czy oni tu lecą? - zapytała blondynka.

Nadal była przerażona, ale chyba otrząsnęła się z szoku. Dotarło do niej, że siedzi całkiem naga i rozkraczona na łóżku, więc sięgnęła po prześcieradło, próbując się nim zakryć.

- To nie nalot, proszę pani - odparł sierżant. - To ofensywa, wojna na całego.
- Jezu - jęknął znowu Mac.

Wciągnął spodnie, po czym zanurzył rękę w bliższej z dwóch walizek i wyciągnął stamtąd małego Colta.³² Wyjął magazynek, sprawdził, ile w nim jest nabojów, włożył z powrotem i wsunął broń do kieszeni spodni.

- Pułkownik mnie wysłał, żebym pana poprosił o zabranie trzech naszych oficerów z półwyspu Ongdżin.

- Dlaczego? - zapytał Mac, zapinając koszulę.
- Bo zostali tam odcięci.
- Mam własnego pułkownika - odparł Mac.
- Jeśli ich pan stamtąd nie zabierze, żółtki ich wykończą, panie kapitanie.
- Nie powiedziałem, że po nich nie polecę, sierzancie - odparł MacMillan. -

Powiedziałem tylko, że mam tu swojego pułkownika.

- A co będzie ze mną, Mac? - zapytała blondyna.

Wstała już z łóżka i stojąc tyłem do nich, podnosiła z podłogi majtki.

- Sierżant zawiezie cię do ambasady czy gdziekolwiek chcesz - odparł kapitan.
- Na twoim miejscu pojechałbym najpierw do ambasady.
- Dobrze - odpowiedziała takim tonem, jakby podejmowała jakąś decyzję.
- Ci faceci na Ongdżin wiedzą, że po nich polecę?
- Powiedzieliśmy im, że spróbujemy kogoś po nich wysłać.
- Nie o to pytałem - ostro powiedział Mac.
- Ich radio umilkło jakiś czas temu.
- Czyli że już może być po nich?
- Musimy próbować.
- My musimy? To ja tam lecę. Cholera!

Zza okna dobiegł jakiś dziwny, świszczący odgłos, któremu towarzyszył warkot silników i wycie śmigieł młócących powietrze na małej wysokości.

- Ostrzeliwiają lotnisko - powiedział Mac. Podbiegł do okna i odchylił zasłonę. Kilkadziesiąt metrów dalej dostrzegł wypryskujący ponad dachy radziecki myśliwiec konstrukcji Ławoczkina, który przed chwilą ostrzeliwał budynki dworca lotniczego po drugiej stronie pasa. - Cholera, jeśli Navion dostał, to wszyscy będziemy stąd uciekać na piechotę!

Blondynka pośpiesznie zapięła podwiązki. Obciągnęła spódniczkę i wsunęła stopy w czółenka. Mac usiadł na łóżku i włożył skarpetki, a potem buty.

- Chodźcie zobaczyć, czy mamy jeszcze samolot - powiedział.

Włożył swoją czapkę z obitym skórą daszkiem, wziął obie walizki i wyszedł z pokoju.

Navion, zaparkowany na lotnisku z dala od pozostałych samolotów wojskowych i cywilnych, był nietknięty. MacMillan zapakował do niego swoje walizki, jedną do bagażnika, drugą na tylne siedzenie, po czym odwrócił się do sierżanta i blondynki.

- Sierżancie, proszę odnaleźć mojego pułkownika. Nazywa się Downs, znajdzie go pan w hotelu Naija. Proszę mu powiedzieć, co się ze mną dzieje, i że wrócę za godzinę, jeśli w ogóle mi się uda. Jeśli nie, polecę do Suwon.
- Tak jest, sir - powiedział sierżant. Dopiero teraz zauważył baretki na piersi kapitana. Nigdy zbyt wysoko nie cenił pilotów armii i wątpił, czy ktoś taki może zdobyć prawo do noszenia błękitnej wstążki z gwiazdami.
- Nic ci nie będzie - powiedział Mac do blondynki. - Ambasada ma na pewno opracowany plan ewakuacji.

Podniosła głowę i nadstawiła usta do pocałunku. Kiedy ją pocałował, objęła go i przywarła do niego całym ciałem. Macowi zrobiło się głupio. Wiedział doskonale, że to nie dlatego, że jest napalona, tylko śmiertelnie przerażona.

Z trudem uwolnił się z jej objęć, wszedł na skrzydło i wsiadł do kabiny. W fotelu zajął się listą czynności przedstartowych i nie podniósł znad niej wzroku, póki nie usłyszał warkotu ruszającego jeepa.

Kiedy samochód zniknął za rogiem budynku, wysiadł ponownie z maszyny i dokonał obchodu przedstartowego. Kopnął w każdą oponę, poruszał lotkami i sterami, obejrzał wszystkie wzierniki kontrolne i pokrywy, sprawdzając, czy są pozamykane. Wsiadł ponownie do kabiny i uruchomił silnik. Kiedy śmigło zaczęło się kręcić i silnik wyrównał pracę, zasunął osłonę kabiny i ruszył na drogę kołowania.

Nikt nie odpowiadał na jego wywoływanie wieży kontrolnej, więc wykołował na pierwszy z brzegu wolny pas startowy i na jego progu pchnął dźwignię przepustnicy, aż ręka oparła się o przegrodę ogniową między kabiną a silnikiem. Nawet startując z wiatrem, miał dość pasa, żeby wystartować tak lekkim samolotem.

Wystartował w kierunku miasta, po czym zrobił szeroki zakręt w prawo, przelatując nad strzelnicą Grupy Doradców na brzegu rzeki Han. Tu przypomniał sobie o Ławoczkinach ostrzeliwujących lotnisko i zanurkował ostro w dół. Lecąc na wysokości wierzchołków drzew, przeleciał przez niskie pasmo wzgórz, a gdy minął Inczhon i znalazł się nad morzem, zszedł nad samą wodę kierując nos maszyny na półwysep Ongdżin.

5

MacMillan nadleciał nad rejon stanowiska dowodzenia 17 Pułku Piechoty z prędkością przelotową i wysuniętymi klapami. W ten sposób miał dwie możliwości: jeśli zobaczy Amerykanów, będzie mógł zmniejszyć obroty, wypuścić podwozie i posadzić Naviona na połowym lądowisku. Jeśli zobaczy żółtków z Północy, co było całkiem możliwe, wciągnie koła i schowa klapy, doda gazu i wyniesie się, zanim mu odstrzelą tyłek.

Tyle tylko, że nie zobaczył w ogóle nikogo. Właśnie doszedł do wniosku, że pułk już się stąd wycofał, i miał zawracać, kiedy kątem oka zauważył trzy sylwetki machające do niego czymś, co wyglądało na kurtki mundurowe, z drugiego końca krótkiego ziemnego pasa startowego. Był już za daleko, żeby ryzykować

lądowanie w tym podejściu, więc musiał zrobić drugi nalot. Tym razem nadleciał jeszcze niżej, wypuścił podwozie i przyziemił, gdy był już prawie w połowie pasa. Modląc się w duchu, żeby Navion nie skapotował, spróbował wcisnąć hamulce. Samolot zwolnił dobieg i nie podnosił ogona, więc wcisnął pedały do oporu.

Kiedy maszyna wyhamowała i podkołował do grupki, która do niego machała, upewnił się, że to Amerykanie. Aż do tej chwili właściwie nie był tego pewien. Zastanawiał się tylko, gdzie się, do cholery, podziała cała reszta. Ledwie o tym pomyślał, powietrzem i samolotem wstrząsnęła potężna eksplozja, po której na płaty posypała się ziemia i drobne kamyki - w chwili gdy wylądował, stanowisko dowodzenia 17. Pułku Piechoty wyleciało w powietrze.

Pierwszy z trzech Amerykanów wdrapał się na skrzydło, jeszcze zanim Mac skończył odwracać maszynę na końcu pasa. Dokończył zawracanie, zatrzymał samolot i dopiero wtedy otworzył zamek i odsunął osłonę. Amerykańscy oficerowie gorączkowo wdrapali się do środka.

Mac ucieszył się, widząc, że ostatni z nich jest najstarszy stopniem. Najstarszy powinien się ewakuować ostatni, ale nie szkodzi sprawdzić.

- Wszyscy?! - krzyknął, usiłując się przebić przez warkot silnika.

Oficer obok niego energicznie pokiwał głową.

Mac odwrócił się, by zasunąć osłonę kabiny. Kiedy usłyszał metaliczne pląsnięcia dochodzące gdzieś z tyłu, czym prędzej się odwrócił i pchnął przepustnicę do oporu. Navion szarpnął i ruszył naprzód. Jeden z oficerów wyręczył go i zasunął osłonę, po czym zatrzasnął zamek. Mac w tym czasie rozpedził maszynę, a kiedy oderwała się od ziemi, natychmiast schował podwozie i zamiast ciągnąć w górę, rzucił Naviona w ostry zakręt w prawo, by piaszczysty pagórek na drugim końcu pasa zasłonił go przed ogniem ostrzeliwującego go karabinu maszynowego.

Minutę później był już nad wodą, poza zasięgiem ognia z brzegu i wiedział, że jest bezpieczny. Dopiero teraz oczyma wyobraźni zobaczył potłuczony serwis owinięty w porwany brokat w podziurawionej pociskami walizce. Roxy będzie wściekła.

- Bardzo panu dziękujemy, panie kapitanie - powiedział doradca w stopniu kapitana.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł MacMillan i na tym rozmowa się skończyła.

Mac miał teraz co innego na głowie: po powrocie na pewno dojdzie do konfrontacji z pułkownikiem Jasperem B. Downsem, zastępcą szefa Zarządu Wojskowego Okupacji Japonii w Naczelnym Dowództwie Sił Sojusznicych.

Awantura zacznie się w chwili, kiedy dotknie kołami pasa na lotnisku Kimpo.

Pułkownik bez wątpienia będzie czekał, aż „jego” L-17 wylądaje, i będzie bez wątpienia bardziej niż trochę wściekły, że „jego” pilot zabrał przyznany mu samolot na jakąś wyprawę bez jego zgody. Pułkownik Downs bardzo przejmował się swoim statusem wysoko postawionego członka sztabu MacArthura. W obecnej napiętej sytuacji ten nadęty sukinsyn na pewno będzie jasno widział swój najważniejszy obowiązek: zabierać dupę w troki i jak najszybciej wracać w bezpieczne miejsce.

No i pieprzyć go.

Kapitan MacMillan nie miał w zwyczaju lekce sobie ważyć zamierzeń swoich przełożonych i nawet w duchu nie podważał ich rozkazów. Tym razem jednak aż nadto jasno zdawał sobie sprawę z różnic, jakie ich dzielą. On był typem wojownika, człowieka, który na dźwięk surm bojowych rzuca wszystko i łapie za karabin. Pułkownik zaś był typem tyłowego dekonownika, gościa, który grzeje stołek i umiera ze strachu, żeby mu go nie zabrali. Po raz pierwszy, odkąd przybył na Daleki Wschód, ba, odkąd nawiał ze stalagu, był pewien tego, co robił.

W ciągu swojej dziesięcioletniej służby przekonał się niejednokrotnie, że w wojsku są dwa rodzaje żołnierzy. Jeden traci głowę na dźwięk nieprzyjacielskiego ognia, a drugi nie. Dekownicy i wojownicy. MacMillan uważał się za wojownika, nawet mimo swego obecnego statusu pilota sił lądowych. Medal zdobył jako spadochroniarz. I co może nawet jeszcze ważniejsze, sam generał MacArthur też był wojownikiem. Zdobył Medal w czasie pierwszej wojny i lubił mieć koło siebie innych jego kawalerów. Biorąc to wszystko pod uwagę, kapitan doszedł do przekonania, że pułkownik Jasper B. Downs nie może mu zbytnio zaszkodzić.

Przewidywania MacMillana co do tego, że pułkownik Downs będzie niecierpliwie oczekiwał jego powrotu i że będzie wściekły, sprawdziły się co do joty. Pułkownik oczekiwał go w dodatku w towarzystwie panny Genevieve Horne, urzędniczki Służby Zagranicznej przydzielonej do ambasady w Seulu, której - oczywiście w porozumieniu z ambasadorem - zaproponował transport z Korei do Japonii. W obecnej sytuacji wyglądało na to, że wymiana kulturalna (a tym właśnie zajmowała się panna Horne) spadnie w hierarchii priorytetów koreańskiej polityki Stanów Zjednoczonych na dalszy plan, więc jej obecność nie będzie tu przez jakiś czas niezbędna, a nawet może być zawadą. Poza tym lot L-17 będzie dla niej nie tylko bezpieczniejszy, ale w dodatku zapełni miejsce pasażerskie, które inaczej by się zmarnowało, odciąży środki ewakuacyjne ambasady i da im okazję

do spędzenia kilku dni razem w Tokio, zanim powróci do Seulu, kiedy ta awantura ucichnie.

Kiedy więc uskrzydłony tymi jakże ważnymi argumentami pułkownik pojawił się wraz z panną Horne i bagażami na lotnisku, gdzie mu zakomunikowano, że jego samolot odleciał, oficer słusznie się wzburzył. Przesadą byłoby nazwanie tego wzburzenia paniką, ale przerodziło się ono we wściekłość, gdy się dowiedział, co naprawdę zaszło. Kiedy samolot wylądował wreszcie na Kimpo, pułkownik postanowił wspaniałościom domniemywać, że Macmillana zmuszono do tego lotu.

Na samolot czekał ktoś jeszcze: dwóch oficerów z Grupy Doradców z odręcznie napisanym nakazem rekwizycji każdego samolotu zdolnego przeprowadzić rozpoznanie z powietrza podejść do Seulu, podpisanym przez p.o. dowódcy Grupy. Obaj doskonale wiedzieli, że ten L-17 nie był przydzielony do Grupy i rozkaz formalnie go nie dotyczył, ale mimo to zjawili się obok niego natychmiast, gdy tylko podkołował pod hangar. Mieli nadzieję, że nawet jeśli pilot zlekceważy ich rozkaz, to może chociaż wysłucha ich argumentów.

MacMillan wysłuchał ich, nie zważając na głośne protesty Downsa, który powoływał się na to, że jest pilnie potrzebny w Tokio. Zignorował także bezpośredni rozkaz przyjęcia go wraz z panną Horne na pokład i natychmiastowego startu.

- Proponuję kompromis - powiedział Mac do kapitana z Grupy. - Wezmę jednego z was ze sobą na rozpoznanie. Polecimy na godzinę i ani chwili dłużej. Drugi z was zostanie tu i będzie strzegł tej cysterny z paliwem jak oka w głowie. Nie chcę, żeby ją jakiś żółtek wysadził, zanim wrócę.

- Jasna cholera, MacMillan! - ryknął pułkownik z mieszaniną niedowierzania i wściekłości w głosie. - Wydałem ci rozkaz i masz go wykonać!

- A w tym czasie, kiedy mnie nie będzie, panie pułkowniku - kontynuował niezrażony MacMillan - niech pan poprosi panią, żeby przepakowała to, co jest jej naprawdę niezbędne, do jednej z tych walizek. Wszystkie na pewno się nie zmieszczą.

Pułkownik Downs powstrzymał się przed powiedzeniem pilotowi, co z nim zrobi po powrocie do Tokio. Ten sukinsyn gotów wtedy w ogóle po niego nie wrócić. Dobra, niech leci. A w Tokio się z nim policzy. Medal, nie Medal, w wojsku kapitanom nie uchodzi na sucho ignorowanie rozkazów pułkowników.

MacMillana nie było dwie godziny. Kwadrans po pierwszej wylądował na Kimpo, zatankował i trzy kwadransy później był już w powietrzu z pasażerami, kierując się do Pusan.

Tam dotankował sto dwadzieścia litrów benzyny. Łącznie miał teraz więcej

paliwa, niż potrzebował na przelot z Pusan do Kokury nad wodami Cieśniny Koreańskiej, ale zbiorniki nie były pełne. I tak już przekraczał dopuszczalną masę startową. Gdyby zatankował do pełna, L-17 mógłby mieć kłopoty z oderwaniem się od ziemi.

Po wylądowaniu w Bazie Sił Powietrznych Itazuke koło Kokury zauważył tam nadzwyczajny ruch i miał kłopoty ze znalezieniem kogoś do zatankowania Naviona. Wszyscy mieli tam za dużo roboty z szykowaniem startu myśliwców, żeby zajmować się łącznikowym drobiazgiem lotnictwa US Army.

Zanim MacMillan doleciał do lotniska Tachikawa koło Tokio, była już 3.00. Długa podróż wcale nie ostudziła gniewu pułkownika. Fakt, że bezpiecznie dotarli na miejsce i że długi etap z Itazuke do Tachikawy musiał spędzić zgięty w scyzoryk na ciasnym siedzeniu z tyłu, koło walizek, jeszcze go wzmocniły. To ostatnie zawdzięczał wprawdzie panie Horne, która zażyczyła sobie lecieć z przodu, ale i tak wszystkiemu był winien MacMillan. Pannie Horne nie mógł odmówić, tak samo jak nie mógł kontrolować ich długiej rozmowy, tam z przodu. Rozmawiali przez interkom, a z tyłu nie było gniazdka, do którego można by podłączyć słuchawki.

Może to zresztą i lepiej, bo treść tej rozmowy mogłaby go rozjuszyć jeszcze bardziej.

- Mogę panu zadać pytanie natury osobistej?
 - Proszę bardzo.
 - To Medal Honorowy Kongresu, prawda?
 - Tak - bąknął Mac i poczuł, jak się rumieni.
 - Nie wiem, co mam powiedzieć. Pierwszy raz widzę kogoś, kto nosi tak wysokie odznaczenie.
 - Dużo ich rozdali w czasie wojny.
 - Ależ nie - zapewniła panna Horne, kładąc mu rękę na ramieniu, zapewne dla podkreślenia szczerości swych słów.
 - Mówię pani, że tak - nalegał Mac.
 - Przy kimś takim jak pan czuję się naprawdę o wiele bezpieczniejsza. Teraz mogę panu powiedzieć, że tam, na Kimpo, naprawdę się już niepokoiłam.
 - Nie było o co. Przecież nie brałbym tego oficera na rozpoznanie, gdybym uważał, że nie zdążę zabrać pani i pułkownika.
 - Jasper, to znaczy pułkownik Downs, też się bardzo niepokoił.
- MacMillan nie skomentował tej wypowiedzi.

- Myślę, że ktoś taki jak pan potrafi zachować jasność umysłu w trudnej sytuacji. Szkoda, że o tym nie wiedziałam, zanim nas pan zostawił tam, na lotnisku.

- Musi pani wiedzieć, że przestrzegam pewnej żelaznej zasady. - Mac się uśmiechnął. - Nigdy nie zostawiam na lodzie pięknych kobiet.

Roześmiała się.

- Założę się, że pańska żona musi pana zazdrośnie pilnować.

- Bardzo się stara.

- Ale nie daje rady?

- W każdym razie nie zawsze. Skończyłem kurs uciezkowy dla pilotów wziętych do niewoli.

- Gdyby nie okoliczności, mogłabym powiedzieć, że spotkanie z panem było przyjemnością, panie kapitanie.

- A co z pułkownikiem? On też zazdrośnie pani strzeże?

- Raczej nie ma na to czasu.

- Zatrzyma się pani w hotelu Departamentu Stanu, prawda?

- Owszem. I pewnie zanudzę się na śmierć.

- Może dałoby się coś na to poradzić.

- No cóż, ja też jestem niezła w ucieczkach, panie kapitanie.

Pułkownik siedział z tyłu i widział, że rozmawiają. O czym, nie miał pojęcia. Zresztą nie miał czasu na dociekania. Układał w myśli przemowę, jaką miał zamiar wygłosić do MacMillana, gdy tylko L-17 wyląduje i wysiądą z samolotu.

- Kapitanie MacMillan, proszę się uważać za objętego aresztem domowym. Pojedzie pan stąd prosto do swojej kwatery i nie będzie jej opuszczał aż do otrzymania dalszych rozkazów.

Potem wyjaśni Genevieve ciężar przewinień, jakich dopuścił się kapitan MacMillan przeciw porządkowi i dyscyplinie.

Niestety, los odebrał pułkownikowi szansę na to, by pokazać zadzierającemu nosa kapitanowi, gdzie jest jego miejsce. Na samolot czekała grupa oficerów, którym przewodził adiutant szefa sztabu, pułkownik przewyższający starszeństwem Downsa. Obaj panowie nie bardzo się lubili i już wcześniej dochodziło pomiędzy nimi do spięć.

Poinformował ich, że mają się natychmiast zgłosić do sali konferencyjnej działu operacyjnego sztabu w budynku Dai Ichi i jako pierwsi naoczni świadkowie złożyć tam raport na temat sytuacji w Korei. Samolot odleci zaś natychmiast z trzema oficerami sztabu na pokładzie do Kokury, gdzie 24. Dywizja Piechoty została postawiona w stan gotowości do przerzutu, na wypadek gdyby jej interwencja była potrzebna w Korei.

W Dai Ichi, ku ogromnemu zdumieniu pułkownika Downsa (kiedy tam dotarli, była 4.15), zastali MacArthura pochylonego nad mapą sytuacyjną. Ubrany był jak zwykle w lotniczą skórzaną kurtkę zapinaną na zamek błyskawiczny i sprany mundur khaki.

- No i co o tym powiesz, Mac? - powitał kapitana MacMillana. - Jakaś poważna strzelanina?

- Obawiam się, że to raczej wojna, sir. Nie wysłała się czołgów do potyczek na granicy.

- A skąd wiadomo o tych czołgach? Może to tylko jakaś panikarska pogłoska, nagłośniona po drodze przez telefon?

- Sam naliczyłem ich sto dwanaście, panie generale. Tylko w dwóch miejscach, nad które polecałem.

- Mac, bądź tak dobry i pokaż mi, gdzie to było. - MacArthur wziął MacMillana za łokieć i pociągnął go do mapy. W tej chwili przypomniał sobie o obecności pułkownika. - Howard, prawda?

- Downs, Jasper Downs, panie generale.

- Aha. Domyślam się, że towarzyszył pan Macowi?

- Nie, panie generale - odparł MacMillan, zanim pułkownik zdążył otworzyć usta. - Prosiłem pułkownika, żeby pozostał na Kimpo i zabezpieczył dla nas paliwo na powrót.

- Aha. Pan w tym czasie konferował ze sztabem Grupy, prawda, panie pułkowniku?

- Nie, panie generale. Na to nie było już czasu i...

- A więc nie ma pan nic do dodania - przerwał MacArthur.

Nie czekał na odpowiedź. Po prostu odwrócił się plecami do pułkownika i z uwagą słuchał MacMillana, który opowiadał o wynikach swego lotu na rozpoznanie kolumn czołgów T-34, które ciągnęły na Kaesong, Ujdzhongbu i Czunchon.

II

1

Hotel Continental Paryż,
Francja 28 czerwca 1950

Państwo Lowellowie, ich trzyletni synek, Peter-Paul, i ojciec pani Lowell, hrabia Peter-Paul von Greiffenberg, niedawno wypuszczony z sowieckiego obozu na Syberii, zajmowali czteropokojowy apartament na trzecim piętrze hotelu. Okna głównej sypialni wychodziły na rue de Castiglione i rue de Rivoli. Z okien dwóch pozostałych sypialni i salonu rozpościerał się widok na rue de Rivoli i leżące za nią ogrody Tuileries.

Państwo Lowellowie spali, gdy zadzwonił telefon. Pani Lowell, dwudziesto-jednoletnia blondynka, miała na sobie tylko błękitne figi, jej starszy o dwa lata muskularny, wąsаты małżonek leżał obok niej zupełnie nagi. Prześcieradło, którym się nakryli, spadło w nocy na podłogę i pani Lowell skuliła się z zimna. Jej mąż leżał obok na brzuchu, z ręką na jej biodrze.

Dzwonek telefonu obudził go natychmiast. Obrócił się na plecy i sięgnął do stolika stojącego przy zajmującym większą część pokoju łożu z baldachimem. Usiadł i opuścił nogi na podłogę.

- Tak? - powiedział i przypominając sobie, gdzie się znajduje, przeszedł na francuski. - Oui?

- Obudziłem was? - zapytał z troską rozmówca.

- Poczekaj, Sandy. Przejdę do innego telefonu. Ilse jeszcze śpi.

Odłożył zdobną słuchawkę na blat i wstał. Przechodząc przez sypialnię, podniósł z szezlongu przygotowany przez pokojówkę jedwabny szlafrok z wyhaftowanym na piersi wielkim monogramem. Pochodził ze sklepu Sulki, mieszczącego się naprzeciwko hotelu, po drugiej stronie rue de Castiglione. To nie był jednak monogram Lowella. W ogóle po raz pierwszy zaszedł tam wczoraj po południu, i to nie po to, by kupić coś dla siebie, tylko po bieliznę i koszule dla teścia.

Szlafrok należał do ojca Craiga, podobnie jak komplet pięciu skórzanych walizek ustawionych obok drzwi w nienaganną piramidę i czekających na portiera, który miał je wywieźć do przechowalni. Jedno i drugie było w zbyt dobrym gatunku, żeby je oddać Armii Zbawienia wraz z resztą ruchomości po ojcu. Armia i tak dostała jego bieliznę, koszule i buty.

W domu nigdy nie chodził w szlafroku ani nawet w płaszczu kąpielowym. Uważał, że mężczyzna jest albo ubrany, albo nie - nie uznawał stopni pośrednich. Ilse zapakowała jednak ten szlafrok, pewnie po to, żeby jego barbarzyńskie nawyki nie uraziły obsługi hotelowej. Ilse zwracała uwagę na takie rzeczy i wiedział, że zależy jej na tym, co ludzie sobie pomyślą o nim, a nie o niej.

Wbił się w szlafrok ojca i nawet był zadowolony, że zabrała dla niego tę szmatę. Inaczej, wychodząc z sypialni do telefonu, musiałyby się całkiem ubrać. Pomyślał, że piastunka, którą zamówiła im miejscowa filia jego banku, pewnie w życiu nie widziała nagięgo faceta i mogłaby umrzeć na serce.

Zresztą może nawet panna Jakjejtam widziała już w życiu nagięgo faceta, ale takiego chyba nie. Suwaki i dodatkowe dziurki mogłyby ją przyprawić o szok, jak zresztą wszystkich, którzy je widzieli po raz pierwszy w życiu.

„Suwaki” i „dodatkowe dziurki” zawdzięczały swoje nazwy wyglądowi.

„Suwaki” były rezultatem tego, co w karcie wypisowej ze szpitala nazwano „średnio ciężkimi i ciężkimi ranami szarpanymi górnej lewej części torsu i lewego ramienia w wyniku uszkodzenia odłamkami pocisków artyleryjskich i moździerzowych”. „Dodatkowe dziurki” zawdzięczał zaś „dwóm wlotowo-wylotowym ranom postrzałowym ramienia lewego i górnej lewej strony klatki piersiowej, spowodowanym pociskami z broni strzeleckiej”. Rany już dawno się zagoiły, ale ślady pozostaną mu na całe życie.

Zawiązał sznur na biodrach i ruszył do drzwi, ale zanim do nich doszedł, zawrócił do łóżka. Schylił się po prześcieradło i delikatnie nakrył żonę. Zanim położył je na niej, raz jeszcze spojrzął na Ilse i po raz nie wiadomo który pomyślał, że wygląda zbyt młodo, zbyt dziewczęco, zbyt niewinnie na to, by być jego żoną i matką jego dziecka.

Kiedy wreszcie wyszedł z sypialni, zdumiał go widok teścia, który siedział z wnukiem na podłodze. Starszy pan miał na sobie jedną z zakupionych wczoraj koszul. Kołnierzyk był rozpięty, a rękawy zawinięte.

Chryste, on wygląda jak kościotrup, pomyślał.

- Dzień dobry - powiedział.

- Mam nadzieję, że to nie my cię obudziliśmy - odparł teść. P. P. uśmiechnął się do ojca.

No tak, Brzdącu, nie musisz nic mówić. Ten twój uśmiech roztopiłby nawet górę lodową.

- Nie, ktoś do mnie zadzwonił. Nie chciałem budzić Ilse i pomyślałem, że tutaj odbiorę.

Wziął słuchawkę z aparatu telefonicznego stojącego na stoliku do kawy pomiędzy dwiema kanapami. Poprosił telefonistkę, żeby przełączyła rozmowę z telefonu w sypialni.

- Gdzie jesteś?

Wysłuchał odpowiedzi.

- Słuchaj, to jesteście niedaleko od nas. Wyrzyj za okno, widzisz Operę? Stamtąd to już rzut kamieniem. Dwie przecznice dalej zobaczysz na środku ulicy takie wielkie coś. To dokładnie naprzeciwko Ritza. Obejdź to i dojdź ulicą do końca, jeszcze dwie przecznice dalej. I właśnie tu jesteśmy. Na rogu, po prawej stronie. Zamówię wam śniadanie.

Odłożył słuchawkę.

- Kapitan Felter - wyjaśnił teściowi. - Jest w American Express.

Teść kiwnął głową. Lowell wrócił do sypialni, odwiesił słuchawkę telefonu, przeszedł do salonu, ponownie podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z recepcją.

- Mówi Lowell - powiedział. - Wkrótce pojawi się u was kapitan Felter z rodziną. To moi goście. Nie życzę sobie, by płacili za cokolwiek, nawet napiwków. Czy to jasne?

Kiedy ją odłożył, teść patrzył na niego przez chwilę.

- Twoi przyjaciele mają z tobą dobrze. Jesteś szczodry chyba aż do przesady - powiedział.

- Jestem bogaty - odparł Craig. - Bogatemu łatwo być szczodrym.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Poza tym Sandy'emu wiele zawdzięczam, a to człowiek, któremu ciężko się odwdziżyć.

- Ja też wiele mu zawdzięczam.

Lowell podszedł do drzwi i przez chwilę przyglądał się skrzynce z pięcioma porcelanowymi guzikami. Wybrał wreszcie ten, którym wzywało się kelnera, i wcisnął go.

Czekając, patrzył na teścia i syna. P. P. stał za hrabią i przytulał się do niego, obejmując za szyję.

- Znalazłeś sobie nowego kumpla, co, Brzdącu? - zapytał.

- Opa - odpowiedział chłopiec. Po niemiecku.

Hrabia z uśmiechem popatrzył na wnuka.

- Tak, to twój dziadek - przyznał Lowell. - Właściwie, jak ja mam się do ciebie zwracać?

- Jak chcesz.

- Ilse mówi do ciebie tato, dla Brzdąca jesteś dziadkiem. Nie wiem, jakoś mi niewygodnie mówić „tato”, a ty też pewnie nie bardzo masz ochotę mówić do mnie „synu”.

- Zawsze mówisz to, co myślisz? - zapytał teść.

- Może „pułkowniku”?

- Może być. A jak ja mam do ciebie mówić?

- To może po imieniu, „Craig”, co?

- Jak sobie życzysz, Craig.

- Opa - powtórzył P. P.

- To jest tata twojej mamy i twój dziadek. Ja mówię do niego pułkownik. I jak ci się to podoba, Brzdącu?

- To jest tatuś mamusi? - zapytał malec, jakby się temu dziwił.

- Zgadza się.

- I mój dziadek - dokończył chłopczyk.

Zaborcze podkreślenie tego, że to jego dziadek, o mało nie doprowadziło hrabiego do płaczu.

Kelner zapukał do drzwi i Craig polecił mu wejść.

- Poprosimy śniadanie, za kwadrans, dla... Zaraz, niech policzę... Dla sześciu osób. Plus dwoje dzieci. Śniadanie amerykańskie, ale bez bekonu i szynki. Może steki? Smażone jajka, frytki i steki.

Sok pomarańczowy. Mleko dla dzieci. Chleb i rogaliki. I kawa. Kawa z rogalikami zaraz, reszta później.

- Oczywiście, proszę pana. - Kelner uklonił się i wyszedł.

Lowell znowu spojrzął na teścia. Starszy pan miał łzy w oczach, a jedna z nich spływała mu po policzku.

- Spokojnie, pułkowniku, wszystko będzie dobrze.

- To wszystko za szybko się dzieje.

- No, może tak... - Lowell poczuł się niezręcznie.

- Co chwila się zastanawiam, czy czasem nie zwariowałem, czy zaraz się nie obudzę i to wszystko zniknie.

- Jest takie powiedzenie: Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

- Człowiek tam uczy się nie wymagać wiele od życia. Po jakimś czasie do pełni szczęścia wystarczy mu, że spełniają się jego marzenia o pełnym brzuchu i ciepłe.

- No tak... - Lowell poczuł się jeszcze bardziej niezręcznie.

- Przepraszam, nie chciałem cię wprawiać w zakłopotanie, Craig.

- Daj spokój, nie ma za co.

- Marzyłem tam o jedzeniu. O befsztyku i maśle. O prawdziwej kawie.

Craig milczał.

- Jestem głodny! - oznajmił P. P. - Kiedy będziemy jeść?

- Jesteś bardzo głodny? - zapytał Craig.

- Jestem bardzo głodny.

- Za chwilę będzie smaczna wątróbka...

- Nie będzie wątróbki! Przecież mówiłeś, że stek!

- Lubisz stek na śniadanie, P. P.? - zapytał dziadek.

- Może być - odparł Brzdąc po dojrzałym namyśle.

- Stek na śniadanie, mój Boże. - Starszy pan pokręcił głową.

Lowell milczał.

- Kiedy wróciłem z obozu, wysiadłem z pociągu w Bad Hersfeld i spotkałem starego znajomego. Powiedział mi, że moja żona odebrała sobie życie, a z tego, co mu wiadomo, Ilse pojechała do wschodnich Niemiec szukać rodziny. Chciał mnie pocieszyć, mówił, że Czerwony Krzyż jest naprawdę dobry w poszukiwaniu ludzi w takiej sytuacji.

- No cóż, to wszystko masz już za sobą - powiedział Craig.

- Powiedziałem sobie, że zrobię, co będę mógł, żeby ją znaleźć, a potem zrobię, co w mojej mocy, żeby jej pomóc. A potem nagle to wszystko... - Zatoczył rękami wokół i bezradnie wzruszył ramionami.

- Będziesz się musiał jakoś przyzwyczaić - odparł Craig.

Z wdzięcznością przyjął pukanie do drzwi, które wybawiło go z niezręcznej sytuacji. Kelner wtoczył do pokoju wózek, na którym stała taca z kawą i rogalikami.

- P. P, najwyżej jednego rogalika. Z resztą poczekaj do śniadania.

- Dlaczego nie teraz?

- Bo wujek Sandy i ciocia Sharon zjedzą z nami śniadanie. Musimy na nich poczekać.

Obserwował ukradkiem, jak teść z namaszczeniem smaruje rogalika masłem i jak je go drobnymi kęsami, dokładnie przeżuając i delektując się.

Znowu ktoś zapukał do drzwi.

- Entrez!

Drobny, łysiejący mężczyzna nieśmiało zająrzył do środka.

- Właż, Sandy! - zawołał Craig. Podszedł do drzwi i objął gościa ramieniem.

- Guten Morgen, Herr Oberst Graf - powiedział przybysz płynną niemiecką z lekkim berlińskim akcentem.

Kiedy hrabia Peter-Paul von Greiffenberg powrócił do Marburga po pięciu latach sowieckiej niewoli, na stacji kolejowej czekał na niego Sanford Felter. Nie po to, by, jak podejrzewał początkowo hrabia, zabrać mu dopiero co odzyskaną wolność, ale by zawieźć go na spotkanie z córką, o której od tak dawna nie miał żadnych wiadomości, jej mężem i wnukiem, o którego istnieniu nie miał pojęcia.

Lowell pocałował Sharon i zabrał z jej ramion dwuletniego Sanforda T. Feltera juniora.

- Bogu niech będą dzięki, podobny jest do ciebie, Sharon. Jeden brzydal w rodzinie to naprawdę wystarczy!

Czarnowłosa szczupła kobieta o jasnej karnacji i ciemnych włosach popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Herr Oberst Graf, niech mi będzie wolno przedstawić panu moją żonę - powiedział Sanford.

- Proszę mi wybaczyć mój strój i wygląd, pani Felter. - Starszy pan się uklonił. - Jestem zaszczycony.

- Och, tak wiele o panu słyszałam... Przepraszam, powinnam powiedzieć: witamy w domu.

- Dziękuję pani.

- Ilse jeszcze śpi - powiedział Craig. - Sharon, idź ją wyrzuć z łóżka.

- Nie ma mowy! Wiesz, Craig, jak ty czasem coś powiesz...

- Nie to nie, sam będę musiał - rzekł i ruszył do drzwi sypialni. - Hej, Ilse! Pobudka! Sandy i Sharon przyszli.

- Nie musiałeś tego robić - zaprotestowała Sharon. - Ilse, mówiłam mu, żeby dał ci spokój.

Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

- Śniadanie w drodze - rzucił Lowell. - A w każdym razie tak powiedzieli. Na razie możesz sobie nalać kawy.

- Już jedliśmy. Tuż przed tym, jak dzwoniłem.

- Trudno, będziecie musieli zjeść jeszcze raz. Już ja wiem, coś ty zjadł. Jajko na twardo i czerstwy rogalik.

Felter pokręcił głową i otworzył teczkę. Wyjął z niej szarą kopertę i podał ją Lowellowi.

- Co to jest?

- Akta służbowe pułkownika. A w każdym razie odpis poświadczony. I orzeczenie Komisji Denazyfikacyjnej.

- Nic nie rozumiem - wtrącił się hrabia.

- Amerykańskie prawo nie zezwala na wjazd do Stanów Zjednoczonych byłym członkom partii narodowosocjalistycznej, Herr Oberst Graf - wyjaśnił Felter. - Na to potrzeba odpowiedniego zaświadczenia i to jest właśnie ten paperek.

- Jak udało ci się to załatwić z dnia na dzień? - Lowell nie krył zaskoczenia.

- Nie z dnia na dzień, kolego - odparł Sandy. - Pracowałem nad tym dwa cholerne lata.

- Dzięki.

- Nie ma za co.

Ponieważ wyraz twarzy teścia mówił wyraźnie, że nadal nic z tego nie rozumie, Craig wyjaśnił:

- Kapitan Felter od jakiegoś czasu podejrzewał, że żyjesz. To właśnie on cię stamtąd wyciągnął.

- Jak można wyrazić wdzięczność za coś takiego?

- Jak najwięcej, panie pułkowniku - uśmiechnął się Felter.

- Zdejmij marynarkę. Bo chyba zostanieecie u nas chwilę, Sandy?

- Nasłane przez ciebie zbiry ograbiły nas z bagażu, kiedy tylko stanęliśmy w drzwiach - odparł Felter. - Mam nadzieję, że to twoi ludzie.

- To znaczy?

- To znaczy, że mam nadzieję, że wiesz, gdzie one są, w którym pokoju i tak dalej.

- Nie mam pojęcia. Chyba gdzieś tu na piętrze, ale gdzie dokładnie, to nie wiem. Zadzwoń do recepcji i spytaj.

- I co powiem? „Mówi Felter. W którym pokoju mieszkam?” - roześmiał się Sandy.

Felter zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Potem jak umiał

najdyskretniej, sięgnął za plecy i wyjął zza paska spodni Colta wz. 1911 A1. Wrzucił broń do teczki, po czym ją zamknął i odstawił na podłogę koło kanapy.

- Słyszał pan kiedy o mafii, pułkowniku? - zapytał Craig.
- Mafii?
- Takie stowarzyszenie sycylijskich gangsterów. Oni też zawsze chodzą z bronią.
- Nie wierzę, żeby kapitan Felter był gangsterem.
- Bo nie jest. Za to jest szpiegiem.
- Szpiegiem?
- Oficerem wywiadu - wyjaśnił z udawanym nabożeństwem Lowell.
- O Boże, Craig - jęknął Felter. - Znowu zaczynasz?
- Myślę, Craig, że wprowadziłeś kapitana Feltera w zakłopotanie - powiedział pułkownik.
- Zdążyłem do tego przywyknąć, panie pułkowniku. On mnie do tego przyzwyczaił, i to dosłownie od pierwszego dnia naszej znajomości.
- Zechce pan wybaczyć, że tak niewiele wiem o własnym zięciu, panie kapitanie, ale kiedy to było?
- W drodze do Grecji w 1946 roku - odparł Lowell, zanim Felter zdążył otworzyć usta. - Mnie wysłano tam za karę, a Felter, dając dowód, że jest godnym spadkobiercą Długiego Szarego Szeregu, zgłosił się na ochotnika.
- Długiego Szarego Szeregu? Ach, prawda, West Point. Pan jest absolwentem West Point, panie kapitanie?
- Uczęszczałem tam przez jakiś czas, panie pułkowniku.
- Ty też, Craig?
- A uchowaj Boże! Ja byłem rezerwistą, miałem tylko odbębnić swoje i do domu. Za to Sandy urodził się z odruchem bezwarunkowym rzucania wszystkiego w diabły na dźwięk surm bojowych. Każdy, kto się na tym zna, powie, że byłem w wojsku batalionową ofermą.
- No cóż, jedni dobrze się czują w wojsku, inni nie - odparł pojednawczo pułkownik.
- Środowisko wojskowych odetchnęło z ulgą, kiedy wreszcie udało im się wykopać mnie za bramę.

Felter popatrzył na nich i zauważył, że pułkownik Peter-Paul von Greiffenberg, kawaler Srebrnej Odznaki za Rany* i Krzyża Rycerskiego Krzyża Żelaznego

* Verwundetenabzeichen miała w armii niemieckiej rangę odznaczenia, podobnie jak w wojskach amerykańskich, gdzie za ranę nadawano od 1932 roku Purpurowe Serce. VWA miała trzy klasy: czarną, nadawaną za odniesienie jednej lub dwóch ran na polu walki, srebrną za dwie do czterech ran i złotą za pięć i więcej ran lub nadawaną pośmiertnie (przyp. tłum.).

z Liśćmi Dębu i Mieczami, jedenasty z rodu, który służył ojczyźnie jako oficer zawodowy, przyjął opowieści zięcia o jego własnej służbie wojskowej za dobrą monetę.

- Przepraszam, ale nie mogę tego tak zostawić - powiedział wreszcie.

- Czego? - zapytał Lowell.

- Panie pułkowniku, to, co pański zięć opowiada o swojej służbie wojskowej, to nieprawda. W wieku dziewiętnastu lat został przydzielony do armii greckiej jako doradca wojskowy, a oddział, w którym służył...

- Sandy, daj spokój! - syknął Craig, przerywając mu.

- Oddział, do którego był przydzielony - powtórzył niezrażony Felter 12. Kompania 27. Królewskiego Pułku Piechoty Górskiej, został zaatakowany przez przeważające siły greckiej i albańskiej partyzantki komunistycznej, szkolone i dowodzone przez Rosjan. W walce, która się wywiązała, polegli wszyscy oficerowie greccy. Ten „oferma batalionowy”, panie pułkowniku, za którego wyszła pańska córka, przejął dowodzenie i utrzymał swoją pozycję, chociaż go podziurawili jak durszlak. Kiedy nadeszła odsiecz, tylko dwunastu z nich zostało przy życiu, ale utrzymali pozycję. Taki z niego oferma, panie pułkowniku, że król Grecji nadał mu Order św. Jerzego i św. Andrzeja.

- Zawsze miałeś jęzor do pasa, kurduplu - skwitował Lowell.

- Craig! - usłyszeli głos zszokowanej Ilse. - Co się z tobą dzieje?! Jak śmiesz tak się odzywać do Sandy'ego po tym, co dla nas zrobił?

- Wszystko w porządku, Ilse - uspokoił ją Sanford.

- Oni zawsze sobie nawzajem prawią takie komplementy - wtrąciła Sharon Felter. - Czasem aż mi się niedobrze od tego robi. Słuchając ich, nikt by nigdy nie zgadł, jak bardzo się kochają.

- O cholera - mruknął Lowell.

Podszedł szybko do Feltera i zanim ten zdążył uciec, wziął go w ramiona, uniósł z podłogi, po czym złożył na środku jego łysego czoła głośnego całusa.

- Postaw mnie z powrotem, ty przerośnięty niemowlaku! - zażądał Sandy.

- Powiedz „proszę”, mikrusie! - odparł Craig i ścisnął go tak, że tamten wreszcie skapitulował.

- Proszę, ty wielkoludzie.

Lowell roześmiał się i postawił go na podłodze.

- No i co? Jeśli to nie jest dowód na to, że go kocham, to co nim jest?

- Wstyd mi za ciebie, Craig - powiedziała Ilse, ale z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

Pojawił się kelner w asyście trzech pomocników. Wnieśli śniadanie i zaczęli rozstawiać na stole.

Felter przez chwilę patrzył na nich, po czym ni stąd, ni zowąd powiedział:

- Skoro już mowa o wojnie, dopiero co słyszałem w AFN, że to w Korei to już nie incydent graniczny, tylko wojna na całego.

- Jaki incydent graniczny?

- Według AFN... AFN to stacja radiowa amerykańskich wojsk w Niemczech, panie pułkowniku - wyjaśnił. - No więc według ich serwisu informacyjnego, to, co według wcześniejszych wiadomości miało być jedynie starciami granicznymi, przekształciło się ostatecznie w prawdziwą inwazję. Seul trzyma się resztkami sił.

- Miłej wojny, Sandy - powiedział Craig.

- Jak można mówić coś takiego! - oburzyła się Ilse.

- Na szczęście połowa z tego, co mówi, nie jest na serio. Jeśli się to zrozumie, łatwiej z nim wytrzymać.

- Możemy zacząć jeść? - zapytał P. P.

2

Waszyngton

5 lipca 1950

Z polecenia prezydenta sekretarz obrony został upoważniony, aby do czasu zakończenia akcji porządkowej w Korei powołać do czynnej służby wojskowej 2500 młodszych oficerów różnych rodzajów broni i służb zaliczanych do rezerwy nieaktywnej.

Na korpus oficerski US Army składają się trzy grupy. Pierwszą stanowią oficerowie zawodowi spełniający kryteria wymagane przez Kongres dla oficerów służby czynnej, którzy swoje życie aż do emerytury związali z wojskiem. Liczebność tej grupy określają ustawy Kongresu Stanów Zjednoczonych. Przed wojną oficerowie niezawodowi stanowili w wojsku znikomą mniejszość. W czasie wojny sytuacja się odwróciła i to zawodowi, których można było rozpoznać po krótszych numerach służbowych* stali się mniejszością.

* Numer polisy ubezpieczeniowej, nadawany wraz z przydziałem do korpusu osobowego, umożliwiający w razie identyczności imion i nazwisk identyfikację żołnierza. Wzięty do niewoli żołnierz amerykański ma prawo podać w czasie przesłuchania jedynie imię, nazwisko i właśnie numer służbowy (art. III kodeksu etycznego żołnierza amerykańskiego) (przyp. tłum.).

Lwia część zawodowych oficerów wywodziła się z Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych w West Point i pozostałych wyższych szkół wojskowych: Virginia Military Institute, Norwich, Citadel, Texas A&M i kilku innych. Istniała także inna furta, dostępna dla niewielu: oficerowie rezerwy w służbie czynnej mogli występować o zaliczenie w skład korpusu zawodowego i czasem ich wnioski były zatwierdzane.

Drugą grupą w korpusie oficerskim byli oficerowie Gwardii Narodowej. Formalnie rzecz biorąc, ich stopnie oficerskie nadawane były przez gubernatorów poszczególnych stanów, jako że Gwardia w czasie pokoju podlega ich rozkazom, ale oficerowie ci są jednocześnie oficerami rezerwy Armii Stanów Zjednoczonych.

Trzecią grupą są oficerowie rezerwy. Rezerwa ta dzieli się na cztery podgrupy:

1) Oficerowie rezerwy służby nadterminowej - podobnie jak zawodowcy wiążący swoje plany z wojskiem aż do emerytury. W odróżnieniu od oficerów zawodowych ich służba nie jest gwarantowana przez Kongres i mogą zostać w każdej chwili zwolnieni, na przykład w ramach cięć budżetowych.

2) Oficerowie rezerwy w służbie czynnej - zwykle nie z własnej woli, absolwenci uczelni, należący do Programu Szkolenia Oficerów Rezerwy i po ukończeniu nauki powołani do odbycia okresowej służby wojskowej.

3) Oficerowie rezerwy zorganizowanej - oficerowie rezerwy przydzieleni do skadrowanych jednostek rezerwowych, które spotykają się raz w tygodniu lub na jeden weekend w miesiącu. W miesiącach letnich oficerowie ci odbywają dwutygodniowe staże w jednostkach regularnych. Oficerowie rezerwy zorganizowanej otrzymują żołd za okresy szkolenia rezerwistów i ryczałty za staże oraz dodatki emerytalne.

4) Oficerowie rezerwy nieaktywnej - oficerowie, którzy zachowują swoje stopnie, ale nie są ani w służbie nadterminowej, ani czynnej, ani w Gwardii Narodowej, ani w zorganizowanej rezerwie. Nie przechodzą oni szkoleń i nie otrzymują żołdu.

Oficerowie, których Kongres powołał do służby w Korei, pochodzili właśnie z tej ostatniej podgrupy. W miarę możliwości otrzymywali oni decyzje o powołaniu z trzydziestodniowym wyprzedzeniem, żeby mieli czas na uporządkowanie swoich spraw osobistych, ale z uwagi na krytyczną sytuację na Dalekim Wschodzie wiadomo było, że nie wszystkim będzie to dane.

W służbach liniowych rozpaczliwie brakowało młodszych oficerów. Z braku absolwentów szkół wojskowych postanowiono sięgnąć do rezerwistów spełniających kryteria stopnia, wieku (do służby liniowej potrzeba młodych ludzi) i doświadczenia bojowego. Zwłaszcza to ostatnie było ważne i nie do zastąpienia. Żadne wykształcenie nie przygotowuje do prowadzenia ludzi w polu tak, jak osobiste przeżycia. Teoretyk, który prochu nie wachał, uczy się swego rzemiosła po trupach swoich podkomendnych.

Pojawiły się zastrzeżenia, że taki sposób powoływania rezerwistów, zwłaszcza w sytuacji, kiedy od razu wiadomo, że nie wszyscy dostaną trzydzieści dni na uporządkowanie spraw, jest niesprawiedliwe w stosunku do powoływanych. Oni już swoje odsłużyli, a poza tym przez lata, które upłynęły od ich przejścia do rezerwy, nie dostali ani grosza i nie uczestniczyli w szkoleniach rezerwy zorganizowanej ani Gwardii Narodowej - niezależnie od ich poziomu merytorycznego. Przechodząc do rezerwy nieaktywnej, zostali poza tym zapewnieni, że mogą się spokojnie zajmować swoimi sprawami, gdyż powołanie czeka ich jedynie w wypadku wojny światowej, a i to po wyczerpaniu zasobów kadry Gwardii Narodowej i rezerwy zorganizowanej.

Decyzja o powołaniu rezerwy nieaktywnej była jedną z trudniejszych, jakie musiał podjąć prezydent. Podejmując ją, kierował się własnymi doświadczeniami z czasów służby w stopniu kapitana artylerii. To było świństwo w stosunku do tych oficerów i prezydent Truman doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Ten medal miał jednak drugą stronę: równie wielkim świństwem byłoby wysyłanie w pole oddziałów pod dowództwem zielonych oficerów powojennego chowu, podczas kiedy dostępne były tysiące oficerów spełniających kryteria wieku i doświadczenia bojowego. Pierwszym obowiązkiem dowódcy - od podporucznika przez kapitana po naczelnego wodza - była troska o szeregowych. To podstawowa zasada dowodzenia. Z ich powołania musiałby się tłumaczyć równie długo, co z rezygnacji z powołania najlepiej wykwalifikowanych oficerów, ale przynajmniej może nie będzie się trzeba tłumaczyć z wysokich strat pododdziałów prowadzonych przez niedoświadczonych oficerów. To, że już odsłużyli swoje, nie było w tej sytuacji wymówką. Ojczyzna znowu ich potrzebowała i potrzebowali ich żołnierze, którym mogli uratować życie.

Przed koszarami kompanii pancernej 24. Pułku Piechoty ze składu 24. Dywizji Piechoty zatrzymał się zużyty, ale nienagannie utrzymany jeep dowódcy jej trzeciego plutonu, porucznika Philipa Sheridana Parkera IV. Mimo potężnej sylwetki Parker sprawnie wydostał się z pojazdu.

Porucznik miał 187 centymetrów wzrostu i ważył 112 kilogramów. Był przy tym czarny jak noc, podobnie jak wszyscy w jego plutonie. Strzepnął wykrochmalony mundur polowy, który wygniótł się w czasie podróży na siedzeniu, nasadził głębiej czapkę, która sterczała gdzieś wysoko na czubku jego wielkiej czaszki, i raz jeszcze obciągnął pas. Pas był z zupełnie innej bajki niż reszta munduru porucznika. Był skórzany, wzór 1910, pochodził z czasów pierwszej wojny światowej, podobnie jak wisząca przy nim kabura wzór 1909. W odróżnieniu od późniejszych modeli ta kabura była pomyślana specjalnie dla kawalerzystów i zawieszona na czopie - w każdej pozycji wisała pionowo w dół. Uzbrojenie porucznika również było nieregulaminowe - w kaburze dyndał wielki, ciężki rewolwer Colt Model 1917, przystosowany do strzelania nabojem pistoletowym kalibru.45.

Porucznik wracał z odprawy, na której został poinformowany, że jego pluton nie pojedzie do Korei wraz z resztą kompanii, ale obsadzi nowe czołgi. Szef służby uzbrojenia dywizji dowiedział się, że w składnicy w Osace znajduje się osiem czołgów średnich M4A3 Sherman, świeżo przebrojonych z siedemdziesiątek piątek w nowe długolufowe armaty kalibru 76 mm. Przy okazji czołgi przeszły remont kapitalny, więc były właściwie nowe.

Szef uzbrojenia, po upewnieniu się, że czołgi są do wzięcia, powiadomił o swoim odkryciu dowódcę dywizji. Ten natychmiast kazał mu wysłać do Osaki kogoś, kto położy na nich rękę, by nikt inny ich nie zabrał. Nad przydziałem będzie się czas zastanowić potem. Kiedy czołgi zostały zabezpieczone, nie miał zbyt dużego wyboru co do tego, komu je przydzielić. Poza 24. Pułkiem Piechoty wszystkie jednostki dywizji były już spakowane i właściwie w drodze do Korei, więc czołgi przydzielono kompanii pancernej tegoż pułku. Dowódca pułku zawiadomił o nich dowódcę kompanii pancernej.

Dowódca kompanii postanowił przydzielić czołgi trzeciemu plutonowi. Po pierwsze, jego dowódca dopiero co awansował na pełnego porucznika, po drugie, w jego opinii był najlepszym dowódcą plutonu w jego kompanii. I wreszcie, po trzecie, Parker miał doświadczenie z długolufowymi armatami 76 mm z czasów

nauki w Fort Knox. Utwierdziwszy się w przekonaniu o słuszności swej decyzji, dowódca wezwał Parkera i mu ją zakomunikował.

Porucznik otworzył jedno skrzydło podwójnych drewnianych drzwi i wszedł na schody. Jego pluton zajmował dwie dwudziestopięciolóżkowe sale na drugim piętrze koszar kompanii pancernej. Zastukał do drzwi pokoju starszego sierżanta Amosa Woodrowa i razem poszli do pierwszej z dwóch sal.

- BA! - zawołał Woodrow i żołnierze pakujący swoje szafki (które mieli oddać na przechowanie do magazynów kwatermistrzowskich przed wyjazdem do Korei) wyprężyli się jak struny.

- Idź do drugiej sali i zawołaj resztę - polecił sierżant pierwszemu z brzegu żołnierzowi. Drobny szeregowy ruszył biegiem do sąsiedniej sali.

Parker uważał, że to szczęśliwy traf, że przyszło mu ruszać na wojnę z kimś takim jak sierżant Woodrow. Z wielu swoich żołnierzy nie był w pełni zadowolony, o kilku wręcz się obawiał, ale Woodrow był pierwszorzędnym podoficerem.

Starszy sierżant Amos Woodrow także cenił porucznika Parkera. Woodrow miał trzydzieści osiem lat, wiele w życiu widział, a w wojsku służył od 1942 roku. Walczył w Normandii, w 393. Batalionie Niszczycieli Czołgów, tam został ranny i trafił do szpitala, a po wojnie odsłużył turę w jedynym czarnym pododdziale Policji Armii Okupacyjnej w Niemczech, 175. Batalionie Artylerii Pancernej. Był tam dowódcą załogi i sekcji w baterii samobieżnych haubic 105 mm.

Sierżantowi podobał się styl dowodzenia porucznika.

Piątego dnia jego dowodzenia kapral Ezikiah Lavalier nazwał kaprala Franklina Roosevelta Taylora skurwysynem, kiedy kapral Taylor przypadkowo oblał go wodą z węża przy myciu czołgu lekkiego M24 Chaffee, w które wyposażona była kompania.

- No cóż, Taylor - stwierdził wtedy przy raporcie porucznik - muszę przyznać, że mnie niemile zaskoczyłeś i rozczarowałeś.

- Tak jest, panie poruczniku - odparł kapral, prężąc się na baczność.

- Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał, Taylor.

- Nie wiem, o czym pan mówi, poruczniku - powiedział kapral niepewnie.

- Nie słyszałeś, jak cię nazwał kapral Lavalier?

- A, o to chodzi. - Taylorowi ulżyło. - A nie, sir, takie tam... To nic nie znaczy. My po prostu tak do siebie mówimy.

- Aha, czyli to ci wcale nie przeszkadza, Taylor, tak? Nie masz nic przeciwko, żeby ktoś tak o tobie mówił?

- Ależ skąd, panie poruczniku. Wcale - zapewnił go kapral Taylor.

- No cóż, to chyba tylko dowodzi, jak różni są ludzie - odparł Parker. - Możesz się odmeldować.

Wieczorem w kantine podoficerskiej sierżant Thaddeus J. Quail, ważący ponad sto kilogramów podoficer kantynowy, zwrócił się do Taylora w te słowa:

- Podaj no mi trochę orzeszków, skurwysynu.

- Uważaj na słowa, czarnuchu - odparł ostro Taylor. - Nigdy mnie tak nie nazywaj!

- Kogo nazywasz czarnuchem, czarnuchu?

- Pozwól, że ci wyjaśnię, czarnuchu. Ty jesteś czarnuchem, ale ja nie jestem skurwysynem. Jasne?

Chyba nie do końca jasno się wyraził, bo sierżant Quail poczuł się obrażony i uderzył go pięścią w usta. Kiedy wreszcie żandarmeria zdołała rozdzielić obu dyskutantów i dostarczyć do pułkowego aresztu, służbę miał właśnie porucznik Parker. Podoficer dyżurny wezwał sierżanta Woodrowa.

Kiedy sierżant dotarł do aresztu, obaj uczestnicy bójki stali na baczność przed biurkiem porucznika Parkera. Kapral Taylor stracił ząb, na jego wargach widać było zasychającą krew.

- Szarzy należą się przywileje, sierżancie, więc najpierw wysłuchamy pańskiej wersji wypadków - powiedział Parker.

- Panie poruczniku - zaczął niepewnie Quail - mieliśmy małe nieporozumienie z kapralem Taylorem.

- To widać. O co poszło?

- Nazwał mnie czarnuchem, a na to nikomu nie pozwolę - w miarę wypowiedzania kolejnych słów rozpałał się coraz bardziej i dopiero po chwili przypomniał sobie, by dodać: - Sir.

- A on mnie nazwał skurwysynem - włączył się nieproszony kapral Taylor. - Od tego się wszystko zaczęło, sir.

- Czy to prawda, sierżancie? Czy naprawdę oskarżył pan matkę kaprala Taylora o utrzymywanie się z nierządu? - zapytał Parker.

- Nie to miałem na myśli, sir. Tak po prostu powiedziałem, jak to między nami...

- Co pan powiedział tak po prostu, Quail?

- Nazwałeś mnie skurwysynem i wiesz dobrze, że tak było! Inni ludzie też to słyszeli, czarnuchu!

- O, widzi pan porucznik? Znowu zaczyna.

- Termin „czarnuch” pochodzi od koloru naszej skóry. To tak samo, jakbyśmy

zaczęli mówić o wszystkich wokół „białasy”, „żółtki” i tak dalej. Nie jest to przyjemne i ja też tego nie lubię. Więcej, bardzo się denerwuję, kiedy ktoś nazwie mnie czarnuchem. Potrafię zatem zrozumieć pańskie wzburzenie, Quail. W podobnych sytuacjach mnie także ponosiły nerwy.

- Ale, sir, on mnie nazwał skurwysynem! Skurwysyn to przecież o wiele gorzej niż czarnuch, prawda?

- Owszem, to prawda - zgodził się Parker.

Zapała długa chwila ciszy, w czasie której porucznik najwyraźniej podejmował decyzję co do dalszych losów obu uczestników bójki. W końcu otworzył szufladę i wyjął z niej „Regulamin dyscyplinarny sądów wojskowych” z 1928 roku. Zajrzał do indeksu, a kiedy już miał pewność, że obaj grzesznicy zorientowali się, jaką straszliwą księgę trzyma w ręku, otworzył na odpowiednim artykule regulaminu.

- Ktokolwiek używa obraźliwego słownictwa w stosunku do innego członka sił zbrojnych, jest winien postępowania sprzecznego z porządkiem i dyscypliną wojskową - czytał powoli i dobitnie - i jako taki podlega karze wyznaczonej przez sąd wojskowy. - Spojrzał na sierżanta Woodrowa. - Sierzancie, jest pan starym żołnierzem, proszę mi pomóc rozstrzygnąć ten problem. Czy kiedy ktoś oskarża czyjąś matkę o nierząd, można to uznać za obraźliwe słownictwo?

- Jeżeli nie ma racji - odparł sierżant równie poważnym tonem, w lot pojmując intencje dowódcy - to oczywiście, że tak, sir.

- Cholera, przecież wiadomo, że to nieprawda! - wyrwało się zaszokowanemu Taylorowi.

- Ależ panie poruczniku, ja przecież tylko tak... Ja naprawdę nie... - zaczął się płatać Quail. - Zresztą Taylor przecież wie, że ja nie... A poza tym on mnie nazwał czarnuchem, a to też obraźliwe!

- Muszę się nad tą sprawą jeszcze trochę zastanowić - postanowił Parker. - Przedyskutować z sierżantem Woodrowem następstwa skierowania tej sprawy do sądu. Dopóki nie podejmę decyzji, wy dwaj macie się trzymać z daleka od siebie i od kantyny. Zrozumiano?

- Tak jest, sir! - odparli obaj chórem.

Po tej historii użycie obraźliwego słownictwa w stosunkach pomiędzy żołnierzami kompanii pancerniej 24. Pułku Piechoty drastycznie zmalało. Przynajmniej oficjalnie nie zgłaszano takich przypadków. Doszło za to do kilku bójek, którymi nie zwracano już głowy przelożonym.

Sierżant Woodrow przekonał się, że Parker ma klasę. Zainteresował się nim

i wcale go nie zdziwiło, kiedy się okazało, że Parker pochodzi z rodziny z długimi tradycjami wojskowymi, sięgającymi jeszcze Buffalo Soldiers z czasów wojen z Indianami.

Żołnierze plutonu, wszyscy Murzyni, ale w odcieniach od smolistoczarneho, jak Parker, do słabej kawy z mlekiem, wpadli do sali i ustawili się półkołem wokół dowódcy.

- BAAczność! - zawołał ponownie Woodrow.

Kiedy się już ustawili i zamilkli, Parker dał „spocznij”.

- Spróbujcie się skupić - powiedział Parker, rozglądając się po twarzach żołnierzy. - Mam dla was wiadomości.

Na żołnierzach nie zrobiło to większego wrażenia. Co najmniej czterech z nich było zresztą wyraźnie pijanych.

- Hej, poruczniku - zawołał nagle jeden z dowódców czołgu, wskazując na kaburę przy pasie Parkera - skąd pan wziął tę armatę?

- Mój dziadek miał go we Francji w czasie pierwszej wojny światowej - odparł spokojnie Parker.

- Kiedy rozładowywał statki? - dołączył się drugi wesołek.

Parker nie wiedział go, ale rozpoznał głos. Sierżant Sidney zdążył sobie wyrobić reputację niestrudzonego poszukiwacza kłopotów.

- Proszę stanąć na baczność, sierżancie, kiedy pan do mnie mówi.

Z ociąganiem, niemal na granicy drwiny, Sidney powoli stanął prosto i położył dłoń na biodrach.

- Wasza ignorancja wcale mnie nie dziwi, sierżancie Sidney. Mimo to zajmę wam wszystkim trochę czasu, w którym moglibyśmy zrobić coś bardziej pożytecznego, i wyjaśnię coś, co pan, sierżancie, powinien już wiedzieć. Mój dziadek był kapitanem 369. Pułku Piechoty, który walczył pod Chateau Thierry. Za swoją postawę w tych walkach otrzymał francuski Croix de Guerre. Pułk, złożony w całości z czarnych żołnierzy, został nagrodzony Prezydencką Pochwałą za Wybitną Służbę. W tym pułku byli żołnierze, a nie dokerzy. Nikomu nie pozwolę ich obrażać, a już zwłaszcza komuś takiemu jak pan. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

Sierżant milczał.

- Zadałem pytanie i oczekuję odpowiedzi. Czy wyraziłem się jasno, sierżancie? - W głosie Parkera pobrzmiwała groźba, choć zachowywał spokój.

- Tak jest, sir - odparł wreszcie po chwili Sidney.

- Od tej chwili nie będzie pan otwierał ust bez mojego pozwolenia - powiedział Parker i odczekał chwilę, żeby rozkaz wrył się podoficerowi w pamięć. - Spocznij, sierżancie.

W sali panowała absolutna cisza.

- W Osace czekają na nas czołgi średnie M4A3 z długolufowymi armatami 76 mm. Otrzymałem zapewnienie, że jeśli te czołgi trafią do 24. Pułku Piechoty, to obejmie je mój pluton. Kto w plutonie poza sierżantem Woodrowem ma doświadczenie w obsłudze M4?

Uniosło się dwanaście rąk, w tym ręka sierżanta Sidneya.

- Jak dobrze zna pan Shermana, Sidney?

- Skończyłem szkolenie w Fort Knox, sir.

- W porządku. Za godzinę przed koszary podjedzie autobus. Proszę sporządzić listę ludzi z doświadczeniem na M4. Osoby z tej listy mają być gotowe do wyjazdu, kiedy przyjedzie autobus.

- Ale, sir, obiecano nam dziś wolny wieczór, zanim wsiądziemy jutro na statek - odezwał się znowu Sidney.

- Jutro będziecie w Osace. Jedziemy dziś wieczorem.

- Muszę się pożegnać z dziewczyną, panie poruczniku.

- Przykro mi, nie będzie na to czasu. Musimy pojechać do Osaki, odebrać te osiem czołgów, zapakować na statek i dogonić pułk w Korei.

Sidney nic nie odpowiedział, ale Parker czuł, że coś się w nim gotuje. Na razie nic na to jednak nie mógł poradzić.

- Mamy zdać nasze M24 pozostałym plutonom na części zapasowe. Teraz mogę odpowiadać na wasze pytania, ale uprzedzam, że nie wiem wiele więcej, niż wam powiedziałem.

Kiedy godzinę później pod koszarami zatrzymał się autobus, sierżanta Sidneya nie było na zbiórce i nikt nie mógł go znaleźć.

- Panie poruczniku, zgłośmy go jako dezertera - pieklił się Woodrow. - Żandarmeria go zwinie i dostanie pół roku kicia.

- O, jestem pewien, że sierżant Sidney byłby szczęśliwy, gdyby mógł spędzić pół roku w więzieniu zamiast pod kulami w Korei.

Parker czuł się jak idiota. Miał do siebie żal, że tego nie przewidział i nie zrobił nic, żeby temu zapobiec.

- Jaki będzie z niego pożytek w Korei, panie poruczniku?

- Szkolił się na Shermanie, sierżancie. Potrafi pan go znaleźć?

- Tak jest, panie poruczniku. Chyba wiem, gdzie go szukać, sir.

- Miałbym wyrzuty sumienia, rujnując karierę tak doskonałego podoficera jak sierżant Sidney z tak błahego powodu jak spóźnienie na statek wiozący go na front. Czy potrafi mu pan to wyjaśnić, sierżancie Woodrow?

- Czy mogę prosić o pozwolenie na udzielenie tej odpowiedzi poza formami służbowymi, panie poruczniku?

- Proszę bardzo.
— Wrzucę skurwysyna na ten statek, choćbym miał pierdolonemu czarnuchowi nogi z dupy powyrywać, sir.
— I tak trzymać, sierżancie. Tak trzymać.

III

1

Nowy Jork
10 lipca 1950

Widok szofera Andre Pretiera czekającego na niego za szklaną ścianą przejścia granicznego na lotnisku LaGuardia bynajmniej nie zaskoczył Craiga W. Lowella. Zdziwił się dopiero, kiedy szofer powiedział mu, że pan Pretier czeka w limuzynie.

Andre Pretier był mężem jego matki. Nie jego ojczymem. Pobrali się, kiedy Craig został powołany do wojska na początku 1946, niedługo po wyrzuceniu z Uniwersytetu Harvarda. Podczas gdy szofer zajął się jego bagażem, Craig wyszedł przed budynek poszukać samochodu.

Długi, czarny chrysler LeBaron zaparkowany był w strefie ścisłego zakazu parkowania, tuż pod znakiem informującym, że parkujące tam pojazdy będą odholowywane. Za szybą spoczywała tabliczka z herbem stanu Nowy Jork i słowami POJAZD SŁUŻBOWY. Craig zastanawiał się, czy Pretier rzeczywiście sprawuje jakiś honorowy urząd, który załatwił mu jakiś uczynny polityk ze zobowiązaniami, czy też on albo jego szofer wożący go od ćwierć wieku, świsnęli ją skądś i używali bezprawnie. To ostatnie mogłoby im zresztą ująć płazem, bo komuś, kto zajeżdża na miejsce objęte zakazem parkowania limuzyną z nadwoziem robionym na zamówienie, policjanci zadają znacznie mniej pytań niż zwykłemu śmiertelnikowi.

Pierwszy Pretier przybył do Ameryki ze sztabem markiza Lafayette'a w czasie wojny o niepodległość. Po wojnie został i założył firmę armatorską, a potem importowo-eksportową, która położyła podwaliny pod fortunę amerykańskich Pretierów. Andre Pretier studiował na Harvardzie wraz z ojcem Craiga. Obaj zakochali się w tej samej kobiecie, która w końcu została żoną Lowella i matką Craiga. Stara miłość jednak nie zardzewiała i kiedy ojciec Craiga zmarł, dokładnie w rok i dzień

po pogrzebie rywala Pretier poprosił ją o rękę.

Kiedy Craig Lowell wszedł do samochodu, Andre Pretier pochylił się ku niemu na pokrytym welurem siedzeniu i podał rękę na przywitanie.

- Nie oczekiwałem takiego powitania - przyznał się Craig. - Dziękuję, Andre.
- Musieliśmy odesłać twoją matkę do Hartford.

O, cholera, tylko tego jeszcze brakowało. Wiedział doskonale, co się mieści w Hartford. Instytut Życia, prywatna klinika psychiatryczna.

Pretier podał Craigowi kryształową koniakówkę bez nóżki.

- Bardzo źle z nią?

Pretier bezradnie rozłożył ręce.

- Nie potrafiła sobie poradzić z emocjami.
- A co ja niby miałem w tej sytuacji robić, Andre?! Kazać teściowi wracać na Syberię?!

- Nie przypuszczam, żeby ta sprawa miała z tym jakimkolwiek związek - odparł spokojnie Andre, nie zważając na wybuch młodego człowieka.

Lowell pomyślał po raz nie wiadomo który, że tak naprawdę nie lubi męża swojej matki właśnie dlatego, że nikt nie jest w stanie go obrazić.

- No to co się stało?

Pretier raz jeszcze rozłożył ręce.

- Naprawdę nie mam pojęcia. Miała... hmm, miała atak w mieście.
- Coś spektakularnego?
- Obawiam się, że tak. Zabrali ją wtedy do Bellevue.
- A teraz już jej lepiej?

Pretier skinął głową.

- Pomyślałem, że masz dość własnych problemów. Inaczej bym zadzwonił od razu.

- Chyba nie zaczęła o mnie pytać?
- Aż do dzisiaj podawano jej silne środki uspokajające.
- Do dzisiaj? Ze względów medycznych czy dlatego, że ja miałem przyjechać?

- Z obu powodów.
- I co, uważasz, że powinienem do niej pojechać, tak?
- Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś to zrobił. Lekarze twierdzą, że to może mieć na nią dobry wpływ.

Jasna cholera, jak się z tego wykręcić? Zwłaszcza kiedy ktoś tak stawia sprawę. Żaden porządny amerykański chłopiec nie byłby w stanie odmówić złożenia wizyty

u matki w wariatkowie - wizyty, która według opinii lekarzy dobrze na nią wpłynęła. I jeszcze można sobie przy tym zaskarżyć dozągną wdzięczność męża, który cierpi w milczeniu u jej boku.

- Jasne. Kiedy?

- Pomyślałem, że nie będziesz się chciał tłuc pociągiem, i wynajęłam ci samolot.

- To bardzo miło z twojej strony, Andre - odparł Craig i dolał sobie koniaku z butelki stojącej w otwartym barku.

Jego matka, wysoka, chuda, siwowłosa kobieta, nie wydawała się specjalnie zachwycona tym, że zadał sobie trud i przyleciał do Hartford. Nie zadała też żadnych, poza zdawkowymi, pytań na temat tego, co zdarzyło się w Niemczech i we Francji.

- Mówisz, że to hrabia? Coś takiego słyszałam.

- Tak, mamó. To arystokrata.

- I pewnie stracił wszystko na wojnie, więc będziemy go musieli utrzymywać?

- Nie, mamó. Rodzina pochodzi z Marburga, a to jest w Hesji, w strefie amerykańskiej. Hrabia nie był nazystą, więc nikt nie skonfiskował jego majątku.

- No cóż, zobaczymy - zamknęła temat.

Wyraźnie nie spodobało jej się, że ojcu tej niemieckiej zdziury, którą jej synalek przywłócił z Europy, nie chodzi o pieniądze.

Craig przemógł opór, jaki wzbudziło podtrzymywanie tej dyskusji z chorą kobietą, która mogła od tego dostać następnego ataku, i wrócił do sprawy.

- Właściwie przyjechałem tu głównie w sprawie odzyskania jego aktywów w Stanach. Dał mi swoje pełnomocnictwo.

- A co on tu ma za aktywa?

- Te, które rząd skonfiskował mu jako obywatelowi wrogiego państwa na mocy ustawy z grudnia 1941 roku. Trochę pieniędzy, trochę papierów wartościowych, trochę dzieł sztuki.

- I naprawdę myślisz, że rząd mu je odda?

- Tak w każdym razie mówią adwokaci.

- No cóż, zobaczymy. - Tym razem temat został zamknięty na dobre.

Było już po dziesiątej, kiedy dotarł do swojego domu na Washington Mews, prywatnej ulicy koło Washington Square w Greenwich Village. Andre proponowałmu nocleg w Broadlawns na Long Island, olbrzymiej posiadłości, którą Craig odziedziczył po ojcu, a teraz wynajął Pretierom. Wynajął, bo Andre odmówił mieszkania tam za darmo. Lowell odmówił. Chciał jak najszybciej wrócić do domu, który

uważał za swój, który urządziła Ilse, spać w ich łóżku, by chociaż w ten sposób być bliżej niej.

W domu przy Washington Mews 11 nie było nikogo, gdyż na czas wyjazdu do Europy dał służbie urlop. Musiał więc teraz sam dokonać skomplikowanego rytuału otwierania drzwi, po którym czekał go sprint do sypialni na piętrze, gdzie drugim kluczem trzeba było wyłączyć alarm, zanim uruchomią się dzwonki w agencji Pinkertona i na miejscowym posterunku policji. Gdyby spóźnił się choć o sekundę, całą okolicę obudziłyby syreny tuzina wozów policyjnych, śpieszących, by ująć złodziei w jego domu.

Zdażył go wyłączyć i wrócił na dół, by zabrać walizkę porzuconą w holu, a także pocztę, którą biegnąc na górę, dostrzegł na podłodze pod drzwiami.

Podniósł walizkę, zebrał pięć czy sześć listów, które po drodze rzucił na stolik, nawet nie zaglądając do środka, i żółtą kopertę z telegramem. Już miał ją cisnąć na stół w ślad za listami, kiedy pomyślał, że to może wiadomość od adwokatów, którzy prowadzili w Nowym Jorku sprawę jego teścia.

Odstawił walizkę i otworzył kopertę. To nie był telegram od adwokata.

WASZ. (SŁUŻB.) 7 LIPCA 1950
KPT. CRAIG W. LOWELL 0-495302
WASHINGTON MEWS 11, NOWY JORK

PRZEKAZAĆ TELEFONEM I DOSTARCZYĆ

Z ROZKAZU PREZYDENTA MA PAN ZAMELDOWAĆ SIE W PORT GEORGE G. MEADE W STANIE MARYLAND NIE PÓŹNIEJ NIŻ 12 LIPCA 1950 O GODZ. 24.00 W CELU PODJĘCIA NA CZAS DO ODWOŁANIA CZYNNEJ SŁUŻBY WOJSKOWEJ W ZWIĄZKU Z OPERACJA POKOJOWĄ W KOREI

EDWARD P. WITSELL
GENERAŁ MAJOR

Trzeci pluton kompanii pancernej 24. Pułku Piechoty rozładował się z USNS* Private Albert Ford w Pusan w cztery dni po przybyciu reszty kompanii.

Porucznik Parker miał przeczucie, że w tej akcji policyjnej, demonstracji siły czy czymkolwiek, co ich tu czeka, będzie bardzo samotny. Rysujące się przed nim perspektywy niepokoiły go, ba, przepełniały strachem. Nigdy nie wahał prochu na polu bitwy, nigdy nie wydał rozkazu, od którego zależało czyjeś życie lub śmierć. Jeśli chodzi o walkę, Parker był kompletnym prawiczkim, zupełnie jak cała reszta kompanii z bardzo niewielkimi wyjątkami.

Z drugiej strony doskonale wiedział, czego się może spodziewać po wojnie i jak nieprzewidywalnie reagują na nią ludzie. Nieraz słyszał opowieści o twarzyczkach, którzy na polu walki nie byli w stanie zapanować nad strachem - i jeśli nie załamali się kompletnie, to w każdym razie nie potrafili myśleć jasno, i to kosztowało życie wielu porządnym ludzi. Nieraz myślał, czy właśnie jemu się to nie przytrafi.

Pewne było, że jego szkolenie było tak kompletne, jak tylko jest to możliwe w wypadku młodszego oficera. Podobnie jak jego ojciec, ukończył akademię w Norwich, niewielką szkołę, mało znaną poza stanem Vermont i kręgami związanymi z wojskiem. Norwich od ponad wieku zasilalo armię oficerami kawalerii. Dziwnym zbiegiem okoliczności promocja na stopień podporucznika odbywała się w tej szkole tego samego dnia co w West Point, tak samo jak zupełnym przypadkiem było, że jej rektorami bywali od zawsze emerytowani generałowie kawalerii po West Point. Oczywiście to, że na wydziale nauk wojennych Norwich obowiązywały takie same kryteria i program jak w West Point, także było zbieżnością całkiem przypadkową.

Dzenteleńska umowa trwała od czasu, kiedy komendantem West Point był Sylvanus Thayer. W jej myśl kawaleria, zarówno w mundurach, jak i bez (w mundurze czy bez, od czasu gdy pierwszy wojownik wsiadł na konia, kawaleria zawsze była dla możnych i bogatych), nie wchodziła w drogę saperom i piechocie z West Point, w zamian za co absolwenci West Point, w mundurach czy bez,

* USNS - United States Navy Ship - Statek Marynarki Stanów Zjednoczonych, skrót oznaczający nieuzbrojoną jednostkę pomocniczą floty (przyp. tłum.).

uznawali kawalerzystów absolwentów Norwich za równych sobie pod względem merytorycznym i pilnowali, by awansowali regularnie.

Podobne porozumienia łączyły West Point z Citadel (co zapewniało spory odsetek południowców wśród oficerów regularnej armii) i Texas Agricultural and Mechanical College (co z kolei zapewniło dostęp Aggies, czyli absolwentom uczelni rolniczej, do wyższych sfer artylerii i korpusu oficerów rezerwy). Stosunki łączące Akademię z tymi dwiema szkołami są znane dużo lepiej niż z Norwich, a to z tej prostej przyczyny, że datują się z dużo późniejszych czasów i są wciąż przedmiotem dyskusji. Więż Akademii z Norwich zaś jest po prostu faktem i nie ma o czym dyskutować.

Po ukończeniu Norwich i wstąpieniu do służby czynnej podporucznik Parker uczęszczał na Podstawowy Kurs Oficerów Wojsk Pancernych w Fort Knox, w stanie Kentucky. Ukończył je „z najwyższym wyróżnieniem”, będąc prymusem swojego rocznika, ale w sensie towarzyskim nie można ich było uważać za początek jego kariery. Więcej, to była kompletna katastrofa.

Pokój w hotelu oficerskim (a właściwie apartament, jako że były to dwa pokoje, połączone wspólną łazienką i toaletą) dzielił z podporucznikiem, który miał nadprzyrodzony dar zrażania do siebie przełożonych. Nie był absolwentem West Point, nawet nie ukończył podchorążówki czy szkoły oficerów rezerwy. Do wojska trafił, kiedy wyrzucono go ze studiów, a nadal obowiązywała ustawa o poborze. Nazywał się Craig W. Lowell.

Parker wiele rozmyślał o Lowellu, odkąd zaczęła się ta cała heca z Koreą. Craig był już od dawna cywilem, pracował w rodzinnej firmie w Nowym Jorku. Parker zastanawiał się, czy w związku z mobilizacją oficerów rezerwy także i jego powołano z powrotem do wojska. Skłaniał się ku myśli, że raczej nie. Uważał, że to szkoda i marnotrawstwo. Wątpił, by był w stanie zachowywać się w Korei równie dobrze jak Lowell w Grecji.

Nikt się nie spodziewał, że z Lowella będzie dobry żołnierz, a tym bardziej oficer, aż tu nagle, jak grom z jasnego nieba, spadła na nich wiadomość, że król Grecji odznaczył go drugim w hierarchii greckich orderów odznaczeniem za odwagę. Kiedy przeczytano jego uzasadnienie, Lowell z dnia na dzień stał się bohaterem szkoły. Jeśli chodzi o niego, sytuacja była zupełnie inna. On był absolwentem Norwich, po nim wszyscy się spodziewali, że stanie na wysokości zadania, a może nawet spełni je, wyróżniając się w boju, jak przystało na syna absolwenta Norwich, który przez całą kampanię w Afryce Północnej i Europie dowodził batalionem

niszczycieli czołgów, wnuka kapitana, dowódcy kompanii 369. Pułku Piechoty z poprzedniej wojny, i prawnuka starszego sierżanta, który walczył w 9. Pułku Kawalerii z Indianami, a potem, w czasie wojny hiszpańskiej szarżował na Kettle Hill wraz z kawalerzystami Teddy'ego Roosevelta. Philip Sheridan Parker IV nie był tego pewien i powtarzał sobie, że będzie całkiem usatysfakcjonowany, jeśli przy pierwszej potyczce nie narobi w gacie i nie ucieknie.

3

Kiedy pluton rozładowywał się w porcie w Pusan, sierżant Sidney był obecny na zbiórce, choć uskarżał się na bóle, spowodowane upadkiem pod prysznicem. Wypadek ten jednak miał także swoje pozytywne następstwa - sierżant wydawał się chętny do wykonywania wszelkich otrzymanych poleceń. Parker polecił mu więc raz jeszcze sprawdzić karabiny maszynowe w czołgach i broń osobistą żołnierzy, by upewnić się, że wszystko jest w porządku.

Rozładunek czołgów ze statku trwał około dwóch godzin, kolejną zajęło uzupełnienie paliwa i załadunek amunicji. Parker dowiedział się, że amunicja do jego armat czołgowych znajduje się w magazynie położonym przy kei, na której rozładowywano ich statek. Skoro nie trzeba było po nią daleko jeździć, a istniały powody, by przypuszczać, że potem z zaopatrzeniem mogą być kłopoty, porucznik kazał pobrać jak najwięcej skrzyń z amunicją i umieścić je na pancierzach czołgów.

W czasie rozładunku sierżant Woodrow zniknął gdzieś na pół godziny, a kiedy pojawił się znowu, przyprowadził ciężarówkę GMC z napędem na wszystkie trzy osie i ambulans na podwoziu dodge'a, z zamalowanymi znakami Czerwonego Krzyża na burtach. Na zderzakach widniały oznaczenia kompanii sztabowej 25. Pułku Piechoty, które jednak po chwili zniknęły pod warstwą smaru przekładniowego i piasku. Kiedy kolumna pojazdów plutonu ruszyła z nabrzeża, tuż za dwoma pierwszymi czołgami jechały już w niej obie ciężarówki, wyładowane do granic możliwości amunicją kalibru 76 mm.

Pięć godzin później za zakrętem wąskiej, bitej drogi kolumna porucznika Parkera odnalazła dowództwo pułku. Kwatera dowództwa składała się z namiotu rozbitego przy drodze, by chronić oficerów od słońca, a wokół zaparkowane były pojazdy kompanii dowodzenia, okryte czymś, co od biedy mogło ująć za kamuflaż.

Obok stał czołg M24 Chaffee i Parker pomyślał, że to dobry znak. Być może

dowódca kompanii pancernej był właśnie w dowództwie.

Ale nie było go. A to był jedyny czołg, który ocalał z pozostałych dwóch plutonów kompanii pancernej.

- Zameldowałem już do dywizji, że kapitan Meadows i inni zaginęli, prawdopodobnie zginęli lub dostali się do niewoli - powiedział mu z kwaśnym uśmiechem dowódca pułku. - W rzeczywistości jednak mam wiarygodne informacje, że widziano go wraz z kilkoma innymi oficerami i mniej więcej siedemdziesięcioma podoficerami i żołnierzami w drodze do Pusan. Pieszko.

- Nie rozumiem, panie pułkowniku.

- Chciałem przez to powiedzieć, że pan kapitan i reszta dali nogę, zabrali dupę w troki czy uciekli, jak pan woli, panie poruczniku. Czy teraz wyraziłem się dostatecznie jasno?

- Jakie ma pan dla mnie rozkazy, sir?

- Proszę udzielić wszelkiego możliwego wsparcia trzeciemu batalionowi - powiedział pułkownik, odwracając się do mapy rozłożonej na masce jeepa. - Ostatnie meldunki mówią, że znajduje się gdzieś tutaj. - Palcem zakreślił na mapie koło. Miało to dziesięć kilometrów średnicy.

Pułkownik był najwyraźniej na granicy załamania. Widać było, że nie spodziewa się po Parkerze wykonania rozkazu. Więcej, że choć może nie oczekuje po plutonie porucznika, że pójdzie w ślady swoich poprzedników, to w każdym razie nie będzie zdziwiony, jeśli do tego dojdzie.

- Rozumiem, panie pułkowniku, że mam rozkaz utrzymać linię obrony?

- Taki ma pan rozkaz, poruczniku.

Parker zasalutował i wrócił na drogę. Wdrapał się do swojego Shermana, włożył hełm i słuchawki, dopasował mikrofon i rozejrzał się dokoła.

Nie był to budujący widok. Kilka czołgów z wystraszonymi, niedoświadczonymi i niedoszkolonymi murzyńskimi załogami. I na czele tej garstki miał się przeciwstawić cała północnokoreańska armia? Absurd. Dadzą się pozabijać albo zwieją jak tamci.

I wtedy przyszła mu do głowy inna myśl. Że to przecież nie pierwszy raz garstka Murzynów staje przeciw siłom przeciwnika, które przerastały je zarówno liczebnością, jak i umiejętnościami bojowymi. Sierżant Parker z 9. Pułku Kawalerii walczył w takich warunkach z Apaczami Chiricahua i dożył szarż na Kettle Hill i San Juan. Problem polegał tylko na tym, że jeśli popełni błąd, jeśli nie zachowa się tak, jak tego wymaga jego rodowód i wyszkolenie, to zginie nie tylko on, ale i jego ludzie.

Do cholery z takimi myślami! Lepiej zginąć w walce niż podczas ucieczki.

Wcisnął przełącznik radiostacji.

- Uruchomić silniki. Ładuj broń. Armaty przeciwpancernym ładuj. Przeciw-
nik jest półtora kilometra stąd.

Bał się. Położył rękę na drewnianych okładzinach rękojeści swojego rewolwe-
ru. A więc to tak wygląda? Idzie się w bój, nawet nie wiedząc, co i jak robić? Czy
ojciec, dziadek i pradziadek też tak zaczęli?

- Kierowco, naprzód - powiedział do mikrofonu.

Poczuł, jak czołg szarpnął i ruszył do przodu.

Za następnym zakrętem napotkali grupę żołnierzy wracających na piechotę z
kierunku, w którym jechali. Ludzie szli obiema stronami drogi, nie zwracając zu-
pełnie uwagi na nadjeżdżające czołgi. Kiedy się z nimi zrównali, Parker kazał
zwolnić i podniósł do oczu lornetkę. Nie widział nic poza lekką mgłą, która mogła
być dymem z eksplozji pocisków - ale mogła też być po prostu dymem, i kropka.

Porucznik, który szedł wraz z piechotą, pomachał do nich. Parker kazał się za-
trzymać i porucznik wspiął się na pancierz, z trudem pokonując zwały skrzynek z
amunicją, umocowane na przedniej płycie.

- Zawracaj, człowieku - powiedział z przerażeniem w oczach. - Oni są tuż za
nami.

- Nikogo tam nie widać.

Porucznik odwrócił się i raz jeszcze spojrzął za siebie.

- Pułkownik kazał mi wzmocnić wasze pozycje - powiedział Parker. - Posiłki
są w drodze. My idziemy w straży przedniej.

- Ja tam nie wracam.

- Powiedz swoim ludziom, żeby siadali na czołgi. Musicie nam pokazać dro-
gę.

Porucznik popatrzył na niego rozszerzonymi z przerażenia oczyma.

- No już, każ im wsiadać - powtórzył Parker, starając się nie podnosić głosu. -
Wszystko będzie dobrze.

Przez chwilę wydawało mu się, że wygrał. Ale tylko przez chwilę.

- Pierdol się - powiedział porucznik.

Nie było w tym złości, raczej determinacja człowieka, który podjął decyzję.
Odwrócił się i zanim Parker zdolał go złapać, zeskoczył z czołgu.

Wokół wozu zebrała się grupa jego ludzi, czekając na wynik konfrontacji. Po-
rucznik, nie zwracając już uwagi na nikogo, ruszył dalej drogą. Parker wyjął

z kabury Colta, odwiódł kurek i wystrzelił w powietrze.

Ogłuszający huk rozdarł powietrze. Porucznik zatrzymał się i spojrzał na niego.

- Każ swoim ludziom wsiadać na czołgi - rozkazał Parker.

Tamten patrzył na niego przez dłuższą chwilę, po czym powoli odwrócił się i ruszył dalej przed siebie.

Strzelę mu pod nogi, pomyślał Parker. Kiedy jednak opuszczał rewolwer, wiedział już, że to nic nie da. Jeśli do tej pory nie zdecydował się wracać, to już nic z tego nie będzie. Wycelował w plecy porucznika i pociągnął za spust. Poczul odrzut starego rewolweru i zobaczył, jak tamten rozrzuca ręce i pada w kurz na poboczu. Próbował się jeszcze podnieść, ale po chwili upadł bezwładnie i znieruchomiał.

Parker odwrócił się do grupki żołnierzy i wyłowił wzrokiem podoficera.

- Sierzancie, proszę rozkazać swoim ludziom wsiadać na czołgi. Od tej pory ja będę wami dowodził.

Sierzant nie ruszył się ani na krok. Parker tymczasem próbował wcelować swoim rewolwerem do kabury, ale mu się nie udało. Usłyszał metaliczny łoskot, kiedy ważąca ponad kilogram broń upadła na podłogę kosza wieży. Jasna cholera! Drżącymi rękami złapał za tylce zamontowanego na wieży Browninga.50 i trochę niezgrabnie naprowadził jego lufę na grupę piechoty. Szarpnął dwukrotnie rączkę zamka, wprowadzając pierwszy nabój do komory.

- Niech pan każe im wsiadać, sierzancie!

- No dobra, już dobra! - Sierzant uniósł ręce. - Wsiadać! - zawołał do swoich żołnierzy. - Wszyscy na czołgi!

Parker wcisnął włącznik mikrofonu.

- Mówi dowódca. Jeżeli którykolwiek zeskoczy, zastrzelić na miejscu. Naprzód!

Jakieś siedemset metrów dalej natknęli się na opuszczone pozycje obronne. Pozostało na nich najwyżej dwudziestu ludzi. Do nadjeżdżających czołgów podbiegł inny podoficer.

- Jest tu jakiś oficer? - zapytał Parker.

- Nie ma, sir. Uciekł.

- To znaczy, że pan tu dowodzi?

- Na to wychodzi, sir.

- Proszę wziąć tych ludzi - wskazał piechotę na czołgach - i zrobić z nich dobry użytek. A gdyby któryś opuścił pozycję bez rozkazu, strzelać natychmiast.

Sierżant, szczupły, żylasty Murzyn z dziobatą twarzą, stanął na baczność i za-salutował.

- Tak jest, sir.

- Dopilnuję, żeby pana za to odznaczyli, sierzancie. - Sięgnął do włącznika mikrofonu. - Woodrow, niech pan rozmieści czołgi na pozycjach obronnych.

- Tak jest, sir.

- Kierowco, sto metrów naprzód, do tego wraka. Rozejrzemy się w sytuacji.

Nie było odpowiedzi. Parker zajrzał do wnętrza czołgu i zobaczył, że kierowca podaje mu upuszczony rewolwer.

- Naprawdę pan zastrzelił tego sukinsyna, sir? - zapytał. Parker popatrzył na niego przez chwilę, po czym skinął głową.

- Wracaj na miejsce. Sto metrów naprzód, chcę się rozejrzeć.

- Tak jest, sir! - Mechanik-kierowca zniknął we wnętrzu czołgu, a po chwili w słuchawkach rozległ się jego głos: - Ruszamy, panie poruczniku.

- Zwiadowca naprzód - mruknął na wpeł do siebie Parker.

- Tą pieprzoną drogą, panie poruczniku? - upewnił się mechanik.

- Tą pieprzoną drogą.

Sto metrów dalej nadal nic nie było widać. Za następnym zakrętem natomiast spotkali sześć czołgów lekkich M24. Pięć stało przodem do frontu w półkołu, szósty tyłem.

- Mogą być zaminowane - kierowca wyraził głośno myśl, która w tej samej chwili przyszyła Parkerowi do głowy.

- Może tak, a może nie. Może je tu po prostu zostawili i zwiali. - Zastanowił się przez chwilę, po czym znowu wcisnął włącznik mikrofonu. - Gdyby ktoś zaczął strzelać, odpowiedz ogniem. Idę obejrzyć te czołgi.

Dźwignął się z włazu wieży, zszedł po gąsienicy na ziemię i pobiegł do najbliższego Chaffee, tego obróconego w tył. Włazy były otwarte, ale wóz nie nosił śladów żadnych uszkodzeń. Wdrapał się na pancierz, zajrzał do włazu mechanika. Potem przeszedł do tyłu i spojrzął do wieży. W parkach amunicyjnych połyskiwały łuski naboju armatnich, karabiny maszynowe były załadowane i odbezpieczone. Wskoczył na miejsce kierowcy i spróbował zapalić silnik. Rozrusznik zawył, ale silnik nie zaskoczył. Pewnie zabrakło paliwa, pomyślał Parker. Ale nie, wskaźnik pokazywał ponad połowę zbiornika. Więc pewnie przewód się zatkał, doszedł do wniosku. Dość się przyglądał pracy mechaników, by wiedzieć, gdzie i czego szukać. Po kilku minutach grzebania raz jeszcze nacisnął starter i tym razem silnik zaskoczył od razu. Przez chwilę pracował nierówno, strzelał i prychał, ale w końcu

wyrównał. Wrzucił bieg i podjechał do swojego czołgu. Zatrzymał się, wyskoczył i wszedł na Shermana.

Kazał wysiadać ładownicemu i celownicemu. Celowniczego posadził w Chaffee i wysłał do reszty plutonu, by powiedział sierżantowi Woodrowowi, żeby przysłał czterech ludzi, którzy umieją prowadzić M24.

- Zawsze chciałeś dowodzić czołgiem - powiedział ładownicemu, najmłodszemu w hierarchii załogi. - No to teraz masz swój czołg. - Wskazał pozostałe Chaffee. - Wybierz sobie któryś i jest twój.

- Jezu, sir... - Ładowniczy był zaskoczony i lekko przerażony odpowiedzialnością, jaka nagle na niego spadła.

- No już, zasuway. Chyba nie oddamy tych czołgów wrogowi, nie?

- Nie, panie poruczniku! - odparł ładowniczy, zasalutował i pobiegł w kierunku wozów.

Parker wsiadł do wieży i opuścił się na opuszczone siodełko celowniczego. Włożył jego hełm i wyregulował laryngofon.

- Kierowco, przejmujesz dowodzenie czołgiem. Strzelec-radio do wieży, będziesz ładował, zanim wróci reszta.

Przyłożył głowę do naczółka przy celowniku i przycisnął oko do gumy okularu. Obejrzał dokładnie przedpole, obracając wieżę w całym sektorze ostrzału, ale niczego nie zauważył.

Kwadrans później pojawił się pierwszy M24 z załogami pozostałych czołgów. Pięć minut później wszystkie przejechały koło jego Shermana, kierując się na pozycję obronną plutonu. Parker raz jeszcze spojrzał w celownik i już miał się podnieść, gdy kątem oka zauważył jakiś ruch. Przyjrzał się uważnie i po chwili wyraźnie widział sylwetki przemykające się przez pole ku drodze, a potem posuwające się rowami po obu jej stronach w ich kierunku.

Sięgnął do włącznika mikrofonu.

- Kierowco, piechota przed nami. Strzelę do nich z armaty. Jak tylko usłyszysz strzał, zawracasz i bierzemy dupę w troki.

- Tak jest, sir.

Parker wycelował armatę. Załadowana była wprawdzie przeciwpancernym kumulacyjnym, a nie odłamkowym, ale nie było czasu bawić się w przeładowywanie. Nawet jeśli nie wyrządę im wielkiej krzywdy, to przynajmniej wystraszę, pomyślał. Naprowadził grot środkowego trójkąta siatki na betonowy przepust pod drogą i wcisnął przycisk spustowy. Pocisk przeleciał tuż nad przepustem i wybuchł na zboczu około pięciuset metrów dalej. Czołg szarpnął, obrócił się na gąsienicy i ruszył w kierunku pozycji obronnej.

Klnąc własną głupotę (celownik był przecież zgrany na pięćset metrów, a on miał nie więcej niż dwieście do celu i dlatego pocisk zgórował), Parker wy dostał się z miejsca celowniczego i próbował w pędzącym po wertepach czołgu wejść na swoje miejsce w górnej części wieży. Udało mu się to wreszcie, ale po drodze poobcierał sobie do krwi dłoń i kolana, objając się o wystające elementy wewnątrz wieży. Stał w końcu na swoim siedzeniu, złapał tylce Browninga i obrócił wieżę działem do tyłu. Zanim jednak skończył obrót, przejechali zakręt i już nie miał do czego strzelać.

Wrócił na pozycję, gdzie zostawił resztę plutonu, i przypomniał sobie, że właściwie nadal nie wie, po co mu te Chaffee. Próbował zapytać dowództwa pułku, co ma z nimi zrobić, ale na żadnej częstotliwości nie mógł się z nimi połączyć.

Podszedł do czołgu Sidneya. Sierżant siedział na wieży, z nogami spuszczo- nymi po obu stronach działa.

- Sidney, niech pan bierze jeden z tych M24 i jedzie do dowództwa pułku. Proszę powiedzieć pułkownikowi, że mamy ich sześć, i zapytać, co mamy z nimi zrobić. I niech pan spyta o przydział częstotliwości.

Sidney patrzył na niego, jakby był bardzo śpiący. Bez słowa skinął głową i ze- skoczył z czołgu. Parker uznał, że daruje sobie na razie przypomnienie mu, że dostał rozkaz i powinien na niego odpowiedzieć: „Tak jest, panie poruczniku”. Na to też przyjdzie czas.

Dwadzieścia minut później na pozycję podjechał jeep, z którego wysiadł sam dowódca pułku.

Parker zszedł z czołgu, podszedł do jeepa i zasalutował.

- Skąd ma pan te czołgi, poruczniku? - zapytał pułkownik.
- Znalazłem je na drodze, sir. Stały opuszczone. Jeżeli mam je objąć, będę po- trzebował załóg.
- A co to za ludzie? - zapytał znowu pułkownik, nie udzielając odpowiedzi na temat załóg.
- Chyba z pierwszej kompanii, sir.
- To by się zgadzało. Jadąc tutaj, widziałem ciało dowódcy pierwszej kompa- nii.

Parker dopiero po chwili zrozumiał, że pułkownik mówi o oficerze, którego zastrzelili.

- Nie ma tu żadnego innego oficera, poruczniku?
- Nie, sir.
- No dobra. Nie mam panu nic więcej do zakomunikowania, ale postaram się dać panu znać, kiedy będziemy się dalej wycofywać. To znaczy - poprawił się - jeśli będziemy się dalej wycofywać.
- Tak jest, sir.

- A tymczasem niech pan robi, co w pana mocy. Wszystko jest w pańskich rękach, poruczniku.

- Panie pułkowniku, a co z tymi załogami do M24?

- Pańskie czołgi, pański problem, poruczniku. Pan dowodzi tą kompanią.

- Słucham, panie pułkowniku?

- Słyszał pan. Jest pan dowódcą kompanii pancernej, poruczniku i dowodzi pan tym, co pozostało z pierwszej kompanii. A rozkazy ma pan takie same jak ja. Zrobić, co się da, tym, co ma pan do swojej dyspozycji.

- Tak jest, sir.

- Na pana miejscu nie marnowałbym zbyt wiele czasu na okopywanie się - powiedział na odchodnym pułkownik. - Wygląda na to, że nie tylko my wiejemy ile sił w nogach.

Parker odruchowo zsalutował, kiedy jeep ruszył. Pułkownik miał jednak zbyt wiele kłopotów na głowie, żeby pamiętać o odwzajemnieniu honorów.

- Sierżancie Woodrow!

Podoficer przybiegł na wezwanie.

- No i jakie wieści, panie poruczniku?

- Zostałem dowódcą kompanii. To, co tu widzicie, to cała nasza kompania.

- Tak jest, sir.

- Skoro tak, to od tej chwili zostaje pan sierżantem szefem kompanii. Podlegają nam nasi czołgiści i te łażęgi z piechoty. Czołgi są nasze, ale sami musimy znaleźć do nich załogi.

- Zaraz się tym zajmę, sir.

Sierżant uniósł rękę do czoła gestem pozornie niedbałym, ale pełnym szacunku. Nie był to może podręcznikowy salut z placu defilad, ale widać było, że stary wiarus pozdrawia nim przełożonego, którego uznaje za równego sobie, a nie byle szczawika, którego kaprys losu i dyscyplina postawiły ponad nim.

- Dziękuję, szefie, to wszystko - powiedział Parker. - Proszę wracać do swoich obowiązków.

4

Tokio, Japonia

18 lipca 1950

Przydział bojowy oficerów w stopniu kapitana to zagadnienie, które zwykle nawet nie dochodzi na wysokie szczeble. Od każdej reguły są jednak wyjątki.

- Coś jeszcze, van Antwerp? - zapytał generał armii MacArthur jednego z pułkowników ze swego sztabu, który jakoś ociągał się z opuszczeniem pokoju odpraw, kiedy generał zakończył spotkanie i nakazał uczestnikom rozejść się.

- Panie generale, chodzi o MacMillana.

- O? Co z nim? Dawno go nie widziałem.

- Jest w Korei, panie generale. Lata na L-5.

- Obawiam się, że to raczej wojna, panie generale - MacArthur zacytował zdanie, które MacMillan wygłosił po przylocie z Korei. Uśmiechnął się. - O tak, MacMillan to wojownik, panie pułkowniku. W czasie pokoju śpi głęboko jak niedźwiedź w zimie, ale niech no tylko gdzieś zabrzmi trąbka i odezwą się werble, budzi się i leci jak w dym.

- Panie generale, ale on ma Medal.

- Co pan przez to rozumie?

- Jeśli mu się coś stanie, zginie albo zaginie, albo dostanie się do niewoli, to w prasie podniesie się straszny krzyk.

MacArthur zastanowił się przez chwilę.

- Racja - skinął głową. - Co pan proponuje?

- Wkład kapitana MacMillana w tę wojnę, polegający na pilotowaniu L-5, nie jest większy niż któregośkolwiek innego kapitana na jego miejscu. Natomiast jeśli go stracimy, gazety podniosą dużo większe larum niż w wypadku każdego innego kapitana.

- Co pan proponuje?

- Żeby go przenieść.

- Co pan proponuje?

- Proszę go przenieść z powrotem do Strefy Wewnętrznej w celu przeszkolenia na pilota helikoptera. A gdyby pan generał uznał za stosowne odznaczyć go za uratowanie trzech oficerów z półwyspu Ongdżin, można by to wykorzystać w prasie.

- Proszę napisać rozkaz przenoszący Maca do domu, pułkowniku. Jak pan myśli, Srebrna Gwiazda?

- Generał armii Douglas MacArthur, kawaler Medalu Honorowego Kongresu - zacytował pułkownik ewentualny podpis pod zdjęciem z uroczystości - odznacza Srebrną Gwiazdą innego kawalera naszego najwyższego odznaczenia za męstwo na polu walki, kapitana Rudolpha G. MacMillana. To już trzecia Srebrna Gwiazda kapitana, który swój Medal otrzymał za udział w drugiej wojnie światowej. Otrzymał ją jako lotnik US Army za bohaterski wyczyn, jakiego dokonał kilka godzin po wybuchu konfliktu w Korei.

- Może być - przerwał generał. - Niech pan się tym zajmie, pułkowniku.

- Tak jest, sir.

IV

1

Kapitan rezerwy Craig W. Lowell zameldował się w ośrodku rekrutacyjnym Armii Stanów Zjednoczonych w Fort George G. Meade w stanie Maryland zgodnie z przekazanym mu telegraficznie rozkazem „nie później niż o 24.00”, czyli o 23.30 12 lipca.

Wcześniej, około 14.00, zameldował się w hotelu Lord Baltimore w Baltimore, dokąd przyjechał z Nowego Jorku swoim kabrioletem Jaguarem XK120. Ktoś z firmy musiał wcześniej dzwonić do hotelu, bo kiedy tylko podał swoje nazwisko w recepcji, pojawił się zastępca dyrektora hotelu. Przedstawił się, a potem zaczął swoją przemowę: że bardzo mu miło gościć tak znakomitą osobistość, że przygotowali dla niego mały, spokojny apartamencik na piętrze i gdyby tylko mogli mu czymś służyć, to on osobiście tego dopilnuje.

Lowell doczekał cierpliwie aż do tego momentu i od razu skorzystał z gotowości personelu do okazania mu pomocy.

- O właśnie - przerwał potok słów hotelarza. - Jest jedna rzecz, której bym potrzebował.

- Czym możemy służyć?

- Tu są mundury - powiedział Lowell, wskazując stojącą na podłodze brezentową wojskową walizkę. - Proszę wyprać wszystko, co wymaga prania, i wyprasować wszystko, co wymaga prasowania, tyle że potrzebuję tego praktycznie natychmiast.

- Na rano wszystko będzie gotowe, proszę pana.

- Nie na rano. Potrzebuję tego wszystkiego o dwudziestej.

- Z tym może być pewien kłopot... - zafrasował się dyrektor.

- Wierzę, że potrafi go pan rozwiązać ku naszemu obopólnemu zadowoleniu. Apartament biorę, nawet jeśli nie będę mógł z niego korzystać. Proszę wystawić rachunek na firmę, na moje osobiste konto.

- Oczywiście, panie Lowell - odparł zastępca dyrektora.

Lowell wezwał gestem boya, wręczył mu dziesięć dolarów i kazał dopilnować wyprania i wyprasowania mundurów. Potem poszedł do baru i dwoma drinkami usiłował dodać sobie dość odwagi, żeby zadzwonić do hotelu D Anglais w Monte Carlo, gdzie czekali na niego Ilse, P. P. oraz pułkownik, i powiedzieć im, co się stało.

Od czasu przyjazdu już trzy razy z nią rozmawiał i dotychczas nie zebrał się na odwagę, by to zrobić. Co gorsza, zdawał sobie sprawę, że jego milczenie na ten temat pogarsza sprawę, że niepotrzebnie dodatkowo ją zrani.

Raz jeszcze postanowił, że lepiej zaczekać, aż się coś wyklaruje. Wlewając w siebie kolejne szklaneczki whisky, zauważył, że powoli zalewa się w trupa, więc odstawił ostatnią i wyszedł na ulicę. Uszedł kilkaset metrów Baltimore Street i postanowił zajrzeć do pierwszego z brzegu kina.

Film był nudny i w końcu zasnął. Obudził się po jakimś czasie z obolałym karkiem i zdrętwiałą nogą. Wyszedł z kina, wrócił do hotelu i udał się do restauracji. Zamówił krwisty befsztyk i karafkę kalifornijskiego burgunda. Po posiłku poszedł do recepcji po klucz.

Pod drzwiami czekały dwa formularze z wiadomościami. Na obu napisane było to samo: że dzwonił Porter Craig z Nowego Jorku i prosił, żeby do niego oddzwonić. Porter był jego kuzynem i prezesem rady nadzorczej Banku Inwestycyjnego Craig, Powell, Kenyon i Dawes. Był o dziesięć lat starszy od niego, skończył Grotton i Harvard, a potem jeszcze studiował prawo na Uniwersytecie Harvarda. Pracował za biurkiem, mało się ruszał i dorobił się nadwagi. Zmieniły mu się rysy twarzy, policzki sflaczały i łatwo było zgadnąć, jak będzie wyglądał na starość. Właściwie gdyby nie zimne oczy, Porter wyglądałby całkiem dobrotliwie.

Depesza, którą otrzymał Craig, wzbudziła w nim wściekłość. Miał zamiar dotrzeć do senatora i zrobić taką burzę, żeby wojsko raz na zawsze zapomniało o Craigu Lowellowi. On już swoje odsłużył i starczy.

Craig wiedział, że w dużej mierze jest to reakcja na pokaz. W głębi duszy Porter nie miał nic przeciwko szansie na pozbycie się Craiga z zarządu banku, może nawet na dobre. Ta konstatacja napełniła go jednak wstydem i, przewidując reakcję Craiga, zaproponował mu, że załatwi sprawę. Wiedział, że kuzyn odmówi i pojedzie do Korei. Rezultat będzie ten sam, no ale w końcu to nie on się go pozbył, tylko Craig sam chciał jechać, mimo jego oferty.

- Tylko muszę to zrobić, zanim się tam zameldujesz, Craig, rozumiesz? Jak się już zgłosisz, to potem będzie bardzo ciężko coś załatwić. Wydostać cię stamtąd będzie dużo trudniej, niż nie dać im położyć na tobie ręki.

- Dam ci znać, gdybym się zdecydował, Porter.

Do tej pory nie zadzwonił do Portera, i teraz też nie miał zamiaru.

Rozebrał się, wykapał i ogolił, w pełni świadom, że dokonuje jakiegoś symbolicznego rytuału. Po wyjściu z łazienki zdjął z wieszaka świeżo wyprasowany mundur. Włożył wszystko z wyjątkiem zielonej kurtki mundurowej, którą rozłożył na łóżku i przypinał wszystkie oznaczenia i odznaki. Na naramiennikach przypiął srebrne szyny kapitana, na klapach korpusówki broni pancernej i litery US.

Otworzył skórzane pudełko z „sałatką owocową” - baretkami - i po chwili je zamknął. A potem otworzył je raz jeszcze i wyjął nieregulaminową i dlatego bardzo popularną, miniaturową odmianę Bojowej Odznaki Piechoty klasy Ekspert, którą przypiął nad kieszeń na piersi munduru.

Włożył kurtkę, zapiał guziki i pas, a potem wzięt z łóżka furazerkę i nasadził na głowę. Przejrzał się w lustrze. Wszystko było w porządku, więc zasalutował swemu odbiciu.

- Kapitan Lowell melduje się na rozkaz, sir! - powiedział, po czym opuścił rękę i już znacznie ciszej mruknął: - Cholera.

Zadzwoił do recepcji, kazał postawić samochód i przysłać boya. Po chwili podniósł słuchawkę i zamówił jeszcze butelkę whisky Haig & Haig.

Kiedy pojawił się boy z butelką, Lowell kazał mu zanieść wieszaki z resztą mundurów do samochodu i położyć w bagażniku albo za siedzeniami, tak żeby się nie pogniotyły. Walizkę i teczkę miał położyć na siedzeniu pasażera.

- Będę w barze - powiedział, podnosząc butelkę. - Potrzebuję trochę odwagi w płynie.

- Mojego szwagra też powołali, proszę pana - powiedział boy. - Biedak.
- Szwagier czy ja?
- Obaj - uśmiechnął się boy.

Lowell znów chciał zadzwonić do Ilse i znowu zrezygnował. Wypił dwa drinki w barze i wyszedł przed hotel, by tam dowiedzieć się dokładnie o drogę do Fort George G. Meade. Potem wsiadł do samochodu i pojechał.

Pilnujący bramy żandarm podszedł do samochodu, zasalutował i musiał się prawie zgiąć wpół, żeby zajrzeć do wnętrza niskiego, sportowego samochodu.

- Do centrum rekrutacyjnego - powiedział Lowell.
- Prosto tą drogą, sir. Około dwóch kilometrów. Tablicę widać z daleka.
- Dziękuję, kapralu.
- Ładny wózek, sir - odparł żandarm i zasalutował ponownie, prostując się.

To była już druga wizyta kapitana Craiga Lowella w Fort George G. Meade. Poprzednim razem meldował się tutaj, kiedy dostał pocztówkę z zawiadomieniem, że jego przyjaciele i sąsiedzi wybrali go, by ich bronił w szeregach Armii Stanów Zjednoczonych. Gówno prawda. Wzięli go do wojska, bo wyleciał z uczelni i nie mógł już uzyskać odroczenia jako student.

Wtedy przyjechał tu autobusem z gromadą takich jak on nieszczęśników, ofiar przyjaciół i sąsiadów z okolic Nowego Jorku. Zawieziono ich w jakiś ustronny zakątek, kazano wysiąść i ustawić się w szeregu. Kiedy szybkość, z jaką to wykonał, nie przypadła do gustu jakiemuś sierżantowi, ten jął wrzeszczeć mu prosto w ucho, że z takiej kupy gówna nie da się zrobić żołnierza.

Tym razem nie groziły mu podobne atrakcje. Podjechał pod budynek centrum, a kiedy wszedł do środka, sierżant siedzący za biurkiem zerwał się z krzesła i stanął na baczność. Co więcej, uśmiechnął się do niego. I przydzielił mu kaprała, który miał go zaprowadzić do hotelu oficerskiego. Tam kapral skasował pięć dolarów opłaty, przeznaczonej dla ordynansa, który zmiata i sprząta ubikacje. Na miejscu poznał trzech oficerów, z którymi miał dzielić apartament składający się z dwóch sypialni i jednej ubikacji.

Rano czekały go dalsze niespodzianki. Nie było żadnych trąbek. Żaden kretyn z dwoma szewronami nie postawił jego łóżka sztorcem i nie śmiał się, patrząc, jak spada na podłogę. Nikt nawet nie wpadł rano do sali, wrzeszcząc, że już pobudka. Nic z tych rzeczy.

Rano do pokoju wszedł sierżant i zapalił światło.

- Panowie - powiedział - o ósmej będzie odprawa. Jeśli mają panowie ochotę na śniadanie, kasyno właśnie zaczęło wydawać posiłki. To ten duży biały budynek po drugiej stronie placu apelowego.

Potem jednak napotkał kilka bolesnych podobieństw do poprzedniej swojej wizyty w tym miejscu. Badania lekarskie były równie bezduszne jak dla szeregowych. Znudzeni doktorzy po prostu przeprowadzali przegląd mięsa armatniego i nie mieli czasu na ceregiele. Ramię kapitana Lowella bolało po szczepieniu przeciwężcowym tak samo, jak bolało szeregowego Lowella i, podobnie jak poprzednio, dostał pozostałe siedem szczepień, czy ich potrzebował czy nie, bo to usprawniała procedurę.

Znowu musiał wypełnić stertę formularzy.

Znowu te same fałszywe nadzieje wśród towarzyszy niedoli.

- Przecież wszystkich nas nie mogą wysłać do Korei. Kiedy się skończy ten cyrk, pewnie dostanę przydział na jakieś zadupie do liczenia łyżek.

- Cholera, od pięciu lat nie byłem w wojsku. Nie potrafiłbym dowodzić plutonem, a co dopiero kompanią.

- Pracowałem dla banku Chase Manhattan. Byłbym w wojsku dużo bardziej przydatny w rachubie niż w polu. Przecież ja nie mam pojęcia o dowodzeniu w polu!

- Dobra, panowie, nie jest źle. Ten burdel się skończy za pół roku, a nas w tym czasie jeszcze nie zdążą nawet umundurować i zaprzysiąc. Truman się w końcu wkurzy i rzuci im atomówkę na te ich czerwone łby. Zobaczycie. Rach, ciach i po wszystkim.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła się w oczy kapitanowi ze Sztabu Generalnego, mającemu z nim przeprowadzić rozmowę kwalifikacyjną, był wygląd kapitana Lowella. Gdyby nie wiedział, że to świeżo powołany nieaktywny rezerwista, gdyby nie naszywka 28. Dywizji Piechoty Gwardii Narodowej stanu Pensylwania (zwana Wiadrem Krwi), mógłby łatwo wziąć Lowella za zawodowego albo chociaż nadterminowego oficera rezerwy. Lowell po prostu wyglądał jak żołnierz, w odróżnieniu od większości świeżo powołanych rezerwistów. Mundury tamtych wyglądały, jakby od pół wieku leżały na strychu - jeżeli w ogóle pojawili się w mundurach.

Tymczasem kurtka i spodnie wyjściowego munduru kapitana Lowella wyglądały świeżo, były wyprasowane, bez plamki i doskonale leżały. Na nogach miał wyglansowane wysokie buty do konnej jazdy, zwykle noszone jedynie przez zawodowych oficerów kawalerii pancerniej - tych, którzy uważali, że ich zawodowy prestiż wymaga ich noszenia i usprawiedliwia wysoki koszt. Na piersi jego munduru nie było żadnych baretek, zdobiła ją tylko miniaturowa wersja Odznaki Bojowej Piechoty, srebrny karabin skałkowy na tle błękitnego prostokąta, obwiedziony srebrnym wieńcem laurowym oznaczającym klasę Ekspert.

- Należy pan, kapitanie, niestety, do grupy pechowców, których akta służbowe zaginęły po drodze z Fortu Benjamin Harrisom tutaj.

W Fortcie Benjamina Harrisona w stanie Indiana znajduje się centralne archiwum Armii Stanów Zjednoczonych, w którym przechowywane są akta oficerów i żołnierzy niebędących w czynnej służbie wojskowej.

- I co to w moim wypadku oznacza?

- No cóż, będziemy musieli założyć panom tymczasowe akta służbowe i teczki 201, które skorygujemy, kiedy nadejdą wasze dokumenty. Nie ma pan zapewne ze sobą swojej kopii dwieściejedynek, którą pan dostał przy wypisie?

- Tak się składa, że mam ją ze sobą - odparł Lowell. Sięgnął na podłogę koło krzesła i podniósł z niej teczkę ze skóry z jego złotymi inicjałami. - Mogę? - zapytał, postawił ją na biurku kapitana i otworzył. Wyjął z niej dwa grube na dwa centymetry skoroszyty. - Tu jest wszystko.

Kapitan przerzucił szybko kartki.

- Mogę je zabrać? Bardzo by się nam przydały.
- Może pan zrobić odpisy ze wszystkiego, czego pan potrzebuje, panie kapitanie, ale nie może ich pan zabrać.

Kapitanowi ze Sztabu Generalnego nie spodobała się postawa jego rozmówcy. Następnym kwadrans spędził na czytaniu dokumentów.

- Przebieg pańskiej kariery był zaiste bardzo interesujący, panie kapitanie - powiedział w końcu tonem, w którym pobrzmiwała nuta ironii.

Lowell nic nie odpowiedział.

- Panie kapitanie, co by pan powiedział na przydział do piechoty?
- Nic pochlebnego w każdym razie.
- Musi pan wziąć pod uwagę ogólną sytuację - cierpliwie tłumaczył kapitan o przydziałów. - Dla oficerów z pańskim stopniem nie mamy zbyt wielu wakatów w broni pancernej.

Świetnie się składa, odeślijcie mnie do domu.

Z pańskich akt wynika, że służył pan, i to w wyróżniający się sposób, w charakterze doradcy w jednostce piechoty. Bardzo brakuje nam dowódców kompanii w piechocie. A pan ma nawet Odznakę Bojową Piechoty.

- Może pan przestać pieprzyć i przejść do sedna sprawy?
- Wypraszam sobie podobny ton!
- Jeśli chce mi pan wtrynąć przydział do piechoty, to nie ma mowy. Z własnej woli tam nie pójde. Jeśli mnie przydzielicie mimo to, narobię takiego smrodu, że się nie pozbieracie. Jestem w pełni wykwalifikowanym oficerem broni pancernej.
- Ale nie w stopniu kapitana. Nie ukończył pan kursów doskonalących broni pancernej.

Piechoty też nie.

Na szczęście nie potrzebuję pańskiej zgody na to, żeby pana przydzielić tam, gdzie jest potrzeba...

Owszem, potrzebujesz mojej zgody, zasrane pierdzistołku! Gdyby tak nie było, w ogóle byś mi nie musiał wciskać tego gówna.

Proszę siadać, kapitanie - powiedział podpułkownik kierujący przydziałami oficerów rezerwy. - Sam się tym zajmę, Tom - powiedział do kapitana ze Sztabu Generalnego, który przyprowadził Lowella do niego.

Podobnie jak tamten, spędził kwadrans na czytaniu dwóch skoroszytów formularzy 201 kapitana Lowella.

- Jest pan bardzo młody jak na kapitana - powiedział wreszcie.
- Być może - zgodził się Lowell.

- Naprawdę potrzeba nam dowódców kompanii w piechocie.
- Mam nadzieję, że ich znajdziecie, panie pułkowniku.
- Co pan robił w cywilu, panie kapitanie?

Lowell zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział.

- Byłem bankierem inwestycyjnym.
- Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem - odparł po chwili milczenia pułkownik. - Na jakim stanowisku pan pracował?
- Wiceprezesa rady nadzorczej - odparł dobitnie Lowell.
- A w jakiej firmie?
- Craig, Powell, Kenyon i Dawes.
- Nic mi to, niestety, nie mówi. - Po chwili milczenia pułkownik kontynuował: - W Nowym Jorku?
- Wall Street 23.
- I zapewne nieźle pan zarabiał?
- Czy mam to rozumieć jako oficjalną prośbę o udzielenie informacji?
- Tak. Proszę właśnie tak to traktować.
- Proszę bardzo. Ostatnio zarabiałem sto tysięcy dolarów.
- Panie kapitanie, zmusza mnie pan do przypomnienia panu, że udzielanie fałszywych odpowiedzi na pytania to wykroczenie dyscyplinarne karane przez sąd wojskowy - powiedział pułkownik, ale w jego głosie słyhać było raczej rezygnację niż gniew. - Według pańskich akt 201 - wskazał je palcem - zaledwie rok temu ukończył pan studia w Szkole Biznesu Whartona. I teraz, zaledwie po roku, mówi mi pan, że...

Lowell pochylił się nad biurkiem i przysunął pułkownikowi telefon.

- Proszę zadzwonić na mój koszt i zapytać. Pytał pan, ja udzieliłem odpowiedzi. Nie moja wina, że odziedzyczyłem po dziadku pół tej firmy.

Pułkownik popatrzył na Lowella przez dłuższą chwilę, zanim wrócił do rozmowy.

- Początkowo został pan oficerem w korpusie finansowym - powiedział wreszcie. - To o to panu chodzi? Chce pan tam wrócić?

Lowell prychnął.

- Panie pułkowniku, w korpusie finansów dopiero byłbym katastrofą!
- Ale właśnie tam otrzymał pan przecież stopień oficerski?
- To był po prostu wygodny sposób na to, żeby mnie ubrać w oficerski mundur. W życiu nie siedziałem w wojsku przy kasie.
- Został pan mianowany na stopień oficerski w uznaniu zasług bojowych?

- Najpierw zostałem podporucznikiem. Zasługi przysły później.
- Obawiam się, że to wymaga pewnych wyjaśnień.

Lowell zamilkł na chwilę, zastanawiając się, jak opowiedzieć tę historię, żeby nie zostać znowu posądzonym o nabijanie się z przełożonego.

- Panie pułkowniku, słyszał pan kiedyś o generale „Porkym” Waterfordzie, o jego stylu dowodzenia i życia w wojsku?

- Oczywiście, że słyszałem. Dowodził 40. Dywizją Pancerną, Piekielnym Cyrkiem, w czasie drugiej wojny światowej. Pan służył w Piekielnym Cyrku?

- W ogóle nie służyłem w wojsku w czasie drugiej wojny światowej, panie pułkowniku. Zostałem powołany do wojska już po wojnie i wysłany do służby w Armii Okupacyjnej w Niemczech. Do Policji Wojskowej, którą dowodził generał Waterford.

- I?

- Panu generałowi bardzo zależało na tym, żeby jego drużyna polo wygrała mecz z Francuzami.

- Obawiam się, że nie do końca rozumiem.

- Ja gram w polo, panie pułkowniku. Wtedy miałem handicap trzy. Generał chciał, żebym zagrał w meczu z Francuzami. Nie mogłbym w nim zagrać, bo francuscy oficerowie nie chcieli grać z szeregowymi. A ja wtedy byłem starszym szeregowym.

- Chce pan przez to powiedzieć, że gra w polo była pańską jedyną kwalifikacją do tego, żeby zostać oficerem?

- Zawarłem układ z adiutantem generała, kapitanem Macmillanem. Wygramy mecz, a wtedy oni mnie po sześciu miesiącach wypuszczą do cywila.

- Słyszałem o oficerze nazwiskiem MacMillan, który jest kawalerem Medalu Honorowego Kongresu.

- To właśnie Mac. No ale potem ten wspaniały plan wyszedł trochę inaczej, niż się umawialiśmy.

- Jaki plan?

- Z moim przedterminowym zwolnieniem. Graliśmy właśnie mecz z Francuzami w Baden-Baden, kiedy generał dostał ataku serca i zmarł, jadąc do pewnego strzału na pustą bramkę. Wraz z nim skończyło się polo, a moje szanse na wydostanie się z wojska w sposób równie niezwykły, w jaki zostałem oficerem, też poszły za burtę.

- Prawdę mówiąc, jeśli ta niezwykła opowieść jest prawdą, to nie rozumiem dlaczego. Przecież powinni być naprawdę szczęśliwi, mogąc się pana pozbyć. I to jak najszybciej.

- No cóż, nie byłem oficerem wystarczająco długo, żeby się dorobić raportu

oceniającego moją służbę, więc się mnie czym prędzej pozbyli. Zostałem wysłany do Grupy Doradców Wojskowych w Grecji, zapewne w nadziei na to, że nawet jeśli będą mieć pecha i tam nie zginę, to niewdzięczne zadanie wyrzucenia mnie z wojska przypadnie Grupie, a nie im.

- I co się z panem działo w Grecji?

- Trafiłem jako doradca wojskowy do 27. Królewskiej Dywizji Górskiej. Wyszło na to, że przez cały czas nimi dowodziłem.

Pułkownik zmrużył oczy i zaczął mu się bacznie przyglądać. Lowell spojrział mu w oczy i wytrzymał jego spojrzenie, aż w końcu pułkownik odwrócił wzrok.

- No, a potem oberwałem i odesłali mnie do domu. Na kurs oficerów broni pancernej, na którym oficerowie, którzy w życiu na oczy nie widzieli pola walki, uczyli mnie, czego mam się spodziewać, jeśli kiedyś trafię na front. Tak czy inaczej, wyszedłem z Knox i z wojska jako oficer broni pancernej.

- Czego pan w końcu od nas chce, kapitanie? - zapytał pułkownik.

- Jeśli mam znowu trafić na wojnę, chcę tam trafić jako oficer broni pancernej.

- Mimo tych wszystkich zakrętów pańskiej kariery był pan chyba w wojsku wystarczająco długo, by wiedzieć, że w armii nie liczą się indywidualne potrzeby?

- Nie mam zamiaru przyjąć przydziału do piechoty, panie pułkowniku.

- A co się panu nie podoba w piechocie, kapitanie?

- W tej fazie konfliktu w Korei za cenę życia piechoty kupuje się czas. Nie mam ochoty stać się monetą przetargową w tej transakcji.

- Zdaje pan sobie sprawę, że pańskie stwierdzenie można interpretować jako przyznanie się do tchórzostwa?

- Do tchórzostwa mogę się przyznać w każdej chwili. Ale idiotą nie jestem.

- Kapitanie Lowell, w związku z sytuacją w Korei wymagania Armii są obecnie takie, że potrzeba nam oficerów piechoty, a oficerów broni pancernej mamy nadmiar. Żeby zaradzić tej sytuacji, Armia oddaje część oficerów broni pancernej do piechoty. Wybór odkomenderowanych zależy od ich dotychczasowego doświadczenia. Oficerowie broni pancernej, którzy mają doświadczenie w piechocie i nie są niezbędni do zaspokojenia potrzeb broni pancernej, są odsyłani do piechoty, w tej liczbie pan, kapitanie Lowell. To wszystko, może się pan odmeldować.

DOWÓDZTWO OŚRODKA REKRUTACYJNEGO ARMII STANÓW ZJED-
NOCZONYCH, PORT GEORGE G. MEADE, MARYLAND

ROZKAZ PERSONALNY (SPEC) NR 187
14 LIPCA 1950

WYCIĄG

18. KPT. Craig W. LOWELL, PANC. 0-495302, komp. „B” Port Meade, MD, zostaje odkomenderowany do służby w PIECHOCIE i uda się do Szkoły Piechoty w Port Benning, GA, w celu odbycia przeszkolenia w ramach Specjalnego Kursu Dowódców Kompanii Nr 50-5. Po ukończeniu szkolenia w/w zamelduje się u dowódcy Fort Lawton, Wasz., skąd transportem lotniczym zostanie wysłany do dowództwa 8. Armii, poczta polowa 909, San Francisco, Kai., po odbiór przydziału do jednostek 8. Armii. W/w przyznaje się prawo do odbycia pięciodniowego (5 dni) urlopu w drodze pomiędzy Port Benning a Fort Lawton, w miejscu stałego zameldowania, Nowy Jork, Washington Mews 11. W/w ma prawo oddać na przechowanie na koszt rządu federalnego przedmioty osobiste i gospodarstwa domowego w tym jeden (1) samochód. Podstawa rozkazu: pismo okólne SG z 1 lipca 1950 w sprawie przeniesienia nadmiaru oficerów artylerii, broni pancernej i łączności do piechoty.

Z ROZKAZU generała majora Harbesa
podpułkownik Morton C. Cooper
pełniący obowiązki adiutanta

Kiedy podpułkownik broni pancernej Robert F. Bellmon, szef Oddziału Czołgów i Transporterów Opancerzonych w Dziale Pojazdów Gąsienicowych Biura Zastępcy Szefa Sztabu ds. Operacyjnych, złapał się w swoim gabinecie w Pentagonie na szóstym głupim błędzie w ciągu dwóch godzin, uznał, że naprawę ma już dosyć na dzisiaj.

Zapukał do drzwi swego przełożonego, generała brygadiera, który na jego widok uśmiechnął się, ale nie powiedział ani słowa.

- Panie generale, za pańskim pozwoleniem chciałbym już skończyć na dzisiaj. Zaczynam tracić więcej czasu na poprawianie pomyłek niż na robienie czegokolwiek użytecznego.

- Znowu czytałeś w moich myślach, Bob. Klnę się na Boga, że właśnie chciałem skończyć zdanie, postawić kropkę i wykopać cię stąd wreszcie na zbity pysk. Ostatnio naprawdę przesadzasz z nadgodzinami.

- Dziękuję, sir. Do zobaczenia rano, sir.

- O nie, pułkowniku, nawet nie ma mowy. Nie chcę cię tu widzieć przed piątkowym rankiem. Jutro i pojutrze masz dzień wolny i nawet nie próbuj się pokazywać w okolicy.

- Jutro będzie już wszystko w porządku, sir. Muszę się tylko trochę przespać, i tyle.

- Zrób mi tę łaskę, Bob, i weź sobie dwa dni wolnego. Odpocznij, zalej pałę, naładuj akumulatory.

- Ja naprawdę już jutro rano będę w porządku, sir, i...

- To doskonale - uciał generał. - Wobec tego od rana będziesz się już mógł zająć czym chcesz, byle nie pracą. Przejedź się na koniu po pięknych wzgórzach Wirginii, zagraj w golfa, czy ja wiem co, możesz się też zająć jakimś sportem w domowym zaciszu albo w ogóle nic nie rób. Do jasnej cholery, Bellmon, powiedziałem, że nie chcę cię tu widzieć do piątku! - Generał podniósł głos, widząc, że pułkownik znowu otwiera usta i ma zamiar nadal dyskutować.

- Tak jest, sir. Dobranoc, sir.

- Powtórz Barbarze to, co ci powiedziałem.

- To o sportach uprawianych w zaciszu domowym? - uśmiechnął się Bellmon.

- Wynoś się stąd wreszcie. - Generał wskazała na drzwi.

Bellmon wyszedł z potężnego gmaszyska na parking Pentagonu, odszukał sektor

A64-B i na nim swój kabriolet buick rocznik 1948. W jego opinii był to ostatni porządny rocznik.

Wyjeżdżając z parkingu, zaczął układać w myślach plan zajęć na najbliższe dni. Z natury był planistą i tym też zajmował się w pracy, planowaniem. Ostatnie gorączkowe dni pracy wyczerpały go nie tylko fizycznie, ale, co ważniejsze, także psychicznie. Od powrotu z Europy, skąd ściągnięto go z urlopu, kiedy tylko zaczęła się ta koreańska awantura, dzień w dzień po osiemnaście godzin rozgrywał wielką partię logistycznych szachów czy, jak kto woli, bawił się w przykrywanie się za krótką kołdrą. Szukał po całym świecie każdego nadającego się do użytku czołgu, który można by ściągnąć do Korei, każdego czołgu nadającego się do remontu i ściągnięcia do Japonii, dla jednostek, które jeszcze nie trafiły do Korei, dla jednostek na Hawajach w drodze do Japonii i dalej do Korei, dla jednostek, które oczekiwały w Stanach Zjednoczonych na przerzut na Hawaje, do Japonii i w końcu do Korei, a wreszcie dla jednostek, które dopiero miały zostać sformowane.

Kochał wyzwania. To także polubił, ale nie tak, jak cieszyłby się z dowodzenia batalionem czołgów w polu. W odróżnieniu od dowodzenia, to było wyzwanie czysto intelektualnej natury, bardziej jednak fascynujące od zanedo sformalizowanych szachów. Tu nie było nic pewnego, stany zapasów i potrzeby jednostek zmieniały się dosłownie z godziny na godzinę.

Odwalił kawał porządnej roboty, przerzucając warte miliardy dolarów masy czołgów, transporterów opancerzonych i zaopatrzenia oraz tysiące ludzi, którzy je obsługiwali. To go wyczerpało. Doszedł do krańca swoich możliwości.

Do rana wszystko byłoby już w porządku, ale generał był śmiertelnie poważny, mówiąc o tych dwóch dniach urlopu. Nie miał nawet co myśleć o powrocie przed piątkiem.

Przy odrobinie szczęścia uda się wysłać wcześniej dzieciaki do łóżek, wlać w Barbarę ze dwa martini i zaciągnąć ją do łóżka. Tak, właśnie tego potrzebował. Recepta doktora Bellmona na wyczerpanie pułkownika Bellmona: trzy martini i numerek.

Dwadzieścia minut po opuszczeniu Pentagonu buick dojechał do zbudowanego z szyn i polnych kamieni płotu Farmy. Na skrzynce pocztowej przy wjeździe nie było żadnego nazwiska ani innego znaku. Na płocie stał tylko widoczny z daleka, pomalowany na czarno stary pług, do którego zaprzęgało się muły.

Miał powody, by zachowywać dyskrecję. Farma była zdecydowanie zbyt luksusowym domem jak na podpułkownika i musiałaby wywołać nieprzychylnie komentarze ze strony tych, którzy nie znali jej historii i obecnej sytuacji finansowej. To naprawdę było kiedyś gospodarstwo rolne, w dodatku bardzo zadłużone, kiedy

je w 1909 roku kupował jego dziadek. Major Thomas Wood Bellmon, który doszedł potem do stopnia generała porucznika, postrzegał je jako miejsce, w które warto zainwestować. Grunty orne można było podzielić na działki albo wydzierżawić, a dochód z tego pokrywał z nawiązką rentę gruntową i raty hipoteczne. W rezultacie miał za darmo dom, w którym mieszkał, kiedy przebywał w Waszyngtonie, godzinę drogi konnym powozem od budynków Departamentu Stanu, Wojny czy Marynarki na Pennsylvania Avenue, naprzeciwko Białego Domu.

Farma już dawno została spleciona i dwukrotnie przeszła w nowe ręce po jego śmierci, a od chwili zakupu przez majora Bellmona przybyło jej 250 hektarów nowych gruntów. Wszystkie, z wyjątkiem trzech hektarów lasu wokół domu, były wydzierżawione, a czynsze w całości pokrywały wszelkie koszty utrzymania Farmy i jeszcze przynosiły zysk.

W domu mieszkali oficerowie z rodu Bellmonów (dwaj starsi bracia Boba byli generałami) lub Waterfordów (Bob był żonaty z córką świętej pamięci generała majora Petersona K. Waterforda, a jego dwaj szwagrowie byli oficerami, jeden Armii, drugi, niech Bóg mu wybaczy, lotnictwa), jeśli akurat któryś pełnił służbę w Waszyngtonie lub okolicy. Jeśli nie było tam żadnego z nich, dom wynajmowano przyjaciom. Czynsz służył jedynie na pokrycie wydatków eksploatacyjnych i nie miał nic wspólnego z rzeczywistą wartością Farmy, ale w zamian w domu zawsze był ktoś, kto pilnował, żeby rury nie popękały i nie rozkradziono mebli.

Dom też się rozrósł przez te lata i był teraz trzy albo i cztery razy większy niż budynek, który czterdzieści jeden lat wcześniej kupił major Bellmon. Tamten dom, stanowiący obecnie lewe skrzydło, został przekształcony w gabinet do pracy. Dom, w swojej obecnej postaci miał dziewięć pokoiów, cztery łazienki, basen, garaż, pawilon do zabaw dla dzieci w ogrodzie i nawet strzelnicę z urządzeniami do wyrzucania rzutków na zboczu doliny.

Rodzina miała jeszcze jeden podobny dom, działający na podobnych zasadach, Casa Mañana w Carmel w Kalifornii. W końcu żaden regulamin nie nakazywał wychowywać rodziny zawodowego wojskowego w obskurnych szeregowych domkach na terenie koszar. Tym, których stać było na coś innego, dawano milczące przyzwolenie na wygodniejsze życie, pod warunkiem że zaszyją się gdzieś na uboczu i nie będą się afiszowali ze swoim dostatkim. To dlatego na płocie przy bramie nie było tablicy z nazwiskiem właścicieli, a tylko stary, pomalowany na czarno pług.

Dojeżdżając do domu, Bob zatrąbił. Ten plebejski, w jej opinii, zwyczaj

denerwował Barbarę, ale dzieci go uwielbiały. Postawił buicką między fordem Barbary a jeepem. Był przyjemnie zaskoczony, widząc żonę czekającą na niego z dziećmi na progu domu. Jezu, ale kicz, pomyślał przez chwilę, ale zaraz zganił się za cynizm. Owszem, wyglądało to jak obrazek Normana Rockwella z okładki „Saturday Evening Post”, ale było naprawdę miłe.

- Ty i ten twój przekłety klakson - powiedziała, nadstawiając policzek do pocałowania.

Całując ją, przelotnie ścisnął jej pośladki.

- Dostałem dwa dni urlopu.

- No, nareszcie zauważył, jaki jesteś wykończony. - Nie musiała dodawać, że chodzi jej o generała.

- Nie wiem, czy zauważył. Poprosiłem o odpoczynek i dostałem dwa dni wolnego.

- Co za różnica?

Weszli do domu. Zdjął kurtkę mundurową i starannie powiesił ją na wieszaku w szafie w przedpokoju, na półce powyżej położył czapkę.

- Zrób mi, proszę, bardzo duże, bardzo zimne martini, a ja się w tym czasie przebiorę.

- A może wypijesz teraz, a przebierzesz się później?

- Nie, przebiorę się teraz, a wypiję później. Dużo później.

- To będzie już jeden z tych wolnych dni?

- A co, nie masz ochoty?

- Zgadnij, kto ma dziś próbę chóru?

- Widzisz? Bóg mnie kocha - odparł pułkownik, ruszając schodami na piętro.

Czegóż więcej mógł człowiek chcieć od życia, mając żonę, która nadal lubi te rzeczy, i pastora, który wie, kiedy zarządzić dzieciom próbę chóru?

Kiedy zszedł na dół, Barbary i dzieciaków już nie było. Zawiozła je na próbę chóru nawet trochę przed czasem, żeby się ich pozbyć z domu. Martini będzie sobie musiał zrobić sam, ale to niezbyt wygórowana cena.

Dziesięć minut później z podjazdu doszedł chrzęst opon na żwirze. Jeśli to Barbara, to uwinęła się zadziwiająco szybko, pomyślał. Gdyby to przewidział, mógłby ją teraz powitać na schodach w stroju Tarzana i pobawić się w „Ja Tarzan, ty Jane” na podłodze salonu.

Ale tak też było fajnie. Trochę się przeciągnie, ale to nie szkodzi.

W tym momencie rozległ się dźwięk staroświeckiego ręcznego dzwonka przy drzwiach.

- Co za cholera? Kogo tam diabli przynieśli? - zastanawiał się na głos, idąc do drzwi.

Nacisnął klamkę i otworzył je.

Za drzwiami stał Craig W. Lowell. Miał na sobie szare flanelowe spodnie, białą koszulę z fularem pod brodą - wyglądał jak angielski ksiądz objeżdżający swoje włości.

No tak, pomyślał z rezygnacją Bellmon. To się musiało tak skończyć. Za dobrze szło. Musiało być tak, że kiedy już wszystko będzie na najlepszej drodze, pojawi się Craig W. Lowell i wszystko spieprzy.

- Cześć, Craig - powiedział, zmuszając się nawet do uśmiechu. - Cóż cię sprowadza w moje skromne progi?

- Słyszałem, że w tej okolicy żebrakom dają kielicha.

- Właż - powiedział i położył mu rękę na ramieniu.

Nie lubił Craiga W. Lowella. Barbara go lubiła. Zupełnie nie rozumiał, jak to się dzieje, że Barbara wybacza mu rzeczy, które w innym wypadku były w stanie położyć kres nawet długoletniej przyjaźni. Jej ojciec, generał Waterford, chodził przed wojną do francuskiej szkoły kawalerii w Saumur z jego teściem, niemieckim pułkownikiem, który właśnie dopiero co wrócił z gułagu.

Teść Craiga, pułkownik Peter-Paul hrabia von Greiffenberg był w czasie wojny przez jakiś czas komendantem stalagu, w którym siedział Bellmon. Bob zaprzyjaźnił się z hrabią, niezależnie od związków hrabiego z własnym teściem.

Póki miesiąc wcześniej von Greiffenberg nie pojawił się żywy i cały w Marburgu, Bellmon był przekonany, że Rosjanie rozstrzelali go wraz z resztą załogi obozu. Bellmon bardzo się ucieszył, że hrabiego udało się uwolnić z sowieckiego obozu. Nie tylko dlatego, że lubił hrabiego, ale także dlatego, że bardzo mu było żal jego córki Ilse, która po wojnie wyszła za mąż za Lowella.

Ale mimo tych wszystkich związków Craiga W. Lowella polubić jakoś nie mógł.

- Czym mogę służyć?

- Szkocką, poproszę. Jest Barbara?

- W tej chwili jej nie ma - rzucił przez ramię, wchodząc za bar w salonie, żeby przygotować drinki. - Co słychać u pułkownika?

- Pojechał ratować zdrowie do wód w Monte Carlo - odparł jakoś dziwnie chłodno Lowell - a ja miałem się zajmować ratowaniem jego majątku.

- Kiedy wróciłeś?

- Siódmego.

- A kiedy jedziesz do Europy?

- Sam chciałbym to wiedzieć. - Wziął szklaneczkę z rąk Bellmona i uniósł ją

- w jego kierunku. - Zdrówko, Herr Oberstleutnant.
- Kto tu jest? - rozległ się głos Barbary z holu.
- Chodź sama i zobacz - odparł Bellmon. Barbara zajrzała do salonu

i aż pisnęła z radości.

- Boże, Craig, wyglądasz jak reklama papierosów w „Town and Country”. - Podbiegła do niego i pocałowała w policzek. - Myślałam, że jesteś na południu Francji?

- Jak widać, nie jestem. Mam za to dziwne wrażenie, że zepsułem Bobowi jakieś intymne plany z tobą w roli głównej.

Ty sukinsynu, pomyślał Bellmon. Jak śmiesz mówić takie rzeczy, stojąc na środku mojego salonu? Barbara jeszcze pogłębiła jego wściekłość, o mało nie przewracając się ze śmiechu.

- Jak na to wpadłeś?

- Grzebał kopytami w ziemi, kiedy otworzył drzwi, a potem wyglądał na jeszcze mniej zachwyconego moim widokiem niż zwykle.

Barbara zaśmiała się.

- A właściwie cóż za diabeł cię tu sprowadza? Oczywiście cieszę się bardzo na twój widok i stanowczo nalegamy z Bobem na to, żebyś został na kolacji i przemocował, ale... No, trochę nas zaskoczyłeś.

No tak, tego się można było spodziewać po mojej kochanej zoneczce, pomyślał gorzko Bellmon.

- Bardzo dziękuję za ofertę, ale i tak bym nie mógł z niej skorzystać.

- A co stoi na przeszkodzie? - domagała się wyjaśnień Barbara, biorąc z ręki męża martini i pociągając łyk.

- Twój mąż mógłby mieć kłopoty, gdyby wyszło na to, że udzielił schronienia dezertrowi.

Tym razem oboje spojrzeli na niego zdumieni.

- Jeżeli to miał być dowcip, to jakoś go nie zrozumiałam - powiedziała Barbara.

- To nie dowcip. Właśnie się samowolnie oddaliłem.

- Skąd?

- Skierowano mnie do Benning na przyspieszony kurs dla oficerów rezerwy, wysyłanych na rzeź do Korei. Postanowiłem tam nie jechać.

- Mówisz poważnie, prawda? - upewniła się Barbara.

- Powołali cię z rezerwy, tak?

- Kiedy dojechałem do domu, czekał na mnie telegram.

- Z rozkazem wyjazdu do Benning?

- Z rozkazem wyjazdu do Meade, gdzie jakiś pierdzistolek skierował mnie do Benning, do przerobienia na zajęcia.

- Bardzo brakuje oficerów piechoty.

- Też mi to mówili.

- Naprawdę nie masz zamiaru się tam zameldować?

Lowell sięgnął do kieszeni i wyjął dwa bilety lotnicze.

- Dwudziesta druga dziesięć do Monte Carlo z przesiadką w Londynie.

- Czeka cię za to sąd wojskowy, wiesz?

- Niewykluczone.

- Jak to niewykluczone? - warknął Bellmon. - Przecież to samowolne oddalenie w celu uniknięcia niebezpiecznej służby! Można za to dostać kulkę w łeb!

- Daj spokój, Bob. Wiesz, że ze mnie marny żołnierz, ale nie na tyle, żebym w to uwierzył. Od czasów szeregowego Slovika* nie rozstrzelano jeszcze za to niko- go, przynajmniej o ile mi wiadomo.

Lowell popatrzył na Barbarę i podał jej pustą szklaneczkę.

- Chętnie wypiłbym jeszcze jedną.

- Jasne. Przepraszam, że musiałeś prosić.

- Po co mi to mówisz, Lowell? - zapytał Bellmon. - Przecież w tej sytuacji w niczym ci nie mogę pomóc.

- Skoro już pan o to zapytał, pułkowniku, to owszem, może mi pan pomóc.

- W czym?

- Mógłby pan usiąść do telefonu, zadzwonić do paru kumpli z towarzystwa wzajemnej protekcji absolwentów West Point i znaleźć kogoś, kto by tę bzdurę odwołał.

- A niby dlaczego miałbym to zrobić, nawet gdybym rzeczywiście mógł i chciał? - zapytał Bellmon. Powoli krew zaczęła go zalewać.

- Bo inaczej narobię straszego smrodu.

- To brzmi jak groźba.

- Nie groźba. To po prostu stwierdzenie intencji.

* Eddie Slovik (1924-1945), szeregowy Armii Stanów Zjednoczonych sądzony za dezercję z oddziału 25 sierpnia 1944 roku we Francji. 11 listopada 1944 roku w jego sprawie zapadł wyrok śmierci, który Eisenhower w celach prewencji ogólnej zatwierdził 30 stycznia 1945 roku. Wyrok wykonano przez rozstrzelanie następnego dnia. Slovik był jedynym żołnierzem Armii Stanów Zjednoczonych od czasów wojny secesyjnej, na którym wykonano wyrok śmierci za przestępstwo niekryminalne (przyp. tłum.).

- Staram się zapanować nad sobą, ale zaczynam przegrywać tę bitwę. Chyba będzie lepiej, żebyś wyszedł, zanim przegram ją na dobre.

- Wysłuchaj go do końca, Bob - odezwała się Barbara. To nie była prośba.

Podąła Lowellowi szklaneczkę, o którą prosił, i gdy jej mąż nadal nic nie mówił, sama zapytała:

- Czego chcesz od Boba, Craig?

- Nie chcę jechać do Korei jako oficer piechoty i dać się zabić.

- Oficerowie giną na wojnie, Craig - lodowatym tonem stwierdził Bellmon.

- Polec, a dać się zarznąć, to duża różnica.

- O jakim smrodzie mówiłeś? - zapytała Barbara, zastanawiając się, czy to naprawdę tylko ciekawość.

- Wyobraź sobie taki nagłówek: „Craig W. Lowell, nowojorski bankier oskarżony o dezercję. Kawaler odznaczeń za męstwo mówi, że nie pojedzie na front dać się zabić jako niewyszkolone mięso armatnie”. Jak wam się podoba?

- Byłbyś do tego zdolny, co? - zapytał Bob z pogardą w głosie, która zdumiała nawet Barbarę.

- Załóż się, o co chcesz, Bob. Tu chodzi o moje życie.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi, i nawet nie będę udawał, że wiem, po co z tym do mnie przyszedłeś.

- To chyba nie jest aż takie trudne. Wpadłem na to w drodze pomiędzy Meade a Waszyngtonem. W Grecji już o piczy kłak... Przepraszam, Barbaro. Wypnęło mi się.

- Nic nie szkodzi. Zdarzało mi się w życiu słyszeć to wyrażenie.

- No więc w Grecji już raz o mało nie zginąłem.

- Ale wróciłeś, i to jako kawaler orderu za męstwo.

- Nie miałem tam czego szukać, Robert. Na tej cholernej górze powinien siedzieć któryś z was, zawodowców.

- Przyznaję ci rację, ale co z tego?

- To z tego, że raz mi całkiem wystarczy. Wtedy przeżyłem, ale nie mam zamiaru raz jeszcze znaleźć się w sytuacji, kiedy nie mam żadnych kwalifikacji do dowodzenia ludźmi, którzy mi podlegają. I jeszcze dostać w łeb.

- Zaczynam pojmować twoje pokrętne rozumowanie. Musisz jednak zrozumieć, że Armia to siła znacznie potężniejsza ode mnie i od ciebie i że osobiste życzenia ludzi nic dla niej nie znaczą. Lepiej wsiadaj z powrotem do samochodu i jedź do Benning zgodnie z rozkazem.

- W ogóle odmawiasz wyjazdu do Korei, Craig? - zapytała Barbara.

- Jako oficer piechoty, tak.
- On blefuje, Barbaro - orzekł Bellmon. - Boi się i opowiada głupoty. Jesteś naprawdę odrażający, Craig.
- Na pewno się boję i być może jestem odrażający, Bob, ale mówię poważnie.
- Dopił whisky i odstawił szklaneczkę na barek. - Przykro mi, że cię w to zamieszczę, Barbaro.
- Dokąd się wybierasz?
- Przyślę wam pocztówkę z Riwiery.

Barbara otworzyła notes z telefonami.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał jej mąż, widząc, że wykręca jakiś numer.
- Pułkownik Bellmon do generała Davidsona - powiedziała. Podała słuchawkę mężowi i wyjaśniła: - Teraz możesz mu powiedzieć, żeby albo wysłał żandarmerię na lotnisko po dezertującego kapitana, albo w porę zapobiegł błędowi, który spowoduje, że oficer broni pancernej, pilnie potrzebny w Korei, wyląduje w piechocie.
- Nie zrobię tego - odparł, ale odruchowo wziął słuchawkę.
- Kto to jest Davidson? - zapytał Lowell.
- Zastępca szefa sztabu do spraw personalnych. Kolega mojego brata ze studiów w Akademii.

- Panie generale, naprawdę przykro mi, że muszę panu tym zawracać głowę osobiście - usłyszeli głos Boba - ale nie wiem, jak sobie z tym problemem poradzić. Zwłaszcza że to sprawa raczej delikatna i w dodatku dotyczy bliskiego przyjaciela mojej żony. Chodzi o to, panie generale, że sieć, którą pan zarzucił, żeby uzupełnić stany oficerów piechoty, złapała oficera, którego naprawdę bardzo potrzebujemy w broni pancernej.

Barbara i Lowell nie spuszczała wzroku z jego twarzy, kiedy słuchał odpowiedzi. Nie wyglądało to najlepiej.

- Chwileczkę, panie generale - powiedział wreszcie Bellmon. - Lowell, daj swoje rozkazy.

Po chwili przeczytał je przez telefon swemu rozmówcy.

- Tak jest, panie generale - powiedział wreszcie, oddając Lowellowi dokumenty. - Przekażę kapitanowi Lowellowi, że ma pozostać w Meade do czasu zakończenia reszty papierkowej roboty.

- No - powiedziała Barbara, kiedy odłożył słuchawkę. - Teraz możemy się wreszcie napić w przyjacielskiej atmosferze.

w jedn. 8. Armii. Podstawa: rozmowa telefoniczna z cy szefa sztabu ds. p

Meade, MD z dnia 16 b.m.

3. KPT Craig W. LOWELL, PANC 0-495302 zostaje przydzielony do
onu cz. śr. 8. Armii w Korei z chwilą ogłoszenia tego rozkazu. W tym ce
tychmiast do Ośrodka Transportowego ASZ Mnar. Port Lotniczy San Pran
stamtąd do punktu docelowego dowolnym środkiem transportu cywilnego l
z priorytetem transportowym AAAA-1. Przydział ten nastąpił w odp
NDSSZ DalWsch w sprawie pilnej potrzeby przetrzucenia młodszych o
pancernej z dn. 3 lipca 1950. Z powodu krytycznej sytuacji w tym zakresie
sługuje prawo do wykorzystania urlopu w drodze. W/w nie przysługuje p
jazdu w towarzystwie członków rodziny. W/w ma prawo oddać na przechow
rządu federalnego przedmioty osobiste i gospodarstwa domowego w tym je
chód. Podstawa: rozmowa telefoniczna z-cy szefa sztabu ds. pers. z d-cą Pt
dnia 17 b.m.

Z ROZKAZU generała ma
podpułkownik Morton C.
pełniący obowiązki adiutanta

Lowell pojechał pociągiem do Nowego Jorku, a stamtąd poleciał Lockheedem Constellation linii TWA do San Francisco. Tam wsiadł na pokład DC-6 linii United do Honolulu na Hawajach, gdzie przesiadł się na pokład innego DC-6 linii Pan American, lecącego do Tokio z międzylądowaniem na wyspie Wake.

Z Nowego Jorku zadzwonił wreszcie do Ilse i opowiedział jej, co się stało. Kiedy odłożył słuchawkę, poszedł do baru dla pasażerów pierwszej klasy i bez słowa zalał się w pestkę. Gdy dziesięć godzin później zadzwonił do niej ponownie z San Francisco, histeria już minęła, Ilse tylko chlipała i próbowała być dzielna. Potem poprosił teścia, który zapewnił go, że cokolwiek by się działo, może się nie martwić o Ilse i P. P., bo on się nimi zajmie. Życzył mu powodzenia i boskiej opieki.

Z San Francisco zadzwonił też do Portera. Poprosił go, by osobiście zajął się (to znaczy, żeby poleciał do Europy i dopilnował adwokatów) sprawami pułkownika. Miał też przekazać Ilse, że jego wojskowa pensja starczy aż nadto na zaspokojenie jego potrzeb i że na konto nadal będzie wpływać jego pensja z banku.

- Porter, ma jej starczyć na życie i wszelkie potrzeby, rozumiesz? Nie chcę, żeby musiała oszczędzać i prosić kogokolwiek o cokolwiek.

- Na Boga, Craig, nie martw się teraz o to. Przecież ona należy do rodziny, to się rozumie samo przez się!

W jakiś niepojęty sposób to krótkie zdanie Portera, który, generalnie rzecz biorąc, był dupkiem pierwszej wody, uspokoiło go.

- Masz rację, Porter. Ona należy do rodziny.

- Martw się raczej o siebie, stary. Skoro się uparłeś nadstawiać tyłek w tej awanturze, mogą dla ciebie zrobić przynajmniej tyle, żebyś się nie musiał martwić o utrzymanie żony i dziecka. Matką doskonale zajmuje się Andre, więc o nią też nie musisz się martwić. Wszyscy przejmują się raczej twoim losem.

- No dobra, grubasie, tylko trzymaj swoje lepkie paluchy z daleka od mojej kasy - zakończył Craig i odłożył słuchawkę, w obawie, żeby się nie rozplakać.

Wojskowy autobus czekał na nich przed bramą bazy lotniczej Tachikawa koło Tokio. Pojechali pomiędzy polami ryżowymi i błotnistymi terenami przemysłowymi do bazy Camp Drake. Tam przydzielono mu pokój w hotelu oficerskim, szafkę na mundur wyjściowy, służbowy i tropikowy (które będą przechowywane

w bazie do jego ewentualnego powrotu z Korei), hełm M1, pistolet Colt wz. 1911A1, pas do pistoletu wz. 1936, kaburę wz. 1916, ładownicę wz. 1912 na dwa zapasowe magazynki do pistoletu, pojemnik wz. 1942 na opatrunek osobisty oraz busole marszową M1. Po co miała mu być potrzebna ta ostatnia, nie miał pojęcia. Drelichy i buty polowe mieli dostać następnego dnia, wtedy też mieli pójść na strzelnicę, żeby zaliczyć strzelanie z czterdziestki piątki. Do tego czasu nie wolno mu było wychodzić poza teren hotelu oficerskiego i kasyna. W kasynie był telefon, zamówił więc następną rozmowę z Ilse. Czekał właśnie na połączenie, które miało nastąpić o 3.10 czasu tokijskiego, kiedy do kasyna wszedł podoficer, który wyraźnie kogoś szukał. Dyżurny wskazał na siedzącego opodal Craiga.

- Kiedy nie mogłem pana znaleźć w hotelu, zacząłem się bać, że się pan urwał na noc do miasta, sir - powiedział, kiedy się zbliżył.

- Zamówiłem rozmowę z żoną.

- Na zewnątrz czeka samochód, sir - odparł sierżant, jakoś nagle niezręcznie. - Odlatuje pan C-54* do K1, to znaczy do Pusan, o 4.00. Z tym pańskim priorytetem musi pan się stawić.

C-54 okazał się starą, poobijaną transportową landarą. Całą drogę do K1, lotniska koło Pusan na południowym krańcu Półwyspu Koreańskiego, przemęczył się, leżąc na perforowanej aluminiowej podłodze.

Na lotnisku nikt na niego nie czekał. Żaden z lotników kłębiących się w zatłoczonym baraku terminalu nie miał nawet bladego pojęcia, gdzie można szukać 73. Samodzielnego Batalionu Czołgów Średnich.

- Jak się panu nie uda ich wydzwonić przez pieprzony telefon - zdobył się któryś na światłą radę - to nikt nie ma pieprzonego pojęcia, gdzie się zadekowali.

Lowell wziął więc swoją teraz prawie pustą brezentową walizkę (z całego bogactwa pozostały mu cztery komplety drelichów roboczych i tyleż zmian bielizny, druga para butów czołgowych, zestaw do golenia i Luger, ponemiecka pamiątka z Grecji) i wyszedł z terminalu.

* Douglas C-54 Skymaster, czterosilnikowy samolot transportowy w układzie dolnopłata z podwoziem przednim. Wojskowa wersja Douglasa DC-4 używana była w armii amerykańskiej aż do czasów wojny wietnamskiej. Jego wersja luksusowa VC-54C "Sacred Cow" (Święta Krowa) stała się pierwszym oficjalnym samolotem prezydenckim używającym sygnału wywoławczego Air Force One (przyp. tłum.).

Pierwszym, co poczuł na zewnątrz, był obrzydliwy fetor. Korea śmierdziała straszliwie, gdyż, jak się jeszcze tego dnia dowiedział, do użyźniania pól ryżowych używano tu ludzkich odchodów. Drugie wrażenie dotyczyło stanu amerykańskich sił zbrojnych w Korei - był równie zaszary jak pola ryżowe, wśród których przyszło im walczyć. Wokół dawała się wyczuć atmosfera desperacji, gorączkowego napięcia, nawet strachu. Widać było, że niegdyś dumna Armia Wuja Sama zbiera ciężki.

Udało mu się złapać okazję i ciężarówka z amunicją zawiozła go do samego Pusan, gdzie wyskoczył koło żandarma stojącego na skrzyżowaniu i próbował się od niego dowiedzieć, gdzie szukać swojej jednostki.

- O ile wiem - rozłożył ręce żandarm - są gdzieś nad Naktong. Wszystko się tu popierdoliło, sir.

Złapał mu następną okazję, jepea żandarmerii, który podrzucił go na obrzeża miasta, na główną drogę, którą dowożono zaopatrzenie. Była to niegdyś porządna dwupasmowa, asfaltowa szosa, którą teraz nadmierny ruch ciężarówek, artylerii i czołgów zamienił w wyboisty, pyłący polny trakt.

Lowell stanął na poboczu i próbował bezskutecznie zatrzymać jakiś wóz, machając ręką z pobocza. Żaden z ciągnących drogą pojazdów nawet nie zwolnił. W końcu Lowell wyszedł na środek drogi i unosząc rękę jak policjant zatrzymujący ruch na skrzyżowaniu, zdołał zmusić do zatrzymania kolejnego dodge'a. Po dwóch godzinach łapania okazji i wypytywania dotarł wreszcie do dowództwa 73. Batalionu na południowym brzegu rzeki Naktong.

Stanowisko dopiero się organizowało. Rozebrani do pasa, spoceni żołnierze sy-pali do worków gliniasty piach i okładali nimi wtulony w zbocze wzgórza drewniany szkielet budowanego schronu stanowiska dowodzenia.

Mimo że prace jeszcze się nie skończyły, stanowisko było już użytkowane. Kiedy Lowell tam wszedł, potężny sierżant nanosił sytuację dermatografem na pokrytą celuloidem mapę sytuacyjną. Obok żołnierz obsługiwał centralkę telefoniczną, a dalej, nad małym połowym biurkiem pochylali się dwaj oficerowie: żyłasty podpułkownik i dość otyły major. Przed nimi na blacie leżały jakieś zestawienie i spisy kwater mistrzowskie.

Podszedł do biurka i zaczekał, aż go zauważą. Pierwszy odezwał się major.

- Czym mogę panu służyć, kapitanie?

Lowell stanął na baczność i zasalutował.

- Kapitan C. W. Lowell melduje się do służby, sir!

Żyłasty podpułkownik odsalutował.

- Ma pan rozkazy, kapitanie?

Lowell podał mu je.

Podpułkownik uważnie przeczytał dokument, po czym przekazał go majorowi.

- Ma pan oprócz tego kopię?
- Tak jest, sir.

- Przejdźmy się na mały spacer, kapitanie - powiedział pułkownik i podał mu rękę. - Jestem Paul Jiggs, dowódca tej zadziwiającej jednostki - stwierdził, uśmiechając się gorzko.

Lowell uściśnął mu rękę.

- Major Charley Ellis, mój S-3* - przedstawił Jiggs. - Zastępcy na razie nie mam, bo dostał w łeb, zanim zdołał tu dotrzeć.

Lowell zdawał sobie sprawę, że nowy dowódca uważnie go obserwuje, i starał się nie zareagować na to dość obcesowe stwierdzenie. Kiedy tak patrzyli na siebie z kamienną twarzą, major Ellis podał mu rękę i uśmiechnął się promiennie.

- To nie potrwa długo, Charley - powiedział pułkownik. - Tymczasem rób, co uważasz za słuszne.

- Tak jest.

Pułkownik Jiggs położył rękę na ramieniu Lowella i wyprowadził go z bunkra. Obeszli budowlę dookoła i ruszyli na szczyt wzgórza, na którego zboczu go wybudowano.

- To jest Naktong. - Wskazał na rzekę. - Jeśli ją sforsują, to będziemy mieli powtórkę z Dunkierki, z tą drobną różnicą, że mamy do przepłynięcia nie dwadzieścia mil do białych klifów Dover, tylko całe Morze Japońskie.

- A sforsują?

- Nie, oczywiście że nie - sarkastycznie uśmiechnął się Jiggs. - Choćby z tego powodu, że na jej linii okopuje się mój cudowny batalion. Używam tego określenia całkiem serio, panie kapitanie, bo to rzeczywiście cud. 73. Samodzielny Batalion Czołgów Średnich nie istniał jeszcze miesiąc temu. Ale teraz, jak za uderzeniem laski Mojżesza, cudownie wytrysnął ze skały, by walczyć za Boga i Ojczyznę swoimi zmiotkami z przeróżnych składnic uzbrojenia, obsadzonymi przez batalionowe ofery, pisarzy, kucharzy, dżentelmenów specjalnie na tę okazję wypuszczonych z więzień na terenie całej Armii Okupacyjnej i tym podobnych supermanów.

* Stanowiska szefów działów sztabu większych jednostek (od batalionu wzwyż) w armii amerykańskiej oznaczone są numerami tych działów. I tak S-1 (od szczebla dywizji wzwyż G-1) odpowiada za dział pierwszy, czyli sprawy personalne, S-2 (G-2) kieruje wydziałem drugim, czyli rozpoznaniem i wywiadem, S-3 (G-3) kieruje planowaniem operacyjnym i szkoleniem, a S-4 (G-4) zaopatrzeniem (przypr. tłum.).

Czy moja ocena naszej sytuacji bojowej jest dla pana dosyć jasna?

- Tak jest, sir. Wydaje mi się, że zrozumiałem, o czym pan mówi.

- Proszę mi wybaczyć, kapitanie, bo nie ma w tym nic osobistego, ale muszę się panu przyznać do sporego rozczarowania tym, co uzyskałem w odpowiedzi na moje naglące prośby o doświadczonego dowódcę kompanii. W swojej naiwności sądziłem, że jednostka zajmująca ważną pozycję na pierwszej linii frontu zostanie wzmocniona dowódcą kompanii z doświadczeniem bojowym. I co dostaję? Niedzielnego żołnierza z Gwardii Narodowej, sądząc z naszywki na pańskim rękawie, w dodatku... Wybaczy pan, ale pański wiek nie wskazuje na to, że mógł pan zostać kapitanem, a tym bardziej dostać Odznakę Bojową Piechoty.

Lowell poczerwieniał, ale nie powiedział ani słowa.

- W dodatku takim, który, sądząc z tekstu tego rozkazu - ciągnął Jiggs - albo jest wyjątkowym nieudacznikiem, albo ma wysoko postawionych przyjaciół, a najprawdopodobniej i jedno, i drugie. - Nie mogąc się doczekać odpowiedzi, Jiggs ciągnął dalej: - Oczekuję pańskiej odpowiedzi. Tylko proszę nie marnować mojego czasu.

- Co chciałby pan usłyszeć, sir?

- Zaczniemy od tego, ile pan ma lat?

- Dwadzieścia trzy, sir.

- O cholera! Jak pan zdołał zostać kapitanem w wieku dwudziestu trzech lat?

- Tak naprawdę, panie pułkowniku, to zawarłem układ z dowódcą pułku pensylwańskiej Gwardii Narodowej. Ja mu miałem naprawić jego M46, a on miał mi za to załatwić kapitańskie szyny. Załatwił, więc doprowadziłem do użytku jego czołgi.

- No tak, ładne rzeczy! Cholerna Gwardia ma Pattony, a ja się tu muszę pieprzyć z rozklekotanymi Shermanami jeszcze z czasów wojny!

Kiedy pułkownik wyładował już swoją złość na zaopatrzenie, przypomniał sobie o czym innym.

- A gdzie pan poznał M46 na tyle, żeby móc je naprawiać?

- Poprzednio służyłem w Biurze Wdrożeń Broni Pancernej. Pracowałem tam przy próbach armaty kal. 90 mm.

- W jaki sposób załatwił pan sobie taki przydział?

Lowell nic nie odpowiedział.

- Zresztą nieważne. Wierzę panu na słowo. Obiecano mi Pattony. Jeżeli jakimś szczęśliwym zrządzeniem losu obaj dożyjemy tej chwili, będzie okazja sprawdzić, czy z pana rzeczywiście taki spec od M46. Proszę mi jeszcze opowiedzieć o tej

odznace. To z wojny? Chodzi mi o to, że w wieku dwudziestu trzech lat byłby pan cholernie młodym weteranem wojny, prawda?

- Zostałem powołany już po wojnie. Odznakę dostałem za Grecję.
- A co pan tam robił?
- Byłem doradcą w 27. Dywizji Górskiej.
- W Grecji nie było czołgów.
- Przecież nie mówię, że były, sir.
- Ma pan coś do powiedzenia na temat tego pańskiego rozkazu? To dość nie-
zwykle, żeby sam zastępca szefa sztabu ds. personalnych osobiście zajmował się
przydziałem dwudziestotrzyletniego kapitana, zgodzi się pan?

- Nie, panie pułkowniku, nie mam nic do powiedzenia na ten temat.
- To co, Lowell, ma pan wpływy czy taki nieudacznik z pana?
- Jedno i drugie, sir.

Po raz pierwszy pułkownik Jiggs uśmiechnął się do niego.

- Czuje się pan na siłach dowodzić kompanią czołgów, Lowell?
- Nie, sir. Być może sprawdziłbym się w plutonie, ale kompania to trochę po-
nad moje siły, sir.

- Czyżby? Co pan taki skromny, kapitanie?

- Jestem realistą, sir.

- Jest pan kapitanem. Plutonami dowodzą porucznicy.

- Jeśli o mnie chodzi, z chęcią panu oddam szyny. Jeśli da mi pan pluton, po-
winienem sobie poradzić, sir.

- Nie, Lowell, tak się tego w wojsku nie załatwia. Od tej pory jest pan dowód-
cą kompanii B. Proszę się tam zabierać, rozejrzeć się i zadowolić, a ja dziś wie-
czorem albo jutro rano zajrzę, żeby zobaczyć, jak panu leci. Wtedy dokończymy tę
naszą fascynującą rozmowę.

4

Kompania B

73. Samodzielnego Batalionu Czołgów Średnich

Naktong, Korea Południowa

24 lipca 1950

Jeepem, który przyjechał po niego z kompanii, kierował nieogolony sierżant w
przeпоconych drelichach. Na plecach i pod pachami widniały białe plamy. Przy-
najmniej widać, że biorą tabletki soli, pomyślał Lowell. Przynajmniej mają tabletki

soli, żeby je brać, poprawił się zaraz.

W taksującym spojrzeniu sierżanta zauważył rezygnację i pogardę. Przyjechał po dowódcę kompanii, a zobaczył szczawika z naszywką 28. DP Gwardii Narodowej stanu Pensylwania na przepeczonej koszuli.

- Przejmuje pan kompanię? - zapytał.

Kiedy podoficerowie nie lubią jakiegoś oficera, zwracają się do niego samym stopniem, nie mówią „panie kapitanie” ani tym bardziej „sir”.

- Owszem.

- Świeżo ze Stanów, co?

- Świeżo ze Stanów, panie kapitanie? - poprawił go Lowell. - Owszem, sierżancie, prosto ze Stanów. I owszem, jestem zasranym gówniarzem z Gwardii Narodowej. I owszem, jeśli następnym razem znowu zapomni pan dodać „sir”, to zdegraduję pana do szeregowego. Zrozumiano?

- O w mordę - usłyszał w odpowiedzi. Odwrócił się do sierżanta, by zgromić go wzrokiem, kiedy zauważył, że stary podoficer się uśmiecha. - Pan kapitan czyta w myślach?

- A jak się panu zdaje?

- Większość rezerwistów trafia do nas w świeżo wyfasowanych mundurkach - zauważył sierżant, przyglądając się spranym szwom jego drelichowej koszuli. - Czyżby i to się tam skończyło?

- Nie mam pojęcia. Nic mi nie dali.

Sierżant bez słowa pokiwał głową. Nie powiedział do Lowella „sir”, w ogóle nic nie powiedział, ale w jego głosie nie było już niemal jawnej niesubordynacji, jak na początku, więc postanowił mu odpuścić.

- A w kompanii brakuje umundurowania? - zapytał, kiedy ruszyli jeepem wyboistą, stromo wznoszącą się drogą.

- Wszystkiego brakuje - odparł i po chwili przypomniał sobie, że ma dodać: - Panie kapitanie.

- Czym pan się zajmuje w kompanii?

- Miałem czołg, ale straciłem, panie kapitanie.

- Co się stało?

- Rozkraczył się sukinsyn ze starości. Silniki nie wytrzymują tego pieprzonego upału. Nic nie wytrzymuje długo tego pieprzonego upału.

- Co robi kompania?

- Siedzi na brzegu Naktong i czeka, aż żółtki się ruszą.

- Czyli czołgi służą głównie jako umocnione punkty ogniowe?

- W rzeczy samej, sir - odparł sierżant, wyraźnie zdumiony

tym, że ich nowy dowódca ma na tyle pojęcia o wojsku, żeby wiedzieć, o co pytać.

- Gąsienice sprawdzacie? Będą w porządku, jeśli trzeba się będzie ruszyć?
- Niektóre pewnie tak. Inne nie.
- Remonty?
- Pan kapitan żartuje? - w głosie sierżanta dały się słyszeć gorycz i rezygnacja.

Dojechali do stanowiska dowodzenia. Podobnie jak stanowisko dowodzenia batalionu, było wtulone w zbocze wzgórza i trwały prace nad jego wznoszeniem. Obok, pod namiotem bez ścian, rozłożyła się kuchnia, a za nią rosła kępa wysokich, cienkich osik. Na środku wznosił się olbrzymi stos łusek armatnich, a dalej nie mniej potężny zwał drewnianych skrzynek i kartonowych rur, w których dostarczano naboje ze składnic. Obok, na spieczonym gołym klepisku rozstawiono trzy ośmioosobowe namioty dla ludzi. Wokół wykopano osłonięte workami z piaskiem jedno- i trzyosobowe wnęki przeciwośląmkowe oraz jeden duży schron, który Lowell ocenił na osiem osób. Wnęki miały zapewnić mieszkańcom namiotów ochronę przed odłamkami pocisków artyleryjskich i moździerzowych, ale wykopano je w niewłaściwych miejscach.

Lowell ucieszył się, że zauważył coś, co było nie w porządku. Mogło to oznaczać, że dotychczasowy dowódca wie o tym jeszcze mniej od niego.

- Porucznik jest pewnie tam - powiedział sierżant. Lowell spojrzął na niego, unosząc brew w niemym pytaniu. Sierżant po chwili zrozumiał, na co czeka. - Panie kapitanie.

- No, uczy się pan, sierżancie - uśmiechnął się Lowell.

Sierżant mówił, że porucznik jest w bunkrze, ale kiedy wysiedli z jeepa, Craig skierował się nie tam, lecz do namiotów. Wsadzał głowę kolejno do każdego z nich. W każdym spali ludzie, rozciągnięci na składanych brezentowych łóżkach polowych. W każdym z nich śmierdziało potem i mokrymi butami.

Potem nowy dowódca kompanii ruszył w kierunku szczytu wzgórza, u którego stóp wzniesiono bunkier. Tuż poniżej szczytu, na przeciwstoku, stało osiem średnich czołgów M4A3 Sherman zasłoniętych przed wrogiem. W razie potrzeby wystarczyło podprowadzić każdy z wozów kilka metrów do przodu, by mogły prowadzić ogień w kierunku rzeki. Czterysta metrów w lewo leżał w jej nurcie wysadzony most kolejowo-drogowy.

Lowell podszedł do najbliższego czołgu. Ociekający potem członkowie załogi siedzieli lub leżeli w jego cieniu. Dwaj byli nadzy do pasa, wszyscy zaś brudni, wycieńczeni i nieogoleni. Żaden z nich nie wstał ani nawet się nie ruszył na jego

widok. Stał nad jednym z nich i patrzył na niego tak długo, aż wreszcie zmusił go do powstania.

- W jakim stanie jest twój czołg?
- Przegrzewa się - odparł czołgista.

Lowell popatrzył na niego, jakby nie rozumiał.

- No, przegrzewa się. Woda się gotuje. Pieprzone filtry są całe zapaprane, tak samo jak chłodnica.

- Od tej pory będziesz się do mnie zwracał „sir”, żołnierzu.

- Tak jest, sir. Przegrzewa się, sir. A pan kapitan, co, jakiś inspektor czy jak?

- Jestem waszym nowym dowódcą - odparł Lowell. - Co masz zamiar zrobić, żeby oczyścić te filtry? Żeby przepłukać chłodnicę? - Nie słysząc odpowiedzi, podszedł do czołgu, stanął z tyłu i wsadził rękę do żaluzji wylotowej chłodnicy. Wyciągnął garść pełną ziemi i grudek smaru. - Żeby usunąć stąd ten syf i błoto?

- Panie kapitanie, w tym pieprzonym upale nie da się nad tym pracować. Człowiek z miejsca dostanie udaru albo się poparzy - czołgista cierpliwie tłumaczył tyłowemu idiocie rzeczy, które dla nich, tu, na froncie, były oczywistością.

- Sprawdzalesz dzisiaj poziom elektrolitu w akumulatorze?

- Tak jest, sir.

- A więc można oczekiwać, że zaskoczy?

- No, pewnie tak, sir...

Lowell obszedł czołg, wciągnął się po lufie na przedni pancierz i wskoczył na miejsce mechanika kierowcy. Wewnątrz było gorąco jak w piecu, pewnie ze 45 stopni, albo i więcej. Ledwie usiadł, poczuł, jak pot leje się z niego strumieniami. Kiedy wcisnął starter, rozrusznik zajęczał, zamiast zawyć. Akumulator musiał być bardzo słaby, ale silnik zapalił. Po chwili, kiedy wyrównał obroty, Lowell sięgnął do dźwigni sterujących, ale okazało się, że są za gorące. Wpadające przez otwarty właz promienie słoneczne rozgrzały je tak, że musiał puścić uchwyt i krzywiąc się z bólu, sięgnął po chusteczkę i obwiązał nią dźwignię.

Ze dwa razy wcisnął pedał gazu, zwiększając obroty i zmniejszając, by ostrzec ludzi, że będzie ruszał. Zablokował sprzęgłem lewą gaśienicę, a na prawą wrzucił wsteczny. Czołg szarpnął i zawrócił w miejscu. Kiedy ujrzał przed sobą obóz, zatrzymał pojazd i szybko zjechał ze wzgórza, obok namiotu kuchennego, dziesięć metrów w głąb osikowego zagajnika i wysiadł.

Zanim doszedł do namiotu kuchennego, ktoś zawiadomił o jego przybyciu pełniącego obowiązki dowódcy kompanii. Był nim tykowaty, nieogolony porucznik

w pokrytym plamami soli mundurze polowym.

- Czy pan jest kapitan Lowell?

- Poruczniku, proszę się ogolić i przebrać w świeży mundur - osadził go z miejsca Lowell. - A potem proszę się jeszcze raz zameldować jak należy.

Nie zadając sobie trudu wysłuchania odpowiedzi, odwrócił się do niego plecami i spojrzął w kierunku stanowiska, z którego zabrał czołg. Jego załoga stała tam nadal, zachodząc w głowę, co wyprawia ten cymbał, który zabrał im czołg. Wskazał na nich wyciągniętą ręką, po czym zgiął ją w łokciu, uniósł zwiniętą pięść nad głowę i kilkakrotnie opuścił, jakby coś pompował. Ten sygnał w wojsku oznacza: „Do mnie, biegiem marsz!”, więc czołgiści, z razu powoli, krok za krokiem, ruszyli w jego kierunku. Pod koniec zbrocza przyśpieszyli nawet do lekkiego truchtu.

- Tak jest, sir? - odezwał się ten, z którym rozmawiał na wzgórzu.

- Jesteś dowódcą tego czołgu?

- Tak jest, sir.

- Wiesz, w którym namiocie śpi szef kuchni?

- Tak jest, sir - żołnierz najwyraźniej był zbity z tropu.

- Proszę go wezwać, sierżancie. Niech pan zwinie jego namiot, a potem resztę, rozetnie je wzdłuż szwów i zrobi z nich daszek nad czołgiem, tam gdzie go zaparkowałem. Potem proszę przepłukać filtry i chłodnicę, nie zapominając o oczyszczeniu żaluzji. Kiedy pan skończy, może pan iść spać wraz z pozostałymi.

- Pociąg namioty, sir?

- Zdany do walki czołg uratuje życie pańskie, moje i kucharzy. Do ochrony czołgu przydadzą się bardziej niż na sypialnię dla szefa kuchni.

- Tak jest, sir - odparł dowódca załogi z zapalem.

Pomysł zerwania szefa kuchni z błogiej drzemki wyraźnie przypadł mu do gustu.

Szef kuchni, trzydziestoparoletni grubas w rozpiętej koszuli i niezasnurowanych butach, pojawił się kilka minut później.

- Panie kapitanie, z tych namiotów korzystają przecież także pozostali żołnierze, nie tylko kucharze i służba kuchenna - tłumaczył.

- Od tej pory nie będą - uciał Lowell. - Ma pan coś chłodnego do picia, sierżancie?

- Lodu ani nic takiego nie mamy, sir, jeśli o to pan pyta.

- To proszę przynieść, co pan ma.

Sierżant potruchtał do wiszącego w kuchni zbiornika i wrócił z kubkiem od

manierki pełnym wody. Lowell upił łyk i wypluł wodę z obrzydzeniem.

- To środek uzdatniający, sir. Nic na to nie mogę poradzić.

- Wodę można uzdatniać przez gotowanie, sierżancie. Tabletki uzdatniające mają służyć w przypadku, kiedy nie można wody uzdatnić w inny sposób. Dlaczego jakoś nie widzę, żebyście gotowali tę wodę?

Nie dostał żadnej odpowiedzi, a zresztą i tak jej nie oczekiwał. Szef kuchni nagle jakoś zmalął, jakby ktoś wypuścił z niego powietrze.

- A wie pan chociaż, jak robić wojskowy napój truskawkowy?

- Co takiego, sir?

- Bierze się dżem truskawkowy z puszki i gotuje, stopniowo dodając przegotowaną wodę. Nie jest to może jakiś delikates, ale na pewno lepsze niż te śmierdzące chlorem końskie szczyny, które pan do tej pory dawał żołnierzom do picia. Niech ktoś się tym zajmie od zaraz.

- Panie kapitanie, nie wiem, czy mamy dżem truskawkowy.

- To niech będzie taki, jaki jest - odparł lodowato Lowell. - A jak nie ma żadnego, to niech się pan zakręci i ukradnie skądś.

W tej chwili powrócił porucznik pełniący obowiązki dowódcy kompanii, ubrany w czysty, choć niewyprasowany mundur. Podeszedł do Lowella, stanął na baczność i zaszalutował.

- Kapitanie, pełniący obowiązki dowódcy kompanii, porucznik Sully, Thomas J., melduje się na rozkaz.

Lowell zdawkowo odsalutował.

- Nazywam się Lowell, poruczniku. Niniejszym obejmuję dowództwo kompanii. Proszę się zająć sporządzeniem rozkazu dziennego, uwzględniającego ten fakt i przedstawić mi go do podpisu.

- Panie kapitanie, ale przecież nie przydzielili nam nawet maszyny do pisania.

- To proszę znaleźć kogoś, kto wyraźnie pisze. Gdzie szef kompanii?

- Panie kapitanie, pełnimy służbę na zmianę, po dwanaście godzin. W tej chwili śpi.

- Gdzie?

- W bunkrze, sir.

- Ma zastępcę?

- Sierżant Williams. Przywiózł tu pana, sir.

- A, ten. - Rozejrzał się wokół, a kiedy zauważył sierżanta Williamsa, przywołał go gestem.

- Tak jest, sir.

- Słyszał pan, co kazałem zrobić z namiotami?

- Tak jest, sir. Pociąć i zrobić z nich daszki przeciwsłoneczne.
- Dziś po południu albo jutro rano przyjedzie tu na inspekcję pułkownik Jiggs. Do tego czasu namioty mają zniknąć, te latryny, które ktoś wykopał wokół nich, mają być zasypane i zastąpione schronami z prawdziwego zdarzenia w miejscach zasłoniętych przed ogniem. Zrozumiano?

- Tak jest, sir.
- Idę do szefa kompanii. Mam zamiar się z nim spotkać na osobności i przekonąć się, czy jest takim samym nieudacznikiem jak wszyscy, których tu do tej pory widziałem.

Ruszył szybkim krokiem do bunkra i zniknął w wejściu.

- Jezu, a temu co się wydaje? Że jest Pattonem, czy jak? - mruknął porucznik Sully.

- Nie wiem, panie poruczniku - odparł z zadumą w głosie sierżant Williams. - Mam wrażenie, że ten facet wie, co robi. Może trochę oświeconego zupactwa to akurat to, czego naszej walecznej kompanii brakuje? Nie obrażając nikogo - dodał, kiedy zdał sobie sprawę z tego, co powiedział.

Wrócił szef kuchni.

- Panie poruczniku, jedyny dżem, jaki mamy, to ten w małych puszkach w racjach dziennych. Naprawdę chce pan, żebym rwał kartony i otwierał wszystkie puszkę, jak kazał kapitan?

- To, czego ja chcę, nie ma nic do rzeczy, Feeny. Liczy się to, że nowy dowódca kompanii kazał gotować wodę i robić z tego dżemu napój dla żołnierzy. Sądząc po tym, co dotychczas widziałem, na pańskim miejscu wyjąłbym ołów z dupy i robił, co mi kazano.

Jeep podpułkownika Paula T. Jiggsa pojawił się na pozycjach kompanii B następnego dnia wczesnym rankiem. Zastał żołnierzy golących się nad hełmami pełnymi wody, poprzebieranych w robocze mundury, podczas gdy ich kombinezony schły rozwieszane obok. Wszyscy nosili pistolety w podramiennych kaburach. Nad czołgami na przeciwstoku wzgórza rozciągnięte były daszki chroniące je od słońca.

Kiedy spotkał kapitana Lowella, na jego rękawie nie było już Wiadra Krwi, oznaki 28. Dywizji Piechoty Gwardii Narodowej stanu Pensylwania. Dowódca kompanii stał w namiocie kuchennym, doglądając szefa kuchni (samego szefa, nie któregoś z kucharzy) robiącego jajecznicę z jaj w proszku. Kapitan miał gołą głowę, zza paska spodni wystawała mu kolba niemieckiego Luger'a, a w ustach trzymał duże, czarne cygaro.

Na widok Jiggsa wyjął je z ust i uśmiechając się od ucha do ucha, oddał mu honory tak niedbale, że prawie na granicy drwiny.

- Dzień dobry, sir. Może śniadanko?
- Dziękuję, już jadłem.
- To może chociaż kubek doskonałego chłodnego wojskowego napoju truskawkowego? Z żalem przyznaję się do braku soku pomarańczowego, ale sierżant pracuje i nad tym.

- Z chęcią.

Niech mnie szlag, pomyślał Jiggs, ten szczawik naprawdę wie, co robi.

V

1

Frankfurt nad Menem

Niemcy

30 sierpnia 1950

Czarny buick roadmaster, troskliwie utrzymywany i woskowany od dnia, kiedy pół roku wcześniej dostarczono go do Centrum Samochodowego Europejskiej Służby Zaopatrzenia, zasygnalizował kierunkowskazem, że będzie skręcał w prawo, zwolnił i zjechał z autostrady na stację benzynową wojsk amerykańskich przy zjeździe do Frankfurtu.

Kierowca, młody, ale już łysiejący, podjechał wolno do rzędu dystrybutorów i otworzył opuszczaną elektrycznie szybę, po czym poprosił obsługującego, żeby zatankował do pełna i zajrzał pod maskę. Pociągnął za uchwyt ciężła otwierającego zamek maski, po czym włożył czapkę i wysiadł. Na naramiennikach jego zielonej kurtki mundurowej widniały srebrne kapitańskie szyny, na klapach skrzyżowane karabiny piechoty. Na rękawie przyszyta była oznaka Dowództwa Sił Armii Stanów Zjednoczonych w Europie, miecz płomienisty na granatowym tle. Nad kieszenią na piersi nie było jednak baretek ani odznaki spadochronowej czy innych odznak specjalistycznych. Mundur okrywał drobnego, niskiego mężczyznę o semickim wyglądzie.

Baretki zostały w szufladzie w kwaterze kapitana. Były tam i Brązowa Gwiazda za osiągnięcia w zespole wywiadu przesłuchującym niemieckich jeńców w czasie wojny, druga Brązowa Gwiazda za rolę w wyprawie Grupy Bojowej Parkeera, która wyzwoliła pod koniec wojny kilkuset amerykańskich jeńców, Srebrna Gwiazda za „doradztwo wojskowe” w Grecji już po wojnie, spadochroniarskie

„lody w wafli” z mistrzowską gwiazdą oraz wąska naszywka na rękaw ze słowem RANGER - znak przynależności do elity Armii Stanów Zjednoczonych. A do tego jeszcze sygnet, prawdziwy złoty sygnet z ametystem Bractwa Pierścionkarzy, który dowodził, że właściciel jest absolwentem West Point z rocznika 1946.

Te baretki przeczyły wrażeniu, jakie kapitan robił samym wyglądem, a w jego profesji takie kontrasty są niewskazane. Kapitan pracował w wywiadzie i powinien się wtapiać w tłum. A żydowski kurdupel ze złotym sygnetem, baretkami wysokich odznaczeń bojowych, odznaką spadochroniarską i jeszcze naszywką Rangera rzucał się w oczy nawet w tłumie.

Kobieta, jeszcze drobniejsza od kapitana, otworzyła tylne drzwi auta i wysiadła z niemowlęciem w ramionach. Ubrana była w czarne spodnie, prosty, czarny żakiet i mały, czarny kapelusik. Na piersi miała przypiętą niewielką broszkę, a na szyi na łańcuszku wisiała złota gwiazda Dawida.

Kapitan obszedł samochód i otworzył przednie drzwi od strony pasażera, po czym z umocowanego tam fotelika wyciągnął małego chłopca. Podniósł go na wysokość piersi i obwąchał.

- Nie mogłeś poczekać?

- Sandy, to przecież jeszcze małe dziecko - powiedziała kobieta. - A poza tym to była długa droga.

Wzięła od niego chłopca i z dziećmi na rękach poszła w kierunku damskiej toalety. Kapitan wyjął z bagażnika torbę na pieluchy zrobioną z gumowanego brezentu. Sharon nie ufała tym nowym jednorazowym pieluchom. Według niej nie tylko były wręcz zbrodniczo drogie, a w dodatku, o czym była święcie przekonana, drażniły skórę dziecka. Używała więc pieluch tetrowych, które płukała i pakowała do tej torby, żeby uprać w domu. Po przyjeździe znowu będzie musiał wietrzyć bagażnik co najmniej przez godzinę i zużyć całą puszkę odświeżacza powietrza w aerozolu, żeby zabić zapach moczu.

Zapukał w drzwi damskiej toalety, dając znać żonie, że torba jest za drzwiami. Kiedy sam skorzystał z ubikacji, wrócił do dystrybutora, by popatrzeć, jak pracownik stacji sprawdza olej, poziom płynu do spryskiwacza, płynu hydraulicznego w zbiornikach instalacji hamulcowej i serwomechanizmie. Wyjął ze schowka na rękawiczki mały notes z ołówkiem, w którym zapisał stan licznika, ilość zatankowanej benzyny i wszelkie czynności obsługowe, po czym wyliczył (z dokładnością do dwóch miejsc po przecinku) zużycie paliwa.

Gdyby nie mundur i miejsce - autostrada pod Frankfurtem - byłiby typową amerykańską rodziną w podróży, która zajechała na stację zatankować.

Sharon skończyła przewijając dzieci i wróciła do samochodu. Kiedy posadziła

jedno z nich w foteliku z przodu i wsiadła z drugim do tyłu, kapitan zapłacił okupacyjnymi bonami dolarowymi i kuponami benzynowymi za paliwo. Wsiadł za kierownicę i pojechali dalej w kierunku Frankfurtu.

Parking na tyłach frankfurckiej kaplicy garnizonowej był w połowie wypełniony samochodami, z których wiele miało tablice rejestracyjne garnizonów amerykańskich spoza Frankfurtu. Kapitan znalazł miejsce i zaparkował swój wóz na monachijskich numerach wśród innych, które, sądząc po tablicach, przyjechały z Norymbergi, Heidelbergu, Bad Tölz, Berlina, Stuttgartu, a nawet Salzburga i Wiednia.

Był to okresowy zjazd wojskowych Amerykanów wyznania mojżeszowego z całej Armii Okupacyjnej. Odbывał się on co drugi miesiąc i organizowany był na zmianę przez wszystkie skupiska Żydów, które miały własnego rabina. W czasie zjazdów goszczono się nawzajem i zwiedzano okolicę, ale głównym zadaniem tych zjazdów było podtrzymywanie więzi pomiędzy współwyznawcami. Kapitan Felter miał na ten temat nieco odmienny pogląd. Według niego służyły one głównie obżarstwu. Pani Felter udawała zgorzoniałą, ale ledwie powstrzymała się od śmiechu, gdyż było w tym sporo prawdy. Każdy gospodarz stawał na głowie, byle tylko zaćmić poprzedników i olśnić gości jakością, a zwłaszcza ilością, jedzenia i picia w ciągu dwu i pół dnia zjazdu. Dotychczas niekwestionowanym prowadzącym w tej nieoficjalnej konkurencji był Stuttgart. Poza pieczonymi kurczakami, siekaną wątróbką, faszzerowaną rybą i całą resztą, na stół wjechał świeży sok pomarańczowy, sałatka owocowa i dwa rodzaje win prosto z Izraela. Wszyscy poza Felterem byli zaskoczeni i zachodzili w głowę, jak gospodarzom udało się to zorganizować. Kapitan Felter, z racji obowiązków zawodowych, wiedział to aż za dobrze.

Tuż za kapitanem na parking wjechały trzy wojskowe autobusy na podwoziach ciężarówek GMC, którymi miano ich po południu obwieźć po mieście. Po powrocie z objazdu, kiedy zajdzie słońce, rozpocznie się szabasowe nabożeństwo.

Ledwo wysiedli, miejscowe członkinie kongregacji obstały Sharon i przejęły od niej dzieci, które potem trafiły pod opiekę gojek, a dokładnie członkiń miejscowego Koła Protestantek, które na czas zjazdu opiekowały się dziećmi. Żydówki oddawały im taką samą przysługę w czasie zjazdów protestantów.

Sharon ruszyła za nimi z walizką pełną pieluch i ubrań. Kapitan pozostał przy samochodzie, nie za bardzo wiedząc, co ma robić do powrotu żony. Po chwili przyszedł mu z pomocą frankfurcki rabin wojskowy, potężny, jowialny, rudy major.

- Witam, witam, kapitanie! Jestem major Felter.

Sandy popatrzył na niego i roześmiał się.

- A ja kapitan Felter. Witaj, kuzynie!

Rabin, nieco stropiony tym wybuchem śmiechu, roześmiał się do wtóru.

- Odkąd przeczytałem na liście twoje nazwisko, zastanawiałem się, jak wyglądasz. Z Monachium, prawda?

- Zgadza się.

- Czy panią Felter zajęto się już jak należy?

Kapitan skinął głową.

- No dobra, to chodźmy do biura, po identyfikatory. Dla krewniaka znajdę coś ekstra, zanim zjedzie się reszta. Co powiesz na kieliszek prawdziwej pejsachówki, prosto z Izraela? Stuttgart wysiada!

Rabin objął kuzyna w serdecznym uścisku i nagle zamarł. Cofnął rękę z pleców kapitana, jakby się sparzył, a jego uśmiech z radosnego zmienił się w nieco napięty. Spojrzał w dół, na twarz kapitana, który ledwie sięgał mu do podbródka.

- Naprawdę uważasz, że będziesz tego tutaj potrzebował?

Felter bez słowa popatrzył mu prosto w oczy.

- Mówiłeś coś o pejsachówce, kuzynie?

- Jasne. Jak tylko weźmiemy dla was identyfikatory.

Za składanym stolikiem siedziała smągła, czarnooka kobieta obdarzona obfitym biustem.

- A kogóż to pan prowadzi, rabbi?

- To kapitan Felter - przedstawił rabin.

Kobieta sięgnęła do pudełka z identyfikatorami i przez chwilę przerzucała tabliczki, po czym wyjęła dwie z nich, spięte gumką. Były wypisane bardzo ładnym, równym pismem, a z tyłu miały agrafki do przypinania.

- Kapitan Sanford? - upewniła się. - I pani Sharon Sanford?

- Zgadza się. Bardzo dziękujemy.

Rabin Felter wziął tabliczkę kapitana i przypiął mu ją do kłapy munduru. Sprawdzając, czy równo wisi, przeczytał na niej:

Kpt. Sanford T. „Sandy” Felter

Biuro Rozwoju Rolnictwa (Bawaria)

Kwatera Główna Sił Armii Stanów Zjednoczonych.

w Europie

Pieprzenie, pomyślał rabin. Rolnictwo, akurat! Pan agronom z czterdziestką piątką pod kurtką? A to zimne spojrzenie, kiedy zrozumiał, że ją wymacałem? Rolnictwo, śmiechu warte!

Uśmiechnął się.

- No to teraz pójdziemy spróbować pierwszej prawdziwej pejsachówki, która trafiła na nasz stół prosto z Izraela. Stuttgart niech się schowa!

2

Dwie godziny później, po obfitym obiedzie, co do którego Sandy nie miał wątpliwości, że przyprawi go o dwa tygodnie niestrawności, kapitan odłączył się od grupy zwiedzającej właśnie odrestaurowaną synagogę Beth Shalom. Do „nocy kryształowej” była to najpiękniejsza z frankfurckich synagog i teraz znowu odzyskała swój dawny blask.

Zszedł po szerokich stopniach świątyni i ruszył na róg. Kiedy pojawiła się taksówka, mercedes z ciągnącą się wzdłuż całego boku szachownicą, pomachał ręką i zatrzymał ją. Kierowca zwolnił i podjechał do chodnika.

- Weźmie pan kurs do budynku IG Farben? - zapytał Felter po angielsku.

- Proszę wsiadać - odparł kierowca, po czym sięgnął ponad oparciem i otworzył tylne drzwi.

Kiedy zamknął je za sobą, taksówka ruszyła, skręcając w kierunku siedziby dowództwa Armii Okupacyjnej. Na Erschenheimerlandstrasse kierowca skręcił jednak w lewo, zamiast w prawo.

- Co u ciebie słychać, przyjacielu? - zapytał kierowca po niemiecku.

- Do obiadu czułem się całkiem znośnie - kwaśno odparł Felter. - A ty, Helmut?

- Właśnie wróciłem z wakacji. Posiedziałem koło Salzburga, w takim małym prywatnym pensjonacie. Świeże powietrze zawsze dobrze mi robiło.

Taksówka zajęła pod świeżo odremontowany biurowiec nad brzegiem Menu i wjechała do podziemnego garażu. Tam zatrzymała się pod drzwiami windy i szybko ruszyła dalej, gdy tylko Felter z niej wysiadł. Wszedł do windy i nacisnął guzik z cyfrą 8.

- Piekarz przyjechał - powiedział głośno, choć nikogo poza nim w kabinie nie było.

- Dzień dobry - odpowiedział kobiecy głos z ukrytego głośnika. - Prawda, że dziś ładna pogoda?

Winda się zatrzymała i Felter wysiadł. Za biurkiem na wprost windy siedziała całkiem atrakcyjna, siwowłosa kobieta. Za nią na ścianie wisiała tablica z wygrawerowanym w szkle czy pleksiglasie napisem:

ZACHODNIONIEMIECKIE STOWARZYSZENIE ROZWOJU ROLNICTWA.

- Proszę wejść - powiedziała. - On już czeka na pana - dodała, sięgając do guzika pod biurkiem.

Zabrzączał solenoid elektrycznego zamka. Felter pchnął wyłożone fornirem stalowe drzwi, które otworzyły się cichutko, ale gdy tylko przeszedł, zatrzasnęły się z dźwiękiem przypominającym odgłos zamykających się wrót bankowego skarbcza. Wewnątrz małego pomieszczenia były, poza drzwiami, przez które dopiero co wszedł, tylko dwie inne pary drzwi. Podszedł do jednych z nich i ponownie usłyszał brzęczyk. Za tymi drzwiami znajdował się duży, jasny pokój urządzone meblami z jasnego orzecha.

Zza biurka wstał mocno zbudowany, całkiem łysy, łagodnie wyglądający mężczyzna. Przeszedł przez gabinet, by uściskać rękę kapitana, po czym zaoferował mu kawę lub drinka.

- O nie - odparł Felter - tylko nie to. Dopiero co miałem okazję kosztować pierwszej prawdziwej pejsachówki importowanej z Izraela i wolałbym raczej Alka-Seltzer niż drinka.

- To może miętowego sznapsa?

- Chcesz mnie mieć na sumieniu? Daj spokój, to by mnie zabiło!

- Sandy, spróbuj tej miętówki. Naprawdę ci pomoże.

Podszedł do barku ukrytego w szafie i napełnił kieliszek na długiej nóżce zielonym, przezroczystym płynem.

- To trochę potrwa, więc może zdejmiesz mundur? - powiedział, podając kieliszek Felterowi.

Kapitan rozpiął pas, zdjął kurtkę i powiesił na oparciu. Łysy wskazał mu fotel i podał przełącznik z dwoma klawiszami.

- Lewy zatrzymuje projektor, a prawy uruchamia dyktafon - powiedział.

- Wiem - odparł Sandy, sadowiac się w fotelu.

Po chwili się wyprostował i sięgnął za plecy. Wyciągniętego zza paska spodni Colta wz. 1911 A1 położył na stoliku obok dyktafonu i raz jeszcze usadowił się w fotelu, tym razem wygodnie.

- Der kleine Hauptmann und die grosse Kanone - zaśmiał się łysy. - Naprawdę uważasz, że musisz nosić coś tak dużego, Sandy?

- Z krótkolufowego rewolweru nie trafiam nawet w stodołę - odparł Felter - a z tego, jak się już trafi, to na amen.

Gospodarz podszedł do biurka i nacisnął kilka guzików. Okna zostały zasłonięte ciemnymi zasłonami, zgasło światło i z projektora trysnął na białą ścianę snop światła, ukazując nieruchomy obraz stacji kolejowej.

- W twoje ręce, Sandy - powiedział i usiadł za biurkiem.

Felter sięgnął do jednego z klawiszy na przełączniku i zastygły obraz ożył. Po chwili kamera pokazała w zbliżeniu twarz człowieka wychodzącego z budynku stacyjnego. Felter zatrzymał projektor i przez chwilę przypatrywał się twarzy.

- To on, nie mam co do tego wątpliwości - powiedział i po chwili podał nazwisko.

Ponownie uruchomił projektor. Obejrzenie całego filmu, składającego się z ujęć nie dłuższych niż minuta, półtorej, zajęło im prawie pół godziny.

- Bardzo interesujące - podsumował, kiedy film się skończył i przez odsłonięte znów okna do pokoju wpadło światło słoneczne. - Jak ci się wydaje, co to może być?

- Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że ty mi to powiesz - odpowiedział łysy.

- Na pierwszy rzut oka wygląda na to, że ktoś potrzebuje potwierdzenia, że gra w pierwszoligowej drużynie. I po drugie, że jeśli oni na to poszli i przysłali go, żeby tego kogoś przekonać, to musieli uznać, że było warto. To mi się nie podoba.

- Co myślisz o Karlu Neimayerze?

- Bałem się wymieniać to nazwisko.

- Masz kogoś, kto nad nim pracuje?

- To by było naruszenie porozumienia pomiędzy rządami Stanów Zjednoczonych i Republiki Federalnej Niemiec.

- Sandy, dałeś mu jakiś ogon czy nie?

- Proszę o inny zestaw pytań, Günther.

- Nie miałem ochoty sam go inwigilować. Tym bardziej że okazało się, że ktoś już za nim chodzi. Nie mogę sobie pozwolić na wysyłanie za kimś całego pochodłu tajniaków, ty też nie. Jeśli to twój człowiek, to znaczy, że mamy wspólne zainteresowania.

- A gdyby, oczywiście całkiem teoretycznie, to był mój człowiek, to co byś proponował?

- Choćby to, żeby się wymieniali. Lepiej, żeby raz go śledził mój człowiek, a raz twój, niż żeby obaj się za nim kręcili.

- Jeśli to się wyda, będzie po mnie. Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

- Ja rękę za swojego człowieka. Czy ty możesz ręczyć za swojego?

Felter przez chwilę zastanowił się nad odpowiedzią.

- Tak, mogę. Już kilka razy meldował, że musiał przerwać obserwację, bo się obawiał, że Neimayer może coś podejrzewać. Mogę mu przekazać twoją propozycję. Będą się musieli spotkać.

- To co, ubiliśmy interes? Będziemy go pilnować na zmianę?

- Umowa stoi.

Napisał na kartce nazwisko i numer telefonu, a potem podał ją gospodarzowi.

- Rozpozna moje pismo. Niech twój człowiek pokaże mu to przy spotkaniu.

- Mój człowiek to Dieter Stohl - odparł gospodarz, patrząc na nazwisko na kartce.

- Jezu! Nigdy bym go nie podejrzewał.

- Dziękuję za komplement, choć zupełnie w to nie wierzę. Znowu usiłujesz mnie przekonać, jaki z siebie dyletant?

- Günther, no co ty... - Felter bezradnie wzruszył ramionami, ale w jego oczach widać było isierki śmiechu.

- I jak zwykle prawie ci się udało. Tyle lat siedzę w tym interesie, więc powinienem się znać na ludziach, ale przy tobie muszę sobie wciąż powtarzać, że wiesz przynajmniej trzy razy tyle, niż chcesz przyznać.

- Och, Günther, przeceniasz mnie. Ja jestem tylko durnym amerykańskim Żydem, który bawi się w szpiega.

- Jasne. A ja jestem Dziewica Maryja.

Felter spojrział na zegarek.

- My tu sobie gadu-gadu, a ja już muszę wracać. Można stąd zamówić taksówkę?

- Poczekaj chwilę, mam dla ciebie coś jeszcze.

Wyciągnął z szuflady różowawą kartonową teczkę i podał ją Felterowi.

- O kurwa! - zaklął z pasją kapitan, kiedy przeczytał nagłówek.

Był to wyciąg z akt dochodzenia policyjnego prowadzonego przez policję Hesji w powiatach Marburg i Bad Nauheim. Dotyczyło sprawy uprawiania nierządu i uczęszczania do miejsc, w których proponowano nierząd, przez niejaką Ilse von Greiffenberg, alias Ilse Berg.

- Nie była nigdy skazana za prostytutkę - powiedział. - To tylko oznacza, że...

- Że raz czy dwa spisano ją za kręcenie się wokół koszar Tannenburg w Marburgu i hotelu oficerskiego w Bad Nauheim, kiedy próbowała nie umrzeć z głodu - przerwał Günther. - To było tuż po samobójstwie hrabiny. Była wtedy młodą dziewczyną. Ja jej wcale nie potępiam, Sandy.

- Tak, tylko tyle to właśnie oznacza. - Felter podniósł wzrok na łysogo Niemca. - Günther, mam u ciebie niejedną dług wdzięczności. Chcę, żebyś dopilnował, żeby każda cholerna strona każdej cholernej kopii zniknęła z akt i poszła do pieca.

- Trzymasz w ręku przedostatnią kopię, Sandy - odpowiedział.

Wziął ją z ręki kapitana i podszedł do stojącej w rogu pokoju szarej maszyny, do której wepchnął teczkę i nacisnął guzik. Maszyna zazgrzytała, zawarczała i do wiszącego pod nią worka z wielkimi czerwonymi napisami MATERIAŁ DO SPALENIA posypały się skrawki papieru wielkości konfetti.

- Przedostatnia? - powtórzył Felter.

- Ostatnia jest u was.

- U nas?

- Wasi ludzie zabrali ją, kiedy w imieniu tej pani złożono wniosek o nadanie obywatelstwa jako członkowi rodziny Amerykanina.

- Jasna cholera, sam pisałem ten wniosek. Czy też kazałem go pisać, wszystko jedno. Jej mąż, całkiem przypadkowo mój najlepszy przyjaciel...

- No to ma facet szczęście - wtrącił Günther.

- Jest oficerem rezerwy. Właśnie go powołano z powrotem do wojska i wysłano do Korei.

- Słyszałem.

Felter spojrzał na niego, nie kryjąc zaskoczenia.

- A co ty masz z tym wspólnego?

- Muszę się przyznać, tylko się nie gniewaj, Sandy... No więc, kiedy z takim pośpiechem wyciągnąłeś hrabiego z Niemiec i załatwiłeś mu z dnia na dzień francuską wizę, doszedłem do wniosku, że coś w tym musi być. Coś, co ty wiesz, a mnie umknęło.

- To proste. On ma bardzo wysoko postawionych przyjaciół, a mój udział w tym wszystkim wynikał ze względów czysto osobistych, a nie zawodowych.

- Owszem, ale sam przyznasz, że to trochę niezwykle, żeby ktoś, kogo wypuścili właśnie z sowieckiego gułagu, po przekroczeniu granicy niemieckiej o godzinie szesnastej jednego dnia, następnego dnia o tej samej porze meldował się w hotelu Continental w Paryżu?

- Wiesz także, o której ja tam przyjechałem? - zapytał oschle Felter.

- Nazajutrz, o ósmej dwadzieścia pięć.

- Jestem pod wrażeniem. Mąż Ilse jest bardzo bogaty i ma bardzo duże wpływy. To człowiek, który zwykł dostawać to, czego pragnie, wtedy, kiedy chce, i tak, jak chce. Chciał, żeby jego żona spotkała się z ojcem w neutralnej i spokojnej atmosferze, i było go stać na to, żeby to zaaranżować. I tyle. My się pułkownikami nie interesujemy, jeśli o to ci chodziło.

- A my tak.
- Powiesz mi dlaczego?
- Bo to jedyny żyjący uczestnik spisku Stauffenberga, którego nikt nawet nigdy o to nie podejrzewał. Hrabia von Greiffenberg to bardzo sprytny człowiek, Sandy. Może nam się przydać.
- Ale do czego? - zapytał Sandy, starając się ukryć zaskoczenie na wieść o udziale pułkownika w spisku na życie Hitlera. Nie chodziło mu o to, że sam jego udział był dla niego zaskoczeniem. Zaskoczyło go to, że o tym nie wiedział.
- Ludzie tacy jak ty, ja i hrabia, mój przyjacielu, zawsze się do czegoś przydadzą - odparł wymijająco Günther.
- Nie przypuszczam, żeby był tym zainteresowany - powątpiewał Sandy.
- Póki nie spytamy, nie będziemy wiedzieć, prawda? Poza tym jakoś nie bardzo mi się zdaje, żeby ktoś, kto spędził pięć lat na Syberii, wrócił stamtąd jako miłośnik nauk Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina.
- Właśnie, nigdy nie wiadomo, póki nie spytamy.
- W każdym razie kazałem na wszelki wypadek zebrać wszystko, co mamy na temat hrabiego i rodziny. Mamy zaufanego człowieka, emeryta, który pracuje w biurze powiatowym w Marburgu.
- I to ten sukinsyn wyciągnął te świństwa na światło dzienne?
- Nie, nie on, tylko twoja ukochana Armia, mój przyjacielu. Wasze wojskowe biuro śledcze ma hysia na punkcie prostytutki i przestępstw obyczajowych. To oni poprosili o sprawdzenie Frau Lowell z domu von Greiffenberg.
- I ten sukinsyn im je dał?
- Nie, ten sukinsyn dowiedział się o tym i usunął z akt pozostałe kopie, w tym tę, którą przed chwilą zniszczyłem.
- Przepraszam, nie wiedziałem. Ja tylko...
- Myślę, że kiedy hrabia wróci na stare śmiecie, przekona się, że w czasie jego nieobecności człowiek, który tak usłużnie oddał te materiały twoim kolegom, bez większych oporów korzystał z aktywów hrabiego. Zapewne traktował je jako wynagrodzenie za to, że poznał wstydliwą przeszłość jego córki.
- Jesteś pewien, że to ostatnia kopia?
- Przynajmniej w niemieckich archiwach na pewno już nic więcej nie ma - powiedział dobitnie Günther.
- Jestem twoim dłużnikiem, Günther - powiedział Sandy i sięgnął na stół po pistolet. Wsadził go do kabury za paskiem od spodni, po czym włożył kurtkę mundurową i uściśnął rękę gospodarza. - Raz jeszcze ci dziękuję, Günther.
- Zawsze przyjemnie dobijać z tobą targu - odparł tamten po angielsku, po

czym serdecznie objął Feltera i odprowadził przez podwójne stalowe drzwi do windy.

3

Taksówka odwoziła kapitana Feltera do dawnej siedziby koncernu IG Farben, która uniknęła bombardowania i obecnie mieściła kwaterę główną amerykańskich wojsk okupacyjnych. Siedząca w recepcji sierżant Pomocniczej Służby Kobiet skierowała go do biura profosa generalnego Armii Stanów Zjednoczonych w Europie.

Rozluźniona atmosfera w biurze od razu powiedziała mu, że profosa nie ma.

- Chciałbym się widzieć z profosem generalnym - powiedział Felter do siedzącego za biurkiem podpułkownika żandarmerii.

- Nie był pan pewnie umówiony, co, kapitanie? - odparł podpułkownik rozbawionym, protekcyjnym tonem. - Nie mógł pan być, bo szef umawia się tylko wtedy, kiedy ma zamiar być.

Felter wyjął z kieszeni na piersi oprawioną w skórzany portfelik legitymację i podsunął ją pułkownikowi pod nos.

- Kto tu jest najstarszy stopniem pod jego nieobecność?

- Rzadko tu widzujemy takie dokumenty - wymamrotał pułkownik. Wstał zza biurka i prawie stanął na baczność. - Gdyby mi pan powiedział, o co chodzi, może ja mógłbym pomóc?

Dziesięć minut później do sekretariatu wszedł rumianolicy grubas w mundurze, ale z odznakami pracownika cywilnego w służbie Departamentu Armii. W ręku niósł grubą szarą kopertę.

- Czy to wszystkie materiały tej sprawy? - zapytał Sandy.

Rumiany spojrział na pułkownika, oczekując instrukcji.

- Czy to wszystko? Chodzi mi o wszelkie notatki, brudnopisy, ślady, cokolwiek.

- Proszę odpowiedzieć-powiedział pułkownik. - Ten człowiek ma podstawy, żeby o to pytać.

- Nie, sir. To nie wszystko. Na razie zebraliśmy tylko tyle. Śledztwo jeszcze jest w toku.

- Proszę przynieść resztę. Wszystko. Jeśli pan przygotowuje pokwitowanie dla pułkownika, to je panu podpiszę.

- Jak to? Zabiera pan to ze sobą? - Rumiany nie posiadał się ze zdumienia.

- Owszem, zabieram.

- Ależ sir... To sprawa rozwojowa, śledztwo w toku... Czy pan w ogóle wie, panie kapitanie, co jest w tej teczce?

- Tak, wiem, i właśnie dlatego po nią przyjechałem.

- Nie no, panie kapitanie, tak nie można! To nie jest jakaś tuzinkowa sprawa, która skończy się tym, że nie damy zdziżyć wizerunku i nie wpuścimy do kraju. Jej mężem jest oficer. Trzeba w to wpuścić kontrwywiad, bo cholera wie, co jeszcze z tego może wyjść. Oni też mogą być tym zainteresowani. Przecież jak on wystąpi o dopuszczenie do ściśle tajnych, to oni mogą się na tym oprzeć i...

- I przyjść z tym i tak do nas, ale dopiero jak im się zachce - dokończył Felter.
- Tylko problem w tym, że jak im się zachce, to dla nas może już być za późno.

- No tak - zgodził się z nim pułkownik.

- Ale co z odmową wizerunku? - zapytał rumiany.

- Jeśli to panu w czymś pomoże, mogę panu zostawić notatkę służbową, jeśli znajdzie się tu ktoś, komu będę ją mógł podyktować...

- Oczywiście - zapewnił go pułkownik.

- ...stwierdzając, że widziałem te akta i nie znalazłem w nich nic, co mogłoby stanąć na przeszkodzie do wydania pozwolenia na imigrację w charakterze współmałżonka obywatela amerykańskiego.

- I kontrwywiad się na to zgodzi? - zapytał pułkownik.

- Oczywiście, że tak.

- Ale przecież w tych aktach są podstawy do tego, żeby odmówić... - upierał się rumiany.

- Nie - przerwał mu Felter, mówiąc powoli i dobitnie. - Nic tam nie ma, rozumiano?

- Na litość boską, Danelly - włączył się pułkownik - nie widzisz, że tu chodzi o coś znacznie poważniejszego niż to, że jakaś Frdulein się puszczała, zanim znalazła durnia, który się z nią ożenił?

Felter z poważną miną pokiwał potwierdzająco głową, patrząc prosto w rumianą twarz Danelly'ego.

- Przyniosę notatki i resztę - powiedział wreszcie Danelly i wyszedł.

Felter z biura profosa udał się prosto do piwnicy budynku IG Farben, gdzie mieściła się tajna kancelaria dowództwa. Znali go tam, ale mimo że nie składał wniosku o udostępnienie żadnego tajnego dokumentu, a tylko wchodził na teren, zanim go wpuszczono, musiał złożyć podpis, który porównano z kartą wzorców, i odcisk kciuka, który porównano z kartą daktyloskopijną.

- Coś rzadko ostatnio do nas zaglądacie, chłopaki - powitał go oficer dyżurny, podpułkownik. - Czym mogę służyć, Felter?

- Muszę skorzystać z waszej niszcarki i pozbyć się omyłkowo zbyt wysoko sklasyfikowanego materiału.

- Będziesz potrzebował świadka zniszczenia?
- Nie, ale do spalenia świadek by się przydał.

Poszedł do pomieszczenia z niszczarką, o wiele większą i o wiele wydajniejszą niż małe urządzenie w pokoju Günthera. Założył na uchwyt pod nią świeży papierowy worek do spalenia i wrzucił do otworu akta Służby Dochodzeniowej na temat Ilse Elisabeth Lowell, de domo von Greiffenberg, narodowości niemieckiej, kobiety, rasy białej, żony kapitana LOWELLA, Craiga W., 0-495302. Kiedy maszyna poszatkowała papier, wyłączył ją i wyjął worek, który zaniósł na tyły budynku IG Farben, do kotłowni. Podał worek żandarmowi, który tam pełnił służbę, a ten otworzył drzwiczki do opalanego mazutem kotła i wrzucił go w płomienie.

Pożegnał się z dyżurnym pułkownikiem w kancelarii i wrócił do kaplicy garnizonowej, gdzie w stojącym na parkingu buicku czekał na powrót autobusów obwozujących gości zlotu po tym, co zostało z zabytków miasta.

4

Sangdzu, Korea Południowa
11 września 1950

Kancelista kompanii pancernej 24. Pułku Piechoty 24. Dywizji Piechoty wszedł do gabinetu dowódcy i położył na jego biurku dwa cienkie pliki kartek - oryginał na białym papierze i kopię na żółtym.

- Skończyłem wreszcie sukinsyna - zameldował, uśmiechając się szeroko.
- Siadaj - rozkazał dowódca kompanii. - Przeczytam i jeśli nie znajdę żadnych literówek, przebitek czy innych rażących świadectw twojej niekompetencji, będziesz mógł iść na piwo, jak reszta tych, którzy wzorowo pełnią swoje obowiązki.

Młody podoficer o jasnooliwkowej cerze uśmiechnął się do dowódcy jeszcze szerzej. Kapitan doskonale wiedział, jak nienawidził swojego przydziału do kancelarii.

- Oczywiście rozumiesz, dlaczego musisz poczekać na swoje piwo? Bo jeśli na trzeźwo nie dajesz sobie rady, to co dopiero potem...

- Ależ to jest po prostu arcydzieło, sir - zaprotestował sierżant.

Dowódca przeczytał je bardzo uważnie.

RAPORT DZIENNY KOMPANII PANCERNEJ 24. PUŁKU PIECHOTY Z DNIA 11 WRZEŚNIA 1950 ROKU

OBECNYCH ZDATNYCH DO SŁUŻBY: 1 oficer, O chorążych, 16 podoficerów i 102 szeregowych.

NIEOBECNYCH USPRAWIEDLIWIONYCH: 2 oficerów, O chorążych, 54 podoficerów i szeregowych.

NIEOBECNYCH NIEUSPRAWIEDLIWIONYCH: O oficerów, O chorążych, 36 podoficerów i szeregowych.

NIEOBECNYCH UZNANYCH ZA POLEGŁYCH LUB ZAGINIONYCH: 4 oficerów, 1 chorąży, 104 podoficerów i szeregowych.

ARESztOWANYCH W OCZEKIWANIU NA ROZPRAWĘ: 1 oficer, O chorążych, 3 podoficerów i szeregowych. Jednostka zluzowana z rejonu Sangdžu w Korei i przeniesiona do odwodów 8. Armii z dniem 11 września 1950 roku o godzinie 00.01.

ABRAHAM Charles W., plut., RA-12379757, uprzednio zgłoszony jako zaginiony, 30 sierpnia 1950r. potwierdzono wiadomość o jego śmierci na polu chwały.

Poniższy ustny rozkaz dowódcy 24. DYWIZJI PIECHOTY dotyczący awansu został potwierdzony pisemnie i włączony do akt: Por. PARKER Philip S. 17,0-230471 zostaje awansowany na stopień kapitana ze starszeństwem od dnia 10 września 1950 roku z racji wymogów służbowych i braku innego odpowiedniego oficera w rozumieniu regulaminu 615-356.

Poniższe dwa ustne rozkazy dowódcy 24. Pułku Piechoty dotyczące awansów zostały potwierdzone pisemnie i włączone do akt:

St. sierż. WOODROW Amos J., RA-36901989 zostaje awansowany z dniem 29 lipca 1950 r. na stopień st. sierż. szt.

Sierż. SIDNEY Edward B., RA-16440102 zostaje awansowany z dniem 29 lipca 1950 r. na stopień st. sierż.

Poniższe 53 (pięćdziesiąt trzy) ustne rozkazy dowódcy 24. Pułku Piechoty dotyczące awansów zostały potwierdzone pisemnie i włączone do akt: patrz załącznik 1 (jeden).

Następujący oficerowie i chorążowie zostali przydzieleni z Batalionu zapasowego pułku 11 września 1950 roku:

por. STE7ENS Charles D., 0-498566

por. DUBROC Caspar J., 0-3490878

por. PORTERMAN James J., 0-4017882
ppor. WITHERS Allan P., 0-4119782
chor. KENYON Algernon L., RW-39276

Następujących 102 szeregowych i podoficerów z dniem 11 września 1950 r. przydzielono z batalionu zapasowego pułku, patrz załącznik 2 (dwa).

Podpisano. Philip Sheridan Parker IV,
kapitan, d-ca kompanii

Potężny Murzyn zza biurka uśmiechnął się do drobnego kancelisty.

- Jestem pod wrażeniem.
- Dziękuję, sir.
- Ale piwa nie będzie.
- Jak to nie będzie, sir? Przecież...

Kapitan Parker uciszył protest, unosząc dłoń, po czym schylił się i zanurzył rękę w swoim worku z rzeczami.

- Taki artysta zasługuje na coś lepszego niż zwykłe piwo - powiedział, podając kanceliście butelkę whisky.

- O rany, sir, nie mogę tego przyjąć. Przecież wiem, że dostał pan tylko trzy butelki.

- Proszę się ze mną nie kłócić, sierżancie. Teraz jestem kapitanem.

W chwili, gdy odbywała się ta rozmowa, oficerowie wymienieni w przedostatnim punkcie rozkazu zebrali się na odprawę w sekcji S-3 dowództwa 24. Pułku Piechoty.

- Chciałem z wami zamienić słowo, panowie, zanim przyjedzie po was samochód - powiedział dowódca pułku do poruczników: Stevensa, DuBreca, Portermana i Withersa.

Wszyscy byli ubrani w identyczne, świeżutkie mundury polowe, wciąż noszące zagniecenia w miejscach, gdzie były złożone, ich buty także lśniły nowością, tak samo jak podramienne kabury z pistoletami Colt wz. 1911A1.

- Zaczęę od prośby, by to, co powiem, nie wyszło poza te ściany. - Wskazał na gipsowe płyty wypełniające drewniany szkielet tego, co jeszcze cztery miesiące temu było szkołą podstawową w Pusan. - Oficerowi w czasie kariery przychodzi stawiać czoło wielu wyzwaniom. Najpoważniejszym z takich wyzwań, przed jakim mogliście dotychczas stanąć, jest jednak służba w jednostkach kolorowych. Żadna próba nie ukazuje lepiej zdolności dowódczych oficera i jego przydatności. Macie szczęście, panowie, że spotyka was ten zaszczyt, niezależnie od tego, co w tej

chwili o takim przydziale myślicie. Być może doszły do waszych uszu różne pogłoski na temat zdolności i wartości bojowej tego pułku. Niestety, większość z tego, co mogliście słyszeć, to prawda. To prawda, że część pododdziałów naszego pułku uciekła z pola walki. To prawda, że część z nich w panice porzuciła swoje stanowiska i sprzęt. Zdarzały się przypadki tchórzostwa. Nie ma sensu zaprzeczać, że sztandar naszego pułku został splamiony błotem. Tu jednak należy się zastanowić, dlaczego do takich wypadków dochodziło. Odpowiedź jest krótka: to kwestia dowodzenia. Ten pułk był źle dowodzony, od szczebla plutonu po samą górę. Jestem już czwartym dowódcą pułku od rozpoczęcia konfliktu, więc jak widzicie, odpowiedzialność za ten stan rzeczy spadła zarówno na barki młodszych, jak i starszych oficerów. Mam zamiar przywrócić pułkowi jego dobre imię. Uważam ten przydział za wyzwanie i bardzo wielki komplement pod moim adresem. Najwyraźniej moi przełożeni uznali, że jestem zdolny dowodzić tym pułkiem w taki sposób, by historycy, którzy będą opisywać dotychczasowe działania jednostki, mogli orzec, że były one jedynie wynikiem zamieszania, nieodmiennie towarzyszącego przekształcaniu się jednostki garnizonowej w oddział frontowy. W zakończonej właśnie fazie kampanii pułk poniósł poważne straty. Jednostki zachowały przeciętnie po 60 procent stanów osobowych i etatów sprzętu. Aż do ostatnich dni pilne potrzeby na innych odcinkach frontu sprawiły, że nie dostawaliśmy uzupełnień. Wy, panowie, jesteście awangardą nowego, ożywionego bojowym duchem 24. Pułku. Z jednej strony, okoliczność, że zostaliście przydzieleni do jednostki, która utraciła wszystkich swoich oficerów i otrzymała uzupełnienia w wysokości niemal 50 procent stanu osobowego, można uznać za zaletę waszego nowego przydziału. Będziecie mieli okazję odcisnąć na niej swoje piętno, panowie, i jestem pewien, że sprostacie temu wyzwaniu. Pytania?

- Powiedział pan, sir, że ta kompania utraciła wszystkich swoich oficerów - zapytał porucznik Stevens.

Od samego początku nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że jako najstarszemu należy mu się dowodzenie grupą, przydzieloną jako uzupełnienie. Zakładał, że to go sytuuje na stanowisku zastępcy dowódcy kompanii, ale teraz... Skoro kompania utraciła wszystkich oficerów, to może zostanie jej dowódcą? To otwierało przed nim nowe, szerokie perspektywy. Dowódcami kompanii byli kapitanowie. Jeśli porucznik przez trzydzieści dni dowodził kompanią, automatycznie awansował na stopień odpowiadający pełnionej funkcji.

- Przepraszam, przejęczyłem się. Jest tam jeden oficer, który obecnie pełni obowiązki dowódcy kompanii. Jestem pewien, że przynajmniej jeden z panów przewyższa go starszeństwem. Został porucznikiem w maju.

Porucznik Stevens zdawał się być wręcz zafascynowany tą wiadomością.

Dowódca pułku nie miał pojęcia o awansie Parkera. Dowódca dywizji miał zamiar do niego zadzwonić i przekazać mu wiadomość o swojej decyzji awansowania Parkera, który był pierwszorzędny oficerem i nie tylko zasłużył na awans swoimi czynami, ale skoro przeżył ostatnie dwa miesiące na stanowisku dowódcy kompanii i bez zarzutu wykonywał zadania, dowiódł także niezbędnych kwalifikacji do dowodzenia. Zawsze jednak, kiedy miał już wziąć słuchawkę, coś mu w tym przeszkadzało.

Porucznik Stevensjechał na przednim siedzeniu sanitarki bez znaków Czerwonego Krzyża, którą po nich wysłano do dowództwa, zastanawiając się nad swoim przeczuciem, że coś tu jest nie w porządku. Sanitarka to przecież sanitarka. Nikt nie przydziela kompanii pancernej jej własnych sanitarek. A więc musieli ją gdzieś ukraść. Tak, ukradli, a potem zamalowali krzyże i używali jako ciężarówki. No a czego innego można się było spodziewać po bandzie czarnuchów?

Ale to się już skończyło. Jak tylko dojadą i obejmie dowodzenie, już on z tym zrobi porządek. Chcą być traktowani jak biali, to niech się zachowują jak biali!

Kompania rozlokowana była około dziewięciu kilometrów od dowództwa pułku, w wiosce Czinhe. Nastrój porucznika Stevensa na chwilę się poprawił, kiedy zobaczył szefa kompanii, wysokiego, rosnącego Murzyna w wykrochmalonym na sztywno mundurze, który podszedł do sanitarki, kiedy tylko zajęła na podwórze, stanął na baczność i zasalutował.

- Witam panów w kompanii pancernej - powiedział. - Od dawna już na panów czekaliśmy.

- Dziękuję, sierzancie - odpowiedział Stevens w imieniu pozostałych. - Czy mógłby pan przysłać kogoś, żeby zajął się naszymi bagażami? Do dowództwa tędy? - Wskazał drzwi obok.

- Tak jest, panie poruczniku.

Stevens doskonale zdawał sobie sprawę, że postawił do pionu podoficera, który chciał ich serdecznie przywitać w nowym miejscu służby. I bardzo dobrze, pomyślał. To ważne, żeby na początku pokazać każdemu jego miejsce. Potem można się bawić w uprzejmości. Oczywiście z umiarem. Czarnuchy takie już są, że dasz im palec, to chwytają za rękę.

Dowództwo kompanii zajęło coś w rodzaju gospody, jakby hotel. Podłogi wyłożone były matami z plecionej trawy. Do ściany przypięto pinezkami arkusz kartonu, na którym ktoś wypisał świecącą kredką: ZA TĄ LINIĄ OBOWIĄZUJE CHODZENIE NA BOSAKA.

Typowe poczucie humoru czarnuchów, pomyślał Stevens. Któraś z tych małych musiała kiedyś być w sztabie, gdzie zwykle przy wyjściu wisiała tablica z napisem: ZA TĄ LINIĄ OBOWIĄZUJE NOSZENIE HEŁMÓW.

Przeczytał, uśmiechnął się i poszedł dalej, nie mając zamiaru stosować się do wypisanego tam zalecenia. Ruszył wyłożonym matami korytarzykiem, aż napotkał następną kartkę, tym razem z napisem SD.

Odsunął drzwi, na których ramie wisiała kartka. Wewnątrz siedział przy maszynie jakiś czarny sierżant. Podniósł wzrok znad maszyny i oczy rozszerzyły mu się na widok oficerów.

- Może by pan tak wstał, sierżancie, kiedy wchodzi oficerowie? - zapytał Stevens. No, dobra nasza. Ustalał swoją pozycję wśród tej zgrai dzikusów w tempie szybszym, niż zakładał na początku.

Podoficer zerwał się na równe nogi.

- Przepraszam, panie poruczniku. Stary sobie tego nie życzył, a poza nim nie było tu wielu oficerów - odparł. Po chwili uśmiechnął się i dodał: - A poza tym ostatnio nie spędzaliśmy zbyt wiele czasu pod dachem, sir.

- Dobrze, ale na przyszłość proszę uważać, plutonowy - odparł porucznik z dogłębnie wystudiowaną mieszaniną paternalizmu i surowości. - Gdzie jest oficer?

- W swoim gabinecie, panie poruczniku - odparł plutonowy, wskazując głową drugie przesuwane drzwi.

Porucznik Stevens sięgnął do nich i odsunął bez pukania. Zobaczyli potężnego czarnego mężczyznę, rozebranego do pasa, który chłodził się w otwartym oknie, tyłem do nich. Słyszając, że ktoś wszedł, odwrócił się do nich z puszką piwa w dłoni.

- A, wy pewnie z uzupełnienia - powiedział. - Wejdźcie i weźcie sobie po piwku. - Wskazał na stojący na podłodze metalowy kontener. Wszystkie ścianki pojemnika oznaczone były białymi kołami z czerwonym krzyżem i napisem PILNE-KREW.

- A co tu się, do cholery, dzieje? - zapytał porucznik Stevens, biorąc się pod boki.

- Że co proszę? - odpowiedział pytaniem na pytanie półnagi Murzyn.

- Czy jest pan przez przypadek oficerem? - zapytał znowu Stevens.
- Owszem, jestem. A pan coś za jeden?
- Jestem porucznik Stevens.

Półnagi czarnuch przestał się głupkowato uśmiechać. Obejrzał Stevensa od góry do dołu, po czym spojrzął na resztę oficerów, stojących za nim.

- Czyżbym widział na pańskim palcu sygnet West Point, poruczniku Stevens?
- Owszem, to pierścień absolwencki Akademii. Pytałem, co pan za jeden?
- Z trudem przychodzi mi uwierzyć - odezwał się półnagi Murzyn, idealnie naśladowując uwielbiany przez czarnuchów harwardzki akcent - że oficer, który w szeregach podchorążych tak szacownej uczelni miał okazję poznać wojskową etykietę, nie zna podstawowych jej wymogów, dotyczących sposobu i tonu, jakim należy się meldować w nowym miejscu służby. Jak się domyślam, ma pan jakieś usprawiedliwienie dla tego niewytłumaczalnego uchybienia?
- Poruczniku Parker, kto tu się u kogo powinien meldować? Z chwilą przybycia przejmuję dowodzenie kompanią.
- O? Czyżby? - odparł Parker tonem zdradzającym umiarkowane zainteresowanie. - Nic mi nie wiadomo o tym, żebym miał być odwołany.
- Więc ja pana o tym informuję.
- Rozumiem. To gdzie mam się udać? Do dowództwa pułku? A może przywiózł pan ze sobą kopie moich rozkazów, poruczniku?
- O ile mi wiadomo, ma pan pozostać na swoim miejscu. Informuję pana tylko o tym, że jako starszy stopniem przejmuję komendę.
- To bardzo ciekawe, poruczniku. Ja zostałem kapitanem dzisiaj, a pan kiedy? Stevens poczuł, jak żołądek zwija mu się w kulę.
- Zapewne zaszło jakieś nieporozumienie...
- „Zapewne zaszło jakieś nieporozumienie, sir”, Stevens.
- Tak jest, sir.
- No to teraz, skoro już atmosfera się oczyściła, proszę nakazać reszcie panów usiąść i zdjąć buty. W korytarzu wisi napis, do którego powinni się panowie byli zastosować.

Drzwi otworzyły się bez pukania i pokazał się w nich podoficer z kancelarii.

- Pańska koszula, panie kapitanie.
- Jedna z puszek była zamrożona - wyjaśnił Parker. - Ekspłodowała przy

otwieraniu. - Obrócił się tyłem do zebranych i upchnął koszulę w spodniach. - A kiedy już zdejmiecie panowie buty, możecie wyjść i zameldować się u nowego dowódcy, jak nakazują zwyczajnie przyjęte w wojsku.

Stevens dosłyszał stłumione parsknięcie czarnego kancelisty. Poczzerwiał na twarzy, ale posłusznie usiadł na macie i rozwiązał sznurowadła. Głęboko upokorzony, z butami w rękę, wrócił korytarzem do znaku nakazującego zdjęcie butów, po czym raz jeszcze skierował się do gabinetu Parkera.

- Panie kapitanie, porucznik Stevens plus czterech oficerów z uzupełnienia melduje się do objęcia służby - powiedział, salutując.

Parker bez nadmiernego nabożeństwa odsalutował.

- Spoczniej. Witam w kompanii pancernej 24. Pułku Piechoty. - Po kolei patrzył każdemu z nich w oczy. - Jak się już być może domyśliliście, jestem kapitan Philip Sheridan Parker IV i dowodzę tą kompanią. Obejmując tę służbę, powinniście wiedzieć kilka rzeczy. Po pierwsze, o mnie. Jestem nie tylko zawodowym oficerem, ale na dodatek należę do czwartego pokolenia żołnierzy zawodowych w mojej rodzinie. Od dwóch miesięcy byłem jedynym oficerem służącym w tej kompanii. Skoro nadal żyję i dowodzę nią, powinniście się panowie domyślić, że moi przełożeni ocenili, iż mam kwalifikacje na dowódcę tego pododdziału. Po drugie, jeśli chodzi o kompanię, ma ona zaszczyt być jedyną jednostką pułku, która, przynajmniej odkąd ja nią dowodzę, nie stchórzyła w obliczu wroga. W czasie walk, które prowadziliśmy, liczebność kompanii spadła do jednego oficera, szesnastu podoficerów i stu dwóch szeregowych. Zostało nas tak niewiele, że 8. Armia wreszcie zdecydowała się uzupełnić stan, przysyłając tu panów. Zostało nas, jak powiedziałem, niewiele, ale każdy z tych, którzy pozostali, sprawdził się w boju i dowiódł swojej wartości. Szef kompanii zwrócił mi uwagę dziś rano, że żaden z dowodzących plutonami podoficerów i dowódców czołgów nie był nawet podoficerem, kiedy rozpoczynaliśmy walkę. Prawdę mówiąc, z jednym wyjątkiem, wszyscy byli wtedy zaledwie starszymi szeregowymi. Nie potrafię ocenić wartości żołnierzy czy oficerów przydzielonych mi w ramach uzupełnień na pierwszy rzut oka. Darzę za to pełnym zaufaniem każdego, kto mi podlegał przed przybyciem tych uzupełnień. Miałem okazję przekonać się naocznie, do czego prowadzi złe dowodzenie, i nie mam zamiaru ryzykować zmarnowania wskaźników sprawności bojowej, które moi ludzie zdobywali, płacąc własną krew, a co ważniejsze, nie mam zamiaru tracić ludzi na skutek tego, że oddałem ich pod komendę oficera, którego nie znałem i o którego wartości sam się nie przekonałem. Postanowiłem

przeto oddać was, panowie, pod nadzór sierżantów obecnie dowodzących plutonami, które panowie przejmiecie. Pana, poruczniku Stevens, oddaję pod nadzór szefa kompanii starszego sierżanta Woodrowa. Dopóki nie orzekną oni, że zgodnie z ich przekonaniem, jesteście tego warci, nie obejmiecie swoich stanowisk dowódczych. Usuniecie oznaki stopni z mundurów i będziecie służyć jako zwykli członkowie załóg czołgowych, wykonując ich rozkazy.

- Nie może pan tego zrobić! - zaprotestował Stevens.

- Każdy z panów, który nie spełni pokładanych w nim nadziei, zostanie odesłany na tyły. W Pusan jest specjalna jednostka składająca się z odesłanych oficerów. Z tego, co mi wiadomo, rozładowują statki jako dokerzy.

- A co ze mną, sir? - zapytał jedyny Murzyn, chorąży.

- Zanim pan do nas trafił, był pan kancelistą kompanii, czy tak?

- Byłem podoficerem personalnym batalionu, sir.

- Doskonale. Zastąpi pan więc sierżanta Fostera. Jeśli znajdzie pan wśród uzupełnień maszynistę, proszę go wziąć do siebie. Mamy raporty z dwóch miesięcy do przepisania, więc każda para rąk się przyda. Na początku Foster może panu pomagać. Obiecałem mu czołg, kiedy znajdę kogoś na jego miejsce. - Jeszcze raz przyjrzał im się dokładnie. - Dobrze. Porucznik Stevens zostanie, pozostali panowie mogą się rozejść. Proszę powiedzieć sierżantowi Fosterowi, że przekazuję panów sierżantowi Woodrowowi, żeby rozdzielił was pomiędzy plutony.

Zmieszani, wstrząśnięci i wściekli jeden po drugim odruchowo salutowali i opuszczali gabinet dowódcy. Pozostał, zgodnie z rozkazem, tylko Stevens.

- Rozumiem, poruczniku, że jest pan oficerem zawodowym i ma zamiar pozostać w służbie czynnej do emerytury?

- Tak jest, sir.

- Jeśli będę musiał pana odesłać na tyły, poruczniku, to kariery pan raczej w tym zawodzie nie zrobi. Oczywiście, stowarzyszenie wzajemnej asekuracji absolwentów Akademii znajdzie w końcu jakiś sposób na to, żeby pana wyciągnąć z Pusan i zmienić zapisy w aktach. Ale i pan, i ja wiemy, że odtąd już na zawsze wszyscy będą pana pamiętali jako tego faceta, którego wyrzucili z kompanii czarnuchów. Oficerowie, którzy wylecieli z kompanii czarnuchów, rzadko kiedy zostają generałami, poruczniku. - Parker odczekał chwilę, jakby się upewniając, czy to zapadło porucznikowi w pamięć. - Niech się pan więc pilnuje - ciągnął. - Niech mi pan nie wchodzi w drogę, bo jeśli pan to zrobi, to być może, przy wielkim szczęściu,

za dwadzieścia lat dorobi się pan podpułkownika. Znam reguły tej gry, Stevens, i to lepiej od pana. Nie oczekuję odpowiedzi, poruczniku. Może się pan odmeldować.

VI

1

Kompania B

73. Samodzielnego Batalionu Czołgów Średnich

Pusan, Korea Południowa

2 września 1950

Stary, znany także jako Książę lub Sokole Oko, szedł rowem łącznikowym do punktu dowodzenia. Znał doskonale swoje przezwiska i był raczej zadowolony z tego, jak o nim mówią, choć nie dawał tego po sobie poznać. Teraz szedł z cygarem w kąciку ust, trzymając w zgięciu ręki Garanda, jakby to była dubeltówka, a on szedł zapłować na kuropatwy.

Trzy kwadrans wcześniej ciężarówka przywiozła na punkt uzupełnienia porucznika, dwóch podoficerów i dwóch starszych szeregowych. Od tego czasu siedzieli w bunkrze dowodzenia, nerwowo oczekując spotkania z nowym dowódcą.

Kompania B rozłożyła się obozem na wzgórzach, na północ i zachód od Pusan. Jej czołgi zajęły wykopane na zboczach stanowiska, które przekształcono w bunkry, kryjąc je dachami z kantówki obłożonymi workami z piaskiem. Miały z nich wspierać obronę, ogniem na wprost zarówno dział, jak i karabinów maszynowych.

Czołgi rzadko zmieniały stanowiska, choć regularnie uruchamiano w nich silniki, a raz czy dwa razy dziennie wycofywały się ze swoich bunkrów i wracały do nich, by równomiernie nasmarować sworznie gąsienic. Załogi walczyły właściwie jak piechota, z tą różnicą, że piechotę co jakiś czas luzowano, choć na krótko, a oni tkwili na pierwszej linii bez przerwy. Panowała potworna spiekota, a lodu było jak na lekarstwo.

Sierżant William H. Emmons Jr:

My mieliśmy lód. Bóg jedyny wie, jak Książę to robił, ale go mieliśmy. I to tyle, że starczało, żeby nasza woda do picia była chłodna, jeśli nie wręcz zimna. Mieliśmy też napój truskawkowy i nawet codzienną porcję alkoholu. Upał był taki, że czasem puszki z piwem

wybuchwały, zanim zdążyliśmy je schłodzić. Żarcie było pod psem, zwykle racje C o wysokiej zawartości białka, pozostałości z drugiej wojny światowej. Kiedy Księżę został dowódcą, kompanię dziesiątkowała dyzenteria, dolegliwości skórne od tego cholernego upału, ludzie byli nim wykończeni. Morale było wszawie, zwłaszcza przez ten trwający całą dobę nękający ostrzał. Właściwie to ogień nie trwał dwadzieścia cztery godziny bez przerwy, ale było go akurat tyle, żeby wszyscy chodzili spięci, co po jakimś czasie doprowadzało ludzi do kresu wytrzymałości. I w dodatku nie było widać, żeby się to miało kiedyś zmienić.

Kiedy Księżę wszedł do bunkra, szef kompanii dał komendę „baczność” i uzupełnienia zerwały się na równe nogi.

- Spocznij - rzucił Księżę. - Co my tu mamy? Panowie z wizytą do nas?

- Panie kapitanie - wyszczekał oficer, salutując - porucznik Monahan plus czterech melduje się do służby, sir!

Księżę oddał salut.

- No i co pan na to, szefie? Porucznik zna dobre maniere.

- Tak jest, panie kapitanie - odparł sierżant-szef. - To się daje zauważyć, sir.

- No właśnie. A co z pańskimi manierami? Zaproponował pan już gościom poczęstunek? Nie? Niech się pan wstydzi, sierżancie.

- Bardzo przepraszam, panie kapitanie - odparł sierżant i widać było, że przejął się zarzutem. Zaraz odwrócił się do nowych i zapytał: - Czy mogą czymś panów poczęstować? Czego się panowie napiją?

Tu muszę przyznać, że zanim poznałem Księcia, nie miałem zbyt wiele pojęcia o tym, jak należy podejmować gości. Goście zresztą też, bo wybałuszyli na szefa oczy ze zdumienia. Bądź co bądź sierżant-szef kompanii to była chyba ostatnia osoba, od której oczekiwali by oferty poczęstunku alkoholem, a już zwłaszcza w obecności dowódcy kompanii na polowym stanowisku dowodzenia, pięćdziesiąt metrów za pieprzoną linią frontu.

- Panie kapitanie? - wymamrotał wreszcie porucznik, który kompletnie nie rozumiał, co się dzieje.

- Mogą panowie wybrać martini, szkocką, burbona albo rum, ale ten ostatni zdecydowanie odradzam, zanim do niego przywykniecie. Zwala z nóg konia - odparł Księżę.

- Nie, ja dziękuję - powiedział w końcu porucznik. Nowy dowódca chciał go

sprawdzić, to jasne. Nie będzie z siebie robił dumia. Pozostali wzięli z niego przykład.

- Jak pan woli. Dla mnie martini, szefie.

- Właśnie przygotowałem, panie kapitanie - odparł szef. - Za pozwoleniem pana kapitana, sobie też naleję.

- Oczywiście.

Książę poprosił o ich rozkazy. W tym czasie szef otworzył termos na krew do transfuzji i wyjął z niego butelkę do plazmy. Butelka, zamknięta gumowym korkiem, zawierała jakiś przezroczysty płyn, który szef ostrożnie, by nie uронić ani kropli, rozlał do kieliszków do martini, które wyjął z szafy pancерnej. Nowi śledzili to wszystko wytrzeszczonymi oczyma.

- Niestety, panie kapitanie - stwierdził szef tonem angielskiego kamerdynera - wygląda na to, że nie mamy ani cebulek, ani oliwek.

- No cóż, szefie, w końcu jest wojna, wszyscy musimy ponosić wyrzeczenia - odparł Książę.

Obaj wzniesli kieliszki.

- Za kompanię B 73. Samodzielnego Batalionu Czołgów Średnich - wznosił toast Książę.

- Graj po naszej stronie... - zaczął szef.

- Albo wsadzimy ci kij baseballowy w dupę - dokończył Książę.

Upili po łyku i dowódca wrócił do swoich nowych podkomendnych.

- Panowie, moi ludzie mają do wyboru dwa drinki albo dwa piwa dziennie. Można zrezygnować, można wypić mniej, ale nie wolno więcej. Chcecie wiedzieć, co się dzieje z każdym, ale zwłaszcza z oficerem czy podoficerem, który przekroczy swój dzienny przydział?

- Tak jest, sir - odparł po chwili porucznik, kiedy dotarło do niego, że oczekuje się od niego odpowiedzi.

- Proszę zaspokoić ciekawość porucznika, szefie.

- Tak jest, panie kapitanie. Wsadzamy mu kij w dupę, sir!

Tego już było za wiele i Książę wybuchnął śmiechem, który udzielił się szefowi, a potem pozostałym.

- Witamy w kompanii B - powiedział Książę, kiedy wszyscy się uspokoili. - Mam zaszczyt dowodzić tym cyrkiem oberwańców. Nazywam się Lowell, mówcie mi „panie kapitanie”.

Cholerny Książę miał klasę, to mu trzeba przyznać. Ten cyrk z częstowaniem uzupełnień alkoholem (jedni przyjmowali poczęstunek, inni nie) załatwiał kilka rzeczy naraz. Po pierwsze, pozwalał im się odprężyć, poczuć jak u siebie, a jednocześnie dawał odczuć,

że znaleźli się w jednostce wyjątkowej. I po drugie, dawał okazję do poinformowania nowych o tym, że swoboda w kompanii B ma swoje jasno określone granice.

A co do klasy Księcia, to ten pieprzony Garand, z którym się obnosił, był tego kolejnym potwierdzeniem. Karabin samopowtarzalny M1 Garand kalibru .03 był bronią żołnierza piechoty. Czołgiści patrzyli na niego z góry, traktując po pierwsze jako oznakę niskiego statusu „zajęca”, a po drugie jako ciężki, nieporęczny kawał złomu, który w dodatku kopie przy strzelaniu jak muł. Nawet podoficerowie, nie mówiąc o dowódcach kompanii w piechocie, rzadko kiedy je nosili.

W kompanii pancernej był bronią właściwie nieznaną, nawet nasi kucharze nosili w większości pistolety maszynowe albo karabinki M1. Chyba tylko kierowcy ciężarówek je mieli, a i to tylko dlatego, że zabrakło dla nich karabinków. Załogi czołgów nosiły pistolety Colt wz. 1911A1 kalibru .45, w czołgach były też pistolety maszynowe M3A1, zwane Grease Gun, bo też wyglądały jak smarownice, jeśli tylko była możliwość, czołgiści, niezależnie od stopnia, próbowali załatwić sobie Thompsona, którego czasem udawało się kupić za stówę czy coś koło tego. U nas już ich w wojsku nie było, zostały zastąpione przez gniecione z blachy Grease Gun, ale sporo ich dostali Koreańczycy, kiedy organizowała się ich armia, i teraz je czasem sprzedawali. Stówa to w końcu niewielki pieniądz, a lepiej żeby poszło do nas, niż żeby sprzedali tym z Północy, nie? Popularne były też karabinki M1 i M2, małe, lekkie i bardzo poręczne karabiny na przedłużony nabój pistoletowy kalibru 7,62 mm. M2 mógł nawet strzelać seriami, a M1 miał bardzo popularną wśród załóg wersję ze składaną kolbą, ponoć dla spadochroniarzy. Kiedy karabinki wchodziły do uzbrojenia na początku drugiej wojny światowej, miały krótkie piętnastonabojowe magazynki, ale odkąd wraz z M2 pojawił się magazynek łukowy na 30 naboju, wszyscy używali już tylko ich, i to jeszcze spiętych specjalną blaszaną obejmą po dwa naraz. Dzięki temu każdy miał do dyspozycji 60 naboju - jak tylko jeden magazynek się skończył, przekładało się je do góry nogami i można było zaczynać od nowa, bez sięgania do ładownicy.

I nagle zjawił się Książę, prosto z pieprzonej Gwardii Narodowej i w pół godziny po tym, jak kazał pociąć namiot szefa kuchni i osłonić nim czołg od słońca, poszedł do parku samochodowego i zamienił z szoferakiem swojego Grease Guna na Garanda. Trzeba było widzieć gębę tamtej oferty! O mało go nie wycalował z wdzięczności za tę wymianę.

To, że się wymieniał, to jeszcze nic. Potem wziął tego Garanda i zaczął go przystrzeliwać. Macie pojęcie? Przystrzeliwać! Zupełnie jakby to był jakiś obóz szkoleniowy dla pieprzonych skautów gdzieś w kraju, a nie bezpośrednio zaplecze linii frontu. Kłapnęła na brzuch, zajął wzorową pozycję i jeszcze tylko brakowało, żeby wsadził pieprzony łokieć w pas nośny. Ustawił sobie łuskę od siedemdziesiątkipiątki, odliczył dwieście równiutkich kroków i zaczął do niej walić.

Tu cała kompania lata jak z pieprzem, rwie namioty, robi daszki przeciwsłoneczne, zasypuje okopy i sracze, bo oczywiście według Księcia były nie tam, gdzie powinny, kuchnia gotuje wodę, sam szef kuchni rozrywa kartony z racjami i wydłubuje z nich dżem, żeby zrobić napój, wszyscy zasuwiają z łopatami, żeby umocnić obóz, bo żółtki się ruszą, jak tylko zmrok zapadnie, a Książę leży sobie na środku tej całej zadymy i puk, dwie podziałki w lewo, puk, jedna w prawo.

Z jakichś sobie tylko znanych powodów tej pierwszej nocy po przejściu dowodzenia przez Księcia żółtki się nie ruszyli. Odbili to sobie następnej nocy.

Zanim przyjechał, ataki żółtków przebiegały mniej więcej tak: czekali, aż się całkiem ściemni, a potem zaczynali obróbkę moździerzami, artylerią - bez przesady, tylko trochę, pewnie ich zaopatrzenie było tak samo pod zdechłym psem jak nasze, a może wiedzieli, że na okopane czołgi to i tak marnotrawstwo.

W każdym razie kładli parę nawał artyleryjskich i ruszali ze swoich pozycji na brzeg rzeki. Część ciągnęła jakieś łodzie czy pontony, choć Naktong w tym miejscu była na tyle płytka, że można ją było przejść w bród bez problemu, jak tylko moździerz przerosiły ogień w głąb, szli do rzeki i nie strzelali, dopóki nie przeszli na drugą stronę. Pewnie wiedzieli, że i tak strzelają tylko na postrach. My też nie strzelaliśmy, dopóki nie przeszli przez rzekę i nie zaczęli wychodzić na brzeg.

Nie mieliśmy za dużo amunicji i w dodatku nie tę, której potrzebowaliśmy. Do odpierania takiego ataku trzeba by kartaczy - czegoś w rodzaju przerosniętego naboju do śrutówki, z kulkami do łożysk zamiast pocisku. Na małych odległościach robiło to wśród atakujących cholerne spustoszenie. To, jak myślicie, co dostaliśmy? Zgadliście, kumulacyjne pepanc. Do strzelania w czołgi po prostu świetne, ale do zwalczania piechoty całkiem bezużyteczne. To było tak, jakby strzelać z czterdziestkipiątki do much, bez sensu.

Skoro tak, to musieliśmy ściągać na nich ogień artylerii. Czasem go dostawaliśmy, częściej nie, a jeszcze kiedy indziej dostawaliśmy, ale za to na własne pozycje. Najczęściej

kończyło się tak, że trzeba było te ataki odpierać ogniem karabinów maszynowych z czołgów. Każdy czołg miał dwie trzydziestki i półcalówkę, więc siła ognia była potężna. Tyle tylko, że to były karabiny chłodzone powietrzem, więc jak się z któregoś za intensywnie postrzela, to lufa się rozgrzewa. Widziałem nieraz, jak się żarzyły w mroku niczym węgle, jak się lufa rozgrzeje, to trzeba ją wymienić, bo pęcznieje i broń się może zaciąć, albo nabój dosyłany do lufy wybuchnie od gorąca, zanim się zamek zamknie, i uszkodzi karabin. Zimną lufę zmienić trudno, a co dopiero rozżarzoną, i to pod ogniem facetów, którzy biegną w twoją stronę, żeby cię zabić.

Więc wstrzymywaliśmy ogień, zanim przeszli na naszą stronę rzeki. Jeśli było wsparcie artylerii, to fajnie. Jak nie było, to karabiny maszynowe i te resztki kartaczy, które mieliśmy, zwykle wystarczały, żeby odeprzeć atak.

Jak mówiłem, pierwszej nocy po przybyciu Księcia żółtki nas nie atakowali. Wiedzieliśmy, że w takim razie uderzą następną.

Stary pojawił się na wysuniętych pozycjach z zapadnięciem zmroku. Stoi sobie, pociąga to swoje pieprzone wielkie cygare, trzyma pieprzonego Garanda z dodatkowym magazynkiem zatkniętym w pętlę pasa nośnego i z każdej kieszeni munduru wystaje, niech ja skonom, po granacie. I ciągnie za sobą porucznika, tego, no, jak mu tam było? No wiecie, tego kurdupla, co trzy dni później zginął. Od śmierci kapitana Dale'a, zanim pojawił się Książę, to właśnie on pełnił obowiązki dowódcy. O, już sobie przypominałem. Sully, Thomas J. Sully się nazywał.

No więc ciągnie Książę Sully'ego i ten mu objaśnia, jak to zwykle wyglądało. Książę słucha, głową kiwa, zadał parę pytań i rozgląda się po przedpolu. Porucznik mówi, że może by tak się już stamtąd zabierali i wracali na stanowisko dowodzenia, żeby tam być, jak się wszystko zacznie i jak się żółtki ruszą.

Książę nic nie odpowiada, tylko patrzy na mnie.

- Radio w tej przerdzewiałej trumnie działa, sierzancie? –pyta.
- Zwykle tak, sir - ja mu na to.

To on wtedy pyta, czy znajdzie się tyle drutu, żeby przeprowadzić od panelu łączności w wieży mojego czołgu do bunkra dowódcy plutonu.

- Jasne - mówię - drutu mamy od metra.
- No to zajmijcie się tym, sierzancie - mówi Książę.

Sully'emu powiedział, że jeszcze się tu pokręci, ale on, jeśli chce, może wracać na stanowisko

dowodzenia. Sully przez chwilę się zastanawiał, ale w końcu pewnie doszedł do wniosku, że Księżciu odbiło, i nie czekał, aż zmieni zdanie, tylko zabrał dupę ze wzgórze i tyle go było widać.

No dobra, to myśmy sobie siedli i czekamy na żółtków, aż się ruszą. Księżę siedzi z nami i pyta o to, skąd który pochodzi czy żonaty, takie tam, jak to oficer. Posiedzieliśmy tak z pół godziny, może czterdzieści minut, kiedy żółtki zaczęły nas macać moździerzami, jak zwykle.

Ostrzał potrwał może z pięć minut, no góra dziesięć, i przenieśli ogień w głąb obrony. Podnosimy głowy znad ziemi, patrzymy, nie ma Księcia. Pewnie jak gruchnęło, to zmądrzał i poleciał do swojego bunkra, pomyśleliśmy. A taki był chojrak jeszcze pięć minut temu! Wlazłem do wieży i wystawiłem lornetę nożycową. Wiesz, co to jest lorneta nożycowa? Takie skrzyżowanie lornetki i peryskopu, można tym oglądać przedpole bez wystawiania łba. No więc wystawiam ją i patrzę. Noc była jasna, pełnia księżycza albo tuż przed, w każdym razie widać było całkiem nieźle.

Patrzę na rzekę i widzę, idą. Jeden przodem, za nim może ze trzy metry dwóch następnych, a za nimi czterech czy pięciu. Całość tworzy jakby klin, wierzchołkiem w naszą stronę. Ten z przodu był od naszych linii jakieś trzysta, może nawet trzysta pięćdziesiąt metrów.

I nagle, tuż nad głową, bang, bang, bang - słyszę trzy strzały. Trzydziestka, bez dwóch zdań, ale za blisko na karabin maszynowy i za wolno. Co jest, myślę? A, już wiem, to nasz nowy dowódca z Gwardii Narodowej, z tym swoim Garandem. Co ten dureń kombinuje? Ale widzę w szklach, że prowadzący żółtek i ci dwaj za nimi leżą.

Żółtki się jakby speszyli, wszyscy zalegli i zaczęli strzelać na oślep. W naszą stronę, to znaczy na nasz brzeg, po przeciwnej stronie miejsca, w które doszli, tak jakby myśleli, że wystawiliśmy tam jakiś wysunięty posterunek, z którego padły strzały. Tłukli ze wszystkiego, aż się kurzyło, nawet ściągnęli ogień moździerzowy. Przecież wiem na pewno, że nikogo tam nie było, więc to musiały być te trzy strzały Księcia. Wyłażę na wierzch, patrzę, a ten dalej siedzi na daszku nad moim czołgiem, nogi skrzyżowane, karabin przy ramieniu, tym razem nawet łokieć w pasie, no w ogóle jak na strzelnicy. I uśmiecha się od ucha do ucha jak głupi.

- Chyba zobaczyli ducha, co, sierżancie? - mówi. - Lepiej, żeby strzelali do duchów niż do nas, nie?

Jasne, że tak. Powiedziałem mu, że całkiem dobrze strzela z tego Garanda, a ten na to:

- Całkiem dobrze? Sierżancie, ja z niego strzelam znakomicie! - I poszedł. Teraz już wiesz, co to znaczy, kiedy mówię, że ma klasę?

Następnego dnia wybrał z każdego plutonu najlepszego strzelca i wyszkolił ich na snajperów. Potem to im nawet skądś wyciągnął prawdziwe snajperki, Springfieldy wz. 1903A4 i nawet MIC, to znaczy Garandy z bakami na kolbach i celownikami optycznymi z czterokrotnym powiększeniem.

I wiesz, co ci powiem? Żółtki już nigdy nie lały po brzegu i przez rzekę, jakby to była pieprzona ulica. To znaczy cały czas próbowali, ale od tamtego czasu uważali jak diabli!

Sierżant Jared Mansfield:

Starego wezwali do batalionu, więc wszyscy siedzieli i gadali o tym, co się dzieje. Gadałi o tym, mimo że przecież wzywali go tam co najmniej raz dziennie. Stary na dobrą sprawę został właściwie oficerem operacyjnym batalionu. Prawdziwym S-3 był stary pierdoła, duppek, który nie potrafił bez mapy własnego tyłka znaleźć. Gdyby Stary mu nie mówił, co robić, mielibyśmy przesrane tak samo albo nawet gorzej niż ta dywizja czarnuchów, którą rozbili. Nie było o czym gadać, więc gadali o tym, że znowu pojechał do batalionu. Mieli nadzieję, że może uda mu się ściągnąć stamtąd trochę piwa albo może przywiezie pocztę.

Stary wrócił o wpół do czwartej, przywożąc jeepem trzy worki poczty, sześć skrzynek piwa i nawet skrzynkę coca-coli. Sam zaniósł skrzynkę piwa do bunkra stanowiska dowodzenia, a wtedy szef kompanii i jeden z radiowców poszli po resztę.

Stary poszedł do wnęki, w której spał zastępca. Mieli tam łóżko, zrobione z dmuchanego materaca, położonego na drutach telefonicznych, rozpiętych pomiędzy kilkoma okorowanymi pniakami, na których opierał się dach bunkra. Klepnął go lekko po ramieniu.

- Poczta przyszła - powiedział.

Zastępca spuścił nogi z łóżka i zaraz wstał.

- Poślij po łączników z plutonów, żeby zabrali listy – powtórzył Stary, widząc, że tamten już rozumie, co się do niego mówi. – A potem zwołaj zebranie oficerów. Sierżanci mogą przyjść, ale ma zostać po jednym na pluton.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Przywiozłem trochę piwa i skrzynkę coli.

Łącznicy szybko się zebrali, niecierpliwie czekając, aż kanceliści przejrzą i podzielią pocztę na kupki dla poszczególnych plutonów.

Trzej porucznicy i chorąży rzucili tylko okiem, czy coś do nich przyszło, i zebrali się u dowódcy kompanii. Porucznicy dowodzili plutonami, a chorąży przyjechał jako szef kancelarii, ale okazało się, że przed egzaminem na chorążego był podoficerem w parku samochodowym, więc teraz z wielką radością pełnił obowiązki oficera remontowego.

- Tommy - zaczął Stary, patrząc na dowódcę drugiego plutonu - jesteś pieprzoną załogą korpusu oficerskiego.

- Tak jest, sir - odparł Tommy. - Jestem. Czy to oznacza, że pan kapitan wreszcie dojrzał do tego, żeby mnie zakuć w kajdany i odesłać do kraju w niesławie?

Wszyscy się roześmieli.

- A w ogóle, to coś ty robił, żeś się tak utyłł? Tarzałeś się po ziemi, czy jak?

- Musieliśmy zdemontować zespół napędowy z dwudziestki dwójki, sir. Obudowa przekładni puszczała płyn. Jak go wyciągnęliśmy, okazało się, że miała prawo. Cała była popękana.

- A ty stałeś pod dźwigiem i wszystko się polało na ciebie?

- Tak jest, sir.

- Naprawiliście?

- Tak jest, sir.

- Wszystko inne chodzi? - zapytał Stary i po kolei patrzył w twarze swoich oficerów i chorążego.

Po kolei meldowali, że u nich wszystko działa. Chorąży potwierdził i dodał, że dostali trzy nowiutkie silniki z przekładniami, wszystko w skrzyniach. I trzy równie nowe komplety gaśnic w skrzyniach.

- I to nie trzy kompletne gaśnice, panie kapitanie, tylko trzy komplety, po dwie gaśnice w skrzyni. Bóg jedyny wie, skąd oni takie skarby wytrzasnęli.

- Aha - skwitował Stary. - Ale na M46 to pewnie nie będą pasować, co?

- Nie, panie kapitanie - odparł chorąży i spojrzał na niego podejrzliwie.

- No i dobrze. W takim razie w ciągu następnych czterech dni proszę je założyć na najbardziej potrzebujące wozy.

- Wie pan, panie kapitanie, zastanawiałem się nad tym. Doszedłem do wniosku, że chyba poczekam, aż któremuś spadnie gaśnica. W końcu po co je zmieniać, skoro jeszcze chodzą?

- Na które wozy je założycie, to już zostawiam do waszej decyzji, ale macie je założyć

na te, które najbardziej potrzebują, i to jak najszybciej. A co z innymi pojazdami”?

- Jeepy są wszystkie na chodzie. Znaczy, wszystkie dwa, panie kapitanie - poprawił się chorąży.

W kompanii B były cztery jeepy. Dwa były ich, legalne, zgodnie z etatem. A te pozostałe dwa... No cóż, kierowcy się na chwilę zagapili, to chłopaki je „pożyczyli”. Jasne, że Stary wiedział o tamtych dwóch zorganizowanych jeepach, ale skoro nigdy nie poruszał tego tematu, to tak jakby ich nie było.

- Zostaniemy zlurowani - powiedział Stary.

- Jezu, nareszcie - wyrwało się któremuś z dowódców plutonów.

- Jak tylko się ściemni, przyjedzie koreański kapitan z dowódcą plutonu i jednym plutonem. Całość trzeba załatwić po cichu. Tamci mają nie wiedzieć, że nas zastąpili Koreańczycy. Jutro przyjedzie drugi pluton, a pojutrze trzeci. Kiedy się przekonam, że dadzą sobie radę, nasze plutony, też po jednym naraz, zejdą ze wzgórza.

- Po cichu? A co z czołgami? Nie da się ich ściągnąć po cichu - zafrasował się chorąży.

- Pozycje przekazujemy Koreańczykom razem z czołgami.

- Tak? I co, w nowym miejscu zaczniemy się pieprzyć od nowa z tym, żeby wszystko doprowadzić do użytku, tak? Kurde, nie mogą żółtki swoich czołgów przytargać, tylko muszą brać nasze? - Chorąży chciał coś jeszcze powiedzieć, ale ugryzł się w język.

- Sam wygłosiłem do pułkownika Jiggsa niemal równie przepelnione pasją przemówienie - uśmiechnął się Stary. - Wysłuchał w spokoju do końca i powiedział: „No dobra, skoro twoje chłopaki tak kochają swoje gruchoty, to niech je sobie zachowają, a ja dam te nowe M46 Koreańczykom”.

- M46? Naprawdę?

- A ja na to: panie pułkowniku, w głębi serca moi dzielni żołnierze pewnie woleliby swoje czyste i lśniące Shermany od tych wstrętnych Pattonów prosto z fabryki, ale wierzę, że zdołam ich przekonać, że ojczyzna wymaga od nich jeszcze i tego poświęcenia...

Przeczekał, aż śmiech ucichnie. Chciał chyba powiedzieć coś jeszcze, ale ten porucznik, na którego naskoczył na początku, spojrział mu prosto w oczy i zapytał o to, co chyba każdemu leżało na wątrobie:

- Panie kapitanie, gdzie jest haczyk?

- Rozkazy mówią, że mam się upewnić, że czołgi są w porządku, i szykować się do natarcia.

- Natarcia? Kto mógł wpaść na tak idiotyczny pomysł? Walker?

Chodziło o generała broni Waltona „Buldogą” Walkera, dowódcę 8. Armii, a nie o jego miennika, szefa kuchni kompanii B.

- Wpadł na to przy śniadaniu - potwierdził Stary.

Znowu się roześmiali, ale tym razem dość nerwowo.

- Jasna cholera, sir, przecież tam przed nami stoi połowa żółtków z całego świata! Kto nam udzieli wsparcia? Przecież nawet Marines stąd wycofali!

- Z całą pewnością przedstawię pułkownikowi tę jakże trafną ocenę naszej sytuacji - odparł Stary - tymczasem jednak, póki sam nie zauważy, jak bardzo się mylił, obawiam się, że będziemy musieli pójść mu na rękę.

Kiedy już przebrzmiał śmiech, Stary znowu się odezwał:

- Powiedźcie o tym żołnierzom, ale upewnijcie się, że zrozumieli, że to ja sam ocenię, czy Koreańczycy są w stanie nas złuzować. Dziękuję panom, to wszystko.

Kiedy wyszli z namiotu, Stary wezwał gestem kancelistę siedzącego za maszyną.

- Tak jest, sir.

- Będę dozwonnie wdzięczny za arkusz papieru listowego i kopertę.

Z zapasu przywiezionej przez zastępcę papeterii zostało jeszcze kilka kartek. W rogu miały złoty nadruk „Kasyno oficerskie, Fort Shafter, Hawaje”. Stary wkręcił kartkę w maszynę do pisania, starannie wykreślił nadruk iksami i poniżej napisał: „Fort Lowell, Korea Płd.”

Rozprostował palce, aż chrupnęły, i zaczął pisać, sprawnie i szybko, jakby tekst już wielokrotnie przećwiczył w pamięci:

Moja kochana Ilse,

Skoro wreszcie mam kilka chwil wolnych pomiędzy golfem a popijawą w barze, postanowiłem, że może zabiję ten czas, skrobiąc parę słów do Ciebie, zamiast zając się paniami. Wiem, że łamię im w ten sposób serca, ale niech tam.

W dzisiejszej pocztce znowu nie było listu od Ciebie i z rozkoszą ugotowałem w oleju

gryziopiórka, który zdecydował, że skoro listy do Ameryki są bezpłatne, to nie potrzeba nam tutaj znaczków pocztowych. Moje listy, jak być może zauważyłaś, muszą iść przez firmę, żeby oni mogli je wysłać do Ciebie, do Niemiec. Bóg jedyny wie, co się dzieje z Twoimi listami. Odkąd tu przyjechałem, dostałem tylko jeden, ten wysłany do Fort Lawton. Inne są pewnie gdzieś w drodze, na morzu, w Kanale Sueskim albo zaginęły w tajemniczych Indiach.

Mimo to moje morale ma się doskonale jak na te warunki - zwłaszcza jak na kogoś pozbawionego towarzystwa żony i synka. Dowodzę doskonałą kompanią, mam dobrych oficerów, znakomitych sierżantów i tylko kilku naprawdę beznadziejnych sukinsynów.

Zdaje się, że nasze linie zaopatrzeniowe wreszcie się odetkały i zaczynają wypływać wszelkie bogactwa jak z rogu obfitości. Dzisiaj zostałem poinformowany, że od jutra dostajemy nowe czołgi, M46. Ojciec wyjaśni Ci bliżej szczegóły, które sprawiają, że ogarnęła mnie tak dzika radość na tę zmianę. W porównaniu z Shermanem mają armatę 90, a nie 75 mm, są niższe, mają lepsze zawieszenie i w ogóle są lepsze.

Chcę Ci powiedzieć, tylko błagam, Liebchen, nie zrozum mnie źle, że chociaż cierpię oderwany tak nagle od Ciebie i P. P., to naprawdę to, co robię tutaj, podoba mi się dużo bardziej niż to, co robiłbym w firmie. W jakiś przedziwny, perwersyjny sposób czuję się związany z tym, co robię, i co gorsza czuję - nikomu innemu bym tego nie powiedział - że jestem tu na swoim miejscu. Tu, wśród wilgotnych worów z piachem, otoczony bronią i tonący czasami w naprawdę straszliwym, prawdziwie wojskowym smrodzie.

Jestem dobrym oficerem. Mówię to z całą skromnością, na jaką mnie stać. Wcale nie uważam się za kogoś nadzwyczajnego. Wygląda na to, że po prostu rozumiem tę maszynę i ludzi, którzy nią rządzą, i wiem, jak sprawić, że wszystkie kawałki układanki do siebie pasują i wszystko chodzi jak w zegarku. Jestem pewny (i to nie tylko ja, pułkownik też mi to powiedział), że moja kompania B jest najlepsza w batalionie. Doskonale nam się układa, kompania żyje i walczy. Jestem dumny z niej i z tego, że jestem jej częścią, a chyba najbardziej z tego, że wiem, że to moja zasługa.

Tak więc, Liebchen, mam zamiar skorzystać z obietnicy, którą mi złożyłaś w Filadelfii, wtedy, kiedy powiedziałaś, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebym wrócił do wojska. Będziemy tu jeszcze chyba z rok, tak mi się wydaje, a potem wrócę do domu

i do Ciebie. Spędzę w Niemczech miesiąc urlopu i wrócimy do Stanów. Nie będę się rozpisawał nad tym, jak bardzo tęsknię za Tobą i małym. Jestem już dużym chłopcem, a duzi chłopcy nie płaczą. Pozwolisz chyba jednak, żebym Ci napisał, że Cię Kocham i podziwiam?

Kocham cię Craig

Podpisał się z braku czego innego dermatografem do pisania po celuloidowych nakładkach na mapy i zakleił kopertę. Odwrócił ją i zauważył, że zapomniał zaadresować. Ten adres wciąż go śmieszył.

Pani Craigowa Lowellowa,
Schloss Greiffenberg Marburg Niemcy

Schloss to po niemiecku zamek. Takie słowo w adresie sprawiało, że człowiek wyobrażał sobie, że posłaniec w błyszczącej zbroi przywiezie go na koniu na brzeg fosy, po czym zadmie w róg, żeby mu opuścili most zwodzony.

Zagiął kopertę wzdłuż dłuższego boku, żeby się zmieściła do drugiej koperty, w której miał wysłać list do firmy w Stanach, żeby stamtąd z kolei wysłano go do Niemiec.

- Muszę poprosić o jeszcze jedną kopertę - powiedział. - Masz jeszcze jedną kopertę, Stu?

- Panie kapitanie, ile będzie kosztował znaczek do Niemiec?

- Pojęcia nie mam, a bo co?

- Wie pan, panie kapitanie, napisałem do matki o tych kłopotach, jakie pan ma z wysyłaniem listów do żony, i mama przysłała mi dla pana trochę znaczków, tylko że wszystkie po piętnaście centów. Chyba dwa powinny wystarczyć, jak pan myśli? - powiedział, sięgając po kopertę, którą trzymał w ręku dowódca kompanii.

- No cóż... - wybąkał Lowell. - Dziękuję. I podziękuj ode mnie mamie, Stu.

Stary obrócił się na pięcie i wyszedł z bunkra, żeby ani zastępca, ani kancelista nie widzieli jego oczu, które, nie wiadomo z jakiego powodu, nagle zwilgotniały.

Kurs Helikopterowy 50-4 (Specjalny) odbywał się w Fort Houston w Teksasie na ustny rozkaz sekretarza Armii w związku z niecierpiącym zwłoki zapotrzebowaniem 8. Armii w Korei na pilotów helikopterów. Od pierwszych dni wojny koreańskiej jasne było, że helikoptery, zwłaszcza Bell H-13 Sioux i Hiller H-23 Raven, doskonale nadają się na maszyny sanitarne do ewakuacji rannych z pola walki.

W ciągu dwóch tygodni od rozpoczęcia walk pomysłowi piloci lotnictwa Armii na własną rękę montowali nosze na płozach swoich maszyn, przekształcając je w latające sanitarki.

Z technicznego punktu widzenia takie przeróbki rujnowały właściwości aerodynamiczne śmigłowców, gdyż z pilotem, dwoma rannymi i noszami maszyna nawet bez paliwa przekraczała dopuszczalną masę startową. W dodatku były to przeróbki nielegalne, gdyż po oddzieleniu się Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych i przekształceniu ich w samodzielny rodzaj broni, w 1948 roku podpisano porozumienie w Key West. Na jego mocy wszelkie zmiany konstrukcyjne resztek maszyn latających, jakie pozostały w dyspozycji Armii po oddzieleniu się Sił Powietrznych, musiały być przez niezatwierdzone. Nikt nie pytał Sił Powietrznych, czy na helikopterach lotnictwa Armii można montować nosze, więc ich zamontowanie było nielegalne i łamało porozumienie z Key West.

Niemniej jednak powietrzne sanitarki działały, co znacznie łagodziło opory dowódców Armii. Przerobione maszyny ratowały życie żołnierzy, więc do diabła z aerodynamiką, a Siły Powietrzne niech się pieprzą.

Zarówno H-13, jak i H-23 obliczone były do przewożenia pilota i pasażera o masie do 90 kilogramów każdy. Zamontowanie jednych noszy zakłóciłoby znacznie wyważenie maszyny, więc trzeba było zamontować dwie pary, dla dwóch rannych. Tyle tylko, że wówczas przekraczało się dopuszczalną masę startową, a więc ciężar, z którym helikopter mógł latać bezpiecznie - a kto wie, czy w ogóle byłby zdolny wystartować z takim obciążeniem.

Na drugiej szali leżała jednak możliwość położenia na tych noszach dwóch ciężko rannych żołnierzy w krytycznym stanie i przewiezienia ich szybko, a co ważniejsze, zaoszczędzenia im podróży sanitarką po bezdrożach, która potrafiła wykończyć nawet zdrowego człowieka, a rannego zabiłaby z pewnością. Nielegalna przeróbka pozwalała przerzucić ich szybko i wygodnie, wprost na teren

Ruchomego Szpitala Chirurgicznego Armii, czyli MASH. Jeśli ranny trafił tam jeszcze żywy, miał 95 procent szans na przeżycie. Lekarze nie mieli słów pochwały dla śmigłowców - zbyt często wyciągali z sanitarek nosze ze zmarłymi po drodze żołnierzami. Dodge z napędem na cztery koła potrafił przejechać wszędzie, ale pasażerowie jego pięciu noszy czuli każdą dziurę w ostrzeliwanych drogach, każdy wybój na górskich bezdrożach i musieli je znosić przez dwie godziny jazdy z linii frontu do szpitala.

Tak więc wbrew regułom zdrowego rozsądku, łamiąc porozumienia z Siłami Powietrznymi, które dopuszczały używanie Siuxów i Ravenów jedynie jako czegoś w rodzaju latających jeepów, i przecząc podstawom aerodynamiki, śmigłowce obciążone dwiema parami noszy latały pomiędzy główną linią obrony i szpitalami, ratując życie żołnierzom. A do kraju poszło zapotrzebowanie na tak wielu pilotów helikopterów, jak to tylko możliwe, i tak szybko, jak to tylko możliwe.

Z samymi helikopterami problem był dużo mniejszy niż z pilotami do ich prowadzenia. Bell i Hiller z miejsca przeszły na system trzymianowy i przez całą dobę produkowały śmigłowce tak szybko, jak tylko Armia była je w stanie odbierać. Póki jednak nie dotarli na linię, postanowiono, że w celu zrjonalizowania zaopatrzenia w części H-23 będą używane tylko w Korei, a Belle pozostaną w kraju. Wszystkie Raveny, jakie były w Armii, pośpiesznie wysyłano na Daleki Wschód, zastępując je nowymi *Bellami* H-13 prosto z taśmy.

Z pilotami było jednak dużo gorzej. Zanim rozpoczęła się wojna, w Armii służyła tylko garstka pilotów umiejących pilotować helikoptery, a że był to nowy rodzaj statku powietrznego, w rezerwie praktycznie nie było ani jednego. Co gorsza, nawet tych niewielu pilotów, których Armia miała, nie można było wysłać na front, bo przecież ktoś musiał szkolić nowych. W tej sytuacji sięgnięto po instruktorów cywilnych, wysyłając wojskowych pilotów do Korei. W wojsku natomiast rozesłano okólniki wzywające do zgłaszania się na ochotnika do szkolenia helikopterowego. Podania aprobowano zwykle od ręki, pod warunkiem przejścia rygorystycznego lotniczego badania lekarskiego, i z miejsca wysyłano ochotnika do ośrodków szkoleniowych.

Służba Zdrowia Armii, by oszczędzić swoim lekarzom papierkowej roboty, powołała do życia Medical Service Corps (Korpus Służby Medycznej), który nosił na klapach mundurów kaduceusz z wężami służby zdrowia, ale oznaczony dodatkowo literami MSC.

Kiedy Służba Zdrowia dostała pierwsze śmigłowce do ewakuacji rannych, przydzielono je, wraz z pilotami, do tej właśnie służby.

A potem Służba Zdrowia, którą wszyscy zawsze podziwiali, ale której, mówiąc szczerze, zawsze brakowało wojskowej ogłady, zaczęła się bawić w politykę. Szef Służby Zdrowia zdołał wydebić pozwolenie na ściągnięcie do Centrum Medycznego Armii w Fort Sam Houston w San Antonio w Teksasie pokaźnej liczby pilotów helikopterów, by tam szkolili innych oficerów Korpusu Służby Medycznej w pilotowaniu śmigłowców. Zdołał również uzyskać pozwolenie na znaczne zwiększenie liczebności Korpusu Służby Medycznej ponad początkowe założenia. Opieka nad rannymi zawsze miała w Armii wysoki priorytet, więc nikt nie śmiał kwestionować potrzeb Służby Zdrowia.

Od razu się jednak okazało, że gdyby medycy dostali wszystko, czego chcieli, zarówno, jeśli chodzi o liczbę instruktorów, jak i sprzętu, to reszcie Armii pozostałoby ich tak mało, że nie byłoby mowy o wykonywaniu obowiązków. W związku z tym inicjatywę Służby Zdrowia utracono i szkolenie pilotów helikopterów wróciło do artylerii, tak jak było przed Koreą, z tym że polecono zarezerwować dla pilotów sanitarnych jak najwięcej miejsc na każdym z organizowanych kursów.

Kursy już rozpoczęte w San Antonio miały trwać, dopóki w Szkole Artylerii w Fort Sili nie znajdą się miejsca, na które można by przenieść kursantów z Teksasu. Skoro przez przynajmniej jakiś czas miały istnieć dwie szkoły, skorzystano też z okazji, by wysłać na szkolenie do San Antonio pewną liczbę oficerów innych rodzajów broni i służb, by odbyli to szkolenie wraz z pilotami sanitarnymi.

Kapitan Rudolph G. MacMillan szybko się przekonał po odbyciu kilku rozmów telefonicznych, co były warte zapewnienia, którymi faszzerowano go tuż przed odesłaniem z Dalekiego Wschodu. Miał wrócić do kraju na szkolenie helikopterowe, by nabyć nowych umiejętności przydatnych w walce na tamtejszym teatrze działań wojennych, a tymczasem dekonwicy z działu kontaktów społecznych Pentagonu uszyli mu niezłe buty. Co najmniej przez dwa miesiące mieli go pokazywać w klatce, żeby ludzie mogli zobaczyć żywego bohatera, a dopiero potem mieli zamiar „poważnie porozmawiać” o znalezieniu dla niego miejsca na kursie.

Mac był wściekły. Miał głęboko w nosie plany cholernych gryzipiórków. Nie miał zamiaru tracić tyle czasu, kiedy tam trwała wojna. Chciał na nią wrócić, i to jak najszybciej.

Odłożył słuchawkę, wszedł schodami do sypialni na piętrze domu matki Roxy przy Railroad Street w Mauch Chuck w Pe sylwaniu i wyciągnął z szafy swoją

kurtkę od galowego munduru. Rozłożył ją na tapczanie i wyjął z szuflady baretki. Przypiął je wszystkie - tym razem łącznie z tą, którą nosiło się na samej górze, oddzielnie od reszty, jedwabną, granatową, nakrapianą białymi gwiazdkami baretkę Medalu Honorowego Kongresu. Obejrzał całość fachowym okiem, skrzywił się jak zwykle, kiedy musiał się tak wystroić, i powiesił kurtkę na wieszaku nad tylnym siedzeniem nowego oldsmobile'a, którego Roxy przyprowadziła z salonu, kiedy był w Korei. A potem wsiadł do samochodu i ruszył do Waszyngtonu.

Jechał do Boba Bellmona, to znaczy do podpułkownika Roberta F. Bellmona, z którym siedzieli razem w niemieckim obozie jenieckim, a który teraz służył w biurze zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjnych. Jeśli Bellmon nie będzie go w stanie wyciągnąć z tej bryndzy, będzie szukał tak długo, aż znajdzie kogoś, kto zdoła tego dokonać. A jeśli nikt taki się nie znajdzie, to w każdym razie będzie miał satysfakcję, że próbował, i zanim zrobią z niego kukłę do straszenia dzieci, dotrze ze swoją skargą na samą górę, choćby i do samego szefa sztabu, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Bellmon od razu rozwiął jego nadzieje. Podzielił się z nim swoimi podejrzeniami, że Mac został odwołany z Dalekiego Wschodu nie po to, by nabyć nowych umiejętności, ale właśnie po to, by już więcej nie trafił na linię frontu. Miał Medal i byłoby naprawdę głupio, gdyby kawaler Medalu dostał w czapę. Zabity bohater to znacznie gorsza wiadomość niż zwykły zabity żołnierz.

- Może uda mi się wyrwać cię z łap public relations - obiecał mu na koniec Bellmon - ale zacznij się przyzwyczajać do myśli, że przesiedzisz tę wojnę tutaj. Nie poślą cię z powrotem i kropka.

Pułkownik Bellmon poprowadził go labiryntem betonowych korytarzy Pentagonu do biura swojego kolegi ze studiów, który służył w biurze personalnym. Przedstawił mu Maca jako swego drogiego przyjaciela, kumpla z obozu, który ostatnio był na Dalekim Wschodzie, a teraz wpadł w szpony specjalistów od reklamy.

Rzadko kiedy prosił kogoś o przysługę, więc jego kolega ze studiów był gotów zrobić wszystko dla niego i jego przyjaciela, kawalera najwyższego orderu za męstwo - oczywiście w granicach rozsądku. Oczywiście z wyjątkiem posłania go z powrotem na Daleki Wschód, to w ogóle nie wchodziło w grę.

Żeby oszczędzić MacMillanowi losu odpustowej atrakcji, trzeba było znaleźć mu miejsce na kursie pilotów helikopterów. Nie było z tym żadnych kłopotów. Pewien kapitan piechoty, zastępca instruktora z Fort Benning, otrzymał pismo, że z powodu braku miejsc na kursie jego rozkaz wyjazdu na przeszkolenie zostaje

odwołany, a o terminie rozpoczęcia następnego szkolenia zostanie poinformowany pisemnie w odpowiednim terminie. Jednocześnie wystawiono rozkaz wyjazdu na kurs pilotów helikopterów w Centrum Medycznym Armii w Forcie Sam Houston w San Antonio w stanie Teksas kapitanowi Rudolphowi G. MacMillanowi.

Bob Bellmon nalegał, by Mac nocował u nich na Farmie. Mówił, że Barbara mu nie wybaczy, że przyjechał bez Roxy, ale jakoś będą musieli to przeżyć. Po drodze na Farmę wstąpili po steki, które potem smażyli na grillu, wspominając stare czasy. Rozmawiali o słynnym antytalencie kulinarnym generała Waterforda, który mimo że wiele godzin spędził przy grillu, po prostu nie był w stanie opanować sztuki smażenia mięsa, i opowiadano, że ma na sumieniu więcej przypalonych steków niż cała reszta kiepskich kucharzy świata razem wziętych.

- O rany, Mac - Bellmon nagle zmienił temat. - Pewnie jeszcze nie słyszałeś o pułkowniku von Greiffenbergu, co?

- Co miałem słyszeć?

- Wrócił.

- Myślałem, że nie żyje. Słyszałem, to znaczy sam mi przecież mówiłeś, że Rosjanie rozwalili go tuż przed tym, jak was wyzwolili...

- Wtedy tak myślałem. Zresztą nie tylko ja, wszyscy byli o tym przekonani. Ale okazało się, że przeżył. Rosjanie wywieźli go na Syberię.

- O jasna cholera! To fantastyczna wiadomość - ucieszył się. Ale po chwili twarz mu się zachmurzyła. - A co Lowell na to?

Craig W. Lowell nie należał do ulubieńców kapitana Macmillana. Mimo tego, czego dokonał w Grecji, w opinii Maca Lowell był dupkiem, który nigdy nie powinien zostać oficerem.

- Ostatnio widziałem go dwa razy - odparł Bellmon i kątem oka zauważył, że żona daje mu sygnał, żeby więcej nic nie mówił.

- O?

- Pierwszy raz w Niemczech. Pojechał witać pułkownika.

- Cieszę się, że Ilse odzyskała ojca. Roxy i ja zawsze bardzo ją lubiliśmy. Nigdy nie zgadnę, co ona zobaczyła w Lowellu, ale poza tym jest naprawdę w porządku.

- A potem widzieliśmy kapitana Lowella, kiedy tu wpadł w drodze na Daleki Wschód - powiedziała Barbara.

- Kapitana Lowella?! - Mac nie posiadał się ze zdumienia.

- No i co ty na to? - zapytał Bellmon.

- Jak on to załatwił? Przecież chyba nie ma więcej niż dwadzieścia cztery, no, najwyżej dwadzieścia pięć lat!

- Dwadzieścia trzy, jeśli chodzi o ścisłość. Wstąpił do Gwardii Narodowej

i załatwił sobie awans. Jak może zdołałeś zauważyć, ma talent do takich rzeczy.

- Rzygać mi się chce, jak o nim myślę. Przecież on nie ma większego prawa być kapitanem niż Roxy! I co teraz porabia? Gra w golfa w Camp Drake?

- W Pusan jest taki obóz dla oficerów, którzy się nie sprawdzili. Z tego co słyzałem, pracują jako dokerzy. Mam szczerą nadzieję, że właśnie tam trafił - uśmiechnął się pułkownik Bellmon.

- Jak możesz mówić takie potworności! - oburzyła się Barbara.

- Twój przyjaciel Lowell to jedno wielkie potworne nieporozumienie - odparł spokojnie pułkownik.

- Nie masz prawa mówić o nim takich rzeczy!

- Po tym, jak i po co tu przyjechał? Mam, jak najbardziej.

- Kochanie, ty mu po prostu zazdrościsz - odparła lodowato uprzejmym tonem Barbara. - Nie miałbyś odwagi, żeby postąpić tak jak on. Ty byś pozwolił swoim przełożonym narobić sobie na głowę i jeszcze byś się cieszył, że obdarzyli cię takim zaufaniem. Nie lubisz go, bo za każdym razem, kiedy się z nim spotykasz, rozumiesz, że stajesz się w coraz większym stopniu urzędasem w mundurze, a nie żołnierzem. Sam przed sobą nie chcesz się do tego przyznać, więc się na nim wyławdujesz.

Zerwała się na równe nogi, wylewając przy tym drinka, i pobiegła do domu.

- Jezu, co jej się stało? - zapytał MacMillan.

- Jak się wścieka, wychodzi z niej cały tatuś.

- Rany boskie, święta racja! - roześmiał się Mac. - Zupełnie jakbym słyzał świętej pamięci generała!

- Dam jej dwie minuty, żeby ochłonęła, i pójde po nią - powiedział Bellmon i wrócił do grilla.

Pieprzony Lowell, pomyślał ze złością. Sukinsyn potrafi narozrabiać nawet wtedy, jak jest piętnaście tysięcy kilometrów stąd!

4

Centrum Medyczne Armii im. Brooke'a
Fort Sam Houston, San Antonio, Teksas
10 września 1950

Kiedy MacMillan meldował się na szkolenie, na jego piersi nie było ani jednej baretki ani odznaki, poza skrzydłami pilota. Nie miał zamiaru ściągać na siebie niczyjej uwagi, chciał po prostu przebrnąć przez to bagno możliwie najmniejszym kosztem i jak najsprawniej. Gdyby nie miał w rozkazie wyjazdu wpisane, że jest

pilotem Armii z uprawnieniami do lotów bez widoczności, to skrzydeł też by nie przypiął.

Od razu usłyszał, że zostali zwolnieni z zajęć w grupach i nie mają ustalonego programu zajęć. Program pisany był z myślą o oficerach innych rodzajów wojsk, których trzeba nauczyć wszystkiego od podstaw. Piloci mieli po prostu zostać uczniami instruktorów pilotażu helikopterów i pozostać nimi do czasu, aż instruktorzy uznają, że albo zdobyli podstawowe umiejętności i mogą zacząć kurs zaawansowany, albo nie są w stanie opanować sztuki bezpiecznego pilotowania helikoptera i powinni sobie dać spokój.

Umiejętność pilotowania samolotu nie ma żadnego przełożenia na umiejętności pilotowania helikoptera. Pilotowanie helikoptera to sztuka o wiele trudniejsza niż latanie samolotem. Wymaga o wiele większej koordynacji ruchowej i wielu naprawdę wspaniałych pilotów samolotów odpadło ze szkolenia, nie dając sobie rady z przejściem na helikopter.

Instruktor, któremu przydzielono MacMillana, dawno już wyrobił sobie metodę postępowania z pilotami samolotów przydzielonymi do szkolenia helikopterowego. Po pierwsze, uważał, że trzeba im pokazać, że chociaż może na swoich latawcach latają dobrze, to w kontakcie z helikopterem są niczym. Udane strącenie pana przestworzy na ziemię otwierało im zwykle umysł i pozwalało chłonąć od podstaw całkiem nowe umiejętności. Najszybszym i najskuteczniejszym sposobem osiągnięcia tego celu było zabranie delikwenta na lot zapoznawczy, podczas którego sam przekona się, jak znikome znaczenie mają jego dotychczasowe umiejętności w zetknięciu z całkiem nową maszyną latającą.

Normalny samolot unosi się dzięki sile nośnej wytwarzanej przez skrzydła i sterowany jest za pomocą drążka i orczyka. Wznoszenie osiąga się, ściągając drążek na siebie, jeśli się drążek odepchnie, samolot zanurkuje. Jeśli się chce skrócić, trzeba oprócz wychylenia drążka wcisnąć pedał orczyka. Żeby lecieć prosto, najlepiej zdjąć nogi z orczyka i puścić drążek - po prostu nie przeszkadzać samolotowi lecieć prosto.

Z helikopterem nic nie jest takie proste. Pilot ma pod nogami pedały, które wyglądają tak, jak orczyk samolotu, ale służą zupełnie do czego innego. Jeśli się z nich zdejmie stopy, to maszyna, zamiast lecieć prosto, natychmiast zacznie się kręcić wokół osi wirnika nośnego. Pilot musi przez cały czas sterować za ich pomocą wirnikiem ogonowym, starając się utrzymać w równowadze siły działające w locie na helikopter.

Żeby jeszcze bardziej zbić z tropu pilota samolotu siadającego za sterami

helikoptera, w kabinie był też drążek, znowu taki sam jak w samolocie, ale służący do zupełnie czego innego. W samolocie drążek za pomocą cięgieł porusza lotkami na skrzydłach lub sterem głębokości i, odchylając opływ powietrza, powoduje wytworzenie sił przechylających samolot. W helikopterze drążek steruje kątem natarcia łopaty wirnika nośnego w stosunku do osi maszyny i za jego pomocą „stożkiem nośnym”. Granice stożka zakreślają łopaty obracającego się wirnika wytwarzające siłę nośną. Wyobraźcie sobie wielki, ale krótki, pusty w środku, odwrócony wafel do lodów o bardzo szerokim wylocie. Jeśli ten stożek nachylicie dnem do przodu, helikopter polecą naprzód. Jeśli do tyłu, zaczną się cofać. Można go pochylić w każdym kierunku, wpływając w ten sposób na kierunek lotu.

Kolejną cechą odróżniającą oba rodzaje statków powietrznych jest to, że lewa ręka pilota nie pozostaje wolna jak w samolocie, ale także ma ważne zadanie do spełnienia przy sterowaniu maszyną. Lewa ręka przez cały lot ścisła przyrząd sterowy - coś, co przypomina połówkę kierownicy motocykla, a co oficjalnie nazywa się dźwignią zespoloną skoku ogólnego, coś, co większość pilotów samolotowych od razu eliminuje, bo nie potrafią przełamać wyrobionych przez lata nawyków. Obrotowa manetka otwiera i zamyka przepustnicę, jak w motocyklu, ale aluminiowa rura, na której jest zamontowana, reguluje skok łopaty wirnika. W zależności od ustawienia, łopata, obracając się wokół głowicy wirnika, odrzuca więcej lub mniej powietrza. Im większy kąt natarcia łopaty, tym większa siła nośna wytwarzana przez łopatę. I znowu, ponieważ ten kąt zmienia się wraz z kątem ich ustawienia względem osi maszyny, pilot musi cały czas starać się zrównoważyć siły działające na maszynę, jednocześnie bez przerwy wyrównując wirnikiem ogonowym skłonność helikoptera do obracania się wokół osi wirnika głównego i pilnując obrotów za pomocą przepustnicy. Najważniejszy przyrząd pokładowy przed nosem pilota, w samym centrum tablicy, ma dwie wskazówki. Jedna pokazuje obroty silnika, a druga obroty wirnika. Pilot, poruszając obiema dźwigniami i manetką przepustnicy, powinien dążyć do tego, żeby obie wskazówki się pokrywały, i to w wąskim zakresie zielonego pola tarczy.

Różnice zaczynają się już od startu. Pilota samolotu uczy się, żeby po prostu ustawił maszynę w osi pasa, otworzył przepustnicę na „pełną moc startową”, zwolnił hamulce i, używając orczyka, nie pozwolił maszynie zjechać z pasa. Całą resztę za pilota wykonuje fizyka - przy odpowiedniej prędkości siła nośna, wytwarzana przez opływ powietrza wokół profilu skrzydła, równoważy masę samolotu i maszyna odrywa się od pasa.

Pilot helikoptera nie ma tak lekko. On musi uzyskać siłę nośną, tak manipulując dźwignią zespoloną skoku ogólnego, by kombinacja szybkości obrotu łopat i ich kąta natarcia uniosła maszynę w górę. Kiedy tylko płozy oderwą się od pasa, musi zacząć utrzymywać ją w równowadze pedałami orczyka. A w tym samym czasie, regulując kąt natarcia łopat do osi maszyny, wpływać na kierunek poruszania się helikoptera - i to nawet wtedy, kiedy nie ma zamiaru nigdzie się poruszać. Takie podniesienie helikoptera i zawiśnięcie bez ruchu, czyli „zawis”, to zresztą najwyższa szkoła jazdy i najtrudniejszy do opanowania element pilotażu.

Nawet po osiągnięciu tego stanu helikopter jeszcze nie leci. To dopiero stadium przejściowe, kiedy maszyna zaledwie unosi się na czymś w rodzaju poduszki powietrznej, którą między nim a ziemią tworzy wirnik nośny. Jeśli chce się lecieć, trzeba się z tej poduszki ześlizgnąć w którąkolwiek stronę, do góry czy na boki, i bez przerwy utrzymywać potem maszynę w stanie bardzo chwiejnej równowagi.

Najprostszym sposobem na pokazanie pilotowi samolotu, na jaką bestię chce się przesiąść ze swej dobrotliwej szkapy - choćby on uważał, że to najbardziej bojowy samolot myśliwski świata - jest nie wykład, lecz praktyczna demonstracja. Kiedy nowa maszyna ucieknie spod niego już w pierwszej chwili, gdy weźmie stery do ręki, zazwyczaj pewny siebie pilot uświadamia sobie, że ma jeszcze mnóstwo do nauczenia, co sprawia, że staje się pilnym i chłującym wiedzę uczniem.

Instruktor kapitana MacMillana przez pół godziny zapoznawał go na ziemi z mechanizmami Bella H-13. Kiedy wreszcie wsiadli do pleksiglasowej bańki, która okrywała „kurzą grzędę”, na której siedzieli obaj obok siebie, przez kolejny kwadrans objaśniał mu konstrukcję i zasady działania przyrządów sterowniczych i wskaźników na tablicy. Uczeń wydał mu się bardzo pewny siebie i instruktor w głębi ducha cieszył się, że zaraz mu pokaże, gdzie jest jego miejsce. Nie wiadomo, skąd się tu ten gość wziął, włączono go do składu kursu w ostatniej chwili, ale jeszcze zanim się pokazał, dwa razy dzwoniło w jego sprawie z samego Pentagonu, więc albo miał wysokie wejścia, albo naprawdę niezły z niego chojrak. Tak czy inaczej, za chwilę się przekona, że czegokolwiek dokonał w życiu, to żeby pilotować helikopter i skończyć ten kurs, będzie musiał solidnie przysiąść fałdów.

Wykonując dokładnie polecenia instruktora przekazywane przez interkom, MacMillan uruchomił silnik i po kolei skontrolował przyrządy pokładowe, sprawdzając, czy wszystkie wskazówki przesunęły się na zielone pola.

- A teraz uwaga - powiedział instruktor. - Będzie ci próbował uciec. Bądź na to przygotowany. Nie daj się zaskoczyć i uważaj, żebyś nie reagował nadmiernie.

MacMillan w milczeniu skinął głową.

- Podnieś dźwignię zespoloną, ostrożnie i powoli. I pamiętaj, żeby cały czas kontrolować przepustnicę.

MacMillan znowu skinął głową i wykonał polecenie. Helikopter uniósł się pionowo do góry. Nie podobało mu się, że wpał w lekkie drgania. Domyślił się, że to wpływ ziemi, więc uniósł maszynę jeszcze wyżej, aż ustały. Teraz wypróbował pedały orczyka, sprawdzając, jak szybko maszyna reaguje na stery. Kiedy już się o tym przekonał, rozejrzał się niespokojnie dookoła, nieświadomy, że właśnie wykonuje perfekcyjny zawis, i to nie na poduszce powietrznej nad lądowiskiem, tylko w locie.

- I co teraz? - zapytał instruktora.

- MacMillan, ile masz nielegalnego nalotu na tych ptaszkach? Możesz się teraz przyznać, to nie wyjdzie poza tę kabinę - instruktor nie lubił, kiedy ktoś go próbował robić w konia.

- Ani sekundy - odparł Mac. - Zawsze się bałem tego cholerstwa. Mogę spróbować, jak się tym lata?

- Proszę bardzo, czuj się jak u siebie w domu - odparł instruktor i od tej pory już nie odezwał się ani słowem.

Jeżeli ten facet mówi prawdę i nigdy nie latał helikopterem, to po raz pierwszy w życiu widział taki okaz. Słyszał o ludziach, którzy mają na tyle rozsądku, żeby nie przeszkadzać samolotowi w locie, i robią wrażenie, że urodzili się do latania. Ale to dotyczy tych cholernych samolotów, które same latają! Przecież to niemożliwe, żeby gdzieś żył człowiek urodzony, by latać helikopterem! To trzeba umieć, tu się trzeba ruszać i pilnować wielu rzeczy naraz, helikopter sam nie lata. Nie, ten sukinsyn musiał gdzieś latać na lewo i teraz robi ze mnie idiotę.

Ale z drugiej strony... Jak na oblatanego trochę za ostrożnie rusza sterami. To pochylenie powinno być trochę bardziej agresywne, ale i tak nieźle mu idzie. Zszedł na trzy metry i zaszuwa lotem koszącym w poprzek lotniska, że tylko trawa furczy. No i ten wyraz bezbrzeżnego szczęścia na twarzy... Cholera, może i mówi prawdę?

5

Tym razem kolega Bellmona był nieco mniej uczynny niż za pierwszym razem. Od razu twardo powiedział, że nie ma mowy o powrocie na Daleki Wschód,

nie mówiąc już o Korei, w charakterze pilota śmigłowca, choćby sanitarnego.

- Po pierwsze dlatego, że właśnie pan stamtąd wrócił. Według przepisów ma pan teraz prawo do co najmniej rocznego pobytu w kraju.

- Z chęcią zrezygnuję z tego zaszczytu. Jezu, panie pułkowniku, oni chcą ze mnie zrobić instruktora! Ja tego nie przeżyję.

Podpułkownik uśmiechnął się i otworzył szufladę biurka. Wyjął z niej kopertę wysłaną z Dai Ichi w Tokio, ręcznie zaadresowaną przez samego Głównodowodzącego Sojuszniczych Sił Zbrojnych na Dalekim Wschodzie do „Mojego Drogiego Towarzysza Broni Ellswortha”. Teraz z kolei Mac nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wszyscy wiedzieli, że zastępca szefa sztabu do spraw personalnych nie znosi swego pierwszego imienia i wszystkie dokumenty podpisuje „E. James Brockman”. W kopercie znajdowało się pismo, w którym MacArthur z wyraźną niechęcią przychylił się do opinii, że skierowanie kapitana MacMillana do służby „w której byłby narażony na ryzyko obecnej sytuacji w Korei”, nie leży w najlepszym interesie Armii. „Jestem pewien, że choć utrzymywanie żołnierza jego pokroju z daleka od pola bitwy będzie dla niego bolesnym przeżyciem, jeśli odpowiednio naświetli mu się i wytłumaczy jego sytuację, z radością i z równym zapałem jak ten, który wykazywał w walce, będzie wykonywał zadania szkoleniowe lub administracyjne, które mu się zleci”, napisał w zakończeniu Głównodowodzący.

- Pieprzenie - prychnął MacMillan. - Jeśli mam zostać instruktorem, to w ogóle wolę przestać latać!

- Generał Brockman polecił mi przekazać panu, że może pan albo zostać instruktorem, albo udać się do Polk.

- Polk? Fort Polk w Luizjanie? - zdziwił się Mac. - A co tam się, do cholery, dzieje? Od zakończenia wojny ludzka noga tam nie powstała!

- Właśnie na nowo otwarto tam centrum szkolenia podstawowego.

- Jezu!

- Trafi pan tam jako adiutant generała Blacka.

- Black? A co on takiego narozrabiał, że go tam zesłano?

- Korea to wojna piechoty, kapitanie - wyjaśnił podpułkownik. - Na razie nikt nie planuje wysłać tam żadnej dywizji pancerniej. Myślę, że chodzi o to, że jak bomba pójdzie w górę... To znaczy, w Europie, nie w Korei... Pewnie ma w Polk szkycować dywizję pancerną na wszelki wypadek.

- A co będę robił, zanim tam trafię? Aż się boję zapytać.

- Eskadra prezydencka. Jako pilot helikoptera.
- Słyszałem o tym. Ale przecież tam trzeba mieć co najmniej pułkownika i minimum tysiąc godzin bezwypadkowego lotu na śmigłowcach.
- Owszem, ale do wożenia prezydenta i szych - zgodził się pułkownik.
- No to co ja tam będę robił?
- Tworzył piękne tło. W mundurze galowym albo jeszcze lepiej wieczorowym będzie pan wyglądał wspaniale. No i oczywiście ze wszystkimi medalami, nie tylko z baretkami. - Umiłkł i po chwili dodał odrobinę kwaśno: - W tym fraku, MacMillan, będzie pan wyglądał wspaniale.
- Czy ktoś już podał moje nazwisko generałowi Blackowi?
- Jeśli pyta pan, czy nie miał obiekcji, to nie. Powiedział, że kiedy już nabierze pan nieco więcej doświadczenia, może nawet pozwoli się panu wozić tym wiatrakiem.

VII

1

Schloss Greiffenberg
Marburg, Niemcy
12 września 1950

Peter-Paul Lowell na wpół nieśmiało, na wpół gniewnie popatrzył na kobietę, którą jego mama tak czule obejmowała. Zwiniętymi w pięści rączkami pociągnął ją za spódnicę, by zwrócić na siebie jej uwagę, tknięty nagłym atakiem zazdrości o te czułości, dotychczas zarezerwowane tylko dla niego.

- Dasz cioci całusa? - zapytała Sharon Felter, przykucnąwszy przy nim.

Malec wtulił twarz w spódnicę matki.

- P. P., ciocia Sharon zna cię przecież, odkąd byłeś malutki - powiedziała Ilse Lowell. - No już, daj jej buziaka.

W Peterze-Paulu, znanym jako P. P., zagrała odwaga, wystawił głowę zza matki i pokazał intruzowi język, po czym uciekł schodami na werandę i stamtąd do wielkiego domu.

- Cały tatuś - skomentował Sandy i pocałował Ilse w policzek.

Był po cywilnemu. W tym ubraniu mało kto by go posądził o to, że jest żołnierzem. Wyglądał jak prawnik, jakiś cywilny urzędnik z Armii Okupacyjnej. Spojrzał na dom, a właściwie - jak mówiła jego nazwa - na zamek. Budynek był rzeczywiście ogromny, ale jakoś nie kojarzył się z tym, co zwykle wiąże się z tą nazwą.

- O której zmiana warty? - zapytał.

- Wydał mi się większy, niż go zapamiętałam - uśmiechnęła się Ilse. - A odkałą wyniesiono wszystkie meble, stał się jeszcze bardziej przestronny.

- O? A co się stało? - zapytała Sharon, wywołując zakłopotanie na twarzy Ilse. - Przepraszam, czy zadałam niewłaściwe pytanie?

- Zdaje się, że nasi chłopcy je „wyzwolili”, Sharon - odparł za nią Sandy.

- A, nie ma o czym mówić - zbyła sprawę Ilse. - I tak były stare. Ale nie stójmy tak. Proszę do środka, zjemy coś.

- Najpierw muszę pójść, wiesz gdzie - odparła Sharon. - Moje nerki źle znoszą takie czterdziestokilometrowe przejażdżki po kocich łbach.

Ilse zaprowadziła ją i dzieci do toalety. Sandy został sam w pomieszczeniu, które wyglądało na bibliotekę. Wzdłuż ścian ciągnęły się puste półki, w kącie pokoju o ścianę oparta była biblioteczna drabinka.

- Drogi panie kapitanie - dobiegł go męski głos. - Proszę nam wybaczyć ten brak manier. Czyżby został pan całkiem sam?

- Bardzo się cieszę, że znowu pana widzę, panie hrabio - odparł po niemiecku Felter.

- Jesteście naszymi pierwszymi gośćmi. Myślę, że biorąc pod uwagę, pomimo stanu, w jakim jest dom, to bardzo właściwe.

- Dziękujemy za gościnę.

Hrabia bardzo się zmienił od czasu, kiedy Felter widział go ostatni raz. 24 czerwca - zapamiętał tę datę, bo tego dnia Koreańczycy z Północy przekroczyli 38. równoleżnik - spotkał hrabiego przy zjeździe z autostrady prowadzącym do Marburga. Było to w niecałe trzydzieści sześć godzin po tym, jak von Greiffenberg przeszedł granicę stref okupacyjnych Niemiec, zwolniony wreszcie, po pięciu latach, z sowieckiej niewoli. Organizacja Gehlena miała swoich ludzi na przejściach granicznych i już w godzinę po przekroczeniu granicy, jeszcze zanim trafił do ośrodka (starano się unikać słowa „obóz”, ale tak naprawdę był to obóz przejściowy) dla byłych jeńców, ktoś zadzwonił do Feltera i przekazał mu wiadomość.

Von Greiffenberg, nie wiedząc o tym, że na jego przyjęcie poczyniono pewne przygotowania, wysiadł po drodze z pociągu, by odwiedzić starego przyjaciela,

i wywołał tym spore zamieszanie. Do poszukiwań wciągnięto nawet agentów Korpusu Kontrwywiadu Armii. To oni właśnie go w końcu odnaleźli, kiedy wysiadał z pociągu w Marburgu. Felter, który wraz z podpułkownikiem Bellmonem, Craigiem i Ilse czekał na niego w ośrodku wypoczynkowym US Army w zamku Kronberg koło Frankfurtu nad Menem, wsiadł w samochód i pojechał po niego.

Po pięciu latach na Syberii, pięciu latach życia z wyrokiem śmierci, pięciu latach spędzonych w niepewności, czy następnego ranka lub za godzinę nie wywleka go na dwór i nie rozstrzelają, nie powieszą, nie wrzucą pod ciężarówkę, nie „zastrzelą podczas próby ucieczki”, pięciu latach niepokoju o rodzinę i niepewności, czy w ogóle ma się jeszcze o kogo niepokoić, cuchnący, trupio blade strzęp dawnego arystokraty i oficera mógł się wreszcie spotkać ze swoją córką w komfortowych warunkach. Dowiedział się, że jego żona popełniła samobójstwo, a on sam został dziadkiem. Jego córka wyszła za mąż za nieprzyzwoicie bogatego amerykańskiego bankiera. Wpływy zięcia sięgały tak wysoko, że kiedy hrabia dotarł do zamku, czekała tam już na niego francuska wiza i mogli z miejsca ruszać na lotnisko, by spędzić trochę czasu w Paryżu „w bardziej odpowiednich warunkach”.

Trzy miesiące później Greiffenberg nadal był chudy, ale już nie przypominał kościotrupa, a jego oczy nie były już tak zapadnięte i przekrwione. Hrabia był ubrany w niebieską, rozpiętą pod szyją koszulę, szare flanelowe spodnie i amerykańskie półbuty, pachniał drogim mydłem i wodą kolońską. Mimo to, zauważył z rozbawieniem Feltera, od pierwszego rzutu oka czuć w nim było Niemca i arystokratę. Pieniądze potrafią jednak czynić cuda, pomyślał i zaraz się zawstydził. Jakże miał prawo oceniać tego człowieka po tym wszystkim, co przeszedł?

Hrabia rozejrzał się po pokoju i wskazał na puste półki.

- Wie pan, kapitanie, tam, na Wschodzie, najbardziej brakowało mi moich książek. I teraz też mi ich bardzo brakuje. Meble to rzecz nabyta. Można je odkupić. Ściany można odmalować, parkiety wypolerować. Ale były w tym pokoju książki, które... Których po prostu... - Urwał i podszedł do rzędu szafek, nad którymi zaczynały się półki. Otworzył jedną z nich i wyjął dużą, oprawną w skórę księgę, którą wręczył Felterowi. - Najpierw naziści, potem Amerykanie, a w końcu nasz kochany demokratycznie wybrany rząd landu i powiatu Marburg zostawiły mi tylko to - powiedział, uśmiechając się. - Czyż to nie ironia?

Felter otworzył książkę i spojrzął na kartę tytułową.

- Nikt jej nie chciał, bo była po rosyjsku - wyjaśnił hrabia.

- Wspomnienia kampanii krymskiej - przeczytał Sandy. - „Spisane przez generał-majora Wielkiego Księcia Aleksandra Aleksandrowicza, dowódcę Regimentu Gwardii Kijowskiej Jego Cesarskiej Wysokości”.

- To krewny mojej świętej pamięci małżonki. Chyba stryjeczny dziadek - powiedział von Greiffenberg po rosyjsku. Umilkł na chwilę, po czym zauważył: - Mój drogi Felter, twój rosyjski akcent brzmi nawet lepiej od mojego.

- No cóż, mój stryjeczny dziadek mógł być co najwyżej dostawcą obroku dla pułku Wielkiego Księcia - uśmiechnął się Sandy.

- Czy znajomość tego języka przydaje się czasem w pańskiej karierze wojskowej?

Felter spojrział mu prosto w oczy i przez chwilę obaj panowie mierzyli się wzrokiem.

- Czasami nawet bardzo - odparł wreszcie.

- Nie znam już nikogo, z kim mógłbym się skontaktować - wyjaśnił hrabia - a myślę, że moja wiedza i spostrzeżenia mogą się jeszcze komuś do czegoś przydać.

- Jestem pewien, że tak będzie, panie hrabio. Niech pan na razie wróci do siebie i mocno stanie na nogi, a jestem pewien, że wieść o pańskim powrocie się rozniesie i nie będzie pan długo czekał na oferty.

- Być może - zgodził się Greiffenberg. - Przepraszam za moje natręctwo, zwłaszcza po tym wszystkim, co pan już dla nas zrobił, kapitanie, ale miałem nadzieję, że pan...

- Mam podstawy, by twierdzić, że nie będzie pan musiał długo prosić o zatrudnienie, panie pułkowniku.

Hrabia był usatysfakcjonowany. Skinął głową i zmienił temat. Musiał podjąć tę rozmowę, a z kim miał ją przeprowadzić, jeśli nie z Felterem, który z daleka pachniał wywiadem. Obawiał się tylko, by nie wyjść na nadgorliwca, antykomunistycznego zelotę, który pała żądzą odwetu za cierpienia, które go spotkały. Zastanawiał się, co Felter o nim wie, ale zdawał sobie sprawę, że nie powinien o to pytać. Wyglądało jednak na to, że wie sporo, i teraz pozostawało tylko czekać na jakiś ruch z ich strony.

- Ilse dostała dziś list od Craiga - powiedział. - Zaledwie pięć dni temu Craig napisał go w Korei, a już dziś wylądował na naszym progu. Świat się strasznie skurczył.

- I co pisze?

- Jego oddział dostał przydział Pattonów. Jak on to napisał? „Nasze linie zaopatrzeniowe wreszcie się odetkały i zaczynają wypływać wszelkie bogactwa jak z rogu obfitości”.

- Craig powinien się urodzić sto lat temu - uśmiechnął się Felter.
- Dlaczego pan tak uważa?
- W tamtych czasach moiżni wystawiali własne pułki.
- To prawda - uśmiechnął się Greiffenberg.
- Regiment Dragonów Księcia Lowella, o, to by dopiero brzmiało. - Roześmiali się obaj. - Jakby ich wpuścić do Doliny Śmierci pod Bałakławą, toby ją przeszli nawet bez draśnięcia. Wie pan, że zresztą właśnie tak go nazywają żołnierze? Książę. Craig uwielbia to przezwisko.
- Nie wiedziałem o tym, ale znając go trochę, wcale się nie dziwię - odparł Greiffenberg.

Gdy Sharon i Ilse weszły do biblioteki, zastały obu panów w pogodnych nastrojach. Bez słowa spojrzały na siebie i doszły do wniosku, że nie ma sensu im teraz przeszkadzać. Wycofały się i ruszyły w głąb szerokiego korytarza. Po drodze Ilse wetknęła głowę do kuchni, która, podobnie jak reszta pomieszczeń, nosiła ślady przywracania do minionej świetności. W rogu leżała sterta narzędzi murarskich i malarskich, odłożonych na weekend. Poprosiła tęgą, niską, siwowłosą kobietę, żeby przygotowała herbatę, a potem poprosiła Rosę, żeby im ją przyniosła do ogrodu.

W ogrodzie usiadły pod pasiastym parasolem przy żelaznym stoliku na giętych nogach. Ilse wyjęła z torebki papierośnicę i poczęstowała Sharon papierosem. Kiedy ta pokręciła przecząco głową, schowała papierośnicę z powrotem.

- Ja nie palę, ale ty możesz zapalić, jeśli masz ochotę, nie krępuj się - powiedziała Sharon.

Ilse zapaliła. Opowiedziała przyjaciółce o liście od Craiga. Po chwili nadeszła pokojówka Rosa, przynosząc herbatę i tacę z przekąskami - zimne mięsa (ze względu na Felterów nie podano wieprzowiny) oraz sery i pieczywo.

Sharon fachowym okiem dziedziczki piekarni zbadała pieczywo i nie znalazła nic, do czego mogłaby się przyczepić. Daleko zaszła z rodzinnej piekarni, która mieściła się na rogu Chancellor Avenue i Aldine Street w Newark w stanie New Jersey, dwa domy od rodzinnej siedziby Felterów.

Sharon Lavinsky chodziła do szkoły o klasę niżej od Sandy'ego i naprawdę nie pamiętała już czasów, w których nie uważała, że są sobie pisani. Od zawsze wiedziała, że Sandy jest kimś naprawdę wyjątkowym, mądrzejszym i bardziej wytrwałym od wszystkich innych, których poznała.

To jego zdolności i ciężka praca zaprowadziły Sandy'ego do West Point. Ich kongresman popadł w kłopoty, zbyt hojnie szafując skierowaniami do szkół

wojskowych, i od tamtej pory oświadczył, że przysługujące mu miejsca będzie przydzielał tym, którzy najlepiej zdadzą specjalny egzamin. Sandy pokonał pozostałych kandydatów, uzyskując o 15 punktów więcej niż drugi na liście.

Rodzice, zarówno jego, jak i jej, mieli mieszane uczucia co do tego wyboru. Z jego głową i wynikami w nauce mógł naprawdę wyjść na ludzi: zostać lekarzem, prawnikiem, może sędzią. Nawet dentysta albo urzędnik to już lepiej niż żołnierz. Z drugiej jednak strony trwała wojna i dopóki siedział w West Point, był bezpieczny od poboru. Rocznik Sandy'ego dostałby podporucznikowskie belki nie wcześniej niż w 1946 roku - do tego czasu ta przekłeta wojna musiała się przecież skończyć.

Nikt z nich, nawet sama Sharon, nie wiedział, że Sandy poszedł do West Point, bo naprawdę chciał zostać zawodowym żołnierzem. Poszedł tam, żeby walczyć na wojnie, a nie żeby się od niej wymigać. Zaczęli to podejrzewać dopiero po pewnym czasie, ale uspokajali się myślą, że jak dostanie trochę w kość, to może mu przejdzie i wyrośnie z tych nierozsądnych marzeń.

Sharon bardzo chciała w to uwierzyć. Kiedy przyjechali go odwiedzić podczas pierwszego roku, był jak krasnal zabłąkany wśród gromady potężnych drągali, którzy wyglądali jak zawodowa drużyna futbolu amerykańskiego. On wyglądał tam bardzo nie na miejscu.

A potem zrobił to, co sprawiło, że wszyscy, z Sharon włącznie, doszli do wniosku, że oszalał. Przyjechał do domu na święta w 1944 roku i powiedział jej, że jeśli go kocha, będzie musiała zaufać, że to, co robi, jest słuszne. W pierwszej chwili myślała, że chce, żeby zrobili coś, czego nie powinni robić przed ślubem. Zastanowiła się nad tym przez moment i powiedziała, że jeśli on tego chce, to ona się zgadza.

Okazało się, że miał na myśli coś zupełnie innego. Kiedy wreszcie byli po ślubie, oboje - była tego pewna - zrobili to po raz pierwszy. Wtedy miał na myśli coś dużo gorszego. Sandy, który zawsze czytał, co tylko wpadło mu w ręce, trafił gdzieś na egzemplarz regulaminu wojskowego, który pozwalał nadawać stopnie oficerskie tłumaczom bez ukończonych studiów wojskowych. Sandy mówił wszystkimi językami, jakimi mówiono w sąsiedztwie - po niemiecku, rosyjsku, polsku i w jidysz. W szkole średniej uczył się francuskiego, więc i tym językiem posługiwał się nie najgorzej, choć nie tak dobrze jak tamtymi. Kiedy znalazł ten przepis, złożył wniosek o objęcie go tym programem i wysłanie na front w charakterze tłumacza do przesłuchiwania jeńców. W Akademii zrobiła się z tego wielka awantura, narobił sobie kłopotów i bardzo na niego naciskano, żeby wycofał

wniosek. Nie ugiął się i w końcu wygrał. Niechętnie, ale w końcu zaakceptowano jego wniosek.

1 stycznia 1945 roku, kiedy na froncie zachodnim trwała jeszcze niemiecka kontrofensywa w Ardenach, kadet Sanford Felter został wyłączony z grona kadetów Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych w West Point i w trakcie tej samej uroczystości promowany na podporucznika piechoty Armii Stanów Zjednoczonych, z przydziałem do wywiadu wojskowego jako tłumacz. Złożył przysięgę, orkiestra zagrała *Army Blue**, a potem *Dixie*, po czym szara rzesza kadetów pomaszrowała na śniadanie, a podporucznika Feltera odwieziono na stację kolejową. O czwartej po południu leciał już nad Atlantykiem, z przydziałem do 40. Dywizji Panczernej w kieszeni.

Kiedy wrócił z wojny, uparł się, żeby ślub odbył się w kaplicy West Point. Jeśli ich rabin miałby coś przeciwko połączeniu ich świętym węzłem małżeńskim, wojskowy kapelan na pewno nie będzie robił problemów. Tak czy inaczej, uważał, że w przyszłości będzie mogła załatwić wiele spraw, jeśli powoła się na to, że brała ślub w West Point, a poza tym wychowankowie Akademii, którzy żenili się w szkolnej kaplicy, mieli prawo do wesela na koszt armii w należącym do niej hotelu Thayer.

No więc wzięli ślub w West Point. Ceremonia bardzo jej się podobała, zwłaszcza przejście pod szabłami wzniesionymi przez kolegów z rocznika Sandy'ego i reszta wojskowego ceremoniału związanego ze ślubem. Potem koledzy dali Sandy'emu pierścionek absolwencki ich rocznika - którego, technicznie rzecz biorąc, nie skończył - a Sharon wręczyli jego miniaturową wersję, żeby wszyscy wiedzieli, czyją jest żoną. Ta demonstracja więzi wielkoludów z karzełkiem i rodzinny nastroj pomiędzy ludźmi, których tak wiele przecież dzieliło, bardzo poprawiła jej samopoczucie.

Sandy nie wrócił do West Point, żeby dokończyć studia. Wyczytał gdzieś, że jako kombatant może na koszt państwa ukończyć studia korespondencyjne na uniwersytecie w Chicago. Sam zajął się w tym czasie dalszym szkoleniem w swoim wybranym fachu - Sharon pojechała wraz z nim do Fort Benning, gdzie przeszedł szkolenie spadochronowe, a potem do Fort Bragg, gdzie ukończył Kurs Rangarów.

* „Żegnamy dziś kadecką szarość, przywdziewamy armijny granat” - tradycyjna pieśń śpiewana podczas promocji kończącej naukę w West Point. Pochodzi jeszcze z czasów, kiedy szare mundury kadetów zamieniane były po zakończeniu nauki na granatowe mundury piechoty Unii (przyp. tłum.).

- Pewnie w życiu już nie wyskoczę z samolotu i u Rangersów też mnie nie chcą, ale to jest część tej gry i muszę w nią grać - wyjaśnił jej.

- Jakiej gry?

- Wojsko jest jak harcerstwo. Obowiązuje tu system sprawności. Im więcej masz sprawności, tym lepiej. Z Fort Benning wywoziłem odznakę spadochronową, stąd zabiorę naszywkę Rangera i będę miał tyle sprawności, ile oficer w moim wieku i stopniu powinien mieć.

No więc został spadochroniarzem i Rangerem, a Sharon szykowała się już na to, że dwa, trzy lata spędzą w Fort Bragg, żeby Sandy mógł odbyć staż dowódczy, którego wymagał jego stopień.

Sandy ukończył jednak szkołę z wyróżnieniem i mógł sobie wybrać przydział. Oczywiście, jak zwykle w jej opinii, wybrał najgorzej, jak mógł. Zgłosił się na ochotnika do służby w Grupie Doradztwa Wojskowego w Grecji. Oficerom nie mogły tam towarzyszyć rodziny, więc na rok, może dłużej, wróciła do rodziców.

Jej matka przywitała ich płaczem i orzekła, że Sandy'ego diabeł opętał. Matka Sandy'ego wstydziła się za to, co jej syn zrobił swojej młodej żonie. A on wysłuchał tego wszystkiego i zrobił tak, jak postanowił.

To w Grecji poznał Craiga Lowella. Sandy pisał często, czasem nawet codziennie, i w jednym z tych listów napisał jej o Craigu. Prawdę mówiąc, z tego, co o nim przeczytała, nie wynikało, żeby Sandy był o nim najlepszego zdania. Lowell trafił do Grecji za karę i nie lubił wojska - dzieliło go z jej mężem bardzo wiele. Z listów Sandy'ego wynikało jednak, choć nie napisał tego wprost, że zmienia zdanie na temat Lowella i że z czasem się zaprzyjaźnili. Sharon bardzo się z tego ucieszyła. Craig byłby chyba pierwszą osobą, z którą Sandy się zaprzyjaźnił.

Sandy pisał, że jest kimś w rodzaju oficera administracyjnego i zajmuje się zaopatrzeniem. Z jego listów wynikało, że siedzi bezpiecznie za biurkiem, daleko od linii frontu, ale kiedyś przysłał rolkę filmu z prośbą o wywołanie i dowiedziała się, że kłamie. Cztery z tych zdjęć przedstawiały zabitych ludzi. Na jednym z nich widać było wysokiego, przystojnego blondyna, który wyglądał na Amerykanina. Stał w pozie afrykańskiego myśliwego, z karabinem pod pachą, dumnym uśmiechem na twarzy i stopą opartą na piersi martwego człowieka z długimi wąsami i dziurą po kuli w samym środku czoła.

Młody blondyn pojawiał się także na innych zdjęciach. Na jednym z nich siedział przy stole z Sandym i pięcioma innymi mężczyznami i pokazywał nad głową jej męża „zajączka”. Sandy na tym zdjęciu trzymał pistolet maszynowy, zupełnie

jak z gangsterskiego filmu, a blondyn ten sam karabin, który miał na zdjęciu z trupem. Sharon przyjrzała się dokładnie tym zdjęciom i zrozumiała dwie rzeczy: po pierwsze, ten blondyn to musi być Craig Lowell, przyjaciel Sandy'ego, a po drugie, że Sandy walczy na wojnie, a nie liczy portki, niezależnie od tego, co wypisywał w swoich listach.

Sandy napisał kiedyś, że żał mu Craiga, bo choć jest taki mądry i przystojny, dał się usidlić jakiejś niemieckiej dziewczynie, której moralność pozostawia wiele do życzenia. Odkąd znalazł się w Grecji, nie napisała do niego ani razu i Lowell odchodził od zmysłów z tego powodu.

A potem przyszedł list od Sandy'ego, w którym pisał on, że Craig został ranny i wszystko wskazuje na to, że wyślą go na rekonwalescencję do domu. Pisał, że pewnie wpadnie do niej z wizytą i ostrzegął, żeby nie poruszała tematu Fraulein.

Trzy tygodnie później była w piekarni, kiedy zobaczyła przez okno limuzynę, o wiele bardziej elegancką niż cadillaki miejscowych zakładów pogrzebowych. Limuzyna skręciła w Chancellor Avenue. Ponieważ i tak nie było klientów, Sharon podeszła do okna po drugiej stronie, by zobaczyć, co taki szykowny samochód może robić w takiej okolicy.

Limuzyna zatrzymała się przy krawężniku, wyskoczył z niej szofer w szarej liberii i czapce, podszedł do tylnych drzwi i otworzył je pasażerowi. Był nim młody, zabójczo przystojny, lekko utykający blondyn. Wziął od szofera walizkę i ruszył z powrotem za róg. Sharon rozpoznała go natychmiast i wróciła na swoje miejsce za kontuarem. Jeśli przyjaciel Sandy'ego nie chciał, żeby widziała, jak wysiada z eleganckiej limuzyny, to ona nie będzie mu psuć tej konspiracji.

Następny tydzień był dla niej trudny. Craig, który zatrzymał się u nich i spał na kanapie w salonie Felterów, mówił tylko o tej swojej Ilse. Mówił, że czeka na paszport dla niej, żeby mogła przylecieć do Stanów i żeby się mogli pobrać. Sharon kilka razy miała na końcu języka to, co napisał jej o niej Sandy - że Craig robi z siebie idiotę, a ona go oszukuje - ale w ostatniej chwili się powstrzymywała. Sandy znał się na ludziach i bardzo rzadko mylił się w ich ocenie.

Craig w końcu poleciał do Niemiec, wrócił już jako mąż Ilse i powiedział Sharon, że jego żona jest w ciąży. Powiedział też, że gwizdże na wszystko, co inni, w tym Sandy, mają na ten temat do powiedzenia. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że dla Sandy'ego była tylko szwabską dziwką, ale chciał, żeby choć Sharon się przekonała, jak jest naprawdę.

Poprosił ją, żeby pojechała na lotnisko do Nowego Jorku, odebrać Ilse i zapakować ją do samolotu do Louisville. On sam pewnie nie będzie mógł po nią pojechać, bo właśnie trafił na kurs broni pancernej i nie dostanie urlopu.

Sharon jechała na lotnisko przepełniona sprzecznymi uczuciami. Kiedy jednak po raz pierwszy zobaczyła łzy w oczach Ilse Lowell, wiedziała jedno: Sandy rzadko myli się w ocenie innych, ale kiedy już się pomyli, to na całego. To nie była żadna niemiecka zdzira, tylko biedna, skołowana, przerażona siedemnastolatka w szóstym miesiącu ciąży.

- Mogę cię pocałować? - to było pierwsze pytanie, które jej zadała Sharon.

Kiedy jechały samochodem do domu, Ilse opowiadała, że doszło do jakiegoś strasznego zamieszania z biletami. Kiedy dotarła na lotnisko, czekał na nią bilet na salonkę pierwszej klasy.

- Zapytałam, jaka jest różnica w cenie. Nie uwierzysz, ale ta salonka kosztowała dwa i pół raza więcej niż zwykle miejsce w pierwszej klasie! Wydusiłam z nich różnicę. Craig jest taki rozrzutny! A przecież będziemy potrzebować każdego dolara, kiedy dziecko się urodzi.

Taka była dumna, gdy wyciągnęła z torebki te pieniądze i pokazała Sharon.

To przekonało Sharon do końca. Ilse nawet nie wiedziała, jak bogaty był Craig. Nie miała zamiaru wyprowadzać jej z błędu. W końcu ona też dowiedziała się o tym przypadkiem. Ale bardzo się cieszyła, bo był to dowód, że Ilse nie chodziło o pieniądze Lowella.

Peter-Paul Lowell urodził się w amerykańskim szpitalu wojskowym w Fort Knox w Kentucky, gdzie mieściła się Akademia Wojsk Pancernych, tuż po rozdaniu dyplomów zakończenia kursu, w którym uczestniczył jego ojciec. Sandy i Sharon zobaczyli go w Fort Knox, kiedy odwiedzili ich po powrocie Sandy'ego z Grecji. Felter natychmiast znowu zajął się swoim zbieraniem sprawności, zapisując się na kurs w Wojskowej Szkole Języków Obcych w Presidio.

Jak potem wyliczyli, to właśnie wtedy, w czasie tej wizyty, kiedy spali w salonie służbowego mieszkania Lowellów w koszarach, poczęli Sandy'ego juniora.

Po kursie językowym Sandy pojechał na kolejne szkolenie, tym razem do Centrum Szkolenia Kontrwywiadu w Fort Holabird w Baltimore. Ledwie tam przybyli, żona komendanta szkoły zaprosiła na herbatkę żony wszystkich kursantów. Po herbatce i ciastkach wygłosiła do nich krótką mowę, w której tłumaczyła im, że

najlepiej pomogą swoim mężom na trudnej drodze kariery w tym fachu, nie próbując nawet dzielić z nimi ich zajęć. Nie powinny o nic pytać, nawet myśleć o tym, co robią ich mężowie, mają tylko dbać o nich i zapewniać im rodzinne ciepło.

Z początku nawet jej się podobało, że Sandy służy w Korpusie Kontrwywiadu. Dostał przydział w Nowym Jorku i chodził w cywilnym ubraniu. Mieszkali wtedy u jego rodziców na Aldine Street. Każdego ranka wsiadał w kolejkę podmiejską i dojeżdżał do pracy jak zwykły urzędnik. Kupił sobie nawet skórzaną teczkę i nosił ją pod pachą. Ta sielanka trwała jednak tylko pięć miesięcy.

Zaraz po tym, jak Craig odszedł z wojska i wraz z rodziną przeniósł się do Filadelfii, gdzie zapisał się na studia finansowe w Wharton School of Business, Sandy, Sharon i Sandy junior polecieli do Berlina. Zapytała go wtedy, czy w Berlinie też będzie służył w kontrwywiadzie. Odparł, że nie.

Nie podobało jej się w Berlinie. Żyli naprawdę komfortowo, zajmowali duży dom w willowej dzielnicy Berlina, Zehlendorfie. Mieli nawet własnego ogrodnika i szofera. Ogrodnik nigdy nie oddalał się zbyt daleko od taczki. Kiedyś przypadkiem zobaczyła, że ma na niej krótkofalówkę i pistolet maszynowy. Szofer też był uzbrojony. I Sandy zaczął nosić pistolet.

Nagle, z dnia na dzień, przenieśli się z Berlina do Garmisch-Partenkirchen w Bawarii. Sandy znowu zaczął chodzić w mundurze, ale nadal nie rozstawał się z pistoletem, który nosił w kaburze na plecach. Ich nowy dom był mniejszy, położony wewnątrz ogrodzonej drutem kolczastym enklawy. Drut, zarośnięty żywopłotem, był prawie niewidoczny, ale Sharon go widziała i nigdy nie potrafiła się do niego przyzwyczaić.

Nie pytała męża, co robi; nawet się nad tym nie zastanawiała. Byli razem, był z nią szczęśliwy, więc i ona była szczęśliwa z nim.

Przez jakiś czas wyglądało na to, że sprawy idą ku lepszemu. Sandy dowiedział się, że ojciec Ilse wcale nie został rozstrzelany przez Rosjan, jak wszyscy uważali. Dowiedział się też, że ma on zostać zwolniony z obozu. Przyszedł z tą wiadomością najpierw do niej, by zapytać o radę.

- Co mam z tym zrobić, Sharon? Mam jej powiedzieć, żeby mogła go przywitać na granicy? Czy raczej poczekać i powiedzieć jej po wszystkim, na wypadek gdyby coś poszło nie tak?

- Czy to są pewne informacje?

Zastanowił się przez chwilę.

- To wypróbowane źródło.

- To lepiej jej powiedz.

Posłuchał jej rady. Ilse, Craig i ich syn przylecieli do Niemiec i czekali na swojego ojca, teścia i dziadka, który wracał po tak długim czasie spędzonym w gułagu na Syberii.

Wszystko szło doskonale i wtedy nagle armia przypomniała sobie o Craigu, z dnia na dzień wysyłając go na wojnę do Korei.

- Jeśli coś mu się stanie, Ilse będzie przynajmniej mogła liczyć na ojca - pocieszył ją Sandy, kiedy mówiła, że to rażąca niesprawiedliwość w stosunku do Craiga. - Lowell nie należy do ludzi, którzy giną na wojnie. On jest z tych, którym wojna służy.

Nie mogła w to uwierzyć i miała mu za złe, że mówi takie rzeczy o przyjacielu. Bała się o Craiga prawie tak samo jak Ilse i zastanawiała się, dlaczego tak jest. Czy to z powodu Craiga czy jego żony? W końcu doszła do wniosku, że jednak z powodu Ilse. Żona Lowella była jej pierwszą prawdziwą przyjaciółką, a nie tylko koleżanką do pogaduszek.

- Może byś wzięła R P. i przyjechała do nas do Bawarii na parę tygodni? O tej porze roku w górach jest przepięknie.

- A znajdziecie dla nas miejsce?

- Ile tylko będziecie chcieli.

- Wobec tego z przyjemnością spędzimy z wami jakiś czas - ucieszyła się Ilse i Sharon była szczęśliwa, że pomysł przypadł jej do gustu.

Równie szczęśliwa poczuła się wtedy, kiedy zobaczyła, że Sandy i hrabia miło spędzają ze sobą czas i dobrze się rozumieją. Żałowała tylko, że Craig był tak daleko, w Korei.

2

Pusan, Korea Południowa

12 września 1950

Port w Pusan był pełen jednostek najprzeróżniejszych typów. Przy nabrzeżach cumowały szare okręty wojenne, wojskowe transportowce i zbieranina różnokolorowych cywilnych statków-frachtowców, zbiornikowców, nawet dwa pasażerskie liniowce. Wśród tego wszystkiego wyróżniał się pomalowany na biało okręt szpitalny USS Consolation.

Pomiędzy statkami i niedostatecznie wyposażonymi w sprzęt rozładunkowy nabrzeżami kursowały nieprzerwanie całe stada barek desantowych, przewożąc na brzeg wszystko, co zapełniało ich ładownie. Miejsca przy nabrzeżu zarezerwowane były dla ładunków, których w żaden sposób nie dało się przerzucić portowymi

lichtugami*. Nawet żołnierze wyładowywani byli po sieciach desantowych do małych łodzi i barek desantowych z załogą Straży Przybrzeżnej.

Podpułkownik Paul T. Jiggs, dowódca 73. Samodzielnego Batalionu Czołgów Średnich, stał na nabrzeżu i obserwował wyładunek czołgów M46 Patton.

Zespoły techników Służby Uzbrojenia, z których wielu również trafiło do Korei zaledwie dzień czy dwa wcześniej, weszły na pokład transportowca, jeszcze zanim przybił do brzegu, by przygotować czołgi do natychmiastowego odjazdu z nabrzeża. Rozkonserwowali silniki, ładowali akumulatory, zatankowali paliwo, po czym uruchamiali silniki i rozgrzewali je, by mieć pewność, że po wyładunku będą należycie działać.

M46 ma masę 48 ton. Statek, który przywiózł wozy z San Francisco, choć też nie ułomek, pochylał się w kierunku pirsu za każdym razem, kiedy któryś z nich, zwisając na końcu bomu, wędrował na nabrzeże. Prostował się, gdy tylko pojazd dotknął betonu.

Podoficer uzbrojenia wskakiwał do czołgu, jeszcze zanim dokerzy odczepili liny nośne, i zapalał silnik. Kiedy tylko zwolniono liny, odjeżdżał, robiąc miejsce następnemu czołgowi, który zwykle już wisiał na linach ponad burtą.

Czołgi były świeżo malowane. Wyglądały na zupełnie nowe. Pachniały nowością, a dokładniej farbą zabezpieczającą, która paliła się od gorących spalin na kolektorach. Trafiły tu prosto ze składnic uzbrojenia, ale to nie były całkiem nowe czołgi. Pojazdy, które dostali, to były przebudowane M26, Pershingi, zaopatrzone w nowe armaty 90 mm o dużej prędkości początkowej i zaopatrzone w hamulce wylotowe oraz przedmuchiwalce usuwające po strzale gazy prochowe z lufy, zanim wewnątrz wieży otworzył się zamek. Najistotniejszą zmianą był jednak nowy zespół napędowy. Potężny dwunastocylindrowy Continental został sprzężony z nowym systemem sterowniczym i przeniesienia napędu GM-Allison, który sprawiał, że M46 był znacznie łatwiejszy w prowadzeniu od starszych modeli. Mechanik kierowca nie musiał się już siłować z dźwigniami sprzęgieł bocznych. Zamiast nich miał coś w rodzaju miniaturowego lotniczego drążka sterowego, który wystarczyło pchnąć w kierunku, w którym chciało się jechać, a resztę robił już sam mechanizm.

M26 z nowym napędem i uzbrojeniem przemianowano na M46 i przezwano

* Jednostka pływająca taboru portowego, najczęściej bez własnego napędu (przyj. red.).

Pattonem*, od nazwiska generała, który tak długo i tak głośno domagał się wprowadzenia tego typu wozu do uzbrojenia dowodzonych przez siebie wojsk.

Pułkownik Jiggs przyjechał na nabrzeże, żeby się naocznie przekonać, że M46 istnieją i nie są jedynie przywidzeniem zaopatrzenia. Te M46, które właśnie wyładowywano, miały być Pattonami pułkownika Jiggsa - i to właśnie dlatego śledził ich wyładunek.

Przyjechał tu prosto z odprawy u zastępcy szefa sztabu 8. Armii. Dowiedział się tam, że od godziny 1.00 w nocy tego dnia jego batalion przestał być 73. Samodzielnym Batalionem Czołgów Średnich i zamiast tego stał się 73. Wzmocnionym Batalionem Czołgów Ciężkich.

„Wzmocnienie” polegało na tym, że zamiast dotychczasowych trzech kompanii czołgów, uzupełnionych kompanią sztabową i służb, miał teraz pod sobą pięć na tych cudownych nowiutkich M46, szwadron rozpoznawczy kawalerii pancernej na M24 Chaffee, dwie baterie samobieżnych haubic M7 Priest kalibru 105 mm (na podwoziach Shermanów), pluton amunicyjny, pluton remontowy broni ciężkiej, kompanię transportową, pluton łączności i własny szpital - wysunięty punkt opatrunkowy 8005. MASH, a do tego wszystkiego jeszcze dwie kompanie zmotoryzowanej piechoty. Technicy uzbrojenia, którzy rozładowywali czołgi, też byli pod jego dowództwem, tylko jeszcze o tym nie wiedzieli.

Jego batalion stał się pułkową grupą bojową we wszystkim poza nazwą. Jednostką tej wielkości i o takiej sile powinien dowodzić co najmniej pełny pułkownik, a może nawet i jednogwiazdkowy generał. Ale oni powierzyli to dowództwo właśnie jemu.

- Panowie, nie mam zamiaru siedzieć i rozważać waszych intencji, bo nie ma na to czasu - powiedział im na koniec. - Czy moje dowodzenie tą wspaniałą kieszonkową dywizją pancerną ma trwać tylko do czasu, aż wszystko zorganizuję, i wtedy znajdziecie kogoś bardziej odpowiedniego na to stanowisko, czy mam z nią zostać na dobre?

- Paul, jeśli uda ci się zorganizować i utrzymać to wszystko w kupie przez miesiąc, jest twoja na wieki, dopóki śmierć was nie rozłączy.

* Nazwa Patton objęła też M47 mający nową wieżę na podwoziu M26 i M48, czyli nowo opracowany czołg, a nie modyfikację M26. W niektórych opracowaniach zmodernizowane M26, czyli M46, określane są mianem Pershing, a M47 i M48 jako Patton, żeby uniknąć zamieszania, wersje od M46 są w powieści nazywane Patton (przyp. J.K.).

Jiggs skinął głową, uznając, że zastępca szefa sztabu armii jest zbyt poważną figurą, żeby takie oświadczenia rzucał przy świadkach na wiatr. Z 73. Samodzielnym Batalionem zrobił cholernie dobrą robotę i doskonale o tym wiedział. Miał prawo dostać szansę z tą eksperymentalną jednostką.

- Chcesz jakichś oficerów sztabowych? To mnóstwo spaghetti jak na jeden widelec - zapytał na koniec zastępcy.

- Nie, panie generale - odparł Jiggs. - Mój sztab podoła temu zadaniu.

- Dostaniesz wszystko, o cokolwiek poprosisz, Paul, ale namyślaj się szybko - dodał zastępca szefa sztabu.

- Dziękuję, mam wszystko, czego mi potrzeba.

3

Kiedy ostatni z czterdziestu dwóch Pattonów wyładowano na nabrzeże, podpułkownik Jiggs pojechał z powrotem na stanowisko dowodzenia. Jechał powoli, nie śpiesząc się. Wiedział doskonale, co musi zrobić, i po raz ostatni chciał się zastanowić, czy ma szansę powodzenia.

Gdy był już prawie u celu, zdecydował się i zawrócił na głównej drodze zaopatrzeniowej. Cofnął się ponad półtora kilometra, do szpitala. Odnalazł tam komendanta, starego znajomego, który akurat dokonywał obchodu jednego z oddziałów szpitalnych, i poprosił go o chwilę rozmowy.

Nie było z tym najmniejszych kłopotów. Komendant szpitala był równie starym żołnierzem, jak lekarzem. Nie zadawał żadnych pytań. Po prostu skinął głową i zgodził się na wszystko, o co prosił Jiggs. Zgadzał się z nim, że jest to najdelikatniejszy sposób na dokonanie mało delikatnej rzeczy, której wymaga jednak interes armii.

Jiggs wrócił potem na stanowisko dowodzenia i zajrzał do bunkra sekcji planowania i szkolenia. Jej dowódca ślęczał nad grubymi plikami papierów, pochyłony nad swoim biurkiem wykonanym z arkusza sklejk opartego na dwóch krzyżakach z kantówki. Upłynęła dłuższa chwila, zanim skupiony nad swoją pracą oficer dojrzał stojącego przed nim przełożonego.

- Przepraszam, sir, ale byłem mocno zajęty tym. - Wskazał na papiery leżące na blacie.

- Weź hełm, Charley. Jedziemy na wycieczkę.

Wyjechali na główną drogę zaopatrzeniową i ruszyli w kierunku Pusan. Po drodze do portu pułkownik zjechał jednak na drogę prowadzącą na wąski cypel,

z którego mieli widok na cały zatłoczony port. Dzień był paskudny, padał deszcz, ale było ciepło, i smród okolicznych ryżowisk dawał im się we znaki. Wszystko pasuje, pomyślał Jiggs. Gówniany zapach jako akompaniament do gównianej roboty w zasrany dzień.

- Ile masz lat służby, Charley - zapytał, kiedy jeep się zatrzymał.
 - Szesnaście, sir.
 - Chciałem z tobą porozmawiać o twojej przyszłości.
 - Tak, sir? - W głosie majora Ellisa nie było nawet śladu niepokoju.
 - Dziś o pierwszej w nocy staliśmy się we wszystkim, poza nazwą, grupą bojową. Nasz stan etatowy w jutrzejszym rozkazie dziennym będzie dwuipółkrotnie większy niż dzisiejszy.
 - To dobra wiadomość, sir.
 - Owszem, ale nie dla ciebie - powiedział pułkownik i nagle zaciął się, jakby znowu ogarnęły go wątpliwości. A do cholery z tym, trzeba wreszcie przeciąć ten wrzód, pomyślał. - Nie radzisz sobie ze swoją robotą.
 - Przykro mi, że pan odbiera to w ten sposób, sir. Staram się ze wszystkich sił.
 - Tyle że to nie wystarcza. Przecież obaj wiemy, że Lowell robi wszystko za ciebie.
 - Obawiam się, że nie mogę się z tym zgodzić, sir. Owszem, kapitan Lowell pomaga mi, ale...
 - Pozwól mi, proszę, jasno określić twoją sytuację - przerwał mu pułkownik. - Twoje odwołanie jest już sprawą postanowioną. Chodzi tylko o sposób, w jaki to nastąpi.
 - Panie pułkowniku, złożę protest w związku z moim odwołaniem...
 - O Boże! Czy ty naprawdę jesteś aż tak głupi? - zapytał Jiggs, starając się, by w jego głosie brzmiało więcej gniewu, niż w rzeczywistości odczuwał. Tak naprawdę czuł raczej odrazę, i to do siebie.
 - Nie zgadzam się z pańską oceną, sir.
 - Nie zgadzaj się do woli, ale niech ci to wreszcie dojdzie do tego twojego pustego łba, że trzymam cię za jaja, Charley. Przestań mi grozić oficjalnym zażaleniem, bo zrobię z tego użytek.
- Widać było, że Ellis rozważy kilka wersji odpowiedzi, ale w końcu nic nie odpowiedział.
- Chodzi mi o dobro oddziału, Charley. To wartość nadrzędna dla nas obu. Przecież wiem, że tobie leży ono na sercu tak samo jak mnie.

- Tak jest, sir.
- Jeśli chcesz, mogę cię zwolnić natychmiast, a ty możesz iść na skargę choćby do samego Walkera. I tak zostaniesz zwolniony. Sam pomyśl nad swoją sytuacją, a przyznasz mi rację.

- Ma pan do tego prawo, sir.
- Żeby to zrobić, musiałbym ci napisać taką opinię służbową, że już nigdy byś nie dostał żadnego odpowiedzialnego stanowiska, a może nawet zakończył swoje dwadzieścia lat służby z podoficerskimi paskami na rękawie.

Ellis popatrzył na niego, przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, po czym opuścił głowę.

- Naprawdę starałem się ze wszystkich sił, sir.
- Wiem o tym i jestem ci za to wdzięczny. Problem w tym, że twoje wszystkie siły okazały się za małe.

- Mówi pan oczywiście o Lowellu, tak, sir? On skończył Wharton School of Business, ma w głowie pieprzoną maszynę liczącą zamiast mózgu. Ja muszę każdy papierek przeczytać trzy razy, żeby go zapamiętać, a on na niego patrzy i już go pamięta.

- Nigdy, nawet przez sekundę, nie wątpiłem, że dajesz z siebie wszystko, na co cię stać, Charley. To niczyja wina, że to nie wystarcza.

- Doceniam pańskie wysiłki, żeby mi to zakomunikować w sposób możliwie bezbolesny, sir. Nie będę robił szumu. Wiedział pan od początku, że nie będę.

- Jeszcze nie skończyłem, Charley. Chcę od ciebie jeszcze jednego. I powiem ci, co dostaniesz w zamian.

- Czego jeszcze może pan żądać, sir? Mam sobie gardło poderżnąć?

- Chcę, żeby Lowell został moim S-3.

- Natychmiast po tym, jak mnie pan zwolni, sir, dział personalny dywizji przyśle kogoś na moje miejsce. Skoro nasza siła wzrosła dwa czy nawet więcej niż dwa razy, to bardzo możliwe, że na moje miejsce dostanie pan nawet podpułkownika. Albo i dwóch, jednego za mnie, a drugiego na swojego zastępcę. Zresztą, cholera, mogą nawet pana zastąpić kimś wyższym.

- Obiecano mi dowodzenie na miesiąc. Reszty już nie powiedzieli, ale wygląda na to, że jeśli przez ten miesiąc nie dam ciała, mogę dostać awans. Jeśli dam... No to wyląduję potąd w gównie. - Podniósł dłoń na wysokość oczu.

- Tak czy inaczej, raczej nie ma mowy o tym, żeby pan zrobił Lowella swoim oficerem operacyjnym.

- Owszem, jest taka możliwość. Gdyby mój obecny wylądował w szpitalu,

mógłbym wyznaczyć Lowella na zastępstwo. A po miesiącu awansować.

- To tylko o to chodzi? Żeby mu załatwić awans? Jezu, sir, przecież on jest za młody nawet na kapitana!

- Chodziło o to, żeby oddział miał najlepszego oficera operacyjnego, jakiego mogłem znaleźć - zimno odparował Jiggs.

- Przepraszam, może jestem trochę rozżalony. Nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Cholera, co ja powiem żonie?

- Jeśli już koniecznie musisz, to jej powiedz, że masz problemy z kręgosłupem i dlatego trafiłeś do szpitala. Charley, daj mi miesiąc, dobrze? W zamian dostaniesz doskonałą opinię służbową i załatwię ci powrót do domu.

- Nic z tego nie wyjdzie, sir. Nie zatrzymają mnie w MASH. Albo odesłają do jednostki, albo do Japonii, a wtedy dostanie pan kogoś na moje miejsce.

- O to niech cię już głowa nie boli. Załatwiłem sprawę z komendantem szpitala.

- Wie pan, co jest w tym wszystkim najśmieszniejsze, sir? Teraz, kiedy to wszystko wyszło na jaw, w ogóle nie jest mi wstyd. Jasna cholera, naprawdę robiłem wszystko, co w mojej mocy.

- To prawda, Charley. Dużo łatwiej byłoby mi to wszystko robić, gdyby było inaczej, wierz mi.

4

W szpitalu Jiggs znalazł jakiegoś sierżanta i posłał go po komendanta.

- Howard, to jest właśnie major Charley Ellis. Obchodź się z nim dobrze.

- Myślę, że kurację zaczniemy od kolejki leczniczego burbona - odparł komendant szpitala. - Potem gorąca kąpiel i zobaczymy, co się tam dzieje z pana kręgosłupem, majorze.

Ellis odwrócił się do Jiggsa i długo potrząsał jego dłonią, zanim wreszcie wysiadł z jepea. Jiggs odprowadzał go wzrokiem do namiotu izby przyjęć. U wejścia Ellis odwrócił się i popatrzył na niego. Jiggs sprężył się i zasalutował. Ellis odwzajemnił honory równie energicznie, po czym wszedł do namiotu.

Jiggs zapalił silnik, wyjechał ze szpitala i skierował się na stanowisko dowodzenia.

Po przyjeździe znalazł sierżanta szefa kompanii sztabowej.

- Proszę zapakować rzeczy majora Ellisa i znaleźć kogoś, kto odwiezie je

majorowi do szpitala. Jeśli będziesz miał czas, zajmij się tym osobiście. I przyślij mi tu kapitana Lowella.

- Pan kapitan jest w operacyjnym - odparł sierżant.
- To i lepiej - odparł pułkownik. - Nie trzeba będzie po niego posyłać, prawda?

Szef z niejakim zdziwieniem popatrzył na dowódcę batalionu, ale ten już ruszył do bunkra sekcji operacyjnej, by poinformować kapitana Lowella, że od dnia dzisiejszego jest pełniącym obowiązki 73. Wzmocnionego Batalionu Czołgów Ciężkich.

VIII

1

Pusan, Korea Południowa
12 września 1950

Kancelarią sekcji operacyjnej sztabu batalionu kierował sierżant Prince T. Wallace, RA 33107806, z Athens w stanie Georgia. Prince miał trzydzieści jeden lat, był wysoki, silnie zbudowany i miał potężnie umięśnioną klatkę piersiową. Podczas drugiej wojny został powołany do wojska z poboru, walczył w Afryce Północnej, Normandii i Niemczech. Dowodził jednym z czołgów w grupie bojowej pułkownika Creightona W. Abramsa, kierującej się na odsiecz oblężonym w Bastogne spadochroniarzom. Jako starszy sierżant sztabowy z punktami za długą służbę za granicą był jednym z pierwszych, którzy wrócili do kraju i potem do cywila. Korzystając z GI Bill*, zapisał się na studia w Stanowym Seminarium Nauczycielskim w Valdosta i skończył pierwszy rok nauki. Doszedł do wniosku, że fach nauczyciela jednak mu nie odpowiada, a tym bardziej kolejne trzy lata nauki z gromadą szczeniaków, z którymi nawet nie ma o czym rozmawiać. Poza tym, całkiem niespodziewanie, zaczął tęsknić za wojskiem - coś, o co nigdy by się

* GI Bill of Rights - Karta Praw Żołnierza, popularna nazwa ustawy Servicemen Readjustment Act, przyjętej przez Kongres w 1944 roku. Miała ona na celu ułatwienie setkom tysięcy poborowych powrotu do normalnego życia poprzez udzielenie nieoprocentowanych pożyczek na zagospodarowanie, zakup domu, wykształcenie. 10,5 mln żołnierzy skorzystało ze stypendiów naukowych fundowanych na jej podstawie, a 5,6 mln wzięło pożyczki na dom (przyj. tłum.).

nie podejrzewał.

Pojechał więc do Fort MacPherson w Atlancie i zaciągnął się ponownie do wojska. Jako że był poza służbą dłużej niż dziewięćdziesiąt dni, nie było mowy o powrocie do stopnia. Zaciągnął się jako starszy szeregowy i przeszedł skrócony kurs unitarny w Fort Bragg. Po jego ukończeniu skierowano go do sekcji planowania i operacji dowództwa V. Korpusu w Bragg, jako kancelistę kreślacza. Złożył wniosek o przyjęcie do podchorążówki i przyjęto go. Zanim przyszedł rozkaz przenoszący go do szkoły przy Centrum Wyszkożenia Wojsk Lądowych w Fort Riley w Kansas, dostał awans na kaprała.

W czwartym miesiącu szkolenia kapral podchorąży Wallace zrozumiał, że w kurczącej się pokojowej armii będzie coraz mniej miejsca dla oficerów bez wyższego wykształcenia. Jego perspektywy nie były obiecujące - zostanie najwyżej porucznikiem rezerwy i w końcu za którymś razem komisja odrzuci jego wniosek o pozostawienie w służbie czynnej. Nie ma mowy o tym, żeby go zaakceptowali bez wyższego wykształcenia, i nie miał też szans na jego zdobycie. Za pięć, sześć lat wyląduje na bruku i będzie znowu zaczynał od starszego szeregowego, po raz trzeci.

Była jednak jeszcze jedna droga wojskowej kariery, może mniej zaszczytna, ale też znacznie mniej ryzykowna. Oprócz oficerów i podoficerów w wojsku byli jeszcze chorążowie. Niby nie oficerowie, bo nie mogli dowodzić bezpośrednio, ale szeregowi i podoficerowie musieli im salutować. Płace chorążych na wszystkich czterech szczeblach odpowiadały oficerskim pensjom na poziomie od podporucznika do majora. Chorążowie mieszkali w hotelach oficerskich, jedli w kasynach oficerskich, a młodszy stopniem mówili do nich „sir”.

Chorążymi byli zwykle specjaliści wojskowi najróżniejszych fachów, od saperów po płatników. Zostanie chorążym proponowano zwykle podoficerom dwóch najwyższych rang dostępnych podoficerom - sierżantom sztabowym i starszym sierżantom sztabowym. Awans był albo sprawą fachowości, i wtedy dostawało się go bezpośrednio, albo też trzeba było, jeśli gdzieś zdarzyło się więcej chętnych na jedno miejsce, zdać egzamin konkursowy. Awans na chorążego i wiążąca się z tym oficerska pensja były swego rodzaju nieoficjalną premią dla starych podoficerów za długą i wierną służbę. Ostatnie parę lat spędzali w oficerskim mundurze i na emeryturę odchodzili z pensją kapitana czy nawet majora.

Wallace zdecydował, że to jest droga dla niego. Zostanie ekspertem, specjalistą kancelaryjnym działu operacyjnego, fachowcem od planowania operacji wojskowych

i organizacji szkolenia wymaganego do ich prowadzenia. Prędzej czy później stanie się na tyle niezbędny, że dadzą mu stopień chorążego, a wtedy będzie pędził dobre życie oficera, ale bez wiążącej się z nim odpowiedzialności i bez zagrożenia degradacją tylko z powodu braku dyplomu wyższej uczelni.

Kapral Prince T. Wallace zrezygnował dobrowolnie ze szkolenia oficerskiego i został przeniesiony na Daleki Wschód, gdzie przydzielono go do sekcji operacyjnej 7. Pułku Kawalerii 1. Dywizji Kawalerii (Spieszonyj), która pełniła obowiązki wojsk okupacyjnych na Hokkaido. Znowu był kancelistą kreślaczem, ale nikt mu nie odebrał kapraleskich pasków. Został za to skierowany do szkoły podoficerskiej przy 1. Dywizji, którą ukończył z pierwszą lokatą i został awansowany na plutonowego. Po szkole przydzielono go do sztabu dywizji jako podoficera odpowiedzialnego za sekcję logistyczną biura zastępcy szefa sztabu do spraw planowania i szkolenia.

Rok później przyszedł awans na sierżanta i właśnie w tym stopniu szykował się do przeniesienia do Korei, kiedy komuniści przekroczyli granicę w czerwcu 1950 roku. Zdołał dotrzeć do portu, kiedy wściekły i wyraźnie zawstydzony zastępca szefa sztabu dywizji do spraw planowania i szkolenia poinformował go, że jakiś idiota z dowództwa tyłów 8. Armii zabrał mu go do formującego się dopiero batalionu pancernego. Bardzo brzydko wypowiadał się o tych, którzy zabierają mu najlepszą fachową kadrę, a jednocześnie wymagają, żeby stawał na głowie przy planowaniu działań dywizji w Korei.

Sierżant Wallace zrobił na swoim nowym dowódcy, podpułkowniku Jiggsie, doskonałe wrażenie. Mimo że był tyłowym ciurą, wyglądał jak żołnierz - krótko ostrzyżony, dokładnie ogolony, miał czysty, odprasowany, dopasowany mundur polowy, a jego buty świeciły.

Przez kilka pierwszych dni Jiggs nawet się zastanawiał, czy nie zrobić Wallace'a szefem kompanii sztabowej i służb albo nawet sierżantem szefem batalionu. Obaj podoficerowie zajmujący te stanowiska byli w jego opinii do niczego. Porzucił te plany, kiedy bliżej poznał swojego oficera operacyjnego, majora Ellisa. Ten facet potrzebował wszelkiej pomocy, jaką tylko mógł dostać. Sierżant Wallace, doświadczony podoficer sekcji planowania i szkolenia dywizji, na pewno mógł mu wiele pomóc.

Jiggs zabrał więc Wallace'a na przejażdżkę jeepem i wyjaśnił, jak sprawy stoją. Batalion potrzebował dobrego szefa kancelarii operacyjnej, nawet bardziej niż dobrego szefa kompanii czy nawet batalionu. Szefów kompanii czy batalionu

można na pęczki znaleźć w każdym pułku i dywizji. Dobrego szefa kancelarii operacyjnej S-3 szukać ze świeczką. Każdy, kto ma taki skarb, trzyma go z całych sił i nie puszcza. Jiggs nie krył, że wymaga od niego poświęcenia szansy na kolejne dwa paski i o wiele wyższą pensję, bo szef kancelarii operacyjnej batalionu według etatu ma szansę najwyżej na sierżanta, podczas kiedy szef kompanii to co najmniej sierżant sztabowy, a batalionu starszy sierżant sztabowy. Wallace odparł, że rozumie sytuację i że postara się jak najlepiej prowadzić swój dział. Jeszcze tego samego popołudnia Jiggs poszedł do zastępcy szefa sztabu do spraw personalnych 8. Armii i tak długo wiercił mu dziurę w brzuchu, aż ten, by pozbyć się natręta, zaakceptował wnioski o awans dla Wallace'a na sierżanta technicznego przed czasem i ze skutkiem natychmiastowym.

Ocena zdolności sierżanta i batalionowego oficera operacyjnego szybko się Jiggsowi potwierdziły. Bez Wallace'a Ellis padłby na twarz w szybkim tempie. Starał się, jak umiał, ale po prostu nie był w stanie podołać obowiązkowi. Jiggs ze wszystkich sił próbował go wymienić na kogoś innego przed wyjazdem do Korei, ale nie zdążył.

Kapitan Lowell także szybko ocenił sierżanta Wallace'a. Jego ocena nie była jednak tak pozytywna jak pułkownika Jiggsa. Lowell raz zauważył, jak Wallace patrzy na niego ukradkowo, i już wiedział, że to ciota. Miał rację. Stwierdził jednak, że to nie jego interes i dopóki Wallace będzie robił swoje, a on się nie dowie (choć specjalnie nie będzie się o to starał), że zwabia młodych szeregowych do swego bunkra, nie tylko nie będzie z tego robił afery, ale nawet ze wszystkich sił postara się nie dać nic po sobie poznać.

Sierżant Wallace z początku nie oceniał kapitana Lowella zbyt wysoko - poza oczywiście walorami fizycznymi: Lowell był przystojny aż do bólu, zbudowany jak posąg. Gorzej tylko, że nie dawał dobrego przykładu jako oficer, a zwłaszcza dowódca kompanii. Chodził bez hełmu, z karabinem na ramieniu jak zwykły piechur i prywatnym Lugerem, wetkniętym za pasek spodni zamiast przydziałowej czterdziestki w kaburze pod pachą jak porządny czołgista. Co więcej, robił wiele rzeczy bez pozwolenia przełożonych, a nawet wbrew obowiązującym regulaminom i procedurom operacyjnym.

Sierżant Wallace doskonale zdawał sobie sprawę, że jego kompania pobierała przydziały artykułów luksusowych (papierosy, papier toaletowy, papeteria, piwo i coca-cola, żyletki, krem do golenia) zarówno od 8. Armii, jak i ze składnicy Koreańskiej Strefy Łączności, która zaopatrywała jednostki spoza armii. Lowell

przekonał jej dowódcę, że jako jednostka samodzielna batalion nie dostaje nic od Armii.

Później Wallace odkrył, że większość podoficerów kompanii B handluje na czarnym rynku - prawie na pewno za milczącą zgodą dowódcy. Podoficer zaopatrzeniowy kompanii regularnie zawoził do Pusan wystrzelone łuski armatnie, ale zamiast oddawać je tam do składnicy Służby Uzbrojenia, sprzedawał je Koreańczykom na czarnym rynku. W zamian otrzymywał wyroby miejscowego rzemiosła - głównie tandetne oliwkowozielone koszulki z nadrukami w rodzaju WIEM, ŻE PÓJDĘ DO NIEBA, BO ODSŁUŻYŁEM SWOJE W PIEKLE - KOREA 1950 lub równie tandetne wizerunki nagich kobiet z groteskowo wyolbrzymionymi piersiami, malowane na czarnym jedwabiu. Pięknie grawerowane miski, talerze i popielniczki robione z tych mosiężnych łusek, które im wcześniej sprzedawał, stanowiły znikomą mniejszość oferty. To, co zabierał z Pusan, nie było wcale przeznaczone dla kompanii B, ale na handel wymienny. W rezultacie kompania B zawsze miała lód z kwatermistrzostwa, miała własny projektor filmowy i nigdy nie brakowało jej nowości filmowych z Sekcji Specjalnej 8. Armii. Najbardziej oburzające było jednak to, że kompania prowadziła własny ruchomy burdel polowy. Wallace nie mógł nikogo złapać za rękę, ale wiedział o jego istnieniu. Dziewczynki dostarczano bezpośrednio załogom czołgów w polu specjalnie przystosowaną sanitarką, której wnętrza wyłożono materacami, zainstalowano umywalkę z bieżącą wodą i oświetlenie w postaci czerwonego czołgowego światła tylnego.

Z drugiej jednak strony Wallace musiał przyznać, że kompania B zawsze miała najwyższy odsetek pojazdów zdatnych do walki w całym batalionie, najmniej przypadków udarów cieplnych, wskaźnik chorób wenerycznych był niemal zerowy, a co najważniejsze, kompania B odznaczała się najwyższą sprawnością bojową. Kapitan Lowell stracił mniej ludzi niż inni dowódcy kompanii, za to jego kompania prowadziła w statystykach strat bojowych zadanych przeciwnikowi. Działo się tak dlatego, że jakimś cudownym sposobem ich armaty zawsze strzelały, a silniki czołgów kompanii zawsze zapalały, kiedy trzeba było zapalić, i działały, kiedy we wszystkich innych jednostkach silniki z tych samych serii, eksploatowane w tych samych warunkach, już dawno padły.

Prawdziwy przełom w stosunku sierżanta do kapitana Lowella nastąpił jednak dopiero wtedy, kiedy kapitan zaczął „pomagać” majorowi Ellisowi. Wallace zaczął szanować Lowella nie tylko za nadzwyczajne zdolności zawodowe w tym zakresie, ale także za takt i wyczucie w stosunkach z majorem. Chyba tylko on

i pułkownik wiedzieli poza sierżantem, jak bardzo nie na miejscu był major Ellis. Patrząc na majora, Wallace widział siebie, jak po skończeniu podchorążówki i otrzymaniu oficerskiego stopnia zajmuje stanowisko, z którym sobie nie radzi i coraz bardziej się pogrąża, z każdym dniem bardziej się narażając na degradację, jeśli nie na usunięcie z wojska.

Wallace był w bunkrze sekcji, kiedy pojawił się Jiggs i kazał Ellisowi zabrać hełm, bo jadą na wycieczkę. Wyczuł, że szykuje się coś nieprzyjemnego, ale nie wiedział co. Kiedy pojawił się Książę (znowu z tym swoim Garandem pod pachą i Lugerem wystającym zza paska) i od progu zapytał o majora, Wallace przekonał się, że on także nie ma o niczym pojęcia.

Gdyby coś się miało stać z majorem Ellisem, rozumował Wallace, Lowell pierwszy coś by o tym wiedział. Kiedy jednak powiedział mu, że pułkownik zabrał majora na przejażdżkę, ten był szczerze zaskoczony. Po chwili jednak podszedł do jednej ze składanych tablic pod ścianą i poprosił o przechowywany w sejfie raport na temat stanu pojazdów w batalionie.

Kapitan Lowell bardzo skrupulatnie unikał proszenia o klucz do sejfu. Dostęp do materiałów w nim przechowywanych mieli według regulaminu jedynie dowódca i szef sekcji, a jeśli ten ostatni uznał to za wskazane, także szef kancelarii sekcji. Dowódcy kompanii, nawet jeśli „pomagali” mu, tak jak Lowell, nie powinni mieć do nich dostępu, a jeśli już mieli, to w każdym razie nie powinni mieć dostępu do kluczy.

Kapitan spędził nad raportem nieco ponad godzinę, zestawiając listę pojazdów - z wyszczególnieniem numerów seryjnych i dat - które należało w pierwszej kolejności przekazać do nowo otwartego warsztatu naprawczego pojazdów kołowych Służby Uzbrojenia. Lista była od razu przepisana na maszynie, gdyż kapitan Lowell pisał na niej równie wprawnie jak sierżant Wallace.

- Kiedy wróci major, proszę mu przekazać, że to moja rekomendacja co do cyklu naprawczego pojazdów, sierżancie.

Obaj doskonale wiedzieli, że „rekomendacja” zostanie natychmiast i bez żadnych zmian zaakceptowana i podpisana, ale grali w tę grę. Wallace był zachwycony inicjatywą Lowella z tą listą remontową. Gdyby zabrał się do niej major, siedzieliby nad nią i rozważali do jutra. Major tak się bał podjęcia błędnej decyzji i wyjścia na idiotę, że trudno było od niego wydębic jakąkolwiek decyzję.

- Czy mogę zadać panu pytanie natury osobistej, sir? - odezwał się Wallace, kiedy Lowell skierował się do drzwi.

- Proszę - odparł nieco zdziwiony Lowell.

- Zastanawiałem się, czy ma pan jakiś ważny powód, żeby nie nosić tego pistoletu w kaburze?

- Bardzo prosty. Kabura od czterdziestki piątki na niego nie pasuje. Zdaję sobie sprawę, że to obraża pańskie poczucie estetyki sztabowej, sierżancie Wallace, ale nie bardzo wiem, co na to mogę poradzić.

- Sir, mój posługacz, Kim Lee Song, wspaniały chłopak... - Wallace zauważył, że Lowell zmrugał powieki i napiął mięśnie szczęk. On wie! A w każdym razie podejrzewa... Zrobiło mu się gorąco, ale ciągnął dalej: - On ma rymarzy w rodzinie. Robią bardzo ładne wyroby ze skóry, sir, nie takie śmiecie, jakie można kupić przy drodze. Naprawdę ładne rzeczy.

- Myśli pan, że mogliby uszyć mi do niego kaburę?

- O, z pewnością, sir.

Lowell wyjął Lugera zza paska i podał go sierżantowi, trzymając za lufę.

- Uwaga, nabój w komorze - powiedział, po czym sięgnął do kieszeni i podał sierżantowi jeszcze jakiś prostokątny kawałek blachy. - Chciałbym, żeby znalazło się to na tej kaburze.

Wallace wziął blachę i natychmiast rozpoznał w niej klamrę od niemieckiego pasa, z orłem w wieńcu i dewizą GOTT MIT UNS - Bóg z nami.

- Dostałem ją razem z pistoletem i chciałem, żeby tak zostało - wyjaśnił.

Wallace chciał zapytać o tę historię, ale wyczuł, że Lowell nie ma ochoty o tym opowiadać, więc dał sobie spokój.

- Tak jest, rozumiem, sir.

- Gdyby szukał mnie major Ellis, będę na kompanii.

- Tak jest, sir.

Chwilę później do bunkra sekcji wszedł pułkownik Jiggs. Sierżant Wallace postawił wszystkich kancelistów na baczność. Lowell, stojąc tyłem do sierżanta, upychał spokojnie koszulę w spodniach.

- Spocznij. Właśnie miałem po ciebie posłać, Lowell - powiedział pułkownik.

- Tak jest, sir. Właśnie wychodziłem.

Jiggs wziął Lowella pod rękę, zaprowadził do biurka majora Ellisa i podał mu jakiś papier. Brwi Lowella powędrowały w górę, kiedy zaczął go czytać. Pułkownik powiedział mu coś, czego sierżant nie słyszał, potem poklepał go po ramieniu i wyszedł. Lowell popatrzył na Wallace'a, po czym usiadł za biurkiem majora Ellisa i gestem dłoni przywołał sierżanta.

- Tak jest, sir.

- Major Ellis trafił na leczenie szpitalne. Ma problemy z kręgosłupem - oznajmił Lowell głosem wypranym z wszelkich emocji. - Właśnie zostałem mianowany pełniącym jego obowiązki.

- Czy mogę zapytać, jak długo nie będzie majora, sir?

- Co najmniej trzydzieści dni.

- I nie przewiduje się przysłania zastępstwa ze sztabu armii?

- Gdyby ktokolwiek pytał, sierżancie, to oczekujemy powrotu majora lada dzień, choćby jutro. My trzej, pan, ja i pułkownik, wiemy jednak, że nie będzie go co najmniej trzydzieści dni.

- Jestem pewien, że pan sobie poradzi, sir.

- Naprawdę tak myślisz, Wallace? Jest jeszcze coś, o czym też wiemy tylko my dwaj z pułkownikiem, a teraz także i pan. - Podał mu kartkę, którą wcześniej wręczył mu pułkownik. To był arkusz z bloku meldunkowego, zapisany ręcznie ołówkiem:

Od: d-ca 8. Armii

Do: d-ca 73. Wzmocnionego Batalionu

Treść telefonogramu: Przygotować wzmocnioną kompanię do przemarszu na odległość stu kilometrów w kierunku Suwon przez Pusan, Kocziang, Suwon w ciągu dwóch godzin od otrzymania rozkazu wymarszu. Oczekiwać wydania rozkazu wymarszu w ciągu najbliższych siedmiu dni.

Podpisano:

Walker,

gen. porucznik

- Zostaliśmy poważnie wzmocnieni - kontynuował kapitan. - Pułkownik przysłał listę naszego nowego stanu etatowego, jak tylko ją w sztabie przepiszą. Gdy tylko ją dostanę, ma pan wziąć ciężarówkę i pościągać kancelistów z kompanii.

- Po co, sir?

- Wallace, kto wie więcej o stanie kompanii niż jej kancelista? A poza tym piszą na maszynie, a nas czeka mnóstwo pisania w ciągu najbliższych dwóch dni.

- Tak jest, sir.

- Chwileczkę, Wallace.

- Tak, sir?
- Wszystko to, co usłyszał pan do tej pory i co jeszcze pan usłyszy, przeznaczone jest wyłącznie dla uszu pańskich, moich i pułkownika, zrozumiano?
- Oczywiście, sir.
- Zdążyłem pana trochę poznać i wiem, że jest pan doskonałym szefem kancelarii i będzie mi pana cholernie brakowało. Ale jeśli piśnie pan choć słówko na zewnątrz, wsadzę pana z powrotem do pierwszego z brzegu czołgu i odeślę w cholerę. Zrozumiano?
- Tak jest, sir.
- Mamy do tej pory wystarczająco wiele kłopotów - wyjaśnił z uśmiechem - i nie chcę innym dostarczać kolejnych argumentów w dyskusji.
- Rozumiem, sir.
- Cieszy mnie to niezmiernie, sierżancie Wallace. Wielki kawał skurczybyka z pana i mógłbym mieć niejakie trudności z tym, żeby panu wsadzić kij w dupę, gdyby grał pan nie po naszej stronie. Jakoś bym sobie w końcu poradził. Z trudem, ale zawsze.
- Mam szczerą nadzieję, że to nie będzie konieczne, sir.

2

Okolice Czinhae, Korea Południowa
13 września 1950

Kapitan Philip Sheridan Parker IV zjechał jeepem na dno niewielkiej kotlinki utworzonej przez okoliczne wzgórza i zatrzymał wóz.

Rozejrzał się po szczytach i zboczach wzgórz, oglądając pozycje zajęte przez czołgi jego kompanii pancernej. Pojazdy rozstawione były mniej więcej regularnie wzdłuż grani, przemieszane z pozycjami piechoty. Co kilka czołgów stał M16 - półgąsienicowy transporter opancerzony uzbrojony w cztery sprzężone półcalowe Browningi - nader skuteczną broń przeciwlotniczą. Ich załogi oczekiwały, że będą sobie gdzieś wygodnie siedzieć na tyłach, wyczekując samolotów wroga, a tu, proszę, niespodzianka - wylądowały na pierwszej linii razem z czołgami i piechotą.

Parker jak co dzień sprawdził stan dróg gruntowych, które prowadziły do pozycji jego czołgów i transporterów. Co dzień sprawdzał, czy są przejezdne i czy kiedy wyda rozkaz uruchomienia pojazdów (czyli innymi słowy, kiedy trzeba będzie wiać), uda się to zrobić bez strat marszowych.

Był tylko nic nieznaczącym dowódcą kompanii, nie miał pojęcia o ogólnej sytuacji,

ale coś mu mówiło, że dalej nie może być tak, jak dotychczas. Albo czerwone żółtki ruszą tyłek i ich ofensywa przełamie obronę wokół Pusan, albo Amerykanie ruszą swój i ich odrzucą w jakimś prawdziwym kontrataku.

Miał powody sądzić, że to drugie jest bliższe realizacji. Do portu przychodziły uzupełnienia i nowy sprzęt. Wczoraj pojechał coś załatwić do dowództwa i ze zdumieniem i radością oglądał kolumnę nowiuteńkich M46, wyjeżdżającą z miasta. Jeśli przysłali tu Pattony, to znaczy że coś się szykuje. Przez chwilę miał nadzieję, że może on też je dostanie, ale już po chwili ta nadzieja się rozwiała. 24. Dywizja, a z nią pułk i wchodząca w jego skład kompania Parkera, były na czarnej liście dowództwa Armii. Nie można było na nich polegać.

Ósma Armia nie odda swoich Pattonów czarnuchom. Dać je czarnuchom, to tak jakby je od razu oddać żółtkom, tylko więcej papierków do wypełnienia. Zmarnują je albo porzucą i zwieją, tak jak na samym początku.

Przecież nawet jego kompania porzuciła większość swoich czołgów, zanim objął dowództwo. To właśnie będą pamiętać po wsze czasy, a nie to, że odkąd Parker ją objął, nie straciła ani jednego czołgu oprócz tych, które zniszczył ogień nieprzyjaciela, i nie wycofała się ani na centymetr dalej niż jej rozkazano.

Parker należał do czwartego pokolenia żołnierzy kawalerii i był absolutnie przekonany o tym, że walczy równie dobrze i jest równie dobrym oficerem jak jego przodkowie. Tyle że dla dowództwa Armii był po prostu jednym więcej czarnuchem i nikim więcej.

Ojciec ostrzegał go, że tak to będzie wyglądało. Tak było od zawsze, odkąd w czasie wojen z Indianami w Armii pojawiły się pierwsze murzyńskie jednostki, 9. i 10. Pułki Kawalerii. Ich przydomek „Buffalo Soldiers” nie miał wiele wspólnego z majestatycznymi stadami bizonów, które przebiegały prerie. Nie chodziło o to, by podkreślać, że są niepowstrzymaną siłą, ale by ich poniżyć, podkreślając podobieństwo skręconych kłaków na głowach bizona i czarnucha.

Te niewesołe rozważania przerwał nagle pocisk artyleryjski, który spadł może osiemdziesiąt metrów od miejsca, w którym siedział. Pociski artyleryjskie zwykle było słyhać, zanim upadły. To był pewnie pojedynczy nękający pocisk, wystrzelony bardziej po to, by szarpać nerwy, niż rzeczywiście w coś trafić, ale ostrożność nie zawadzi. Na razie udało mu się przejść wszystkie boje kompanii bez draśnięcia, podczas gdy połowa jego ludzi zginęła lub odniosła rany. Głupio byłoby obe-
rwać odłamkiem akurat teraz, kiedy nic się nie działo od tak dawna.

Sięgnął w dół i wcisnął starter silnika, wciskając prawą nogą pedał gazu. Poczł coś lepkiego w nogawce. Co jest, do cholery?

Spojrzał w dół i zobaczył, że siedzenie wozu i spodnie pokrywa mu coś czerwonego. Chwilę potrwało, zanim zrozumiał, że to jego krew. Psiakrew, oberwał.

Zaraz, przecież niczego nie czułem, pomyślał. Jak można oberwać, stracić tak wiele krwi i nic nie poczuć? Nawet teraz nic przecież nie czuł, nic go nie bolało. No ale przecież oczy nie kłamały - cały był zalany krwią.

Raz jeszcze sięgnął do startera. Noga wcale nie bolała. Wrzucił bieg i pojechał w kierunku batalionowego punktu opatrunkowego, otoczonych workami z piaskiem namiotów rozbitych na zboczu wzgórza.

Podjechał tam i zatrąbił. Kiedy jakiś sanitariusz wystawił głowę z namiotu, Parker wezwał go gestem do samochodu.

- Tak, sir?

Parker wskazał na siebie i rosnącą kałużę krwi na podłodze.

- Co się stało, sir?

- Sam bym chciał, do cholery, wiedzieć.

Sanitariusz zajrzał do wnętrza i orzekł profesjonalnym tonem:

- Został pan ranny, sir.

- Nie, naprawdę? - nie wytrzymał Parker.

- Wygląda na odłamek. Bardzo boli?

- Wcale.

- Na razie. Potem będzie - oznajmił sanitariusz. - Chyba lepiej, żebyśmy pana od razu położyli na nosze, to łatwiej będzie pana przewieźć do szpitala. Z tak silnym krwotokiem i tak się pan tam kwalifikuje.

Nie bolało, nawet kiedy wysiadał i wchodził do punktu opatrunkowego. Ledwie jednak położył się twarzą na dół na noszach i sanitariusz rozciął mu nogawkę spodni na pośladku, zaczęło boleć. Bolało jak cholera.

Obudzono lekarza batalionowego, który rzucił okiem na obnażoną odwrotną stronę medalu kapitana Parkera i orzekł, że jego życiu nic nie zagraża. Do służby będzie mógł wrócić za jakiś miesiąc, najwyżej sześć tygodni, a może szybciej, to zależy, jak się będzie goiło. Powinien się jednak przygotować na to, że przez jakiś czas będzie bolało jak diabli.

- Podajcie mu lepiej trochę krwi - powiedział sanitariuszom, zanim wrócił do łóżka. - U nas możemy mu najwyżej jakiś kompres przyklepić na tyłek, resztą niech się już zajmą w MASH.

Parker miał ochotę wstać z noszy i kopnąć sukinsyna w tyłek. Szlag by to trafił!

„Tatusiu, a gdzie byłeś ranny?”

„No cóż, synku, twój bohaterski tata dostał prosto w dupę”.

Cholera jasna!

3

Dowództwo 73. Wzmocnionego Batalionu Czołgów Ciężkich,

Pusan, Korea Południowa

14 września 1950

Kapitan Lowell oparł organizację Grupy Bojowej Bengal (jak oficjalnie nazywano ową wzmocnioną kompanię z telefonogramu generała Walkera) na kompanii B, co nie dziwiło ani pułkownika Jiggsa, ani sierżanta Wallace'a. Lowell wciąż był jej nominalnym dowódcą, pomimo „czasowego” zastępstwa za batalionowego oficera operacyjnego. Jasne było, że liczy na dowodzenie grupą, kiedy padnie rozkaz wymarszu. Jeśli powstanie ona na bazie jego kompanii, jego szanse na objęcie dowództwa znacznie wzrosną.

- Jak pan zapewne zauważył, sierżancie, termin „wzmocniona” nie został dokładnie zdefiniowany - powiedział do Wallace'a. - Stopień, do którego ma zostać wzmocniona, pozostawiono do naszej, to jest do mojej, oceny. Skoro tak, to wolę grzeszyć szczodrością niż skąpstwem.

I w ten sposób powstały rozkazy, które wzmacniały kompanię B plutonami czołgów M46 z kompanii A i C oraz plutonem czołgów M24 ze szwadronu rozpoznawczego.

- Rozpoznanie, jeszcze czego! Do rozpoznawania Chaffee nadają się jak wół do karety. Tak będą eskortować ciężarówki z amunicją i paliwem. Rozpoznanie pojedzie na Waspach.

- Na czym? - zapytał sierżant, któremu taki termin nie był znany.

- Bierze się ciężarówkę, pakuje jej na skrzynię drugą półcalówkę oprócz tej koło kierowcy i osłania obie workami i starymi beczkami pełnymi piasku. Potem puszcza się toto przodem, żeby pełnym gazem jechało po drodze i prało do wszystkiego, co się rusza lub podejrzanie wygląda, ze szczególnym uwzględnieniem stanowisk artylerii i broni maszynowej. Naturalną reakcją ostrzeliwanego jest, żeby odpowiedzieć ogniem, więc zaczynają strzelać do Waspów, ujawniając swoje pozycje. A na to tylko czekają Pattony, które jadą za nimi i rozstrzelują je jedno po drugim. Rosjanie nazywali coś takiego „rozpoznanie walką”.

- A co z załogami tych, jak im tam, Waspów?

- Na dźwięk pierwszego strzału spieszą ile koni w silnikach. Pojazd w ruchu

to bardzo trudny cel, zwłaszcza jeśli nie jedzie po prostej, tylko wykonuje uniki. W dodatku taki manewrujący cel zajmuje uwagę obsług dział, które w podnieceniu walką i własnym hałasie nawet nie zauważają, jak czołgi wykańczają ich kolegów jednego po drugim.

- Czy pułkownik wie o tym pomyśle, sir?

- Jeszcze nie.

- I jak pan myśli, co powie, kiedy o nim usłyszy?

- Będzie równie zachwycony jak ja, kiedy się dowiedziałem, jaką melodramatyczną nazwę wybrał dla naszej wycieczki.

- No, nie wiem, sir. - Wallace nie był tego aż taki pewien.

- Wallace, czy pan w ogóle rozumie, o co tutaj chodzi?

- Może lepiej, żeby mi pan to wytłumaczył, sir.

- Popatrzcie na mapę. Kocziang to nie jest ważna stacja kolejowa ani węzeł drogowy. O tej porze roku przez rzekę można przejechać brodem, więc nie ma potrzeby zdobywać tego wszawego drewnianego mostu, który postawili jeszcze Japończycy. To wszystko prowadzi do pytania, po jaką cholere nam w ogóle ta dziura?

- Pozwoli pan, że zaproponuję odpowiedź, sir. Bo nam rozkazano ją zdobyć?

- Zgadza się, to oczywiście też. Ale dlaczego wydano ten rozkaz?

Wallace wruszył ramionami i rozłożył bezradnym gestem ramiona.

- Żeby rozpoznać, co ma przed sobą 8. Armia, Wallace. Mamy jechać tak daleko, jak się da, zanim nas rozwalą.

- Chyba nie chce pan przez to zasugerować, że dowództwo rzuca nas na pożarcie, sir?

- Nie użyją tych słów, ale niech wam się nie zdaje, że obchodzi ich, co się z nami stanie, jeśli tylko dostarczymy im potrzebne informacje.

- To dość ostra ocena sytuacji, sir.

- To się nazywa wojna, sierżancie, gdyby pan jeszcze tego nie zauważył. Oni uważają, że mają prawo tak zrobić. Dla nas z tego wynika pytanie, co się stanie, kiedy już zrobimy to, co nam rozkazano?

- Przepraszam, ale straciłem wątek.

- No dobra. Mamy więc rozkaz zdobyć Kocziang, tak? No to zdobywamy Kocziang. I co dalej?

Wallace spojrział na niego; wyraźnie nadal nie rozumiał pytania.

- Spójrzcie na to w ten sposób. 8. Armia chce naszym kosztem zdobyć informacje

o sile Koreańczyków na odcinku stąd do Kocziang. Fajnie. Dochodzimy tam i meldujemy szybciej, niż się spodziewali. No i co? Zostajemy w Kocziang? Po co? Wracamy? Też bez sensu. To znaczy powrót tą samą drogą jest bez sensu. To już lepiej pozostaliśmy za liniami wroga i narozrabiamy ile się da, zanim będziemy musieli się wycofać.

- Do tego będziemy potrzebowali zaopatrzenia z powietrza, sir.

- Tylko w amunicję. Możemy zabrać ze sobą tyle paliwa i jedzenia, ile nam potrzeba. Zapotrzebowanie na amunicję będziemy zgłaszać z dwudniowym wyprzedzeniem. Trzy jednostki ognia wszystkich kalibrów na każdą lufę armatnią. Do broni strzeleckiej jednostkę ognia, ale za to do półcalówek ile tylko wlezie. Tego będę potrzebował krocie.

- Rozumiem, sir. Obawiam się tylko, że pułkownikowi się to nie spodoba.

- Więc postawmy go przed faktem dokonanym, a potem, jeśli zechce, może mnie rozstrzelać.

- Tak jest, sir.

Jezu, jak to dobrze, że nie zostałem oficerem, pomyślał Wallace. Nigdy by się nie poważył na wystąpienie z czymś takim jak Lowell. W głowie by mu nie powstało, nie mówiąc nawet o wypowiedzianiu tego tak lekkim tonem, żeby stawiać dowódcę batalionu przed faktem dokonanym. Chociaż, z drugiej strony, Jiggs raczej nie da Lowellowi zrobić krzywdy. Ci dwaj naprawdę rozumieją się bez słów.

Wallace zajął się zestawieniem zapotrzebowania na amunicję, a Lowell studiował mapę. Po chwili triumfalnie położył przed sierżantem planowaną trasę wypadu.

- Zrobimy tak - oznajmił. - Tą drogą dotrzemy do Kocziang dwadzieścia cztery godziny wcześniej, albo i szybciej, niż gdybyśmy użyli drogi, którą się wycofywaliśmy. Zrzuty możemy przyjmować w Kocziang albo nawet lepiej, o tu.

- Tak jest, sir - odparł Wallace, uważając, by intonacją głosu nie sugerować ani że popiera, ani że jest przeciw.

- I w ten sposób zrobimy z naszego Bengala, swoją drogą, Jezu, że też pułkownik nie mógł wymyślić lepszej nazwy, prawdziwego tygrysa.

Roześmiał się serdecznie z własnego dowcipu, a jego śmiech był na tyle zaraźliwy, że Wallace przyłączył się do niego.

- Zdawało mi się, że to dobra nazwa - usłyszeli głos pułkownika.

Zaskoczeni obrócili się w kierunku, skąd dochodził. Nie zauważyli, kiedy wszedł.

Lowell był zaskoczony nie mniej niż Wallace, ale wcale mu to nie zamknęło ust.

- Odbylem właśnie fascynującą rozmowę z sierżantem Wallace'em, sir. Nie uwierzy pan, co sierżant wymyślił. Wpadł na bardzo interesujący pomysł.

- Doprawdy? - zapytał pułkownik, spoglądając na sierżanta.

Wallace nie miał pojęcia, o czym Lowell mówi.

- Patrząc na mapę, sierżant zaproponował kilka poprawek do planu, które mogą przekształcić nasz marsz ubezpieczony w prawdziwy kawaleryjski zagon za linie przeciwnika, w starym stylu.

Jiggs natychmiast zrozumiał, czyje pomysły Lowell referuje, ale nie przerywał mu i tylko puścił oko do sierżanta.

- Doprawdy, sierżancie, nie doceniałem pana. Gdyby nie to, że pana znam, przysięgłbym, że te niedowarzone pomysły mogły się załęgnąć tylko w chorobliwym umyśle kogoś, kto przebrnął studia w Wharton School of Business.

- Ja też mam jeden czy dwa pomysły, sir - dorzucił Lowell.

- O, nie wątpię. Nie mógłbyś patrzeć, gdyby sierżant Wallace zgarnął całą chwałę, co?

- Waspy.

- Co takiego?

- Montuje się po dwie półcalówki na dogde'a, osłania workami z piaskiem i...

- I co? Pewnie widzisz siebie na czele jadącego takim Waspem, co? Prowadząc ten kawaleryjski zagon pomysłu sierżanta Wallace'a?

Tym razem kpiący ton pułkownika zamknął wreszcie Lowellowi usta.

- Chociaż z drugiej strony, to się może sprawdzić - potarł podbródek pułkownik. - A będziesz miał czas, żeby coś takiego zrobić?

- W kompanii B mamy przygotowanych pięć takich pojazdów, panie pułkowniku.

- Dobra, ale ty pojedziesz czołgiem. I to M46, a nie M24. Nie zbliżysz się do czoła kolumny bardziej niż na cztery czołgi, zrozumiano?

- Czy mogę z pana słów wnosić, sir, że postanowił pan mnie postawić na czele tej kolumny?

- Kapitanie Lowell, a gdzie ja znajdę drugiego takiego wariata, który jest przekonany o tym, że jest kolejnym wcieleniem Custer'a i Pattona naraz? Czy też, co na jedno wychodzi, głupiego na tyle, żeby chcieć zrobić to, na co najwyraźniej masz ochotę?

- Dziękuję, sir.

Sierżant Wallace mógłby przysiąc, że w głosie Lowella dało się wyczuć szczerą wdzięczność.

- Ale dlaczego Waspy?
- Bo żądłą. Zupełnie jak osy.
- Cóż za beznadziejnie melodramatyczna nazwa - skrzywił się żartobliwie Jiggs. - Chociaż z drugiej strony, to niemal równie poruszająca jak Bengal.
- Chylę czoło przed przenikliwością pańskich sądów, sir.
- Właściwie to przyszedłem tu w innej sprawie. Teraz zrobiły się z tego trzy sprawy. Po pierwsze, jeśli naprawdę masz zamiar pójść dalej i pozostać tam dłużej, niż przewiduje pierwotny rozkaz, to powinieneś pomyśleć o zrzutach zaopatrzeniowych.
- Sierżant Wallace właśnie kończy brudnopis zapotrzebowania, sir.
- Może je pan dostać przepisane na czysto za godzinę, sir - wtrącił milczący dotąd Wallace.
- Dobra. W takim razie przechodzimy do punktu drugiego. Żeby pan nawet nie myślał o wzięciu udziału w tej wyprawie nad Little Big Horn, Wallace. Jeśli czerwonoskórzy wykończą nam tego samozwańczego Custera, będę was cholernie potrzebował.
- Ale ja bym bardzo chciał jechać, sir. W końcu jestem dowódcą czołgu i...
- Jasna cholera, Wallace, myśli pan, że ja bym nie chciał? - uciał ostro Jiggs. - Zostaje pan tutaj i koniec dyskusji.
- Tak jest, sir.
- Punkt trzeci, czyli początkowo pierwszy i jedyny - powiedział Jiggs, podając Lowellowi wyjętą z kieszeni kartkę papieru teleksowego. Lowell przeczytał ją i podał Wallace'owi.

OD, D-CA 8. ARMII

DO, D-CA 73. BATALIONU CZOŁGÓW CIĘŻKICH

15 WRZEŚNIA 1950 O GODZ 4.25 PO ZAKOŃCZENIU TRZYDZIESTO-MINUTOWEGO PRZYGOTOWANIA ARTYLERYJSKIEGO GRUPA BOJOWA BENGAL WZMOCNIONA WEDŁUG PAŃSKIEGO UZNANIA ZE ŚRODKÓW DOSTĘPNYCH NA MIEJSCU PRZEŁAMIE LINIĘ FRONTU I BĘDZIE NACIERAĆ WZDŁUŻ LINII PUSAN KOCZIANG SUWON ATAKUJĄC NAPOTKANE CELE JEDNAK Z GŁÓWNYM ZADANIEM ROZPOZNANIA REJONU KOCZIANG NAJSZYBCIEJ JAK TO MOŻLIWE

WALKER GENERAL PORUCZNIK

Grupa Bojowa Bengal zaczęła się formować, zanim jeszcze o 3.55 padły pierwsze strzały przygotowania artyleryjskiego. Składające się na nią jednostki, czołgi, artyleria samobieżna, ciężarówki z piechotą, czołówka łączności, kolumna transportowa z amunicją i paliwem zajęły pozycje wyjściowe oddzielnie i gdy padły pierwsze salwy, ruszyły na podstawę wyjściową do natarcia.

Kapitan Lowell i szef kompanii B, który także ruszał z kolumną, byli już na miejscu. Był z nimi także sierżant Wallace, który miał jednak pozostać. Wszyscy trzej kierowali ruchem pojawiających się zewsząd pojazdów, by trafiły tam, gdzie powinny.

Pierwsze salwy padały jeszcze w kompletnej ciemności i płomienie wylotowe przy lufach dział wyglądały z daleka jak błyskawice odległej burzy. Z biegiem czasu jednak niebo jaśniało i coraz słabiej było widać pozycje artylerii. O jej obecności przypominały wciąż wyjące nad ich głowami pociski lecące w kierunku ukrytych jeszcze mrokiem pozycji komunistów.

Pułkownik Jiggs nie mógł im towarzyszyć. Swój żal wyładował na Bogu ducha winnym łączniku, który przyniósł mu pilne wezwanie do dowództwa armii. Ruszał tam pełen obaw, czy to nagłe wezwanie nie oznacza czasem odwołania operacji. Okazało się, że nic z tych rzeczy.

Po powrocie podjechał na czoło kolumny, by odszukać Lowella. Znalazł go opartego o gaśnicę M46. Od poprzedniego popołudnia, kiedy pułkownik widział ten czołg, zaszły w jego wyglądzie pewne zmiany.

Po pierwsze, czołg miał teraz imię - ILSE - wymalowane na wieży. A niech tam, w końcu to przecież jego żona i miał prawo nazwać tak swój czołg. Wściekł się jednak na widok proporczyka wiszącego na jednej z anten. To był proporczyk kompanijny, mała żółta flaga z jaskółczym ogonem na wolnym końcu. Jeszcze wczoraj były na nim litera B i numer 73, jak kompania B 73. Batalionu. Żółty był barwą kawalerii, a obecnie broni pancernej.

Dziś na proporcu widniały starannie wykaligrafowane litery GRUPA BOJOWA LOWELL.

Po chwili jednak opanował się. Wiedział, że inicjatywa tej zmiany nie wyszła od Lowella. To było dzieło jego żołnierzy. Od pierwszej chwili, kiedy na podstawie ich kompanii zaczęto organizować tę grupę, zadzierali nosa pod chmury, a odkąd rozeszła się pogłoska, że grupą ma dowodzić ich ukochany Książę, po prostu

im szajba odbiła.

Lowell odepchnął się od błotnika i wyprostował, salutując podchodzącemu Jiggsowi. Widok dowódcy zaniepokoił go, gdyż mógł oznaczać, że w ostatniej chwili wprowadzono jakieś zmiany albo nawet odwołano operację tuż przed jej rozpoczęciem.

- Ładny porporczyk, Lowell.
- To nie był mój pomysł, sir - zmieszał się kapitan.
- No jasne, że nie - odparł pułkownik i umyślnie potrzymał go w niepewności jeszcze kilka sekund. Wreszcie wyciągnął rękę z szarą kopertą. - Kody łączności.
- Jedziemy?!
- Jedziecie.
- Dzięki Bogu! To wezwanie do dowództwa nie wyglądało najlepiej.
- I jeszcze coś, co wyjaśnia sporo z tego cyrku wokół. Podał mu arkusz papieru teleksowego.

OD: GŁÓWNODOWODZĄCY SIĘ NARODÓW ZJEDNOCZONYCH
DO: WSZYSTKIE JEDNOSTKI W KOREI

DZIŚ 15 WRZEŚNIA 1950 ODDZIAŁY 1DPUSMC Z X KORPUSU POD DOWÓDZTWE M GEN POR EDWARDA H ALMONDA ROZPOCZĘŁY ŁĄDOWANIE Z MORZA NA PÓŁWYSEP KOREAŃSKI W REJONIE INCZHON SEUL

MACARTHUR GEN ARMII

- Najwyższy czas, żebyśmy wreszcie ruszyli dupę - skomentował Lowell.
 - Twoja operacja jest od tej chwili działaniem dywersyjnym. Im więcej narozrabiasz na tyłach, tym lepiej.
 - Do cholery z dywersją. Ruszam prosto na Seul!
 - Niech pan najpierw spróbuje dojechać do Kocziang, kapitanie Lowell.
- Lowell spojrzął na zegarek.
- Lepiej już ruszajmy, sir.
 - Najpierw dojedź do Kocziang, Lowell.
 - Tak jest, sir.

Jiggs podał mu rękę.

- Spróbuj to przeżyć, Craig. I pamiętaj, że nie jesteś Pattonem.
- Lowell popatrzył na niego przez chwilę, po czym się uśmiechnął. Włożył do

ust dwa palce i gwizdnął, by zwrócić uwagę kierowcy M46, który stał za nimi. Podniósł nad głowę palec wskazujący i zakręcił nim w powietrzu młynka nad głową. Zajączkał starter i 810 koni mechanicznych zahuczało w silniku.

- Uważaj na siebie, Craig - powiedział Jiggs, kładąc mu rękę na ramieniu. - Chcę, żebyście wszyscy wrócili żywi.

Lowell poczuł zawstydzający napływ uczuć, więc nie ufając głosowi, skinął głową i wskoczył po kole na błotnik swojego czołgu, a z niego do wieży z imieniem ILSE wypisanym na boku.

Przygotowanie artyleryjskie zakończyło się dokładnie o planowanej godzinie. I o tej samej godzinie, zgodnie z planem, ruszyła do boju grupa Bengal.

Lowell jechał na przedzie. Miał zamiar puścić Waspy przodem dopiero po przekroczeniu linii frontu.

Podpułkownik Jiggs stał na miejscu, skąd przed chwilą ruszył czołg Lowella, i machał ręką do przejeżdżających obok samochodów, czasem oddając honory salutującym mu żołnierzom. Kolumna pojazdów „wzmocnionej kompanii” zdawała się nie mieć końca, przed pułkownikiem przejeżdżały wciąż nowe transportery, działa samobieżne, ciężarówki z wojskiem, zaopatrzeniem, jeepy, sanitarki z zamalowanymi krzyżami, niektóre bez numerów rejestracyjnych i oznaczeń taktycznych.

Stał tam i nienawidził Lowella, jego młodości, jego zapału, a przede wszystkim tego, że pojechał walczyć, podczas gdy on musiał pozostać na tyłach i użerać się z pierdzistołkami z dowództwa 8. Armii.

5

57. Szpital Polowy US Army,
Giessen, Niemcy
23 września 1950

Major T. Jennings Wilson, szef składnicy kwatermistrzowskiej ubrań zimowych w Giessen, nie spał w separacie na ostatnim piętrze już od świtu, jeszcze zanim przywieźli mu śniadanie.

Dokuczał mu potworny ból głowy jak na gigantycznym kacu, klatka piersiowa bolała przy każdym oddechu. Od uderzenia w kierownicę mogły mu popękać żebra, a w każdym razie będzie miał na pewno potężnego sińca. Bolały go też kolana, zapewne stłuczone o deskę rozdzielczą w czasie zderzenia. Pieprzone szkopy! Nigdy się nie nauczą jeździć?

Major Wilson wyteżył umysł, by przypomnieć sobie jakieś szczegóły. Trochę

mu się wszystko plątało, to przecież rozumiałe po wypadku, ale chyba nie pobierano mu próbki krwi. Całe szczęście, przynajmniej nikt mu nie udowodni jazdy po pijanemu. Zresztą kto wie, nie pamiętał w ogóle nic z tego, co się wydarzyło pomiędzy wypadkiem a tym, jak się ocknął pod rentgenem.

Chociaż nie, coś pamiętał. Pamiętał, że wysiadł ze swojego oldsmobile'a i zaglądał do rozbitego jaguara wystarczająco długo, by się przekonać, że kobieta za kierownicą nie żyje i że samochód ma szkopskie numery. Będą z tego kłopoty. Niewielu Niemców było dziś stać na jaguara. To oznaczało, że jej rodzina może mu dać niezły wycisk przed sądem. Swoją drogą, jakie oni tu mają sądy? Z ławą przysięgłych, tak jak u nas? No, jeśli tak, to przewalone na całego. Przysięgłymi będą na pewno Niemcy, więc będą trzymać ze swoimi. Nie tylko uznają go za winnego, ale jeszcze wycisną z milion dolarów odszkodowania.

A zresztą, co go to obchodzi? Od czego płaci składkę ubezpieczeniową? Niech się martwi towarzystwo ubezpieczeniowe. On musi się zatroszczyć o to, żeby ten wypadek nie kosztował go na dokładkę złamanej kariery wojskowej. Armia dostaje kręcka po każdym wypadku z udziałem Niemców. Kompletny obłęd! Najpierw ich przez pięć lat bombardują w dzień i w nocy, a potem za każdą szybę zbitą szkopowi są gotowi swojakowi rzucać się do gardła! Takie rzeczy zagrażają stosunkom niemiecko-amerykańskim, mówili. Armia miała obsesję na tym punkcie. A wszystko to wynikało z tego idiotycznego pomysłu, że oni są tu niby gośćmi narodu niemieckiego.

Co za kretyn mógł coś takiego wymyślić? Są tu, bo szkopy przegrali wojnę, ot co.

Raz jeszcze przypomniał sobie wszystko, co się stało i co robił do czasu przyjazdu żandarmerii. Był pewien, że nic nie przeoczył i że wyjdzie z tego cało. No, kłopoty będą, pewnie. Będzie na przykład potrzebował nowego samochodu. Olds był całkiem rozbity, cały przód poszedł w drobiazgi. Będą problemy z ubezpieczeniem. Jasne, że zapłacą, ale będą się starać odebrać mu zniżkę za bezszkodową jazdę.

No i jeszcze Dolores. Pewnie odchodzi od zmysłów. Pamiętał, jak doktor mówił, że zawiadomią jego żonę, ale poproszą, żeby go odwiedziła nie wcześniej niż następnego dnia, i że zatrzymają go na obserwacji co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Dolores miała skłonność do dramatycznych reakcji, kiedy działo się coś takiego. Jasne, szkoda mu było tej Niemry z jaguara, w końcu nikt nie lubi mieć na sumieniu wypadku, w którym ktoś poniósł śmierć. Szkoda dziewczyny, całkiem młoda była, pewnie, no ale to się po prostu czasem zdarza. Tylko dlaczego musiało

to spotkać akurat jego?

Wiedział, że żandarmeria weźmie sprawę pod lupę. Zajmują się każdym wypadkiem z udziałem żołnierza amerykańskiego. W cięższych przypadkach, takich jak ten, sprawę badają agenci Służby Dochodzeniowej, CID. Agentami CID byli podoficerowie żandarmerii po cywilnemu, odpowiednik cywilnych detektywów.

Major Wilson nie zdziwił się, kiedy agenci CID, którzy przyszedli go przesłuchiwać, mieli na sobie oficerskie mundury. Mundury z oficerskimi inicjałami US na klapach, ale bez oznak stopni - tak jak wszyscy pracownicy cywilni wojska od GS-7 wzwyż. Mundur jak mundur, co za różnica. Gdyby przyszedł do niego sierżant żandarmerii, pewnie wyglądałby tak samo.

- Major Wilson? - zapytał starszy z tych dwóch.
- Zgadza się - odparł Wilson.

Obaj pokazali mu legitymacje CID w skórzanych portfelikach mieszczących odznaki i zatopione w plastik karty identyfikacyjne ze zdjęciem.

- Jestem podpułkownik Preston, majorze - powiedział starszy - a to jest agent MacInerney.

Wilson przelotnie zastanowił się, czy to prawda czy też jakiś rodzaj sztuczki śledczej - pokazanie przesłuchiwanemu z punktu, kto tu rządzi, żeby kontakt z oficerem wyższym stopniem wytrącił go z równowagi. W końcu zdecydował, że to żadna różnica. Najważniejsze to zachować ostrożność w kontakcie z tymi dwoma.

- Dzień dobry panom.
- Zapewne domyśla się pan, co nas tu sprowadza, majorze. -stwierdził Preston. - Chcemy porozmawiać o pańskim wczorajszym wypadku.
- Rozumiem.
- Na wstępie chcę zapytać, czy zna pan prawa przysługujące panu na podstawie artykułu 31 regulaminu sądów wojskowych? Zapewne wie pan, iż nie musi pan składać oświadczeń, których treść można by wykorzystać przeciw panu, jak również że w ogóle nie musi pan z nami rozmawiać?

- Tak, oczywiście - odparł major. - Mimo to z chęcią odpowiem na wszelkie pytania, sir. Oczywiście w miarę możliwości.

- Dziękuję za chęć do współpracy. Myślę, że najlepszym punktem wyjścia będzie, jeśli poproszę o to, by pan własnymi słowami opowiedział nam, co się stało. Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Ależ skąd. Postaram się najlepiej jak umiem, sir.
- Najlepiej będzie, jeśli zaczniemy od początku. Z tego, co mi wiadomo, był pan w Bad Hersfeld, czy tak?

- Tak jest, sir. Byłem w Hersfeld przez ostatnie dwa dni. Spotkałem się tam z oficerem zaopatrzeniowym 14. Pułku Żandarmerii. Kierując działem ubrań zimowych składnicy i ustaliliśmy zapotrzebowanie jego jednostki na nadchodzącą zimę.

- Rozumiem. I właśnie wracał pan z tego spotkania, kiedy doszło do wypadku?

- Prawie mi się udało - uśmiechnął się kwaśno Wilson. - Tak jest, sir. To było w drodze powrotnej z tego spotkania.

- O której wyjechał pan z Hersfeld?

- Po obiedzie.

- Która to była godzina?

- Wie pan, dokładnej godziny nie pamiętam, ale jakoś tak około czternastej. To był taki zwykły, roboczy obiad.

- I potem jechał pan prosto do siebie? Nie wstępował nigdzie po drodze?

- Prosto do domu.

- No to miał pan niezły czas, prawda? Według niemieckiej policji do wypadku doszło o 16.30.

Ta mimochodem rzucona uwaga przeraziła Wilsona. Jasne, że miał niezły czas. Tyle że „niezły czas” na tej trasie oznaczał jazdę z dużą szybkością. Znacznie powyżej ograniczeń. O co tym dwóm dupkom chodzi? Podzielił czas przez odległość i oskarża go o przekroczenie prędkości? Dlaczego nie, nieraz słyszał, że są zdolni do takich świństw. Ale z drugiej strony... Musieliby znaleźć świadka, który pod przysięgą zezna, o której dokładnie wyjechał. Nikt chyba nie pamięta, o której wyszedł z kasyna w Hersfeld.

- Chyba tak. Na drodze prawie w ogóle nie było ruchu.

- Proszę mi opowiedzieć, co pan pamięta na temat samego wypadku.

- No cóż, niewiele, prawdę mówiąc. To się zdarzyło tak szybko...

- Pamięta pan, gdzie do niego doszło?

- Oczywiście. Jakies sześć, siedem kilometrów przed Giessen. Tam jest taka seria ostrych zakrętów, trzeba naprawdę powoli jechać, żeby się wyrobić. Z tego, co pamiętam, byłem w połowie drugiego czy trzeciego zakrętu, kiedy nagle zza zakrętu wyskoczyła ta Niemra, jadąca z kierunku Giessen. Pędziła jak szalona. No, ale to w końcu jaguar. Wie pan, jak te szkopy jeżdżą, zwłaszcza jeśli ich stać na taki wózek.

- I co dalej?

- Właściwie to już wszystko. Próbowałem zjechać jej z drogi, ale ona zjechała na mój pas i niewiele mogłem zrobić.

- Powiedział pan, że jaguar jechał szybciej, niż powinien w tym miejscu?

- Pędził jak szalony.
- A pan?
- Za dobrze znam ten odcinek drogi. Jechałem nie więcej niż pięćdziesiąt, no, może sześćdziesiąt na godzinę.
- Pił pan coś przed wyjazdem, majorze?
- Prawdę mówiąc, do obiadu wypilem w Hersfeld dwa drinki. Tak, wiem, godziny służby i tak dalej, ale odwaliłem tam półtora dnia naprawdę ciężkiej roboty.
- A więc wypił pan dwa drinki?
- Tak jest, sir. Nie więcej niż dwa. Słabe.
- Sprawę pańskiego wypadku bada zarówno żandarmeria wojskowa, jak i niemiecka policja.
- No cóż, tego się należało spodziewać.
- Na jakiej podstawie?
- Z oczywistych powodów. Nie przepuszczą takiej okazji. Mogą postawić przed sądem amerykańskiego oficera, ze wszystkimi ubezpieczeniami, których od nas wymagają, więc mogą się nieźle obłowić. Trudno to nazwać uczciwym procesem przed sędziami równymi stanem, jak to ujęli nasi Ojcowie Założyciele.
- Zapewniam pana, że będzie pan miał uczciwy proces przed równymi stanem. Może pan na to liczyć.
- No cóż, to przynajmniej jedna dobra wiadomość. Przed amerykańskim sądem wojskowym mam przynajmniej równe szanse. Nasi sędziowie wiedzą, że te cholerne szkopy jeżdżą jak szaleńcy.
- Chyba nie wyraziłem się dość jasno, majorze. Czeką pana proces cywilny przed sądem niemieckim, a oprócz tego sprawa karna przed sądem wojskowym.
- Przepraszam, chyba nie rozumiem, panie pułkowniku...
- Pańska historyjka nie trzyma się kupy, majorze. Po pierwsze, mamy zaprzysiężone zeznanie kelnera z kasyna w Hersfeld. Wypił pan do tego obiadu nie dwa, ale pięć drinków. A po drodze, za kwadrans czwarta, zatrzymał się pan w gospodzie Zum Golden Hirsch w Kolbe i wypił pan dwa piwa i dwa kieliszki steinhagera. Dobrze tam pana zapamiętali, bo awanturował się pan, że nie mają burbona.
- Oczywiście zaprzeczę temu...
- Jeszcze nie skończyłem - uciął Preston. - Jaguar nie przekroczył dozwolonej prędkości. Sana to dwa dowody. Po pierwsze, samochód wjechał na drogę zaledwie sto metrów przed miejscem, w którym doszło do wypadku. Tam jest skrzyżowanie z drogą podporządkowaną, która, jak panu zapewne wiadomo, prowadzi do składnicy kwater mistrzowskiej, przy której mieści się sklep samoobsługowy dla

wojsk amerykańskich. Jaguar wyjechał z tej właśnie drogi na szosę, na co są świadkowie. Po drugie, dźwignia zmiany biegów w jaguarze została przez uderzenie zablokowana na drugim biegu. Na drugim biegu nawet Jaguar nie pojedzie szybciej niż sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Poza tym, choć oczywiście nie da się tego udowodnić, nie wydaje mi się, żeby młoda matka, wioząc małe dziecko, jechała jak szalona, jak był pan łaskaw to ujać.

- Z Niemrą nigdy nic nie wiadomo, szkopy zawsze jeżdżą jak wariaci - odparł Wilson.

- I tu też się pan myli, majorze. Ta kobieta, w której samochód pan uderzył, wyjeżdżając pod prąd zza zakrętu z prędkością pomiędzy sto a sto dziesięć kilometrów na godzinę, nie do końca była, jak był pan to uprzejmy określić „Niemrą”. Była obywatelką amerykańską. To żona amerykańskiego oficera nazwiskiem Lowell, który w tej chwili walczy w Korei.

Major Wilson popatrzył na Prestona z przerażeniem w oczach.

- Mam nadzieję, że cię powieszą na wysokiej gałęzi, Wilson.
- Panie pułkowniku... - próbował go uciszyć drugi z agentów CID.
- Chciałbym być oskarżycielem, zasrany śmieciu - syknął Preston, tracąc panowanie nad sobą. - Niestety, po tej rozmowie mi nie pozwolą. Ale szukaj sobie dobrego obrońcy, i to szybko, bo zrobię, co w mojej mocy, żeby cię wysłać do Leavenworth*.

Agent MacInerney wziął pułkownika pod ramię i wypchnął z izolatki. Major T. Jennings Wilson przez chwilę w milczeniu patrzył na zatrzaśnięte drzwi, po czym skulił się na łóżku i zwymiotował.

6

Okolice Osan, Korea Południowa

25 września 1950

L-5 Stinson wyleciał zza gór tuż za Czhongdzu i przeleciał nad biegnącą dnem doliny drogą, zapchaną teraz ciężarówkami i artylerią. Obleciał pasmo górskie i nadleciał nad Czhonan. Ruch na tym odcinku drogi był znacznie mniejszy. Ciężarówki nie jeździły tu same, ale w konwojach, czasem osłanianych przez czołgi. Tu

* W Fort Leavenworth w stanie Kansas oprócz akademii sztabowej Armii Stanów Zjednoczonych mieści się także słynące z nieludzkich warunków ciężkie więzienie Armii (przytłum.).

i ówdzie coś się paliło. Okolice nosiła ślady niedawnej walki, widać natarcie natrafiło na jakiś opór. Pułkownik nie miał pojęcia, ile z tych dymów to ślady walk, a ile pożarów wznicieli wycofujący się Koreańczycy.

W przejrzystym powietrzu poranka widział ślady bitwy. Tu i ówdzie stał dymiący T-34/85. Odkąd nauczyli się z nimi walczyć, T-34 przestały być niezwyciężone. Za Chhonan droga biegła nadmorskim wąwozem, który ciągnął się przez całą Koreę, aż za Inczhon, gdzie dziewięć dni wcześniej, 15 września, generał Almond wysadził na brzeg X Korpus.

Pułkownik spojrzął na mapę. Do Phongthaek było stąd dwadzieścia kilometrów i drugie tyle do Habungni. Kiedy ponownie spojrzął na dół, zobaczył płonącego M46, otoczonego w odległości niecałych stu metrów wypalonymi wrakami czterech T-34/85. Wokół leżały ciała. W żadnym podręczniku historii nie będzie nigdy wzmianki o tej walce, bo wojna przeszła bokiem dalej i nadal szalała.

Lecąc samolotem, pułkownik Jiggs mógł patrzeć na pole bitwy z lotu ptaka. Nie, nie ptaka, poprawił się pułkownik. Z punktu widzenia Boga. Tu już nie, bo tędy wojna już przeszła, ale w przyszłych bitwach ta maszyna pozwoli mu zobaczyć, co się dzieje dokładnie w chwili, kiedy się dzieje. Dowodzić wojskami, które widzi, a nie tymi, które chce widzieć w wyznaczonym czasie i miejscu. I wreszcie, mógł - dosłownie - zajrzeć za następne wzgórze, zobaczyć, co nieprzyjaciel trzyma w zanadru dla jego wojsk.

Ten samolot zawdzięczał Lowellowi i musiał szczerze przyznać, że kiedy Lowell zapotrzebował go ze składnic 8. Armii, spodziewał się kłopotów. Batalion czołgów nie miał w etacie samolotów ani do korygowania ognia artylerii (bo czołgi prowadzą głównie ogień na wprost), ani łącznikowych, ani do przerzutu żołnierzy. Pewnie, że mógł wysmażyć rozprawkę na temat nieodzowności przydzielenia 73. Batalionowi samolotu, uzasadniając to jego rozmiarami i przydzielonym zadaniem, ale pisanie trwałoby ze dwa tygodnie, a sztab mełłby to z pół roku, zanim - być może - wyraziłby zgodę. Lowell znalazł prostsze rozwiązanie. Dowiedział się, że artyleria dostaje samoloty, po pół na baterię. Mieli teraz dwie baterie, więc należał im się jeden samolot. Przedstawił kwatermistrzowi 8. Armii zapotrzebowanie, które ten zaaprobował, jakby to była prośba o dwie tony lodów: jak sobie znajdziecie, jest wasz. I Lowell znalazł samolot. Ich dwie baterie pochodziły ze 119. Pułku Artylerii Samobieżnej ze składu IX Korpusu. Pułk miał samoloty z puli IX Korpusu. Lowell wysłał więc oficjalne zapotrzebowanie na samolot z pilotem do korpusu, motywuując to zgodą kwatermistrza Armii i podkreślając, że samolot

przydzielony był do baterii, które przeszły do batalionu, więc powinien tam przejść wraz z nimi. Dowództwo korpusu zgodziło się z jego argumentacją, dołożyło nawet drugiego pilota, tyle że nie wyznaczyło na piśmie terminu przekazania. W rozmowie była mowa o przekazaniu za pół roku.

Uzbrojony w pismo Lowell wsiadł w jeepa, pojechał na lotnisko IX Korpusu i zażądał Stinsona i dwóch pilotów. Samolotem odleciał porucznik Tadeusz Osiadczy, Polak z Hazelton w stanie Pensylwania, potężne, zwaliste chłopisko, zwane Gorylem z racji specyficznej urody. Drugiego pilota Lowell wziął do jeepa i odjechał, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Piloci nie mieli nic przeciwko temu, ale oficerowie lotnictwa US Army z IX Korpusu chodzili po ścianach ze wściekłości. Wystosowali nawet oficjalny protest, który wysłali drogą służbową do dowództwa 8. Armii.

Następnego dnia o świcie grupa Bengal, wraz z głównym sprawcą całego zamieszania i samolotem ruszyła do natarcia, przełamując koreańską obronę i tyle ich było widać. L-5 krążył pomiędzy grupą a resztą batalionu i ewakuował rannych. Lowell już od dziewięciu dni pustoszył nieprzyjacielskie tyły i dotarł niemal do połowy półwyspu. Odkąd ciężarówka z radiostacją wjechała na minę, samolot stał się jedynym środkiem łączności z grupą, gdyż radiostacje czołgowe miały za mały zasięg.

Jiggs zdjął mikrofon z wieszaka przy oknie, sprawdził, czy radio jest ustawione na częstotliwość radiostacji czołgowych, i wcisnął włącznik.

- Bengal Wysunięty, tu Bengal Sześć.

Ku jego zdumieniu odpowiedź przyszła natychmiast. Nie spodziewał się nawiązania łączności radiowej już przy pierwszej próbie.

- Bengal Wysunięty, odbiór.

- Podaj koordynaty, Bengal Wysunięty.

- Przepraszam, sir, ale Księżę powiedział, że nie wolno mi podawać koordynat przez radio. Jesteśmy cztery i pół kilometra od Habungni.

- Daj mi Wysuniętego Sześć.

Szlag by to trafił, co za idiota! Gówniarz w ogóle nie ma o niczym pojęcia! Nie wolno mu podawać koordynat przez radio, żeby Koreańczycy, którzy może zdobyli amerykańską mapę, nie wiedzieli, skąd mówi. I co robi ten kretyn? Podaje lokalizację otwartym tekstem!

- Księżę pomaga w uzupełnianiu paliwa.

- A możecie mu chociaż przekazać wiadomość?

- Tak jest.

- Powiedzcie, że Bengal Sześć kazał mu zostać tam, dokąd doszliście. Zrozumiano?

- Tak jest, sir.

- Jest tam gdzie wylądować?

- Chyba mógłby pan wylądować na drodze, ale całą zajmują czołgi.

- No to zjedźcie na bok, jeśli łaska - cierpliwie odparł pułkownik.

- Już teraz?

- Tak, już teraz, do jasnej cholery! Będę u was za pięć minut.

- O, to pójde powiedzieć Księżciu.

- Zrób to, synu - powiedział pułkownik i odwiesił mikrofon.

Potarł ręką czoło, pokręcił głową i wyjrzał za okno. Próbował przechylić głowę, żeby zobaczyć cokolwiek więcej na dole, ale droga była całkiem pusta.

I wtedy ich zauważył.

Dwadzieścia pięć, może trzydzieści z trzydziestu ośmiu czołgów Pattonów stało po obu stronach wąskiej gruntowej drogi, wymieszane z Priestami i innymi pojazdami. Pomiedzy pojazdami gaśienicowymi zostało miejsce najwyżej na przejazd ciężarówka czy cysterny z kolumny zaopatrzeniowej, która właśnie dotarła do czołówki pancernej grupy. Tyły kolumny ubezpieczały M24; przyjechały z kolumną transportową, którą na co dzień eskortowały.

To był kolejny z nieszablonowych pomysłów Lowella. Taktyka przewidywała użycie czołgów lekkich M24 Chaffee jako rozpoznania przed czołem kolumny pancernej. Całe szczęście, że Walker tak się pośpieszył z wysłaniem grupy Bengal w pole, bo gdyby ktoś z jej sztabu miał czas dokładniej jej się przyjrzeć, byłby po prostu koniec świata. Inspekcja ze sztabu 8. Armii dostałaby apopleksji na widok Waspów, które u Księcia miały pełnić funkcję rozpoznania. To były ciężarówki o ładowności trzy czwarte tony, obłożone workami z piaskiem i uzbrojone w dwa półcalowe Browningi, obsadzone załogą złożoną z ochotników. Każda wiozła tyle amunicji, że ładowność dodge'a została przekroczona minimum o pół tony.

Teraz to już była zupełnie inna historia. Przez te dziewięć dni Lowell stał się bohaterem 8. Armii. Na tyłach wroga wyczyniał niestworzone rzeczy. Nieprzyjaciel nie wiedział już w końcu, którądy uciekać - na każdej drodze nadziewał się na czołgi Lowella. Uwielbienie sztabu dla Lowella sięgnęło już takiego poziomu, że nawet w oficjalnych dokumentach zdarzało się zamiast kryptonimu Bengal napotykać ukuty przez żołnierzy Księcia termin Grupa Bojowa Lowell.

Z powietrza grupa Lowella - tfu, grupa Bengal - wyglądała imponująco, ale

nawet w połowie nie tak imponująco jak wtedy, kiedy przekraczała linie 24. Dywizji Piechoty. O, to był niezapomniany widok. Czołgi pojawiły się nagle znikąd, zjeżdżając całym gazem na drogę, prowadzącą do dymiących jeszcze po przygotowaniu artyleryjskim pozycji koreańskich. Wszystkie włązy zamknięte, lufy czujnie poruszające się na boki, anteny kiwające się od pędu, kurz spod gąsienic. Całe upiorne piękno pancерnej szarzy.

Pułkownik znowu zaczął się nad sobą użalać. To on powinien prowadzić tę szarżę, to on powinien siedzieć w czołowym czołgu kolumny, prowadząc ją do boju. Ileż to razy miał już zamiar rzucić to wszystko w diabły i przejąć jej dowodzenie, zwłaszcza po kolejnej kłótni z tymi tumanami ze sztabu Armii. To byli jego żołnierze, jego czołgi i to on powinien im przewodzić, a nie jakiś młokos, któremu się zdaje, że jest pieprzonym Pattonem.

Z drugiej jednak strony, musiał się pogodzić z faktami. Lowell okazał się wspaniałym dowódcą, który nie dawał się ponieść sukcesom i zachowywał zimną krew, robiąc swoje po prostu wyśmienicie. Poza tym Bengal był niewiele więcej niż kompanią, pułkownik na jej czele wyglądałby po prostu śmiesznie. To zadziwiające, że Lowellowi udało się zachować aż tyle z jego wyjściowych sił, ale nadal był to tylko pododdział.

Jeśli miał nadal robić swoje, musiał mieć kogoś, kto by krył mu plecy. Oficera wyższego stopniem, który potrafił zadbać o zaspokojenie jego potrzeb, który potrafił wyrwać dla niego ciężarówkę, paliwo i amunicję, jeśli zużył je szybciej, niż planował, i trzeba było wysłać zaopatrzenie dalej, niż przewidywał plan. To była robota dla Jiggsa - siedzieć z tyłu przy radiostacji i telefonie, by swoim świeżo nadanym stopniem pełnego pułkownika kłuć w oczy tych, którzy nie chcieli tego dać byle kapitanowi.

Pułkownik był pewien, że nikt poza samymi żołnierzami nie wierzył, że zajądą tak daleko i tak szybko. Miejsce, gdzie stał czołowy czołg kolumny, było zarazem najdalej wysuniętym punktem, do którego dotarła ofensywa całej 8. Armii po przełamaniu linii frontu pod Pusan.

Na ziemi coś się zaczęło dziać. Znad czołgów wzniosły się kłęby spalin, a potem kurzu, kiedy powoli zaczęły ruszać i zjeżdżać z miejsc zajmowanych wzdłuż drogi. Ciężarówka ruszyła do tyłu pomiędzy nimi, wracając do czekających na nie Chaffee, które eskortowały je po drodze z Phongthaek.

- Dasz radę tu wylądować? - zapytał pilota, młodego podporucznika, którego Lowell „porwał” wraz z samolotem.

Chłopak był prosto ze Stanów, z cywila, zmobilizowany jako przeszkolony w

aeroklubie pilot, i pułkownik nawet nie był pewien, jak ma na nazwisko.

- Chyba tak - odparł półgębkiem, zamyślony.

Jiggs wiedział, że to nie brak respektu. Dzieciak po prostu miał poważny problem do rozwiązania i nie miał głowy do tego, żeby pamiętać, że jest w wojsku i wiezie przełożonego. - Podejdę z północy. Mam nadzieję, że nie będzie tam okopanych żołtków. Znaczący, niechby sobie i byli, ale żeby nie mieli karabinu maszynowego.

Położył mały samolot na skrzydło i szerokim wirażem zszedł na wysokość kilku zaledwie metrów nad powierzchnią ziemi. Wzdłuż okien migały ciężarówki, czołgi, pusty odcinek drogi i znowu czołgi. Pilot raz jeszcze położył L-5 na skrzydle i zawrócił. Koło czołowych M46 przelecieli tak blisko, że Jiggs nie na żarty zaniepokoił się, że uderzą w antenę któregoś z nich. Po chwili jednak dotknęli kołami nawierzchni pylistej drogi i podskakiwali na niej przez jakieś dwieście metrów. Kiedy samolot w końcu się zatrzymał, pilot raz jeszcze dodał gazu, obracając go wokół osi, i podkołował z powrotem na czoło kolumny.

Dowódca Grupy Bojowej Bengal podszedł do miejsca, gdzie pułkownik Jiggs wysiadał z samolotu. Tym razem nie miał na ramieniu Garanda i nic mu nie przeszkadzało oddać honorów. Tyle że to salutowanie było zaledwie o włos od kpiny.

Wiem, co sobie myślisz, draniu, pomyślał Jiggs. Jesteś przekonany, że teraz, kiedy idzie ci tak dobrze, przyleciałem na gotowe pławić się w twojej chwale i samemu poprowadzić kolumnę do końca.

- Jak leci, Lowell?

- Jesteśmy gotowi ruszać w każdej chwili, sir.

- Lowell, odwalifeś kawał naprawdę wspaniałej roboty. Wiem o tym, a co ważniejsze, wie też 8. Armia.

Lowell nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

- Mam dla ciebie dwie rzeczy, Lowell.

Brwi Lowella uniosły się nieco, ale nadal nic nie mówił. Pułkownik Jiggs sięgnął do kieszeni i wyjął dwa złote słoneczka majora.

- Te należały do Charliego Ellisa. Mówi, że po powrocie postawisz mu kolejkę i będziecie kwita.

- To miłe z jego strony, sir. Na jego miejscu chowałbym chyba do siebie urazę.

- Jest ci wdzięczny do grobowej deski, Lowell - powiedział z kwaśnym uśmiechem Jiggs. - Ta nominacja na inspektora batalionu dla niego to był naprawdę przebłytek geniuszu, do którego zdolny był tylko taki mędrak jak ty.

Lowell uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

- Zasłużyłeś na swoje słoneczka, Lowell - powiedział pułkownik, ale ani nie uściśnął mu ręki, ani nie kontynuował swojej przemowy.

- Czy to już wszystko, sir? - zapytał major Lowell.

- Niestety, obawiam się, że nie, majorze - odparł Jiggs i znowu dostrzegł w oczach Lowell a podejrzliwe błyski. - Pozostawiono mi decyzję co do tego, czy wręczyć ci to teraz czy dopiero po połączeniu wojsk. Postanowiłem, że dostarczę ci to najszybciej, jak tylko będę mógł. - Sięgnął do kieszeni i wyjął złożony arkusz papieru.

PILNE

D-TWO SIL EUROPEJSKICH US ARMY OSOBISTA OD GENERAŁA CLAYA DO GENERAŁA WALKERA 8. ARMIA W KOREI.

BULDOG BĘDĘ CI WDZIĘCZNY ZA JAK NAJSZYBSZE PRZEKAZANIE PONIŻSZEJ WIADOMOŚCI KPT. CRAIGOWI W LOWELLOWI 73. BATALION CZC Z TWOJEJ ARMII. CYTAT Z GŁĘBOKIM ŻALEM ZAWIADAMIAM O ŚMIERCI ILSE, KTÓRA ZGINĘŁA NA MIEJSCU W WYPADKU SAMOCHODOWYM KOŁO GIESSEN O 16.30 CZASU EUROPEJSKIEGO 28 WRZEŚNIA 50. PETER-PAUL PRZEŻYŁ BEZ USZCZERBKU NA ZDROWIU I OBECNIE ZNAJDUJE SIĘ POD OPIEKĄ DZIADKA. LIST OPISUJĄCY SZCZEGÓŁY JEST W DRODZE POCZTĄ LOTNICZĄ. SHARON I JA DZIELIMY TWÓJ BÓL. PODPISANO SANFORD T. FELTER, KPT. KONIEC CYTATU. PROSZĘ CIĘ RÓWNIEŻ, BYŚ PRZEKAZAŁ TEMU OFICEROWI, ŻE WSZELKIE INSTYTUCJE I MOŻLIWOŚCI MOJEGO D-TWA SĄ DO JEGO DYSPOZYCJI W TEJ TAK TRAGICZNEJ DLA NIEGO CHWILI. POZA TYM, BULDOG, PRZYJMIJ GORĄCE GRATULACJE ODE MNIE OSOBIŚCIE I OD WSZYSTKICH OFICERÓW SIŁ W EUROPIE Z POWODU TWOJEJ WSPANIALEJ OFENSYWY I PRZEŁAMANIA FRONTU. POZDROWIENIA. PODPISANO LUCIUS KONIEC OSOBISTEJ OD GENERAŁA CLAYA DO GENERAŁA WALKERA.

DOPISEK

OSOBISTA OD GŁÓWNODOWODZĄCEGO SIŁ SOJUSZNICZYCH DO GENERAŁA WALKERA Z 8. ARMII. CYTAT PROSZĘ PRZEKAZAĆ KAPITANOWI LOWELLOWI NAJSZCZERSZE WYRAZY WSPÓŁCZUCIA ODE MNIE I PANI MACARTHUR KONIEC CYTATU.

MACARTHUR GEN ARMII

- O kurwa!

Pułkownik podał majorowi Lowellowi kubek od manierki pełen whisky.

- Przykro mi, Craig - powiedział.

- Cholera, nawet MacArthurowi przykro z tego powodu - odparł Lowell.

Łzy ciekły mu po policzkach, zmywając z nich brud i ściekając na brodę. Wziął kubek od pułkownika i wychylił jednym haustem. Zakrztusił się, a kiedy oddał naczynie pułkownikowi, ten ponownie je napełnił. Kiedy Lowell pokręcił głową na znak, że już nie chce, sam wypił.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Jiggs.
- Świetnie, kurwa, po prostu wyśmienicie!
- Chcesz parę minut odpocząć? Wojna poczeka.

Lowell nawet nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Zasalutował i z opuszczoną głową odszedł wzdłuż linii czołgów. Mijając każdy czołg, podnosił w górę palec i kręcił nim młynka, dając sygnał, by zapalił silniki. Jeden po drugim czołgi ożywały.

Pułkownik wrócił do swojego L-5 i nałożył słuchawki na uszy.

- Dobra - usłyszał załamujący się głos Lowella - ruszajmy z tym pieprzonym cyrkiem!

- Proszę o powtórzenie ostatniej wiadomości - odezwał się ktoś inny.
- Mówiłem, sierzancie Donahue, że czas ruszać do ataku. Teraz dotarło?

Na przedzie dwa Waspy zakreśliły w miejscu, strzelcy zaczęli przestrzeliwać swoje kaemy. Czołowy M46 z imieniem ILSE na wieży plunął spalinami z rur wydechowych i pojechał ich śladem. Drugi czołg ruszył z miejsca, kiedy odstęp pomiędzy nimi wzrósł do pięćdziesięciu metrów. Pułkownik Jiggs zaczekał, aż ruszą wszystkie wozy i opadnie kurz, który wzbiły, przejeżdżając. Potem zapytał pilota o zapas paliwa.

- Benzyny wystarczy jeszcze na godzinę lotu, sir.
- Zaczekamy dziesięć minut i startujemy. Godzina powinna nam wystarczyć, żeby zobaczyć, co się będzie działo.

Okazało się, że w istocie wystarczyło pół godziny. Po trzydziestu minutach pułkownik Jiggs ponownie sięgnął po mikrofon, przedstawiając radiostację na częstotliwość dowództwa armii.

- Victor, Victor - wywołał dowództwo - tu Bengal Sześć.
- Słucham cię, Bengal Sześć.
- Przygotujcie się do odbioru pilnej operacyjnej.
- Victor gotów do odbioru pilnej operacyjnej.
- Do dowódcy 8. Armii - dyktował Jiggs. - Pilna operacyjna, do rąk własnych generała Walkera. Grupa Bojowa Lowell, powtarzam Lowell, Lima Oscar Whisky Echo Lima Lima, z 73. Batalionu Czołgów Ciężkich nawiązała kontakt z wysuniętymi jednostkami X Korpusu o ósmej trzydzieści dwie w rejonie Osan. Wnioskuje

o odznaczenie jej dowódcy, majora Lowella, Krzyżem za Wybitną Służbę. Podpisano Jiggs, pułkownik, dowódca 73. Wzmocnionego Batalionu Czołgów Ciężkich. Odebraliście całość?

- Tak jest, sir.
- To wszystko, bez odbioru. - A do pilota dodał: - Teraz możemy wracać do domu.

IX

1

Farma
okręg Fairfax, Wirginia
28 września 1950

Barbara Waterford Bellmon nazywała tę porę dnia „czasem kolejki”. Zwykle właśnie wtedy, pomiędzy szesnastą trzydzieści a siedemnastą, nalewała sobie małego drinka. O tej porze problemy dzieci były już zazwyczaj rozwiązane, wszystkie jej rodzicielskie i gospodarskie powinności wykonane, więc do powrotu męża z pracy miała czas wolny. Wykąpała się, umalowała i uczesała, a do powrotu Boba i tak nie miała nic do roboty.

Nalała sobie whisky, tak jak nauczył ją ojciec: bez wody, z najwyżej jedną kostką lodu - i usadowiła się na sofie naprzeciw kominka. Wzięła gazetę, podwinęła nogi i zaczęła niespiesznie czytać.

Napaliła tego dnia w kominku, bo zaczynało się już robić chłodno. Z radością powitała ten pretekst, bo uwielbiała, gdy na kominku płonął ogień. Kiedy jej mężczyzna wróci z polowania na mamuty, zastanie ją na straży - dosłownie - domowego ogniska. Bob wracał do domu na obiad, drinka i pieśczęty, a nie po to, by wysłuchiwać litanii tego, co w domu poszło nie tak, kiedy go nie było. Barbara była dumna z tego, że radzi sobie z tak wieloma sprawami i może mu oszczędzić domowych kłopotów. Od początku wojny spędzał za biurkiem ponad sześćdziesiąt godzin tygodniowo i bardzo go jej było żal.

Właściwie to sama nie wiedziała, czy to dobrze, że go żałuje. Z jednej strony wyglądało na to, że wojna zmierzała ku końcowi, a to oznaczało, że biedny Bob przesiedzi ją całą za biurkiem i nawet na sam koniec nie zdąży tam pojechać i choć przez tydzień podowodzić batalionem. Żle dla niego i dla jego kariery, ale z drugiej

strony lepiej dla nich, bo nie zostanie ranny lub zabity. Czy coś z nią było nie tak, że wręcz żałowała, kiedy MacArthur ogłosił, że wojna ma się ku końcowi i żołnierze powinni wrócić do domu na święta? Czy to źle, że chciała, by jej mężczyzna zdążył jednak pojechać na wojnę?

Przerzucała stronicę „Washington Post”, naprędce przelatując je wzrokiem i czytając tylko to, co zapowiadało się interesująco. Przekładając kartki, przypadkiem zajrzała na stronę redakcyjną i wpadł jej w oko artykuł, który przeczytała od deski do deski.

- O mój Boże! - powiedziała i przeczytała go raz jeszcze. Pokręciła głową, uśmiechnęła się i rzuciła gazetę w kąt sofy. Wsunęła pantofle i pobiegła do frontowych drzwi. - Bobby! Muszę wyjść na chwilę do sklepu, zaraz wracam!

Żadnej odpowiedzi.

- Bobby! - wrzasnęła.

Robert F. Bellmon III tym razem raczył się odezwać.

- Przecież słyszę.

- To odpowiadaj, kiedy do ciebie mówię!

- Tak, mam - dobiegł zrezygnowany głos jej syna.

Boże, cały tatuś, pomyślała i wybiegła z domu. W biegu narzuciła sweter, który miał ją chronić przed wrześnieowym chłodem. Wskoczyła do forda i pojechała do sklepu przy drodze, pięć kilometrów od domu. Na rozchwanym drewnianym stoliku przed wejściem czekało na chętnych jeszcze siedem egzemplarzy gazety z interesującym ją tekstem. Zabrała je wszystkie, położyła dolara pod kamieniem, który je przyciskał, i wróciła do domu. Weszła kuchennymi drzwiami, rozłożyła gazety na stole i wyjęła z szuflady nożyczki.

Otwierała każdą gazetę na stronie redakcyjnej i wycinała artykuł, który przykuł jej uwagę. Zużyte gazety złożyła porządnie na kupkę, żeby Bobby mógł je razem z inną makulaturą zanieść do skupu w ramach skautowskiej zbiórki surowców wtórnych.

Miała teraz w rękę siedem egzemplarzy artykułu, które zaniósła do biblioteki. Z szuflady wyjęła rolkę taśmy klejącej i poprzyklejała wycinki po całym domu. Jeden powędrował na szybę drzwi wejściowych, drugi na drzwi kuchenne, gdyby to właśnie nimi Bob miał zamiar dziś wrócić do domu. Zakleiła wszystkie lustra w domu - w korytarzu, gdzie Bob będzie zdejmował mundur, nad barkiem, w ich łazience, nad komodą w sypialni, a nawet w łazience na dole, gdyby po wejściu do domu tam skierował pierwsze kroki.

Kiedy skończyła, wróciła do salonu i naląła sobie jeszcze jednego drinka, po

czym usiadła z powrotem na sofie i czekając na powrót Boba, raz jeszcze czytała artykuł.

RAPORT Z KOREI: Żołnierze

John E. Moran, korespondent wojenny United Press

SEUL, KOREA PŁD. (UP) 26 WRZEŚNIA - Świat dowiedział się dziś wreszcie o tym, że 8. Armia generała Walkera, tak długo ściśnięta na skrawku terytorium wokół Pusan, wyrwała się z oblężenia i w potężnej ofensywie połączyła się dziś rano z nacierającymi z Inczhon wojskami X Korpusu generała Neda Almonda.

To jednak nie Armia i nie Korpus nawiązały dziś ze sobą kontakt tuż na południe od miejscowości Osan, około 75 kilometrów na południe od Seulu, lecz żołnierze. Byłem tam wraz z 31. Pułkiem Piechoty, nacierającym na południe z kierunku Seulu, wzdłuż dwupasmowej asfaltowej szosy do Pusan, kiedy z oddali dobiegł charakterystyczny przeciągły ryk amerykańskiej armaty czołgowej kalibru 90 mm. Ten dźwięk był dla nas zaskoczeniem. Nie oczekiwaliśmy żadnych Amerykanów bliżej niż sto kilometrów na południe od tego miejsca. Dowódca pułku przypuszczał, że to być może Koreańczycy strzelają z jednej ze zdobycznych amerykańskich armat przeciwlotniczych 90 mm. Wyjaśnił, że w pierwszych dniach walk w Korei straciliśmy mnóstwo sprzętu i należy się liczyć z tym, że część tego sprzętu może zostać użyta w walce. Skoro jednak przed nami zajmowały pozycje wrogie wojska, dysponujące tak potężnym uzbrojeniem, nakazał swoim wojskom zacieśnić szyki i przygotować się do przejścia od szybkiego pościgu do obrony.

Nagle na szosie pojawiły się nie wiadomo skąd jakieś dziwne pojazdy. Wyglądały na ciężarówki załadowane workami z piaskiem. Zbliżyły się do nas mniej więcej na kilometr i zawróciły w miejscu. Nasi żołnierze dostali rozkaz, by nie otwierać ognia, i ten rozkaz wykonali. Po chwili dziwne pojazdy pojawiły się na szosie ponownie, pędząc w naszym kierunku i, co ze zdziwieniem skonstatowaliśmy, strzelając na wszystkie strony z karabinów maszynowych.

„To Amerykanie” - orzekł pułkownik. Znajdującym się na czele oddziałom rozkazał wymachiwać flagą narodową. Ogień z ciężarówek ustał, ale wtedy zza nich wysunęły się czołgi. To były Pattony, M46. Ten widok powinien podziwiać uspokajająco, gdyż tymi czołgami wojska w Korei dysponowały dopiero od niedawna i było ich tak mało, że Koreańczycy nie zdołaliby zdobyć ich i zgromadzić w jednym miejscu tak wielu. Mimo to, gdzieś z naszej prawej flanki, jakiś podniecony żołnierz wygarnął do czołgu z Bazooki. Spudłował. Za chwilę znowu usłyszeliśmy ryk czołgowej dziewięćdziesiątki. Celowniczy tego czołgu okazał się dużo lepszym strzelcem.

Jeden z naszych żołnierzy wybiegł na szosę i gorączkowo wymachiwał flagą. Z radiostacji dobiegało wiele głosów naraz i wszystkie krzyczały to samo: „Przerwać ogień! Przerwać ogień!” Nasz operator też bez końca powtarzał to do mikrofonu.

W końcu wiadomość musiała dotrzeć do wszystkich, bo nie padł już ani jeden strzał - ani z naszych linii, ani ze strony nadjeżdżającej kolumny.

Mogliśmy teraz z bliska obejrzeć owe dziwne ciężarówki. Okazało się, że to dodge o nośności trzy czwarte tony, z zamontowanymi dwoma półcalowymi karabinami maszynowymi - jednym na kolumnie pomiędzy siedzeniami z przodu, a drugim w zaimprovizowanym stanowisku na skrzyni pojazdu. Były to właściwie ruchome gniazda karabinów maszynowych, obłożone workami z piaskiem. Za dziwnymi ciężarówkami nadjechały czołgi. Nad prowadzącym powiewał proporczyk z czarnym napisem GRUPA BOJOWA LOWELL. Na boku wieży wymalowane było imię ILSE. Z wjazdu wystawał jakiś bardzo brudny młody człowiek. Jego czołg skręcił w prawo przed znajdującymi się na czele stanowiskami i zatrzymał się. Pozostał tam, dopóki przez naszą linię nie przejechała reszta jego kolumny pancernej.

To był wspaniały widok. Kilkadziesiąt M46, lekkie M24 Chauffee, cysterny z paliwem, transportery opancerzone M4, samobieżne haubice M7 Priest, ciężarówki z piechotą i amunicją. Niektórzy z przejeżdżających salutowali brudnemu młodemu człowiekowi, dzięki czemu można było odnieść wrażenie, że jest oficerem. Większość jednak nie salutowała. Przejeżdżając obok jego czołgu, żołnierze zrywali się z miejsc, pokazywali wzniesiony w górę kciuk, uśmiechali się i krzyczeli: „Udało się, Książę, udało się!” Kolejne ciężarówki, jak się po chwili mieliśmy okazję przekonać, wiozły rannych, a nawet zabitych. Tak, tak: ów Książę, kimkolwiek był, nie zostawiał wrogom nie tylko swoich rannych, zabrał ze sobą nawet zabitych. Stał teraz we wjazdzie swojego czołgu i salutował przejeżdżającym ciężarówkom.

Kiedy przejechał ostatni z pojazdów kolumny, brudny młody człowiek dzwignął się z wjazdu na wieżę, po chwili sięgnął gdzieś do wnętrza czołgu i wyciągnął stamtąd Garandę, po czym zeskoczył na ziemię. Twarz pokrywały mu szczeciniasty zarost i kurz dziewięciu dni jazdy po pylistych drogach. Zapytał o naszego pułkownika i podszedł do niego. Po drodze zauważyliśmy złote słoneczka majora na kołnierzu jego bluzy. Kiedy odnalazł pułkownika, zsalutował mu wręcz nieudbale, jakby się oganiał od muchy krążącej koło prawego oka. To były zupełnie inne honory niż te, które oddawał, kiedy przejeżdżały jego czołgi, a zwłaszcza ciężarówki z rannymi. Tamten był sprężysty, wręcz wzorowy.

- Major Lowell melduje swoje przybycie wraz z pododdziałami 73. Wzmocnionego Batalionu Czołgów Ciężkich, sir - zwrócił się do pułkownika.

Wszyscy słyszeliśmy o Grupie Bojowej Lowell i o samym Lowellu, jak to

harcował za liniami wroga, dezorganizując jego tyły, i przez dziewięć dni prześladował wycofującą się północnokoreańską armię. Słyszeliśmy opowieści przerażonych jeńców o czołgach pojawiających się nie wiadomo skąd i ziejących ogniem. Każdy jakoś wyobrażał sobie przywódcę tej „piekielnej kolumny”, ale chyba nikt się nie spodziewał, że jest tak młody. Wszyscy oczekiwali raczej zaprawionego w bojach, ogorzałego weterana Kasserine i Normandii, a nie takiego szczawika.

Tuż przed jego pojawieniem się nasz pułkownik otrzymał wiadomość, że od pocisku z ostrzelanego M46 zginęło trzech naszych żołnierzy, celowniczy Bazooki, który złamał jego rozkaz, i dwóch żołnierzy, którzy stali koło niego. Żaden oficer nie lubi tracić ludzi, zwłaszcza w tak głupi sposób, więc pułkownik także był wzburzony.

- Gdyby pan był, majorze, tam, gdzie pan powinien być - powiedział - to do czegoś takiego by nie doszło!

Na co młody major „Książę” Lowell odpowiedział spokojnie:

- To co, mam się wycofać, sir?

Chwilę później nasza radiostacja odebrała depeszę z rozkazem dla majora Lowella, by zostawił swoją Grupę Bojową w Osan, a sam zameldował się w Tokio, żeby generał armii Douglas MacArthur mógł mu osobiście przypiąć nadany za jego wyczyny Krzyż za Wybitną Służbę.

Buick Boba zajechał przed dom. Barbara udawała zatopioną w lekturze gazety. Usłyszała jego kroki na schodach ganku, ale drzwi dość długo się nie otwierały. Uśmiechnęła się. Skorzystał już z pierwszej szansy na przeczytanie artykułu o Craigu.

Potem usłyszała, że wszedł do domu. Nic nie mówił, więc i ona postanowiła się nie narzucać. Niech się pali, niech się wali, ona się do niego pierwsza nie odezwie. Usłyszała zza gazety, że podchodzi do barku, gdzie wisiał drugi egzemplarz artykułu. Nie mógł go nie zauważyć. Nalał sobie szklaneczkę i nadal milczał.

- Och, na miłość boską, Bob - nie wytrzymała wreszcie - naucz się wreszcie przegrywać! Myliłeś się co do Craiga. Czy to tak trudno przyznać?

- Lowell wcale nie pojechał do Tokio po order, tylko po urlop na pogrzeb.

- Nie dostanie tego krzyża? Zaraz, jak to na pogrzeb? Czyj pogrzeb?

- Krzyż też dostał, ale nie sądzę, aby w obecnym stanie ducha robiło mu to jakąś różnicę.

- O czym ty mówisz? Jaki pogrzeb? Co za stan ducha?

- Dwudziestego drugiego września, kiedy Ilse jechała ze sklepu w Giessen do domu, wjechał na nią pijany major.

- O Boże!
- Zginęła na miejscu.
- A P.P.? - zapytała cicho, zasłaniając dłońmi usta.
- Siła uderzenia wyrzuciła go z samochodu. Ma tylko parę siniaków, ale poza tym nic mu się nie stało.
- Dobry Boże! Co możemy zrobić?
- Chyba niewiele. Rozmawiałem przez telefon z hrabią, a Felter wysłał kwiaty w naszym imieniu.
- A co możemy zrobić dla Craiga?
- Craig jest już pewnie w Niemczech.

2

Fort Polk, Luizjana
18 kwietnia 1951

Generał dywizji Ezakiah Black był dobrym żołnierzem. Otrzymując rozkaz, mówił „tak jest” i starał się go wykonać najlepiej, jak umiał. Skoro polecono mu objąć dowództwo nad Centrum Szkolenia Uzupełnień Armii Stanów Zjednoczonych w Fort Polk, z pełnym zaangażowaniem i całym zapałem, na jaki go było stać, przystąpił do wykonywania niezbyt wdzięcznego zadania przekształcania nieprzerwanego strumienia poborowych, ochotników i powołanych rezerwistów w dobrych żołnierzy.

Fort Polk, obóz treningowy, wzniesiony pośpiesznie w czasach drugiej wojny światowej, pozostawał w rezerwie (czyli na dobrą sprawę niszczał nieużywany) od jej zakończenia, kiedy to służył jako ośrodek demobilizacyjny. Gwardia Narodowa Luizjany była w stanie wykorzystać tylko skrawki olbrzymiego terenu fortu na swoje letnie obozy stażowe, a całością miał się zajmować niewielki oddziałek, który stacjonował w samym forcie. Kiedy przybył tam generał Black, całość wyglądała jak miasteczko duchów z westernu. Plac defilad zarosła trawa, drewniane baraki oblażyły z farby, asfaltowe drogi się rozpadały.

Były problemy z ponownym uruchomieniem kanalizacji, brakowało rozkradzonych kabli elektrycznych i telefonicznych, drewno baraków koszarowych i administracyjnych murszało, zbiorniki paliwowe ciekły. Wszystko, co mógł zniszczyć długi czas nieużywania i pogoda, nadawało się do wyrzucenia. Korpus Wojsk Inżynieryjnych zawarł idące w miliony dolarów kontrakty na renowację lub wymianę czego się tylko dało, byle tylko obóz osiągnął minimum warunków niezbędnych do pełnienia swoich funkcji, zanim przyjadą pierwsi rekruci.

Zorganizowanie tych wszystkich działań i dopilnowanie ich realizacji było przez miesiąc wspianiałym wyzwaniem dla umiejętności przywódczych i menedżerskich generała, ale już po miesiącu przekształciło się w nieznośną nudę.

Cykl szkolenia rekruckiego trwał dziewięć tygodni. Rekrutów przywożono, przez pierwszy tydzień odziewano, obuwano, szczepiono, egzaminowano, włączano im do głów podstawy, a przede wszystkim ganiano niemiłosiernie po okolicy, by ich rozruszać, zanim zaczną im się wyrabiać tężyznę fizyczną, niezbędną do dalszego szkolenia. Potem zaczynali szkolenie podstawowe trwające osiem tygodni.

W każdym cyklu brało udział po 600 ludzi naraz. Jeśli dostawy „surowca” były rytmiczne, oznaczało to, że w każdym tygodniu cyklu na terenie obozu przebywało około 4800 szeregowych w różnych fazach szkolenia podstawowego. Około połowy z nich pozostawało w Fort Polk na szkolenie piechoty drugiego stopnia. Reszta rozjeżdżała się na szkolenie drugiego stopnia, do szkół poszczególnych rodzajów broni - artylerii do Fort Sili, broni pancernej do Fort Knox, łączności do Fort Monmouth i tak dalej. Kiedy pierwsza grupa doszła do trzeciego tygodnia szkolenia pierwszego stopnia, Black otrzymał wiadomość, że tygodniowe dostawy ulegną podwojeniu, co znowu dało mu okazję wyżyć się w załatwianiu wszystkiego, czego było trzeba, żeby podwoić liczbę zdatnych do zamieszkania baraków koszarowych, poprzepychać w nich pozatykane ubikacje, załatać dachy, wymienić powybijane szyby.

A potem znowu cisza. Wszystko się uspokoiło i właściwie nie było już zbyt wiele roboty dla dwugwiazdkowego generała, poza śledzeniem sytuacji w Korei i pilnowaniem spraw niemieckich, jako że było oczywiste, że to właśnie tam, jeśli w ogóle, uderzą Rosjanie.

Generał Black zaczął dzielić swój dzień pracy na dwie części. Rano zajmował się sprawami bieżącymi, a po południu zabierał się do planów na przyszłość. Jeśli Ruscy się ruszą, przyjdzie mu pewnie sformować i wyszkolić tutaj dywizję pancerną. Planował wszystko, czego będzie potrzebował na wypadek takiej właśnie konieczności - oczywiście absolutnie nieoficjalnie i na własną rękę. Przeanalizował zasoby obozu i wybrał miejsce, w którym mógłby zakwaterować dywizję pancerną, zorganizować strzelnicę czołgową, skład materiałów pędnych i smarów, piwiarnie dla żołnierzy i doły do zakopywania śmieci.

Nie poprzestał na tym. Zaczął wyszukiwać wyposażenie dla swojej przyszłej dywizji pancernej. Oficjalnie i nieoficjalnie odwiedzał wszystkie składnice kwartmistrzowskie i Służby Uzbrojenia. Zwiedził też składnice przy ośrodkach szkoleniowych w fortach Sili, Knox i Benning, szperając po kątach w poszukiwaniu

sprzętu, który mógłby się przydać, a który tam zachomikowano.

Wraz z posadą dostał jako wiano lotnika Armii. Nie wiedział o kapitanie Rudolphie G. MacMillanie nic więcej ponad to, że przydzielono mu go jako adiutanta, że otrzymał Medal Honorowy Kongresu za udział w drugiej wojnie światowej, a w pierwszych dniach wojny koreańskiej już trzecią Srebrną Gwiazdę, po czym sam MacArthur osobiście dopiłnował, żeby nie pozwolono mu wrócić na front. Nie wiedział nic więcej, ale to mu wystarczyło. MacMillan był następnym żołnierzem, którego nie chcieli na tej wojnie, podobnie jak jego, i potrzebował nowego domu, który on mógł mu zapewnić.

Dali mu pilota, ale nie przydzielili samolotu. Jego szef zaopatrzenia poinformował go, że żadnego samolotu nie da się na razie wydębić. Jak tylko się jakiś znajdzie, to niezwłocznie przyślą mu go do Fort Polk, ale kiedy to będzie, nikt nie wiedział. Kiedy MacMillan zaoferował, że sam się może rozejrzy i czegoś poszuka, nie dawał mu zbyt dużych szans. Na odczepnego powiedział, że jeśli jakiś znajdzie, to on postara się załatwić wszystkie formalności.

MacMillan zniknął gdzieś z dnia na dzień. Kiedy generał zapytał szefa zaopatrzenia, czy może gdzieś go posłać, ten uniósł się szczerym oburzeniem:

- Jak to, to pan nic nie wie o tym, że kapitan MacMillan pojechał z pańskiego polecenia do Strefy Kanału Panamskiego, sir?

- Nie, nic mi o tym nie wiadomo - odparł generał i ugryzł się w język, zanim zadał cisnące się na myśl pytania: „Panama? A cóż on, do cholery, ma do roboty w Panamie?”

- Kapitan MacMillan poinformował mnie, że udaje się do Panamy na pana ustny rozkaz, sir!

- Zgadza się. Po prostu nie wiedziałem, że już wyjechał - powiedział generał i zanim jeszcze skończył, zaczął się zastanawiać, co go pchnęło do tego kłamstwa i dlaczego kryje MacMillana. Czy kapitan zasługiwał na specjalne względy z powodu swojego Medalu? A może dlatego, że nie znosił kwatermistrza, który był takim strasznym dupkiem?

MacMillan wrócił z Panamy z trzema helikopterami Hiller-23/CE Raven. Black wiedział o śmigłowcach tak niewiele, że dopiero potem się dowiedział, że było to wbrew wszelkim możliwym przepisom. W tak długą drogę powinno się je wysłać statkiem, rozłożone na części w skrzyniach. MacMillan wypożyczył dwóch lotników z dowództwa Strefy Kanału i przyleciał nimi, w kilku etapach po 250 do 300 kilometrów, przez Nikaragwę, Kostarykę, Honduras i Meksyk.

Po raz pierwszy od wielu tygodni w Fort Polk coś się działo i ta odmiana bardzo generałowi przypadła do gustu. Trzy helikoptery, o których MacMillan dowiedział się jakimś tylko sobie znanym sposobem, stały beczynnie w Panamie, gdyż ich pilotów i załogi, wyszkolone w użytkowaniu zamontowanego na nich specjalnego sprzętu kartograficznego, wysłano do Korei. Pojechał więc do Panamy i zdołał jakoś przekonać tamtejsze dowództwo, żeby mu dało te maszyny, ponieważ w Panamie niczemu nie służą, tylko stoją i niszczeją, a są niezbędne jako powietrzne sanitarki na rozległych terenach Fort Polk. MacMillan znalazł nawet dwóch mechaników helikopterowych, których zdołał przenieść do Stanów i przydzielić wraz z helikopterami do szpitala bazy, skąd nie tak łatwo było ich wyrwać, gdyby komuś przyszła na to ochota. Mając już śmigłowce i mechaników, wystąpił oficjalnie do Służby Zdrowia o przydzielenie dwóch pilotów sanitarnych i nawet rzeczywiście przydzielił im jeden ze „swoich” helikopterów, który stanął na dziedzińcu szpitala, zdobny czerwonymi krzyżami i uchwytami do noszy. Pozostałe dwa zatrzymał pod pretekstem, że skoro występują braki w zaopatrzeniu w części zamiennych, w każdej chwili może zająć potrzeba wymontowania z nich jakichś podzespołów do utrzymania sanitarki w stanie zdatności do lotu. Jeden z tych dwóch rzeczywiście służył jako źródło części zamiennych, ale drugi zabrał MacMillan i generał Black mógł od tej pory dostać się w każde miejsce rozległego poligonu w ciągu minuty i bez potrzeby tłuczenia się godzinami po drogach ledwie przejezdnych dla jego sztabowej limuzyny.

Kolejnym znaleziskiem MacMillana, tym razem na Alasce, była pięcioosobowa Cessna LC-126, samolot przystosowany do operowania w kanadyjskiej i alaskanckiej tundrze. Za pierwsze pieniądze, jakie US Army w ogóle dostała na wojnę w Korei, zakupiono nowe samoloty tego rodzaju - Beavery kanadyjskiej filii deHavillanda. Maszyny te trafiły do testów użytkowych na Alaskę i zrobiły furorę wśród pilotów, obsługi i pasażerów. Jednostka prowadząca testy była przekonana, że oddając starego LC-126 do Fort Polk, znacznie zwiększa swoje szanse na zatrzymanie Beavera po zakończeniu prób, więc nie miała żadnych oporów, by się pozbyć starego pudła.

To był dla generała i jego sekretnych planów mobilizacyjnych bardzo wartościowy nabytek. Nikt oczywiście nie śmiał robić dwugwiazdkowemu generałowi wymówek z powodu jego częstych wyjazdów i wizyt w innych garnizonach oraz składnicach, ale Black robił to cały czas z nieczystym sumieniem. Miał prawo wystawić sobie rozkaz wyjazdu, dokąd tylko miał ochotę, gdyż zakładano, że wie,

co robi, i potrafi odróżnić sprawy służbowe od pozasłużbowych i nie będzie tego przywileju nadużywał. Cel jego podróży, choć nieoficjalny, był jak najbardziej służbowy, ale tak czy inaczej, każda taka podróż pozostawiała ślad w papierach i w sztabie 4. Armii w San Antonio rosła sarta kopii rozkazów wyjazdu do Knox, Benning, składnic w Atlancie, Anniston czy Lexington. Nadejdzie kiedyś dzień, kiedy ktoś otworzy teczkę, znajdzie je i kiedy się dowie, o co chodzi, powie mu, że jeśli przyjdzie czas na mobilizację dywizji pancerniej, to zostanie o tym powiadomiony, a do tego czasu może by skończył z tą dziecinadą i zajął się zadaniami, które mu powierzono.

LC-126, którym MacMillan przyleciał z Alaski i o którym nikt zdawał się nie wiedzieć (zarówno oficjalnie, jak i nieoficjalnie), był w tej sytuacji na wagę złota. Generał mógł teraz do woli podróżować po składnicach i garnizonach całego kraju, nie pozostawiając żadnego śladu na papierze.

Generał zaczął spędzać w towarzystwie MacMillana coraz więcej czasu, latając z nim po garnizonie Ravenem i podróżując po kraju Cessną. Dowiedział się też znacznie więcej o samym MacMillanie. Black, jeszcze jako pułkownik, a potem generał brygady, dowodził w czasie drugiej wojny światowej w Europie Grupą Bojową B 40. Dywizji Pancerniej świętej pamięci generała Petersona K. „Porcky'ego” Waterforda. Zięć Waterforda, Bob Bellmon, trafił do niewoli w Afryce, a MacMillan, spadochroniarz z operacji „Market-Garden”, siedział razem z nim w stalagu. Po wojnie, póki żył Porcky (a zmarł na zawał serca podczas meczu polo - każdy, kto go znał, wiedział, że o takiej właśnie śmierci marzył), MacMillan był jego adiutantem.

W opinii Blacka MacMillan nie mógł się raczej uskarżać na nadmiar intelektu, ale potrafił dochować tajemnicy, a jego zdolności do „organizowania” wszystkiego były niezaprzeczalne. W ciągu kilku miesięcy, odkąd MacMillan przyjechał z Waszyngtonu, bardzo się do siebie zbliżyli. Nie stali się może przyjaciółmi, ale w każdym razie łączyła ich znacznie bliższa więź, niż to zwykle bywało pomiędzy generałem a jego adiutantem.

Black uznał przeprowadzony przez MacArthura desant X Korpusu generała Almonda pod Inczhon za jedną z najlepszych operacji wojskowych, o jakich słyszał. Bardzo podobał mu się też pomysł Walkera z wysłaniem lotnej kolumny w sile batalionu M46 na tyły przeciwnika, by dezorganizując je, przygotowała miejsce do natarcia pełnymi siłami. To był klasyczny kawaleryjski zagon mający na celu przerwanie linii komunikacyjnych i zaopatrzeniowych nieprzyjaciela, wytrącenie go z równowagi przed uderzeniem sił głównych i nawiązanie styczności

z atakującymi od północy siłami Almonda. Kiedy Almond i jego korpus doszli nad Jalu i do wojny włączyli się Chińczycy. Black i MacMillan byli w składnicy łączności w Lexington.

Almond zaczął się wycofywać i kiedy jego korpus odplynął z plaż wokół Hamhung w dzień Bożego Narodzenia 1950 roku, zabierając ze sobą cały sprzęt, rannych i nawet zabitych, a Chińczycy uderzyli na 8. Armię Walkera, generał i jego adiutant musieli spędzić noc w hotelu Holiday Inn w Prattville w stanie Alabama. Pogoda uniemożliwiła im dalszy lot do Polk po wizycie w składnicy Służby Uzbrojenia w Anniston.

Potem, kiedy Truman zdymisjonował MacArthura, Blackiem targwały sprzeczne uczucia. MacArthur oczywiście miał rację, zwycięstwa nic nie zastąpi. Ale Truman też miał rację. Żołnierze są od tego, żeby wykonywali rozkazy, a nie pchali palce w tryby polityki.

W pewien niedzielny marcowy poranek 1951 roku Black dowiedział się, że MacMillan wcale nie używa trzeciego śmigłowca jako źródła rzekomo nieosiągalnych części zamiennych. Właściwie nie powinno go to zdziwić. Jeżeli człowiek potrafi wyrwać US Army trzy kompletne helikoptery, to z dostawami części do nich też nie powinien mieć najmniejszych kłopotów.

W sobotę, po obejrzeniu kolejnej parady kończącej turnus szkolenia rekrutów, popijali piwo na tylnym tarasie domu generała. Black zawsze źle znosił tego typu ceremonie. Nie mógł się wyzwolić od myśli, że za miesiąc ci pełni zapału, przy stojni, opaleni chłopcy, którzy tak się starają zaimponować mu umiejętnością równego stawiania kroków, będą martwi, ranni lub okaleczeni na całe życie. MacMillan powiedział wtedy, że jeśli generał nie ma nic lepszego do roboty jutro rano, powiedzmy koło dziewiątej, to on chciałby mu coś pokazać. Generał nie miał na niedzielny poranek żadnych planów.

Następnego dnia, równo o dziewiątej, na lądowisku za domem generała MacMillan wylądował owym trzecim H-23/CE, który zniknął wszystkim z oczu, odkąd kapitan orzekł, że pójdzie na części. Już na pierwszy rzut oka uwagę generała przyciągnęły zmiany, jakie zaszły w maszynie. Coś wisiało na wspornikach płóz po obu stronach kabiny. Kiedy śmigłowiec wylądował i opadł kurz, generał rozpoznał to coś - nad lewą płożą zamontowano chłodzony powietrzem karabin maszynowy Browninga kalibru.30, a nad prawą cztery związane drutem Bazooki.

- Mac, a cóż to jest, do ciężkiej cholery? - zapytał generał, ale chyba retorycznie,

bo nie czekając na odpowiedź, wsiadł do kabiny na swoje miejsce koło pilota.

- Kawaleria znów rusza w pole, sir- odparł Macmillan. - Trzeci szwadron 7. Pułku Kawalerii otrzymał wiadomość, że kolumna pancerna Siedzącego Byka zapuściła się do wąwozu Little Big Horn. Generał George Armstrong Custer i jego wierny wachmistrz John Wayne, ruszają razem w pole.

- Tobie już całkiem odbiło, Macmillan - roześmiał się generał.

Macmillan wznosił się swoim przerobionym Ravenem, ale niezbyt wysoko, na jakieś piętnaście metrów i, śmigając nad wierzchołkami lasu porastającego Polk, skierował się ku tej części poligonu, na której rekruci uczyli się określania odległości w terenie. Mieściła się ona pomiędzy strzelnicami, ale sama nie była strzelnicą. W prostokącie o długości około kilometra i szerokości czterystu metrów porzucano wraki jeepów i ciężarówek, a nawet dwóch starych Lee/Grantów M3, jeszcze z początkowego okresu drugiej wojny światowej, zastąpionych potem przez Shermany. Wykopano tam także okopy i transeje, postawiono bunkry. Żołnierze mieli za zadanie wykrywać te obiekty i określać ich położenie oraz odległość od nich z różnych punktów, w których ich umieszczano.

- Geronimo, Geronimo - rozległ się głos MacMillana w słuchawkach - tu Geronimo Jeden. Kilometr od Little Big Horn wykryłem siły nieprzyjaciela. Trzy jeepy, trzy ciężarówki i dwa czołgi M3. Przystępuję do ataku.

- Mac, nie wiedziałem, że z ciebie aż taki dzieciak, wiesz?

- Niech pan patrzy, co się teraz będzie działo, sir.

Zszedł nisko nad pole i przeleciał nad nim z dużą prędkością, po czym przeszedł do zawisu dwieście metrów od czołgów. Nagle spod stóp generała rozległ się potężny świst, huk i rozbłysła kula pomarańczowego ognia. Z jednej z czterech wyrzutni, przymocowanych do płozy śmigłowca wyleciał pocisk raketowy kalibru 89 mm.

- Pudło, Mac - generał spokojnie skomentował rezultaty ataku.

- Nie miałem kiedy potrenować - usprawiedliwił się MacMillan. - Niezłe się nagimnastykowałem, zanim udało mi się zwędzić Służbie Uzbrojenia te cztery rakiety.

Słowem tym towarzyszył drugi świst i błysk ognia. Wirnik natychmiast rozwiązał obłok dymu, który towarzyszył startowi drugiego pocisku.

Tym razem jednak rakietę trafiła w sam środek kadłuba starego czołgu. Masa stali lekko uniosła się w powietrze, a po chwili opadła na miejsce. W tej samej sekundzie Macmillan gwałtownie zmienił pozycję maszyny, celując do drugiego

czołgu. Generał spojrzął na pierwszy i zauważył przestrzelinę ziejącą tuż za stanowiskiem mechanika-kierowcy. Drugi czołg został trafiony obiema rakietami. Po zniszczeniu czołgu w kolejnym gwałtownym zwrocie znalazł się nad rdzewiejącym wrakiem zużytej ciężarówki GMC.

Tym razem odezwał się umocowany po drugiej stronie maszyny karabin maszynowy. Generał był zdumiony, jak cicho strzela karabin w porównaniu z łoskotem silnika i wirnika helikoptera, ale wyraźnie czuł vibracje, w jakie wpadał kadłub po każdej serii. Przez chwilę był zaniepokojony, ale potem z fascynacją śledził łuki pocisków smugowych (zwykle ładowano je co piąty w taśmie, ale tu nieprzerwany strumień pocisków smugowych podpowiadał generałowi, że zataśmowano same naboje smugowe), którymi MacMillan omiatał ciężarówki i teren wokół nich.

Kiedy wreszcie wystrzelał wszystko, co miał, pilot szerokim zakretem oderwał się od swoich celów, zawrócił i podleciał do najbliższego kadłuba M3 i pytająco spojrzął na generała.

- Nie należę do najbystrzejszych ludzi na świecie, sir - stwierdził, kiedy cisza zaczęła się przeciągać. - Dlaczego dopiero taki tępoł jak ja musiał na to wpaść?

Generał Black nie odpowiedział. Wysiadł z helikoptera i podszedł do czołgu, oglądając otwór wybity w burcie przez pocisk kumulacyjny. Odruchowo wszedł na pancierz, potem do wieży i opuścił się do wnętrza. Walczył krótko w Afryce Północnej na M3 jako oficer łącznikowy, szkoląc Brytyjczyków w ich używaniu. Starszy model, jak ten właśnie, w którym teraz siedział, Brytyjczycy nazywali Lee. Jego pancierz był nitowany i kiedy trafił w niego pocisk, nity urywały się, dodatkowo rażąc załogę niczym odłamki. Jedno trafienie powodowało, że czołg się rozpadał i nawet nie nadawał się do remontu. Później pojawił się Grant, z brytyjską armatą 57 mm w wieży i ze spawanym pancierzem. Wciąż był do kitu, bo jego główne uzbrojenie, armata 75 mm, umieszczona była w kadłubie i żeby strzelić do tyłu, trzeba było obracać cały czołg.

Potem na ich miejsce weszły M4, którym Brytyjczycy nadali imię kolejnego amerykańskiego generała z wojny secesyjnej, Shermana. Takimi właśnie czołgami dowodził w Europie. A teraz nawet ich już nie było na uzbrojeniu. Ten zagon, który Walker wysłał z Pusan, pojechał na M46, czołgach, które wzorowane były na wspaniałych niemieckich czołgach PzkwfV Panther i PzkwfVI König Tiger. Zresztą Buldoga też już nie było. Zginął w wypadku samochodowym w Boże Narodzenie 1950 roku, akurat w chwili, kiedy ruszała na jego wojska chińska ofensywa. A on wciąż siedział tu, w samym środku głuchej prowincji, ucząc rekrutów maszerować

i marząc o dywizji pancernej, której nigdy nie pozwolą mu sformować.

W Lee śmierdziało jeszcze gorzej, niż się spodziewał. Wszędzie widać było ślady świadczące o tym, że gnieździły się tu jakieś zwierzęta. Pewnie wiewiórki, bo co by na takim pustkowiu robiły szczury.

Przepchnął się przez rumowisko na siedzenie kierowcy i obejrzał przestrzelinę od wewnątrz. No tak, gdyby to był naprawdę czołg w polu, to byłoby już po nim. Ładunek kumulacyjny wypalił w pancerzu dziurę tak równą, jakby ją wywiercono. Dźwignął się w górę i z wysiłkiem otworzył zardzewiały właz kierowcy z przodu, obok działa. Z oddali nadjeżdżał w obłoku kurzu jakiś jeep, gnając ku nim na złamanie karku. Oho, nadzorca strzelnicy jedzie wyjaśnić, co tu się dzieje. Generał opadł z powrotem na siedzenie. Lepiej, żeby go tu nikt nie widział. Niech tamten myśli, że MacMillan był sam. Kiedy Mac się go pozbędzie, będą mogli wrócić do domu, a wtedy zajmie się myślami o następstwach tego pokazu. Helikoptery US Army uzbrojone w rakiety jako współczesna, latająca kawaleria...

MacMillan wcale nie był pomysłodawcą takiej kawalerii powietrznej. Tyle tylko, że to cholerne porozumienie z Key West nie pozwalało US Army na posiadanie uzbrojonych statków powietrznych.

Porozumienie zawarto w 1948 roku, kiedy powstawał Departament Obrony, który miał zastąpić odrębne dotąd Departamenty Wojny i Marynarki. Reorganizacja stała się koniecznością, kiedy z Armii wyodrębniły się dotychczas stanowiące jej integralną część Siły Powietrzne, które stały się oddzielnym, równorzędnym rodzajem sił zbrojnych. Porozumienie rozdzielało funkcje rodzajów broni - wojsk lądowych, marynarki (w jej ramach ledwie obronionej przed likwidatorskimi zapędami piechoty morskiej) i lotnictwa. Marynarka zdołała wreszcie w tym porozumieniu wyrwać Armii jej siły morsko-desantowe, o które walczyła jeszcze od lat trzydziestych, a Siłom Powietrznym przekazano wszystko, co lata. Z początku wydawało się to całkiem logicznym i dobrym pomysłem. Siły Powietrzne gwarantowały wsparcie jednostkom naziemnym na każde życzenie, więc Armia nie potrzebowała własnego lotnictwa uderzeniowego. To także wydawało się autorom wyjściem logicznym, ale przeoczono ważną implikację takiego ujęcia sprawy: odtąd to Siły Powietrzne decydowały o tym, jakie i kiedy wsparcie powietrzne potrzebne jest wojskom lądowym. A Siły Powietrzne zafascynowane były w tym czasie możliwościami międzykontynentalnego bombowca i strategicznej broni jądrowej, w nosie mając potrzeby żołnierza walczącego z karabinem w garści.

Skoro posiadanie uzbrojonych samolotów i wszelkich innych statków powietrznych (ze sterowcami do zwalczania okrętów podwodnych włącznie, które wyrwano tradycyjnie nimi rządzącej Marynarce) zastrzeżono wyłącznie dla Sił Powietrznych, to Armii nie wolno było uzbrajać śmigłowców i kropka. Poza tym w sytuacji, w której przeciwnika można było w każdej chwili zamienić bombami atomowymi w kupkę popiołu i cienie na ścianach, prace nad wszelkimi środkami wsparcia lotniczego piechoty, nie wyłączając uzbrojonych helikopterów, były po prostu marnotrawstwem.

Generał Black był zdania, że całe porozumienie z Key West było jednym wielkim idiotyzmem.

Być może więc MacMillan był pierwszym, który miał na tyle śmiałości, żeby w praktyce wypróbować swoją koncepcję latających czołgów, ale na pewno nie był pierwszym, który na to wpadł. Jego poprzednicy mieli jednak na tyle oleju w głowie, żeby słyszeć o porozumieniu z Key West i wiedzieć, co ono oznacza w praktyce.

Z zewnątrz doszły go odgłosy gwałtownej wymiany zdań. Co się tam dzieje?

Raz jeszcze wyrzwał przez wąż kierowcy. Obok śmigłowca stał wysoki, chudy podpułkownik, którego nazwiska generał nie pamiętał, ale który, z tego, co wiedział, odpowiadał za strzelnicę. Stał teraz przed MacMillanem i wrzeszczał na niego, że nieuprawnione używanie strzelnicy, a zwłaszcza strzelanie na terenie, który nie jest do tego przeznaczony, i to z broni ciężkiej, do której zaliczają się granatniki przeciwpancerne, jest absolutnie niedopuszczalne oraz sprzeczne ze wszystkimi możliwymi regulaminami.

- Pułkowniku - zawołał Black, wyłaniając się z wążu na wieży.

Chudy podpułkownik odwrócił się na dźwięk dobiegający z boku i szykował się do objęcia swoją tyradą kolejnego współsprawcy tej ohydnej zbrodni, kiedy nagle rozpoznał głos i jego właściciela. Na chwilę całkiem zbaraniał. Ostatnią osobą, którą spodziewał się zastać w niedzielny poranek, umorusaną jak nieboskie stworzenie i wystawiającą gołą głowę, bez czapki - ta pozostała wraz ze słuchawkami na siedzeniu helikoptera - z wraku czołgu na strzelnicy, był dowódca bazy. Na wszelki wypadek zasalutował.

- Pomyślałem sobie, że chciałby pan zobaczyć, co we wnętrzu tego czołgu zdziałała rakietą kapitana MacMillana – powiedział konwersacyjnym tonem generał, wychodząc z wążu. Podał rękę pułkownikowi, wciągając go na górę, po czym zeskoczył z pancerza, ustępując mu miejsca. - Już dość zobaczyłem, MacMillan. Lećmy do domu - powiedział.

3

Fort Polk, Luizjana

1 maja 1951

OD, DEPOBR WASZ

DO: D-TWO PORT POLK LA (DLA, GEN MJR EZ BLACK)

DO WIAD, D-TWO 4. AKMH PORT SAM HOUSTON SAN ANTONIO TX

D-TWO 8. ARMII KOREA

1. USTALENIA ROZMOWY TELEFONICZNEJ POMIĘDZY ZCĄ SZESZTA DS PERS ARMII USA A GEN MJR EZ BLACKIEM DCA RTC ARMII USA PORT POLK MAJĄCEJ MIEJSCE O 2030 30 KWIE 51 ZOSTAŁY POTWIERDZONE I W FORMIE NOTATKI SŁUŻBOWEJ WPROWADZONE DO AKT

2. O 0012 MAJA 51 GEN MJR EZ BLACK ZOSTAJE ZWOLNIONY ZE STANOWISKA DCY CSU ARMII USA PORT POLK I NAJBLIŻSZYM DOSTĘPNYM TRANSPORTEM LOTNICZYM UDA SIĘ DO D-TWA SIŁ ARMII USA NA DALWSCH TOKIO JAPONIA W CELU WYPRAWIENIA W DALSZĄ DROGĘ DO 8. ARMH JAKO DCA XII KORPUSU ZEZWALA SIĘ NA ZABRANIE CZTERECH (4) WSPÓŁPRACOWNIKÓW

Z ROZKAZU RALPH G. LEMES
GEN BRYG

4

Kwandae-ri, Korea Północna

8 maja 1951

Starszy sierżant Tourtillott, potężnie zbudowany, siwy Murzyn po czterdziestce, stał w drzwiach sali konferencyjnej dowództwa XIX Korpusu z Thompsonem opartym na biodrze i czekał na pojawienie się generała. Sierżant był najpierw jego ordynansem, a potem ochroniarzem przez te wszystkie lata, które upłynęły od czasów wspólnych walk w Afryce.

Po chwili pojawił się generał - w mundurze polowym, butach czołgowych i z pistoletem w kaburze podramiennej.

- Panowie, dowódca - ogłosił Tourtillott. - Bacność!

Pięćdziesięciu oficerów wstało z krzesel.

Generał Black, świecąc trzema nowiuteńkimi gwiazdkami, Wszedł do pokoju, a tuż za nim podązał sierżant Carmine Scott, jego stenograf.

- Spoczniej, panowie.

W środkowym rzędzie krzesel stały trzy fotele. Na jednym siedział zastępca dowódcy korpusu, generał major, na drugim dowódca artylerii korpusu, generał brygadier. Środkowy, pusty, najwyraźniej przeznaczony był dla dowódcy korpusu. Black podszedł do foteli i uśmiechnął się do dowódcy artylerii.

- Panie generale, czy mógłby pan ustąpić miejsca sierżantowi Scottowi? Scott stenografuje przebieg narady i musi siedzieć koło mnie.

- Niech ktoś przyniesie krzesło dla sierżanta! - zawołał generał, odsuwając swój fotel, by zrobić miejsce dla sierżanta Scotta.

- Panie generale, jeśli nasza współpraca ma się układać pomyślnie, wskazane by było, gdyby pan nieco uważniej słuchał, co do pana mówię. Nie powiedziałem „proszę zrobić miejsce Scottowi”, tylko „proszę ustąpić miejsca”.

Czerwony z gniewu i upokorzenia dowódca artylerii podniósł się z miejsca i machnął ręką do siedzącego obok pułkownika artylerii, by ten z kolei zwołał swoje miejsce dla niego. Sierżant Scott usadowił się koło generała i wyjął notatnik oraz trzy ołówki. Dwa z nich trzymał w pogotowiu tą samą ręką, w której spoczywał notatnik, a trzeci zawisł wyczekująco nad wolną stroną.

- Zaczynamy - powiedział Black.

Zastępca dowódcy korpusu wszedł na podium.

- Witam pana generała w imieniu oficerów i żołnierzy XIX Korpusu.

- Dziękuję - odparł łaskawie generał.

Odprawa, która miała za zadanie zaznajomić nowego dowódcę korpusu ze wszystkim, co się działo w podległych mu jednostkach, trwała niemal półtorej godziny. Generał Black słuchał wystąpień poszczególnych referujących, od czasu do czasu pochylając się do sierżanta Scotta i coś mu szepcząc na ucho. Sierżant, niemal bez przerwy potakująco kiwając głową, wciąż zapisywał coś w notatniku.

Występowali kolejno: zastępca szefa sztabu do spraw personalnych, wywiadu, planowania i szkolenia, zwanego operacyjnym, oraz zaopatrzenia. Po nich występowali szefowie służb grupy: służby zdrowia, profos generalny, szef służby uzbrojenia, szef łączności, służby transportowej, lotnictwa Armii, szef służby kontaktów ze społeczeństwem i zarządu wojskowego, płatnik, szef służby chemicznej i wreszcie oficer odpowiedzialny za rozrywkę żołnierzy.

Kiedy wreszcie było po wszystkim, generał Black wstał ze swojego miejsca, ale nie wszedł na mównicę, tylko odwrócił się do oficerów zgromadzonych na sali, stojąc obok swojego fotela.

- Panowie, jestem tylko prostym żołnierzem. Kiedy byłem kadetem w Norwich,

uczono mnie, i wówczas w to uwierzyłem, a cała moja dotychczasowa służba to potwierdziła, że podstawą dowodzenia jest to, żeby podwładni mieli zaufanie do tego, co robią. Żołnierze muszą ufać swoim oficerom. Oficerowie budują i utrzymują to zaufanie bardzo prostymi środkami. Nie okłamują swoich żołnierzy, nie wymagają od nich tego, czego sami nie chcieliby zrobić, i nie korzystają z udogodnień życia w polu, dopóki nie zapewnią ich ostatniemu ze swoich żołnierzy. Jeśli tylko będziecie się tego trzymali, zapewniam was, że będziemy żyć w zgodzie.

Po czym wyszedł z sali, a sierżanci Scott i Tourtillott za nim.

Po odprawie oficerowie sztabu korpusu meldowali się po kolei w gabinecie generała. Korzystając z notatek sierżanta Scotta, generał zadawał im pytania o szczegóły interesujących go zagadnień i wydawał rozkazy, które miały na celu rozwiązanie problemów. Każdego z nich na koniec prosił o pytania. Nie miał ich żaden z wyjątkiem adiutanta.

- Panie generale, mamy kłopot z kapitanem MacMillanem.
- Już? Na miłość boską, jest tu nie dłużej niż trzy dni i już zdążył narozrabiać?

Adiutant wręczył generałowi depeszę.

OS: DEP OBR WASZ

DO. DCA XDXKORP KOREA

DOT, PAR 6 ROZĘ SPEC NR 87 Z DN1 MAJA 51

1. KPT RUDOLPH G MACMILLAN 0-567734 ZGODNIE Z POSTANOWIENIAMI WYTYCZNEJ NR 285-50 BIURA ZCY SZESZTA DS PERS JAKO OSOBA POWRACAJĄCA Z KOREI DO KRAJU NIE POWINIEN BYĆ ODŚYŁANY Z POWROTEM DO SŁUŻBY W JEDNOSTKACH 8 ARMII

2. Z UWAGI NA WZOROWY PRZEBIEG DOTYCHCZASOWEJ SŁUŻBY I KOMPLIKACJE MOGĄCE SIĘ WIAZAĆ Z WYSTAWIENIEM W/W OFICERA NA ZAGROŻENIA SŁUŻBY FRONTOWEJ WSZELKIE ODWOŁANIA OD TEJ DECYZJI NIE BĘDĄ ROZWAŻANE

3. POW WIADOMOŚĆ SŁUŻY ZA PODSTAWĘ DO WYDANIA ROZKAZU PRZENOSZĄCEGO KPT MACMILLANA DO GARNIZONU WASHYNGTOŃSKIEGO W CELU PONOWNEGO OBJĘCIA SŁUŻBY W ESKADRZE PREZYDENCKIEJ

Z ROZKAZU RICHARD HULL
PPLK

- Tourtillott! - zawołał generał. - Sprowadź tu MacMillana.
- Pan kapitan pojechał na lotnisko, sir.
- No to bierz jeepa i go przywieź.

Kiedy sierżant sprowadził MacMillana i kiedy Black zobaczył wyraz jego twarzy na widok depeszy, układana na tę okazję przemowa uleciała mu z pamięci.

- Tourtillott, wsiadaj z powrotem w jeepa i przywieź tu dowódcę lotnictwa US Army w korpusie.

- Chyba nie zastosuje się pan do tego... tego czegoś, panie generale?
- MacMillan, zamknij się choć raz, dobrze?

Dowódca lotnictwa korpusu, pułkownik, pojawił się w odprasowanym mundurze wyjściowym dziesięć minut później.

- Co panu zajęło tak dużo czasu, pułkowniku?

- Kiedy przyjechał sierżant, miałem na sobie brudny kombinezon, sir.

- Proszę na przyszłość pamiętać z łaski swojej, że jeśli pana wzywam, to mogę mieć na myśli coś pilniejszego niż czystość pańskiego munduru.

- Tak jest, sir.
- Czy zna pan kapitana MacMillana?
- Tak jest, sir. Dopiero co go poznałem. Wyjaśniał mi pańskie zapotrzebowanie na helikoptery.

- Moje? No dobra. Pułkowniku, czy prowadzi pan jakieś działania lotnicze, które nie wymagają zbliżania się do linii frontu na mniej niż dziesięć kilometrów?

- Obawiam się, że nie rozumiem, sir.
- Proszę się postarać - uszczypliwie odparł generał.

- Tak jest, sir - odparł pułkownik i po chwili zastanowienia powtórzył: - Tak jest, sir. Prowadzimy loty zaopatrzeniowe dla radiowych stacji przekaźnikowych, stacji meteorologicznych i dla oddziału na wschodnim wybrzeżu, w Soczho-ri, który wspiera południowokoreańską jednostkę wywiadu.

- I samoloty wykonujące te loty nie muszą się zbliżać na mniej niż dziesięć kilometrów od linii frontu? Czy tak?

- Tak jest, sir.
- Proszę mi opowiedzieć o tym oddziale wspierającym koreański wywiad. Jak daleko są od linii frontu?

- Około piętnastu kilometrów na południe, sir.
- Czy jest jakiś powód, dla którego nie moglibyśmy tam skierować MacMillana?

- Nie, sir. Tam zaraz obok jest zresztą także stacja przekaźnikowa. Nasza, amerykańska.

- Bardzo dobrze. A więc, Mac, zrobimy tak: zakwaterujesz się z Amerykanami tam, na wybrzeżu. Będziesz spędzał czas, latając w tę i z powrotem, gdzie cię pośle pułkownik, ale nie bliżej niż dziesięć kilometrów od linii frontu. W ten sposób jeden z pilotów pułkownika będzie się mógł zająć czymś bardziej pożytecznym, a ja będę mógł uspokoić tych, którzy tak się troszczą o twoje bezpieczeństwo.

- Ale co z moją kawalerią powietrzną, sir?

- Mac, bierz, co ci dają, albo się wynoś. Albo latasz z zaopatrzeniem dla pułkownika, albo wracasz do Waszyngtonu rozdawać kanapki. No więc?

- Zostaję tutaj, sir.

- Dobrze. Ale obedrę ci tyłek ze skóry, jeśli się dowiem, że poleciałeś cokolwiek gdziekolwiek bez rozkazu pułkownika. A panu, pułkowniku, obedrę tyłek ze skóry, jeśli dojdzie do mnie, że on poleciał gdzieś bez rozkazu, a pan wiedział i nie zameldował mi o tym. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno, panowie?

- Tak jest, sir - odparli obaj unisono.

- A pan, pułkowniku - powiedział Black do adiutanta - niech wyśle do Waszyngtonu depezę następującej treści: „Kapitan Rudolph G. MacMillan został przydzielony do wykonywania ważnych zadań o charakterze niebojowym”.

- Ależ panie generale, ja nie mogę zrobić czegoś takiego.

- Co proszę? - zapytał generał, jakby nie dosłyszał ostatniego zdania.

- Regulamin... Czytałem postanowienia dotyczące takiej sytuacji przed naszym spotkaniem. Regulamin wyraźnie ujmuje te kwestie. Jeśli kapitan MacMillan tu zostanie, będzie to jaskrawe naruszenie regulaminu i nie mogę...

- Pozwoli pan coś sobie powiedzieć, pułkowniku - przerwał mu Black. Jego rumiana twarz pobladła, zdradzając wzburzenie, ale nadal panował nad głosem. - Nie wiem, jak się panu udało zostać pułkownikiem, nie wiedząc tego, ale sama pańska obecność w tym miejscu i w tym charakterze jest wystarczającym dowodem na to, że to możliwe. Skoro tak, pozwoli pan, że mu tę kwestię wyjaśnię raz na zawsze. Regulaminy i wytyczne są wskazówką dla dowódcy i niczym więcej. Niech pan nigdy więcej nie próbuje mi mówić, że nie mogę czegoś zrobić, bo to, co robię, jest wbrew regulaminowi. Ja tym korpusem dowodzę, a to zupełnie inna para kaloszy, niż i gdybym nim jedynie zarządzał ku satysfakcji jakiegoś gryzi-piórka z Pentagonu. Dotarło to wreszcie do pana czy mam panu to kazać napisać trzysta razy na tej pańskiej cholernej tablicy?

- Tak jest, sir - cicho powiedział adiutant.

- Możecie się odmeldować, panowie. Wszyscy - zakończył zebranie dowódca XIX Korpusu.

X

1

Soczho-ri, Korea Południowa
22 maja 1951

Rozpracowanie tego, co się działo w Soczho-ri, zajęło Macowi trzy dni. To była jednostka wywiadu niskiego szczebla, zaopatrzenie i zakwaterowanie zapewniał jej XIX Korpus, ale nie podlegała ani jemu, ani 8. Armii, ani nawet prawie samodzielnemu X Korpusowi. Podporządkowana była bezpośrednio Naczelnemu Dowództwu Sił Narodów Zjednoczonych.

To do pewnego stopnia tłumaczyło łatwość, z jaką od dowódcy lotnictwa XIX Korpusu wydebił na wyłączne potrzeby 8045. Jednostki Łączności nowiutkiego Beavera. Łatwiej im było dać mu tego Beavera, zapewniając właściwy poziom zaopatrzenia ze strony korpusu, niż troszczyć się o to samemu, cały czas czując na plecach oddech samego Naczelnego Dowództwa.

Dowódca lotnictwa korpusu też się zapewne ucieszył z takiego obrotu sprawy. Przydzielenie MacMillana zwolniło mu jednego z pilotów, którego mógł przesunąć do innej roboty.

Sam MacMillan wolałby zapewne otrzymać dowództwo kompanii spadochroniarzy (187. Pułkową Grupę Bojową właśnie przerzucono do Korei), a jeśli nie spadochroniarzy, to choćby piechoty. Skoro nie mógł dostać dowództwa, to wolałby latać L-5 jako obserwator artylerii albo tą nową Cessną L-19, którą mieli lada chwila dostać. Albo chociaż pozostać osobistym pilotem Blacka. MacArthur załatwił go jednak tak, że wszystko to było poza dyskusją.

A skoro tak, przyszło się dokładniej przyjrzeć nowemu oddziałowi. Dowódcą był kapitan Służby Łączności, ustępujący Macowi starszeństwem. Gdyby doszło do jakiegoś konfliktu, miałby nad nim przewagę. Poza kapitanem było jeszcze trzech oficerów, a prawie cała reszta składała się z podoficerów. Szeregowych była zaledwie garstka.

Ich głównym zajęciem było utrzymywanie łączności z oficerami wywiadu,

głównie Koreańczykami, rzadko trafiał się jakiś Amerykanin, działającymi na Północy. Łączność tę utrzymywano głównie drogą radiową. Zdarzały się jednak wiadomości, które trzeba było dostarczyć do rąk własnych, czasami z tamtej strony trafiał się jakiś film albo coś takiego. No i od czasu do czasu trzeba było ewakuować samego wywiadowcę - to znaczy popłynąć na jakąś plażę na Północy i zabrać go do domu.

MacMillan dostrzegł w tym szansę na wniesienie do wysiłku wojennego większego wkładu niż tylko wożenie papieru toaletowego samolotem z lotniska korpusu na lotnisko w Soczho-ri.

Już prawie zapomniał, jaka to frajda trafić za linie wroga. A przecież przeżywał to sześć razy, pięć razy skakał z dywizją, a za szóstym razem wiali ze stalagu w okupowanej Polsce. Wtedy szło mu nieźle, więc musiał być w tym dobry. Co najmniej tak dobry jak we wszystkim innym, co robił.

Nie widział powodu, dla którego nie miały się zabrać na wycieczkę z ludźmi, którzy przerzucali i ewakuowali agentów. Może przy okazji uda się wysadzić jakiś most czy tunel albo w inny sposób zaszkodzić Czerwonym.

Mogły z tego wyniknąć spore kłopoty. Gdyby dowiedział się o tym Black, MacMillan najbliższym samolotem wróciłby do Waszyngtonu, do służby w Białym Domu. Poza tym dał Blackowi słowo honoru oficera i dżentelmena, że nie polecą bliżej niż 10 kilometrów od linii frontu, więc nie mógł do tego użyć samolotu. Przyrzekł, że nie polecą na front. Nie było mowy o tym, że nie może popłynąć albo pojechać czy pójść.

No i był jeszcze problem z dowódcą tego całego interesu. Kiedy Mac się u nich pojawił, kapitan odniósł wrażenie, że został mu przydzielony jako jego prywatny pilot. Pilotów lotnictwa US Army traktował tak jak wielu innych oficerów, zresztą nie wyłączając samego MacMillana: jak szoferów latających jeepów, których nie wiadomo po co awansowano na stopnie oficerskie. Mac musiał się więc zatroszczyć o to, by pokazać tamtemu jego właściwe miejsce w ich wzajemnych stosunkach. Nie był byle dupkiem i nie mógł pozwolić byle dupkowi, żeby nim pomiatał.

Pewnego dnia, zupełnie niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba, rozwiązanie tego problemu przyszło samo. Na ziemnym pasie startowym ośrodka łączności biegnącym równoległe do plaży w Soczho-ri podszedł do lądowania niezapowiedziany Navion. Pasa nie było na mapach, a nawet gdyby był, z uwagi na charakter ośrodka był zamknięty dla postronnych. Mimo to Navion przeleciał nad wioską, wszedł na krąg jak gdyby nigdy nic i wylądował na ich pasie.

MacMillan i dowódca ośrodka łączności pojechali natychmiast wygonić intruza. Podjechali jeepem do samolotu, dokładnie w momencie, kiedy otwierano jego kabinę.

- O jasna cholera! - ucieszył się MacMillan. - Popatrzcie państwo, co też kot przyniósł z ogrodu!

- O Boże, znowu ten szkocki brzydał - jęknął jedyny pasażer Naviona, podpułkownik „Rudy” Hanrahan, po czym zeskoczył ze skrzydła i przyjaciele padli sobie w objęcia.

Podpułkownik Hanrahan był w Tokio dowódcą oddziału, którego część stanowił ośrodek w Soczho-ri. Mac znał go od lat. Kiedy się poznali, Hanrahan był podporucznikiem, a Mac kapralem w 82. Dywizji Piechoty, jeszcze zanim przekształciła się w 82. Dywizję Powietrznodesantową. Hanrahan dowodził wtedy plutonem w jednej z dwóch ochotniczych kompanii, złożonych z ludzi na tyle odważnych, czy jak kto woli na tyle głupich, by wyskakiwać z całkiem sprawnych samolotów. Skakali zresztą z cywilnych samolotów sportowych i z cywilnymi spadochronami ratowniczymi. Czasy skakania plutonami z transportowców ze specjalnymi spadochronami zdolnymi bezpiecznie opuścić na ziemię żołnierza wraz z całym jego ważącym nieraz więcej od niego ekwipunkiem miały dopiero nadejść.

Potem Hanrahan zniknął z dywizji w dość tajemniczych okolicznościach. MacMillan dowiedział się po wojnie, że odszedł do OSS, organizował i szkolił ruch oporu w Grecji, gdzie w czasie wojny domowej zetknął się z Lowellem.

- Co ty tu, u diabła, robisz?

- Generał Black wysłał mnie tutaj, żebym dbał o dobre zaopatrzenie dla twoich ludzi, Rudy - skłamał MacMillan.

Świadomie użył przezwiska Hanrahana, a nie stopnia czy nazwiska, licząc na to, że Hanrahan nie zrugą go przy obcych, za to na kapitanie zrobi piorunujące wrażenie.

Obie rachuby się sprawdziły.

Kiedy następnym razem kapitan wysyłał swoich ludzi po agenta, MacMillan ogłosił, że jedzie razem z nimi, co zostało po prostu przyjęte do wiadomości. Kapitan wolał nie odmawiać kumplowi swojego przełożonego.

Po powrocie MacMillan uznał, że jego nowemu oddziałowi niezbędny jest sprzęt lepszy od tych koreańskich dżonek, które dotąd mieli. Potrzebowali czegoś szybszego, może dżonki napędzanej silnikiem Diesla. Albo dwoma? Może nawet kutra torpedowego. Słyszał, że Marynarka miała w Japonii kilka kutrów, które gniły bezużytecznie przy nabrzeżu w Jokohamie. Będzie trzeba wymyślić jakiś pretekst, żeby się przelecieć do Japonii i rozpoznać sprawę. Na rozgrzewkę można

spróbować czegoś prostszego. Wiedział o dwóch morskich dieslach, które spoczywały w składnicy XIX Korpusu. Polecił więc do dowództwa korpusu i za pośrednictwem szefa rozpoznania dowództwa przepchnął do kwatermistrzostwa zapotrzebowanie na te silniki, wystawione w imieniu swojego oddziału. Oczywiście nie zapomniał dodać, że to jednostka podlegała bezpośrednio Naczelnemu Dowództwu Sił Narodów Zjednoczonych w Tokio.

Jedenaście dni później wojskowy ciągnik doholował do Soczho-ri naczepę, na której spoczywały w skrzyniach dwa morskie silniki Diesla. Kawątek dalej za ośrodkiem była koreańska stocznia. MacMillan kupił od nich niepotrzebną dźonkę, płacąc za nią ciężarówką dwudziestolitrowych baniek z benzyną. Dowództwo korpusu dawało mu tyle paliwa, ile tylko chciał, i nie pytało, co z nim robi. Za następne 4000 litrów benzyny Koreańczycy zamontowali w niej oba silniki i opancerzyli ją w kilku miejscach, montując też podstawy dla półcalowych Browningów.

Wracał właśnie ze stoczni, kiedy na pasie wpadł na generała Blacka.

- Trzymasz się z daleka od kłopotów, Mac?
- Tak jest, sir.
- I nie latasz bliżej linii frontu, niż powiedziałem?
- Prawdę mówiąc, nawet nie doleciałem do wyznaczonej przez pana granicy strefy, sir.

Tego samego wieczoru wysadził swój pierwszy z ponad siedemdziesięciu mostów kolejowych na Północy.

2

Czhoruon, Korea Północna

20 maja 1951

Dowództwo IX Korpusu 8. Armii rozłożyło się w wąwozie obok szosy, około dziewięciu kilometrów w linii prostej (14 km szosą) za linią frontu. Dla dowódcy korpusu i jego osobistego sztabu postawiono przenośne baraki Quonset* sztab korpusu i zaplecze (w tym cztery stołówki: dla oficerów sztabowych, dla oficerów

* Barak Quonset - prefabrykowany barak metalowy, magazynowy lub mieszkalny, o charakterystycznym kształcie półwalca z blachy falistej. Nazwa pochodzi od bazy lotniczej na półwyspie Quonset, gdzie ustawiono pierwsze tego typu baraki. W czasie wojny wyprodukowano ich i postawiono kilkaset tysięcy na całym świecie, w bazach amerykańskich i sojusznicych, gdzie dostarczano je w ramach lend-lease'u. Polscy żołnierze kwaterujący w nich w Szkocji ochrzczili je „beczkami śmiechu” (przyp. tłum.).

młodszych, podoficerów i szeregowych) mieściły się w tropikalnych barakach z blachy falistej ustawionych na wylewanych betonowych ławach.

Całość zasilają prądem cztery dieslowskie generatory. Sztab miał własne ujęcie wody, stację jej uzdatniania, pralnię i dwie łaźnie - jedną dla oficerów sztabowych, drugą dla całej reszty. Generałowie (dowódca korpusu, szef sztabu i dowódca artylerii) mieli własną stołówkę i łaźnię.

Obok zbudowano pas startowy, zdolny przyjmować nawet C-47, a nie tylko należąca do sztabu i jednostek korpusu drobnicę: Stinson L-5, Cessny L-19, Naviony L-17, De Havillandy L-20 Beaver i helikoptery Hiller H-23 Raven. Bezpieczeństwo sztabu zapewniała 8404. Kompania Żandarmerii, transportem zajmowała się 8319. Kompania Transportowa. Dwa razy dziennie, na porannym i wieczornym apelu, oraz w ośrodku wypoczynkowym, do którego na jeden dzień zwożono na podstawie grafiku poszczególne oddziały, by z dala od frontu zaznały spokoju, zjadły hamburgera i lody, grała 8003. orkiestra US Army.

Sztab był więc, innymi słowy, przykładem wzorowej wojskowej organizacji, zgodnej z regulaminami i umożliwiającej jej twórcy, pułkownikowi Thomasowi C. Minorowi, zastępcy szefa sztabu korpusu ds. personalnych, zaprowadzanie w pozostałych jednostkach podległych korpusowi porządku na jego obraz i podobieństwo. Płynne funkcjonowanie Armii (nie tylko tu, w Korei, ale i wszędzie) w opinii pułkownika zależało bowiem od przestrzegania regulaminów.

W jego ogródku, na polu decyzji personalnych, problemy wynikały głównie z dwóch źródeł. Chaos, jaki panował w jednostkach zwłaszcza na początku akcji w Korei, umożliwił wielu dowódcom niższych szczebli skorzystanie z (pochopnie, zdaniem pułkownika) nadanych im uprawnień do dokonywania zmian w obsadzie personalnej, tak by umożliwić swoim jednostkom wykonywanie rozkazów. Wielokrotnie odbywało się to z rażącym naruszeniem regulaminu awansowego, zarówno w korpusie podoficerskim, jak i, co gorsza, oficerskim. Zwłaszcza w tej kwestii powstało wiele sytuacji wymagających pilnej interwencji. Oficerów awansowano, nie zwracając uwagi na przydatność do obejmowanych stanowisk, kwalifikacje, a nawet tak podstawowe wymogi, jak wymagane starszeństwo stopnia.

Niektórzy żołnierze schodzili ze statków jako szeregowi i zaledwie w pięć

miesiący później w wyniku całej serii wniosków awansowych wystawianych i co gorsza zatwierdzanych, z całkowitą pogardą dla obowiązujących przepisów, zostawali sierżantami sztabowymi, a nawet starszymi sierżantami sztabowymi. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie pułkownik Minor zrobił zaraz po objęciu swego stanowiska trzy tygodnie temu, było ukrócenie podobnych bezceństw. Odebrał wszystkim szczeblom poniżej dywizji prawo awansowania na stopień powyżej sierżanta i wprowadził zasadę, że awans każdego szeregowego poza dwa pierwsze stopnie wymaga zgody korpusu, to znaczy jego osobiście. Był tu od niedawna, więc nawet nie zdołał do końca się rozeznac w spustoszeniu, jakie w dziedzinie awansów podoficerskich dokonało się w ciągu tych pięciu miesięcy bezhołowania. Bóg jedyny wie, jakich szkód ta niepowstrzymana fala awansów dokonała w statystycznym obrazie stanu etatowego szeregowych i podoficerów w skali całej Armii. To go bardzo martwiło, ponieważ dotychczas właśnie tym się w Waszyngtonie zajmował jako zastępca szefa działu szeregowych w biurze zastępcy szefa sztabu Departamentu Obrony do spraw personalnych. Wiedział chyba lepiej od każdego innego oficera US Army, jakie to miało skutki dla przemyślanego w każdym detalu Programu Awansów Szeregowych i Podoficerów, według którego najszybszy czas awansu szeregowego na stopień starszego sierżanta sztabowego powinien wynosić minimum 12 lat. Ten zalew szeregowych, wracających po kilku miesiącach służby w Korei jako starsi sierżanci i wyżej, groził rozsadzeniem całego programu, jeśli się z tym czegoś nie zrobi, i to szybko. A zanim do tego dojdzie, trzeba było temu położyć kres i pułkownik Minor to uczynił.

W korpusie oficerskim sytuacja była jeszcze gorsza, jeżeli to w ogóle możliwe. W jednostkach korpusu roilo się od oficerów, którzy piastowali funkcje, choć do pełnienia ich nie mieli żadnych kwalifikacji, awansowanych bezmyślnie, bez oglądania się na wykszolenie, starszeństwo stopnia, a czasem nawet i jedno, i drugie.

Z drugiej strony, równie bezmyślnie, na podstawie kaprysu ich dowódców, nie biorąc pod uwagę ich bez zarzutu dotąd pełnionej służby, złamano kariery wielu oficerom. Czasem dochodziło nawet do takiej samowoli jak odwoływanie ze stanowisk bez żadnego ostrzeżenia, ze skutkiem natychmiastowym i bez dania możliwości odwołania się od takiej decyzji. Regulamin pozwalał każdemu oficerowi na odwołanie od każdej decyzji go dotyczącej, szczególnie od takiej, której implikacje mogłyby niekorzystnie wpłynąć na jego karierę - a więc nawet przesunięcia na równoległe stanowisko, nie mówiąc o zwolnieniu z obowiązków.

Pułkownik Minor mógł się naocznie przekonać o oplakanych skutkach takiej

samowoli, odwiedzając 73. Wzmocniony Batalion Czołgów Ciężkich. Żołnierze, zapewne za aprobatą, a na pewno za wiedzą dowódcy batalionu, malowali na swoich czołgach słowa powszechnie uznawane za obraźliwe. To było coś gorszego niż tylko malowanie wulgaryzmów na własności wojskowej. To było zachowanie jaskrawo sprzeczne z jakimikolwiek normami porządku i właściwego zachowania w Armii. To było wyzwanie dla dyscypliny, rzucane otwarcie i tolerowane przez tych, którzy powinni je zdusić w zarodku - przez dowódców tych ludzi.

Armia opierała się na współpracy oddziałów i ich wspólnym wysiłku. Nie powinno być w niej miejsca dla oddziałów, które pozwalają sobie wypisywać na czołgach, że albo się będzie grało po stronie 73. Batalionu, albo ten wsadzi każdemu kij baseballowy w dupę.

Tu zresztą dowódca korpusu przyznał mu rację. Zaraz po złożeniu przez pułkownika raportu na temat niepokojących zjawisk zachodzących w 73. Batalionie upoważnił go do wydania w jego imieniu rozkazu, w którym zakazał pisania słów obscenicznych i wulgarnych oraz umieszczania rysunków o takiej treści na przedmiotach stanowiących własność wojskową.

Ten rozkaz wykazał, jak daleko posunął się rozkład w 73. Batalionie. Dowodzący nim pułkownik Jiggs zareagował na niego w sposób graniczący wręcz z niesubordynacją. Pułkownik Minor oburzył się do tego stopnia, że postanowił nie informować o tym generała. Niech sam, na własne oczy, podczas inspekcji 73. Batalionu przekona się, że pułkownik nakazał w odpowiedzi na jego rozkaz zamalować tylko jedno słowo. Teraz na każdej wieży czołgowej widniał napis: GRASZ PO STRONIE 73. ALBO WSADZIMY CI KIJ W XXXX. Nikt nie miał wątpliwości, jakie cztery litery zostały skreślane.

W tym samym batalionie pułkownik zobaczył także coś, co jeszcze bardziej - jeśli to w ogóle możliwe - nim wstrząsnęło: sekcja planowania i szkolenia batalionu, a nawet jej dowódca. Po pierwsze, mianowano nim jakiegoś młodzika, który ledwie osiągnął wiek wyborczy. Na dodatek z Gwardii Narodowej! I jakby jeszcze tego było mało, ten szczeniak był majorem, choć nie tylko nie ukończył żadnej uczelni sztabowej, która by go do tego przygotowała, ale nie miał nawet ukończonego wyższego kursu oficerskiego broni pancernej, bez którego nie powinien zostać nawet kapitanem, a co dopiero oficerem sztabowym. W wieku majora Craiga Lowella Minor z utęsknieniem wyczekiwał awansu na pełnego porucznika.

Ta decyzja była kolejnym dowodem niekompetencji i samowoli pułkownika Jiggsa. W dodatku utrzymywał on, że ten Lowell to najlepszy oficer operacyjny, jakiego ta ziemia kiedykolwiek nosiła, i w dodatku wybitny dowódca frontowy.

No, ale w końcu czego oczekiwać po oficerze, który bez podania żadnego powodu odwołał w początkowej fazie konfliktu aż piętnastu podległych mu oficerów. Bez uprzedzenia, bez możliwości odwołania, nawet nie rozmawiając z żadnym z nich. Ot tak, po prostu, pochopnymi decyzjami złamał piętnaście doskonale zapowiadających się karier. Przełamanie frontu spod Pusan przeprowadził na czele kompanii, którymi dowodzili porucznicy, z sierżantami na stanowiskach dowódców plutonów! A całością dowodził ten szczeniak, którego zrobił potem operacyjnym. Jiggs załatwił mu nawet order za dowodzenie tą operacją. I znowu zrobił to na gorąco, impulsywnie, zamiast na chłodno i po szczegółowej analizie zdarzeń, jak przewidywał regulamin.

W opinii pułkownika Minora zebrało się tego dość, żeby z kolei Jiggsa odesłać do domu z dnia na dzień, bez możliwości odwołania, za „brak wyczucia sytuacji frontowej”, tak jak on odsyłał tych Bogu ducha winnych oficerów.

Tyle że Jiggs miał szczęście. Jego ofensywa, dzięki słabości obrony przeciwnika, zakończyła się powodzeniem. Potem, kiedy wycofywali się pod naporem Chińczyków znad Jalu, batalion Jiggsa znowu miał szczęście i wyszedł z tego z niewielkimi stratami i nie popadając w rozsypkę. To było po prostu szczęście, nic więcej. Gdyby było inaczej, z jakiego powodu generał Almond oddałby taką wspaniałą jednostkę do IX Korpusu? Zapewne poznał się na batalionie i był szczęśliwy, że nadarzyła się okazja pozbycia się kłopotu i zrzucenia troski o jego rozwiązanie na cudze barki.

Minor nie miał wątpliwości co do tego, że Jiggs jest niewdzięcznym sukinsynem. Pułkownik chciał załagodzić sprawę i wysłał mu w pełni wykwalifikowanego majora broni pancерnej - fachowca od szkolenia i planowania, o którego musiał stoczyć zażartą bitwę z innymi dowódcami - batalionu, żeby zastąpił tego jego Wunderkind. Jiggs, zamiast mu podziękować, zadzwonił do niego z pretensjami. Kiedy Minor powiedział mu, że on tylko wypełnia obowiązki regulaminowe i spełnia prośbę generała, który powierzając mu stanowisko, apelował do niego o jak najszybsze doprowadzenie do porządku spraw personalnych korpusu, Jiggs zapowiedział, że osobiście poskarży się na niego dowódcy korpusu.

Minor nie wziął tej groźby poważnie, w końcu on był zastępcą szefa sztabu korpusu, a Jiggs zaledwie dowódcą batalionu, ale tego wieczoru zadzwonił jego przyjaciel, doskonale zapowiadający się młody porucznik, asystent adiutanta generała, i ostrzegł go, że Jiggsowi udało się uzyskać osobiste posłuchanie u dowódcy korpusu.

No i teraz siedział tam, w „Białym Domu”, z generałem, któremu opowiadał zapewne Bóg wie jakie niegodziwości na jego temat.

Ale właściwie nie powinien sobie pozwalać na takie rozmyślania. Powinien się skupić na swojej robocie i wypchnąć wszelkie inne sprawy poza nawias świadomości.

Kiedy wrócił do rozważań nad tym, jak niepożądane skutki dla ogółu spraw związanych z zarządzaniem US Army może mieć dalsze utrzymywanie się tego bałaganu, jeśli ktoś zaraz nie położy mu kresu, zadzwonił stojący na jego biurku telefon linii sztabowej. Była to specjalna linia umożliwiająca bezpośrednie połączenie pomiędzy dowódcą korpusu a jego szefem sztabu i zastępcami szefa sztabu, kierującymi poszczególnymi działami sztabu. Wystarczyło, żeby generał podniósł słuchawkę i wcisnął klawisz „1”, by zadzwonił telefon na biurku szefa działu personalnego, czyli na jego biurku.

- Minor, słucham, sir - zameldował się pułkownik, podrywając słuchawkę, zanim telefon zdążył zadzwonić powtórnie.

- Proszę do mnie - powiedział generał i odłożył słuchawkę.

Minor wstał od biurka, włożył pas z pistoletem i podszedł do lustra. Obejrzał w nim twarz, czy nie jest czymś umazana, zawiązał spadochroniarską apaszkę z siatki maskującej, pilnując, by była umieszczona jak należy, po czym sprawdził, czy siatka maskująca na jego hełmie jest dostatecznie naciągnięta. Zadowolony ze swego wyglądu poszedł w kierunku „Białego Domu”, baraku generała.

3

Kiedy Minor meldował się u generała, pułkownik Jiggs jeszcze tam był. Minor wszedł, zasalutował sprężyste, zameldował swoje przybycie i pozostał na baczność, póki generał nie kazał mu stanąć na „spocznij”. Z zadowoleniem zauważył, że Jiggs jak zwykle przyszedł z tym swoim odpicowanym chromowanym Coltem wz. 1911A1 z okładzinami z macicy perłowej. Generałowi na pewno się to nie spodoba. Jiggs naprawdę mógłby mieć na tyle rozumu w głowie, żeby wiedzieć, że nie powinien się z czymś takim obnosić.

- Oczywiście zna pan pułkownika Jiggsa, pułkowniku? - zapytał generał.

Jiggs, rozwalony na jednym z brezentowych krzesel, nie wykonał żadnego ruchu, który zdradzałby, że chce wstać i uściskać Minorowi rękę. Kiedy pułkownik mimo to wyciągnął do niego dłoń, tamten mu pomachał!

- Miałem już przyjemność poznać pana pułkownika - powiedział sarkastycznie i nadal nie ruszał się z krzesła.

- Pułkownik Jiggs ma pewne zastrzeżenia co do pańskiej decyzji odnośnie do jego oficera operacyjnego - powiedział generał. - Chciałem wysłuchać pańskiego zdania na ten temat.

Pewne zastrzeżenia! Cholera, co za pieprzone niedopowiedzenie, pomyślał Jiggs. Jestem tak wściekły, że najchętniej bym pieprzonemu sukinsynowi wsadził w dupę łopatę aż po koniec styliska, zakręcił nią i wyrwał mu flaki!

- Nie widzę podstaw do żadnych zastrzeżeń, sir. Udało mi się z wielkim trudem pozyskać dla pana pułkownika Jiggsa w pełni wykwalifikowanego majora z drugą lokatą rocznika w akademii sztabowej w Leavenworth. Ma już cztery lata starszeństwa w stopniu majora i taki przydział dobrze zrobi jego karierze służbowej. Ten przydział jest także w interesie 73. Batalionu, któremu brakuje wykwalifikowanego oficera na tym stanowisku.

- Czy pułkownik Jiggs nie powiedział panu, że jest w pełni i zadowolony z oficera, który obecnie pełni te obowiązki w jego batalionie?

- Tak jest, sir. Słyszałem z jego ust podobną opinię.

- Powiedziałem panu, pułkowniku, że Lowell jest najlepszym, oficerem operacyjnym, jakiego w życiu widziałem, i że sobie bez niego nie poradzę, a jeśli będzie pan nalegał na realizację swojej koncepcji, pójdę na skargę do generała. Chyba mi pan nie powie, pułkowniku, że tak szybko zapomniał pan naszą rozmowę?

Jiggs zauważył karcące spojrzenie generała i raz jeszcze powtórzył sobie, że tracąc cierpliwość, nic z tym dupkiem nie osiągnie.

- Panie pułkowniku, niezależnie od pańskiej opinii, majorowi Lowellowi brakuje kwalifikacji do pełnienia tak odpowiedzialnej funkcji. To nie zależy także od jego zdolności do wykorzystywania luk w obronie przeciwnika.

- Panie generale, Lowell dostał za swoje natarcie Krzyż za Wybitną Służbę - wtrącił Jiggs.

- Okoliczności nadania tego odznaczenia również wzbudzają moje wątpliwości, sir - uzupełnił Minor.

- Na całe szczęście dla majora Lowella, dopóki pańskie podejrzenia nie przerodzą się w udowodnione zarzuty, w tej kwestii musimy polegać na decyzji generała Walkera - odparł z lodowatą uprzejmością Jiggs. - Buldog dał mu ten order, więc musiał być przekonany o zasadności wniosku.

- Co nie zmienia faktu, że...

- Właśnie mówiłem panu generałowi, że przedstawiłem go też do Medalu

za Wybitną Służbę za dowodzenie jednostkami batalionu w czasie odwrotu podczas chińskiej ofensywy.

Nie powiedział generałowi, że major Craig W. Lowell był ostatnią osobą, której spodziewał się nad Jalu. Był gotów postawić ostatnie dziesięć centów na to, że wtedy, po połączeniu z korpusem Almonda, kiedy pojechał do Niemiec, nie tylko on, ale i Armia w ogóle, widzieli go po raz ostatni.

Od chwili, gdy Lowell wyleciał z Seulu do Tokio, Jiggs zaczął dostawać na jego temat wiele pytań od senatorów i kongresmanów. Wychodziło na to, że chłopak miał mnóstwo bardzo wysoko postawionych i bardzo wpływowych przyjaciół. Dla żadnego z nich ten drobny szczegół, że Armia prowadzi właśnie wojnę, zdawał się nie mieć żadnego znaczenia. Żądali odesłania Lowella do domu pierwszym dostępnym transportem i zwolnienia ze służby czynnej datowanego na wczoraj.

Z początku Jiggs był wściekły. Przecież Armia zatroszczyła się o niego jak o swego. Jeszcze nie dojechał swoimi czołgami do Osan, kiedy już puszczono w ruch całą jej potęgę, żeby oficera, którego żona zginęła w wypadku, połączyć z osieroconym synkiem. W Niemczech był w zaledwie pięć dni później. Po jakimś czasie pułkownik uspokoił się jednak i doszedł do wniosku, że gdyby był na jego miejscu i miał takie chody, to też by z nich skorzystał. Kto wie, czy nie wcześniej?

A potem nagle, ni stąd, ni zowąd, jak grom z jasnego nieba, major Lowell wkracza do jego namiotu w głębi Korei Północnej.

- Nie mogliście dać znać, że się przeprowadzacie? - zaczął z pretensjami od progu.

- A co ty tu robisz, do cholery? - Jiggs nie posiadał się ze zdumienia.

- Jeśli pan mnie zechce, to przyjechałem się zameldować do służby, sir.

Jiggs spojrział na niego i dostrzegł w jego oczach coś takiego, że nie zadawał już żadnych pytań.

Kolej na to przyszła dużo, dużo później, tuż przed chińską kontrofensywą. Mie-li godzinę wolnego czasu i butelkę whisky, więc Jiggs zapytał, czy dostaje jakieś wiadomości z Niemiec.

- Co tydzień, z teutońską sprawnością - odparł.

- Czy twój syn ma dobrą opiekę?

- Otaczają go najbliżsi. Mieszka w zamku, w którym pochowana jest jego matka. I jej matka. I cała rodzina dziadka od pięciuset lat. To gdzie by mu mogło być lepiej?

Potem wszystko zaczęło się z niego wylewać, a Jiggs tylko siedział i słuchał. Matka Lowella krążyła wciąż między domem a szpitalem psychiatrycznym.

Jego ojciec nie żył. Jedynym krewnym był bankier, którego serdecznie nie znosił. Jego całym życiem, jak wywnioskował pułkownik Jiggs, była ta dziewczyna w Niemczech, z którą się ożenił.

- I wtedy, panie pułkowniku, usiadłem w jej krypcie. Zupełnie jak w pieprzonym filmie z Borisem Karloffem. Siadłem w krypcie nad butelką szkockiej. Naprzeciw mnie marmurowa płyta, a na niej wykuty napis ILSE ELISABETH LOWELL, GRAFIN VON GREIFFENBERG, 1929-1950, REQUIESCAT IN PACE. Moja żona była za tą cholerną marmurową płytą i dotarło do mnie, że już nigdy jej nie zobaczę. I nagle, chociaż byłem zalany w pestkę, zobaczyłem jasno i wyraźnie, że ja tam nie pasuję. To nie dla mnie. I Stany też nie dla mnie. Po co mam wracać gdzieś, gdzie każdy, od pieprzonego kuzyna do męża mojej matki, czuje się w obowiązku doradzać mi, co jest dla mnie najlepsze? Nagle zrozumiałem, że jest tylko jedno miejsce na ziemi, które na mnie czeka z otwartymi rękami, w którym jestem wreszcie właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

- Chyba nie mówisz o wojsku? - zdziwił się Jiggs.
- Dziwne, nie? Ale właśnie to mi przyszło na myśl.
- Masz zamiar zostać zawodowym?
- Nie śmieję się ze mnie. To naprawdę jedyny dom, jaki w życiu miałem. Wszyscy moi prawdziwi przyjaciele są żołnierzami.
- Może to i fakt. Są gorsze sposoby spędzania życia.
- Bycie bankierem jest według mnie jednym z najgorszych. Jak myślisz, jakie mam szanse na zachowanie stopnia oficerskiego w regularnej armii?
- Ciężko będzie. Ale z drugiej strony, Krzyży za Wybitną Służbę nie rozdają garściami i mało kto zostaje majorem w wieku dwudziestu czterech lat.
- Myślisz, że mogę nawet pozostać majorem?
- Uważam, że masz szansę.

Naobiecował mu wtedy, a teraz ten gryziپیórek wszystko zepsuje, wpychając jakiegoś dupka na jego miejsce.

- Jeśli o mnie chodzi, pułkowniku - spokojnie powiedział Jiggs - oficer, który wykazał się zdolnościami w takim burdelu jak ucieczka znad Jalu, jest wart co najmniej tyle samo co oficer z drugą lokatą akademii sztabowej, jeśli nie więcej.

Milczenie Minora, z czego ten doskonale sobie zdawał sprawę, wystarczyło za pytanie: „No i co z tego?”

- A gdzie miał pan zamiar przenieść tego obiecującego oficera, panie pułkowniku? - zapytał generał.
- Muszę przyznać, że były z tym poważne kłopoty, sir. Major Lowell jest bardzo

młody. Z punktu widzenia ogólnej polityki personalnej byłoby niewskazane, żeby kogoś takiego kierować gdzieś, gdzie mógłby musieć dowodzić oficerami starszymi od siebie.

- Co dla niego knujesz, Minor? - zapytał Jiggs.

- Pomyślałem, że przeniosę go tutaj, panie generale. To da mu pewne doświadczenie w pracy sztabowej, wymagane dla oficera w tym stopniu.

- Tu? To znaczy gdzie? - nie ustępował Jiggs.

Generał raz jeszcze skarcił go wzrokiem.

- Do działu kontaktów z ludnością i zarządu wojskowego, sir.

- O, to będzie pięknie wyglądało w jego aktach – uśmiechnął się sarkastycznie Jiggs. - Z oficera operacyjnego jednostki bojowej do kontaktów z ludnością. Wspaniała kariera, nie ma co!

I kto to mówi, panie pułkowniku? A ileż to świetnie zapowiadających się karier pan zламаł, odsyłając na poczekaniu?

- Przecież on jest z Gwardii Narodowej, więc co to ma wspólnego z jego karierą?

- Złożył wniosek o przyjęcie go do służby zawodowej, który z całego serca poparłem.

- Jeśli nawet ten wniosek przejdzie, to i tak będzie za ledwie porucznikiem, może nawet podporucznikiem. W jego wieku...

- I dlatego dopisałem do jego wniosku, że wnoszę o pozostawienie mu w służbie zawodowej stopnia osiągniętego w rezerwie. Nie pozwolę zламаć mu kariery przydziałem na oficera do spraw kontaktów z ludnością.

- Nie uważam, żeby mu to cokolwiek zrujnowało.

- Mam gdzieś to, co pan uważa, pułkowniku!

- Spokojnie, Jiggs. Niech się pan tak nie denerwuje - upomniał go generał.

- Przepraszam, sir.

- Ile czasu pozostało mu do odsłużenia w Korei?

- Około czterech miesięcy, sir - odparł Jiggs. - Jest tu już od dziesięciu, może nawet jedenastu miesięcy.

Generał nagle wstał i podszedł do drzwi gabinetu.

- John, mógłbyś do mnie pozwolić na minutę? - powiedział, kiedy je otworzył.

Po chwili do gabinetu wszedł bardzo niski generał major w wykrochmalonym na sztywno mundurze polowym. Na jego widok Jiggs zerwał się na równe nogi i wyprężył na baczność.

- John, mamy problem z jednym z oficerów - powiedział dowódca korpusu. - Według pułkownika Minora nie ma kwalifikacji, a według pułkownika Jiggsa jest najlepszym oficerem operacyjnym, jakiego w życiu widział.

Mały generał wydawał się rozbawiony.

- I co, mam stanąć po którejś ze stron, tak, sir?

- Chodzi o tego młodego majora, który prowadził zagon kawaleryjski Walkera w czasie ofensywy. Zostały mu tylko cztery miesiące do wyjazdu z Korei i Minor chce go przenieść do kontaktów z ludnością, a Jiggs obawia się, że mu to zapaskudzi akta osobowe.

- I ma rację - przyznał niski generał.

- Potrzeba ci adiutanta, John - ciągnął dowódca korpusu. - Czy jeśli przypadnie ci do gustu, byłbyś nim zainteresowany?

- Co ty na to, Jiggs? - zapytał niski.

- Myślę, że major Lowell będzie dla pana świetnym adiutantem, sir.

- W takim razie załatwione. Na dziś mam już dosyć obowiązków Salomona. Wy dwaj możecie iść - zakończył sprawę dowódca korpusu.

- Kiedy go dostanę? - zapytał niski generał.

- Jeśli taka pańska wola, nawet dzisiaj, sir - odparł Jiggs. - Pułkownik Minor okazał się bardzo operatywny w sprawie znalezienia kogoś bardziej odpowiedniego na jego miejsce.

- Dobrze. Aha, jeszcze jedno. Znając ciebie, Jiggs, muszę o to zapytać. Nauczyłeś go załatwiać się na dworze?

- Oczywiście, sir. Poza tym umie siadać, podawać łąpę, a nawet i czytać i pisać. To on jest autorem dewizy naszego batalionu.

Generał roześmiał się.

- No, jeśli ma ona trafić do podręczników historii, trzeba ją będzie przetłumaczyć na łacinę. Rozmawialiśmy o tym z generałem zeszłego wieczora. Przydałoby się to wbić do łbów tym z akademii sztabowej, żeby im się poprawiło morale. Tylko jak to ująć podręcznikowo?

- „Oczekuje się współpracy z 73. Wzmocnionym Batalionem. W razie odmowy nasze rozczarowanie może się objawić poprzez gwałtowne wprowadzenie przyrzędu sportowego do odbytnicy” - zaproponował Jiggs.

- Dobrze cię znów zobaczyć, Jiggs - odparł, śmiejąc się, generał. - Wpadnij czasem na obiad.

Spojrzał pytająco na dowódcę korpusu, który milcząco pozwolił mu się odmeldować.

Jiggs stanął na baczność.

- Dziękuję, sir.

- W porządku, Jiggs. Mam nadzieję, że to pana zadowoli.

- Tak jest, sir. Jeszcze raz bardzo panu dziękuję, sir.

Zasalutował i wyszedł, nawet nie oglądając się na Minora.

No cóż, raz na wozie, raz pod wozem, pomyślał pułkownik Minor. Nie tym, to innym razem.

XI

1

Kwandae-ri, Korea Północna
18 sierpnia 1951

- E. Z., nie noszę cię pouczać jak dowódca batalionu zapalczego dzieciaka - powiedział Głównodowodzący Sił Narodów Zjednoczonych do dowódcy XIX Korpusu - ale najwyraźniej potrzebujesz, żeby ci ktoś pokazał drogę.

- Z całym należnym szacunkiem, sir, ale czy Głównodowodzącemu znane jest powiedzenie „Wiódł ślepy kulawego”? - odparł generał Black.

- Kiedy poprzedni Głównodowodzący dawał jedynie do zrozumienia, że coś by go zadowoliło...

- Z całym należnym szacunkiem, sir, pan nie jest poprzednim Głównodowodzącym.

- ...to jego podwładni wychodzili z siebie, żeby mu dogodzić - dokończył niezrażony Głównodowodzący. - W pewnych kręgach jest to zachowanie znane jako „ofiarnie i chętne wykonywanie legalnych rozkazów przełożonego”. Znane jest panu takie pojęcie, panie generale?

- Może poprzestaniemy na „oficerze starszy stopniem”? - zapytał z niewinnym uśmiechem generał Black.

- Jeśli mimo to zrozumiesz, że to rozkaz, to proszę bardzo.

Siedzieli sami w pustym barze generalskiej kantyny dowództwa XIX Korpusu. Bar wykładany był polnymi kamieniami, a od „Nefrytu”, radiowego kryptonimu dowództwa, nazwany został Nefrytową Komnatą. Pili dwudziestoczteroletnią whisky Ambassador, przywiezioną do Korei przez Głównodowodzącego.

- Matt, jestem tu dopiero od paru miesięcy - ciągnął Black. - To naprawdę nie jest najlepsza pora na to, żebym sobie robił urlop.

- Para to dwa, a ty tu już jesteś od czterech miesięcy, w ciągu których zasuwasz osiemnaście godzin dziennie siedem dni w tygodniu. Nie wiem, co ci się wydaje, ale naprawdę już nie jesteś dwudziestotrzyletnim porucznikiem kawalerii i czas, żebyś to wreszcie zrozumiał.

- Choćbym pracował i bez przerwy, zawsze coś wyskoczy.
- Po co ja w ogóle z tobą dyskutuję? Słuchaj, masz wyjechać na tydzień odpoczynku do Tokio i koniec. Czy potraktujesz ten wyjazd jako nagrodę za to, że dawałeś z siebie wszystko, żeby postawić na nogi XIX Korpus w czasie o połowę krótszym niż wszyscy przypuszczali, a swoją drogą wszyscy naprawdę podziwiają ten wyczyn, czy też potraktujesz to jako wyraz obawy starego kumpla o to, żebyś się nie zaharował na śmierć, jest mi zupełnie obojętne. Masz zabrać stąd tyłek na wyjazd służbowy do Tokio i połączyć go z tygodniowym wypoczynkiem. To rozkaz.

Black dopił whisky i uniół ręce na znak, że się poddaje.

- Oficjalnie nazywa się to „wyjazd na WiR”, wypoczynek i rekreację, ale żołnierze nazywają to „wyjazdem na PiR”, picie i rżnięcie. Nie uważasz, że jestem na to już trochę za stary?

- Pamiętasz, jak Patton mówił, że jak żołnierz nie pieprzy, to nie walczy?
- To nie Patton, tylko Phil Sheridan.
- Masz zarezerwowany pokój w hotelu Imperial na siedem dni, począwszy od przyszłego piątku.

- A dlaczego akurat wtedy?
- Marilyn nie mogła przyjechać wcześniej.
- Marilyn przyjeżdża do Japonii? - zdziwił się Black.

Marilyn, czyli pani Black.

- Zadzwoniłem do niej i powiedziałem, że obowiązek nakazuje mi ją powiadomić, że zadajesz się ze zbyt wieloma Azjatkami, podkopując morale wojska.

- No tak, to do ciebie podobne, ty draniu.

- Skoro więc Marilyn jest w stanie oblecieć pół świata, by ratować swoje małżeństwo, to ty chyba mógłbyś się zdobyć na to, żeby się pokazać w Imperialu o czasie, trzeźwy, czysty, ogolony i z uśmiechem na twarzy.

- Ten lot będzie mnie kosztował fortunę - mruknął Black.

- Ty sknero! Masz więcej forsy niż Bayer tabletek aspiryny.

- Poza tym nie wiem, jak na to zareagują żołnierze. Ich żony tu nie przylatują.

- Bo oni nie są generałami. Na litość boską, E. Z., oni uwielbiają takie rzeczy! Ich generał to ktoś wyjątkowy i ma prawo robić wyjątkowe rzeczy. W dzisiejszych czasach ta cholerna demokracja zaszła już tak daleko, że generał różni się od szeregowego tylko tym, że jest starszy i grubszy.

- Ale to już pachnie nadmiernym uprzywilejowaniem. To j e s t nadmierne uprzywilejowanie.

- Pozwól, że tym to już się może sam zajmę, dobrze? - W głosie Głównodo-

wodzącego dało się wyczuć nutę zniecierpliwienia. - Gdybyś nie był z bogatej rodziny, nie zastanawiałbyś się nawet minuty. Tak się zawsze odchylasz do tyłu, kiedy dają przywileje, że ciągle lądujesz na tyłku. Nie uważasz, że już czas z tym skończyć?

- No już dobrze, dobrze. Wygrałeś.

- Być może twój Głównodowodzący nie zawsze ma rację, ale na szczęście zawsze to twój Głównodowodzący - podsumował Głównodowodzący i spojrzął na zegarek. - Czas na mnie.

- Tak jest, sir - powiedział generał Black.

Czas na przyjacielską pogawędkę upłynął. Na Blacku, jako na dowódcy XIX Korpusu, spoczywała odpowiedzialność za to, żeby program wizyty Głównodowodzącego Sił Narodów Zjednoczonych w podległym mu korpusie został wypełniony w oznaczonym czasie. Nawet wtedy, kiedy w jego szklaneczce została jeszcze doskonała whisky.

- Finley!

W barze natychmiast pojawił się pułkownik z oznakami i akselbantem adiutanta trzygwiazdkowego generała.

- Wszystko gotowe, sir.

Obaj dowódcy włożyli swoje nakrycia głowy - hełm z pokrowcem z worka na piasek w wypadku dowódcy korpusu i sztywno wykrochmaloną czapkę w wypadku Głównodowodzącego - sprawdzili, czy wszystkie guziki są zapięte jak należy i czy złożone klamry ich skórzanych generalskich pasów spoczywają dokładnie na środku brzucha, po czym opuścili Nefrytową Komnatę.

Na niewielkim placu defilad pomiędzy prefabrykowanymi barakami zebrano się po plutonie z każdej jednostki należącej do XIX Korpusu. Każdy pluton miał ze sobą flagę narodową, proporce kompanii, poczty sztandarowe wyniosły na plac także sztandary pułkowe i dywizyjne - nad placem powiewało całe morze kolorowych płacht. Przed tą ławą ludzi i sztandarów stała bateria trzech haubic kal. 105 mm.

Gdy tylko oficerowie pokazali się na schodach kantyny, orkiestra zaczęła grać, najpierw marsza generalskiego, potem hymn. Kiedy skończyła, trzy haubice oddały salwę honorową z piętnastu wystrzałów, należną czterogwiazdkowemu generałowi.

Po wysłuchaniu salutu obaj generałowie wsiedli do błyszczącego jeepa z czterema gwiazdkami na przednim i tylnym zderzaku. Stalowa rama umieszczona za siedzeniami z przodu pozwalała obu generałom stać w wozie, który natychmiast ruszył z miejsca, a za nim sześć kolejnych, wiozących na przegląd pomniejszych rangą oficerów. Kiedy dojechali na miejsce, rozległy się wykrzykiwane kolejno rozkazy, na które wszystkie sztandary i proporce, z wyjątkiem flag państwowych,

opuszczały się, oddając honory generałom. Obaj dowódcy salutowali, nie opuszczając rąk, kiedy jeep powoli przejeżdżał przed frontem kolejnego plutonu.

Po zakończeniu przeglądu opuścili ręce, usiedli i pełną drogą, polaną na tę okazję olejem napędowym, pojechali na lotnisko, gdzie czekał C-47 Sił Powietrznych. Bagaże gości już były do niego załadowane, pozostało im jedynie wsiąść na pokład. Ostatni wsiadał Głównodowodzący. Obaj dowódcy zsalutowali sobie na pożegnanie, Głównodowodzący powiedział, że kiedy Blackowie będą w Tokio, zaprasza ich w imieniu swoim i Marge na kolację, a potem wszedł po drabince. Drzwi zatrzasnęły się i zawyły rozruszniki silników.

Kierowca spojrzął na generała, oczekując instrukcji.

- Poczekaj, aż wystartują- powiedział generał, przesiadając się do przodu. C-47 uruchomił silniki i podkołował na kraniec pasa startowego.

Dowódcy XIX Korpusu nagle stanął przed oczami całkiem wyraźny i zupełnie ostry wizerunek jego żony. Prawie czuł jej zapach, prawie czuł dotyk jej miękkich piersi na swoim torsie, wyraźnie widział jej kształtne nogi, błyskające spod spódnicy. A potem zobaczył ją, jak ściąga biustonosz i obejmuje piersi dłońmi. Znali się od tylu lat, a jego ciągle podniecał ten widok. Z oddali dobiegł ryk silników Skymastera, który zawrócił na końcu pasa i teraz ruszał, nabierając prędkości, w ich kierunku. Generał E. Z. Black miał zamiar stać w wozie i salutować przelatującemu nad nimi C-47. W końcu się jednak na to nie zdobył. Gdyby wstał, tak jak zamierzał, dwa tuziny wyższych oficerów, jego grupy, nie licząc młodzieży, natychmiast zauważyłyby, że ich dowódca ma erekcję.

Siedział więc i tylko machał ręką na pożegnanie Głównodowodzącemu. Niech ma za swoje. W końcu to jego wina, że mu ją przypomniał.

2

Tokio, Japonia
24 sierpnia 1951

Cadillac Model 1941, dawna limuzyna MacArthura, odebrał generała Blacka z hotelu w kilka minut po tym, jak osobisty samochód Głównodowodzącego zabrał panią generałową na koktajl z żonami oficerów sztabu.

Cadillac zawiózł Blacka do Dai Ichi, gdzie drzwi otworzył mu potężnej budowy żandarm. Chłop musiał mieć ze dwa metry wzrostu. Pułkownik, jeden z adiutantów Głównodowodzącego, zaszalutował generałowi i poprowadził go do wnętrza budynku, przez hol, do windy.

Wjechali nią na drugie piętro, skąd korytarzem udali się do sali konferencyjnej. Wokół olbrzymiego stołu na trzydzieści osób stały w większości puste krzesła. Siedziało na nich zaledwie kilka osób. Kiedy Black wszedł, ktoś zawołał „baczność”, co oznaczało, że Głównodowodzącego jeszcze nie ma.

- Spocznij - powiedział, wchodząc.

Rozejrzał się po sali, starając się rozpoznać pozostałych obecnych. Poznał tylko dwóch: szefa wywiadu Naczelnego Dowództwa i pułkownika, którego nazwiska z początku nie mógł sobie przypomnieć, ale o którym wiedział, że jest oficerem Armii na stałe oddelegowanym do CIA.

Po chwili przypomniał sobie także nazwisko: Hanrahan. Poznali się na party u Jima van Fleeta w Waszyngtonie. Przedstawiono mu go jako cywila, ale van Fleet w sekrecie wyjaśnił mu potem, że Hanrahan był jednym z jego ludzi w Grecji i jednym z oficerów, przydzielonych do Agencji. Van Fleet powiedział o nim, że gość jest w porządku. Jak na Jima był to komplement najwyższej próby.

Black podszedł do niego.

- Cześć, Rudy - powiedział. - Miło znów cię widzieć.

- Bardzo mi pochlebia, że pan mnie pamięta, sir.

- Widzę, że znowu włożyłeś mundur? - Chciał, żeby Hanrahan wiedział, że on wie.

Obok siedział jeszcze jakiś kapitan, mały Żyd z Bojową Odznaką Piechoty, spadochroniarskimi skrzydłami i skrzyżowanymi karabinami piechoty na klapach.

- Może pan usiądzie, panie generale - zaproponował adiutant. - Głównodowodzący przybędzie lada chwila.

Jeszcze nie skończył, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł Głównodowodzący Sił ONZ i wszyscy zerwali się z miejsc.

- Siadajcie, panowie - powiedział przybyły i zajął miejsce u szczytu stołu. - Howard, poprosimy o trochę kawy, a potem dopilnuj, żeby można było tu bezpiecznie rozmawiać.

Starszy sierżant, który widać już czekał na te rozkazy, wtoczył natychmiast wózek ze srebrnymi dzbankami i serwisem do kawy, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Czy wszyscy panowie się znają? Hanrahan, zna pan generała Blacka?

- Poznałem pułkownika już wcześniej, sir - odparł za niego Black.
- A zna pan kapitana Feldmana, generale?
- Feltera, sir - poprawił Sandy. - Miło mi pana poznać, sir.

Na wyciągniętej na przywitanie ręce kapitana widniał pierścień absolwenta Akademii. Generał przyjrzał mu się uważnie. Jasna cholera, koszerny pierścionkowiec?! Człowiek się całe życie uczy.

- Zanim oddam głos pułkownikowi Hanrahanowi – ciągnął Głównodowodzący - pragnę panom przypomnieć, że wszystko, co tu usłyszycie, objęte jest klauzulą „Ścisłe tajne - Morwa”, do której dopuszczenie wszyscy panowie macie.

Morwa? Co to jest ta Morwa, do jasnej cholery?

- Przechodząc od razu do rzeczy, muszę się przyznać, że będę pana musiał obrobować z jednostki, która panu podlega, sir - zwrócił się do Blacka Hanrahan.

- O jakim oddziale mowa?
- 8045. Jednostka Łączności, sir.

Generał Black musiał się przez chwilę skupić, żeby sobie przypomnieć, o czym mowa. Lista jednostek podległych jego dowództwu liczyła trzy gęsto zapisane strony maszynopisu, poczynając od 40. Dywizji Piechoty, przez oddziały w rodzaju 8807. batalionu i amunicyjnego Służby Uzbrojenia, a kończąc na 8656. plutonie gołębi pocztowych. W końcu przypomniał sobie: to był ten ośrodek łączności, w którym zadekował MacMillana. Stacja radiowa w Soczho-ri, na wschodnim wybrzeżu Korei, wspierająca działania J południowokoreańskiego wywiadu wojskowego.

Miesiąc temu wpadł tam po drodze z Nefrytu do jednostek na wybrzeżu i pytał, czy MacMillan wolał zostać tam na stałe, czy wrócić do jego dowództwa korpusu. Ku jego lekkiemu rozczarowaniu Mac wybrał tę dziurę. No, ale cóż, skoro było mu tam dobrze? A w dodatku im tam naprawdę brakowało jakiegoś starego wiarusa, który wiedziałby, jak utrzymywać stosunki z dowództwami 8. Armii i Strefy Korei, by nie brakowało im niczego z zaopatrzenia. Co do zdolności Maca do „organizowania” najbardziej niedostępnych nawet rzeczy, od dawna nie miał najmniejszych wątpliwości. Z tego, co mówił MacMillan, odwalali tam kawał naprawdę wspaniałej roboty bardzo niewielkimi środkami. Jak to ujął Mac, jako jedni z nielicznych naprawdę pracowali na swoje pensje.

W końcu skapitulował i pozwolił mu tam zostać. Z początku były kłopoty po wysłaniu tej słynnej depeszy o „przydzieleniu kapitanowi MacMillanowi ważnych obowiązków o charakterze niebojowym”. Trochę ucichło, więc może to i lepiej, że teraz mógł uczciwie powiedzieć, że Mac trafił do jakiegoś nieważnego oddziału

łączności na dalekich tyłach, niż żeby wyszło na jaw, że jest przydzielony do dowództwa korpusu na bezpośrednim zapleczu frontu.

Pamięta, jak się uśmiechnął, kiedy dowódca lotnictwa grupy przyniósł mu wiadomość, że od razu na początku Mac skombinował dla swojej nowej jednostki śmigłowiec H-23, jako uzupełnienie do Beavera, z którym się tam zameldował. Czego mógł od nich chcieć Hanrahan?

Jego problemy ze skojarzeniem numeru z jednostką nie uszły uwagi Hanrahana.

- Znaną inaczej jako Pływający Cyrk MacMillana - odpowiedział.

- A prawda, pan przecież zna Maca, prawda, panie pułkowniku? - zapytał Black. - Nie miałem serca odesłać go do domu, więc wysłałem go tam.

- Bardzo mnie zdziwiło, że dopóki pułkownik Hanrahan nie naświetlił mi tej sprawy, właściwie nic nie wiedziałem o tej pańskiej operacji, panie generale - Głównodowodzący zwrócił się do generała Blacka.

- Z jakiej racji miałem zajmować uwagę pana generała takimi drobiazgami? - zdziwił się Black. - Dwóch oficerów i garstka ludzi, którzy w czasie kiedy nie zajmowali się przekazywaniem łączności radiowej, zajmowali się, jak się właśnie dowiedziałem, pomaganiem pułkownikowi Hanrahanowi.

- Ta pomoc Hanrahanowi, jak to ująłeś E. Z., to jeszcze nie wszystko - ciągnął Głównodowodzący.

- Obawiam się, że nie rozumiem, sir...

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie miałeś pojęcia o wysadzaniu tuneli i mostów kolejowych?

- Nie, sir.

Jasna cholera! Szlag by trafił tego cholernego MacMillana! Powinien się domyślić, że ta podejrzana cisza ze strony MacMillana nie wróży nic dobrego.

- A co z tym kutrem torpedowym, E. Z.? - drążył Głównodowodzący, wyraźnie napawając się zmieszaniem Blacka.

- Wiem tylko, że go wydostał od Marynarki - cicho powiedział Black. Zanim się rozstali wtedy, po tej rozmowie o przeniesieniu, Mac poprosił go o zgodę na wydostanie kutra od Marynarki, „bo to ułatwi tu sporo spraw”.

Twarz Hanrahana rozjaśnił uśmiech od ucha do ucha.

- Nawet nie wiedziałem, że to kuter torpedowy - ciągnął Black.

- Mówił o „łodzi”, myślałem, że chodzi o barcę desantową albo, ja wiem, barakas admirałski czy coś w tym rodzaju.

- Ale o powołaniu Zespołu Alfa pan wiedział, generale? - zapytał Głównodowodzący.

- Tak jest, sir. Wyjaśniono mi, że miało to na celu ułatwienie załatwiania zaopatrzenia dla jednostki. Jeśli połączy się Koreańczyków i Amerykanów pod wspólnym dowództwem, łatwiej domagać się dla nich wsparcia logistycznego.

- Przekonujący typ ten major MacMillan, prawda? - uśmiechnął się Głównodowodzący.

- O tym też nie wiedziałem, sir - przyznał się Black. - Ostatnim razem, kiedy go spotkałem, był jeszcze kapitanem.

- Rozkaz z jego awansem dopiero przyszedł, sir - wyjaśnił Hanrahan. - On sam pewnie jeszcze o tym nie wie.

- Przyznaję się do winy i zdaję na łaskę sądu - powiedział generał Black. To, co Mac zrobił, żeby zasłużyć na uwagę z tak wysokiego szczebla, dokonało się całkowicie za jego plecami i ponad jego głową. Swoją drogą, ciekawe, co on tam narozrabiał? - Panie generale, przyznaję, że to moja wina, że być może zanedo popuściłem cugli majorowi MacMillanowi.

- Doprawdy? - uśmiechnął się znowu Głównodowodzący tym swoim dziwnym, nic dobrego nie wróżącym uśmiechem.

- Tak, sir. Mac to stary zawodowy sierżant. Jest dobrym oficerem, ale przypuszczam, że jako sierżant-szef w koszarach Scofield na Hawajach byłby szczęśliwszy. Wysyłanie go do Białego Domu, żeby go tam trzymali w klatce i wystawiali na pokaz jako bohatera, pewnie by go zabiło. Zresztą, do cholery, siedział w niewoli, z zięciem „Porky’ego” Waterforda. Medal i awans oficerski dostał za to, w wyniku czego się tam dostał, a potem jeszcze doszedł Krzyż za Wybitną Służbę za ucieczkę z obozu jenieckiego. Trzecią z kolei Srebrną Gwiazdę dostał za coś, co zrobił w pierwszym dniu tej wojny. Jeśli z tego powodu obdarzyłem go większymi względami, niż powinienem, to zgoda, moja wina i do tego się przyznaję bez bicia, ale gdyby sytuacja się powtórzyła, pewnie bez wahania zrobiłbym to jeszcze raz. Nie rozumiem tylko, jak to doszło do wiadomości tak wysokiego gremium?

- A co z tymi chińskimi dżonkami, E. Z.? O tym też wiedziałeś? - zapytał Głównodowodzący.

- Wiedziałem o jednej. Aż dotąd byłem pewien, że służyła tylko jako jednostka zaopatrzeniowa dla Koreańczyków.

- Z tego, co mówił mi pułkownik Hanrahan, są dwie i trzecia w budowie - odparł Głównodowodzący. - Zapłacił za nie benzyną. Masz może jakiś pomysł, skąd MacMillan mógł wy dostać tyle benzyny, żeby kupić trzy pełnomorskie, bardzo

szybkie dżonki, napędzane silnikami dieslowskimi?

- Nie, sir, nie mam.

- Muszę przyznać, że ten przykład skrupulatnej kontroli nad zasobami i gospodarką zaopatrzeniem, jaką sprawuje pan w swojej grupie armijnej, zrobił na mnie wstrząsające wrażenie - zakpił Głównodowodzący.

- Jak pan wie, sir - zmienił temat Hanrahan - Koreańczycy prowadzą z Socho-ri operacje wywiadowcze. Chodzi o to, że owe operacje miały być tylko przykrywką.

- Nic z tego nie rozumiem - rozłożył ręce Black.

- Pod przykrywką operacji przerzucania i ewakuacji agentów szeregowego szczebla, panie generale, przerzucamy i ewakuujemy znacznie ważniejsze osoby.

- Nadal nie rozumiem.

Hanrahan zastanowił się przez chwilę, po czym kontynuował:

- Myślę, że sprawa nie ucierpi na tym, kiedy w tym gronie powiem, że prowadzimy pewne działania w Chinach za pośrednictwem ich wojsk w Korei Północnej. Naprawdę nie mogę zdradzić żadnych więcej szczegółów, panowie.

- Dobra, tyle wystarczy. Już rozumiem w ogólnych zarysach.

- MacMillan i jego działalność to jedna z tych rzeczy, które się czasem zdarzają przy prowadzeniu operacji tego typu. Kiedy go tam po raz pierwszy spotkałem, pomyślałem, że powinienem go stamtąd jak najszybciej usunąć. Znam Maca wystarczająco długo, by wiedzieć, że nie usiedzi na miejscu. Człowieka tego typu nie da się na stałe przydzielić do wożenia onuc.

- Nie, to chyba rzeczywiście nie w jego stylu, prawda, pułkowniku? - uśmiechnął się Black.

- Ale po chwili postanowiłem mu pozwolić trochę poszaleć. Im więcej zamieszania posieje na Północy, tym większe siły zwiąże w rejonach swojej działalności i tym łatwiej będzie mi robić swoje. Im większy chaos, tym większa szansa na ukrycie moich ludzi. Rozumie pan, sir?

- Tak - chórem odpowiedzieli obaj generałowie. Black nie był pewien, czy to ostatnie pytanie było skierowane do niego, ale na wszelki wypadek wolał odpowiedzieć.

- Tak więc odpowiedzialność za większą część sukcesów Macmillana spoczywa na mnie. To ja mu na przykład załatwiłem ten kuter.

- Rozumiem - powiedział Głównodowodzący.

- Ale po jakimś czasie cała sprawa wymknęła mi się z rąk i zaczęła żyć własnym życiem - wyraźnie słychać było, że Hanrahan starannie dobiera każde słowo,

które zamierza wypowiedzieć. - Niestety, doszło do tego akurat w chwili, kiedy nasza zasadnicza operacja weszła w krytyczną fazę. - Umiłk na chwilę i po chwili kontynuował: - Wysłaliśmy okręt podwodny w pobliże ich wybrzeża, po jednego z naszych agentów. Ekipa, która miała go odbierać, akurat dopływała gumowym pontonem do brzegu, kiedy MacMillan wysadził tunel kolejowy sto metrów dalej.

- Czy któryś z pana ludzi został ranny? - zapytał Black.

- Nie, zaden. Agent miał na tyle rozsądku, żeby dać nura w krzaki, kiedy ten tunel wyleciał w powietrze. Oczywiście mieliśmy awaryjny plan ewakuacji na taką okazję. Ale kiedy wracali na brzeg, nie byli pewni, czy przy ponownej próbie ewakuacji nie będą musieli walczyć z Koreańczykami lub tymi, których dowódca okrętu podwodnego nazywa „piratami”, kimkolwiek są w rzeczywistości.

- W porządku, wszystko rozumiem, pułkowniku - odparł Black. - Ma pan moje zapewnienie, że kiedy tylko dostanę się do radiostacji, rozpędzę prywatną armię MacMillana na cztery wiatry, a samego kapitana... majora MacMillana każę wsadzić w pierwszy samolot do Stanów, w kajdanach, jeśli zajdzie potrzeba.

- Niezupełnie o to mi chodziło, sir.

- Tak? A o co?

- Nasze operacje napotykają spory opór w Departamencie Stanu, zwłaszcza te z użyciem okrętów podwodnych. Wygląda na to, że światowa opinia publiczna ma coś przeciwko okrętom podwodnym. Departament się boi, że tamci mogą jeden z nich zatopić i źle na tym wyjdziemy.

- No i? - zapytał Black.

- Po tym incydencie, kiedy ekipa z okrętu podwodnego przyplłynęła na plażę właśnie w chwili, kiedy Mac wysadzał tunel, Departament Stanu zdołał przekonać... Departamentowi Stanu udało się zabronić nam używania okrętów podwodnych w dalszych operacjach o takim charakterze.

- Rozumiem.

- W tej sytuacji pozostają nam tylko dżonki MacMillana - dokończył Hanrahan.

- Tak więc chce pan przejąć MacMillana, jego dżonki i cokolwiek jeszcze uzna pan za potrzebne do prowadzenia swoich operacji, czy tak, pułkowniku? - upewnił się Głównodowodzący.

- Przejmujemy kierownictwo nad działaniami MacMillana, sir. Jego operacje będą kontynuowane, tyle że tym razem pod naszą kontrolą. Będzie robił to samo co do tej pory, z tą jedną poważną różnicą, że zmiany ulegną priorytetu. Tym razem pierwszeństwo będą miały przerzucanie i ewakuacja ludzi.

- Rozumiem. - Black skinął głową.
- Teraz, kiedy z inicjatywy Departamentu Stanu odebrano nam możliwość korzystania z okrętów podwodnych, widzę, że to nawet lepiej, sir. Teraz MacMillan będzie mógł na przykład zejść na ląd z dwudziestoma ludźmi, a wrócić z dziewiętnastoma, zostawiając agenta na brzegu, albo zabrać agenta przy okazji wysadzenia mostu, z dużo mniejszym zagrożeniem, że ten ruch zostanie wykryty, niż przy użyciu okrętu podwodnego. Chińczycy są sprytni. Doskonale zdają sobie sprawę z tego, że nikt nie wysyła okrętu podwodnego, jeśli zadanie nie jest bardzo wysokiej rangi. Teraz będzie to można robić bez wzbudzania podejrzeń.

- Myśli pan, że MacMillan jest w stanie sobie z tym poradzić? - zapytał Black.

- To już będzie zadanie dla kapitana Feltera.

Black zastanowił się nad rolą małego Żyda z pierścieniem West Point.

- Ze Stanów jedzie ekipa z nowoczesnym sprzętem radiowym do łączności szyfrowej - ciągnął Hanrahan. - Ustanowimy bezpośrednie bezpieczne połączenie radiowe między Waszyngtonem a kapitanem Felterem. To kapitan Felter będzie wydawał rozkazy MacMillanowi.

- Przepraszam, ale muszę zadać pytanie, być może obcesowe - odezwał się Black. - Zapewniam pana, kapitanie, że nie ma w nim nie osobistego, naprawdę. Ale skoro to tak ważna operacja, jak mi mówicie, to czy kapitan Felter nie ma zbyt niskiego stopnia jak na taką odpowiedzialność?

- Waszyngton chce, żeby operacją kierował jeden z naszych ludzi, sir - odparł Hanrahan.

- Jeśli to jeden z waszych, to co on robi w naszym mundurze? - syknął Black.

- Kapitan Felter nadal uważa się za żołnierza, panie generale - głos Hanrahana stał się twardy, nawet lekko napastliwy. - Tak samo jak ja odmówił zatrudnienia w Agencji na cywilnym etacie. Ściągnąłem tu kapitana Feltera z Niemiec, bo nie znam drugiego oficera, który nadawałby się lepiej do prowadzenia tej operacji. Kapitan Felter był ze mną w Grecji.

- E. Z. - wtrącił się Głównodowodzący, ucinając dyskusję - prawdziwym celem tego spotkania i mojej na nim obecności było danie ci do zrozumienia, jak ważne jest dla nas to zadanie. Mam ci też przekazać to, co sam usłyszałem, kiedy „przydzielali” mi pułkownika Hanrahana. Dopóki z nami pozostaje i prowadzi swoje działania, ma dostawać wszystko, czego zażąda.

- Tak jest, sir. Rozumiem, sir - odparł Black, po czym odwrócił

się do Feltera: - Panie kapitanie, dostanie pan do swojej dyspozycji wszystko, czym sam rozporządzam. A gdyby napotkał pan jakieś trudności we współpracy z majorem MacMillanem, proszę mi tylko dać znać.

- Dziękuję, sir. Poradzę sobie z majorem MacMillanem, sir.

3

Kwandae-ri, Korea Północna

30 sierpnia 1951

Kapitan Sanford T. Felter, tym razem w mundurze z oznaką wojsk łączności, bez odznaki spadochronowej, Bojowej Odznaki Piechoty i bez swojego pierścienia z West Point, poleciał do Korei z generałem Blackiem. Navion L-17 generała zabrał ich z lotniska K16 w Seulu do dowództwa grupy.

Na lotnisku czekali już na niego jego adiutanci. Młodszy z nich \ został obarczony zadaniem skompletowania wyposażenia polowego dla kapitana Feltera i dostarczenia go do gabinetu generała nie później niż o 16.00. Starszy adiutant miał się skontaktować i z majorem MacMillanem i sprowadzić go do gabinetu generała nie później niż o 15.30.

Generał udał się do swojej kwatery i przebrał w mundur polowy. Zastanawiał się, czy to, że na pamiątkę spotkania z żoną zabrał jej chusteczkę, nie czyni aby z niego fetyszysty. W końcu doszedł do wniosku, że nawet jeśli, to i tak nic nikomu do tego. Raz jeszcze powąchał ją, wdychając zapach perfum, złożył starannie i wsunął do plastikowego woreczka, który wsunął do kieszeni na piersi. Ciekawe, jak długo utrzyma się zapach?

Kilka minut później odbył dwugodzinną odprawę z oficerem operacyjnym korpusu, który informował go o wszystkim, co zaszło pod jego nieobecność. Kiedy skończyli, adiutant poinformował, że w jego gabinecie czeka major MacMillan. Idąc tam, w sekretariacie natknął się na przybyłego już kapitana Feltera. Felter miał na sobie sprany mundur polowy i nowiutkie buty, a generał Black nie mógł się pozbyć wrażenia, że oto ma przed sobą żydowską wersję słynnego szeregowego Sad Sacka z wojskowego komiksu.

- Ty sukinsynu! - wydarł się od progu na MacMillana. – Nie dość, że zrobiłeś ze mnie idiotę przed Głównodowodzącym i Hanrahanem, to jeszcze złamałeś obietnicę! Dałeś mi słowo, że nie zbliżysz się na mniej niż dziesięć kilometrów od linii frontu!

MacMillan próbował się bronić:

- Powiedziałem, że nie podlecę bliżej niż dziesięć kilometrów od linii...
- Znalazł się pieprzony mędrak! Dobrze wiesz, że to gówniana wymówka! Chodziło mi o to, że masz trzymać dupę z daleka od linii frontu, i ty doskonale o tym wiesz.

- Jasna cholera, sir! - Do MacMillana dotarło wreszcie, że został złapany na gorącym uczynku, i zdobył się na atak. - Płacą mi za to, żebym był żołnierzem. Jak Medal ma mi w tym przeszkadzać, to zabierzcie sobie ten pieprzony Medal i puśćcie mnie do oddziału liniowego!

Blacka zatkało. Nie był przyzwyczajony do tego, żeby świeżo upieczony (tak świeżo, że jeszcze sam o tym nie wiedział) byle major odzywał się do niego w taki sposób. Twarz mu zbieleła, ale po chwili, zanim cokolwiek zrobił, doszedł do wniosku, że to nie z majorem, tylko z założeniami polityki personalnej musi być coś nie tak, skoro człowieka z takimi zasługami bojowymi wycofuje się z linii właśnie dlatego, że poprzednio tak doskonale sprawdził się w boju. Doszedł też do wniosku, że w identycznej sytuacji, kto wie, pewnie postąpiłby tak samo. Może nie poszłoby mu tak dobrze, ale by się starał.

- Mogłeś mi chociaż powiedzieć o tym cholernym okręcie podwodnym, Mac - powiedział już znacznie łagodniej, wyciągając z szuflady butelkę dwudziestoczteroletniej whisky Ambassador i nalewając do dwóch szklaneczek. Spojrzał na MacMillana. - Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- No cóż, doszedłem do wniosku, że pan i tak ma dość na głowie, sir.

- Twoje eskapady doszły do wiadomości najwyższych czynników - powiedział Black. Jak na komendę obaj przechylili szklaneczki, zakręcili zawartością w ustach i przełknęli. Synchronizacja była tak doskonała, jakby wcześniej wiele razy to ćwiczyli. - Boże, ależ to doskonała whisky.

- Bardzo mi przykro, że narobiłem panu kłopotów, sir. Naprawdę. Myślałem, że nikt się nie domyśli.

- Gratuluję - powiedział Black, nalewając drugą kolejkę.

MacMillan spojrział na niego zdziwiony.

- Zostałeś właśnie oficerem sztabowym, Mac.

- Bez jaj? - zapytał MacMillan, jednocześnie zadowolony i zaskoczony.

- Głównodowodzący zrobi z tego wielką uroczystość. Tobie wręczy złote słoneczka, a mnie Order Dupy Wołowej z Mieczami i Diamentami za to, że pozwoliłem ci wykręcić ten gówniany numer.

- Ale przynajmniej nie narobiliśmy sobie kłopotów - uśmiechnął się MacMillan, zrelaksowany wiadomością i whisky.

- Znasz pułkownika „Rudego” Hanrahana?

- Tak jest, sir.

- Hanrahan jest do tego stopnia pod wrażeniem twoich dokonań, że przejmuje twój kramik.

- A co to ma ze mną wspólnego?

- Zauważyłeś może w sekretariacie tego kapitana, który tam siedzi i wygląda jak Sad Sack?

- Nazywa się Felter, sir. Nigdy przedtem go nie spotkałem, ale wiem, co to za jeden. Bardzo bliski kumpel Hanrahana. I Boba Bellmona też. A co on ma z tym wspólnego?

- Od tej chwili, ze skutkiem natychmiastowym, pracujesz dla niego.

- On jest z CIA? Odkąd to CIA wysadza mosty?

- Kto tu mówi o CIA? Nie użyłem takiego słowa.

- Hanrahan jest z CIA. - MacMillan wzruszył ramionami.

- Twoje działania mają służyć jako przykrywką dla jego operacji. Zajmuje się przetrzucaniem i ewakuacją ludzi.

- I to wszystko?

- Ich działania mają bezwzględny priorytet. Od tej chwili wykonujesz rozkazy kapitana Feltera.

- Może być. Bałem się, że chce mnie pan posadzić za biurkiem.

- Powiniennem. Mac, jeśli w czasie tych zabaw w Johna Wayne'a dostaniesz w łeb, dobiorą mi się do tyłka, i to na dobre.

- Nie mam zamiaru dać się zabić.

- Chcę tylko, żebyś na siebie uważał. Mac, ja mówię poważnie. Nie chciałbym być zmuszony się tłumaczyć, dlaczego pozwoliłem zginać kawalerowi Medalu Honorowego Korpusu.

- Tak jest, sir. Czy to wszystko, sir?

- Jeszcze nie. Weź to. - Podał mu napoczętą butelkę.

MacMillan zapakował ją do chlebaka, a w tym czasie generał wprowadził do gabinetu kapitana Feltera.

- Tak mi się zdawało, że wiem, kim pan jest, panie kapitanie - powiedział Mac, podając mu rękę. - Nie byłem tylko pewien, czy powinienem się do tego przyznawać.

- Miło mi pana poznać, majorze.

- O tym też pan już wie?

- Słyszałem. Gratulacje.

- Dzięki. No cóż, wystarczy nie pchać palców między drzwi i trzymać język za zębami, to nie ma siły, żeby człowieka nie awansowali.

- Po drodze spotkałem w Waszyngtonie pułkownika Bellmona i panią Bellmon. Proszili, żebym panu o nich przypomniał, gdyby pan pana spotkał. Powiedziałem, że nie spodziewam się pana spotkać.

- Jasne. Założę się, że pani Bellmon przysłała pozdrowienia? A skoro już mowa o koligacjach, wczoraj spotkałem innego pańskiego starego kumpla, Lowella. Uwierzy pan, że on też już jest majorem?

- Słyszałem, że nim został.

- Właśnie załatwił sobie przydział na adiutanta szefa sztabu IX Korpusu.

- Słyszał pan o Ilse, majorze?

- O kim? A, o tej jego szkopskiej żonie? Nigdy nie mogłem zapamiętać, jak miała na imię. Tak, słyszałem. Cholerny pech.

- Tak, cholerny pech...

- Mam tu na lotnisku Beavera. Możemy lecieć, kiedy tylko będzie pan gotów.

- W każdej chwili, panie majorze.

- Chciałem jeszcze wpaść do sklepiku przy kantynie i kupić sobie słoneczka. Jak tylko skończę, możemy startować. Jeśli ma pan chwilę czasu, możemy polecieć przez IX Korpus i odwiedzić Lowella. To potrwa z godzinę.

- Tak, oczywiście, bardzo chciałbym go zobaczyć - odparł Felter - ale obawiam się, że nie znajdziemy na to czasu. Zresztą nawet gdybyśmy go znaleźli, nie byłby to chyba najlepszy pomysł.

MacMillan wyczuł odmowę.

- Dobra, rozumiem. Proszę się nie niepokoić, poza nami najwyżej z sześć osób w całej Armii wie, czym naprawdę się zajmujemy. Poza tym wszyscy myślą, że jesteśmy jednostką radiową. Moi chłopcy mówią, że dostajemy zaopatrzenie z IX Korpusu. Dla mnie też liczy się przede wszystkim robota.

- Przepraszam - odparł po chwili Felter. - W tym zawodzie człowiek staje się po trosze paranoikiem.

4

Soczho-ri, Korea Południowa

30 sierpnia 1951

Godzinę później, już po zapadnięciu zmroku, MacMillan podszedł Beaverem Zespołu Alfa do lądowania na gruntowej drodze pięćdziesiąt metrów od brzegu Morza Japońskiego, nieopodal rybackiej wioski Soczho-ri.

Mieszkańców już dawno ewakuowano. Kryte strzechą kamienne chaty zostały poddane dezynsekcji i przekształcone w kwatery oddziału łączności. Trzej amerykańscy oficerowie, dwudziestu siedmiu podoficerów i szeregowych oraz siedmiu oficerów koreańskich zajęło siedem najlepszych chat, jedną przekształcając w bar, stołówkę i kwaterę dla gości. Tych siedem chat otoczono zasiekami z drutu kolczastego i odtąd zwano Cytadelą.

Najstarszy koreański oficer, major Kim Li Dong, był porucznikiem w armii japońskiej i przez wiele lat służył w Chinach. Do jego obowiązków należała piecza nad personelem pomocniczym. Liczący ponad czterdzieści osób personel rekrutował się spośród ponad dwustu ochotniczek, które zgłosiły się do służby o charakterze specjalnym. W pełni rozumiały one, że elita, której miały służyć, oczekuje od personelu pomocniczego czegoś więcej niż tylko , gotowania, sprzątanania, prania i palenia w piecach. Jeśli ich służba przebiegała nienagannie, mogły liczyć nie tylko na potrójne racje żywnościowe do dowolnego wykorzystania, ale nawet na ewentualne dodatkowe wynagrodzenie pieniężne.

Odkąd dowodzenie przejął MacMillan, wszyscy Koreańczycy dostali amerykańskie racje. Ponieważ, także dzięki jego staraniom, oddział otrzymał status jednostki frontowej, każdy z jego członków miał prawo do racji zwiększonej o połowę oraz dodatków frontowych - dodatkowego przydziału papierosów, papieru toaletowego, batonów czekoladowych, a nawet papeterii. Mac ustanowił także własną rację, której żaden regulamin nie przewidywał - każdy dostawał dwa piwa dziennie.

Mimo że amerykańskie apetyty były jak na koreańskie stosunki wprost gargantuiczne (standardowe śniadanie składało się w jednostce Maca z soku owocowego, kawy, mleka skondensowanego, płatków owsianych, jajek na różne sposoby do wyboru, bekonu, szynki, tostów, masła, dżemu lub marmolady oraz świeżych owoców), w kuchni zawsze zostawała taka masa jedzenia, że personel kuchenny nawet po obdzieleniu reszty Koreańczyków dorabiał się fortun na czarnym rynku.

Na samolot czekały na lotnisku jeep i ciężarówka. Amerykański kierowca ciężarówki, podoficer kasynowy, osobiście nadzorował rozładunek dziennej porcji świeżych owoców i mięsa, które Mac zabrał z XIX Korpusu, żeby zanadto przedsiębiorczy kucharze nie upłynnili połowy dostawy, jeszcze zanim dotrze do kuchni. Koreański kierowca jepea zawiózł obu pasażerów Beavera do klubu w Cytadeli.

Klub był zatłoczony amerykańskimi żołnierzami - w większości podoficerami. Stali przy barze, a przy stoliku zarezerwowanym dla oficerów w rogu sali siedzieli

kapitan i chorąży. Przed nimi na stole stały piwo i burbon.

- Panowie - odezwał się MacMillan - to jest kapitan Felter, którego przydzielono do nas jako doradcę. A ja, na wypadek gdybyście oślepli od tego świństwa, które pijecie, jestem major MacMillan, od dziś wasz dowódca w stopniu oficera sztabowego.

Powiedział to tak głośno, że chyba nikomu w całym budynku nie udało się tego nie usłyszeć. Wszyscy rzucili się ku niemu z gratulacjami.

- Wygląda na to, że teraz będę musiał postawić kolejkę trzydziestu spragnionym nicponiom - podsumował major MacMillan. - Cały wieczór żłopiecie piwo, a teraz znaleźliście naiwnego, który ma wam postawić whisky, co?

- Witamy, kapitanie - powiedział kapitan siedzący przy oficerskim stoliku, kiedy już zamieszanie spowodowane przybyciem majora nieco ucichło. - Witamy w Pływającym Cyrku MacMillana.

Feltera ogarnęło jakieś dziwne uczucie. Przez chwilę analizował to zjawisko, ściskając ręce kapitanowi i chorążemu. Kiedy się prostował, już wiedział, o co chodzi. W ogóle nie czuł się tu obco. Nagle przeniósł się w czasie i przestrzeni i znalazł się w Ioanninie, w kantine Amerykańskiej Grupy Doradców Wojskowych przy greckiej 24. Dywizji Piechoty Górskiej. Jechał na drugi koniec świata, do zapadłej dziury w samym centrum nicości, a tu nagle wylądował w domu.

- Felter będzie mieszkał ze mną - oznajmił MacMillan. - To znaczy, że ty, Paul, się wyprowadzasz. - Na twarzy kapitana odmalowało się zaskoczenie. - Felter będzie doradcą, ale jego porady będziemy traktowali bardzo serio i wykonywali natychmiast. Rozumiesz?

- Nie chciałbym, żeby przeze mnie kapitan musiał się wyprowadzać - zaprotestował Felter.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie kapitanie. Mac strasznie chrapie.

Zanim ktokolwiek zdążył coś zamówić, pojawiła się koreańska dziewczyna w mundurze polowym, która postawiła przed MacMillanem litrową butelkę japońskiego piwa Asahi i szklanę.

Felter odezwał się do dziewczyny po koreańsku. Była bardzo zaskoczona, zachichotała zakłopotana, zasłaniając usta dłonią. Po chwili zniknęła i powróciła z butelką białego wina, które postawiła przed Felterem. Sandy podziękował jej, także po koreańsku.

- Felter, jestem pod wrażeniem - powiedział major. - Nie ma u nas zbyt wielu ludzi, którzy mówią po koreańsku.

- E tam, parę słów na krzyż - zbył pochwałą Felter.

W tej chwili rozwarły się przesuwane drzwi i w progu pojawił się potężnie zbudowany kapitan Służby Łączności, za którym krok w krok podążał drobny chorąży.

- A to co za jedni, do cholery? - zapytał kapitan, którego Felter pozbawił pokoju.

W Soczho-ri rzadko bywali goście, niezapowiedziani jeszcze rzadziej, a mile widziani prawie nigdy.

Nowo przybyli rozglądali się po sali, zauważyli wreszcie oficerów przy stoliku w kącie i ruszyli ku nim.

- Czym mogę służyć, kapitanie? - zapytał MacMillan niezbyt przyjaźnie.

- Dzień dobry, sir - odezwał się drobny chorąży, podając rękę Felterowi. - Miło znów pana widzieć.

Felter wstał i uściśnął rękę chorążego, mówiąc, że jemu też miło go znowu widzieć. Mimo to MacMillan od razu się domyślił, że tamten nie ma zielonego pojęcia, skąd mogliby się znać.

- Szukaliśmy kapitana Feltera - odpowiedział na pytanie majora nowo przybyły kapitan - i wygląda na to, że już znaleźliśmy.

- W czym mogę pomóc? - zapytał Sandy.

- Przyproceedziłem dla pana dwa wozy radiowe, sir.

- Ach, już wiem. Nie spodziewałem się, że przyjedziecie tak prędko.

- Dostałem rozkaz, żeby sieć była czynna do 20.00. Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie mam się rozstawić?

- Naprawdę nie mam pojęcia - odparł Felter i spojrział na MacMillana.

- Łącznością zajmuje się tu pan Davies - odparł major. - Może on mógłby panom pomóc.

- Potrzebuję miejsca do rozstawienia dwóch trzydziestometrowych anten - wyjaśnił kapitan.

- Pokaż im, gdzie mają je rozstawić, Davies - polecił MacMillan.

Davies wstał i wyszedł, a za nim Felter. Chorąży, który przyjechał z kapitanem, usiadł na jednym ze zwolnionych krzesel.

- Jestem szyfrantem i na szczęście nie znam się ani trochę na antenach. Hej, złotko, nie przyniosłabyś mi piwa?

- Domyślam się, że szanowny pan zamierza zagościć u nas na dłużej? - sarkastycznie zapytał MacMillan.

- Na to wygląda, sir - odparł szyfrant.

- Mac, a kto to jest ten mały gudłaj, do kurwy nędzy?

- Już mówiłem. To doradca. Z samej góry.

- Ale kto to jest?

- Powiem panu, kto to jest, sir - odezwał się chorąży szyfrant. - To „Myszowaty” Felter.

- To ma mi coś powiedzieć?

- Chociażby tyle, że to naprawdę kawał twardego skurwiela, sir. Na pana miejscu nie chciałbym, żeby słyszał, jak go pan nazwał małym gudłajem.

- Dawno go znasz?

- Byłem z nim w Grecji. Wygląda na to, że mnie nie pamięta, byłem wtedy szeregowym. Ale ja go dobrze zapamiętałem.

- A co on takiego złego zrobił w Grecji, że tak wam zapadł w pamięć? - zainteresował się MacMillan.

- Chyba nie powinienem o tym mówić - zafrasował się chorąży.

- Jasna cholera, sam zacząłeś, to teraz skończ! - warknął MacMillan. Nie wiedział, skąd mu się to wzięło, ale nagle bardzo zapragnął poznać historię, którą miał do opowiedzenia chorąży.

- No dobrze. Mieliśmy tam jednego kapitana, który nie chciał nam pozwolić pójść z odsieczą Grekom, których czerwoni odcięli na jednym ze szczytów. Tamci obłożyli drogę ogniem z moździerzy, ale Myszowaty uznał, że powinni przynajmniej spróbować. Tam, na górze był jeden dzieciak, amerykański porucznik, który dowodził Grekami.

- Ten dzieciak nie nazywał się czasem Lowell? - zapytał Mac z głupia frant.

- Tak. Pan zna tę historię, sir?

- A kto jej nie zna już po dwóch tygodniach służby? - odparł Mac. Cholera, rzucił nazwisko Lowella tak sobie, na oślep, i okazało się że trafił w dziesiątkę.

- Ja służę dziewięć lat, sześć miesięcy i cztery dni, sir - odezwał się wykwaterowany kapitan - i jeszcze jej nie znam.

- No dobra, to mu opowiedz - łaskawie zgodził się Mac, sam łakomie czekając na dalszy ciąg.

- Ten kapitan tak się zestruchał, że nie tylko sam nie chciał iść na tę górę, ale powiedział, że jemu też zabrania. Myszowaty wysłuchał go spokojnie do końca, a potem podniósł Thompsona i ra-ta-ta-ta! Rozwalił gościa. Ot, tak.

- Pieprzysz!

- Jak babcię kocham! Człowieku, nie zadzieraj z nim, mówię ci. Szkoda życia.

Kapitan Sanford T. Felter, nawet o tym nie wiedząc, zarobił właśnie u majora Rudolpha G. MacMillana 95 punktów.

Rozstawienie kierunkowych anten potrzebnych do uruchomienia bezpiecznej radiolinii w Soczho-ri zajęło trzy godziny. Felter pozostał wraz z rozstawiającymi anteny żołnierzami aż do uruchomienia i przetestowania linii. Potem dopilnował nakarmienia i zakwaterowania żołnierzy i sam poszedł do klubu, pytając, czy mógłby dostać kanapkę albo jajko. Dostał jedno i drugie, popił coca-colą i powiedział, że ma za sobą długi dzień, więc może ktoś pokazałby mu, gdzie ma spać.

Mac wezwał kelnerkę, z którą przedtem Felter rozmawiał po koreańsku, i pokazał jej, że ma zaprowadzić kapitana.

Sandy poszedł za dziewczyną do krytej strzechą chaty. Przewodniczka pokazała mu ogrzewaną łazienkę z prysznicami, a potem ubikację na podwórzu. Podziękował jej, skorzystał z latryny, po czym się wykąpał. Po powrocie do swojego pokoju usiadł przy składanym biurku połowym i wyjął pióro, by napisać list do Sharon.

Za plecami usłyszał jakiś ruch. Mimo zmęczenia zareagował natychmiast. Zsunął się na bok z krzesła, przetoczył po podłodze i zerwał na nogi z już odbezpieczonym pistoletem w rękę.

To była koreańska kelnerka. Tym razem miała na sobie już nie mundur polowy, tylko przejrzysty nylonowy szlafroczek, tak krótki, że widać jej było spod niego majteczki.

Widząc Feltera, mierzącego do niej z pistoletu, dziewczyna przeraziła się i krzyknęła.

- Przestraszyłaś mnie - powiedział, odkładając pistolet na biurko. - Przepraszam.

- To ja przepraszam - odparła. - Nie chciałam cię rozgniewać.

- Wcale się nie gniewam. Czym mogę służyć?

- Nie podobam ci się?

- A! - Felter nareszcie zrozumiał cel tej nocnej wizyty. - Ja mam żonę.

- Tu?

- Nie, w Ameryce.

- No to potrzebujesz kobiety tutaj.

- Nie potrzebuję kobiety.

- No cóż, to może znajdziemy jakiegoś chłopca? Pójdę zapytać... - przeszła na angielski.

- Chciałbym z tobą rozmawiać po koreańsku.

- Jeśli mnie nie zechcesz, major mnie odeśle.

- No cóż, powiedz majorowi, że chcę, żebyś się mną opiekowała. Przekaż mu, że tak ci powiedziałem.

- Jesteś dobrym człowiekiem. Będę się tobą dobrze opiekować. - Skłoniła się głęboko i tyłem wyszła z pokoju. Felter pokręcił głową i usiadł z powrotem do biurka.

Droga Sharon,

No i jestem w Korei. Objąłem dowodzenie nad małą stacją radiową nad brzegiem Morza Japońskiego. To daleko od linii frontu, więc nic mi tu nie grozi. Prawdę mówiąc, jedyne, na co mógłbym narzekać, to brak kanalizacji w kwaterze. Mam tu prysznic, ale za potrzebą trzeba chodzić na dwór.

To bardzo mała jednostka, która prowadzi łączność radiową i przewozi ludzi i towary wzdłuż wybrzeża. Mają dwie chińskie dżonki, zupełnie takie jak na pocztówkach. Może jutro albo pojutrze uda mi się wybrać jedną z nich na przejażdżkę.

Jutro, kiedy się już lepiej rozejrzę, napiszę więcej. Dziś będę już kończył, bo miałem naprawdę długi dzień i jestem bardzo zmęczony.

Kocham Cię i tęsknię za Tobą i za dziećmi. Całuję i ściskam wszystkich, wasz kochający

Sandy

PS Jest tu major nazwiskiem MacMillan, który zna Craiga. Powiedział mi, że Lowell został teraz adiutantem szefa sztabu IX Korpusu. Bardzo bym chciał go odwiedzić, ale to bardzo daleko stąd i nie przypuszczam, żebym się zdołał w najbliższym czasie do niego wybrać. Cieszę się jednak, że już nie będzie musiał iść na front.

XII

1

Czchorwon, Korea Północna
23 sierpnia 1951

Generał major John J. Harrier, szef sztabu IX Korpusu, wyciągnął z maszyny do pisania swego szefa kancelarii kartkę, szybko rzucił na nią okiem i z kieszeni przyszytej na rękawie swojego wykrochmalonego na sztywno munduru polowego wyjął wieczne pióro.

Odkręcił skuwkę i napisał u dołu strony „Twój kochający Johnny”. Wziął z szuflady kopertę, wkręcił ją w maszynę i zaadresował do żony, po czym złożył swój list na trzy, włożył do niej i zakleił. Zaklejoną kopertę wrzucił do pojemnika na korespondencję wychodzącą stojącego na wierzchu przyzmy czterech identycznych pojemników spoczywających na biurku sierżanta.

Wstając, zabrał z blatu napoczętą puszkę piwa Schlitz, opróżnił ją do końca i pustą puszkę wrzucił do kosza na śmieci pod biurkiem. Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. Miał nadzieję, że piwo sprawi, że poczuje senność, ale nic z tego.

Może spacer coś pomoże, pomyślał. Dowódca korpusu i jego zastępca na zmianę wizytowali w środku nocy centrum operacyjne sztabu. Dziś przypadała kolej dowódcy korpusu, a on miał spać. Nie było sensu, żeby obaj w swoim wolnym czasie budzili się kilka razy w nocy na wizytację centrum.

Harrier założył pas z Coltem wz. 1905 i wyszedł do sekretariatu. Oficer dyżurny wstał na jego powitanie.

- Siadaj. Idę się przespacerować przed snem. Powinienem być u siebie około północy.

- Tak jest, sir. Dobranoc, sir.

Harrier zszedł ze wzgórza, na którym stał Biały Dom, i ruszył ścieżką wzdłuż Alei Pułkowników. Aleja Pułkowników była podwójnym rzędem jednoosobowych namiotów - łącznie było ich tam dwadzieścia, mieszkało w nich czternastu pułkowników ze sztabu i sześciu adiutantów trzech generałów dowodzących korpusem. To, że tu mieszkali, nie wynikało z ich szczególnej pozycji, ale miało służyć wygodzie generałów.

Idąc Aleją, ze zdumieniem usłyszał klekot maszyny do pisania. Chwilę poszukał i zlokalizował miejsce, skąd dobiegał. Pomogły mu w tym lekkie przebłyski światła, wydobywającego się z niezasnurowanego wejścia do jednego z namiotów. Wszystkie pozostałe były ciemne i ciche, co oznaczało, że ich mieszkańcy są na służbie albo śpią. Dźwięk i światło dochodziły z namiotu jego młodszego adiutanta, majora Craiga W. Lowella.

Lowell był inny niż pozostali adiutanci. Od pierwszej chwili, kiedy się spotkali, Harrier podejrzewał, że tak będzie. Po pierwsze, nie zameldował się do służby natychmiast, jak zapowiadał pułkownik Jiggs. Od pamiętnej rozmowy w gabinecie dowódcy korpusu, kiedy Jiggs usiłował wybić z głowy temu gryziopiórkowi z kadr przydzielenie chłopaka do działu kontaktów z ludnością, co by mu zapaskudziło akta, musiało upłynąć aż trzy dni, zanim zobaczył swego nowego adiutanta. Jiggs był doskonałym oficerem, Minor doskonałym gryziopiórkiem, ale właśnie gryziopiórkiem, a nie bratem-oficerem jak Jiggs, więc wynik tej rozmowy był z góry

przesądzony.

- Oczekiwałem pana kilka dni wcześniej, majorze - powitał Lowella z tonem pretensji w głosie, kiedy ten wreszcie był łaskaw się pojawić.

- Musiałem wprowadzić w obowiązki mojego następcę, sir - odparł młody major, wcale niezrażony tym, że już pierwszego dnia człowiek numer dwa w korpusie ma do niego zastrzeżenia.

Ton jego odpowiedzi wskazywał, że wyraźnie uznawał to szkolenie następcy za coś znacznie ważniejszego niż noszenie teczki za nowym dowódcą. Oczywiście miał rację, ale większość innych oficerów rzuciłaby wszystko w ką, byle jak najszybciej zameldować się do takiej służby.

Poza tym Lowell zameldował się nieregularnie umundurowany. Z powodu gorąca panującego w czołgach, które zwłaszcza w czasie upalnego koreańskiego lata było naprawdę nieznośne, batalion Jigsa miał nieoficjalne pozwolenie na noszenie koszuli wypuszczonej na spodnie i zawinięcie rękawów. Lowell nie tylko meldował się w takim właśnie stroju, mimo że miał objąć obowiązki w sztabie, a nie w czołgu, ale jeszcze nosił nieprzepisową broń boczną, i do tego w nieprzepisowej kaburze. Regulamin przewidywał Colta wz. 1911 A1 w kaburze podramiennej (przeznaczonej wprawdzie wyłącznie dla załóg czołgowych, ale w rzeczywistości noszonej przez wszystkich oficerów broni pancerniej), a tymczasem Lowell meldował się z niemieckim Lugerem w skórzanej kaburze, której klapę zdobyła w dodatku niemiecka klamra od pasa, z orłem siedzącym na swastyce i dewizą GOTT MIT UNS.

Zanim dał mu wolne na resztę dnia, by zajął się zagospodarowaniem i regulaminowym umundurowaniem, Harrier wygłosił do niego Mowę Numer Trzy na temat funkcji i podstawowych obowiązków adiutantów. Zaczął od przypomnienia, że wywodzą się oni z konnych posłańców dawnych generałów, u których pełnili dodatkowo funkcję ruchomych oczu i uszu przełożonego. Okres służby w charakterze adiutanta miał jeszcze dwa inne zadania: uwolnić generała od uciążliwych i zajmujących mu wiele czasu czynności, które z powodzeniem mogli wykonywać oficerowie niższych rang, a w zamian dać wzmiankowanym oficerom bliski wgląd w to, co to znaczy być generałem i jakie wiążą się z tym obowiązki i odpowiedzialność.

Następnego dnia Lowell, już w regulaminowym mundurze, przez kilka godzin pełnił funkcję starszego adiutanta generała. Tego samego dnia w sztabie zameldował się jednak właściwy starszy adiutant, podpułkownik Edmund Peebles, zastępca

dowódcy 35. Pułku Piechoty, a Lowell został młodszym adiutantem. Harrier przez skórę czuł, że różnice w osobowości jego dwóch adiutantów muszą doprowadzić do konfliktu.

Peebles był z piechoty, po West Point i miał trzydzieści osiem lat. Nie dostał dowództwa batalionu i słusznie podejrzewał, że bez tego szczebla kariery samo zastępstwo dowódcy pułku nie da mu samodzielnego dowództwa pułku. Od tego, jak się sprawdzi jako adiutant generała, zależało, czy zostanie pełnym pułkownikiem. To była jego ostatnia szansa i Peebles doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Może nie zostanie dowódcą pułku, ale był zdeterminowany zostać pułkownikiem, choćby jako oficer sztabowy.

Wiedział, że jedynym sposobem na przekonanie generała, że poradzi sobie w spełnianiu sztabowej funkcji, będzie pełnienie takiej funkcji - a najprostsza do tego droga prowadziła poprzez zrzućenie na młodszego adiutanta wszystkich spraw gospodarczych i zmonopolizowanie wszystkich spraw sztabowych.

Niestety, tu się przeliczył. Młodszy adiutant patrzył na niego okiem doświadczonego dowódcy polowego i natychmiast dostrzegł w swoim bezpośrednim przełożonym wszystko to, co do tej pory powstrzymywało poprzednich dowódców pułkownika Peeblesa przed podpisaniem wniosku o jego awansowanie. Peebles był dobrym oficerem, ale tylko wtedy, kiedy miał nad sobą kogoś, kto mówił mu, co ma robić. Kiedy kogoś takiego nie było, nie był zdolny do podejmowania ważnych decyzji szybko, a czasem wcale.

Lowell, w odróżnieniu od niego, miał pewności siebie za dwóch. Był dwudziestoczteroletnim majorem, to już o czymś świadczyło. Swój przydział do Harriera odczytywał jako tę drugą z wymienianych przez generała powinności adiutanta: miał się przekonać, jak działa dowództwo szczebla wyższego niż batalion czy pułk, i wyciągnąć wnioski, które będą miały znaczenie, kiedy sam będzie nosił generalskie gwiazdki. Zadania, jakie pozostawił mu Peebles - pilnowanie układu gości przy stole, kiedy generał wydawał obiad, czy pilnowanie sprzątanania kwatery i polerowania generalskiego jeepa - nie dawały mu pod tym względem żadnej korzyści. Kiedy Peebles przydzielał mu takie obowiązki, Lowell zawsze zdołał znaleźć porucznika czy sierżanta, któremu mógł je delegować.

We własnym pojęciu major Lowell był dowódcą, który z dowodzenia na niskim szczeblu (choć akurat dowództwo nad Grupą Bojową Lowell, a zwłaszcza odznaczenia, które za nie dostał, były na pewno ważniejsze nawet od stażu na stanowisku dowódcy batalionu) był szykowany do przejścia na wyższy. Pułkownik Peebles miał w perspektywie jedynie przejście z za jednego biurka za następnym.

Paul Jiggs skorzystał z ogólnikowego zaproszenia na obiad i pojawił się już następnego dnia po rozmowie, w której oddał Lowella generałowi, i przez ponad godzinę klarował mu, jakiego to świetnego oficera oddał mu na adiutanta. Młody major miał być rzadko spotykanym harmonijnym połączeniem sprawnego organizatora i doskonałego dowódcy polowego. Harrier znał Jiggasa na tyle długo, żeby wiedzieć, że nie rzuca słów na wiatr, poza tym dochodziły także inne sygnały o tym, że Lowell jest bardzo popularnym dowódcą. Odkąd objął swoje obowiązki, przez dowództwo korpusu przewalała się nieustająca procesja oficerów i podoficerów, którzy kończąc roczną turę bojową, znajdowali czas i zdobywali jakoś pojazdy, żeby odwiedzić Lowella i pożegnać się ze swoim byłym przełożonym.

Przybywali pojedynczo, parami, czasem po trzech, w takiej kolejności, w której dostawali rozkazy, i nie sposób było nie słyszeć ich często podpiitych głosów, kiedy zaczynali wspominać. Harrier nasłuchiwał się ich dość.

- Nigdy nie zapomnę dnia, w którym ten szczeniak z zupackimi zapędami objął dowództwo. Człowieku, ależ on wziął całą kompanię za dupę!

- A potem, po dziewięciu dniach szlajania się w tę i nazad po całym półwyspie, dojeżdżamy do Osan i już prawie jesteśmy na miejscu, kiedy jakiś pieprzony dupek z piechoty, który nie potrafi odróżnić T-34 od Pattona, wali do nas z Bazooki. Spudłował, ale jeden z czołgów zakręcił lufą i przysunął mu. Chwilę potem połączyliśmy się z naszymi, atakującymi od Inczhon. Przejeżdżamy, a tu jakiś pułkownik od zajęcy przylatuje wściekły i dawaj na Księcia naskakiwać za to, że jeden z jego własnych ludzi do nas kropnął. „Panie majorze, gdyby pan był tam, gdzie powinien, to nic by nie było” i tak dalej. Księżę stoi, słucha, i jak tamten już skończył, to spojrzał mu prosto w oczy tymi swoimi błękitnymi ślepkami i odpowiedział: „To co, sir, mam wracać czy jak?” Tamtego kompletnie przytknęło!

- A pamiętasz, jak żeśmy zwiewali z Jalu z żółtkami na karku? Ledwie zdążyliśmy zabrać tyłki z tej plaży pod Hamhung, czy jak tam. Dopytywamy na transportowiec, jest Wigilia, a my po raz pierwszy od miesiąca siedzimy w ciepłe, możemy się wykapać i zjeść coś innego niż pieprzone puszki. Wchodzi Księżę i dwóch innych oficerów, wnoszą dwie skrzynki kumulacyjnych dziewięćdziesiątek do Pattona, a tu jakiś marynarz wpada i drze mordę, że major mógłby mieć na tyle rozumu w głowie, żeby nie wnosić ostrej amunicji do pomieszczeń mieszkalnych. A Księżę mu na to, że spokojna głowa, to nie amunicja, tylko gorzała. Jezu, co

tam się potem działo! Nie wiem, jak Książę to potem załatwił, ale batalion dostał po kielichu na Wigilię, tej nocy, gdy osłaniając odwrót, załadowaliśmy się na statek razem z całym sprzętem, rannymi i nawet zabitymi, chociaż marynarze marudzili, że to wbrew wszelkim przepisom i regulaminom.

Harrier zapamiętał zwłaszcza wizytę pewnego potężnie zbudowanego chorążego, o którym Lowell opowiadał mu potem, że był jego szefem kancelarii w sekcji operacyjnej batalionu i na odchodnym załatwił mu awans na chorążego. Kawał byka, naprawdę przerażająca gęba, facet, który wyglądał, jakby jadał wyłącznie gwoździe i wypluwał pinezki, a stał przed Lowellem zapłakany i nawet go przytulił na pożegnanie. Harrier odniósł wrażenie, że jeszcze chwila i zacznie go całować.

Generał Harrier podejrzewał, że pułkownik Peebles był jednym z tych oficerów, którzy swoją filozofię dowodzenia opierają na przekonaniu, że przełożony powinien się spodziewać po podwładnych jedynie posłuszeństwa, a dobrego dowódcę poznaje się po tym, że go nienawidzą. To był pogląd dość rozpowszechniony, spadek po Pattonie, i Harrier był jednym z tych, którzy go nie podzielali. Skoro jednak Peebles był jego wyznawcą, nie dziw, że denerwowały go przejawy sympatii, z którą spotykał się Lowell, zwłaszcza ze strony oficerów, którzy też przyjeżdżali się z nim żegnać.

Konflikt nabrzmiał w końcu tak, że trzeba było oficjalnie tych dwóch rozdzielić, zanim narobią sobie kłopotów. Harrier zamienił się na adiutantów z sekretarzem sztabu - Lowell poszedł do nich, a sierżant-szef sekretariatu przejął jego obowiązki adiutanckie. Major i tak niedługo miał wracać do domu i Harrier uznał, że za swe zasługi ma prawo wrócić bez kłopotów ze strony Peeblesa.

Zaciekawiony, czym też jego były adiutant mógł się zaferować aż tak, że zabrał do namiotu maszynę do pisania, zamiast iść spać, generał skręcił z Alei na ścieżkę wiodącą do namiotu Lowella i odchylił płachtę.

Major siedział nad maszyną ubrany w same gatki, a jego palce tańczyły po klawiaturze. W ogóle nie zwracał uwagi na przybysza. W pierwszej chwili Harrier pomyślał, że pisze jakiś list. W maszynę wkręconych było jednak wiele kartek poprzekładanych arkuszami kalki, a wokół, na rozkładanym stoliku i połowym łóżku, walały się różne dokumenty, regulaminy i instrukcje.

Generał przyglądał mu się przez jakiś czas, aż wreszcie powiedział:

- Od takich rzeczy mamy tu maszynistów, majorze.

Lowell odruchowo zerwał się zza stołu.

- Przepraszam, sir. Myślałem, że to pułkownik Peebles.

- A tak w ogóle, to nad czym pan tak ślęczy po nocach, majorze? - zapytał generał. Podszedł i popatrzył na wkręcony w maszynę dokument.

- To studium sztabowe na temat organicznej sekcji powietrznej dowództwa, sir.

- Pańskie oddanie sprawie jest wzruszające - kpiąco stwierdził generał.

- Powiedział pan, żebym to oddał jak najszybciej, sir.

- Miałem na myśli, żeby pan pogonił kota maszynistom, a nie robił to sam.

- No cóż, prawdę mówiąc, pozwoliłem sobie wprowadzić do pańskiego dokumentu kilka zmian, sir. Hala maszyn przepisuje pańską wersję, a ja piszę swoją. Miałem zamiar wręczyć panu obie z prośbą o rozważenie moich poprawek.

- Zaraz, czy ja aby dobrze słyszę? Ulepszył pan to, co panu dałem, Lowell?

- Wydaje mi się, że dostrzegłem kilka zagadnień, które być może uszły pańskiej uwagi, sir.

- To może od razu je omówimy? - Ton głosu generała był teraz otwarcie sarkastyczny. - Oszczędzi pan sobie mnóstwo pisania na maszynie.

Sekcja powietrzna dowództwa od ich przyjazdu do Korei znacznie się rozrosła. Według etatu statki powietrzne, zarówno helikoptery, jak samoloty, należały się tylko rodzajom wojsk i służbom, a nie jednostkom jako takim. L-5 i L-19 przydzielano jako samoloty łącznikowe dowództwu korpusu, saperom do wykonywania pomiarów i opracowywania map z powietrza, artylerii do korygowania ognia i Służbie Zdrowia jako latające sanitarki.

Jeszcze w czasie drugiej wojny światowej wielu oficerów liniowych dostrzegano dla lekkich samolotów wiele innych zadań, których jednak z braku przydzielonej maszyny nie dało się realizować. Patton pewnego razu przerzucił przez Ren cały batalion piechoty przy ich użyciu, pakując po jednym żołnierzu na tylne siedzenie dwuosobowego Piper Cuba. Żeby tego dokonać, musiał ogołocić z samolotów jednostki całej swojej grupy armii i zgromadzić je w jednym miejscu.

Odkąd zaczęła się ta wojna w Korei, potrzeba posiadania większej liczby lekkich samolotów i śmigłowców w jednostkach taktycznych dawała o sobie znać coraz natęczywiej. Dowódca X Korpusu pod Inczhon, generał Almond, musiał pożyczać helikoptery od Marines, żeby latać do swoich jednostek rozrzuconych po całym półwyspie.

Znaleziono tymczasowe, nieoficjalne rozwiązanie. Do Korei przerzucono

znacznie więcej pilotów i samolotów, niż to przewidywały etaty, nowych pilotów i ich maszyny zapisując w stanach liczbowych jednostek jako „środki nadetatowe”.

Z owych „nadetatowych” pilotów utworzono pulę, z której przydzielano ich do dywizji, korpusów i jednostek, które normalnie nie miały co liczyć na przydział samolotu. Taki przydział, choć nieoficjalny, faktycznie oznaczał, że pilot stawał się przypisany do danej jednostki, a nie do puli korpusu - jeżeli jego dywizja przechodziła do innego korpusu, szedł wraz z nią, i macierzysty korpus tracił go bezpowrotnie.

Generał Harrier już od jakiegoś czasu starał się zalegalizować „nadetatowych” i sprawić, by ich przydziały miały oficjalny charakter, a więc by można w razie przeniesienia wyegzekwować zwrot pilota i maszyny. Póki jednak nie dostał Lowella, nie miał czasu ani możliwości zrobić czegokolwiek w tej sprawie i leżała ona odłogiem. Chłopak przyszedł z reputacją czarodziej a planowania, to niech się wykaże. Harrier ponownie wyciągnął sprawę i zlecił jej załatwienie sekretariatowi sztabu. Wcale się nie zdziwił, kiedy sekretarz z kolei przerzucił na Lowella odpowiedzialność za jej załatwienie. Na podstawie projektu Harriera Lowell miał przygotować ostateczną wersję dokumentu, który Harrier podpisze i wyśle w dalszą drogę na niebezpieczne, usiane rafami wody wojskowej biurokracji.

Biorąc pod uwagę rzadko skrywane przekonanie majora Lowella, że z kilkoma chwalebnyymi wyjątkami (takimi jak on sam na przykład) w US Army przeważają nie w pełni kompetentni oficerowie, generała Harriera wcale nie zdziwiło, że i jego argumenty oraz propozycje stały się obiektem poprawek. Harrier jednocześnie doskonale zdawał sobie sprawę, że trudno byłoby znaleźć w wojsku majora, który nie byłby przeświadczony o tym, że każdy problem jest w stanie rozwiązać lepiej niż stojący nad nim generał. Chęć „poprawienia” pracy człowieka dosłownie mogącego być jego ojcem, który był oficerem, zanim autor poprawek się urodził, nie zaskoczyła więc generała ani trochę.

Zdumiało go dopiero co innego. Przeczytał poprawki Lowella i musiał przyznać, że zmiany proponowane przez tego szczeniaka rzeczywiście wyszłyby na dobre jego propozycjom i argumentom, które podnosił na ich obronę. Nie ulegało wątpliwości - z poprawkami Lowella to był naprawdę pierwszorzędny dokument sztabowy i Harrier to dostrzegwał.

Znalazł jednak kilka miejsc, w których Lowell mylił się zasadniczo, i nie omieszkał mu tego wytknąć.

- Zmieniamy tekst zgodnie z pańskimi sugestiami, Lowell - postanowił na koniec. - Proszę dopilnować wprowadzenia zmian.

- Tak jest, sir.

- Prawdę mówiąc, Lowell... Zdaję sobie sprawę z tego, że to, co teraz powiem, może panu uderzyć do głowy, i bardzo bym tego nie chciał, ale muszę przyznać, że to był kawał naprawdę rzetelnej i błyskotliwej pracy sztabowej. Być może nie jest pan w rzeczywistości aż tak niekompetentny, jak utrzymywał pułkownik Minor.

- Dziękuję, sir.

- O tym dopilnowywaniu przepisywania mówiłem poważnie. Niech się pan nie waży sam tego robić. Nie można się tylko zajmować pracą. Proszę iść do klubu i wypić głębszego przed snem. To rozkaz.

- Jeden z powodów, dla których się tym zająłem, panie generale, to ten, żeby się trzymać z daleka od klubu.

- O, a to dlaczego?

- Całe szczęście, że nie jestem bogaty, bo mógłbym się rozpić, sir.

Harrier przypomniał sobie rozmowę z Jiggsem o żonie Lowella.

Przypomniał sobie, że w dniu, w którym ten chłopak zyskał sobie miejsce w podręcznikach historii wojskowości, w tym samym dniu, w którym jako dwudziestoczworoletni został majorem, otrzymał telegram zawiadamiający go, że został także wdowcem. Być może Lowell naprawdę miał kłopoty z alkoholem i wołał się nie wodzić na pokuszenie?

- Jak to? Przecież pan jest bogaty - odparł. - Właśnie dostałem raport na pana temat z kontrwywiadu w związku z dopuszczeniem do materiałów ściśle tajnych. Fascynująca lektura.

Lowell milczał.

- Reputacja kompletnego abstynenta i odludka zaszkodzi pańskiej karierze w równym stopniu co nadmiar bogactwa, majorze. W barze kasyna załatwia się pomiędzy oficerami mnóstwo rzeczy, czasem więcej i łatwiej niż przez cały dzień w sztabie. W barze może pan komuś powiedzieć, że jest zasranym dupkiem i ujdzie to panu na sucho. W biurze tak by się nie dało.

- Tak jest, sir.

- Jeśli pan naprawdę myśli o pozostaniu w wojsku, Lowell, pańskim największym kłopotem będzie nie wykonywanie postawionych przed panem zadań, ale ukrywanie pańskiego ugruntowanego poglądu o tym, że większość ludzi, z którymi będzie miał pan do czynienia, to dupy wołowe.

Lowell nie odpowiedział.

- W większości wypadków będzie pan miał świętą rację, Lowell, ale nie będzie pan mógł im tego powiedzieć - uśmiechnął się generał. - Dobranoc, Lowell.

- Dobranoc, sir.

Po wyjściu od Lowella Harrier ruszył z powrotem do Białego Domu i kwater generalskich. Po chwili jednak zmienił plany. Rozmowa z Lowellem sprawiła, że całkiem odechciało mu się spać. Zawrócił więc i skierował się do osłoniętej workami z piaskiem sekcji operacyjnej sztabu. Żandarm na warcie czuwał mniej więcej w prawidłowej pozycji, z pistoletem maszynowym na ramieniu, zgodnie z regulaminem. Zwykle siedzieli z Thompsonami na kolanach, więc Harrier już wiedział, że wewnątrz jest jakiś wyższy stopniem oficer.

- Dobry wieczór, sir - pozdrowił go żandarm.
- Dobry wieczór, sierżancie - odparł Harrier i wszedł do wnętrza.

Do dźwięku pomocniczego generatora dieslowskiego, zasilającego dział operacyjny, doszedł teraz klekot teleksów. Wewnątrz zastał zarówno szefa działu operacyjnego, jak i wywiadu korpusu oraz samego dowódcę korpusu.

- Bezsensowność - odparł Harrier, widząc pytające spojrzenia. - Jutro pewnie będę co chwila przysypiał.

Podszedł do olbrzymiej mapy sytuacyjnej i jeden z sierżantów sekcji zwiadu zaznajomił go z wydarzeniami ostatnich godzin. Niewiele się działo. Na froncie panował spokój, jeśli nie liczyć nękającego ognia artylerii na pozycjach 45. Dywizji Piechoty i dwóch wypadów patroli w sile około plutonu na pozycje 187. Pułkowej Grupy Bojowej.

Za to biurokraci mają roboty po uszy, pomyślał generał, słysząc niemilknący ani na sekundę klekot teleksu. Podszedł do maszyny, żeby się przekonać, co też tam, na tyłach znowu wypichcili. Nad teleksem pochylał się dowódca korpusu, więc może to coś ważnego, bo stał nad maszyną i czekał, aż długa depesza zostanie wydrukowana do końca. Kiedy to wreszcie nastąpiło, sam oderwał długą na ponad metr wstęgę żółtego papieru i podszedł do mapy sytuacyjnej. Usiadł na jednym ze stojących tam foteli i zagłębił się w lekturze.

Harrier zajął drugi i cierpliwie czekał, aż jego zwierzchnik zakończy czytanie depeszy. Chrząknięcia, przekleństwa i pełne niedowierzania miny generała nie wróżyły najlepiej. Cokolwiek to było, generałowi wyraźnie się nie podobało. W końcu podał dokument Harrierowi.

- Kiedy byłem operacyjnym - powiedział, krzywiąc się - potrafiłem krótszym rozkazem operacyjnym przerzucić całą dywizję piechoty z Afryki Północnej na Sycylię.

Harrier uśmiechnął się i rzucił okiem na depezę.

Nagłówek głosił:

OSTATECZNY PLAN TOURNEE ORKIESTRY USO* WAYNEA BAXLEYA.

Harrier pokrótce przejrzał tekst depezy. Zawierała ona pełny skład zespołu ułożony według płci, wieku i przysługującego na czas tournée stopnia wojskowego, od techników sceny (którym w Korei przysługiwały prawa poruczników) po samego Baxleya i pannę Georgię Paige, gwiazdę filmową, którym przysługiwały kwatery i transport odpowiednie dla generałów majorów. Po tej wyliczance depeza zawierała szczegółowy, z dokładnością do kwadransa, rozkład jazdy od lądowania na lotnisku KI w Pusan do wejścia na pokład samolotu do Tokio z K16 (Kimpo) w Seulu trzynastcie dni później.

Kiedy odłożył depezę, dowódca korpusu dodał:

- Poza tym żywię poważne wątpliwości co do tego, czy te objazdy wyjdą nam na dobre.

Generał Harrier wyczuł, że to nie koniec i że generał potrzebuje słuchacza.

- Tak, sir? A dlaczego?

- Te trupy objazdowe USO mają rzekomo służyć poprawieniu morale wojsk.

- A ja myślałem, że mają im przypomnieć o dziewczynach, które zostały w kraju - odparł Harrier. - Przecież to właśnie o ich szczęście, nie licząc mamusinej szarlotki, podobno tu walczą.

- O tak, o dziewczynach to one im rzeczywiście przypominają, co do tego nie mam wątpliwości. Tyle że jeśli już rozpatrywać ten aspekt ich działalności, to jest to cholerne okrucieństwo, czysty sadyzm i perwersja.

Harrier z pewnym zdziwieniem odkrył, że generał mówi to zupełnie serio.

- Przywożąc tu hoże dziewoje jak malowane, puszczając wokół sceny ubrane akurat na tyle, żeby nikt nie mógł oskarżyć organizatorów o pornografię, i nie wątpię, że zdrowym, młodym, jurnym żołnierzom przypomina to o dziewczynach. I co dalej? Mogą sobie popatrzeć, i nic więcej. To czyste okrucieństwo.

- Prawdę mówiąc, nie przyszło mi to do głowy.

- Taniej i skuteczniej byłoby pójść za przykładem francuskim.

* United Services Organisation - instytucja zajmująca się organizowaniem występów artystycznych i innych rozrywek dla żołnierzy, w tym prowadzeniem kantyn, kasyn i klubów w bazach wojskowych na terenie Stanów i za granicami (przyp. tłum.).

- Z tego, co słyszałem - odparł, uśmiechając się Harrier – to Paul Jiggs doszedł do tego samego wniosku.

Rozwiązanie francuskie, o którym dyskutowali obaj panowie, polegało na organizowaniu polowych burdeli dla żołnierzy. Plotka głosiła, że ambulanse 8222. plutonu transportu sanitarnego, przydzielonego do 73. Wzmocnionego Batalionu Czołgów Ciężkich równie często dowoziły ciepłe kobiece ciała na linię frontu, jak odwoziły z niej zimne męskie.

- Wstydziliby się pan, sir - odparł dowódca korpusu. - To zupełnie co innego, miejscowe ochotniczki, służące pomocą żołnierzom walczącym o wolność ich kraju.

Obaj generałowie roześmiali się, a od nich zaraźliwa wesołość przeniosła się na wszystkich w sekcji, pułkowników, majorów i sierżantów. Nie uszło to uwagi dowódcy korpusu.

- Całe szczęście, panowie, że nie roznosicie po obozie tego, co tu usłyszycie. Gdyby było inaczej, moje wrażliwe serce musiałyby cierpieć na widok dobrych kancelistów marnujących się w oddziałach wartowniczych z karabinami na ramieniu.

Tym razem tylko sierżanci ryknęli śmiechem.

- No i co powiesz? - generał zapytał jednego z nich. - Czy żołnierzom coś dobrego przyjdzie po takim występie USO?

- Nawet jeśli będzie można tylko popatrzeć i nic więcej, to już i tak lepiej niż nic, sir.

- No dobra, wychodzi na to, że nie miałem racji. - Generał wzruszył ramionami.

- Panie generale - odezwał się chudy sierżant z rozpoznania pod trzydziestkę - żołnierzy wkurza nie to, że mogą tylko popatrzeć, ale to, że te artystki w końcu lądują u oficerów. Znaczy w oficerskim kasynie.

- No cóż, to już do cholery, nie moja wina, sierżancie - odparł generał. - Tu mówią nam nawet, gdzie mamy ich karmić - wskazał na długą, żółtą depeszę. - O jasny gwint! Harrier, popatrz no tylko na to! Tu, w paragrafie 23., widziałeś? Piszą nawet, kogo mamy wyznaczyć do eskortowania tych darmozjadów!

Harrier odnalazł wspomniany przez generała paragraf na długiej wstędze.

23. W celu ułatwienia realizacji szczegółowego rozkładu zajęć zespołu każdy korpus wyznaczy oficera, najlepiej adiutanta w stopniu od majora wzwyż, do eskortowania zespołu na terenie poszczególnych korpusów. Każdy z wyznaczonych oficerów zamelduje się u oficera odpowiedzialnego za tournée (pułkownika Thomasa B. Dannellygo lub innego przez niego wyznaczonego) na dwa (2) dni

przed wyznaczonym terminem przyjazdu zespołu na teren korpusu i pozostanie z zespołem aż do opuszczenia przez niego terenu korpusu.

- Co ty na to? - zapytał dowódca korpusu.

Harrier przekazał depeszę szefowi działu operacyjnego, który, jak podejrzewał, był zbyt grzeczny, by o nią poprosić czy czytać mu przez ramię.

- Przepraszam, Charley - powiedział, zanim odpowiedział na pytanie dowódcy. - Myślę, sir, że natłok pilnych obowiązków natury wojskowej nie pozwoli naszym adiutantom objąć dodatkowych powinności, choćby i najwyższej rangi.

- Co więc proponujesz?

- Niech się tym zajmie dział kontaktów z ludnością. W ostateczności niech sam jego szef z nimi jedzie.

- Nie ma mowy. Wiesz, że oni szykują po każdym takim wyjeździe raport, zupełnie jak po ważnej operacji wojskowej? Jeśli nie dostaną adiutanta, poskarżą się w nim, żeśmy nie dotrzyliśmy postanowień paragrafu numer taki to a taki, i jakiś sukсын, który nie ma nic lepszego do roboty poza wycieraniem fotela, każe nam się z tego tłumaczyć na piśmie. Odżalujmy już lepiej któregoś z adiutantów i oszczędźmy sobie kłopotów.

- Tak jest, sir.

- Rób, co chcesz, bylebyś trzymał tych ludzi z daleka ode mnie, Harrier.

- Z daleka od pana, sir?

- W innym paragrafie „zalecają”, żeby ktoś z dowództwa korpusu podjął drogich gości kolacją. Od tej chwili w dowództwie IX Korpusu podejmowanie kierowników orkiestr i gwiazd filmowych należy do obowiązków służbowych szefa sztabu.

- Tak jest, sir.

- Po prostu przywieź ich tu, a potem zabierz ich stąd tak, żeby nie było kłopotów.

- Tak jest, sir. Czy jako szef sztabu korpusu mogę przedstawić dowódcy korpusu fakty, które być może umknęły jego uwagi, sir?

- Na przykład?

- Czy nazwisko Georgia Paige coś panu mówi, sir?

- To ta, co chodzi bez biustonosza?

- Tak jest, sir.

- No i co z tego?

- Czy dowódca korpusu naprawdę chce zrezygnować z możliwości osobistego rozpoznania tak fascynujących szczegółów anatomii terenu?

Dowódca korpusu roześmiał się.

- Niniejszym dowódca korpusu informuje szefa sztabu, że w gruncie rzeczy w tej sprawie nie różni się aż tak bardzo od zwykłego dziewiętnastoletniego żołnierza i uważa, że skoro nie może takiego rozpoznania przeprowadzić dokładnie, to woli, żeby mu tych szczegółów nie pchali przed oczy.

- A czy szef sztabu może chociaż rzucić okiem, sir?

- Harrier, powinieneś się wstydzić! - wydusił generał, zanosząc się śmiechem.

- Rób, co chcesz, tylko niech mi ona tych cyków w oczy nie pcha!

- Tak jest, sir.

Harrier wyciągnął z kieszeni na rękawie ołówek i napisał na depeszy: „Sekr. szt. kor. - załatwić. Mjr Lowell. Harrier”. Uniósł depeszę, po którą podszedł sierżant łącznościowiec. Major Lowell był najmłodszym oficerem sztabowym wśród sześciu adiutantów dowództwa. Najmłodszym zwykle przypada w udziale brudna robota.

Zresztą, Chryste, może chociaż Lowellowi uda się położyć ręce na wspaniałych piersiach panny Paige. Rzeczywiście były wspaniałe. Generał widział je na plakatach reklamujących zapowiadany już od dawna objazd trupy Baxleya - tak stary jeszcze nie był, żeby ich nie zauważyć.

To była śmiała, przewrotna myśl, po której przysłała inna, nieco trzeźwiejsza: może Lowellowi trzeba właśnie baby? Nie brał urlopu WiR, odkąd wrócił do Korei po pogrzebie żony. Czy była to tylko niechęć do opuszczania służby? Harrier wątpił w to. Chłopak zapewne obawiał się stracić nad sobą kontrolę. Wszystko zamykał w sobie, ale przecież to nie mogło trwać bez końca. Może właśnie potrzebował kobiety, żeby się z tego otrząsnąć?

Zresztą to i tak bzdury. Przecież one tu nie przyjeżdżają sypiać z żołnierzami. Celem podróży do Korei jest zabawienie żołnierzy, a dokładniej to, żeby napisali o tym w gazetach.

Szansę na to, że major Lowell czy którykolwiek żołnierz zdejmie majtki pannie Paige czy którejkolwiek innej kobiecie z całej trupy Baxleya, były takie same jak wówczas, gdyby kupili bilet na ich występ w Nowym Jorku - mniej więcej jak jeden do dwóch milionów.

Kiedy generał E. Z. Black wyszedł ze swojego gabinetu do pokoju sekretarza sztabu XIX Korpusu, trzydziestopięcioletni major rozmawiał z innym oficerem, który był w wieku odpowiednim raczej dla porucznika, ale nosił na kołnierzu złote słoneczka majora.

Młody wiek majora zaintrygował generała, podobnie jak to, że gość nosił przy pasie nieregulaminową kaburę, z której wystawała charakterystyczna kolba niemieckiego Luger'a. Kiedy sekretarz zerwał się zza biurka na widok generała, dowódca miał okazję obejrzeć inne ciekawe oznaki na jego mundurze. Na kołnierzu miał tarczkę z dwiema srebrnymi gwiazdkami, oznakę adiutanta generała dywizji, a na rękawie trójkątną naszywkę broni pancernej, na której wierzchołku zamiast numeru dywizji widniała liczba 73.

- Nie przeszkadzajcie sobie, ja zaczekam - powiedział Black. - Proszę najpierw załatwić majora.

- Właśnie powiedziałem majorowi, że majora MacMillana nie ma na terenie dowództwa, sir.

- I?

- Zapytałem majora, czy pyta w imieniu generała Harriera, a on odpowiedział, że nie, że ma do niego osobistą sprawę.

- A co pan do niego ma, majorze? - zainteresował się Black.

- To mój stary przyjaciel, sir. Zostałem poinformowany, że jest pańskim adiutantem, sir.

- Był. Obawiam się jednak, że teraz nie będzie się pan mógł z nim spotkać. Mogę mu natomiast przekazać wiadomość, że chciał się pan z nim spotkać.

- Dziękuję, sir. To nic pilnego. Po prostu jadąc tutaj, miałem nadzieję, że się z nim spotkam.

- Czy generał Harrier się do nas wybiera?

- Nie, sir. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

- A więc przyjechał pan tylko odwiedzić Maca, czy tak?

- Nie, sir. Przyjechałem w sprawie objazdu USO.

Z każdego słowa, z tonu, jakim je wypowiadał, gestykulacji i mimiki wynikało jasno, do jakiego stopnia młody oficer nie jest zachwycony rolą piastunki artystów, która przypadła mu w udziale. Black mógł to zrozumieć. Młody major był przecież czołgistą, tak jak i on.

- Długo pan służył w 73. Batalionie, majorze?

- Jedenaście miesięcy, sir.

- A więc brał pan udział w działaniach Grupy Bojowej Lowell?

- Tak jest, sir - odparł major z dziwnym uśmiechem.
- Po powrocie do domu będzie pan mógł więc wspominać raczej tamto niż opiekę nad artystami.
- Tak jest, sir.
- Przepraszam, ale ma pan nade mną przewagę, majorze. Pan zna moje nazwisko, a ja nie znam pańskiego - powiedział generał, wyciągając dłoń na powitanie.
- Lowell, sir.
- To Pan jest Lowell? Ten Lowell?
- Tak jest, sir. Ja dowodziłem grupą, jeśli to miał pan na myśli.
- To co pan robi w sztabie, nosząc teczkę za generałem?
- Zostały mi dwa miesiące do przeniesienia, sir. A poza tym przysłano na moje miejsce wykwalifikowanego oficera planowania, więc pułkownik Jiggs znalazł mi to zajęcie.
- I zwalili na pana opiekę nad USO? Boże święty!

Lowell nie odpowiedział.

- Czy w tej chwili ma pan jakieś zajęcia z tym związane?
- Nie, sir. Ciężarówki z kompanii transportowej mają przyjechać po bagaże o 18.00. Samolot Sił Powietrznych zabierze gwiazdy jutro o 7.45.
- Czy w takim razie miałby pan czas na wypicie filiżanki kawy w moim towarzystwie? Czytałem pański raport po tamtym zagonie. Użycie M24 do eskortowania cystern i przerzucenie rozpoznania na te pańskie opancerzone ciężarówki o mało nie przyprawiło paru osób o apopleksję.
- Żywię szczerą nadzieję, że pan się do nich nie zalicza, sir.
- Jasne, że nie! Broń pancerna jest od tego, żeby walić jak w bęben, a nie wysłać uderzenie po kawałku.

Położył plik papierów na biurku sekretarza.

- Dopilnuj, żeby mi nikt nie zawracał głowy przez następne czterdzieści pięć minut - powiedział i wskazał Lowellowi drzwi gabinetu.

Generał strasznie się nudził. Nie dali mu żadnej jednostki pancerniej, zresztą i tak był już za stary, żeby się wdrapać do czołgu i poprowadzić pancerny zagon w starym kawaleryjskim stylu. Skoro nie mógł się tym zająć bezpośrednio, pozostawało mu studiowanie raportów innych, którzy jeszcze mogli. Bardzo chciał porozmawiać z tym młodym, pełnym energii, zapalczywym oficerem, który dowiedział, że nawet w erze nuklearnej jest jeszcze miejsce na kawaleryjską fantazję.

- Może pan wybrać, majorze - powiedział generał, kiedy zamknęli za sobą

drzwi. - Kawa czy może trochę tego? - Uniósł butelkę dwudziestoczteroletniej whisky Ambassador.

- Poproszę whisky, panie generale.

- Tego się obawiałem - odparł generał z uśmiechem. - Najniebezpieczniejsze miejsce pod słońcem znajduje się podobno między butelką a spragnionym kawalerzystą.

Nalał Lowellowi dobre siedem centymetrów wspaniałego trunku.

- Czytając pański raport, naprawdę żałowałem, że nie mogłem tam być z panem, majorze. Niech pan mi powie, skąd pan wziął ten pomysł z Waspami, tymi opancerzonymi ciężarówkami?

Lowell usiadł, nie czekając na zaproszenie, pociągnął łyczek ze swojej szklanceczki i rozpoczął opowieść o Waspach i Grupie Bojowej Lowell.

4

Kiedy panna Georgia Paige zobaczyła, że ich kolejny opiekun, młody blondyn w stopniu majora, wszedł do kasyna w towarzystwie samego dowódcy korpusu, jej podejrzenie, które nasunęło się już w trakcie ich pierwszego, trwającego dziewięćdziesiąt sekund spotkania, uzyskało kolejne potwierdzenie. Major naprawdę był kimś wyjątkowym.

U pułkownika Donnelly'ego, który nadzorował objazd, zameldował się w czasie obiadu. Zatrzymał na niej spojrzenie wystarczająco długo, by zauważyła w jego oczach rozczarowanie, że tym razem ma na sobie stanik. Oni wszyscy najpierw to sprawdzali. To zdjęcie bez stanika na plakacie było naprawdę genialnym posunięciem Tony'ego Ricca, jej agenta prasowego. Dzięki niemu dostała się na okładkę „Life'a” na długo przed tym, zanim rozwój jej kariery uzasadnił w ogóle jakiegokolwiek zainteresowanie tygodnika jej osobą, nie mówiąc już o zamieszczeniu jej zdjęcia na okładce.

To było dla niej trochę kłępujące, kiedy Tony, w obecności tych wszystkich ludzi w studiu fotograficznym kazał jej dmuchać na brodawki sutków, żeby zaczęły sterczeć i żeby ich zarys było widać przez bluzkę na zdjęciu. Potem tych zdjęć używano do reklamy i z tym też było sporo zamieszania. „Chicago Tribune” i „New York Times” zamieściły je dopiero po ocenowaniu aerografem retuszera. Tony także z tego potrafił wycisnąć sporo prasowego szumu.

Georgia zdawała sobie sprawę, że każdy mężczyzna patrzy najpierw na jej piersi. Przystojny młody major nie różnił się pod tym względem od innych, ale było w nim coś innego, co przykuło jej uwagę. Może to, że kiedy zauważył, że ma

biustonosz, w ogóle przestał zwracać na nią uwagę.

Odmówił nawet Donnelly'emu, kiedy zaprosił go na obiad z artystami, co się dotychczas nie zdarzyło. Powiedział, że musi się spotkać z jakimś przyjacielem. Była rozczarowana i to ją zaskoczyło. W końcu co za różnica? W życiu spotka jeszcze mnóstwo młodych przystojnych mężczyzn, a niektórzy z nich na pewno będą woleli towarzystwo kobiet niż starych przyjaciół. Jeden żołnierz w tę czy w tamtą, co za różnica?

Tak naprawdę bardziej cieszyła się ze spotkania z generałem. Ojciec powiedział jej, że to jeden z legendarnych bohaterów wojny światowej, wybitny dowódca wojsk pancernych, który walczył pod „Porkym” Waterfordem (w życiu nie słyszała o nikim takim), a wcześniej pod Pattonem, o którym słyszeli wszyscy. Tymczasem generał Black, w odróżnieniu od wszystkich innych przed nim, robił co mógł, żeby ich unikać. Wayne był wściekły. Bardzo lubił być gwiazdą, liderem big-bandu, który serio traktował, zgodnie z jego hasłem reklamowym, jako „Ulubioną orkiestrę Ameryki”, uważał więc za swoje prawo i przywilej, żeby generalicja zabiegała o jego względy. Zastanawiała się, czy generał naprawdę był tak zajęty, jak mówili jego adiutanci, czy po prostu nie miał zamiaru zadawać się z Baxleyem i jego gwiazdami. Były nawet podobno jakieś wątpliwości, czy pojawi się na wieczornym przedstawieniu.

A tu proszę, pojawia się ni stąd, ni zowąd, i to właśnie w towarzystwie tego młodego majora. Georgia zauważyła, że Donnelly był najwyraźniej zaskoczony ich wizytą i dobrą komitywą pomiędzy generałem a opiekunem zespołu.

- Miło mi pana poznać, panie Baxley - powiedział generał. - Bardzo się cieszymy, że pan do nas zajrzał.

Wayne Baxley, niemal ociekając urokiem, odparł, że zawsze stara się robić, co może dla chłopców w mundurach. - Bob Hope - ciągnął Wayne - powiedział mi kiedyś, że jeśli chodzi o odległość, którą przebywał, by zapewnić rozrywkę żołnierzom, zajmuję drugie miejsce po nim.

Georgia nie wierzyła w ani jedno słowo i zastanawiała się, czy generał w to uwierzył. Po pierwsze, Bob zapewne nie pozwoliłby, żeby ktokolwiek widział ich razem w publicznym miejscu. Po drugie, gdyby do takiego spotkania jednak doszło, była pewna, że Baxley mówiłby do niego „panie Hope” i latałby wokół niego, tak jak tutejsi pułkownicy wokół dowódcy korpusu. Wayne wreszcie skończył i przystąpił do przedstawienia jej.

- A oto marzenie każdego żołnierza, panie generale, panna Georgia Paige.

Jeszcze brakuje, żeby poprosił o oklaski, pomyślała.

- Miło mi panią poznać, panno Paige - powiedział generał. Nie zajął jej za dekolt, żeby sprawdzić, czy ma stanik. – Miał pan już zapewne okazję poznać gości, majorze Lowell? – zapytał po chwili.

- Tak jest, sir - odparł przystojny major.

Popatrzył na nią, a potem uciekł wzrokiem, jakby zawstydzony, że zauważyła jego spojrzenie. Posłała mu jeden ze swoich najcieplejszych uśmiechów, ale i tak było już za późno. Major z zainteresowaniem wpatrywał się właśnie w polne kamienie, którymi wyłożony był generalski bar.

Pojawił się sierżant z tacą drinków.

Generał wziął szklaneczkę, po czym pochylił się i szepnął coś sierżantowi. Georgia stała blisko, więc bezwstydnie podsłuchiwała. Generał powiedział, żeby posadzić Lowella koło niego, a sierżant skinął głową.

Przez chwilę Georgia wręcz podejrzewała, że generał ma może romans z majorem. Tamten był na to wystarczająco przystojny, wręcz śliczny. Po chwili jednak odrzuciła tę myśl. Nie, to nie show-biznes, tylko armia, a w wojsku mają fioła na punkcie pedziów. Zresztą Wayne tuż przed wyjazdem zwołał wszystkie cioty z zespołu i zapowiedział im stanowczo, że jeśli któryś zacznie się przystawiać do żołnierzy, to będzie miał z nim do czynienia.

Przy kolacji posadzono ich tak, że panna Paige siedziała pomiędzy dwoma generałami - Blackiem, o którym opowiadał jej ojciec, i jakimś drugim, którego nazwiska nie знаła i który miał o jedną gwiazdkę mniej niż dowódcą korpusu. Major siedział z drugiej strony Blacka, a Wayne Baxley z drugiej strony drugiego generała. Obaj generałowie w ogóle nie zwracali na niego uwagi, nawet kiedy odgrywał ten swój numer z pijanym Włochem grającym na organkach.

Generał przez cały czas rozmawiał z majorem o czołgach, o jakiejś grupie bojowej, a drugi generał wyciągał szyję, starając się jak najwięcej z tej rozmowy usłyszeć. Młody major miał problemy z koncentracją, bo ile razy spoglądał na swego rozmówcę, zmuszał się, by patrzeć na generała, a nie na nią. To ją z jednej strony uspokajało, z drugiej jednak niepokoiło. Czyżby się domyślał, że się nim interesuje? A może nareszcie poznał, że jest tą gwiazdą filmową z plakatów?

Po kolacji Donnelly oczywiście próbował się wkręcić do rozmowy, kiedy stali przy barze, popijając kawę i brandy. Stała obok generała, ponieważ widać było, że major jest pożądanym gościem. Zdumiała się, kiedy za chwilę okazało się, jak bardzo: kiedy Donnelly zasugerował, by Lowell obejrzał demontaż sceny po

występie, żeby wiedział, co będzie potrzebne na miejscu, aby ją ponownie złożyć, generał natychmiast utracił ten pomysł.

- Jestem pewien, że Lowell nie zostałby majorem w tak młodym wieku, gdyby nie wiedział, jak się ładuje sprzęt na ciężarówkę, pułkownika. Gdyby mógł się pan przy tym pakowaniu obejść bez niego, my dokończylibyśmy naszą rozmowę.

- Oczywiście., sir. Przepraszam, sir.

- W tak młodym wieku? - powtórzyła Georgia. - To znaczy w jakim? Ile pan ma lat?

- Dwadzieścia cztery.

- Jezu - zdumiał się Black. - Wiedziałem, że jest pan młody, ale nie że aż tak.

- Po czym spojrzął na pannę Paige i wyjaśnił: - George Armstrong Custer został generałem brygady w wieku dwudziestu jeden lat, panna Paige. Tylko że to było w czasie wojny secesyjnej. W dzisiejszych czasach rzadko się spotyka dwudziestoczteroletnich majorów. Właściwie w ogóle się ich nie spotyka. - Temat zdawał się go fascynować. - Jiggs załatwił panu słoneczka za Grupę Lowell?

- Dostałem je na dwie godziny przed połączeniem z X Korpusem, sir.

- O, był pan w Grupie Bojowej Lowell, majorze? - zainteresował się Donnelly.

- Właśnie dlatego, że był, ta grupa nazywała się Lowell, pułkownika - wyjaśnił sarkastycznym tonem generał.

- Co to za Grupa Bojowa Lowell? - zapytała panna Paige.

- Ten młody człowiek stworzył z trzydziestu ośmiu czołgów M46 Patton i dział samobieżnych zaimprovizowaną kolumnę pancerną i użył jej wreszcie tak, jak się powinno używać broni pancernej, do czego w tej wojnie niestety zbyt rzadko mamy okazję.

Przełamał linie wroga i zaczął pustoszyć zaplecze nieprzyjaciela, przerywając linie łączności, wysadzając mosty i składy. Robił to przez dziewięć dni. Sheridan nie zrobiłby tego lepiej.

Georgia nie miała pojęcia, co to za jeden ten Sheridan* ale widać było, że z jakiegoś

* Philip Henry Sheridan (1831-1891), wybitny dowódca kawalerii Unii, w odróżnieniu od większości współczesnych dbający o żołnierzy (choć tylko o własnych) i walczący raczej siłą ognia niż ludzkimi falami. W czasie wojny secesyjnej dokonał wielkich czynów, pokonał Jeba Stuarta, swego odpowiednika po stronie Konfederacji i pozbawił ją zapasów żywności, pustosząc dolinę Shenandoah. Po wojnie walczył z Indianami i z tego okresu pochodzi jego słynne zdanie: „Dobry Indianin to martwy Indianin” (przyp. tłum.).

powodu generał jest równie zafascynowany młodym majorem jak ona. Major poczuł na sobie spojrzenie Georgii, podniósł na nią oczy i zarumienił się.

Nagle do Georgii dotarło, że kiedy ci ludzie mówią o Custerze, to nie chodzi im o rolę, którą zagrał Errol Flynn, tylko o prawdziwego Custera z krwi i kości. Generał Black, na którym młody major wyraźnie zrobił wielkie wrażenie, był człowiekiem, który znał osobiście Pattona i walczył wraz z nim. Młody major naprawdę robił to, co mówił generał, wysadzał i przecinał.

Kolejne potwierdzenie przyszło, kiedy zbierali się do wyjścia na ostatni występ w XIX Korpusie.

- No tak, to by wyjaśniało, co on tu robi jako adiutant - rzucił mimochodem Donnelly.

- Ten blondasek? - upewnił się Baxley. - Nie udało mi się usłyszeć wiele z ich rozmowy.

- A co robi, panie pułkowniku? - zapytała panna Paige.

- Od czasu do czasu zdarza się, że pojawi się jakiś młody, naprawdę świetny, bardzo obiecujący oficer. Taki, o którym na pierwszy rzut oka wiadomo, że zajdzie wysoko i zostanie generałem. Taki człowiek dostaje wtedy przydział w miejsce, gdzie może się nauczyć czegoś na przyszłość. Funkcja generalskiego adiutanta należy właśnie do takich przydziałów.

- Chce pan przez to powiedzieć, że wystarczy spojrzeć na tego chłopaka, żeby wiedzieć, że to przyszły generał? - zapytał niedowierzająco Baxley.

- Połowę drogi ma już za sobą - odparł Donnelly. - Czuję się jak idiota i nic dziwnego, że generał mnie osadził. Powinienem się od razu domyślić. Przecież nawet miał na ramieniu naszywkę 73. Batalionu.

W połowie swego występu (na który składało się kilka minut „dowcipów” Baxleya, koncentrujących się głównie wokół jej biustu i skrzących się bardziej lub mniej zawołanymi sprośnościami, oraz trzech piosenek, służących głównie temu, żeby mogła pochodzić po scenie i pokazać żołnierzom niewiarygodnej głębokości dekolt na plecach, niezbitie dowodzący, że nie ma na sobie stanika) wypatrzyła na widowni Lowella. Stał na uboczu, w cieniu. Potem śpiewała już tylko dla niego, patrząc na niego znad mikrofonu i zastanawiając się, czy pieprzy się równie dobrze jak walczy. Zwykle nie miewała takich myśli i nawet jeśli czuła fizyczny pociąg do jakiegoś mężczyzny, nie używała słów w rodzaju „pieprzyć się”. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że właściwie trochę się go obawia. Nie wierzyła też w to, że ma dwadzieścia cztery lata. To miał być pewnie żart z Donnelly'ego,

a ona to wzięła poważnie. Przecież ona ma dwadzieścia trzy lata, więc on musi być starszy. Gdyby tak nie było, nie czułaby się przy nim jak głupia nastolatka.

Po występie nie przyszedł za kulisy i w ogóle go już tego wieczoru nie widziała, choć do późna kręciła się wokół generalskich kwater w nadziei na to, że go spotka. Nie pojawił się także przy śniadaniu, a kiedy spytała o niego Donnelly'ego, odparł, że poleciał do IX Korpusu, by dopilnować budowy sceny i bezpiecznego rozładunku rekwizytów.

Kiedy ich C-47 wylądował na pasie koło dowództwa IX Korpusu, wyjrzała przez okno, poszukując go wzrokiem. Siedział na masce jeepa. Kiedy drzwi samolotu się otworzyły i błyskały flesze fotoreporterów, stał koło drabinki. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, poczuła nagle mrowienie w dole brzucha.

On wie, pomyślała. A mnie powinno być wstyd, ale wcale nie jest.

Przy obiedzie, kiedy przez moment nie było wokół nich tłumu ludzi, Georgia postanowiła, że musi go stamtąd jakoś wyrwać, choćby na krótko. Wpadła na pomysł, jak to zrobić.

- Wie pan, majorze, nigdy nie byłam w czołgu - stwierdziła.
- Wszystkie są na linii frontu. Nie wolno pani tam jechać.
- Ale ja bym tak chciała. Proszę.

Nagle zaczęło jej na tym naprawdę zależeć.

- Zobaczę, może uda się któryś tu sprowadzić - skapitulował wreszcie po chwili.

- Dziękuję.

Wtedy po raz pierwszy go dotknęła, kładąc na chwilę dłoń na jego przedramieniu. Było ciepłe i muskularne.

I w dodatku, w co nikt, może z wyjątkiem kapitana Sanforda T. Beltera, by nie wierzył, prawie w ogóle nie miał doświadczenia w kontaktach z kobietami. Zwłaszcza nikt w 73. Batalionie nie wierzyłby, że ich Księżę w całym swoim życiu spał zaledwie z dwoma kobietami. Pierwszy raz zrobił to na żaglówce, pewnego popołudnia tuż przed wyrzuceniem go z Harvardu. Był tak podniecony perspektywą utraty dziewictwa, że kiedy wreszcie miał okazję i zobaczył, jak „to” u kobiety naprawdę wygląda, skończył, jeszcze zanim tak naprawdę zaczął.

W Niemczech, kiedy można było mieć kobietę dosłownie za pół pudełka batoników Hersheya albo karton mydła, on prowadził notliwie życie mnicha. Nie tyle z powodu wyrzutów sumienia czy innych oporów natury moralnej, ile ze strachu przed tym, co się stanie, kiedy coś złapie. W czasie szkolenia unitarnego pokazywano im film nakręcony na oddziale wenerologicznym Szpitala Wojskowego im.

Waltera Reeda, który w dużych zbliżeniach i aż zbyt naturalnych kolorach pokazywał skutki zaawansowanych stadiów syfilisu.

No a potem była Ilse. Za pierwszym razem, kiedy próbował, nic z tego nie wyszło. Nie zniechęcił się jednak, w końcu wszystko zaskoczyło i zakochał się w niej. A kiedy ma się dziewiętnaście lat, to się nie okłamuje i nie zdradza swojej pierwszej prawdziwej miłości. Nawet jeśli się jest oficerem greckiej 24. Dywizji Górskiej, w której są kobiety opiekujące się oficerami. A już zwłaszcza kiedy człowiek jest oficerem, dżentelmenem i na dodatek wiernym Kościoła episkopalnego. Jako szczęśliwy mążnek wiedział już, co to jest popęd seksualny, jak potężnie działa na zdrowego mężczyznę i jaka trudna do zniesienia jest długa abstynencja. Poczytał starania o to, żeby jego ludzie nie musieli przez to przechodzić. W końcu cóż to za problem? Załatwić z batalionowym lekarzem, żeby przebadał grupę Koreanek, a potem znaleźć im transport. Jego chłopcy mieli wszystko załatwione z dostawą do czołgu włącznie, ale on sam z tego nie korzystał. Jemu nie wypadało, on był oficerem, dżentelmenem, kochającym mężem i ojcem, więc jemu pozostawało zdjęcie Ilse i pamięć szczegółów, których na tym zdjęciu nie było.

A kiedy jakiś pieprzony pijany kwatermistrz zabija ci żonę na szosie w deszczowy dzień, to po prostu przestajesz mieć jakikolwiek popęd. Po czymś takim „to” się nadaje już tylko do sikania. Pewnie już nigdy nie będzie funkcjonować jak należy. Może to i lepiej? Byli razem ponad trzy lata. Było im zbyt dobrze, żeby to miało długo trwać. Ale to nie tak miało się skończyć. To on powinien dostać od żółtków w łeb, a nie ona zginąć w wypadku na drugim końcu świata tylko dlatego, że jakiś zasrany liczygać uderzył w jej samochód, kiedy wracała z zakupów.

Od tamtej chwili nawet nie myślał o żadnej kobiecie. Był pewien, że już nigdy o żadnej nie pomyśli.

Aż tu nagle pojawiła się panna Paige i w trzydzieści sekund po tym, jak ją poznał, schyliła się po coś, a on spojrzął w jej dekolt i zobaczył biały rąbek stanika. I wszystko wróciło. Nagle przypomniał sobie jej zdjęcie ze sterzącymi sutkami. I zdał sobie sprawę, że były to te same, które półtora metra od niego krył ten biały biustonosz. Nagle ujrzał ją całą, także to, co zakrywały rysujące się pod obcisłymi spodniami majtki.

Część mózgu mówiła mu, że zachowuje się jak idiota. To przecież była gwiazda filmowa, słynna aktorka! Co ona miałaby mieć z nim wspólnego, zwłaszcza od czasu, kiedy się dowiedziała, ile ma lat. Może gdyby myślała, że ma koło trzydziestki, mógłby czegoś z nią spróbować, ale tak? Zresztą gdyby z nim poszła, oznaczałoby to, że chodzi z każdym, więc właściwie od Koreanek z sanitarek

różni ją tylko kolor skóry i to, że nie śmierdzi kimczii.

- Próbowałem znaleźć dla paniczołg - powiedział. - W rezerwie nie ma żadnego, który mogliby mi dać.

- Nie ma żadnych zapasowychczołgów?

- Każdy z nich ma określony przebieg i nie mogą jeździć sobie ot tak, bez powodu, skoro w ciągu nocy mogą być potrzebne na froncie.

Jezu, co ja wygaduję? Co się ze mną dzieje? Przecież ona nie jest jakimś cholernym sierżantem, żeby ją tak zbywać.

- Przepraszam.

- Nie, to ja przepraszam. Nie powinnam była o to prosić.

- Czołg to właściwie tylko taki wielki traktor ze ścianami. Pudło na gąsienicach. Naprawdę niewielka strata.

- Chciałam zobaczyć, czym się zajmujesz - powiedziała, przechodząc na próbę na „ty”. Jak zareaguje? Poczwała, że serce bije jej mocno.

- Przykro mi - odparł wreszcie.

- To może byś mnie zawiózł na linię frontu?

- Mowy nie ma! - odparł z naciskiem.

Zaplotła włosy i upięła je pod hełmem. W jeepie były dwa hełmy i dwie peleryny. Ona miała prowadzić. Żandarmi nie zwracają uwagi na kierowców, wyjaśnił.

Dojechali do granicy obszaru przyfrontowego, gdzie major wysiadł, złożył dach, położył szybę na masce i nakrył ją pokrowcem. Pokazał jej, jak założyć pelerynę na kierownicę, żeby deszcz nie przemoczył jej na wylot. Deszcz bębnił w hełm jak w blaszany dach.

Wjeżdżali pod górę z prędkością sześciu kilometrów na godzinę, na najniższym biegu. Nad nimi nocne niebo przecinały fajerwerki - przepiękne pomarańczowe łuki, wybiegające z doliny i kierujące się ku szczytowi wzgórz, na które jechali. Major powiedział jej, że to „nękający ogień koreańskich pięćdziesiątek”, cokolwiek to miało oznaczać, i że każdemu pociskowi smugowemu, który zostawiał za sobą ten piękny pomarańczowy łuk, towarzyszą cztery inne, których nawet nie słyszeć, dopóki nie uderzą.

W pewnej chwili pojawił się żołnierz z pistoletem maszynowym, którego lufa pod peleryną skierowana była prosto w ich wóz.

- Kogo tam, kurwa, po nocy nosi!?- zapytał i za chwilę wyprężył się, salutując, zapewne zauważywszy słoneczka majora. - Jezu, przepraszam, sir! Nie oczekiwaliśmy tu pana! Każdego bym się spodziewał zobaczyć, tylko nie pana!

- Bo i nie widziałeś. Zrozumiano?
- Tak jest, sir. Ani pary z gęby.
- Gdzie kompania?
- Tu. - Wartownik zatoczył ręką wokół siebie. - Jest pan w samym środku rejonu.

Ponad ich głowami rozległ się nagle dźwięk przypominający pędzący pociąg.

- Znowu ta pierdolona dwieście trójka. Ze też się kutasom nie znudzi wciąż nas macać...

Wartownik stał wciąż koło samochodu i w pewnej chwili, z czystej ciekawości, poświecił zamaskowaną niebieskim nitrem latarką na kierowcę.

- Jezu Chryste, własnym oczom nie wierzę!
- To właśnie dlatego nas tu nie było, jasne?
- Panna Paige, kur... To znaczy, przepraszam za język, ale to naprawdę ostatnie miejsce na świecie, gdzie bym się pani spodziewał... Przepraszam.
- Nic się nie stało. - Machnęła ręką.
- Chciała zobaczyć czołg - wyjaśnił nie wiadomo po co Lowell. - Gdzie Blueballs?
- Stoi drugi w linii. Przeprowadzi ją pan potem na stanowisko dowodzenia? - zapytał z nadzieją i prośbą w głosie.
- A potraficie trzymać gębę na kłódkę?
- Jezu, pyta pan, jakby nie wiedział, sir!
- Tylko żebyś mi nie zląził z posterunku, zrozumiano? Wyślę kogoś, żeby cię zmienił.

Na stanowisku dowodzenia poczęstowali ją kawą i paczkami i bardzo przepraszali, że nie ma mleka. Ktoś przypomniał sobie, że ma paczkę żarówek do lampy błyskowej, więc pozowała kolejno ze wszystkimi do zdjęć, aż skończyły się żarówki.

Kiedy już każdy w kompanii B 73. Batalionu Czołgów Ciężkich uściskał dłoń Georgii Paige, dostał autograf, a czasem nawet i buziaka, mogli wreszcie wyjść z powrotem na deszcz i Lowell poprowadził ją do czołgu. Na jego wieży widniała wymalowana żółtą farbą nazwa BLUEBALLS.

- Niezła nazwa - uśmiechnęła się.
- Kiedyś nazywał się inaczej, ale pułkownik rozkazał, żeby wszystkie czołgi w kompanii B nosiły nazwy na B.
- A jak się nazywał wcześniej?
- Nie pamiętam.

Domyśliła się, że to nieprawda.

- Ilse - mruknął po chwili.
- Kto to jest Ilse? Twoja dziewczyna?

- Moja była żona.
- Och, przepraszam.
- Zginęła w wypadku. Samochodowym.
- A ty wtedy byłeś tutaj? - Coś jej odpowiedziało, że właśnie tak było.
- Tak.
- Biedaku. Tak mi przykro - powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu.

Major machnął ręką do załogi, żeby się wynosiła z wozu. Potem pomógł jej wspiąć się na gaśienicę i dalej, do wjazdu w wieżę. Lowell wślizgnął się tam pierwszy i pomógł jej wsiąść, podtrzymując ją za biodra, kiedy niepewnie opuszczała się do środka. Ściany były pomalowane na biało, śmierdziało brudem, paliwem, przepalonymi kablami i spalonym prochem. Wokół nich stały w uchwytach naboje armatnie kalibru 90 mm, na siedzeniach leżały skórzane hełmofony, a pod nogami stały skrzynki z amunicją do karabinów maszynowych.

- To był twój czołg?
- Tak. Od Pusan do Jalu. - Ton dumy w jego głosie nie uszedł jej uwagi.
- Blueballs*? - zapytała.

Lekko się stropił i zarumienił.

- Ta nazwa chyba nie wzięła się znikąd?

Nie odpowiedział. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

- Lepiej już chodźmy - powiedział. - Zaczną nas szukać.

Znowu jej dotknął, kiedy pomagał jej wyjść. Zauważyła, że jego ręce są jeszcze cieplejsze i drżą.

- Poczekaj jeszcze chwilę - powiedziała i poszukała nogą oparcia. Szarpnęła poły bluzki i zsunęła stanik. Opuściła się trochę w głąb wieży, aż jej piersi znalazły się na wysokości jego twarzy i pozwoliła mu ją w nich zanurzyć.

* Blue Balls - (ang.) dosł. sine jaja, w latach pięćdziesiątych kolokwialne określenie odwagi w stylu macho (przyp. red.).

XIII

1

Czchorwon, Korea Północna
5 września 1951

Plany panny Paige, żeby życie osobiste i zawodowe rozdzielać grubą kreską, legły w gruzach, kiedy tylko stanęła w drzwiach Skymastera, który miał ją zabrać wraz z resztą trupy Baxleya na lotnisko Kimpo w Seulu, a stamtąd do Japonii.

Ubrana w wojskową koszulę khaki, z zawiniętymi rękawami i rozpiętą niemal do pępka, w polowych spodniach i nasadzonej na kok czapce od munduru polowego, uśmiechała się i machała do fotografów, aż wreszcie skończyli i odwróciła się, by schyliwszy głowę, wejść do samolotu. Nagle, zamiast uczynić ten ostatni krok, zeskoczyła z drabinki i podbiegła do nienagannie umundurowanego młodego majora, którego z płaczem objęła, przytuliła głowę do jego piersi, a potem pocałowała w usta, długo i namiętnie.

Setki zebranych wokół żołnierzy oddelegowanych do pożegnania trupy z wojskami w Korei zaczęły bić brawo, gwizdać i pozdrawiać ich, aż wreszcie Wayne Baxley musiał wysiąść z samolotu i niemal siłą oderwać ją od oficera. Na użytek fotografów przybrał minę, która miała mówić: „Czyż to nie wzruszające?“, ale w myśli układał plan poważnej rozmowy, jaką miał zamiar z nią odbyć na pokładzie. Był wściekły. Zdjęcia tej gówniary obściskującej majora Lowella, czy jak mu tam było, obiegną łamy wszystkich gazet i dla niego już na nich zabraknie miejsca.

Jeszcze w drzwiach Georgia ze łzami spływającymi po policzkach odwróciła się i przesłała majorowi Lowellowi pocałunek, i wyszeptala „Kocham cię”. Potem Baxley wciągnął ją do środka i zatrzasnął drzwi. Lewy silnik zaskoczył, wzbijając chmurę błękitnego dymu, i samolot ruszył naprzód po pasie startowym, aż wreszcie oderwał się od ziemi.

Po raz pierwszy w związku młodej aktorki z młodym oficerem któreś z nich ubrało swoje uczucie w słowa. Do tej pory wyrażali je raczej fizycznie, od tamtej chwili, w której poczuła nieprzepartą chęć ofiarowania swoich piersi majorowi w wieży czołgu. Przez resztę nocy kochali się na wąskim łóżku w jego namiocie w Alei Pułkowników. Tej nocy przesпали najwyżej godzinę, co chwila któreś z nich się budziło i pobudzało drugie do dalszych igraszek. Potem znowu zasypiali czule objęci, po to, by po chwili znowu któreś zaczynało od nowa.

O czwartej Georgia przemknęła się jakoś między nieco zdziwionymi, ale uśmiechniętymi od ucha do ucha żandarmami, do baraku dla gości na wzgórzu, gdzie zakwaterowano artystów. Jeżeli już panna Paige miała dawać któremuś z oficerów, to major Lowell w ich opinii na pewno na ten zaszczyt zasłużył. Księżę miał klasę.

O 5.30 major Lowell przyniósł z generalskiej jadalni tacę z tostem i kawą, na wypadek gdyby któryś z gości o tak wczesnej porze zapragnął kawy i tostu. Tylko jeden gość już nie spał, ale akurat na tost i kawę miał najmniejszą ochotę. Georgia właśnie wyszła spod prysznica i nie minęło nawet pięć minut, jak znowu wrócili do przerwanych igraszek, tylko tym razem na znacznie szerszym i wygodniejszym łóżku w kwaterze gościnnej.

Kiedy o 6.15 dowódca korpusu wszedł do generalskiej jadalni po rytualnym porannym zapoznaniu się z mapą operacyjną, zastał tam majora Lowella i pannę Paige. Jedli śniadanie, ich głowy prawie się stykały nad stolikiem, a na szyi majora pod rozpiętym kołnierzykiem munduru widniało coś, co wyglądało na odcisk ludzkich zębów.

Widownię porannego występu zespołu Baxleya o 10.30 stanowili ranni, chorzy i personel z 8077. MASH oraz technicy z jednostek służby uzbrojenia, chemicznych i budowlanych z bezpośredniego zaplecza frontu. O 14.30 widownię zapełnili żołnierze 223. i 224. Pułków Piechoty 40. Dywizji Piechoty, zapewniającej im bezpośrednie wsparcie 555. Grupy Artylerii i 73. Wzmocnionego Batalionu Czołgów Ciężkich. 73. Batalion zachowywał się jak zwykle skandalicznie, o czym pułkownikowi Minorowi doniósł kapitan, wysłany na przedstawienie, by „mieć oko na wszystko”.

Kapitan zameldował, że wielu żołnierzy batalionu było wyraźnie pod wpływem alkoholu, a po zakończeniu występu w zajmowanym przez nich sektorze znaleziono czterech związanych i pozbawionych spodni żandarmów. W dodatku, nie wiedzieć czemu, bez rozkazu, sprowadzili ze sobą jeden ze swoich czołgów i to akurat taki z brzydkim słowem (Blueballs) na wieży. Zdjęcie tego czołgu, na którym panna Paige pozowała fotografom, na pewno ukaże się w prasie. Jak to będzie wyglądało? No i jeszcze sprawa tego transparentu, który żołnierze rozwinęli nad swoimi miejscami. Napis na ogromnej płachcie obwieszcział wszem i wobec, że **GEORGIA PAIGE MOŻE GRAĆ NASZYMI KIJAMI, KIEDY TYLKO ZECHCE.**

Minor pomyślał, że mogło być jeszcze gorzej. Teraz, kiedy Jiggs wreszcie pojechał do domu, a major Lowell był zajęty w sztabie, z daleka od batalionu, ich następcy, dla których dyscyplina nie była tylko pustym słowem, mogli nareszcie

zacząć porządkować tę stajnię Augiasza. Nawet biorąc pod uwagę picie alkoholu, wypisywanie obscenicznych słów, wszystko zaczynało iść ku lepszemu. Mnóstwo było jeszcze do zrobienia, ale 73. Batalion wreszcie przestawał być umundurowaną bandą szaleńców i opryszków.

Ani panna Paige, ani major Lowell nie pojawili się tego wieczoru na kolacji w barze generalskim, przyjechali za to generalskim wozem mieszkalnym na podwoziu ciężarówki z napędem na trzy osie - który oddano artystom na garderobę - na miejsce wieczornego występu dla 24. Dywizji Pancерnej.

Ostatniego dnia pobytu artystów na terenie IX Korpusu, po całym dniu występów dla oddziałów, które z różnych przyczyn nie mogły ich oglądać poprzedniego dnia, nie było w planie wieczornego przedstawienia. Po tych kilku dniach objazdu, kiedy już zadbano o szeregowych z całego IX Korpusu, przyszła kolej na rozrywkę dla szarży. Artyści występowali w kasynie oficerów sztabowych. Ci z nich, którzy mieli nadzieję na spotkanie z panną Paige, przeżyli jednak srogi zawód - aktorka zniknęła natychmiast po swoim występie, tłumacząc się bólem głowy.

Ból głowy, akurat! Po całym obozie rozeszła się już pogłoska, że młodszy adiutant szefa sztabu, ten aniołek w mundurze majora, rznie ją, aż się echo niesie. Większość zresztą nie dawała tej pogłosce wiary. Po pierwsze, generał Harrier na pewno by na to nie pozwolił, a poza tym taka gwiazda miałaby sypiać z byle majorem?

Dowódca korpusu, wchodząc do biura szefa sztabu w trzy godziny po odlocie trupy Baxleya, uśmiechnął się ciepło do siedzącego przy biurku młodszego adiutanta swego szefa sztabu:

- Jakiś pan taki zmęczony ostatnio, majorze. Czy pan aby dobrze sypia?
- Nie narzekam, sir.

Akurat, pomyślał Lowell. Dwadzieścia dwa razy. To znaczy, odkąd zaczął liczyć, i tyle, ile pamiętał. Tak naprawdę dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery, bo czasem dwa razy z rzędu. W pewnym momencie był taki młyn, że w ogóle stracił rachubę. Jezu, nigdy by się nie podejrzewał o to, że może to robić tak często i tyle razy z rzędu. Że w ogóle człowiek jest do tego zdolny. A przecież wystarczyło, żeby go dotknęła i był gotów do następnej potyczki.

O 15.00 w dniu wyjazdu aktorów generał Harrier powiedział swemu adiutantowi, żeby przestał straszyć resztę oficerów swoim wyglądem. Przez ostatnie dni pracował całą dobę na okrągło, więc teraz ma wolne do jutra i może iść spać.

Lowell podziękował i poszedł do siebie, ale sen jakoś nie chciał przyjść. Leżał

na swojej połówce, przewracał się z boku na bok i pół drzemał, a pół śnił o Georgii. O 20.00 nie był już zdolny nawet do drzemki. Ubrał się, wrócił do Białego Domu i zabrał się do roboty. Zadziwiające, ile papierów nabierało się na jego biurku przez te pięć dni.

Do północy zdołał się uporać z robotą, która się nabierała, kiedy opiekował się artystami. Wrócił do namiotu i rozebrał się, ale nie był senny. Nie miał ochoty znowu przez parę godzin wiercić się na łóżku. Postanowił wypić coś na sen. Włożył świeży, wykrochmalony mundur i ruszył do generalskiego baru.

Po drodze doszedł jednak do wniosku, że wcale nie chce tam iść. Po pierwsze, pewnie natknie się na Harriera, a ten mu przecież kazał iść spać. Poza tym mógł tam być dowódca korpusu. Ten jego poranny żarcik o jego wyglądzie i troska o dobry sen nie brzmiały niewinnie. Nie miał ochoty na ciąg dalszy żarcików, nie chciał też spotkać kogoś z pozostałych adiutantów, a szczególnie Peeblesa. Skoro tak, to pozostawał mu bar dla oficerów sztabowych.

Tylko że tam też nie chciał iść. O tej porze zostali w nim już tylko pijacy, pułkownicy, podpułkownicy i majorzy, którzy następnego dnia nie mieli nic do roboty i stać ich było na kaca. Pewnie nie obyłyby się bez fundowania przez nich kolejki, żeby pozyskać adiutanta szefa sztabu dla jakiegoś swojego pomysłu albo tak na wszelki wypadek, gdyby kiedyś potrzebowali protekcji.

Czyli tam też nie. To gdzie? Szedł przed siebie, w końcu skierował się do baru młodszych oficerów. Tam przynajmniej zastanie ludzi w swoim wieku, poruczników i kapitanów, może nawet kilku majorów, którzy woleli towarzystwo młodzieży niż przyków z baru dla sztabowych.

Kiedy wszedł do zadymionego baru, natychmiast zauważył potężnego Murzyna, pochylonego samotnie nad drinkiem stojącym na barze. Lowell natychmiast skierował swe kroki do niego, stanął za jego plecami i pogrubił głos, powiedział:

- Nie znoszę pić z tak brzydkimi czarnuchami.

Kapitan Philip Sheridan Parker IV, po chwili wahania, powoli obrócił się na stołku w prawo, z wyrazem wścieklej furii na twarzy. Lowell odsuwał się w tym samym tempie, tak że Parker wciąż wykręcający się coraz bardziej na stołku, nadal nikogo nie mógł zobaczyć. Nagle obrócił się w przeciwną stronę i stanął twarzą w twarz z napastnikiem.

- Jezu, a to niespodzianka! - krzyknął, po czym złapał Lowella za uszy, przyciągnął do siebie i złożył mokrego całusa na środku jego czoła. - Boże jedyny, major! Jak ci się to, do cholery, udało?

- Oszukiwałem.

- A w ogóle co ty, do cholery, robisz? - zapytał Parker, kiedy Lowell usiadł na sąsiednim stołku.

- Ogólnie rzecz biorąc, schodzę na psy. A co u ciebie, King Kongu?

- Co z Ilse? Jak się ma P. P?

- Ilse nie żyje, Phil.

Nagle poczuł się jak ostatnie bydło. Przez ostatnie dziewięćdziesiąt sześć godzin ani przez chwilę nie pomyślał o Ilse ani o synku.

- Boże! - widać było, że Phil bardzo się przejął. - Co się, do cholery, stało?

- Wypadek samochodowy w Niemczech. To było we wrześniu, już prawie rok temu.

- Rany boskie, czemuś nic nie napisał? - zapytał Murzyn z wyrzutem. - Cholera, to straszne.

- Tak to już jest - rozłożył ręce Lowell.

- I co? Wróciłeś do wojska?

- Byłem tutaj, kiedy do tego doszło. Jakiś pieprzony zalany w pestkę major z kwaterymistrzostwa wjechał na nią, kiedy wracała z zakupami do domu.

- Craig, tak mi przykro...

- Dzięki, stary.

- Rok temu? Jesteś tu od ponad roku?

- Tak. Niedługo mam wracać. A teraz nawet mam po co wracać. Mam do kogo wracać.

- Czekał no, ty byłeś w 73. Batalionie? - Parkerowi coś zaczęło świtać.

- Tak.

- Cholera, powinienem wiedzieć, że to byłeś właśnie ty! Pytałem nawet, ale powiedzieli mi, że tamten Lowell to był jakiś major, więc pomyślałem, że to na pewno nie ty.

Lowell nie chciał o tym mówić i nie chciał już więcej współczucia Phila z powodu Ilse.

- A ty od kiedy tu jesteś? - zapytał, żeby zmienić temat.

- Od samego początku. Miałem pierwsze Shermany w Korei.

- Dali ci kompanię?

- Kompanię pancerną 24. Pułku Piechoty. Tak się cieszyłem z tego, że mnie zrobili kapitanem. Powinienem wiedzieć, że i tak jak zwykle mnie wyprzedzisz.

- To po prostu całkiem naturalny wyraz uznania dla mojego geniuszu.

- Ale wróciłeś do domu, kiedy... kiedy to się stało, prawda?

- Pojechałem do Niemiec. A, zaraz, pewnie nie wiesz. Okazało się, że ojcem

Ilse naprawdę jest hrabia i pułkownik. Właśnie wrócił z sowieckiej niewoli. P. P. jest teraz pod jego opieką.

Phil Parker był oczywiście ciekaw tej historii. Dużo czasu minęło, zanim Lowell zdołał znowu zmienić temat.

- Ale, ale. Nie powiedziałeś mi w końcu, co ty sam tu robisz. Skoro moja tura dobiega końca, to ty już od dawna powinieneś być w domu.

- Czekam na posiedzenie sądu polowego.

- Wrobili cię w bycie ławnikiem? To fajnie, będziemy się częściej spotykać. Ja noszę teczkę za szefem sztabu.

- Nie będę ławnikiem, tylko oskarżonym.

- O cholera! Coś narozrabiał?

- Jestem oskarżony o przestępstwo z artykułu - przez chwilę szukał w pamięci - 92. kodeksu wojskowego.

Lowell także chwilę musiał pomyśleć, zanim sobie przypomniał.

- Artykuł 92. to zabójstwo i zgwałcenie - powiedział zdumiony. - Co się stało, Phil? Jakaś siostrzyczka zmieniła zdanie po fakcie?

- Nie. Jestem oskarżony o morderstwo.

- Jeśli to ma być dowcip, Phil, to ja go nie łapię.

- To nie jest dowcip, Craig.

- Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

- Niechętnie.

Lowell chwycił stojącą na barze butelkę whisky.

- Zabieram ją ze sobą, sierżancie. Proszę ją zapisać na mój rachunek.

- Nie może pan tego zrobić, sir - zaprotestował barman.

- Nie, sierżancie. Ja tylko nie powinienem tego robić. A między „nie powinienem” a „nie wolno” jest duża różnica. - Wziął Phila pod ramię. - Chodź, King Kongu.

- Dokąd?

- Do Alei Pułkowników, więc postaraj się zachowywać jak należy.

Nie poszli tam bezpośrednio. Po drodze zatrzymali się przed miasteczkiem namiotowym oficerów młodszych, gdzie Parker dzielił swój namiot z trzema innymi kapitanami. Parker zabrał z namiotu dużą szarą kopertę, którą trzymał pod materacem. W namiocie Lowella wyjął z niej gruby raport spięty drucianym spinaczem.

- Kiedy zapadła decyzja o postawieniu mnie przed sądem, przesłano mi akta sprawy, bym mógł się z nimi zapoznać - powiedział, wręczając dokument Craigowi.

TAJNE

DOWÓDZTWO 8. ARMII, BIURO PROFOSA

GENERALNEGO

17 sierpnia 1951

Re: Akta dochodzenia w sprawie zarzutów stawianych kapitanowi Philipowi S. Parkerowi 17, PANC 0-230471

Do: Urząd prokuratora 8. Armii, w celu wszczęcia śledztwa prokuratorskiego i nadania sprawie dalszego biegu przed sądem polowym

1. W załączeniu przesyłamy protokoły przesłuchań świadków w sprawie oskarżeń przeciw w/w oficerowi, przeprowadzonych przez agentów Służby Dochodzeniowej Biura Profosa Generalnego 8. Armii.

2. Na podstawie wzmiankowanych protokołów i pozostałych materiałów dochodzenia sporządzono następujące notatki śledcze.

a. KPR. Francis P. YOUNG, RA 32777002, uprzednio służący w kompanii „I” 24. Pułku Piechoty 24. Dywizji Pancerniej, przesłuchiwany w Tokio, gdzie w szpitalu wojskowym przechodzi leczenie po odniesionych ranach, zeznał, że w czasie odwrotu 14 lipca 1950 r. w okolicach Sangdzu, w Republice Korei, widział, jak oficer z czołgu” zastrzelił z rewolweru” POR. Ralpa J. ROPERA, dowódcę kompanii „I”. Nastąpiło to w chwili, gdy ROPER wraz ze swoimi żołnierzami wycofywał się z linii frontu. Po zastrzeleniu oficera jego żołnierzom rozkazano powrócić na uprzednio zajmowane pozycje. W trakcie dochodzenia ustalono, że KPT. (wówczas POR.) PARKER przebywał w tej okolicy w owym dniu i że używa jako broni bocznej rewolweru Colt wz. 1917. Kiedy jednak KPR. YOUNGOWI okazano zdjęcie PARKERA, nie był w stanie, bądź nie chciał, go na nim rozpoznać jako oficera, który zastrzelił POR. ROPERA.

b. POR.ROPER początkowo zaliczony został do zaginionych, prawdopodobnie poległych. Wysiłki Służby Rejestracji Grobów mające na celu odnalezienie jego ciała po odzyskaniu kontroli nad wspomnianym obszarem zostały uwieńczone powodzeniem dopiero niedawno.

c. POR. Charles D. STEVENS, 0-498666 z Kompanii Pancерnej 24. Pułku Piechoty, przesłuchiwany na oddziale neuropsychiatrycznym szpitala ogólnego w Tokio, gdzie przechodzi leczenie ciężkich ran oparzeniowych i urazów psychicznych, zeznał, co następuje. 16 września 1950 r., wkrótce po przydzieleniu do Kompanii Pancерnej 24. Pułku Piechoty w okolicach Tonghae w Republice Korei, służył jako członek załogi czołgu M4A3. Taki sprzeczny z regulaminem przydział dla świeżo przysłanych oficerów miał zdaniem KPT. PARKERA pozwolić lepiej wdrożyć im się do służby w nowej jednostce. STEVENS służył jako ładowniczy w czołgu dowodzonym przez ST. SIER. Amosa T. WOODROWA, RA 56901989.

Kompania Pancerna 24. Pułku Piechoty pod dowództwem PARKERA brała udział w nieudanym ataku 24. Pułku Piechoty na pozycje wroga wokół Tonghae. Po początkowym udanym przełamaniu pozycji nieprzyjaciela ciężki ogień artylerii i moździerzcy uniemożliwił 2. Batalionowi 24. Pułku Piechoty pokonanie pól ryżowych i zajęcie pozycji, z których mogłyby ubezpieczać dalsze natarcie kompanii pancерnej pod dowództwem PARKERA. PARKER odbył z dowództwem 2. Batalionu rozmowę przez radio, którą POR. STEVENS słyszał przez sieć łączności wewnętrznej czołgu. PARKER powiadomił piechotę, że zajął pozycje opuszczone przez nieprzyjaciela i utrzyma je do czasu pokonania ryżowisk przez 2. Batalion i zajęcia przewidzianych planem pozycji. POR. STEVENS uznał tę ocenę sytuacji za nierozważną z uwagi na ciężki ogień artylerii, pod którym znajdowały się wówczas czołgi. Według niego wyłączenie z akcji poszczególnych czołgów przez artylerię pozostawało tylko kwestią czasu. Dowódca 2. Batalionu zalecił KPT. PARKEROWI wycofanie się, proponując ponowienie próby po ustaniu ostrzału. W tej chwili pocisk artyleryjski trafił w czołg dowodzony przez ST. SIER. Richarda M. OGLEBY'EGO (numer służbowy nieznan), niszcząc prawą gąsienicę i ucinając antenę radiostacji pokładowej. Pomimo unieruchomienia wóz pozostał w stanie zdolnym do walki, którą bez przerwy prowadził. Uszkodzenie wozu ST. SIER. OGLEBY'EGO zostało zameldowane drogą radiową PARKEROWI przez ST. SIER. WOODROWA. PARKER w odpowiedzi nakazał WOODROWI wyjść z wozu, podejść do uszkodzonego czołgu i nakazać jego załodze jego opuszczenie. Po tym jak WOODROW wykonał rozkaz, dowodzenie przejął POR. STEVENS. WOODROW został w czasie drogi do uszkodzonego czołgu trafiony odłamkiem pocisku moździerzowego i poległ na miejscu.

STEVENS zameldował PARKEROWI przez radio o śmierci WOODROWA.

PARKER polecił mu podjechać czołgiem i zabrać do środka ciało WOODROWA, a potem ewakuować załogę uszkodzonego czołgu.

STEVENS zameldował w odpowiedzi, że uważa rozkaz PARKERA za samobójczy, i zażądał ponownego rozważenia. PARKER powtórzył rozkaz. W tym samym czasie STEVENS odebrał skierowany przez radio do PARKERA rozkaz wycofania się z zajmowanych pozycji. Uznając, że rozkaz ten uchyla rozkaz PARKERA, STEVENS wydał kierowcy polecenie wycofania wozu w kierunku rubieży wyjścia, zgodnie z rozkazem dowództwa. (Kierowcą był PLUT. Quincy T. ARRANS JR, RA 14375502, świeżo przybyły z uzupełnień.)

STEVENS zeznał, że PARKER na widok jego manewrów odezwał się do niego przez radio słowami: »Stój, cholerny tchórze, albo cię rozwalę" lub podobnymi o tym samym znaczeniu. STEVENS próbował przekazać ten rozkaz ARRANSOWI, ale prawdopodobnie z powodu awarii systemu komunikacji wewnętrznej, ARRANS nie dosłyszał rozkazu i nadal wycofywał czołg.

W tej chwili w czołg STEVENSA uderzył pocisk, według jego zeznań akumulacyjny wystrzelony z czołgu PARKERA. Trafił on w gasienicę z tyłu, po prawej stronie, ale odłamki przebiły kadłub w rejonie przedziału silnikowego, przecinając przewody paliwowe i powodując wybuch pożaru. ARRANSOWI udało się opuścić płonący czołg, ale kilka minut później zginął od ognia moździerzy. STEVENS także opuścił czołg, odnosząc jednak poparzenia drugiego i trzeciego stopnia ponad 25 procent powierzchni ciała. Po opuszczeniu czołgu ugasił na sobie kombinezon i schronił się w rowie.

Mniej więcej o tej samej porze ogień artylerii i moździerzy nieprzyjaciela osłabił na tyle, że dowódca 2. Batalionu nakazał swoim wojskom nacierać przez ryżowiska ponownie, tym razem z powodzeniem. Półprzypadkowego STEVENSA odnaleźli sanitariusze z 2. Batalionu i ewakuowali do 8048. MASH.

d. PLUT. Lowell G. DABNEY, RA 35189632, z Kompanii Pancerniej 24. Pułku Piechoty przesłuchiwany w Szpitalu Ogólnym w Tokio, gdzie przebywa na leczeniu z ran odniesionych w tym samym starciu, był celowniczym w załodze WOODROWA-STEVENSA. Do kompanii wstąpił w stopniu szeregowego po tym, jak jego kompania „I” 24. Pułku Piechoty brała udział w wydarzeniach, o których zeznawał KPR. YOUNG. Zeznał on, że słyszał, jak PARKER wydał WOODROWOWI rozkaz wysłania STEVENSA do uszkodzonego czołgu i że STEVENS odmówił wykonania tego rozkazu, w wyniku czego WOODROW sam opuścił czołg, przekazując dowodzenie LABNEYOWI. Kiedy WOODROW upadł

trafiony odłamkiem, DABNEY wyskoczył z czołgu, żeby „udzielić mu wszelkiej możliwej pomocy”.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, wóz zaczął się cofać i chwile później został trafiony pociskiem mózdzierzowym nieprzyjaciela w przedział silnikowy, po czym stanął w płomieniach.

e. Akta 8112. Kompanii Remontowej sprzętu uzbrojenia wskazują, że czołg, którego wrak ściągnięto po walce na zaplecze, nosił ślady wskazujące na trafienie pociskiem ppanc, prawdopodobnie produkcji amerykańskiej.

f. Próby dalszego poszerzenia materiału dowodowego poprzez przesłuchanie pozostałych żołnierzy Kompanii Pancerniej 24. Pułku Piechoty przez agentów Służby Dochodzeniowej spełzły na niczym. Żaden z przesłuchiwanym żołnierzy nie słyszał lub twierdzi, że nie słyszał, transmisji radiowych, o których mowa powyżej. KPT. PARKER odmówił składania zeznań, powołując się na prawa, które przysługują mu na mocy artykułu 31. kodeksu wojskowego.

LaRoyce J. Wilson,
pułkownik, Korpus Żandarmerii Wojskowej
profos generalny

Załącznik 1

D-TWO 8. ARMII 23 SIERPNIA 1951
201-PARKER, Philip S. (Kpt.) 0-230471
DO. DOWÓDCA DC KORPUSU US ARMY

Podjąć wskazane kroki i zażądać wyjaśnień na piśmie od w/w oficera.

z rozkazu

Steven G. Galloway,
pułkownik
prokurator wojskowy

Załącznik 2

D-TWO IX KORPUSU US ARMY 1 WRZEŚNIA 1951
DO. D-CA 8. ARMII

1. Z uwagi na wzorową służbę w/w oficera w czasie konfliktu w Korei, której wyznacznikami są awans na polu walki na wyższy stopień oficerski, odznaczenie orderem Srebrnej Gwiazdy i Purpurowym Sercem, na podst. wytycznych, regulaminu 615-365 w/w oficerowi zaproponowano dobrowolne odejście z Armii ze względu na dobro służby.

2. W/w oficer odrzucił taką możliwość.

3. Po rozważeniu sprawy zarzutów przeciw w/w oficerowi przez kolegium oficerskie w zgodzie z wytycznymi artykułu 31 kodeksu wojskowego, kolegium zaleciło przekazanie sprawy do sądu wojennego przy dowództwie korpusu w celu przeprowadzenia sprawy karnej o zabójstwo i usiłowanie zabójstwa.

4. Dowództwo korpusu przyjęło zalecenie kolegium oficerskiego i zwoła sąd wojenny w celu osądzenia sprawy w/w oficera. Wyniki rozprawy zostaną przesłane do waszej wiadomości niezwłocznie po jej zakończeniu.

z rozkazu
Thomas C. Minor,
pułkownik
G-1 dowództwa IX Korpusu

- Co za gówno - powiedział Lowell po zakończeniu lektury. - Dlaczego nie odszedłeś?
- Craig, ja jestem żołnierzem.
- I w dodatku jesteś niewinny, tak?
- Mają na biurku wszystkie fakty w tej sprawie. Albo prawie wszystkie.
- I co? Masz zamiar tam tak po prostu pójść i dać się zgnoić?
- Mam zamiar przyjąć, cokolwiek się zdarzy.
- Jeśli nie masz zamiaru się bronić, to dlaczego po prostu nie złożysz rezygnacji?
- Bo wolę odpowiadać za to, co zrobiłem, niż żeby inni myśleli, że odszedłem, bo się okazało, że jestem, bo ja wiem, złodziejem, pedalem czy kim tam jeszcze,

kogo się zwalnia z wojska ze względu na dobro służby.

- Możesz wylądować w Leavenworth, zdajesz sobie z tego sprawę?
- Zastanawiałem się nad tym.
- Nie, na to nie możemy pozwolić. Musimy stawić czoło temu sądowi.
- My musimy stawić czoło? - zaśmiał się Parker.
- Cholera, jeśli ty wylądujesz w Leavenworth, to będę już tylko ja sam przeciw systemowi. Nie chcę zostać całkiem sam.
- I pewnie już wymyśliłeś, jak stawić czoło temu sądowi, prawda?
- Nie, ale wiem, kogo o to spytać.

Spojrzał na Parkera, ich spojrzenia się spotkały i obaj zdziwili się, jak to na nich podziałało.

- Jezu - powiedział po chwili Lowell. - To jest właśnie problem z wami, młodszymi oficerami. Starczy was spuścić z oka na pół minuty, a już zdążycie sobie narobić kłopotów!

2

Beverly Hills, Kalifornia

9 września 1951

Ledwie DC-6 linii Pan American dokołował pod budynek międzynarodowego dworca lotniczego w Los Angeles, Wayne Baxley dostrzegł tłum reporterów radiowych, prasowych i nawet telewizyjnych, ruszających ku maszynie. Co gorsza, doskonale zdawał sobie sprawę, że ta scena, którą Paige odstawiła przed odlotem, zabierze mu całą sławę, po którą ruszał do Korei.

Przecież to niemożliwe, żeby ci wszyscy pismacy czekali na niego. Zresztą z daleka widać było w samym środku ciżby fotoreporterów tego makaroniarza, agenta prasowego Paige. Stał tam, jak jakaś pieprzona Statua Wolności, wysoko nad głowę unosząc egzemplarz „Los Angeles Timesa”. Na pierwszej stronie było pewno to samo zdjęcie, które widział na czołówce „Honolulu Reporter-Gazette”, kiedy tankowali tam paliwo. Paige, cała splekana, w ramionach tego Wunderkind - i to na trzy pieprzone szpalty na czołówce!

Pod samą winiętą gazety widniał nagłówek: GEORGIA ŻEGNA SWOJEGO ŻOŁNIERZA. Georgia! Boże, zupełnie, jakby każdy ją znał po imieniu. Poza tym to wcale nie był żaden żołnierz, tylko oficer. Temu pismakowi z Honolulu wszystkim się popieprzyło:

GDZIEŚ W KOREI, 7 września (AP) - Był po prostu jednym z setek wiarusów, którzy wymknęli się ze swoich okopów i bunkrów z worków z piaskiem na tej spustoszonej wojną ziemi, by pożegnać Georgię Paige wracającą do domu po objazdowych występach dla wojska. W pewnej chwili aktorka, której podobizny zdobią każdy okop, stała się po prostu zwykłą amerykańską dziewczyną z sąsiedztwa, która ze łzami w oczach rzuciła się w ramiona swego chłopaka, który będzie musiał tu zostać i walczyć, podczas gdy ona wróci do kraju.

Tłum żołnierzy wybuchł oklaskami i gwizdami, w niejednym oku zakręciła się łza na wspomnienie tych, które oni sami zostawili w kraju. Wayne Baxley, którego zespół był częścią trupy USO panny Paige, musiał wreszcie rozdzielić młodych kochanków i zaprowadzić ją skąpaną we łzach do czekającego na nią samolotu. Georgia odwróciła się jeszcze w drzwiach, by ostatni raz spojrzeć na swego żołnierza, a potem drzwi się zamknęły i jej chłopak zginął w tłumie, zanim ktokolwiek zdążył zapytać go o nazwisko.

To nie był jakiś pieprzony zespół, na miłość boską! To była Orkiestra Wayne'a Baxleya! I to był jego objazd USO, a nie Paige! Ona była tylko parą cycków do pokazywania spragnionym żołnierzom, pieprzonym nadbagażem, z którym od samego początku były kłopoty.

Z wysiłkiem uśmiechał się do fotoreporterów i kamerzystów, przepychając się przez tłum dziennikarzy do budynku dworca. Odmawiał wywiadów, prosząc o wyrozumiałość. Odbyli długą drogę z Korei, on i jego orkiestra byli wykończeni.

Znał siebie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że gdyby teraz z nimi rozmawiał, mógłby chlapać coś, czego by potem żałował. A miał cholerną ochotę powiedzieć im, co myśli o tym, co wyczynia ta suka, żeby mu ukraść prasę.

Tony Ricco, agent prasowy panny Paige, pochylił się do niej i pocałował ją w policzek, kiedy tylko wsiadła do limuzyny, która przyjechała po nią na lotnisko.

- Jestem z ciebie dumny, dziecinko. Jak ci się, do cholery, udało wydusić te łzy? To było po prostu wspaniałe!

- Odpieprz się, Tony! - warknęła panna Paige.

- Hej, co się z tobą dzieje? Nie, no tylko mi nie mów, żeś się naprawdę napaliła na tego faceta!

- Napaliłam się. Zadowolony?

Ricco wyciągnął ręce przed siebie obronnym gestem.

- Jak długo potrwa wywołanie kolorowego filmu? - zapytała po chwili gwiazda.

- Dwa dni. Co to za film?

- Jak się postarasz, to potrafisz załatwić to wcześniej. Da się zrobić na dzisiaj, Tony? - Podała mu rolkę małoobrazkowego filmu w czarnym papierze.

- Ale co to jest? Twoje zdjęcia z Panem Szczęśliwym?

- Owszem, ale wyłącznie do prywatnego użytku. Tony, daj je do wywołania i zrób odbitki, ale tylko dla mnie. Craig i bez tego będzie wściekły o te historie w prasie.

- A niby dlaczego miałby się wściekać? - szczerze zdumiał się Tony.

- I tak tego nie zrozumiesz.

- Spróbuj chociaż.

- Nie jest żołnierzem, tylko oficerem.

- Całe szczęście, że to nie poszło do gazet. Z szeregowym ci bardziej do twarzy.

- Policz ludzi na zdjęciach i każ dla każdego z nich zrobić po dwie odbitki w formacie dwadzieścia na dwadzieścia pięć. Obiecałam chłopakowi, który je robił, że to załatwię.

- Jak sobie życzysz, skarbie.

- I załatw to dziś. Za te pieniądze, które twoje studio zarabia na moich fotosach, powinni je zrobić od ręki.

- Zajmę się tym, spokojna głowa, dziecinko.

Kiedy z bębna suszarki wyjechała pierwsza odbitka, Tony przekonał się, że to nie były zwykłe zdjęcia. Po pierwsze, pewnie za sprawą czystego przypadku, były doskonale naświetlone i bardzo ostre. A poza tym, wykonano je na pierwszej linii frontu. W tle widać było tablicę z napisem: OD TEGO MIEJSCA JESTEŚ POD OBSERWACJĄ NIEPRZYJACIELA. Takich tablic nie wieszka się w sztabie. Żołnierze na zdjęciu wyglądali jak frontowcy, naprawdę z trudem wierzący w to, że ktoś taki jak panna Paige stoi wśród nich.

- Marty! - krzyknął. - Zrób mi jeszcze jeden komplet! Po jednym, trzysta pięć na trzysta pięćdziesiąt sześć.

A potem podniósł słuchawkę i zadzwonił do biura „Time-Life” w Los Angeles.

- Bob? Co powiesz na serię pierwszorzędných, kolorowych zdjęć Georgii Paige wśród żołnierzy na pierwszej linii? Jasne, że na wyłączność.

Major Lowell nie musiał nawet mówić, że pojawia się służbowo z polecenia generała Harriera. Kiedy przyszedł na lotnisko i obwieścił, że potrzebuje helikoptera, żeby odnaleźć jakiegoś majora z XIX Korpusu, bo tam, gdzie on będzie, może nie być miejsca do lądowania dla L-19, od razu to założono.

W budynku dowództwa sekcji powietrznej siedziało, czekając na przydział zadania, co najmniej sześciu pilotów. Jedyna różnica, którą Lowell dostrzegł pomiędzy nimi a kierowcami równie znudzonymi w oczekiwaniu na dysponenta w parku samochodowym nieopodal, był fakt, że wszyscy byli oficerami. Załapali się do korpusu oficerskiego tylko dlatego, że jakiś idiota kiedyś wymyślił, że pilotem dwuosobowego samolociku za 15 patyków albo równie tandetnego wiatraka za 75 kawałków musi być oficer, podczas gdy czołgami M46, po 238 tysięcy doliców sztuka, z czterosobową załogą, dowodzili sierżanci.

Major Lowell powiedział kiedyś, że lotnicy US Army służą głównie do tego, żeby zaokrąglić sumę do wypłaty co miesiąc; opinia ta nie przyniosła mu popularności wśród pilotów. Zresztą i tak nie mieli nic do powiedzenia w tej sprawie. Oni byli porucznikami, a on majorem, a w dodatku bohaterem wojennym i adiutantem szefa sztabu korpusu.

- Fortin - zawołał jednego z pilotów dyżurny - zabierz majora, dokąd chce.

Znalezienie MacMillana wcale nie okazało się trudnym zadaniem. W końcu był lotnikiem, a oni się wszyscy znali jak łyse konie. Kiedy wylądowali na lotnisku XIX Korpusu i wysłał pilota do baraku dowództwa, żeby się dowiedział, gdzie mogą znaleźć MacMillana, tamten wrócił już po minucie.

- Major jest na lotnisku na wschodnim wybrzeżu, ale potrzeba specjalnej przepustki, żeby tam lądować.

- Mamy ją - odparł Lowell. - Lećmy.

Pół godziny później H-23 z łoskotem lądował w Soczho-ri. Jeszcze dobrze nie usiedli, kiedy do helikoptera podjechał jeep, a z niego wysiadł bardzo kompetentnie wyglądający sierżant ze strzelbą Winchester wz. 1897 i grzecznie, ale tonem nieznośnym sprzeciwu poinformował, że wylądowali na terenie zamkniętym. Jeśli mieli jakąś awarię, przekaże komu trzeba wszelkie wiadomości od nich, ale nie wolno im opuszczać lotniska.

- Przyleciałem się zobaczyć z majorem MacMillanem - powiedział Lowell.

Sierżant bez mrugnięcia okiem poinformował go, że w życiu nie słyszał o żadnym majorze MacMillanie.

- Sierżancie, nie mam czasu na zabawy spod znaku płaszcza i szpady - odparł Lowell. - Wiem, że MacMillan tu jest, i proszę nie zgrywać idioty. A teraz wsiądźmy do jeepa i zawieź mnie pan do MacMillana.

Sierżant przez dłuższą chwilę badawczo mu się przyglądał, po czym podjął decyzję i wskazał jeepa lufą Winchestera.

Wjechali do małej wioski, otoczonej teraz podwójnym wałem z drutu kolczastego. Przy bramie stali wartownicy z pistoletami maszynowymi i śrutówkami, ale żaden z nich nie zatrzymał jeepa, kiedy przez nią przejeżdżali.

Pojazd zatrzymał się przed największą z kamiennych chat krytych strzechą.

- To tutaj, sir - powiedział.

Lowell wszedł do środka. Wewnątrz siedziało kilku podoficerów i jakiś chorąży, przed którymi na stole stały radiostacje, jakich nigdy dotychczas nie widział.

- Chyba nie powinien pan tu wchodzić, sir - odezwał się chorąży.

- Gdzie jest dowódca? - zapytał Lowell.

Chorąży wskazał zamknięte drzwi. Lowell podszedł do nich, zapukał i nie czekając na wezwanie, odsunął.

- O jasna cholera!

- No cóż, witaj, Craig - powiedział siedzący za biurkiem kapitan Sanford T. Felter, odkładając Colta wz. 1911A1 na blat, na kopertę z czerwonymi nadrukami ŚCIŚLE TAJNE.

Obaj panowie patrzyli na siebie bez słowa przez chwilę.

- Nie powinienes tu przyjeżdżać - powiedział wreszcie Felter. - Ale to już chyba sam wiesz.

- Gdybym wiedział, że ciebie tu spotkam, przyleciałbym znacznie wcześniej.

- No tak - uśmiechnął się Felter. - Właśnie dlatego nie chciałem, żebyś się o tym dowiedział.

- Do tej pory nie miałem szansy podziękować ci za to, co zrobiłeś, kiedy Il-se...

- Daj spokój, nie trzeba. Przecież wiesz.

- Jestem twoim dłużnikiem. Nie zapominaj o tym.

- A co u ciebie, Craig?

- Wszystko w porządku. Prawdę mówiąc, ostatnio tak w porządku, że zakończyłem się w gwieździe filmowej nazwiskiem Georgia Paige. Ale chyba nie czas teraz na takie opowieści.

- Craig, naprawdę nie powinieneś tu przyjeżdżać. W ogóle nawet nie powinieneś wiedzieć o tym miejscu.

- Dziwne, wiesz, ale wydawało mi się, że w tej wojnie jesteśmy po tej samej stronie.

- Nic nie rozumiesz.

- Rozumiem, że jesteś szpiegiem. Nie bój się, mam dopuszczenie do ściśle tajnych wiadomości.

- Lepiej by było, żebym to ja przyjechał z wizytą do ciebie.

- Przyjechałem do MacMillana. Ty jesteś tylko nadprogramową, ale bardzo mile widzianą premią.

- Czego chcesz od niego? - zapytał raczej chłodno Felter.

- Mój przyjaciel ma stanąć przed sądem wojennym.

- I myślisz, że MacMillan ma w zanadru jakiś trik, żeby ci go wyciągnąć z kabały, co? - sarkazm Feltera graniczył już z gniewem.

- Owszem, właśnie na to miałem nadzieję. To najlepszy specjalista od mącenia, jakiego znam.

Postawa Feltera zaczynała go już złościć.

- Wiem, co sobie pomyślisz i co powiesz, Craig, ale będziesz sobie musiał poradzić bez MacMillana.

- Dowiem się dlaczego?

- Bo to, co tu robimy, jest ważniejsze niż twój przyjaciel w opalach. I znasz mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie powiedziałbym ci czegoś takiego, gdybym naprawdę nie musiał.

- Nie przyjeżdżałbym tu, gdybym naprawdę nie był zdesperowany.

- Przykro mi, Craig. To sprawa priorytetów.

- Mój przyjaciel jest oskarżony o zastrzelenie oficera, który nie chciał walczyć. Ty chyba wiesz, że to się czasem zdarza, co?

Spojrzenie Feltera było teraz naprawdę przerażające. Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie prosto w oczy.

- No dobra, możesz porozmawiać z MacMillanem – powiedział wreszcie. Lowell rozpoznał ton komendy: obwieszczano mu decyzję, od której nie ma odwołania. - Ale nie wolno ci go w to wciągać. Nie chcę, żeby ktokolwiek za jego pośrednictwem zainteresował się nami i tym, co on tu robi. Potrafisz to zrozumieć?

Felter zawołał jednego z sierżantów i kazał mu zawieźć Lowella do Maca. Mac był na pokładzie jednej z dżonek, które Lowell widział, gdy helikopter podchodził do lądowania. Z powietrza wyglądały jak wszystkie inne dżonki, ale z bliska widać było różnice. Z przodu i z tyłu do pokładu przymocowane były podstawy do półcalowych Browningów. Do masztów przykręcone były anteny radiowe, a przez wielki

właz otwarty na pokładzie widać było potężne diesle wewnątrz kadłuba.

MacMillan siedział na pokładzie z trzema Koreańczykami, uważnie oglądając taśmy z nabojami do Browningów. Mac nie wydawał się ani zaskoczony, ani tym bardziej ucieszony jego wizytą, ale na jego widok wstał i wyciągnął z kabiny butelkę dwunastoletniej whisky. Popatrzył na niego i skrzywił się:

- Jezu, ile ty masz lat? Dwadzieścia trzy?
- Dwadzieścia cztery. Szlag cię trafia, bo zostałem majorem, tak?
- Owszem. Daleko zaszedłeś od boiska do gry w polo w Bad Nauheim, szeregowy Lowell, co?

- Nigdy bym nie przypuszczał, kapitanie MacMillan, że na starość zostanie pan piratem.

- Jakoś nie wydaje mi się, żebyś przyjechał na wspominki, Lowell. No dobra, czego chcesz? - Nie zdążył się nawet odezwać, kiedy MacMillan powiedział: - Felter powiedział mi, co się stało z twoją żoną. Bardzo mi przykro, Lowell. Co zrobiłeś z dzieciakiem?

- Jest w Niemczech. Jego dziadek wrócił z gułagu.
- Pisałem o tym Roxy i kazała mi się dowiedzieć o twój adres. Jakoś nie miałem kiedy się tym zająć, ale Roxy chce pomóc. Potrzeba ci czegoś?
- Dla dzieciaka nic. Ale mój kumpel narobił sobie kłopotów. Pamiętasz tego wielkiego czarnucha, z którym byłem w Knox?

- King Konga?
- Ma trafić pod sąd polowy.
- O co jest oskarżony?
- Na początku wojny rozwalił oficera piechoty, który nie chciał walczyć.

MacMillan pociągnął głęboki łyk.

- Słyszałem, że to się zdarza...
- Potrzebuję dla niego pomocy.
- Zaczniemy od tego, że zawsze trzeba podkreślać, że jest tylko oskarżony o to, że go dmuchnął. Nigdy, przenigdy nie wolno mówić, że rzeczywiście to zrobił, choćby mu dał w łeb na trawniku Białego Domu, na oczach prezydenta, Pierwszej Damy i kamer kroniki filmowej.

- W pierwszej chwili pomyślałem, żeby mu ściągnąć dobrego obrońcę ze Stanów. Ale potem pomyślałem, że to by wyglądało jak przyznanie do winy. I wtedy pomyślałem o tobie.

- Ostatnia rzecz, którą mógłbyś mu pomóc, to drogi prawnik z kraju. To wkurza sąd. Potem, na rozprawie apelacyjnej, to już jest inna sprawa. Tam będzie potrzeba jakiegoś prawdziwego artysty.

- Wydajesz się całkiem pewien, że go uznają winnym.

- A jest winien?
- Zrobił to, o co go oskarżają.
- To jeszcze nie znaczy, że go za to skażą. Musisz jednak pamiętać, że sądy polowe z reguły robią to, czego życzy sobie ten, kto je zwołuje. Jeżeli generał, który zwołuje sąd polowy, chce, żeby twój koleś wisiał, to prawdopodobieństwo uznania winnym zarzucanych mu czynów znacznie wzrasta.

- Cholera!

- Nie gorączkuj się, to nic takiego. Nawet jeśli mu dadzą wyrok śmierci, to i tak nie zostanie wykonany. Nie licząc złodziei i gwałcicieli, US Army straciła tylko jednego żołnierza od czasów wojny secesyjnej. W najgorszym razie sąd uzna go za winnego i skaze na śmierć albo dożywocie, żeby pokazać, że strzelanie braciom oficerom w tył głowy nie będzie tolerowane. Potem wyrok pójdzie do zatwierdzenia do generała, a ten zamieni karę śmierci na dożywocie albo dożywocie na dwadzieścia lat, a po pięciu, sześciu latach, jeśli nie narozrabia, wyjdzie na wolność.

- Nie da się zrobić tak, żeby w ogóle nie poszedł siedzieć? Wszystko jedno, ile to miałoby kosztować, Mac.

- Pieniądze nic ci tu nie pomogą. Może potem. Na razie najlepiej będzie, jak poszukasz w biurze prokuratora jakiegoś wojskowego prawnika rezerwisty, wkuźzonego na to, że go powołali z cywila i wysłali tu, w to gówno. To musi być ktoś, kto ma porządną robotę w cywilu i ma w dupie opinię, którą mu tu wystawią na koniec służby. Namów go, żeby bronił twojego kumpla. Może będzie miał szczęście. A nawet jeśli nie, to dobry cywilny prawnik zwykle każdego wybroni na rozprawie apelacyjnej. W tych papierach zawsze musi się znaleźć coś, czego nie dopilnowali.

Sandy Felter pojawił się koło dżonki, kiedy butelka była prawie pusta. Lowell zastanawiał się, czy przyjechał go odwiedzić na lotnisko, czy też jego obecność oznacza, że jego czas minął.

- Słuchaj, naprawdę mi przykro, że tak cię powitałem. - Wyglądało, że mówił szczerze.

- Nie ma sprawy.

- To, co tu robimy, jest naprawdę bardzo ważne. To się liczy najbardziej.

- Innymi słowy, fajnie, że wpadłeś, ale nie wracaj więcej?

- Właśnie.

- Nie wrócę.

- Mam nadzieję, że twój kumpel z tego wyjdzie.

- Ale tak naprawdę, masz to głęboko w dupie, czy tak?

- Jeśli mam być szczerzy, to tak.

- A gdybym to był ja?

- Sam nie wiem - szczerze odparł Felter.
- A gdybyś musiał znowu to zrobić, Sandy, kropnąłbyś jeszcze raz tego kapitana?

Felter rzucił mu spojrzenie pełne pogardy i prawie nienawiści.

- Ty naprawdę nie rozumiesz, co? Nie zrobiłem tego, żeby ratować twój tyłek. Rozwaliłem go, bo stał na drodze do wykonania zadania.

- Wiesz, Sandy, chyba masz rację. Naprawdę nie rozumiem - odparł Lowell, wysiadając z jeepa. Podał mu rękę, którą tamten uściśnił, i obaj uśmiechnęli się do siebie jak zupełnie obcy ludzie.

XIV

1

Czchorwon, Korea Północna

15 września 1951

Major Lowell zdawał sobie sprawę, że nie tylko wylądował na czarnej liście generała Harriera, ale grozi mu zajęcie pierwszej i niezagrożonej na niej pozycji. Innymi słowy, problemy, które miał teraz, to nawet nie była połowa tego, co go jeszcze czekało. A najciekawsze było to, że czy to w wyniku tego, że mu odbiło, czy też wręcz przeciwnie, że wreszcie zmądrzał - w każdym razie było mu wszystko jedno.

Wyglądało na to, że US Army dostała kompletnego fioła na punkcie tego, co się działo podczas wizyty Georgii w IX Korpusie. Obraził poczucie moralności i dobrego smaku. To mu przypomniało pewną historię ze szkoły, kiedy pojechali do New Jersey i podejmowała ich żeńska szkoła panny Beard z Orange. Podczas meczu tenisowego nafaszerował ciastka środkiem przeczyszczającym i siedem czy osiem piętnastolatek dostało straszego rozwolnienia. Dyrektora o mało szlag nie trafił z wściekłości.

Jedyna różnica polegała na tym, że dyrektor szkoły nie wiedział, kto naszpikował ciastka środkiem przeczyszczającym, a tutejszy dyrektor doskonale wiedział, kto nagrzeszył.

W dowództwo korpusu trafił piorun prosto z Pentagonu. Wysłano stamtąd ciężką szarą kopertę z pieczęciami lakowymi i wielkim stemplem PRZEZ KURIERA. Do Tokio zawiózł ją pewien podpułkownik z uzupełnień, a z Dai Ichi pojechała dalej, do dowództwa 8. Armii, w rękach pewnego chorążego szyfranta, wraz ze ściśle tajnymi kluczami szyfrowymi na nadchodzący tydzień. Stamtąd

przywiózł ją specjalnym lotem młodszy adiutant dowódcy 8. Armii, który osobiście wręczył ją dowódcy korpusu i odebrał pokwitowanie, jakby to były jakieś najściślejsze tajemnice, od których zależy los wojsk w Korei i w ogóle całej ludzkości.

Dowódca korpusu otworzył ją własnoręcznie, po czym wezwał swego szefa sztabu i obaj ze zmarszczonymi czołami przestudiowali towarzyszącą przesyłce krótką notatkę na papierze listowym ozdobionym powiewającą na wietrze generalską flagą z czterema gwiazdkami.

Prócz podpisu, znajdowało się tam zaledwie jedno zdanie: „Szef sztabu prosi o pański komentarz do artykułu na stronach 73-78 załączonego numeru czasopisma «Life»”.

„Life” wszedł w jakiś sposób w posiadanie zdjęć, które żołnierze robili Georgii w czasie jej wizyty w 73. Wzmocnionym Batalionie Czołgów Ciężkich i które aktorka zabrała do Stanów do wywołania. Artykuł otwierało powiększone na całą stronę zdjęcie przedstawiające pannę Paige w kamizelce przeciwodłamkowej stojącą wśród grupy czołgistów. Tych widać było na zdjęciu ośmiu: sześciu szeregowych i podoficerów oraz dwóch oficerów, w tym major Craig W. Lowell. W tle widniał Blueballs.

Zdjęcia były bardzo dobrej jakości, więc imię czołgu było aż zanadto dobrze widoczne. Równie dobrze widać było, co załoga, karykaturując zwyczaje Sił Powietrznych, wymalowała obok: osiem przekreślonych sylwetek czołgów T-34/85, oznaczających osiem potwierdzonych zniszczonych koreańskich czołgów. Pięć pochodziło z czasów, kiedy czołg nazywał się „Ilse”, trzy były zasługą kolejnych jego dowódców. Pół biedy, gdyby mechanicy na tym poprzestali, ale jakiś żartowniś znacznie rozszerzył tę galerię sławy, dorysowując podobnie przekreślone sylwetki wozów ciągnionych przez woły, koreańskich staruszek, inwalidów na wózkach i tym podobnych dowodów zwycięstw wątpliwego humoru nad zdrowym rozsądkiem i dyscypliną.

Przez całą szerokość zdjęcia ciągnął się wybity dużą czcionką tytuł: GEORGIA PAIGE Z WIZYTĄ NA FRONCIE.

Pod zdjęciem był jeszcze podpis: „Słynny biust skryła kamizelka kuloodporna, a złote loki zniknęły pod hełmem, kiedy młoda gwiazda Hollywood wymknęła się z występu zespołu USO na tyłach, by odwiedzić batalion pancerny na pierwszej linii frontu «gdzieś w Korei Północnej»”.

Na innych zdjęciach wypełniających pięciostronicowy reportaż widać było pannę Paige, kiedy nieogolony żołnierz nalewa jej burbona do kubka od manierki, kiedy podpisuje swoje słynne zdjęcie ze sterczącymi sutkami, przypięte do mapy

sytuacyjnej w dowództwie kompanii, całując żołnierza, za którym stała kolejka następnych chętnych, jak dwóch żołnierzy pomaga jej zejść z Blueballsa. Na tym ostatnim zdjęciu jej koszula była krzywo zapięta, jakby ją pośpiesznie wkładała. Na większości zdjęć widać było Lowella, czasem patrzącego w pannę Paige jak w obrazek, z tą jego cholerną nieregulaminową kaburą z Lugerem i niemiecką klamrą GOTT MIT UNS.

Nie minęło wiele czasu, zanim wezwano Lowella do gabinetu generała Harriera, by odpowiedział za swe grzechy. Zaczęło się od wyrecytowania ich listy.

- Nie ma wątpliwości, majorze Lowell, że jaskrawo naruszając regulamin i wykazując mniej zdrowego rozsądku, niż można by się spodziewać po kapralu, naprawdę zabrał pan tę kobietę na pierwszą linię frontu.

- Nie, sir. To znaczy, tak jest, nie ma wątpliwości, sir. Zabrałem ją tam.

- Co pan sobie myślał?

Lowell doszedł do wniosku, że nie może szczerze powiedzieć swemu pryncypałowi, co sobie wtedy myślał, więc nie odpowiedział wprost.

- Szczerze żałuję, że narobiłem panu kłopotów, sir.

- To nie wystarczy, Lowell. Nie pamiętam, żeby którykolwiek z moich oficerów tak mnie upokorzył jak pan.

- Z całym szacunkiem, sir, ale nie bardzo widzę, jak moje działania mogłyby pana upokorzyć, sir.

Jestem w końcu, do cholery, majorem, uzupełnił swą wypowiedź w myśli. Chyba żaden z tych idiotów nie oczekuje od generałów dywizji prowadzenia za rączkę każdego majora, który im podlega?

- A to? - zapytał Harrier, stukając palcem w podobiznę Lowella na zdjęciu. - Paraduje pan tu z nieprzepisową bronią, w nieprzepisowej kaburze i jakby tego było mało, z widniejącą na niej hitlerowską dewizą!

„Bóg z nami” to ma być hitlerowska dewiza? Jezu, czy on naprawdę tak myśli?

- I to na tle czołgu z wulgaryzmem wymalowanym na wieży - kontynuował Harrier.

- Raz jeszcze przepraszam za kłopoty, których byłem przyczyną, sir.

- A ja raz jeszcze panu odpowiem, że to nie wystarczy.

- Tak jest, sir. Co mam zrobić, sir, by odkupić swe winy?

- Przede wszystkim niech się pan wreszcie zamknie, i to natychmiast! Jeśli będę chciał od pana odpowiedzi, zadam pytanie.

Zapadła długa chwila ciszy.

- Tak naprawdę, Lowell, mam ochotę postawić pana przed sądem polowym za zachowanie niegodne oficera i dżentelmena!

Ciekawe, na jakiej podstawie? Gdzie jest napisane, że to, co zrobiłem, nie przystoi dżentelmenowi?

- Niestety, zainteresowanie prasy całą tą sprawą zapewne sprawiłoby, że US Army poniosłaby jeszcze większe straty prestiżowe niż do tej pory.

Może być pan tego pewien, panie generale. Dopiero wyszlibyście na idiotów, próbując mnie za to postawić przed sądem.

- Zostaje pan zwolniony z obowiązków mojego adiutanta ze skutkiem natychmiastowym. Pański postępek znajdzie swoje odbicie w opinii służbowej, jaką panu napiszę. Do wydania rozkazu wyjazdu z powrotem do kraju pozostanie pan w swoim namiocie, który wolno panu opuszczać jedynie na posiłki i w celach sanitarnych. Dziś pomiędzy godziną 20.00 a 20.30 będzie pan mógł wejść tutaj, by zabrać swoje rzeczy. Poza tym nie chcę pana więcej widzieć w pobliżu sztabu. To wszystko. Może się pan odmeldować.

- Tak jest, sir.

Lowell zasalutował i wykonał w tył zwrot, po czym wyszedł z gabinetu i skierował się do Alei Pułkowników.

Kiedy wieczorem przyszedł opróżnić swoje biurko, miał okazję zapoznać się z odpowiedzią generała na pismo szefa sztabu. List z odpowiedzią był już przepisany na maszynie na czysto i leżał na biurku adiutanta, by ten rano podsunął go do podpisu generałowi. Ponieważ z dwóch adiutantów Harriera zadania administracyjne przypadały formalnie jemu, list leżał na jego biurku.

D-two IX Korpusu
Poczta polowa 708
San Francisco, Kalifornia
16 WRZEŚNIA 1951
Panie generale,

Jako że to mój młodszy adiutant, major Craig W. Lowell, był oficerem odpowiedzialnym za organizację pobytu zespołu US0 Bailey'a w czasie jego pobytu na terenie II Korpusu, dowódca korpusu prosił mnie o udzielenie odpowiedzi na pańskie pismo w sprawie artykułu w magazynie »Life«.

Major Lowell, który jak może sobie pan generał przypomina, dowodził Grupą Bojową Lowell w czasie przełamania linii frontu z Pusan i rajdu, który doprowadził do połączenia z oddziałami

X Korpusu, jest odpowiedzialnym, młodym dowódcą bojowym, który nie pozwoliłby sobie na narażenie życia panny Paige ani żadnego innego cywila, zabierając go w miejsce, w którym osoba taka mogłaby zostać wystawiona na bezpośrednie zagrożenie akcją bojową nieprzyjaciela. W czasie jednego z występów trupy Bailey'a na scenie ustawionej w pobliżu 8077. MASH dla publiczności, wśród której znajdowali się żołnierze 73. Wzmocnionego Batalionu Czołgów Ciężkich, kilku jego żołnierzy z kompanii B, którą niegdyś dowodził major Lowell, bez pozwolenia przełożonych, sprowadziło jeden z czołgów z linii w pobliże szpitala. Zakładali zapewne, że major Lowell, jako ich dawny dowódca, będzie im w stanie załatwić specjalne traktowanie i nadprogramowe spotkanie z gwiazdą, połączone z możliwością pozowania do zdjęć w jej towarzystwie. Cel ten, jak widać na zdjęciach, został osiągnięty. W załączeniu przesyłam zdjęcia zarówno czołgu, jak i panny Paige oraz żołnierzy kompanii B, wykonane przy tej okazji, które w artykule nie zostały zamieszczone.

O fakcie samowolnego zadysponowania sprzętem bojowym, jak i bardzo wątpliwym poczuciu humoru, którego przejawem była zarówno pisownia nazwy pojazdu, jak i symbole na nim wymalowane, zostałem poinformowany przez pułkownika Thomasa G. Minora, mego zastępcę do spraw personalnych. W załączeniu przesyłam kopię jego raportu wraz z kopią pisma skierowanego do dowódcy 73. Wzmocnionego Batalionu Czołgów Ciężkich, nakazującego natychmiastowe skorygowanie pisowni nazwy czołgu BLUEBELLS* oraz zamalowanie wszelkich symboli na nim umieszczonych, poza sylwetkami ośmiu czołgów T-34/85, których zniszczenie przez załogę wspomnianego czołgu zostało oficjalnie potwierdzone.

Oczywistym jest, że nie mamy żadnego wpływu na to, co i jak publikuje „Life”, czy którekolwiek inne czasopismo w kraju. Pomimo to przyjmuję na siebie odpowiedzialność za ten niefortunny incydent. Udzieliłem nagany majorowi Lowellowi za faworyzowanie pododdziału, którym uprzednio dowodził.

Jestem oczywiście gotów udzielić wszelkich dalszych wyjaśnień, o które pan generał się do mnie zwróci.

Z poważaniem,
John J. Harrier
generał major

* Czołg nazywał się „Blueballs”, czyli „Sine Jaja”, w wersji generała chodzi o „Bluebells”, czyli dzwonki, gatunek kwiatów (przyp. tłum.).

Lowell sprawdził swój mundur. Odznaka adiutanta zniknęła z klapy, wróciły skrzyżowane szable z sylwetką czołgu - odznaka kawalerii pancernej. Luger ze swoją kaburą leżał w szafce wraz z butami czołgowymi i kaburą podramienną do jego czterdziestki piątki. Specjalnie na tę okazję poszedł do magazynu i pobrał parciany pas do pistoletu wz. 1936 i zwykłą kaburę wz. 1916, przypinaną do tegoż pasa. Obrzuciwszy się raz jeszcze uważnym spojrzeniem, uznał, że jego mundurowi nie można nic zarzucić i jest on odpowiedni dla oficera sztabowego IX Korpusu „oczekującego na przydział”.

Wyszedł z namiotu i ruszył pod górę, do Białego Domu, gdzie skierował się do gabinetu sekretarza sztabu.

- Wydawało mi się, że miał pan rozkaz pozostać w swoim namiocie do odwołania - powitał go zwykle serdeczny sekretarz sztabu, świeżo awansowany na pełnego pułkownika.

- Tak jest, sir.

- Przesłałem panu rozkaz wyjazdu do punktu ewakuacyjnego ponad godzinę temu, majorze. Co pan tu jeszcze robi?

- Mam wątpliwości co do tego, który z otrzymanych przeze mnie rozkazów ma wyższą rangę, sir, i chciałbym pana poprosić o wyjaśnienie - powiedział Lowell, kładąc na biurku sekretarza trzymane w ręku pismo.

Dokument nosił podpis porucznika Benningtona T. Morefielda z biura prawnego korpusu, który informował majora Lowella, że ma pozostać na terenie kwatery głównej dowództwa korpusu, by być do dyspozycji w charakterze świadka w toczącej się przed sądem polowym korpusu sprawie Stany Zjednoczone Ameryki Północnej przeciw kapitanowi Philipowi S. Parkerowi IV.

2

Czchorwon, Korea Północna

16 września 1951

Generał Harrier wszedł do gabinetu dowódcy korpusu i zamknął za sobą drzwi.

- Major Lowell nie opuścił terenu dowództwa korpusu, gdyż został wezwany na świadka w procesie kapitana Parkera, sir - poinformował.

Dowódca korpusu zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Świadka obrony? - zapytał wreszcie.

- Tak jest, sir.

Dowódca raz jeszcze się zamyślił.

- Myślę, że to by nie był najgorszy pomysł, John, żebyś poszedł na tę rozprawę. Oczywiście chciałbym uniknąć jakichkolwiek posądzeń o chęć wykorzystywania stanowiska służbowego do wpływania na decyzje sądu, ale myślę, że wszyscy uczestniczący w rozprawie mają świadomość, że ta sprawa wywołuje wyjątkowe zainteresowanie. Chciałbym więc, żebyś udał się tam w charakterze obserwatora i nie pozwolił na to, by ktokolwiek swoim irracjonalnym zachowaniem zakłócił rozprawę.

- Tak jest, sir.

- Co Lowell może mieć wspólnego z tą całą sprawą? Nawet nie wiedziałem, że się znali.

- Nie wiem, sir.

- Proszę mnie informować na bieżąco.

Mimo tego, co generał mówił o niechęci do odbierania jego zainteresowania sprawą jako próby wpływania na sędziów, Harrier nie wątpił ani przez minutę w to, że dowódca korpusu chce, żeby Parkera powiesili na suchej gałęzi. Zastanawiał się jedynie nad powodem. Jakieś przeczucie, że Parker zasługuje na karę? Powody rasowe? Coś w tym musiało być, inaczej wysłałby jako obserwatora jakiegoś innego oficera sztabu.

Pojawienie się na sali sądowej obserwatora w randze szefa sztabu było jasnym sygnałem dla ławników, że skoro generał postanowił skazać Parkera, to jego obserwator ma mu donieść o każdym, kto stanie na drodze do realizacji tego zamiaru.

Prosto z Białego Domu Harrier poszedł do baraku tropikalnego, oznaczonego tablicą CISZA! TRWA POSIEDZENIE SĄDU. Przed wejściem stali dwaj zandarmi, którzy zaszalutowali mu, kiedy wchodził, wewnątrz spotkał następnych dwóch, którzy otworzyli przed nim drzwi sali sądowej.

Wszedł do środka i próbował nie rzucać się w oczy, zajmując miejsce w odległym rzędzie ławek w tyle niewielkiej sali. To było równie bez sensu jak próba zakrycia słońca tulipanem, pomyślał.

Pierwsze działania obrony zdziwiły go. Za młodu sam kilkakrotnie bronił oskarżonych przed sądem wojskowym lub polowym w czasie wojny. Nigdy by sobie wówczas nie pozwolił na żądanie usunięcia z grona ławników dwóch oficerów, jak porucznik Bennington T. Morefield. Usuniętymi oficerami byli ponadto podpułkownik i pułkownik z Bojowymi Odznakami Piechoty - on by ich w składzie sądu zachował, spodziewając się z ich strony solidarności z oskarżonym frontowcem.

Zdumiewało go także zachowanie obrońcy w czasie przedstawiania dowodów oskarżenia. Oczekiwał sprzeciwów i obalania każdego właściwie zdania z ustaleń

agentów CID oraz powoływania się na zawilosci prawne poza zasięgiem wiedzy i doświadczenia ławników.

A tu tymczasem nic z tych rzeczy. W ogóle nie podważał żadnego z omawianych zarzutów. Nie zasiał w świadomości ławników żadnych wątpliwości co do tego, że kapitan Parker rzeczywiście zastrzelił oficera 24. Pułku Piechoty, który odmówił dalszej walki. Okoliczności towarzyszące drugiemu zarzutowi - o oddanie strzału do czołgu - były jeszcze jaśniejsze i ich także porucznik Morefield nawet nie próbował zamącić czy stworzyć jakichkolwiek wątpliwości. Harrier był pewien, że na jego miejscu walczyłyby o to do upadłego.

Obrońca nie robił nic takiego. Co więcej, jasno dał do zrozumienia, choć nie wyraził tego słowami, że jego klient istotnie strzelał do wycofującego się czołgu.

Ograniczył się jedynie do podkreślania niechęci zeznających podoficerów do składania zeznań obciążających kapitana Parkera i wysokiej opinii, jaką o nim mieli. Każdemu na koniec przesłuchania zadawał to samo pytanie:

- Rozumiem, że nikt nie chce iść do walki, ale gdybyście musieli wrócić na front w okolicznościach podobnych do tych, w jakich miało dojść do omawianych dziś wydarzeń, czy mielibyście jakiegokolwiek zastrzeżenia co do tego, by znowu służyć pod rozkazami kapitana Parkera?

Odpowiedź była niezmiennie ta sama:

- Nie, sir.
- Nawet jeśli zarzuty stawiane kapitanowi by się potwierdziły?
- Nie, sir. Kapitan Parker to dobry oficer.
- I nie obawialibyście się, że kapitan Parker w przypływie szału skieruje wszelką broń, jaką rozporządza, na was, zamiast na wroga?
- Nie, sir.

Kiedy przyszła kolej na przemówienie obrony, Morefield przedstawił utajnione meldunki sytuacyjne, malujące jasny obraz zamieszania, chaosu i tchórzostwa na polu walki, trzykrotnie wymieniające Kompanię Pancerną 24. Pułku Piechoty jako pozytywny przykład jednostki, która mimo wszystko utrzymała swoje pozycje, podczas gdy inne jednostki pułku „wycofały się bez rozkazu”.

Jeden zero dla obrony, ocenił Harrier.

Następną rundę jednak, w opinii generała, obrona przegrała z kretesem. Pułkownik Howley, dowódca pułku Parkera, który powinien stanąć po jego stronie, nie zrobił tego.

To nie Howley wniósł zarzuty przeciw Parkerowi, tylko profos generalny. Albo

więc Howley nic nie wiedział o postępku Parkera - w co raczej trudno było uwierzyć - albo też milcząco przystał na to, co się stało, uznając działanie kapitana za uzasadnione okolicznościami. Jeśli tak właśnie było, to teraz miał moralny obowiązek stanąć po stronie kapitana i przynajmniej próbować mu pomóc. Kiedy jednak znalazł się za barierką dla świadków, nie sprostał zadaniu. Jeśli w ogóle zamierzał pomóc Parkerowi, to mu się nie udało. Zeznał jedynie, że Parker był dobrym dowódcą Kompanii Pancерnej.

W czasie przesłuchania zaprzeczył opisywanym w raportach chaosowi, zamieszaniu i tchórzostwu w jego pułku, zapewne w obawie przed tym, by nie wpłynęło to na jego ocenę jako dowódcy. Stwierdził, że nie przypomina sobie, żeby w pułku kiedykolwiek wytworzyła się sytuacja, która mogłaby usprawiedliwić zastrzelenie oficera na polu walki.

(Ta ostrożność nie wyszła mu na dobre. Trzy lata później, kiedy Rada Awansów w tajnym głosowaniu decydowała o losie generalskiej nominacji dla pułkownika Howleya, Harrier oddał głos przeciw. Wynik głosowania musiał być jednoznaczny. Nawet jeden sprzeciw przesądzał sprawę generalskiej gwiazdki dla poddanego głosowaniu oficera.)

- Obrona wnosi o powołanie na świadka majora Craiga Lowella - ogłosił nieco przygaszonym głosem Bennington T. Morefield.

Po raz pierwszy Harrier zdał sobie sprawę z tego, że obecność Lowella na posiedzeniu może zostać błędnie zinterpretowana przez członków ławy. Mogli oni powziąć przekonanie, że major pojawił się na miejscu świadka z błogosławieństwem jego i całego dowództwa. Harrier zauważył ciekawe spojrzenia ławników, kierowane w jego kierunku w oczekiwaniu na jakąś reakcję, która rozstrzygnęłaby o słuszności domysłu, że obecność Lowella po przeciwnej stronie barykady to przesłanie z góry.

Salut, jaki oddał ławie major Lowell, mógłby przynieść zaszczyt kadetowi West Point. Jego mundur był wykrochmalony na sztywno, a buty wręcz lśniły. Na piersi pyszniła się Bojowa Odznaka Piechoty z Gwiazdą, oznaczającą powtórne nadanie.

- Majorze Lowell - zaczął porucznik Morefield - został pan powołany, aby świadczyć o charakterze oskarżonego. Czy oskarżony jest panu znany? I jeśli tak, czy mógłby go pan wskazać?

Lowell wskazał ręką kapitana Parkera.

- Proszę odnotować w protokole, że major Lowell wskazał oskarżonego kapitana Parkera - zwrócił się Morefield do protokolanta, po czym zadał świadkowi kolejne pytanie: - Panie majorze, nie wie pan, co się zdarzyło w miejscach i czasie,

o których mowa w akcie oskarżenia, prawda?

- Nie, panie poruczniku.

- Nie wie pan zatem o tamtych wydarzeniach nic więcej niż ja, ławnicy oraz mój uczony przeciwnik, przedstawiciel prokuratury wojskowej, czy tak?

- Nie, panie poruczniku.

- Panie majorze, usiłujemy tu dziś dotrzeć do faktów w omawianej sprawie. Po ich ustaleniu mamy je osądzić i zdecydować, czy czyn kapitana Parkera sprzeciwiał się dobremu porządkowi wojskowemu i dyscyplinie.

- Sprzeciw! - zawołał prokurator, podrywając się ze swego miejsca. - W tym procesie chodzi o ustalenie, czy oskarżony jest winien przestępstwa z artykułu 92. kodeksu wojskowego, to jest morderstwa.

Przewodniczący ławy zastanowił się przez chwilę.

- Podtrzymuję sprzeciw - powiedział wreszcie. - Sąd pominię w swoich rozważaniach ostatnią wypowiedź porucznika Morefielda.

- Z całym szacunkiem, panie przewodniczący, chciałbym zwrócić uwagę ławy na fakt, że artykuł 92, który dotyczy prócz morderstwa także zgwałcenia, definiuje taki postępek jako czyn godzący w dobry wojskowy porządek i dyscyplinę. Czy mam zacytować odpowiedni ustęp artykułu, panie przewodniczący?

- Dziękuję, poruczniku, sami potrafimy czytać - odparł, nie kryjąc sarkazmu, przewodniczący. - Nie bardzo rozumiem kierunek, w którym idzie pański wywód, panie poruczniku.

- Panie przewodniczący - odparł powoli, wyraźnie i starannie dobierając słowa Morefield - Kongres w swej mądrości zdecydował, że przepisy prawa karnego, normujące postęпки osób cywilnych, nie mają zastosowania w siłach zbrojnych. Z tego też powodu w 1928 roku uchwalił kodeks wojskowy w którym zawarł odrębną kodyfikację prawa karnego na użytek sił zbrojnych. Zasadnicza różnica pomiędzy tymi dwoma systemami prawa karnego polega na tym, że morderstwo w prawie federalnym i prawach większości stanów definiowane jest jako przestępstwo przeciw „spokojowi i porządkowi publicznemu”. Przestępstwami w wojsku są zaś akty „godzące w dobry porządek wojskowy i dyscyplinę”.

- Myślę, że to nonsens - odezwał się prokurator. - Morderstwo to morderstwo, i tyle.

- Czy dobrze pana zrozumiałem, poruczniku? Chce pan przez to powiedzieć, że morderstwo może być niekiedy uzasadnione chęcią zachowania dobrego

porządku wojskowego i dyscypliny? - zapytał przewodniczący.

- Panie przewodniczący, chciałem przez to powiedzieć, że działanie mające na celu utrzymanie dobrego wojskowego porządku i dyscypliny nie może być przestępstwem.

- Przecież to kompletny absurd i dobrze pan o tym wie! - wściekle zawołał prokurator. - Jak żyję, nie słyszałem równie bezsensownego rozumowania!

- Podtrzymuję sprzeciw - orzekł przewodniczący.

- Panie przewodniczący, obrona z całym szacunkiem wnosi o wprowadzenie do protokołu własnego sprzeciwu. W celu zapewnienia instancji, która w razie zapadnięcia w tej instancji wyroku skazującego będzie rozstrzygać apelację, możliwości zapoznania się ze wszystkimi aspektami sprawy, wnoszę o odczytanie z protokołu mojego oświadczenia, sprzeciwu, moich kontrargumentów i ostatecznej decyzji sądu.

Protokolant odczytał fragmenty, o których odczytanie wniosła obrona.

Sprytnie jak cholera, ocenił Harrier. Morefield dał w ten sposób wszystkim szansę na wysłuchanie raz jeszcze jego argumentów i ponowną ich ocenę. I w tym wszystkim jeszcze ta zawołowana groźba apelacji...

Generał Harrier zastanawiał się, dlaczego kapitan Parker, kiedy ogłoszono mu, że Komisja Dochodzeniowa skierowała jego sprawę do sądu polowego i dowódca korpusu zatwierdził tę decyzję, zażądał przydzielenia do jego obrony właśnie porucznika Benningtona T. Morefielda z biura prawnego 45. Dywizji Piechoty.

Kimkolwiek był Parker, na pewno nie był idiotą i za imiennym wyborem obrońcy w tak niskim stopniu, skoro do jego dyspozycji było całe stado podpułkowników i pułkowników z jego własnej dywizji i dowództwa korpusu, musiało coś stać. Generał Harrier postanowił się przyjrzeć bliżej wybranemu przez kapitana obrońcy.

Rozpytał się dyskretnie o porucznika Morefielda i dowiedział się paru interesujących rzeczy. Porucznik miał opinię przemądrzałego dupka z dyplomem Wydziału Prawa Uniwersytetu Harvarda. Zanim go powołano do służby w Korei, był zastępcą prokuratora okręgowego Nowego Jorku. Odkąd dostał kartę powołania, zdobył reputację człowieka zdolnego wyciągnąć oskarżonego z najgorszych oparów, i to już w czasie początkowego szkolenia w Fort Polk w Luizjanie. Do Korei wysłano go z dołączonym do akt zaleceniem, by z uwagi na doświadczenie z cywila skierować go do pracy jako oskarżyciela.

Harrier nic nikomu nie powiedział o swoich odkryciach w sprawie obrońcy

Parkera. Gdyby dział prawny IX Korpusu zrobił, co do niego należało, to Morefield siedziałby dziś po przeciwnej stronie przejścia jako specjalista od wygrywania trudnych i ważnych spraw przed sądem polowym. To, że teraz jakiś gryziopiórek z prokuratury będzie musiał stanąć naprzeciw wychowanka Harvardu, to tylko i wyłącznie wina jego przełożonych.

Poza tym Harrier był przekonany, że ten oskarżony powinien mieć zapewnioną najlepszą obronę, jaką da się dla niego znaleźć. Prywatnie żywił nadzieję, że uda mu się wygrać sprawę, choć zdawał sobie doskonale sprawę z tego, jak marne są na to szanse. Po pierwsze, zarzuty najwyraźniej były jak najbardziej prawdziwe, a poza tym oficerowie wybrani do zasiadania w ławie sądu zdawali sobie sprawę z tego, że dowódca korpusu życzy sobie przykładowego ukarania oskarżonego, by to podziałało odstrasżająco na innych.

- Dziękuję za uprzejme wysłuchanie mojego wniosku, panie przewodniczący - powiedział Morefield.

- Proszę bardzo. Czy mógłby pan już wreszcie kontynuować przesłuchanie świadka? - zapytał niecierpliwie przewodniczący.

- Panie majorze, widzę na pańskiej piersi Bojową Odznakę Piechoty. O ile się nie mylę, umieszczona na niej gwiazda oznacza ponowne nadanie, czy tak?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Czy w obu wypadkach nadano ją panu jako oficerowi?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Czy to oznacza, że dwukrotnie w przykładowy sposób dowodził pan wojskami na froncie?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Gdzie?

- Tu i w Grecji.

- Czy był pan kiedyś dowódcą kompanii czołgów?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Czy to pan dowodził Grupą Bojową Lowell, której działania doprowadziły do połączenia wojsk 8. Armii z wojskami X Korpusu po przełamaniu linii frontu pod Pusan?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Za co, jak rozumiem, został pan odznaczony Distinguished Service Cross?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Z tego, co wiem, otrzymał pan także Medal za Zaszczytną Służbę za swoją służbę w charakterze oficera operacyjnego 73. Batalionu Czołgów Ciężkich w czasie jego odwrotu znad Jalu w grudniu 1950 roku?

- Tak jest, panie poruczniku.

- A więc ma pan doświadczenie bojowe, panie majorze, zarówno w dziedzinie dowodzenia wojskami w natarciu, jak i w odwrocie?
- Tak jest, panie poruczniku.
- Wiadomo mi także, że jest pan kawalerem drugiego w hierarchii najwyższych odznaczeń greckich, nadawanych za męstwo na polu walki, Orderu św. Jerzego i św. Andrzeja, za odwagę wykraczającą poza ramy obowiązku wykazaną w czasie walk w Grecji. Czy i to jest prawdą?
- Tak jest, panie poruczniku.
- Czy w Grecji również pan dowodził czołgami, panie majorze?
- Nie, panie poruczniku.
- Czym więc pan tam dowodził?
- Byłem doradcą dowództwa greckiego pułku.
- Ale odznaczono pana za walkę w charakterze dowódcy kompanii piechoty górskiej, czy tak?
- Tak jest, panie poruczniku.
- Jak do tego doszło, panie majorze?
- Przejąłem dowodzenie po śmierci greckiego oficera, panie poruczniku.
- Więc poprowadził pan do walki jednostkę, która nawet formalnie panu nie podlegała? I to tak dobrze, że król Grecji pana odznaczył?
- Potem dostałem ten medal - przyznał Lowell, wyraźnie zmieszany.
- Czy więc można pana, nie ryzykując posądzeń o przekłamanie, określić jako młodego oficera, którego zarówno doświadczenie bojowe, jak i osobista odwaga doprowadziły do awansu na stopień wyższy, niż wskazywałby na to jego wiek? Czy to słuszne stwierdzenie?
- Sprzeciw! - zawołał prokurator. - Oskarżenie chętnie przyzna, że major Lowell jest wyróżniającym się młodym oficerem, ale co to ma wspólnego ze sprawą, którą dziś rozstrzygamy?
- Dziękuję, już przechodzę do sprawy - odparł Morefield. - Panie majorze, chciałbym panu zadać hipotetyczne pytanie. Czy potrafiłby pan sobie wyobrazić na polu bitwy, wśród „zamieszania, chaosu i tchórzostwa”, by użyć cytatów z raportów w tej sprawie powoływanych, sytuację, w której zachowanie dobrego porządku wojskowego i dyscypliny mogłoby wymagać egzekucji w trybie doraźnym?
- Sprzeciw!
- Owszem, mógłbym.
- Podtrzymuję sprzeciw - odezwał się przewodniczący. - Sąd nie weźmie w

swoich rozważaniach pod uwagę ostatniego pytania obrony ani odpowiedzi udzielonej przez świadka.

- W takim razie nie mam więcej pytań - rozłożył ręce porucznik Morefield. - Proszę, świadek jest do pańskiej dyspozycji - dodał, zwracając się do prokuratora.

Ta decyzja wyraźnie zaskoczyła oskarżyciela. Przypuszczał, że Morefield będzie go w nieskończoność wypytywał o różne szczegóły, grając na czas i wbijając w głowę członkom rady, że walka w polu wymaga czasem przekraczania reguł pisanych z myślą o zupełnie innych warunkach życia i funkcjonowania w społeczeństwie.

- My się znamy osobiście, panie majorze? - zapytał na początku.

- Tak jest, sir.

- Wyznam panu, że czuję się trochę zagubiony. Odniosłem wrażenie, kiedy się spotkałiśmy, że był pan adiutantem generała Harriera.

- Już nim nie jestem, sir.

- O?

Lowell milczał.

- A dlaczegoż to nie jest pan już adiutantem generała Harriera, jeśli wolno zapytać?

- Przypuszczam, że mój sposób wywiązywania się z tych obowiązków nie zadowolili generała

Harrier dostrzegł, że linia ataku prokuratora zaczyna bić w niego samego. Zauważył kilka zduszonych uśmiechów na twarzach członków ławy. Wszyscy już wiedzieli, że Lowell wyleciał za pieprzenie gwiazdy filmowej. Pieprzenie poza świętym związkiem małżeńskim to oczywiście grzech, ale w zetknięciu z recytacją zasług majora, którą prowadził przed chwilą obrońca, zbladł on i zmalął do rozmiarów gołębiego gówna na pomniku. To już Sheridan powiedział, że żołnierz, który nie umie pieprzyć, nie umie walczyć.

- A więc pomimo tego budzącego szacunek i podziw katalogu cnót wojskowych, który przedstawiła nam tu obrona, malująca pana jako nadzwyczajnie zdolnego oficera, został pan zwolniony z obowiązków adiutanta, ponieważ nie umiał pan im podołać?

- Panie pułkowniku, podejrzewam, że podejmując swoją decyzję. Pan generał nie kierował się sposobem, w jaki podołałem wykonaniu moich obowiązków względem niego, sir - odparł Lowell z kamienną twarzą.

Tego już było za wiele. Jeden z ławników parsknął zduszonym natychmiast śmiechem. Do prokuratora wreszcie dotarło, że idzie w złym kierunku, i zmienił temat.

- Chciałbym zadać panu inne pytanie, panie majorze. Czy z jednej z poprzednich

pańskich wypowiedzi sąd miałby wyciągnąć wniosek, że pan osobiście zastrzeliłby żołnierza czy też oficera po prostu dlatego, że na polu bitwy nie spełnia pańskich wymagań?

- Nie powiedziałem nic takiego, sir. Nie prowadziliśmy rozmowy o moich wymaganiach.

- Więc co pan dokładnie powiedział?

- Wnoszę o odczytanie z protokołu posiedzenia mojego pytania i odpowiedzi udzielonej na nie przez majora Lowella - odezwał się Morefield.

Wniosek został zatwierdzony i odczytano żądane fragmenty protokołu.

- Powrócę do swojego pytania, majorze. Czy pan osobiście zastrzeliłby na miejscu oficera lub żołnierza?

- Zrobiłbym to z najwyższą niechęcią, sir, jeśli jednak czyjeś tchórzostwo zagroziłoby wykonaniu postawionego przede mną zadania albo naraziło na niebezpieczeństwo życie moich ludzi, to tak, zrobiłbym to.

- Ktokolwiek uważa się za władnego brać w swoje ręce wymierzanie sprawiedliwości, nie jest godny noszenia oficerskiego munduru US Army!

- Sprzeciw! - zawołał Morefield.

- Podtrzymuję - poparł go przewodniczący. - Panie pułkowniku, to nie było pytanie, tylko stwierdzenie.

- Nie mam więcej pytań do tego... oficera - powiedział prokurator, wypowiadając ostatnie słowo, jakby to była największa obelga.

- W takim razie ja chciałbym świadkowi zadać jeszcze kilka pytań. - Morefield wstał ze swego miejsca. - Majorze Lowell, wydaje się, że pan nie ma absolutnie żadnych zastrzeżeń co do tego, że mógłby pan, jak to ujęło oskarżenie, dokonać doraźnej egzekucji kogoś w wyżej opisanej sytuacji. Czy to wyraz pańskich przekonań, czy też opiera pan to na doświadczeniach?

- To wynika z moich doświadczeń, panie poruczniku.

- Może nam pan powiedzieć o nich coś więcej?

- Znalazłem się kiedyś w sytuacji, w której taką decyzję podjęto na moją korzyść. Oficer otrzymał rozkaz przyjscia mi z odsieczą. Nie posłuchał tego rozkazu. Jego zastępca był zmuszony zastrzelić go i przejąć dowodzenie.

- Zmuszony zastrzelić przełożonego?!

- Tak jest, panie poruczniku. Gdyby tego nie zrobił, nasz opór zostałby przełamany i zostalibyśmy bez wątpienia wybiti do nogi. A co o wiele ważniejsze, nie wykonano by dwóch zadań. Naszego, by utrzymać wzgórze, i ich, by przyjść nam

z odsieczą. W tej sytuacji został zmuszony do dokonania tego czynu.

- I co się potem stało z oficerem, który, jak pan mówi, został zmuszony podjąć taką decyzję?

- Nic. Nadal pozostaje w służbie.

- Panie przewodniczący... - zaczął prokurator.

- Chwileczkę! - przerwał mu przewodniczący. - Panie majorze, mimo wszelkich pana zasług, nie mogę panu pozwolić na wygłaszanie podobnych, niczym niepodbudowanych oświadczeń tej wagi...

- Panie przewodniczący, major Lowell zeznaje pod przysięgą - zauważył Morefield.

- Majorze Lowell, czy zdaje pan sobie sprawę, że wytoczył pan zarzut całej strukturze dyscyplinarnej armii? - zapytał przewodniczący. - Mam teraz zamiar zażądać od pana podania nazwiska owego oficera, który wziął wymierzenie sprawiedliwości w swoje ręce, i zapytać, czy ów oficer znajduje się w zasięgu jurysdykcji tego sądu. Czy przebywa on obecnie w Korei?

- Tak jest, panie przewodniczący, przebywa obecnie w Korei. Nie podam jednak jego nazwiska.

- Co takiego?!

- Nie mogę podać jego nazwiska.

- Nie może pan czy nie chce?

- Z całym szacunkiem odmawiam podania jego nazwiska, panie przewodniczący. Jego czyn uratował mi życie. Byłbym ostatnim niewdzięcznikiem, pakując go w zamian w kłopoty podobne tym, które ma teraz kapitan Parker.

- Panie przewodniczący! - zawołał gniewnie prokurator. - Z całym szacunkiem, nalegam, by pan wydał świadkowi rozkaz udzielenia odpowiedzi na to pytanie!

Przewodniczący przez długą chwilę wpatrywał się w twarz Lowella, a potem twarze reszty ławników.

- Sąd - oznajmił wreszcie dobitnie i nie pozostawiając złudzeń co do ostateczności tego stwierdzenia - nie weźmie w swoich rozważaniach pod uwagę nic z tego, co powiedział świadek major Lowell na temat swoich osobistych doświadczeń z sytuacjami bojowymi, w których jeden oficer miał jakoby zastrzelić drugiego.

No i po sprawie, odgadł natychmiast generał Harrier. Parker wyjdzie z tego cało. Parker i Lowell wyszli na dobrych dowódców, którzy mieli na tyle jaj, żeby zrobić to, co było trzeba - nawet jeśli to było coś bardzo nieprzyjemnego. Prokurator zaś wyszedł na tyłowego dupka, który grzebie w czymś, co powinno pozostać głęboko zakopane.

Dowódca korpusu się wścieknie.

No i cholera z nim. Ze wszystkich przełożonych, pod których rozkazami Harrier służył przez te lata, dowódca IX Korpusu był tym, wobec którego najtrudniej było mu zachować lojalność. To był jeden z tych oficerów, którzy pną się w górę dzięki umiejętności spychania porażek i kłopotów na barki podwładnych, przy jednoczesnym przypisywaniu sobie ich zasług.

Ta myśl, skoro tylko zaświtała w głowie generała Harriera, okopała się w niej na dobre. Dowódca IX Korpusu nie miał nawet na tyle jaj, żeby wezwać do siebie Lowella i dać mu porządny ochrzan.

- To twój człowiek, więc ty odpowiedz szefowi sztabu. I pozbądź się go z korpusu - polecił Harrierowi. - Tylko po cichu.

Sukinsyn chciał złamać chłopakowi karierę z powodu paru zaszranych zdjęć w cholernej gazecie!

3

Sukces opijali w namiocie majora Lowella w Alei Pułkowników. Porucznik Bennington T. Morefield wypił w końcu dość whisky Haig & Haig, by powiedzieć to, co mu leżało na wątrobie.

- Mam nadzieję, że rozumiecie, że obaj jesteście skończeni w wojsku? Chyba że wolicie czas do emerytury spędzić, wykonując jedną idiotyczną pracę po drugiej.

- Myślisz, że będzie aż tak źle? - zapytał Parker, autentycznie zdziwiony czarnowidztwem obrońcy.

- Czy mogę odpowiedzieć szczerze? - zapytał sarkastycznie i nie czekając na odpowiedź, ciągnął: - Pan, kapitanie, przestał właśnie być bezpiecznym i uległym czarnuchem. Od dziś będzie pan tym czarnuchem, co to sobie wziął cwanego adwokata i wybronił się przed sądem polowym z zarzutu o morderstwo.

- Nigdy nie myślałem o sobie inaczej jak o czarnuchu - odparł Parker. - Z tym się da żyć. Mój ojciec trzydzieści lat żył jako czarnuch oficer. Wiem o tym doskonale i nie mam żadnych złudzeń.

- Gówno prawda, durniu! - odparł Morefield. - Zdaje ci się, że jeśli się do tego przyłożysz tylko trochę więcej niż inni, to ci się uda i zajdziesz wysoko. Zdaje ci się, że jeśli się to udało twojemu ojcu i został pułkownikiem, to ty, jako że „czasy się zmieniły”, masz szansę zostać generałem.

- A dlaczego nie? Przecież uznano mnie za niewinnego, prawda?

- Zostałeś uniewinniony, a to duża różnica. Lowell i ja wyciągnęliśmy cię za twój czarny tyłek, a to nie to samo, co gdybyś się okazał niewinny. Nikt nie ma

wątpliwości, że rozwaliliś tamtych. Już nigdy nie dostaniesz żadnego dowództwa. A Lowell, jako że przyłożył rękę do tego, żeby cię ratować, też.

- Chyba nic z tego nie rozumiałeś, Benny. Obaj z Craigiem sprawdziliśmy się jako dowódcy kompanii.

- Gówno się sprawdźcie. Nie widzisz tego? To, że udało mi się tych durniów przekonać, żeby cię nie zamykali za coś, co może sami musieliby kiedyś zrobić, wcale nie znaczy, że sprawa skończy się na poklepaniu po plecach. Tyle zyskałeś, że będą cię żałować. A kiedy przyjdzie czas wybierać ludzi do dowodzenia batalionami, to na pewno nie wybiorą żadnego czarnucha, który rozwała swoich ludzi i o mało nie trafił za to do pułka. Naprawdę tego nie widzisz?

Ani Parker, ani Lowell nie odpowiedzieli.

- A pan, majorze Lowell, czy pan naprawdę myśli, że US Army da dowództwo oficerowi, który stanął przed sądem polowym i ogłosił, że nie widzi nic złego w strzelaniu do swoich, jeśli panu wchodzi w drogę?

Nadal nie było odpowiedzi.

- Nie trafiam do żadnego z was, prawda? No dobra, pieprzyć to. Zapomnijcie, co wam powiedziałem.

- Zdaje się, że to my do ciebie nie dotarliśmy, Morefield - powiedział Parker.

- No cóż, spróbuj jeszcze raz - odparł sarkastycznie porucznik.

- Nie wiem, czy jestem w stanie. To brzmi tak prosto, że aż trudno to zrozumieć. My jesteśmy żołnierzami, Książę i ja. Żołnierzami. Żyjemy z tego, że prowadzimy ludzi do walki. Robimy to dobrze. A prowadzenie ludzi do walki to właśnie to, na czym w ogóle opiera się wojsko.

- Wybij to sobie z głowy. To, co mógłbyś robić, nie będzie się w ogóle liczyło. Nikt ci nie da szansy tego dowieść.

- Chyba lepiej od ciebie to oceniam - odparł Parker.

Morefield nic nie mówił. Kiwał głową bez słowa. Nic już więcej nie miał do powiedzenia. Ale w końcu coś mu jeszcze przyszło na myśl.

- Spójrz na to tak, Phil. Obaj jesteście zagrożeniem dla wojska, takim samym jak byli ci, do których strzelałeś. Różnica polega na tym, że wojsko potrafi was zniszczyć, nie strzelając w łeb. Wepchną was w jakieś gówniane przydziały i zrobią to z rozkoszą, tym bardziej że tym samym powstrzymają was od stwarzania dalszego zagrożenia. Uwierzcie mi lepiej, bo to właśnie was czeka.

Cholera jasna, pomyślał Craig, on ma chyba rację. Widzi sytuację dużo jaśniej niż Phil. Gorzej, że ja też już postrzegam ją tak samo jak on. Chyba czas wracać do domu i wydorosnąć.

A przecież to właśnie była ostatnia rzecz, jakiej pragnął, nawet jeśli w Los Angeles czekała na niego Georgia Paige.

XV 1

Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna
16 listopada 1951, godz. 2.05

Dżonka przewalała się bezwładnie z burty na burtę, jakąś milę morską od odludnego odcinka plaży na wybrzeżu Korei Północnej. Na niebie, wbrew prognozie pogody, nie było ani chmurki i słabe światło księżyca w drugiej kwadrze oświetlało wszystko mocniej, niż się spodziewali.

Kapitan Sanford T. Felter, ubrany w czarny kombinezon płetwonurka, obserwował w ciszy nadmuchiwanie dwóch ośmioosobowych pontonów. To były lotnicze dingi ratunkowe i wykonano je z jaskrawożółtej tkaniny, która miała im zapewniać jak najlepszą widzialność we wszystkich możliwych warunkach oświetlenia. Producent tkaniny i projektant wywiązali się ze swoich zadań aż za dobrze - żadna próba przemalowania żółtych pontonów się nie udała. Każda farba odpadała natychmiast płatami. Tylko jedna nie odpadła - przegryzła się przez gumowaną tkaninę.

Członkinie korpusu kobiecego armii południowokoreańskiej uszyły więc czarne bawełniane pokrowce, które zakładano na pontony i wiązano do lin biegnących wokół burt, mających pierwotnie służyć zestrzelonym lotnikom do wciągnięcia się do pontonu z wody.

Kiedy wreszcie pontony zostały napompowane, a pokrowce umocowane na swoich miejscach, opuszczono je ostrożnie za burtę, do wody. Dwóch żołnierzy południowokoreańskiej piechoty morskiej zjechało do nich na linach i ubezpieczało opuszczany z pokładu arkusz sklejki, na którym zamocowane były dwa akumulatory od ciężarówek. Po zamocowaniu baterii, tak że ruch pontonów na fali nie groził przetarciem przez nie burt, z pokładu zjechały prawie bezgłośnie elektryczne silniki, które zamocowano po jednym do dna pontonów. Teraz opuścił się kolejny żołnierz południowokoreańskiej piechoty morskiej, z twarzą uczernioną szminką z czarnym pigmentem zamiast czerwonego.

- Nałóż sobie jeszcze tego świństwa wokół ust - powiedział do kapitana Feltera major MacMillan. - Bo wyglądasz jak farbowany murzyn z wodewilu.

„Myszowaty” - nikt nigdy nie śmiał tak się zwracać bezpośrednio do Feltera, ale za plecami inaczej o nim nie mówiono - energicznie rozmazał czarną szminkę palcami.

- Tak lepiej?

- Aha.

Myszowaty ześlizgnął się za reling dżonki i ostrożnie opuścił na linie dwa walie-talkie oraz broń: dwa karabinki samoczynne M2 z kolbami obciętymi na wysokości chwytu, Thompsona wz. 1928A1 z odłączoną kolbą i strzelbę Winchester wz. 1897. Każdy przedmiot opakowany był oddzielnie w czarną folię.

Odwrócił się i popatrzył na Maca, ale po chwili wzruszył ramionami. Naprawdę nie było o czym gadać. Złapał linę i zjechał po niej do jednego z pontonów. Przez plusk wody uderzającej o ścianki pontonu dosłyszał pstryknięcie przełącznika, po którym rozległo się ciche buczenie elektrycznego silnika. Za moment zawtórowało mu drugie. Za rufą wzburzyła się woda i ruszyli.

Kiedy dotarli do dziobu, wszyscy czterej ludzie w pontonach położyli się płasko na dnie, tak że nic nie wystawało ponad powierzchnię komór powietrznych pontonów.

MacMillan poszedł na wysoką rufę dżonki i patrzył przez nocną lornetę wachtową na oddalające się pontony, póki nie zniknęły w oddali. To nastąpiło w znacznie większej odległości od dżonki, niżby sobie życzył. Potem wydawało mu się, że znowu ich widzi, już znacznie bliżej brzegu, na tle fosforyzującego w świetle księżyca przyboju. Męczyło go przecucie, że coś pójdzie nie tak.

Wszedł do kabiny, zamknął drzwi i zapalił papierosa, by uspokoić nerwy. Dwa razy nerwowo się zaciągnął, po czym zgniótł papierosa w popielnicze i wyskoczył ponownie na pokład. Raz jeszcze uniósł do oczu szkła, by się upewnić, czy nadal będzie widział zarys pontonów na tle przyboju, czy to tylko jego wyobrażenia.

Gdy tylko poczuli uderzenia fal odbijających się od brzegu, rozległy się kolejne pstryknięcia przełączników i szum silników ustał. Dwaj z Koreańczyków, wybrani ze względu na wzrost, cicho zsunęli się za burtę, by wy badać, czy już sięgną dna. Jeden z nich wyprostował rękę, na której wisiał za burtą i całkiem zniknął pod wodą, szukając gruntu.

Felter także zsunął się za burtę.

- Jeszcze trochę i powinno wystarczyć - szepnął po koreańsku.

Przeplłynęli jakieś dziesięć metrów, pchając przed sobą pontony. Tym razem Koreańczyk, stojąc na dnie, miał już głowę ponad wodą. Dla Feltera było wciąż

za głęboko. Podpłynął dalej i spróbował raz jeszcze. Teraz nareszcie mógł ruszyć ku plaży przez fale, pozwalając, żeby go unosiły. Po chwili obejrzał się przez ramię na towarzyszącego mu koreańskiego kapitana. Był parę metrów za nim, z lewej strony.

Zbliżając się do plaży, coraz bardziej musieli uginać nogi, by tylko głowa wystawała ponad powierzchnię, aż wreszcie wszyscy posuwali się w kucki.

Rozejrzał się w obie strony i dał znak południowokoreańskiemu kapitanowi. Ten wyszedł na brzeg zwinnie i ostrożnie, ale nie za szybko, uważając, by nie wyciągać nóg z wody i nie hałasować nadmiernie. Wreszcie i Felter wydostał się z wody, po czym ruszył po piasku do małej dolinki wychodzącej na plażę. Szerokość plaży wynosiła może pięć metrów płaskiego piasku, a dalej zaczynały się już wzniesienia. To nie były wydmy, tylko skały. Granitowe góry Korei spotykały się w tym miejscu z wodami Morza Japońskiego.

Kapitan Felter zajął pozycję u podnóża skały i odwinął z folii Winchestera. Kciukiem odciągnął kurek broni. Nabój był w komorze już od dawna, bardzo liczyło się zachowanie ciszy. Przeładowanie broni za pomocą przesunięcia drewnianego chwytu pod lufę zrobiło strasznie dużo hałasu. Za to gruby śrut, którym strzelała, był niezwykle skuteczny na bliską odległość.

Z tyłu dobiegł go cichy szcęk odsuwanego zamka karabinka. To koreański kapitan sprawdzał, czy jego broń jest załadowana. Nie odciągnął zamka całkiem, a tylko na tyle, żeby spojrzeć na czółko i sprawdzić, czy tkwi w nim łuska pierwszego naboju.

Felter podciągnął elastyczny mankiet kombinezonu i spojrzął na fosforyzujący cyferblat zegarka. Byli o kwadrans za wcześnie. Każda minuta niepotrzebnie spędzona na nieprzyjacielskim brzegu skracala mu życie o godzinę, ale nauczył się już, że jeśli się nie będzie w punkcie spotkania, kiedy przybywa osoba, którą mają zabrać, to zwykle ich klient postanawia wiać i spróbować kiedy indziej.

Tym razem nie mogli sobie na to pozwolić, lepiej było przybyć przed czasem. Ryzyko było duże, ale w ten sposób malało zagrożenie dla całej operacji. A ta była bardzo ważna - przybyli tu po chińskiego pułkownika, szefa sztabu pewnego generała broni. Ten generał, chrześcijanin obrządku metodystycznego, doszedł do boleśnego przekonania, że Mao jednak nie jest zbawicielem Chin, a jego stalinowska polityka eksterminacji wyższych i średnich klas społeczeństwa jest błędem, tym bardziej że wkrótce może dotknąć i jego.

General broni - no to już jest ładna zdobycz...

Przerwał mu dźwięk przypominający odgłos silnika samochodu.

Myszowaty wyczołgał się zza skały, by móc się rozejrzeć po plaży. W oddali ujrzeli światła wozu z zaciemniającymi przesłonami.

Wrócił za skałę. Cholera! Księżyc świecił tak jasno, że mogli patrolować plażę z zaciemnionymi światłami, żeby ich nikt nie zobaczył z morza i nie ostrzelał. Światła było dość, żeby zauważyć skotłowany piasek na plaży, jeśli nie wręcz ślady stóp.

Jeep był już tak blisko, że można było wyraźnie rozróżnić specyficzny jęk przekładni samochodu ustawionej na napęd wszystkich czterech kół.

I właśnie wtedy zauważyli ślady na piasku. Wóz się zatrzymał, zapiszczały hamulce. Mogliby chociaż klocki wymienić, przemknęła mu przez głowę absurdałna myśl.

- Tam! - zawołał ktoś po koreańsku.
- Dam znać porucznikowi.

Jasna cholera! Mają radio!

- Teraz! - szepnął Felter do kapitana.

Obaj wypalili niemal jednocześnie. Płomień wylotowy Winchestera oślepił go, a huk boleśnie uderzył w uszy. Na wszelki wypadek poprawił drugim strzałem. Któryś z Koreańczyków krzyknął z bólu, więc Felter uciszył go trzecim strzałem.

Myszowaty wyszedł zza skały i ruszył do jeepa, żeby się upewnić, że nikt nie przeżył. Coś było nie tak. Zupełnie jakby stracił kontrolę nad lewą nogą. Stracił równowagę i chciał złapać się burty wozu, ale nie zdążył i padł jak długi na piasek. Broń leżała koło niego w piasku. Cholera, całą noc trzeba ją teraz będzie czyścić.

Teraz dopiero poczuł, że lewa noga mu całkiem zdrętwiała. Sięgnął w dół i zaczął ją powoli obmacywać. W pewnej chwili poczuł coś ciepłego i mokrego. Podniósł rękę do twarzy i spojrzął na palce. Były czerwone od krwi.

Koreański kapitan pochylił się nad nim.

- Co się stało?
- Dostałem - odparł krótko.

To musiał być pocisk wystrzelony przez kapitana. M2 bez kolby, ustawiony na ogień ciągły, był praktycznie nie do opanowania.

- Idziemy? - ton wskazywał, że to było pytanie, a nie wezwanie do tego, żeby ruszali.

- Jeśli nasz przyjaciel tu gdzieś był w pobliżu, to musiał słyszeć strzelaninę. Nie przyjdzie.

Koreańczyk skinął głową.

Felter dźwignął się na nogi, łapiąc za wystające elementy jeepa.

Po drodze spojrzął na lewy tylny zderzak, gdzie zwykle malowano oznaczenie oddziału, do którego należał pojazd. 1 CAV. No tak, połowa pojazdów Koreańskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej pochodziła ze zdobyczy na 1. Dywizji Kawalerii. Cholerna kawaleria. Nic dziwnego, że nazywano ich „Chińskimi kwaterni-strzami” - oddali im tyle zaopatrzenia, że na całą wojnę starczy! Kiedy już stanął na nogi, spróbował zrobić krok w kierunku wody. Udało się. Potem zrobił drugi i kiedy próbował postawić nogę po raz trzeci, znowu ciężko upadł na piasek.

Upadając, poczuł straszny ból w kolanie i krzyknął. Koreańczyk wrócił do niego. Na jego twarzy malowało się pytanie, czy ma postąpić według rozkazu i zastrzelić go. Rozkaz był jasny - żadnych rannych nie pozostawiać przy życiu. Wiedzieli za dużo, by ryzykować, że zdradzą to na torturach. Zabici byli znacznie mniej rozmowni, nawet w rękach chińskich specjalistów.

- Pomóż mi dojść do wody - szepnął Felter. - Może zdołam popłynąć.

Zrobiło mu się wstyd. Sam przecież wydał ten rozkaz o eliminacji rannych, a teraz, kiedy sam znalazł się w sytuacji kwalifikującej go do odstrzału, nie miał na tyle jaj, żeby go podtrzymać.

Koreańczyk stanął nad nim w rozkroku, wziął pod ramiona i zaciągnął go do morza. Felter zaczął pełznąć jak krab. Po chwili był już na tyle daleko od brzegu, że woda zaczęła go unosić. Wtedy przypomniał sobie o pozostawionej na brzegu broni MacMillana. A, cholera z nią, pomyślał. Załatwi sobie następną.

Bezwiednie poruszył obiema nogami, próbując płynąć, i znów przeszły go fala potwornego bólu. Otworzył usta, żeby krzyknąć, i zakrztusił się wodą. Wystawił głowę ponad powierzchnię i zmusił się do zwymiotowania wody, a potem znów zaczął pełzać po dnie, coraz dalej od brzegu, w kierunku pontonów. Woda obmywała mu nogę i zagryzł wargi, żeby nie krzyknąć z bólu. Teraz już był pewien, co się stało - dostał w kolano i odłamki kości tarły o siebie.

Zauważył Koreańczyka, który silnymi ruchami ramion i nóg szybko się od niego oddalał. Co robisz, bydlaku, pomyślał gniewnie. Zanim odpłyniesz, powinieneś mnie zabić!

Znowu poczuł nudności, ale wyężdżając całą siłę woli, jaka mu została, powstrzymał się od tego. Płynął, wiosłując rękami, prawą nogą starając się podtrzymać ranną lewą nogę. Chciał przynajmniej wydostać się na głęboką wodę, gdzie utonie, jeśli straci przytomność.

Najgorsze będzie to, że wciągną go na listę zaginionych. Sharon będzie się zamartwiać, pielęgnując nadzieję na to, że jednak przeżyje i może po wojnie

się odnajdzie, wyjdzie z niewoli czy coś takiego. Gdyby ten pieprzony koreański tchórz zrobił, co do niego należy, przynajmniej wiedziałyby, na czym stoi.

Ból, i tak straszny, robił się coraz gorszy, jeśli to w ogóle możliwe. Znowu krzyknął z bólu i znowu opił się wody, czując, że powoli traci świadomość. I nagle coś szarpnęło go za włosy. Przez chwilę myślał, że to rekin, ściągnięty przez krew. W tych wodach roilo się od rekinów, wiedział o tym. Podobno człowiek nie czuje, kiedy rekin go ugryzie. No cóż, zaraz się przekonamy...

Teraz coś pociągnęło go za kolano. Tak, to rekin. Słyszał, że one właśnie tak atakują, obgryzając człowieka po kawałku. Zastanawiał się, jak długo będzie umierał. Coraz bardziej tracił przytomność.

Kiedy ją odzyskał, poczuł, że wymiotuje. Strasznie go skręcało, zwymiotował chyba wszystko, co zjadł przez całe życie. Trup nie rzyga, a więc nie umarł. Poczul charakterystyczny kręcący w nozdrzach odór gumowanej tkaniny. Był w pontonie! Powierzchnia, której dotykał twarzą, ugięła się, kiedy napiął mięśnie karku. Był w pontonie, opierał się o burtę i leżał twarzą w kałuży wymiocin.

Spróbował przewrócić się na plecy i znowu krzyknął z bólu, kiedy poruszył kolaniem. Na niebie odbywał się pokaz fajerwerków. Całą okolicę zalewało trupie, jaskrawobiałe światło. O cholera, flary! A więc dżonkę już też zauważyli.

Do jego uszu docierało coraz więcej dźwięków - moździerz, gwizd przelatujących obok granatów, huk wybuchów.

Jezu, mam nadzieję, że MacMillan dał dyla i wyprowadził dżonkę poza zasięg ognia tych moździerzy!

Już po chwili się przekonał, że jego nadzieje były płonne. Usłyszał ryk diesli dżonki. A więc odłączyli tłumiki, żeby wyciągnąć z nich choć te kilka koni mechanicznych więcej. Racja, nie było sensu dbać o zachowanie ciszy w takich warunkach. Trzeba się stąd było zabierać, i to szybko.

Ryk silników narastał. Chciał się obrócić w kierunku, z którego nadchodził, ale poruszył kolaniem i krzyknął z bólu. Nagle znowu poczuł ogarniającą go ciemność i ciszę.

2

Pierwszą myślą, jaka przyszła MacMillanowi do głowy na widok flary, było to, że jest amerykańskiej produkcji. Widział ich w życiu już tyle, że potrafił rozróżnić własną od obcej. Po chwili jednak zrozumiał, że chociaż wyprodukowano ją w

Ameryce dla Armii Stanów Zjednoczonych, to wcale nie musi oznaczać, że wystrzelili ją swoi.

- Kurwa mać! - warknął i podrzucił do oczu lornetę, gorączkowo przepatrując wybrzeże. Właśnie w tej chwili, kiedy pierwszy granat moździerzowy z gwizdem spadł z nieba, eksplodując na powierzchni wody może siedemdziesiąt metrów od niego, zauważył pontony.

Wskoczył do sterówki i pchnął naprzód przepustnicę, drugą ręką odcinając jednocześnie tłumiki. Silniki ryknęły spod pokładu.

- Żagle w dół!! - ryknął.

Cholerne szmaty, które były częścią ich kamuflażu, teraz wypełniły się wiatrem, kiedy dżonka skoczyła naprzód, i działały jak hamulce aerodynamiczne. Jeśli teraz wpadnie na jakąś mieliznę, to będzie po zabawie, pomyślał. Nie przyszłoby mu jednak do głowy nie spróbować przynajmniej popłynąć po Feltera i Koreańczyków. Drugi i trzeci granat moździerzowy eksplodowały z hukiem. Pierwszy z nich upadł dokładnie w miejscu, gdzie dżonka była jeszcze pół minuty temu. Drugi trafił w kilwater, znaczone teraz przez dwa ślady piany za kręcącymi się z szaleńczą prędkością śrubami.

Zakręcił kołem sterowym w lewo, potem w prawo, w końcu ustawił ją z powrotem na początkowym kursie.

Koreańczycy mieli jakieś problemy z fałami żagla.

- Tnijcie je! Kurwa, tnijcie! - ryknął MacMillan i po chwili jeden, a zaraz potem drugi żagiel z hurgotem zjechały z masztu.

No, teraz nareszcie można rozwinąć pełną szybkość.

- Przejąć? Przejąć? – zapytał koreański marynarz, który nominalnie był szyprem dżonki.

- Dobra, bierz – odparł Mac. – Zabieramy tych z pontonów. Rozumiesz?

Koreańczyk popatrzył na niego swymi czarnymi, całkowicie nieprzeniknionymi oczyma i powoli, z rozmysłem pokiwał głową.

Mac odszedł od steru i przepustnicy i podszedł do zamocowanej w rogu sterówki skrzynki amunicyjnej na taśmy do półcalówek z dospawanym skoblem, zamkniętym na kłódkę. Wyłowił zza koszuli kluczyk do kłódki, wiszący na łańcuszku razem z jego znakami identyfikacyjnymi, i otworzył pokładowy sejf. Wyjął z niego szarą kopertę, rozdarł ją i wyciągnął kartonową teczkę z nadrukiem ŚCIŚLE Tajne. Wewnątrz znajdował się dokument zatytułowany INSTRUKCJA PROCEDUR ŁĄCZNOŚCI NA SZCZEGÓLNE WYPADKI. To był bez wątpienia szczególnie wypadek.

Gorączkowo przeglądał tekst i znalazł wreszcie to, czego szukał. Podeszedł do radiostacji, przełączył ją na wskazany kanał i wziął mikrofon.

- Morwa, Morwa, tu Bałakława, tu Bałakława. Morwa odezwała się natychmiast.

- Morwa, słucham cię, Bałakława.

- Żółty alarm, powtarzam, żółty alarm.

Ryk diesli nagle opadł, łódź zaczęła zwalniać. Co się dzieje?

Nagle silniki znowu weszły na obroty, ale tym razem sternik dał pół wstecz i dżonka zatrzęsa się, kiedy śruba, która dotąd gnała ją na złamanie karku, zaczęła ją hamować. Zatrzymują się? Aha, pewnie dopłynęli do pontonu Feltera i będą ich podejmować.

Ryk silników przestał zagłuszać gwizd spadających granatów mózdzierzowych. Instynktownie schylił głowę, kiedy jeden z nich zabrzmiał tak, jakby miał upaść naprawdę blisko. Znał ten dźwięk aż za dobrze.

Upadł tuż za lewą burtą. No, jeśli pontony tam były, to już po nich.

Po chwili eksplodowały dwa następne. Mac usłyszał świst odłamków przelatujących nad dżonką. Jasna cholera, czemu to tak długo trwa? Czemu Felter i reszta tak się grzebią?

Podniósł głowę i zobaczył kosz do ewakuacji rannych, który wyszabrował kiedys od Marynarki, opuszczany za przeciwną burtę. A więc jeden z nich dostał. Co najmniej jeden, poprawił się w myśli.

I znowu gwizd granatów mózdzierzowych. Cholera, tamte upadły tak blisko, tym razem musieli ich nakryć. I rzeczywiście - dwa upadły do wody, ale trzeci trafił prosto w dziobowe stanowisko z Browningiem. Po bronii i Koreańczykach, którzy ją obsługiwali, nic nie zostało.

- Bałakława, Bałakława, tu Morwa, tu Morwa - rozległ się z głośnika radiostacji podniecony głos. Pewnie operator zajrzał do swojej instrukcji i dotarło do niego wreszcie, co się dzieje. „Żółty alarm” oznaczał wykrycie zespołu przez nieprzyjaciela. – Czy potrzebujecie pomocy, odbiór?

Kurwa, co za durne pytanie!

- Morwa, tu Bałakława, pomarańczowy alarm, powtarzam, pomarańczowy alarm.

„Pomarańczowy” oznaczał: „Jestem atakowany, wzywam pomocy”.

Kosz uniósł się ponad nadburcie. MacMillan pobiegł tam, zobaczyć, kto dostał. Nadleciały następne trzy granaty mózdzierzowe, które upadły w tych samych miejscach co poprzednie. Koreańczycy po prostu nie widzieli wcześniej dżonki,

poruszającej się tak szybko. Nawet teraz, kiedy podeszli do pontonów, łódź nie stała w miejscu, tylko płynęła wolno naprzód. I całe szczęście, bo gdyby stali tam, gdzie padła ostatnia salwa, nie byłoby co z nich zbierać.

Kolana ugięły się pod nim, kiedy zobaczył w koszu Feltera. Kapitan był nieprzytomny i paskudnie krwawił. Miał nudności i cały był umazany wymiocinami. Stracił też kontrolę nad zwieraczami i trzeba było szybko go rozebrać z kombinezonu, żeby przelewające się wewnątrz odchody nie zakaziły rany w lewym kolanie. Mac poczuł żołądek podchodzący do gardła, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczył martwego żołnierza.

Kiedy zajmował się rannym, Koreańczyk znowu włączył diesle na awaryjną całą naprzód i dżonka, rozbijając fale, obróciła się niemal w miejscu i ruszyła ku otwartemu morzu. Za chwilę znajdą się poza zasięgiem tych cholernych moździerzów. To jeszcze wcale nie oznaczało bezpieczeństwa. Czerwoni na pewno będą ich ścigać na wodzie i w powietrzu, a póki byli w zasięgu baterii nadbrzeżnych, w każdej chwili mogli się ponownie znaleźć pod ostrzałem. Mac założył opaskę uciskową na nogę Feltera, kazał klęczącemu obok Koreańczykowi ją utrzymywać, a sam wrócił do sterówki.

- Na pełne morze! - zawołał do sternika.

Koreańczykowi wyraźnie się to nie spodobało. Wolałby raczej płynąć wzdłuż wybrzeża, gdzie mieliby szansę ujść ścigającym ich patrolowcom północnokoreańskim. Mimo to zrobił, jak mu kazano. Nie było czasu dyskutować z majorem nad wyborem słuszniejszej koncepcji.

W tej samej chwili kolejna salwa nakryła dżonkę. Jeden z granatów trafił w śródkręcie i duży odłamek przebił ścianę sterówki, trafiając sternika w brzuch. Miał jeszcze na tyle energii, żeby wyjść przez jego plecy, po drodze przecinając kręgosłup. Sternik upadł na pokład i przez kilkanaście sekund drgał bezwładnie, po czym znieruchomiał.

Mac został ranny odłamkami tego samego pocisku. Jeden wyrwał kawałek ciała z lewego uda, a drugi rozciął czoło, zalewając oczy krwią i ogluszając go na chwilę. Kiedy doszedł do siebie, stał krew z oczu i sięgnął po mikrofon.

- Morwa, tu Bałakława, czerwony alarm, powtarzam czerwony alarm.

„Czerwony” oznaczał: „Jednostka uszkodzona, zagrożona zatonięciem”.

Odłożył mikrofon i kulejąc, podszedł do steru. Przytrzymując kolanem koło, wyszarpnął z kieszeni kurtki opatrunek osobisty i próbował zatamować krwotok z rany na udzie. Nie bardzo mu szło. W końcu znalazł na podłodze kawałek framugi

okna wyrwanego podmuchem, wsadził pod bandaż, którym owinął nogę, i skrzył go, używając jako krępulca. Zatknął koniec listwy pod bandaż i świeżym opatrunkiem zabandażował znacznie mniej teraz krwawiącą ranę.

Dżonka wciąż na maksymalnej prędkości puła toń, kierując się w głąb Morza Japońskiego.

3

USS Charles Dewey (DD404)

41°17' szerokości północnej

129°21' długości wschodniej

16 listopada 1951, godz. 2.35

- Ambroży, tu Młociarz - rozległo się z głośnika.

Ambroży to było hasło wywoławcze USS Dewey, niszczyciela ze składu Dywizjonu Niszczycieli K-06, kryptonim „Młociarz”.

- Ambroży, słucham cię, Młociarz - zameldował się operator.

- Ambroży, przygotuj się do odebrania operacyjnej pilnej.

- Młociarz, Ambroży gotów do odebrania operacyjnej pilnej. - Operator obrócił się na swoim obrotowym stołku i przerzucił włącznik. - Panie komandorze... - zaczął, ale w słuchawkach znowu odezwał się Młociarz, więc puścił przełącznik i położył palce na klawiaturze maszyny do pisania, by zapisać depezę.

- Ambroży, niniejsze jako operacyjna pilna dwukropek wykonać Bałakławę, koniec. Potwierdź odebranie operacyjnej pilnej.

- Ambroży potwierdza odebranie operacyjnej pilnej wykonać Bałakławę.

- Roger, Ambroży. Młociarz bez odbioru.

- Ambroży bez odbioru - potwierdził operator. - Panie komandorze, słyszał pan to?

- Tak jest, radio. Czekaj - odezwał się w słuchawkach głos kapitana.

Było wpół do trzeciej rano. Kapitan *Deweya*, świeżo obudzony, siedział na koi w samych gatkach. Potarł oczy i dźwignął się z niej, żeby podejść do przyspawanego do grodzi okrętowego sejfu. Był wciąż półprzytomny, więc otwarcie sejfu szło mu z oporami - udało się dopiero za trzecim podejściem.

Wyjął z niego plastikową torbę z zamkiem błyskawicznym, prawie taką samą, jakich używa się w bankowych skrytkach depozytowych. Wewnątrz było sześć zalakowanych kopert. Przerzucał je, aż znalazł tę, na której znajdował się czerwony nadruk BAŁAKŁAWA. Schował resztę z powrotem, a tamtą rozerwał i wyjął

z niej drugą, z nadrukiem ŚCIŚLE TAJNE. Otworzył ją i podszedł do interkomu.

- Radio?

- Tak jest, sir.

- Przejdź na 225,35 MHz. Przedstaw się jako Florence Nightingale i wywołaj United Parcel. Niech ci poda pozycję.

- Tak jest. Dwieście dwadzieścia pięć przecinek trzydzieści pięć, sir. - Prze-
stroił radiostację na podaną częstotliwość, przerzucił przełącznik mikrofonu i za-
czął nadawać: - United Parcel, United Parcel, tu Florence Nightingale, jak mnie sły-
szysz?

Nie było żadnej odpowiedzi, więc powtórzył wezwanie. Znowu cisza. Już miał
powtórzyć trzeci raz, kiedy w słuchawkach odezwał się słaby, zniekształcony,
głos:

- Florence Nightingale, tu United Parcel, słucham.

- United Parcel, tu Florence Nightingale, podaj swoją pozycję, powtarzam, podaj
swoją pozycję.

- Florence Nightingale, koordynaty Foxtrot India India Golf Foxtrot Alfa. Po-
wtarzam, Foxtrot India India Golf Foxtrot Alfa.

- Zrozumiałem, United Parcel, Foxtrot India India Golf Foxtrot Alfa. Czekaj.

Dowódca, wciąż jeszcze w gatkach, pobiegł z kabiny na mostek. Tam wcisnął
całą dłonią przycisk z brązu, umieszczony tuż koło drzwi. Na całym okręcie rozle-
gło się wycie klaksonów alarmu bojowego.

Telefonista, który do tej pory opierał się o stół namiarowy, wyprostował się na
ten dźwięk i pstryknął przełącznikiem wiszącego mu na piersiach mikrofonu.

- Alarm bojowy! Alarm bojowy!

Dowódca spojrział na mapę przypiętą do stołu nakresowego. Oficer wachtowy
wskazał aktualną pozycję cyrkiem.

- Ster lewo na burt, na kurs jeden-trzy-zero! - zawołał dowódca.

- Ster lewo na burt, kurs jeden-trzy-zero - potwierdził sternik. Zakręcił kołem
w lewo i po chwili zameldował: - Ster leży jeden-trzy-zero.

- Awaryjna cała naprzód! - zawołał z kolei do obsługującego telegraf maszy-
nowy.

- Awaryjna cała naprzód! - potwierdził marynarz i pchnął rączkę w przód, do
granicy czarnego pola, i po chwili jeszcze dalej. Kiedy telegraf zadzwonił, oficer
wachtowy uniósł słuchawkę telefonu pokładowego i potwierdził komendę: - Awa-
ryjna cała naprzód, rozkaz kapitana.

Okręt skoczył naprzód pod ich nogami, kiedy maszynownia nagle zwiększyła obroty. Kapitan stracił równowagę i musiał się złapać stołu nakresowego, żeby nie upaść. Wcisnął przycisk interkomu:

- Radio, poinformuj United Parcel, że Florence Nightingale jest w drodze z maksymalną prędkością. Przepuszczalny czas spotkania za godzinę i pięć minut.
- Tak jest, sir. United Parcel melduje, że płonie i traci moc.
- Dziękuję, radio - odparł dowódca i puścił klawisz.
- Ktoś ma kłopoty, panie komandorze? - zapytał oficer wachtowy.
- Sam słyszałeś. Dobra, utrzymuj kurs i prędkość, a ja pójdę wciągnąć na tyłek jakieś portki.
- Morze jak stół, sir. Może przejdą do szalup?
- Nie przypuszczam, żeby „drewniany żaglowiec podobny do dżonki” miał jakieś szalupy. Mam nadzieję, że umieją pływać.

4

Kwandae-ri, Korea Północna

16 listopada 1951, godz. 2.40

Jeden z szesnastu dalekopisów w sali łączności dowództwa XIX Korpusu zaczął klekotać czcionkami i jednocześnie wypływać zadrukowany pięcioliterowymi grupami papier i perforowaną taśmę. Jeden z dyżurnych operatorów zszedł, aż na zwisającym z maszyny odcinku taśmy pokazała się dłuższa przerwa w perforacji, po czym ostrożnie oderwał wolny koniec.

Przeszedł w drugi koniec sali i wsunął brzeg taśmy do otworu w stojącym tam z pozoru identycznym teleksie. Wcisnął przełącznik i patrzył, jak maszyna połyka taśmę. Po chwili czcionki drugiego teleksu ożyły i na klekot pierwszego dalekopisu nałożył się dźwięk drugiego.

PILNA OPERACYJNA

ŚCIŚLE TAJNE MORWA

DLA NEFRYT SZEŚĆ DO RAK WŁASNYCH

BAŁAKŁAWA MELDUJE POMARAŃCZOWY ALARM

PRZYGOTOWAĆ SIĘ DO UDZIELENIA POMOCY NA

WEZWANIE

- Panie kapitanie! - zawołał dyżurny.

Dyżurny oficer łączności odłożył czytany numer „Stars and Stripes” na

biurko, zdjął z niego stopy i powoli wstał, ruszając do wzywającego go podwładnego. Operator tymczasem wrócił do pierwszego teleksu, oderwał drugi odcinek taśmy perforowanej i powtórzył te same czynności co przy pierwszym. Teleks podłączony do maszyny szyfrującej zaczął drukować następną depeszę.

PILNA OPERACYJNA
KRZAK MORWY NUMER 2
BAŁAKŁAWA MELDUJE POMARAŃCZOWY ALARM

Dyżurny oficer zmiany sięgnął po słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

- Black - po drugim dzwonku rozległ się głos dowódcy grupy.

Jezus, Maria, sam Stary odebrał telefon! Dyżurny oficer zaczął się zastanawiać, czy czasem nie pomylił numeru, a jeśli tak, to co go za to czeka.

- Chciałem się dodzwonić do pułkownika Newburgha, sir... Kapitan Tailler, z centrum łączności.

- O co chodzi, kapitanie?

- Dostaliśmy dwie pilne operacyjne z kryptonimem Morwa, panie generale. Pułkownik Newburgh kazał natychmiast meldować, gdyby taka depesza przyszła i ja...

- W porządku, kapitanie. Bardzo panu dziękuję, zaraz przyjdę. A pułkownika Newburgha zastanie pan w operacyjnym. - Tailler usłyszał odkładaną słuchawkę.

Generał przybył do ośrodka łączności chwilę później. Tuż za nim pojawił się pułkownik Newburgh, który żołnierzom, z racji siwych włosów i wąsów, kojarzył się z modelem z reklamy alkoholu w „Esquirze”. Dyżurny łączności podał obie depesze generałowi, który po przeczytaniu przekazał je pułkownikowi.

W tej samej chwili dalekopis odezwał się znowu. Operator odrywał taśmę po zakończeniu każdej transmisji i natychmiast przepuszczał ją przez maszynę szyfrującą.

PILNA OPERACYJNA
KRZAK MORWY NUMER 3
BAŁAKŁAWA SZEŚĆ RANNY W NOGĘ I GŁOWĘ
BAŁAKŁAWA PIĘĆ RANNY W UDO I TWARZ

- Szóstka to Felter, tak? - zapytał Black.

- Tak jest, sir - potwierdził Newburgh. - A piątka to MacMillan.

- Cholera jasna, mówiłem mu, że ma się nie ruszać z brzegu!

PILNA OPERACYJNA
KRZAK MORWY NUMER 4
PRZYSTĄPIONO DO WYKONANIA OPERACJI BAŁAKŁAWA
USS DEWEY DD404 W DRODZE DO PUNKTU CHARLES
PRZYPUSZCZALNY CZAS SPOTKANIA JEDNA GODZINA
PIĘĆ MINUT

- Połączcie się z tym niszczycielem - rozkazał Black. - Zapytajcie, czy ma lekarza na pokładzie. Otwartym tekstem, szyfrowanie potrwa za długo.

Jeden z podoficerów łączności usiadł do klawiatury dalekopisu i zaczął wystukiwać tekst depezy.

OD NEFRYT
DO MŁOCIARZ
PYTANIE. CZY BAŁAKŁAWA MA NA POKŁADZIE
LEKARZA PODPISANO BLACK GEN PORUCZNIK

- Jeśli mają lekarza na pokładzie, to co potem? Carson, sprowadź tu dowódcę lotnictwa.

Pułkownik Newburgh podniósł słuchawkę i wykręcił z pamięci numer. Nikt nie odpowiadał. Rozłączył się i niezwłocznie wykręcił inny.

- Newburgh. Gdzie jest pułkownik Young? - Wystuchał odpowiedzi, po czym skrzywił się i powiedział: - No to go obudźcie i niech się natychmiast zamelduje w ośrodku łączności u generała.

Odłożył słuchawkę i wziął od Blacka następną depezę.

PILNA OPERACYJNA
KRZAK MORWY NUMER 5
BAŁAKŁAWA SZEŚĆ STRACIŁ DUŻO KRWI GRUPY AO

- Carson, zajmij się tym - powiedział Black.

Newburgh podniósł słuchawkę i wykręcił jedynekę. Zgłosił się dyżurny telefoni-
sta.

- Dajcie mi Massachusetts Sześć - polecił.

Na biurku położono przed nim depezę.

MŁOCIARZ DO NEFRYT SZEŚĆ
USS DEWEY MA NA POKŁADZIE LEKARZA
BRAK INFORMACJI NA TEMAT

ZAPASÓW KRWI PRZYPUSZCZALNIE MOŻLIWA TRANSFUZJA

- Panie doktorze, tu Carson Newburgh. Proszę przygotować zapas krwi grupy A i AO wystarczający dla dwóch ciężko rannych, zapakować do jeepa i dostarczyć jak najszybciej na lotnisko Nefryta. Jeżeli ma pan jakiegoś wolnego lekarza, to także byśmy o niego prosili.

Pułkownik rozmawiał z komendantem najbliższego MASH. Tymczasem do ośrodka łączności wszedł pułkownik Young, dowódca lotnictwa korpusu.

- Melduję się na rozkaz, sir.
- Young, o której będzie świt?
- O 4.42, sir.

Generał spojrział na zegarek.

- Ale światła potrzebuję tylko do lądowania, sir. Mogę wystartować w każdej chwili.

- Carson, pokaż pułkownikowi, dokąd ma lecieć.
- Tak jest, sir.

5

Punkt Charles

16 listopada 1951, godz. 4.05

- Panie komandorze - zawołał wachtowy, schylony nad czarną osłoną ekranu radaru. Po włączeniu oświetlenia na mostku obraz na ekranie był ledwie widoczny i trzeba było korzystać z zamontowanej na nim stożkowej osłony z gumowymi okularami, przypominającej nieco skrzyżowanie olbrzymiej lornety z megafonem. Dowódca podszedł do niego i zajął jego miejsce przy okularze maski.

- Kurs jeden-dwa-pięć - polecił krótko.
- Jeden-dwa-pięć - potwierdził sternik. - Jest kurs jeden--dwa-pięć.
- Widzę mnóstwo dymu - zameldował oficer wachtowy.
- Jesteśmy pięć mil od nich.
- Sir - odezwał się głośnik.
- Słucham, radio.
- Pilna operacyjna od Nefryta, sir. Helikopter z krwią i lekarzem na pokładzie wyruszył w drogę do Punktu Charles. Przybliżony czas przybycia trzydzieści minut.
- Radio, potwierdź wiadomość i powiedz doktorowi.
- Tak jest, sir.

Wydawało się, że niszczyciel osiadł rufą w wodzie, kiedy dano całą wstecz, by wyhamować okręt.

- A niech mnie szlag - mruknął MacMillan. - Jest nasza cholerna kawaleria z odsieczą!

Siedział na pokładzie koło Feltera. Rufa dżonki płonąła. Nie było widać żadnych płomieni, a jedynie mnóstwo gęstego, czarnego dymu z płonącego paliwa. Z jakiegoś dziwnego powodu paliwo nie rozlewało się, tylko paliło w zbiorniku, kopiąc na potęgę. Całe szczęście, że to nie benzyna, pomyślał MacMillan. Gdyby eksplodowały opary, byłoby już po nich.

Przy życiu zostało tylko sześć osób. On i Felter byli ranni - Felter naprawdę poważnie, a on lekko. Reszcie jakoś się udało, jeśli nie liczyć poparzeń.

Płonąca dżonka tkwiła nieruchomo na wodzie i zdawała się powoli tonąć, choć nie bardzo mieli głowę, żeby to teraz sprawdzać.

MacMillan delikatnie pchnął ramię Feltera. Chciał mu powiedzieć, że niszczyciel jest już blisko. Felter poruszył się, jakby się obudził, po czym wrzasnął z bólu.

MacMillan miał już przyszykowaną strzykawkę, więc od razu wbił ją w jego ramię i wycisnął morfinę. Narkotyk podziałał bardzo szybko. Major wyrzucił za burtę pustą strzykawkę, a po chwili zastanowienia także trzy pozostałe, przygotowane do użycia. Gdyby ogień dotarł do nich szybciej niż odsiecz, miał zamiar podać kapitanowi całą morfinę naraz. Żeby nie czuł, jak się pali żywcem.

Kadłub niszczyciela zawisł nad nimi jak wielka szara góra. Okręt podszedł tak blisko, że Mac nie na żarty się przestraszył, że przewróci ich fala odkosów spod dziobu. Tylko tego by jeszcze brakowało, żeby ich utopili ci, którzy mieli ich ratować.

Po chwili za burtę poleciało kilka lin z zawiązanymi węzłami, po których na pokład zeszło kilku marynarzy w tych śmiesznych, o parę numerów za dużych hełmach, które na okrętach noszą artylerzyści, i w kamizelkach ratunkowych. Jeden z nich był oficerem, który schodząc, zdołał wysmarować smołą swój czysty mundur.

- Tutaj! - zawołał Mac.
- Jestem z Deweya - powiedział oficer.
- Macie lekarza?
- Tak, mamy.
- To lepiej niech się nim zajmie. - Wskazał na Feltera, wciąż leżącego w koszu do transportu rannych. - Naprawdę z nim niedobrze.
- Panu chyba też niewiele brakuje, sir - odparł marynarz.

- Nic mi nie jest. Nim się zajmijcie - powtórzył i potem już nic nie pamiętał.

Obudził się w łóżku. Z tego, jak kołysał się niszczyciel, domyślił się, że nie płyną. Nogawka spodni była rozcięta, na udzie miał świeży opatrunek, ale sam nadal był brudny. Tymczasowy opatrunek, zdecydował wreszcie. Opatrzyli go na chybicka, a sami zajęli się Felterem. Podniósł rękę do głowy i poczuł kolejny bandaż.

Usiadł na łóżku i wyjrzał przez otwarte drzwi. Dżonka, wciąż w płomieniach, była już o dobre trzysta metrów od nich. Wstał i akurat zdążył dojść do drzwi, kiedy pojawił się w nich lekarz - Armii, a nie Marynarki.

- Hej, a to co jest, do cholery? Kładź pan tyłek z powrotem do łóżka, ale już!

- Dlaczego nie płyniemy?

- Właśnie przyszedł rozkaz zatopić pańską dżonkę, majorze.

MacMillan odczuł satysfakcję, że jego na wpół zatopionej dżonce trzeba było aż pięciu bezpośrednich trafień, zanim wreszcie przewróciła się i zniknęła pod wodą. Dopiero wtedy pozwolił lekarzowi zająć się swoimi ranami.

- Nic pan nie mówi o Felterze - powiedział, kiedy doktor skończył z nogą. - Czy to ma znaczyć, że nie przeżył?

- Jego noga jest w dość kiepskim stanie - skrzywił się doktor. - Ale przeżyje.

- Co będzie ze mną? Dokąd teraz płyniemy?

- Do Pusan. Okręt szpitalny USS Consolation.

- To moje rany są aż tak ciężkie?

- Nie, skądże znowu. Trochę będzie bolało, stracił pan spory kawałek ciała, ale to głównie tłuszcz. To znaczy, mięśnie nie zostały poważnie uszkodzone. Miał pan sporo szczęścia.

- Dlaczego więc mam wylądować na okręcie szpitalnym?

- Bo generał Black polecił mi dopilnować, by nic nie stało się panu na przeszkodzie do wyzdrowienia, żeby można było pana jak najszybciej wsadzić do samolotu lecącego do Stanów.

MacMillan roześmiał się serdecznie.

7

Pusan, Korea Południowa

17 listopada 1951, godz. 9.00

Okręt szpitalny US Navy USS Consolation, błyszczący od białej farby, pokrywającej jego burty i nadbudówki, z olbrzymimi czerwymi krzyżami o dziesięcio-

metrowych ramionach wymalowanymi na bokach, kołysał się łagodnie na wodach zatoki.

Kapitan Rudolph G. MacMillan, ubrany w szpitalną pidżamę i szlafrok, obserwował motorówkę - barkas kapitański błyszczący białą burtą, brązem okuć i polewanym mahoniem nadbudówki - odbijający od nabrzeża nr 1 w Pusan i kierujący się ku trapowi zwisającemu za burtą USS Consolation. Na platformie u dołu trapu czekało dwóch marynarzy i porucznik w nieskazitelnie białych mundurach. Kiedy barkas dobił do trapu, marynarze zacumowali go, a porucznik wyciągnął rękę, by pomóc wysiąść pasażerowi. Pasażer obył się jednak bez pomocy. Porucznik zasalutował i wskazał schody trapu ze słowami:

- Witamy na pokładzie Consolation, sir. Dowódca oczekuje pana na górze.

Generał porucznik E. Z. Black ruszył schodami na górę tak szybko, że towarzyszący mu adiutant ledwie nadązał. Kiedy dotarł na poziom pokładu, sześciu wachtowych zadęło w gwizdki, oddając mu świst trapowy. Generał uśmiechnął się i zasalutował.

Dwaj komandorzy Marynarki, jeden w białym mundurze galowym, przy szpadzie, drugi w wyjściowym białym mundurze, bez broni bocznej, podeszli dwa kroki bliżej i także zasalutowali.

- Proszę o pozwolenie wejścia na pokład - odezwał się Black.

- Pozwolenia udzielam - odparł komandor ze szpadą. Black ruszył naprzód przez bramkę w relingu, zwracając się ku rufie i salutując banderze powiewającej na flagsztoku. Po chwili obrócił się do obu komandorów i raz jeszcze zasalutował. Przy tej okazji zauważył MacMillana i uśmiechnął się, co przepełniło majora ulgą.

- Nie myśl sobie, że przyjechałem cię odwiedzić, niewdzięczny sukinsynu - powiedział generał.

No, wszystko wróciło na swoje miejsce, pomyślał z radością MacMillan. Wściekłość przejawiała się u generała lodowatym formalizmem. Tego zdania nie sposób było zaliczyć do formalnych odzywek pomiędzy generałem a majorem, nawet jeśli mu podlegał i kiedyś był jego adiutantem.

- Witamy na pokładzie, sir - powiedział komandor ze szpadą, kiedy pozbierał się z zaskoczenia, jakie u niego wywołało zdanie wypowiedziane do jednego z jego pacjentów przez gościa. - Rzadko mamy zaszczyt gości na pokładzie tak wysokiego oficera Armii, sir.

- Dziękuję bardzo, komandorze. Zna pan cel mojej wizyty? - To było jednak bardziej stwierdzenie niż pytanie, bo nawet nie czekał na odpowiedź. - Przybyłem, żeby dopilnować, że nic nie stanie na przeszkodzie bezzwłocznemu powrotowi

majora MacMillana do kraju, i zapoznać się ze stanem zdrowia kapitana Feltera.

- Niedobrze z Felterem, sir - wtrącił się MacMillan przejętym głosem.
- Co z nim? - zapytał Black komandora bez szabli.
- Z jego kolana niewiele zostało, sir. Po konsultacjach uznano, że należy dokonać amputacji.
- Przykro mi to słyszeć, ale skoro...
- On nie chce się na to zgodzić, sir - znowu wtrącił MacMillan.
- Jak to nie zgadza się? - ostrym tonem zapytał Black. - Co on tu ma do gadania?
- Mówi, że chce zaryzykować i nie pozwoli jej sobie obciąć. Zmusił mnie, że-
bym mu obiecał, że to panu powiem, sir.
- I co ja mam z tym zrobić, do jasnej cholery? - zapytał generał, wyraźnie zbity z tropu.
- Utrata kończyny wiąże się zwykle z poważnymi kłopotami natury psychicznej, sir - wyjaśnił dowódca okrętu.
- Kłopoty to ona za sobą pociąga na pewno - mruknął Black. - Ale żeby zaraz psychicznej?
- Nie bardzo wiem, jakiego innego słowa użyć, sir. Stan, w jakim znajduje się obecnie kapitan Felter, mieści się w definicji nie zrównoważenia psychicznego.
- Chce pan przez to powiedzieć, że mu odbiło, bo nie chce dać sobie uciąć nogi? To pan miał na myśli?
- Oczywiście, nie uważamy, że mówił to serio, i zapewne także nie wpłynęło to na decyzję, jaką podejmiemy, ale kapitan Felter posunął się do wysuwania osobistych gróźb pod moim adresem, groził użyciem przemocy fizycznej wobec mnie i każdego innego oficera, który podjąłby próbę operowania go.
- Na pana miejscu takie groźby ze strony tego akurat oficera traktowałbym bardzo poważnie, panie komandorze - odparł Black.
- Miałem nadzieję, sir, że może przemówi mi pan do rozsądku.
- Czy nie ma żadnej szansy na uratowanie jego nogi?
- Tu na pewno nie, sir. Może w Szpitalu Marynarki w San Diego, ale też tylko „może”. Uszkodzenie jest bardzo poważne.
- Ale jest jakaś, choćby znikoma szansa na to, że w San Diego dałoby się tę nogę uratować?
- Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek był w stanie odbudować kolano, panie generale. W najlepszym wypadku zachowa nogę, ale do końca życia będzie ona sztywna.
- Myślę, że na jego miejscu wolałbym mieć sztywną nogę, niż nie mieć jej

w ogóle. Dlaczego więc go nie wysyłacie do San Diego?

- Bo to by było wbrew zasadom, sir.

- Jak to wbrew zasadom?

- Jesteśmy w pełni wyposażeni do zapewnienia opieki zdrowotnej na poziomie szpitala ogólnego i zapewniamy ją, sir.

- Ale przecież sami powiedzieliście, że w San Diego uratowaliby mu tę nogę, a tu nie ma do tego warunków?

- Mogliby uratować, sir. Ale tylko wtedy, gdybyśmy tam byli. Ale jesteśmy tu i on też jest tu. Wymiana pacjentów pomiędzy równorzędnymi placówkami jest wbrew zasadom, sir.

- Panie komandorze, w ciągu całej mojej dwudziestodwujęciolatniej kariery wojskowej nie zdarzyło mi się słyszeć równie bezdusznej, zasranej bzdury z ust człowieka mniemającego się oficerem.

Adiutant aż się skrzywił, słysząc ton generała i wzmiankę o dwudziestu dziewięciu latach służby. Zapowiadała się straszna burza. MacMillan uśmiechnął się szeroko. Obaj znali te objawy z osobistego doświadczenia. Komandor nie miał okazji ich poznać, więc brnął dalej.

- Nie uważam, sir, żeby miał pan prawo...

- Zamknij mordę, gnoju! - ryknął generał i zwracając się do adiutanta, dodał: - Daj swój pistolet MacMillanowi. - Kiedy adiutant wykonał bez słowa rozkaz, generał zwrócił się do majora: - Mac, jeśli któryś z tych rzeźników zbliży się do Feltera bliżej niż na pięć metrów, zastrzel jak psa. - A ty - znowu zwrócił się do adiutanta - ganiaj na dół do tej ich odpicowanej pirackiej łajby i wracaj na brzeg. Zadzwoń do Tokio i powiedz im, że na pokładzie tej pływającej rzeźni jest dwóch oficerów, których chcę jak najszybciej przerzucić drogą powietrzną na Hawaje, do Szpitala US Army.

- Tak jest, sir.

- A potem wrócisz tu i osobiście, jeśli będzie trzeba to pod lufą, dopilnujesz, żeby zapakowali do tego samolotu MacMillana i Feltera.

- Tak jest, sir.

- Mam zamiar złożyć oficjalny raport z tego spotkania, sir - zapowiedział komandor bez szpady.

- Ja też - odparł Black. - I kiedy już z tobą skończę, sukinsynu, nie wolno ci będzie nawet przykleić plastra na żołnierskim pryszczu. Wylądujesz na oddziale wenerologicznym Szpitala Miłosierdzia w Hawanie, lecząc zasyfiałe kurwy. Bóg mi świadkiem, że to dla ciebie najlepsze miejsce!

Komandor pobladł i, nerwowo mrugając powiekami, nie potrafił sformułować odpowiedzi. Tymczasem generał zwrócił się do MacMillana:

- Mac, znasz drogę do Feltera?

- Tak jest, sir.

- Prowadź.

- Z przyjemnością będę panu towarzyszył, sir - odezwał się dowódca okrętu. Przypomniał sobie, że w „Stars and Stripes” pisano, że do Kongresu wysłano wniosek o czwartą gwiazdkę dla Blacka, i to pomogło mu szybko odzyskać równowagę.

- Zejdź mi z drogi, lodziarzu! - ryknął generał. - Mac, prowadź!

- Proszę tędy, sir. - Uśmiechnięty od ucha do ucha major wskazał otwarte drzwi.

XVI

1

Los Angeles, Kalifornia

2 stycznia 1952

Boy hotelu Beverly Wilshire postawił obie brezentowe walizki tuż za obrotowymi drzwiami, w miejscu, z którego nie będzie musiał ich daleko nosić. Tej przezorności nauczyły go lata praktyki w zawodzie. Facet w pogniecionym ubraniu z wojskowymi walizkami, w dodatku bez rezerwacji - nie, to nie był typ człowieka, który nocował w takim hotelu.

Z drugiej strony, może recepcjonista coś mu znajdzie. Zawsze starali się pomagać wojskowym. Facet był bez wątpienia żołnierzem - świadczyły o tym walizki z wymalowanym za pomocą szablonu nazwiskiem, numerem służbowym i stopniem. MJR XXX CW LOWELL 0-495302. Ciekawe, wyglądało na to, że ostatnio awansował. Spod trzech iksów wystawały litery KPT. Musiał służyć gdzieś za granicą i raczej w polu - w kraju albo na tyłach dostałby nowe walizki i nie musiał kreślić po starych. Za granicą i w polu, to mogło oznaczać tylko Koreę.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał recepcjonista.

Jego też zaciekawił ten młody człowiek. Nie widział wprawdzie jego bagaży, ale reszta też zapowiadała się interesująco. Był styczeń, co prawda w Kalifornii, ale zawsze, a on miał na sobie tweedową marynarkę i szare flanelowe spodnie,

jedno i drugie wygniecione, jakby w nich spał. Zresztą, może i nie spał, może tylko długo były gdzieś przechowywane. Ubranie było wyraźnie szyte na miarę, materiał też raczej nie wyglądał na tani. Facet był wyraźnie wykończony, jakby długo nie spał albo był na ciężkim kacu. Co wcale mu nie ujmowało urody, jak zauważył szczególnie czuły na wdzięki męskiej urody recepcjonista. Był po prostu śliczny.

- Znajdzie pan coś dla mnie?

- Pan nie ma rezerwacji? - raczej stwierdził, niż zapytał recepcjonista.

- Nie. Chciałbym apartament, co najmniej na jeden dzień. Być może na dłużej.

- Obawiam się, że bez rezerwacji to może być trudne, panie...

- Lowell. C. W. Lowell. Major C. W. Lowell.

- Oczywiście. Przepraszam, panie majorze. - Wiek gościa nie wskazywał na to, że może być majorem. Tak czy inaczej, w mundurze musiał się prezentować zabójczo. - Chwileczkę, niech spojrzę... - Uśmiechnął się do niego ciepło i zagłębił w lekturze grafiku. - O, ktoś odwołał rezerwację. To ładny pokój na czwartym piętrze, od frontu.

- Skoro nie ma nic lepszego. - Lowell wzruszył ramionami.

Jezu, czy to nie jest robota związków? Czy żeby dostać pracę za tym kontuarem, trzeba być pedałem, pachnieć jak kwaciarnia i bez powodzenia naśladować angielski akcent?

Recepcjonista zawołał boya i kazał mu zanieść bagaże majora Lowella do pokoju. Kiedy odeszli, zajrzał do karty meldunkowej, żeby się dowiedzieć, skąd przybywa ich gość. Niewiele się dowiedział: „C. W. Lowell, mjr US Army, przydz. sł. Biuro adiutanta Szt. Gen., Pentagon, Wasz.”, a cel wizyty w Los Angeles był „osobisty”.

Boy był przyjemnie zaskoczony nowym gościem. Oczekiwał zwyczajowej dwójki, po dolarze za walizkę, a tymczasem major odwinął jeden banknot z pliku nowiutkich dwudziestodolarówek i wręczył mu dziesięciokrotnie większy napiewek. Ten plik potwierdził jego domysły z holu. Kiedy boy wracał z wojny w Europie, też dostał całą wypłatę dopiero po powrocie i też w dwudziestkach.

- Mam mnóstwo do załatwienia i bardzo mało czasu - powiedział major. - Przede wszystkim chcę dostać butelkę whisky, czarnego Johnny Walkera albo Ambassadorsa, coś z tej półki, i wodę sodową. Dwie dychy wystarczą za walizki i na to?

- W zupełności, proszę pana - odparł boy, łapiąc papierek.

- Idę się teraz złączyć z naturą - powiedział, wskazując na drzwi od łazienki - gdybym nie wyszedł do czasu, aż wrócisz z butelką, zaczekaj. Będę miał więcej zleceń.

Kiedy wyszedł z łazienki, boya jeszcze nie było. Opróżnił kieszenie spodni i marynarki, po czym rozebrał się do bielizny, usiadł na łóżku i podniósł słuchawkę telefonu. W tej samej chwili pojawił się boy z butelkami w rękach.

- Otwórz je i zrób mi słabego drinka - polecił Lowell, a do słuchawki powiedział po chwili: - Poproszę z panem Porterem Craigiem z firmy Craig, Powell, Kenyon i Dawes, Nowy Jork, Wall Street 22. Tak, czekam.

Boy otworzył butelkę dwunastoletniej whisky Ambassador i nalał majorowi drinka. Lowell, nie wypuszczając słuchawki, wolną ręką odwinął z pliku jeszcze dwie dwudziestki.

- Zanieś tę marynarkę i spodnie do prasowania. Jeśli da się to zrobić zaraz, jestem skłonny dać za to dyche. Jak się podzielisz z pokojowym, to już wasza sprawa. Za resztę poproszę pudełko dobrych cygar, Upmann Amatista, jeśli znajdziesz. Jeśli nie, to jakiegokolwiek duże, kubańskie cygara. Jak będą, to numer 47, a jak nie, to im większe, tym lepsze.

- Upmann Amatista, im większe tym lepsze - powtórzył boy. - Oczywiście, proszę pana.

Lowell zajął się telefonem.

W słuchawce odezwał się sygnał.

- Craig, Powell, Kenyon i Dawes, dzień dobry.
- Międzymiastowa do pana Portera Craiga.
- Łączę z biurem.
- Biuro pana Portera Craiga, słucham.
- Międzymiastowa do pana Portera Craiga.
- Przepraszam, ale pana Craiga chwilowo nie ma w biurze.
- Proszę się dowiedzieć, gdzie jest - włączył się Lowell.
- Przepraszam, czy mogę zapytać, kto dzwoni?
- Craig Lowell.
- Proszę pana, jeśli chce pan rozmawiać teraz przez telefon, będę musiała obciążyć pana opłatą za tę rozmowę.
- Proszę bardzo. Gdzie jest pan Craig?
- Przepraszam pana, ale pan Craig jest na ważnej naradzie i nie mogę mu przeszkadzać.
- Proszę mu powiedzieć, że dzwonię.
- Przepraszam, ale nie mogę mu przeszkadzać. Takie dostałam od niego polecenie.
- Do diabła, kobieto, powiedz mu, że dzwonię!
- Chwileczkę, proszę pana.
- Dzień dobry panu, moje nazwisko Lucas, jestem asystentem pana Craiga. Z kim mam przyjemność rozmawiać?
- Craig Lowell. Łącz pan do niego.

- Chwileczkę, panie Lowell.

Po chwili ciszy odezwał się nosowy głos bankiera z Wall Street, absolwenta szkoły St. Mark's, college Harvarda i Harvard School of Business Administration.

- Craig! Jak się masz, chłopie?
- Chryste, trudniej się do ciebie dodzwonić niż do samego Boga.
- Ta dziewczyna z biura jest nowa i nie wie, kim jesteś. Musiałeś na nią wrzeszczyć?

- Porter, nie zwracaj głowy. Przez ostatnie dwanaście godzin wysłuchałem więcej bzdur, niż przez całe życie. Chociaż ty mógłbyś sobie darować.

- Gdzie jesteś, Craig?
- W Los Angeles. W jakimś schowku na szczotki w Beverly Wilshire.
- Czyli w domu. Witaj w domu, chłopcze!
- Muszę skorzystać z twoich wpływów, Porter. Kogo tu mamy?
- Czego potrzebujesz?
- Po pierwsze, potrzebny mi zastrzeżony numer telefonu pewnej gwiazdy filmowej.

- To się powinno dać załatwić. Masz na myśli jakąś konkretną gwiazdę?

- Pytałem, kogo tu mamy.
- Z tobą to nigdy człowiek nie wie. Z tym numerem telefonu to na poważnie?
- Śmiertelnie poważnie.
- No to wal do Toma Osgooda. Pilnuje naszych interesów przy realizacji

Upadku Kartaginy w wytwórni Magnum.

- Ile w to zainwestowaliśmy?
- Gdybyś czytał te tony papieru, które ci wysyłałem, to byś sam wiedział.
- Przez ostatni rok miałem nieco inne problemy na głowie.
- Dwa przecinek pięć miliona, to znaczy trzydzieści siedem przecinek pięć

procent budżetu filmu.

- A więc to gość, którego potrzebuję.

- Masz go na miejscu, w Beverly Wilshire. Zadzwoń do niego i powiedz, kim jesteś, a jestem pewien, że wytrzaśnie ci każdy numer, jakiego sobie zażyczysz.

- Nawet nie będzie chciał odebrać telefonu ode mnie. Ty do niego zadzwoń i powiedz mu, kim jestem. Aha, i niech pogada z dyrektcją, żeby mnie przenieśli z tego schowka na szczotki. Potrzebuję też samochodu i umów nas na spotkanie. Będę u siebie w pokoju, w barze albo u fryzjera.

- Zadzwoń do niego, jak tylko zejdziesz z linii. Coś jeszcze? Kiedy przyjeżdżesz na Wschodnie Wybrzeże?
- Widziałeś mój paszport, kiedy otwierałeś naszą skrytkę bankową?
- Tak, pamiętam, że go widziałem.
- Dobrze. Wyjmij go, sprawdź, do kiedy jest ważny, i jeśli będzie trzeba, daj do przedłużenia.
- Craig, to już chyba będziesz musiał zrobić osobiście.
- Załatw to, Porter. Zadzwoń do kogoś z tych senatorów, których nosisz w kieszonce kamizelki.
- To zajmie kilka dni. Wybierasz się do Niemiec, zgadłem?
- Oczywiście, że tak.
- W takim razie co, jeśli mogę zapytać, robisz w Los Angeles?
- Nie możesz. Porter, naprawdę muszę się spotkać z tym twoim Osgoodem w ciągu godziny.
- Zrobię, co w mojej mocy. W Nowym Jorku zatrzymasz się u nas, prawda?
- Dam ci znać, kiedy tylko się tam znajdę.
- Potrzebujesz pieniędzy?
- Pewnie wkrótce będę potrzebował. Zakładam, że ten twój Osgood będzie w stanie zrealizować czek dla mnie?
- Jasne, że tak.
- Do zobaczenia, Porter.

2

Pan J. Theodore Osgood, starszy wiceprezes działu rozrywki i sportu banku inwestycyjnego Craig, Powell, Kenyon i Dawes zajechał do Beverly Wilshire limuzyną podstawioną przez swego gospodarza z wytwórni Magnum tuż po telefonie od pana Craiga Portera. Limuzyna ze studia miała zastąpić kabriolet, który pan Osgood wynajął w Kalifornii.

Po przyjeździe odbył rozmowę z panem Hernandem Courtwrightem, dyrektorem hotelu. Powiedział mu, jak ważne jest, by jednemu z jego gości, majorowi Craigowi Lowellowi, natychmiast umożliwić przeprowadzkę z pokoju, w którym go pomyłkowo zakwaterowano, do apartamentu, i to najlepiej jednego z lepszych. Poinformował w zaufaniu pana Courtwrighta, że major Lowell, podobnie jak pan Porter Craig, jest wnukiem założyciela banku Craig, Powell, Kenyon i Dawes i że jest spadkobiercą równej z panem Craigiem części masy spadkowej.

Pan Courtwright, poruszony tą wiadomością, udał się do salonu fryzjerskiego, gdzie cierpliwie poczekał, aż major Lowell wynurzy się spod gorącego ręcznika i będzie mógł mu zostać przedstawiony. Dyrektor serdecznie przeprosił za nieporozumienie w recepcji, recepcjoniści są tylko ludźmi i czasem zdarzają im się fundamentalne pomyłki w ocenie gości. Kiedy tylko dowiedział się o tym, co się wydarzyło, natychmiast wydał polecenia mające na celu naprawienie tego błędu i bagaże pana majora przeniesiono już do apartamentu numer 3.

Pan Osgood oznajmił, że samochód dla pana majora jest już w drodze do Beverly Wilshire, a skoro pan major nie przekazał żadnych zaleceń co do marki, pozwolił sobie wynająć mu sportowego jaguara.

Widząc, jak major krzywi się na tę wiadomość, Osgood przypomniał sobie uwagę pana Portera Craiga, że Lowell bywa czasem bardzo trudny w obejściu i należy go traktować jak najdelikatniej. Przez chwilę był pewien, że poszło o to, że jaguar jest zbyt plebejski dla młodego dziedzica fortuny. Po chwili jednak Lowell skinął głową i podziękował za pomoc.

- Pomyślałem, że może pan potrzebować gotówki - ciągnął Osgood. - Oczywiście, jestem pewien, że hotel przyjmie pański czek...

- Z przyjemnością - wtrącił się dyrektor hotelu.

- Nie było mowy o sumie, więc jeśli pan sobie życzy, zadzwonię do banku, który prowadzi tutaj nasze interesy... Jak pan zapewne wie, to właściwie nasza filia. No więc zadzwonię i powiem, że być może pan zajrzy i wtedy...

- Niech pan sobie nie robi kłopotu, będę potrzebował tylko na drobne wydatki.

- Poza tym, jeżeli dobrze słyszałem, prosił pan o ustalenie jakiegoś zastrzeżonego numeru telefonicznego?

- Tak, do Georgii Paige - powiedział zmieszany nagle Lowell.

Było mu strasznie głupio o to prosić. Myślał, że jej numer będzie w książce telefonicznej, i próbował się dodzwonić z Tokio, żeby jej powiedzieć, że jedzie. Numer był, tylko zastrzeżony, i telefonistka nie chciała go połączyć. Wysłał jej więc telegram na domowy adres w Beverly Hills, prosząc, żeby zadzwoniła bez względu na porę dnia lub nocy do niego, do kwater gościnnych w Fort Lewis. Podał numer, czekał, ale nie było żadnego telefonu.

Wtedy postanowił przyjechać do Los Angeles niezapowiedziany i po prostu kazać się taksówkarzowi zawieźć do niej. Pisała mu uprzednio, nawet z pewnymi szczegółami, jakiego rodzaju prezent dostanie z okazji powrotu, kiedy się tylko spotkają. Leciał z Seattle do Los Angeles, układając w myśli scenariusz tego

spotkania: co będzie na sobie miała i ile czasu zajmie mu zdjęcie z niej tego, gdzie to będzie - i najważniejsze, co będą robili potem.

Kiedy dotarł do domu w Beverly Hills, zastał w nim tylko meksykańskie małżeństwo, mniej więcej równej postury, po 150 kilogramów żywej wagi każde, i niemówiące ani słowa po angielsku. Nie rozumieli nic z jego gestów, mających wyrażać, że Georgia jest jego ukochaną i że chce z nią porozmawiać przez telefon. Odesłał już taksówkę, więc musiał iść na piechotę, ciągnąc ze sobą obie cholerne walizy. Uszedł z półtora kilometra, zanim nadjechali policjanci i po mniej więcej uprzejmym wezwaniu do udowodnienia, że rzeczywiście jest oficerem sztabowym US Army, a nie włamywaczem ciągnącym w walizkach swoje łupy, wezwali mu taksówkę.

- Wystarczyło, żeby pan zapytał - uśmiechnął się pan Courtwright. Podniósł słuchawkę telefonu i poprosił o połączenie z sekretarką.

- Jasne, i co jeszcze? Żeby nie pan Osgood, usłyszałym, że mogą spadać - machnął ręką Lowell.

- Major Lowell wraca do kraju z Korei - wyjaśnił pan Osgood.

Courtwright uśmiechnął się ze zrozumieniem i zapisał numer panny Paige na odwrocie wizytówki.

- Panie majorze, panny Paige nie ma teraz w domu - powiedział pan Osgood. - Dziś kręcą zdjęcia do Modlitwy bez odpowiedzi, przechodziłem przez tamten plan po drodze tutaj.

- Mógłby mnie pan tam zabrać? - zapytał Lowell, kiedy fryzjer skończył go golić i zaczął wcierać mu w twarz jakąś oleistą substancję.

- Ależ oczywiście. Zadzwoń, żeby na pana czekała przepustka na bramie.

Osgood nie dzwonił z telefonu w salonie fryzjerskim. Skorzystał z aparatu w holu, połączył się ze swym odpowiednikiem w Magnum i powiedział mu, że pan Craig Lowell, po którym można oczekiwać kłopotów, jedzie właśnie do studia i że chce się spotkać z panną Paige, ale nie ma pojęcia po co.

Samochód, który załatwił mu Osgood, okazał się identyczny z tym, który kupił Ilse w Stanach. Tak jej się podobał, że wysłał jej go do Niemiec. I właśnie za jego kierownicą zginęła, kiedy ten pijany dupek spowodował wypadek.

Jadąc do Magnum, miał przed oczyma widok z wnętrza tamtego samochodu, Ilse siedzącą na miejscu dla pasażera, z P. P. w ramionach. Siedzenia były tak niskie, że spódnica podjechała jej do góry i widział jej majteczki. Seks i macierzyństwo.

- Panie majorze, nie miałem wcześniej okazji pana poznać i bardzo się cieszę, że mogę zrobić to teraz - powiedział mężczyzna przy bramie. - Jestem John Sanderland, wiceprezes do spraw finansów Studiów Magnum.

- Widzę, że studiował pan w Filadelfii, panie Sanderland - odparł Lowell, patrząc na absolwencki sygnet Wharton School of Business.

- Świat jest mały.

- Rocznik czterdziesty dziewiąty.

- No to witaj, kolego, miło cię spotkać. - Uśmiech rozjaśnił twarz Sanderlanda. - Ja skończyłem dziewięć lat wcześniej.

Może to wcale nie taki dupek, jak mówił Osgood?

Wjechali na teren studia. Lowell pierwszy raz widział z bliska wytwórnię filmową. To, co ujrzał, zawiodło go. Słyszało się, że Hollywood to Fabryka Snów, ale to, co widział, rzeczywiście przypominało fabrykę. Nad wejściem do jednego z budynków, przypominających ponure fabryczne magazyny, błyskało czerwone światło. Przed drzwiami stał umundurowany strażnik wyglądający na emerytowanego gliniarza, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Lowell oglądał już tyle filmów o Hollywood, żeby wiedzieć, że błyskające światło oznacza, że wewnątrz trwa sesja zdjęciowa.

Podeszli, ale strażnik nie ruszył się na krok, nawet wtedy, kiedy światło zgasło.

- Plan zamknięty - ogłosił. - Muszą panowie mieć przepustki.

- Przecież ja jestem wiceprezesem tej firmy! - zaperzył się Sanderland.

- Nie wątpię w to ani przez chwilę, panie prezesie, ale mimo to musi pan mieć przepustkę. Plan jest zamknięty.

- Och, na miłość boską! - mruknął Sanderland, ale nie mieli innego wyjścia, jak tylko wrócić do samochodu Lowella i pojechać do budynku administracji po przepustki. Kiedy z nimi wrócili, nad wejściem znowu migąła czerwona żarówka i musieli poczekać dziesięć minut w promieniach palącego słońca, zanim wreszcie zgasła.

- Przecież nie kręcili tak długo! Znam tych obwiesiów, nie chcieli, żeby im ktoś przeszkadzał - sapał Sanderland, otwierając przed Lowellem ciężkie dźwiękoszczelne wrota.

- Co to, kurwa, jest?! - pisał ktoś cienkim głosikiem, kiedy weszli na plan.

Lowell, który wypatrzył Georgię w odległym kącie zagraconej hali, drgnął zaskoczony. Po chwili dopiero zauważył, że wrzaskliwy człowieczek celuje palcem właśnie w niego. Poznał Sanderlanda, więc teraz zaczął swoje wrzaski kierować do niego.

- Czego, kurwa, chcesz? - zapytał wiceprezesa do spraw finansowych studia. - I kogoś tu, kurwa, przyprowadził?

Lowell raz jeszcze spojrzął na Georgię. Wyglądała, jakby miała zamiar uciec. Nic dziwnego, przy tym miotającym kłatwami chamie.

- Powiedz jeszcze raz „kurwa”, chudzielcu, to ci ten kurewski jezor wyszoruję pieprzonym mydłem.

- Kimkolwiek jest ten kutas, Sanderland, zabieraj go i spierdalajcie z mojego planu!

Lowell podszedł do wrzaskliwego człowieczka i nie wkładając w to zbyt wiele wysiłku, obrócił go wokół osi, poprowadził do pomalowanego na czerwono wiadra przeciwpożarowego i zanurzył w nim jego głowę.

Człowiek w garniturze, który ruszył ku drzwiom, kiedy zaczął się cały ten incydent, gestem wskazał wrzaskliwego dwóm potężnym technikom sceny. Kiedy Lowell go puścił, wzięli go pod ramiona i unieruchomili.

- Co tu się, do cholery, dzieje? - zapytał Sanderlanda.

- Majorze Lowell, to pan Berman, producent tego filmu. Panie Berman, majorowi Lowellowi z firmy Craig, Powell, Kenyon i Dewes nie spodobało się, że pański reżyser nazwał go kutasem.

- Idę sobie, Sanderland - pisnął wrzaskliwy człowieczek. - Idę sobie, słyszysz? Dość tego! Skończyłem z wami! Puśćcie mnie, pawiany! - Kiedy technicy puścili go, wybiegł z hali, ociekając wodą.

- To nie był najlepszy pomysł, panie majorze - powiedział Berman. - Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z tego, ile nas będzie kosztował pański żart.

- Nie mam pojęcia, ale niezależnie od tego, ile to będzie, chętnie zapłacę.

- Chyba jednak nie. Upłyną co najmniej dwa dni, zanim nasz kochany reżyser poczuje z powrotem wenę, którą tak brutalnie pan przerwał przed chwilą, by powrócić do wykonywania swego zawodu. Budżet wynosi trzydzieści dziewięć i pół tysiąca dolarów dziennie. Nadal ma pan ochotę zapłacić prawie osiemdziesiąt tysięcy dolarów za przywilej umycia ust, choćby nie wiem jak na to zasługiwały?

- Cholera, przepraszam. - Lowellowi zrobiło się strasznie głupio.

- A w ogóle czy mógłbym zapytać, co też szanowny pan raczy robić na naszym zamkniętym planie zdjęciowym? - zapytał sarkastycznie Berman.

- Przyszedłem się zobaczyć z Georgią Paige.

- Doprawdy? A wolno zapytać, w jakim celu?
- Jesteśmy przyjaciółmi.
- Skoro tak, to może by pan poszedł do jej garderoby. Nie ma w tej chwili nic do roboty poza przyjmowaniem gości. Dzisiaj i jutro. I jeszcze pewnie pojutrze, o co właśnie się pan postarał. To powinno wam dać mnóstwo czasu na kultywowanie waszej przyjaźni. - Uśmiechem pokrywając wściekłość, Berman wskazał przyczepę mieszkalną w odległym końcu hali.

Czując na sobie spojrzenia wszystkich wokół, Lowell ruszył we wskazanym kierunku. Słyszał, jak Berman pyta Sanderlanda, kim naprawdę jest ten facet. Resztę zagłuszyła eksplozja tuż za nim. Odruchowo rzucił się na podłogę. Nie potrafił opanować tego odruchu. Walnął jak długi, mimo że część umysłu mówiła mu, że to tylko żarówka, może i duża - ale żarówka, upuszczona gdzieś z góry.

Wściekły i zawstydzony pozbierał się z podłogi na kolana i spojrzał do góry. Jakiś technik zsuwał się z drabiny z wyrazem troski na twarzy. Dotarł do Lowella w chwili, kiedy major właśnie wstał.

- Hej, przepraszam. Naprawdę mi przykro - powiedział.
- Aha, akurat. Mniej więcej tak samo jak mnie za to, że tego drugiego cwaniaczka wykąpałem w wiadrze.
- Nie, naprawdę. Rzuciłem ją, żeby to uczcić. Nie wiedziałem, że pan pomyśli, że to pocisk, i robi padnij. Już zapomniałem, jak to było, kiedy sam wróciłem z frontu.
- Dostałeś mnie, draniu - uśmiechnął się Lowell. - Naprawdę mnie dostałeś.
- Wyglądał pan na równie zszokowanego jak reżyser, kiedy wsadził mu pan głowę do wiadra.

Ponad ramieniem elektryka zobaczył twarz Georgii, która patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Boże! To naprawdę ty?

Podeszła i pocałowała go, a on ją objął. Podniosła twarz ku niemu i pocałował ją w usta. Były gorące, ale nie tak głodne jak wtedy, na pasie startowym IX Korpusu. Pamiętał, że wówczas czuł bicie jej serca. Tym razem nie przywarła do niego tak mocno, żeby je poczuł. Jej ręce też nie trzymały go tak kurczowo jak wtedy na lotnisku. To nie był uścisk, który tak długo sobie wyobrażał.

Tymczasem podszedł do nich Sanderland.

- Powinnaś mi była powiedzieć, Georgio, że znasz majora Lowella. Inaczej bym cię traktował.
- Jak to? - zapytała, zaskoczona tym, że jej żołnierzycy zna takie figury jak Sanderland.

- Bardziej bym cię szanował, ale mniej płacił.
- O czym pan mówi?
- Często mówiłaś, że chciałabyś spotkać kogoś z tych rekinów finansowych z Nowego Jorku. A tu widzę, że jednego znasz całkiem nieźle. Masz okazję mu nawrzucać, tak jak obiecywałaś.

- Czy on mnie nabiera? - zapytała, patrząc na Craiga. Po chwili jednak stwierdziła: - Mam przeczucie, że jednak mówi prawdę.

- A czy to ma jakieś znaczenie?

- To musi być prawda. Inaczej jak byś się dostał na plan? Dlaczego nie dałeś znać, że jedziesz?

- Próbowałem. Udało mi się wydostać dwa dni przed terminem.

Nie mówił nic więcej, bo widać było, że jej umysł zajął się już czymś, co było dla niej ważniejsze.

- Gdzie jest Derek?

- Poszedł do domu - wyjaśnił Sanderland.

- Jak to poszedł do domu? Przecież jeszcze nie skończyliśmy.

- Twój przyjaciel zafundował mu kąpiel. W wiadrze przeciwpożarowym.

- Nie wierzę w ani jedno słowo. Próbujecie mnie zrobić. - Uśmiechnęła się, ukazując piękne zęby. - O czym wy w ogóle mówicie, do cholery?

- Derek używał brzydkich wyrazów w obecności twojego przyjaciela, a on umył mu usta w wiadrze przeciwpożarowym.

Do Georgii dotarło wreszcie, że to prawda.

- Nie no, świetnie! - wybuchła. - Świetnie! Bardzo ci dziękuję!

Przez chwilę patrzyła na niego, jakby zamierzała go zabić wzrokiem, a potem obróciła się na pięcie i ruszyła szybkim krokiem do swojej przyczepy.

- No, to jesteśmy kwita, przyjacielu - uśmiechnął się Sanderland. - Ciebie też to będzie kosztować.

- Pieprz się! - syknął Lowell i ruszył za nią.

Podszedł do zatrzaśniętych drzwi i zapukał do nich. Żadnej odpowiedzi. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Leżała na kanapie, z rozrzuconymi nogami, opierając głowę na podłożonych rękach. Podszedł bliżej i spojrzął na nią z góry.

- Słuchaj, przepraszam, nie chciałem...

- Nic nie rozumiesz - przerwała mu. - Cały dzień przygotowywałam się do tej sceny. I teraz to wszystko poszło na marne, bo nie będziemy kręcić.

- Naprawdę bardzo mi przykro.

Spojrzała na niego, uśmiechnęła się i wyciągnęła ręce. Przyciągnęła go do siebie, ale kiedy próbował dotknąć jej piersi, odepchnęła go łagodnie, ale stanowczo.

- Nie tutaj. Wyośmy się stąd w diabły.

Nawet nie mógł na nią popatrzeć, kiedy się przebierała. Jakaś starsza kobieta weszła do przyczepy bez pukania, obrzuciła Lowella niechętnym spojrzeniem i wskazała kciukiem drzwi. Przebieranie trwało kwadrans, w ciągu którego przez przyczepę przewinęło się kilkanaście osób, podczas gdy on musiał stać na zewnątrz i cierpliwie czekać.

Do domu w Beverly Hills jechał sam jaguarem za jej limuzyną. Zresztą „dom” to było raczej niedopowiedzenie - bardziej na miejscu byłoby „posiadłość”. Gdzieś w zakamarkach mózgu skrzętnie tam ukryty bankier wyciągnął swoje liczydła i zaczął gmerać po kątach. Jej kariera nie trwała jeszcze tak długo, żeby zarobiła na taki pałac. Pamiętał z lektury jakiegoś czasopisma, że jej ojciec był przedsiębiorcą ubezpieczeniowym w Ohio i że karierę zaczynała jako studentka uniwersytetu Ohio. Jej kariera rozwijała się „jak meteor”, jak to ujęto w artykule. A więc dopiero niedawno zaczęła zarabiać mnóstwo pieniędzy, czyli ten dom był jej tylko formalnie. Tak naprawdę był dopiero spleacony w niewielkiej części i należał do banku.

Domy w Beverly Hills zasługują na znacznie większe parcele niż te, na których je budowano, pomyślał Lowell. Kiedy wjeżdżał w bramę, stanęła mu przed oczyma brama jego własnego domu w Broadlawn. Doszedł do przekonania - snobistycznego, co z bólem przyznał - że w gruncie rzeczy, to całe Beverly Hills jest czymś w rodzaju chorobliwie drogiego osiedla robotniczego. Takie prefabrykowane slumsy dla bogatych.

Kiedy wreszcie weszli do domu, kręciło się tam z pół tuzina osób, w tym człowiek, którego przedstawiła jako agenta prasowego, a który najmniej z nich wszystkich przypadł Craigowi do gustu. Sporo czasu minęło, zanim udało się ich wszystkich pozbyć. Najdłużej opierał się agent prasowy.

A wtedy Georgia orzekła, że jest głodna, a Consueli, tej stu pięćdziesięciokilogramowej Meksykanki, którą poznał poprzednim razem, już nie było. W związku z tym wsiedli w samochód i pojechali do Villa Frascati na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Przy ich stoliku przewalała się niekończąca się rzeka ludzi, z których każdy ignorował go z chwilą, kiedy się dowiedział, że jest żołnierzem.

Do łóżka poszli wreszcie o wpół do dziesiątej, ale to już nie było to samo co w Korei. Szybko go też wyrzuciła, mówiąc, że pomimo tego, co się przytrafiło Derekowi, może się zdarzyć, że jednak przyjdzie jutro i będą kręcić, więc będzie musiała

wstać o wpół do piątej i musi się wyspać.

- Kiedy skończysz ten film?

Powiedziała mu, że za sześć, może siedem tygodni. Widząc jego minę, zapytała, co się stało.

- Miałem nadzieję, że pojedziesz ze mną do Niemiec za parę dni.

- Do Niemiec? A po co miałbyś jechać do Niemiec? Aha - przypomniała sobie. - No tak, tam jest twój synek. Całkiem zapomniałam.

Załatwili to jak cywilizowani ludzie. Omówili sprawę chłodno i logicznie. On pojedzie do Niemiec i zajmie się synkiem. Ona tymczasem za sześć, siedem tygodni skończy film, jeżeli nie znajdzie się następny chętny do tego, żeby wsadzić Derekowi głowę do wiadra, i wtedy będą mieli dla siebie trochę czasu i będą mogli gruntownie wszystko omówić.

Oboje doskonale wiedzieli, że było to ich ostatnie spotkanie.

3

Szpital Ogólny US Army im. Waltera Reeda

Waszyngton

16 lutego 1952

Sharon i Sandy oczekiwali wizyty Craiga, odkąd przysły kwiaty. „Kwiaty”, czyli mnóstwo goździków - za dobre pięćdziesiąt dolarów - wetkniętych w półtorametrową podkowę z siatki drucianej, przystrojonych fioletową szarfą ze złotymi literami UROCZYSTE OTWARCIE. Kosz zajął cały kąt pokoju, w którym leżał Sandy. Craig pojawił się w następną sobotę, około szesnastej, w wyjściowym mundurze ze wszystkimi odznaczeniami. Sandy aż zamrugał oczyma ze zdziwienia. Nikt dotąd chyba nie widział Craiga w pełnej gali, zwykle nosił tylko swoją Bojową Odznakę Piechoty i nic więcej. Wbrew temu, co zawsze powtarzał, brniąc się przed noszeniem tego wszystkiego, wcale nie wyglądał jak pajac. Wręcz przeciwnie, wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać oficer.

- Hej, pokurczu - powitał go Lowell. - Myślałem, że na tych wszystkich kursach nauczyli cię chociaż chronić tyłek. A tak w ogóle, to co ci się stało?

- Myślałem, że już skończyli, więc wstałem. No i jestem tutaj.

Uścisnęli sobie dłonie. Sharon stała koło Lowella. Craig położył jej rękę na ramieniu, a ona przytuliła się do niego.

- Nic nie wiedziałem. Wpadłem przypadkowo na MacMillana w Knox i dopiero on mi powiedział.

Felter skinął głową.

- No i jak się czujesz? - zapytał Lowell, jakoś niezręcznie.

- Poddaję mnie czemuś, co nazywa się fizykoterapią. Rano i po południu dają mi kąpiel, a potem biorą na tortury.

Sharon nagle się wyprostowała i podeszła do stolika przy łóżku. Sandy wyraźnie spuścił z tonu i zmieszał się.

- Popatrz - powiedziała z dumą, podając mu wyłożone skórą podłużne pudełko.

Lowell otworzył je i wewnątrz zobaczył Distinguished Service Cross. Odłożył je na łóżko i rozłożył włożoną do wnętrza kartkę z wnioskiem orderowym.

KWATERA GŁÓWNA
DEPARTAMENT OBRONY
WASZYNGTON

Z rozkazu prezydenta Stanów Zjednoczonych MAJOR SANFORD THADDEUS PELTER 0-357861, z piechoty Armii Stanów Zjednoczonych zostaje odznaczony Distinguished Service Cross.

UZASADNIENIE: W okresie od 30 sierpnia do 16 listopada 1951 roku MAJOR FELTER (wówczas kapitan), uczestnicząc w operacji wojskowej wielkiej wagi, wielokrotnie, nie zważając na zagrożenie własnego życia, wykazał się odwagą przekraczającą granice obowiązku. Jego działania okryły chwałą jego samego i Armię Stanów Zjednoczonych. MAJOR FELTER pochodzi z New Jersey.

Lowell złożył wniosek orderowy, wsadził go z powrotem do pudełka i zatrzasnął wieczko.

- No, to przynajmniej nareszcie dali ci słoneczka. Więcej zarobisz.

- Jak możesz tak mówić? - uniosła się Sharon. - Wygląda na to, że mu zazdrościsz, Craig!

- A niby czego miałby mi zazdrościć? Sharon, przyjrzyj mu się, przecież on już ma swoje.

- Ma czy nie ma, nie powinien sobie żartować z twoich odznaczeń!

- Ależ ja naprawdę jestem z niego dumny - zastrzegł się Lowell. - MacMillan powiedział mi wszystko.

- Chyba żartujesz - zaniepokoił się Felter.

Lowell, szeroko uśmiechnięty, pokręcił głową, że nie żartuje.

- Cholerny MacMillan! Powinien wiedzieć, co i komu może mówić!
- Wiesz, Sandy, on wyznaje takie dziwne przekonanie, że w tej wojnie jesteśmy po tej samej stronie.
- To nie ma z tym nic wspólnego. - Felter wzruszył ramionami.
- Zawsze możesz mu wysłać list z reprimendą.
- Craig, ty wiesz, co on robi? - zainteresowała się Sharon.
- Jasne, że wiem. Jestem w końcu majorem US Army i mówią mi o różnych sprawach.
- To mi powiedz, bo Sandy nie chce. Najpierw słyszę, że dowodzi stacją radiową na głębokim zapleczu, a zaraz potem przyjeżdża Hanrahan i mówi, że Sandy leży tutaj.
- Sharon, to było tak...
- Jasna cholera, Craig! - przerwał mu Sandy.
- Doskonale się sprawił, obniżając poziom chorób wenerycznych swoich żołnierzy.

Sharon zarumieniła się.

- Och, Craig!
- A potem zmusił wszystkich w swojej jednostce do zapłacenia datków na Czerwony Krzyż. Armia chce, żeby wszyscy żołnierze płacili na Czerwony Krzyż. I wtedy...

- Lepiej opowiedz o sobie - powiedział Sandy.
- Co z P. P.? - zapytała Sharon.
- Jest u dziadka. Właśnie wracam z Marburga. Spędziłem tam trzydzieści dni.
- I jak mu tam jest?
- Wychowuje się wśród tłumu szkopskiej arystokracji, która być może z czasem mu wybaczy, że jest na wpół Amerykaninem.

Sharon wydawała się przejęta i Lowell to zauważył.

- Zjechała się tam cała rodzina, wujkowie, ciotki, kuzyni i pociotki. Przede wszystkim kobiety. Ja sam bym się nim lepiej nie zaopiekował.
- Zastanawialiśmy się z Sandym, czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żebyśmy my go wychowywali - oznajmiła Sharon. - Wiesz, że go kochamy, Craig.
- Jezu, wiecie przecież, ile to dla mnie znaczy - odparł Craig - ale myślę, że powinno zostać tak, jak jest. Wy musicie wychowywać własne dzieci, ja jeszcze nie wiem, co będę robił, a on tam ma rodzinę. Pilnują, żeby nie zapomniał angielskiego. Myślę, że opiekują się nim najlepiej, jak potrafią.
- Rozumiem. Może kiedy powtórnie się ożenisz...
- Wydajesz się tego całkiem pewna - zażartował Craig.

- A dlaczego nie? Jesteś przecież młodszy od Sandy'ego. Jeszcze kogoś spotkasz, zobaczysz.

- Ostrzegam szanowną panią, że jeśli zaczniesz mnie pani swatać, to...

- Jakoś się nie przejmuję. A ty powinieneś się ponownie ożenić.

- Raczej nie - odparł Lowell i tym razem zabrzmiało to na tyle stanowczo, że Sharon zmieniła temat.

- Chciałabym znowu zobaczyć P. P. Masz jakieś nowe zdjęcia?

Kiedy Sharon oglądała fotografie małego w ramionach ojca,

Sandy zapytał:

- Pytałem już raz, ale nie odpowiedziałeś. Co teraz robisz?

- Z przyjemnością donoszę panu majorowi, że sprawuję się grzecznie, jak widzisz, nawet zacząłem nosić medale, i bardzo się staram wyrzucić jak najlepsze wrażenie na moich kolegach i przełożonych.

- Ale co robisz?

- Zabijam czas, który mi pozostał, zanim mnie wyrzucą. Poszedłem na kurs oficerski dla zaawansowanych.

- Myślałem, że miałeś złożyć wniosek o przyjęcie do służby zawodowej? Co jest, zmieniłeś zdanie?

- Zmieniono je za mnie. Wniosek do tej pory nie wrócił. Pewnie szukają odpowiednich argumentów, żeby go odrzucić.

- Ale dlaczego mieliby go odrzucić?

Lowell uniósł palec belferskim gestem i zacytował:

- Oficer ten wykazał się wprawdzie doskonałymi umiejętnościami dowódczymi na poziomie kompanii, jest jednak oczywiste, że czasami działa impulsywnie i nie do końca rozważa wszystkie czynniki zaistniałej sytuacji. Należy się spodziewać, że z czasem dorośnie i ustatkuje się, osiągając poziom rozwagi wymagany dla dowódców na szczeblu batalionu. W chwili obecnej niżej podpisany niestety, nie może zalecić powierzenia temu oficerowi tak odpowiedzialnego zadania.

- Uuu - skrzywił się Sandy, wyraźnie poruszony. - Kto ci to zrobił?

- To opinia służbowa, którą dostałem od Jego Ekscelencji dowódcy IX Korpusu.

- Coś ty tam narozrabiał? Czy to miało jakiś związek z tym procesem twojego kolegi?

- Nie rozmawiamy o tym.

- Co zrobiłeś? - nalegał Sandy.

- Stałem przed tym sądem i zeznałem, że owszem, jestem sobie w stanie wyobrazić sytuację, która usprawiedliwia zabicie innego oficera. Dowódca korpusu z góry oznajmił, że życzy sobie zobaczyć mojego przyjaciela w pudle. Kiedy

sąd go uniewinnił, o mało jaja nie zniósł i odpowiedzialność za to zrzucił na mnie.

- Słyszałem, że sprawa zakończyła się uniewinnieniem, ale żadnych szczegółów. I co się z nim potem stało?

- Jesteśmy razem w Knox. Kapitanowie i porucznicy, którzy prochu nie wǳchali, uczǳ nas tam z regulaminem w rękę, jak dowodzić kompaniǳ czołgów na polu walki.

- Jest to niewǳwłpliwie strata czasu, ale nie bardzo widzę, jak mógłbyś tego uniknąć.

- Ja też nie widzę - zgodził się Lowell.

- A więc wycofałeś podanie o przyjęcie do służby zawodowej? To miałeś na myśli, mówiąc o tym, że zabijasz czas, zanim cię wyrzucǳ?

- Nie. Pomyślałem, że nie mam zamiaru ułatwiać im zadania. Chcǳ mnie wyrzucić, to niech się trochę wysilǳ. Spełniam wszystkie kryteria. Nawet nie daję im szansy pozbycia się mnie jako mędrka, który się nie sprawdza w szkoleniu klasycznymi metodami. Ze wszystkich sprawdzianów dostaję równo cztery. Pojęcia nie masz, jak trudno się nagiǳ do takiego myślenia gotowymi formułkami.

- Nigdy nie miałeś kłopotów z nauką - przyznał Sandy.

- W zeszłym tygodniu rozwiązywaliśmy interesujący problem taktyczny. Coś zupełnie nowego. Wyobraź sobie taką sytuację: 8. Armia przełamuje obronę pod Pusan i wysyła przodem wzmocnionǳ kompaniǳ czołgów, żeby wprowadzić zamieszanie na tyłach nieprzyjaciela i dołǳczyć do sił X Korpusu. Naszym zadaniem było przeprowadzić konstruktywnǳ krytykę sposobu, w jaki przeprowadzono tę operację, i zaproponować poprawki. Zawsze mi się zdawało, że już za pierwszym razem wszystko poszło jak trzeba.

- Źartujesz? - uśmiecniła się Sharon. - Naprawdę nikt nie wiedział, że to byleś ty?

- Nie, mówię całkiem poważnie. Miałem wreszcie okazję pokazać, że jestem skłonny do współpracy, więc wziǳłem do ręki regulamin i przygotowałem całą listę poprawek, jeśli w polu zrealizowałbym choć jednǳ z nich, to nadal siedziałbym siedemdziesiąt kilometrów od Pusan, próbując skoordynować współdziałanie z broniami towarzyszącymi i zaopatrzeniem. - Przerwał i uśmiecnił się. - Zwłaszcza gdybym czekał na potwierdzenie danych wywiadowczych na temat atakowanych sił.

- Brzmi jak z Kafki - podsumował współczująco Sandy. - No dobrze, ale co potem?

- Na pewno mogę ci odpowiedzieć, czego nie zrobię. Nie ma mowy o tym,

żeby wrócić do banku. A poza tym nie mam zielonego pojęcia.

- Kiedy cię mają zwolnić?
- Za pięć miesięcy. A co z tobą?
- Przyjęto mnie do Akademii Wojennej.
- Myślałem, że najpierw trzeba skończyć akademię sztabową w Leavenworth?
- Sztabówkę skończyłem korespondencyjnie - wyjaśnił Sandy. - W Korei. To było równie trudne jak korespondencyjny kurs tapicerski.
- A potem co?
- Zostaję tutaj. Kupiliśmy dom w Alexandrii. Sto dorców na wejście i po stówie miesięcznie, aż umrzemy.
- I co tu będziesz robił?
- To samo co do tej pory - odparł Sandy, lekko zmieszany.

Mówiąc to, zobaczył w oczach Lowella jakiś dziwny błysk i natychmiast domyślił się, o co chodzi. Craig miał zamiar złożyć papiery do wywiadu. Zmienił temat.

Dwa miesiące później, tuż przed zwolnieniem ze szpitala do ograniczonej służby, w pokoju Sandy'ego pojawił się agent CIC, pokazał mu legitymację i oznajmił, że prowadzi wywiad środowiskowy na temat majora Craiga W. Lowella, który podał majora Feltera jako osobę mogącą mu wystawić referencje.

- Czy może pan bez oporów polecić majora na stanowisko łączące się z dużą odpowiedzialnością i zaufaniem?
 - Gdyby chodziło tylko o to, mógłbym i zrobiłbym to, ale domyślam się, że tak naprawdę chciał pan zapytać, czy major Lowell nadaje się na oficera wywiadu. I tu odpowiedź brzmi „nie”.
 - To bardzo mocne stwierdzenie, panie majorze. Na czym je pan opiera?
 - Oficer wywiadu nie może działać impulsywnie - powiedział Felter i poczuł się jak hipokryta. Przecież sam parokrotnie działał impulsywnie. - Wróć. Oficer wywiadu musi umieć powściągnąć swoją impulsywność. Major Lowell ma z tym kłopoty.
 - No, to już rozstrzygną ludzie, którzy będą rozważać jego podanie, panie majorze - odparł agent CIC. - Oni tylko chcą wiedzieć, co pan o nim sądzi jako o oficerze. O tym, czy nadaje się na oficera wywiadu, to już sami zdecydują.
 - Tak się składa, że sam zasiadam w takich radach - powiedział Felter.
- Otworzył saszetkę z zestawem do golenia i wyjął z niej swoją legitymację w

mocno podniszczonym skórzanym portfeliku. Otworzył ją i podetknął pod nos agentowi CIC.

- Przepraszam, panie majorze, nie wiedziałem o pańskim przydziale.

- Bo i po co miałby pan wiedzieć? Sporządzając notatkę, proszę zamieścić w niej wiadomość, że ujawniłem panu swój przydział służbowy oraz to, że oświadczenie o konieczności odrzucenia podania majora Lowella przyszło mi z największym trudem. To mój najlepszy przyjaciel.

Agent CIC skinął głową.

- A następnym razem, kiedy będzie pan miał dość wywiadów środowiskowych i zapragnie wreszcie zrobić coś pożytecznego w wywiadzie, proszę sobie przypomnieć naszą rozmowę. To naprawdę nie była jedyna decyzja, której podjęcia będę się wstydził przez resztę życia.

2

Fort Knox, Kentucky

17 maja 1952

Major Craig Lowell jedynie lekkim skinieniem głowy przyjął przekazaną mu przez adiutanta szkoły broni pancерnej informację, że jego podanie o przyjęcie do służby zawodowej zostało zaopiniowane pozytywnie pod warunkiem przejścia badania lekarskiego i że zostanie do niej przyjęty w stopniu porucznika ze starszeństwem od dnia 25 lipca 1950 roku. Miał ochotę dodać komentarz na temat tego, co sobie mogą zrobić ze swoją decyzją, ale w końcu dał spokój. Gdyby naprawdę chcieli go powiesić za tyłek, znaleźliby jakąś wymówkę, żeby to podanie odrzucić. A tak, niech im będzie.

Jego podanie do wywiadu nadal wisiąło w powietrzu. Sandy na pewno go poparł i powiedział komu trzeba parę dobrych słów o nim, a poza tym miał doświadczenie z Grecji. Cokolwiek z tego wyjdzie, na pewno będzie lepsze od powrotu do banku i podliczania słupków. Łudził się tą nadzieją jakiś czas, ale wreszcie przyszła odpowiedź: „Ponieważ w obecnej chwili nie ma wolnych miejsc dla oficera z pańskimi kwalifikacjami i nie przewiduje się, by były w dającej się przewidzieć przyszłości, prosimy o nie ponawianie próśb o przeniesienie do wywiadu”. Jakoś to przelknął.

Kapitan Philip Sheridan Parker IV został prymusem Wyższego Kursu Oficerskiego 52-16. Otrzymał replikę kawaleryjskiej szabli z dedykacją od komendanta, roczną bezpłatną kartę członkowską Stowarzyszenia Broni Pancерnej i przydział do Fort Devens w stanie Massachusetts jako zastępcą oficera odpowiedzialnego za

warunki socjalne kadry.

Major Craig W. Lowell, który był pięć setnych punktu za Parkerem (odpowiednio 3.93 i 3.88 na 4.0 możliwe), dostał przydział do Akademii Wojskowej Bordentown w Bordentown w New Jersey, prywatnej szkoły o profilu wojskowym, jako doradca z ramienia US Army miejscowego oddziału korpusu kadetów.

XVII

1

Nowy Jork

16 października 1952

Porter Craig, prezes i pełniący obowiązki przewodniczącego rady nadzorczej firmy Craig, Powell, Kenyon i Dawes, wrócił do biura z obiadu, którym podejmował swego kuzyna, majora Craiga W. Lowella w restauracji na 38. piętrze budynku Morgan Guaranty Trust. Usiadł na swoim czarnym obrotowym fotelu z wysokim oparciem i wyjrzał przez okno na panoramę dolnego Manhattanu i rzeki Hudson. Oparł stopy na marmurowym parapecie, łokcie na podłokietnikach fotela i siedział tak z dłońmi złożonymi jak do modlitwy. Nagle obrócił się wraz z fotelem, wcisnął guzik na blacie biurka, uruchamiając mikrofon ukryty w humidorze na cygara, i kazał sekretarce, by jak najszybciej połączyła go z senatorem.

- Panie senatorze, Porter Craig. Bardzo dziękuję, że odebrał pan mój telefon, doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jak wiele ma pan zajęć.

Senator odparł na to, że rozmowa ze starym przyjacielem zawsze jest dla niego przyjemnością, i zapytał, czym może służyć swemu ulubionemu człowiekowi na Wall Street.

- Jadłem właśnie obiad z moim kuzynem Craigiem Lowellem. W tym miejscu muszę podkreślić z całą mocą, że ten telefon to mój pomysł, a nie jego. Gdyby się o nim dowiedział, byłby wściekły, że komukolwiek przekazałem to, z czego mi się zwierzył, albo że w ogóle mieszam się w jego sprawy.

- Skądś sobie przypominam to nazwisko - odparł senator. - Czy to nie ten młody człowiek, który był w wojsku kilka lat temu, w Grecji? Zdaje się, że był ranny i został bohaterem?

- Właśnie o niego chodzi.
 - Pański dziadek kazał mi się wtedy dowiedzieć o stan jego zdrowia. Z chęcią spełniłem jego prośbę. No więc, co z nim?
 - Ma zamiar złożyć podanie o zwolnienie z wojska. Oczywiście nic by mnie bardziej nie ucieszyło niż jego powrót do firmy, jest absolwentem Whartona i ma głowę do interesów. W ogóle nie wiem, co mu strzeliło do głowy, żeby się zgłosić na zawodowego.
 - Ale zrobił to - senator zaczynał się już domyślać celu tej rozmowy.
 - I poszło mu znakomicie, muszę mu to przyznać. Jest już majorem, co w jego wieku jest podobno niezwykle dużym osiągnięciem.
 - Co pan powie? W tej Grecji był właściwie jeszcze chłopcem.
 - Nadal nim jest, panie senatorze. Ma dwadzieścia pięć lat.
 - Nadzwyczajne - przyznał senator.
 - Właśnie wrócił z Korei. Wygląda jak młody Patton, obwieszony orderami jak choinka. Baretki już mu się prawie nie mieszczą na piersi.
 - No to rzeczywiście. - Senator zaczynał się powoli niecierpliwić.
 - I chyba właśnie to zdenerwowało mnie na tyle, żeby zadzwonić do pana. Wydaje mi się, że po tym wszystkim, czego dokonał, należy mu się coś więcej.
 - Tak?
 - Powiedział mi, że ma zamiar wystąpić z wojska.
 - A powiedział też dlaczego? Ktoś z takimi dokonaniem powinien mieć szeroko otwarte drzwi do dalszej kariery.
 - Podejrzewam, że osiągnął to wszystko trochę za szybko jak na gust swoich dowódców. Podejrzewam także, że chodzi tu o zwykłą zazdrość.
 - To można zrozumieć - odparł senator. - Zdziwiłbym się, gdyby tak nie było. Ale chyba może się wznieść ponad to?
 - Powodem do złożenia wniosku jest fakt, że zamknięto mu drogę do jakiegokolwiek znaczącego awansu.
 - Dlaczego tak uważa?
 - Z powodu przydziału, jaki obecnie otrzymał.
 - To znaczy?
- Porter Craig nie przywykł, by go naciskano. Sam przechodził do sedna sprawy, gdy uznał, że przyszła na to pora.
- Zresztą podobnie potraktowano nie tylko Craiga. Ostatnio skończył wyższy kurs oficerów broni pancernej w Fort Knox z drugą lokatą. Prymus dostał przydział, nie wiem, czy pan senator uwierzy, na oficera socjalnego w Massachusetts. Craig, który był drugi, został wysłany do Akademii Wojskowej w Bordentown

i dowodzi obecnie sierżantem, który musztruje nastolatki.

- Hmm, rzeczywiście nie wygląda to na odpowiedni przydział dla obiecującego młodego majora, prawda? To raczej niezbyt rozsądny sposób wydawania pieniędzy podatników.

- Właśnie dlatego pozwoliłem sobie do pana zadzwonić, panie senatorze. Nie proszę o specjalne traktowanie, a już on z pewnością nie prosiłby o to dla siebie. Bo chyba nie nazwie pan powiadomienia o tak rażącej rozrzutności w wydatkowaniu pieniędzy podatników prośbą o specjalne traktowanie krewnego, prawda?

Zwłaszcza kiedy przy okazji można owego krewnego zatrzymać w wojsku i powstrzymać od ubiegania się o należną mu połowę spadku, dodał w myśli senator.

- Zna pan może numer tego kursu w Knox, którego czołowych absolwentów potraktowano w równie niesprawiedliwy sposób?

- Niestety, nie, panie senatorze.

- No cóż, tego się na pewno dowiemy. Zajmę się tą sprawą, Porter, i zadzwonię do ciebie. Doskonale rozumiem motywy twojego postępowania. Tych wojskowych czasem trzeba postawić na baczność.

- Jak mówiłem, nie chcę specjalnego traktowania dla mojego kuzyna - powtórzył Porter, co zdenerwowało senatora.

- Ale jeśli uda się go w ten sposób zatrzymać w wojsku, to nie będziesz miał nic przeciwko, tak?

Z drugiej strony zapadła długa chwila ciszy.

- To było dość adekwatne podsumowanie sprawy, panie senatorze - powiedział wreszcie Porter.

- Dowiem się, co mogę dla ciebie zrobić, Porter, przy użyciu moich bardzo ograniczonych wpływów w Pentagonie. Na razie jednak postaraj się go powstrzymać od wysłania tego podania o zwolnienie.

2

Waszyngton

19 października 1952

Senator spotkał zastępcę szefa sztabu Armii Stanów Zjednoczonych w Restauracji Zachodniej na koktajlu po obiedzie, wydawanym przez Fundację Amerykańskiego Sprzętu Rolniczego na cześć młodszego senatora z Iowa.

- Niech pan mi powie, panie generale - zaczął senator, kordialnie obejmując generała ramieniem - jak działa wasz nowy system personalny? Udaje wam się

znajdować okrągłe dziurki dla okrągłych kołków, czy nadal robicie piekarzy z wytwórców świec i vice versa? Generał natychmiast domyślił się, że to pytanie nie było jedynie akademickiej natury.

- O ile mi wiadomo, panie senatorze, funkcjonuje doskonale.
- A więc właściwi oficerowie trafiają we właściwe miejsca, czy tak?
- Staramy się, jak możemy, panie senatorze.
- I jak często wam się udaje?
- Powiedziałbym, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach.
- Co pan powie, panie generale?
- Ma pan na myśli jakiś konkretny przypadek, panie senatorze?
- Prawdę mówiąc, zastanawiałem się nad waszym systemem nauczania.
- Co zwróciło pańską uwagę?
- Zastanawiałem się, czy naprawdę wart jest tych wszystkich pieniędzy, które na niego wyciągamy z kieszeni podatników.

- No cóż, jeśli dostajemy ludzi, którzy nie umieją prowadzić ciężarówek, a potrzeba nam kierowców, to nie ma innego sposobu, jak tylko nauczyć ich nimi jeździć, a to kosztuje.

- Myślałem raczej o szkołach oficerskich.
- Na jakim poziomie?
- Wyższych kursów oficerskich. Czy one są naprawdę niezbędne?
- Absolutnie, panie senatorze.
- I po ich ukończeniu możecie skierować absolwentów tam, gdzie mogą wdrażać to, czego się na nich nauczyli?
- Możemy i tak właśnie robimy, panie senatorze.
- Chyba nie mówi pan poważnie?
- Jak najpoważniej.
- Czyli po rozdaniu dyplomów okrągły kołek prosto do okrągłej dziurki, tak? Jeżeli to oczywiście okrągły kołek?

- O ile mi wiadomo, tak właśnie jest, panie senatorze - oświadczył generał, zastanawiając się, o co temu staruchowi, do cholery, chodzi.

- Gdybyśmy grali w pokera, panie generale, a pańska wiedza na temat dalszych losów absolwentów tych kursów była kartami, postawiłby pan coś na to, co trzyma w ręku? Czy raczej wolałby pan poczekać na lepsze karty?

- Mam w ręku wszystko, czego mógłbym wymagać, panie senatorze, dziękuję.

- W takim razie sprawdzam. Synu - zwrócił się do siwowłosego pułkownika, adiutanta generała - wyjmij no swój notes, proszę.

- Chyba nie słyszałem wysokości stawki - powiedział generał, pokrywając zdenerwowanie uśmiechem.

- Mówi pan, że przydziela oficerów na stanowiska odpowiadające ich kwalifikacjom, zgodnie z ich aktami, i rozważnie obraca pieniędzmi podatników, które na to idą. A ja mówię, że nie.

- Ale jaka jest stawka?

- O, to tylko taka przyjacielska gra na punkty. Powiedzmy, że weźmiemy coś zupełnie z powietrza, na przykład sprawdźmy, co się stało z zajmującymi pierwsze dwie lokaty ostatniego wyższego kursu oficerskiego w Fort Knox. To był kurs numer bodajże 52-16. Zapisz to sobie, synu, żebyśmy obaj zapamiętali. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, kim są ci dwaj oficerowie, jak wyglądała ich dotychczasowa kariera i gdzie ich przydzielono po zakończeniu nauki. A przede wszystkim dlaczego.

- Zapisaleś, Dick? - zapytał adiutanta generała.

- Tak jest, sir.

- A odpowiedź poproszę w formie pisemnej, panie generale. Wyśmienicie posługuje się pan językiem. Tak dobrze, że zawsze mam wrażenie, że powiedział pan coś, czego w pańskiej wypowiedzi nie było. Tym razem wolę się zabezpieczyć.

3

Fort Devens, Massachusetts

25 października 1952

Poza wieloma innymi obowiązkami do kompetencji zastępcy oficera socjalnego bazy Fort Devens należała także funkcja zastępcy kierownika klubu oficerskiego. Kierownik, major służby samochodowej, potrafił nakryć do stołu, ale nie miał pojęcia o księgach. Ich prowadzenie spadło więc na jego zastępcę, czarnucha, któremu jakimś cudem udało się zostać prymusem wyższego kursu w Knox.

Kiedy cztery telefony w regularnych odstępach czterdziestu pięciu sekund nie zdołały zastać kapitana Philipa Sheridana Parkera IV w kwaterze, rozmówca, trochę zakłopotany, że nie pomyślał o tym wcześniej, poprosił telefonistkę z międzymiastowej, by spróbowała go złapać w klubie oficerskim.

Po chwili w słuchawce rozległy się przytłumione odgłosy sali barowej.

- Kasyno oficerskie, bar główny, sierżant Feeney, słucham.

- Międzymiastowa do kapitana P. S. Parkera - powiedziała telefonistka.

- Zaraz sprawdzę, czy tu jest.

- Poszukajcie go, sierżancie - odezwał się w słuchawce stanowczy, nawykły do wydawania rozkazów głos.

- Przepraszam? - Sierżant nie nawykł do takiego tonu u kogoś, kto dzwonił spoza jednostki.

- Powiedziałem, niech go pan poszuka, sierżancie.

- Mogę zapytać, kto mówi?

- Pułkownik Philip Sheridan Parker.

W słuchawce zapadła cisza, a po długiej chwili rozległ się dźwięk podnoszonej drugiej słuchawki.

- Kapitan Parker, słucham.

- Może się pan rozłączyć, sierżancie - powiedział pułkownik Parker.

Pogłos sali barowej zniknął wraz z kuknięciem w słuchawce.

- Hej, tato, jak się masz? Coś się stało? - w głosie kapitana Parkera słychać było niepokój.

- Nic złego się nie stało. Czy ten telefon jest w miarę bezpieczny?

- Chyba już nikt inny nie słucha, jeśli o to ci chodzi. Tato, wydajesz się zmartwiony, coś się stało?

- Rozważałeś złożenie podania o zwolnienie ze służby?

Phil zawahał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Myślałem o tym, ale jeszcze nic nie zrobiłem w tym kierunku.

- Cieszę się bardzo.

Phil nie odpowiedział.

- Piłeś?

- Nie, chociaż rzeczywiście miałem ochotę się napić. - Nagłe zrozumiał istotę pytania ojca. - A, nie, nic z tych rzeczy. Wśród przeróżnych innych obowiązków zostałem zastępcą kierownika klubu oficerskiego. Siedziałem nad księgami.

- Proszę cię, żebyś myślał o podejmowaniu jakichkolwiek kroków w celu złożenia rezygnacji odłożył na jakiś czas.

- Tato, nie mam zamiaru całego życia spędzić na kłótniach z żonami kadry o tłuste plamy na ścianach kuchni albo liczeniu butelek whisky na półkach baru. Mój kolega z klasy prowadzi firmę armatorską w Bostonie. Proponuje mi mnóstwo pieniędzy i szansę na kilka lat pracy w Afryce.

- Jesteś żołnierzem.

- Zaczynam mieć co do tego poważne wątpliwości.

- Dziś po południu dostałem telefon od oficera, z którym służyłem w Europie.

Nie wolno mi podać ci jego nazwiska.

- I?

- Mój przyjaciel służy nadal i z tego, co mówił, wnoszę, że twoja sytuacja nie jest tak beznadziejna, jak ci wydaje.

- Aha, oficerowie kasynowi są bardzo potrzebni?

- W niedługim czasie zdarzą się dwie rzeczy. W ciągu dwóch tygodni zostaniesz przeniesiony z Fort Devens.

- Naprawdę? A dokąd?

- Tego mi nie powiedział. Wiem tylko, że otrzymasz wraz z przeniesieniem szansę na wyprostowanie swojej kariery.

Phil Parker nie odpowiedział.

- Nie mam zamiaru znów cię zanudzać ponurymi opowieściami o tym, jakie sam otrzymywałem nieprzyjemne przydziały. Jesteś dorosły, sam podejmujesz decyzje dotyczące własnego życia. Apeluję jednak, żebyś na razie odłożył cokolwiek, co miałeś zamiar robić, choćby na trzy miesiące.

- I nie powiesz mi, kto to był?

- Nie powiem nic więcej ponad to, że jest generałem, dla którego mam wielkie poważanie i z którym łączą mnie szczególne stosunki, jeśli to cokolwiek dla ciebie znaczy.

- Jednego tylko nie wiem, tato, skąd on wiedział o tym, że zamierzam pisać o zwolnienie? Nikomu nawet o tym nie napomknąłem.

- Znamy się od bardzo dawna, Phil. Mnie też kiedyś namówił, żebym nie pisał.

- Dobrze, tato. Zaczekam z tym podaniem jeszcze chwilę.

- Twoja matka prosiła, żeby ci przekazać, że ta młoda dama na zdjęciu jest całkiem ładna

- A co ty myślisz?

- Zastanawiałem się, czy to, że wysłałeś nam tę fotografię, miało coś oznaczać.

- To naprawdę wyjątkowa dziewczyna. Poznałem ją na tańcach.

- Kto cię przedstawił?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - zaśmiał się Phil. - No cóż, po prostu podszedłem, dałem jej wizytówkę i powiedziałem, że do niej zadzwonię. Jej chłopakowi niezbyt się to podobało. Na szczęście nie był na tyle duży, żeby ryzykować jakąś gwałtowną reakcję.

- *Laudace, laudace, toujours laudace** - skomentował pułkownik Parker ze śmiechem.

- Jest patologiem. Co wy na to?

- Lekarką?

- W Harvard Medical School. - Pułkownik wychwycił ton dumy w jego głosie.

* *Uaudace, l'audace, toujours l'audace* (franc.) - Śmiałość, śmiałość i jeszcze raz śmiałość (przyp. red.).

- Jestem pod wrażeniem - odparł. - A jak ci się wydaje, jak ona przyjmie rolę żony oficera?
- Bo jest lekarką?
- Bo jest Murzynką.
- Dzisiaj się mówi „czarnoskórą”, tato.
- Ale zastanawiałeś się nad tym, prawda?
- Tak - z Phila jakby trochę uszło powietrze. - Jej rodzice niezbyt cenią żołnierzy.
- Małżeństwo to jedyny wyjątek od reguły, że jakiegokolwiek działania są lepsze od braku działania - pouczył pułkownik Parker.
- Dam wam znać, co z tego wyszło.
- Philip, cokolwiek masz zamiar zrobić, nie rób tego pochopnie.

4

Bordentown, New Jersey

23 października 1952

Akademia Wojskowa w Bordentown szczyliła się poziomem usług medycznych, które świadczyła swoim kadetom. Personel medyczny składał się z zatrudnionego na pełen (majorski) etat lekarza i czterech pielęgniarek, jednej w stopniu kapitana i trzech w stopniach poruczników.

Ponieważ akurat żaden z kadetów nie chorował obłożnie, porucznik Evelyn Wood nie musiała przebywać w ośmiołóżkowej izbie chorych, wystarczyło, by przebywała na terenie uczelni w regulaminowym białym stroju i powiadomiła oficera dyżurnego szkoły o swoim miejscu pobytu na wypadek nagłej potrzeby.

Jej śnieżnobiały mundur leżał w tej chwili złożony na czepku z czerwoną lamówką, a na wierzchu leżała bielizna. Wszystko to leżało zaś na tapicerowanym fotelu w jednym z pokoiów należących do kadry. Konkretnie w pokoju numer dwa.

W chwili, gdy zadzwonił telefon, siostra Wood leżała nago na brzuchu pomiędzy nogami równie nagiego majora Craiga W. Lowella, który jako oficer dyżurny spełniał w ten sposób obowiązek zapoznania się z aktualnym miejscem pobytu siostry dyżurnej. W razie potrzeby mógł ją zlokalizować bezzwłocznie i nawet bez potrzeby używania telefonu.

Kiedy rozległ się dzwonek, sięgnął w dół i delikatnie, lecz stanowczo odsunął usta siostry Wood od części ciała, którą się aktualnie zajmowała, po czym tą samą ręką sięgnął po słuchawkę.

- Oficer dyżurny, major Lowell, słucham.

Rozumiała jego troskę, ale naprawdę nie miała zamiaru go ugryźć. A poza tym, mógłby chociaż powiedzieć „przepraszam”,

Evelyn Wood poznała majora Lowella w dniu, w którym zameldowała się z tygodniowym opóźnieniem do służby w Akademii na jesienny semestr. Raczej nie mogła być dumna ze sposobu, w jaki doprowadziła do dzisiejszego spotkania, ale z drugiej strony, w tej okolicy naprawdę nie było zbyt wielu przystojnych kawalerów, których byłoby stać na rozbijanie się po okolicy czerwonym kabrioletem, w dodatku lincolnem continentalem. Sytuacja wymagała więc drastycznych środków.

Na początku w dodatku w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Miała nadzieję, że będzie miała szansę spotkać go gdzieś w sprzyjających warunkach, w kinie lub na tańcach, ale widywała go tylko w kwaterach kadry, a i wtedy traktował ją jak powietrze.

Weekendy spędzał poza terenem szkoły - znikał w piątek, najwcześniej jak tylko mógł, i wracał w niedzielę późnym wieczorem.

Pozostało więc tylko zacząć się w izbie chorych na niego, kiedy będzie miał służbę. Regulamin wymagał, żeby oficer dyżurny dwa razy w ciągu nocy sprawdził, czy wszystko w porządku. Powiedziała mu wtedy, że skoro i tak będzie całą noc na nogach, to może kiedy skończy obchód o północy, zajrzyłby do niej na kawę.

Nie przyszedł. Zamiast tego zadzwonił i powiedział, że czeka u siebie, chyba że naprawdę chodzi jej tylko o kawę.

To było naprawdę upokarzające, tak iść korytarzem w szlafroku i przed samą sobą się przyznać, że chodziło jej tylko o faceta do łóżka, a nie o zawarcie przyjaźni, która być może kiedyś zaowocowałaby zalotami i romanssem. Naprawdę miała ochotę posłać go do diabła.

Zamiast tego jednak poszła do niego i nie minęło nawet dziesięć minut od jego telefonu, kiedy wylądowali w łóżku. W końcu doszła do wniosku, że nawet lepiej, iż tak się stało. Było coś cholernie podniecającego w tym, żeby tak po prostu odłożyć na bok pruderię i udawanie. Kiedy się podnieciła, wszystko im wychodziło, i robił wszystko, czego zażądała.

Dowiedziała się, że jest wdowcem z małym synkiem, i myśl o tym, że może nagle wejść do istniejącej już rodziny, trochę ją przeraziła. To trwało do chwili, kiedy z zakłopotaniem uzmysłowiła sobie, że przecież on nawet słowem nie napomknął o niczym, co by sugerowało jakiegokolwiek utrwalanie ich związku.

Zabierał ją czasem w ciągu tygodnia, kiedy miała dwa wolne wieczory, do Trenton, a raz nawet do Filadelfii. Zapraszał ją do naprawdę dobrych restauracji i hoteli, jakby pieniądze w ogóle się dla niego nie liczyły. Szkoda, że nie była w

stopniu kapitana i nie miała wolnych weekendów, ale nic na to nie mogła poradzić. Wcale też się nie spodziewała, że dla niej zrezygnuje ze swoich wyjazdów i będzie siedział na terenie uczelni. No i nie siedział, tylko wyjeżdżał do Nowego Jorku czy gdzie tam jeździł.

Mogła tylko mieć nadzieję, że ich związek będzie kwitł i w końcu wyda jakieś owoce. Zauważyła, że ją polubił.

- To ty, Craig? - zapytał jakiś kobiecy głos. Głos był znajomy, ale nie potrafił go połączyć z twarzą.

- A kto pyta?

- Jestem załamana, że mnie nie pamiętasz. Barbara Bellmon.

- O niech mnie szlag!

- I to zapewne niedługo, biorąc pod uwagę stan twojej sklerozy. Co robisz? Masz czas pogadać?

- Jasne. O co chodzi?

- Właściwie to Bob chciał z tobą porozmawiać.

- Jak się masz, Lowell? - usłyszał po chwili Bellmona. Wcale nie było trudno poznać, że pułkownik ani trochę nie pałał chęcią usłyszenia Craiga.

- Nieźle, całkiem nieźle. Czy mogę ci pogratulować? Widziałem w „Army-Navy Journal”, że wreszcie ktoś pomyślał o przyznaniu ci kurczaków.

- Dziękuję, to bardzo miło z twojej strony - odparł sztywno Bellmon.

- Czym mogę służyć? - pytał dalej Lowell, delektując się zmieszaniem i męczarniami rozmówcy.

- Prawdę mówiąc, twoje nazwisko padło dziś przy obiedzie.

- Tak? Wcale mnie uszy nie piekły.

- W opinii oficera, z którym go jadłem...

- A któż to taki?

- Nie wolno mi powiedzieć. Wysoki oficer, który skądś wiedział o tym, że się znamy.

- I cóż ów anonimowy wyższy oficer miał do powiedzenia na mój temat?

- Uważa, że mogło dojść do pewnej przesadnej reakcji na tę sprawę pomiędzy tobą i tą gwiazdą filmową.

- Mowa o mojej opinii służbowej?

- Tak, oczywiście.

- Ta opinia nie była wynikiem sprawy z gwiazdą, tylko mojego wystąpienia przed sądem polowym w obronie Phila Parkera.

- Ja słyszałem co innego.

- Nie, Bob, naprawdę o to chodziło.

- Twój przypadek, jak zapewne oczekiwałeś, został przedstawiony bardzo

wysokiemu oficerowi przez jednego z twoich przyjaciół z wysokich kręgów politycznych.

- No, teraz już w ogóle nie wiem, o czym mówisz.

- Czyli zaprzeczasz?

- Tak, zaprzeczam. Myślałem o tym, żeby omówić sprawę z pewnym senatorem, który siedzi u mojego kuzyna w kieszeni, ale chciałem od niego tylko wydębic zwolnienie i w dodatku nawet z nim do tej pory nie rozmawiałem na ten temat.

I wtedy pomyślał o Porterze.

- Czekaj, chyba już wiem. To mi pachnie metodami mojego kuzyna. Może to on narobił tego smrodu? Ja na pewno nie, możesz mi wierzyć.

Bellmon odezwał się dopiero po chwili.

- Tak czy inaczej, senator zaniósł twoją sprawę przed bardzo wysokiego oficera.

- To z tym oficerem jadłeś obiad?

- To był zaledwie jego adiutant. Tak wysokie progi to jeszcze nie na moje nogi.

- I?

- I, jak mówię, panuje przeświadczenie, że w Korei trochę przesadzono z reakcją na to, co ci się przydarzyło.

- Czy mógłbyś wreszcie przejść do rzeczy?

- Wkrótce dostaniesz przeniesienie do Sili. Na stanowisko, na którym będziesz mógł zrobić lepszy użytek ze swoich zdolności, kwalifikacji i doświadczenia.

Teraz Lowell milczał przez chwilę, zanim się znowu odezwał.

- A co z Philem?

- Jedzie do Sili razem z tobą.

- Cnota sama jest sobie nagrodą. Dzięki, że do mnie zadzwoniłeś. Naprawdę to doceniam.

- To nie był mój pomysł. Zasugerowano mi, że skoro tacy z nas starzy kumple, to może bym do ciebie zadzwonił.

- Co jeszcze mam zrobić, Bob, żeby wkraść się w twoje łaski? - zdenerwował się Lowell. - Chcesz, żebym zdobył pieprzony Medal Honorowy Kongresu, czy co? Ta koreańska historia miała dwie strony, niezależnie od tego, czy w to wierzysz czy nie!

- Obaj się uspokójcie - usłyszał głos Barbary. - Craig, Bob odkąd tylko przyszedł, powtarza, że obeszli się z tobą w tej Korei po macoszemu, naprawdę.

- Przepraszam, Lowell - zabrzmiało to raczej w wymuszony sposób.

- Przepraszam, Craig - poprawiła z naciskiem na imię Barbara.

- Przepraszam, Craig - posłusznie powtórzył Bellmon.
- Za co? Nie masz mnie za co przepraszać, Bob. Wiem, że gram ci na nerwach, nic nie mogę na to poradzić.
- Nie ty jeden, Craig - odpowiedziała Barbara. - Tata też mu grał na nerwach. Znalazłeś się w doskonałym towarzystwie.
- Co prawda, to prawda - przyznał pułkownik Bellmon. - Ty i generał Waterford naprawdę jesteście ulepieni z jednej gliny, Lowell.
- Craig - poprawiła Barbara.
- Do cholery, jestem pełnym pułkownikiem, a on dopiero zakichanym majorem, więc mam prawo do niego mówić, jak mi się podoba!

Wszyscy się roześmiali. Potem rozmawiali o P. P. i Lowell obiecał, że po drodze do Sili wpadnie na Farmę. Wreszcie skończyli i odłożył słuchawkę.

Przewrócił się z powrotem na plecy.

- O co chodziło? - zapytała siostra Wood, głaszcząc go.
- Niedługo wyrwę się z tej dziury.
- Wyjeżdżasz stąd?
- Zgadza się.
- Dokąd?
- Fort Sili, Oklahoma - odpowiedział uśmiechnięty. - Zaraz, na czym to stanęliśmy?

Jasna cholera, pomyślała. Powinnam była wiedzieć, że to się tak skończy.

XVIII

1

Szkoła Artylerii

Fort Sili, Oklahoma

1 stycznia 1953

Rodowód Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych wywodzi się z sekcji lotniczej Korpusu Łączności, stworzonej na krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Lotnictwo Armii Stanów Zjednoczonych natomiast ma rodowód znacznie starszy, bo jego zaczątkiem były działające w czasie wojny secesyjnej oddziały balonowe, stworzone przez Thaddeusa Lowe'a. Z tych balonów obserwatorzy korygowali ogień artylerii Unii, skierowany na oddziały konfederackiej

Armii Północnej Wirginii, która atakowała Waszyngton.

Większość samolotów lotnictwa US Army (w odróżnieniu od Sił Powietrznych US Army działających w czasie II wojny światowej) stanowiły lekkie samoloty Piper L-2 Cub i Stinson L-5, które zajmowały się tym samym co balony Lowea - korygowaniem ognia artylerii.

Skoro tak, to naturalnym było, że to właśnie artyleria wzięła na siebie zadanie szkolenia pilotów dla lotnictwa US Army. Wraz z pilotami i obserwatorami na olbrzymich terenach poligonu w Fort Sili ćwiczyli także artylerzyści, których ogniem kierowali szkoleni obserwatorzy.

Większość artylerii jednostek pancernych i w ogóle artylerii polowej US Army była już w owym czasie nie tylko zmechanizowana, ale wręcz samobieżna - to znaczy, że działa zamontowane były na podwoziach gąsienicowych. Major Lowell wcale nie uważał swego przydziału na szefa działu operacyjnego i szkolenia dowództwa szkoły artylerii w Fort Sili za jakiś ewenement. Miał do niego jak najbardziej prawo. Miał doświadczenie jako oficer operacyjny wojsk pancernych. Gąsienice są takie same, czy jedzie na nich czołg, czy armata samobieżna. Tak samo trzeba ustalać plany szkolenia obsługi, tak samo się ich dogląda i ustala grafiki remontów.

Także Phila Parkera obecność w tym miejscu nie zaskakiwała. To był naprawdę przyjemny zbieg okoliczności, że Parker trafił tutaj po, jak to ujął Lowell, „zwolnieniu warunkowym” z dotychczasowego przydziału jako oficer socjalny. On także zresztą był tu na swoim miejscu. Tym razem pełnił funkcję dowódcy parku sprzętu gąsienicowego w katedrze artylerii samobieżnej szkoły artylerii. Jego zadaniem było dopilnowanie, żeby do dyspozycji było zawsze tyle sprzętu, ile było niezbędne do wykonania planu szkolenia bojowego, ustalonego przez szefa działu operacyjnego, czyli Lowella.

Nie były to wprawdzie czołgi, ale artyleria samobieżna plasowała się tuż za nimi. Szkoda, że warunki były nie najlepsze. Kwatery oficerskie okazały się prymitywne i w dodatku wystawione na wiatr, który nawiewał niezliczonymi szparami wszechobecny w Sili piasek. Regulamin nie pozwalał samotnym oficerom mieszkać poza bazą - ten przywilej zarezerwowano dla żonatych, dla których nie było kwater na terenie bazy.

To znaczy, żaden przepis nie zabraniał kawalerom się wyprowadzić, tyle tylko że nie dostawali dodatku mieszkaniowego, jako że w bazie były dla nich kwatery.

Lowell już trzeciego dnia w Sili, po rozpoznaniu dostępnych w okolicy hoteli i domów do wynajęcia i po przekonaniu się, że są równie beznadziejne jak kwatery w bazie, wstrząsnął sprzedawcą w Lawton Realty, wpłacając od ręki zaliczkę w wysokości pięciu tysięcy dolarów, na wystawiony na sprzedaż domek na osiedlu Holly Crest w Lawton Heights. Cena domy wynosiła 26,5 tysiąca dolarów, a wpłata była na tyle wysoka, że miejscowa filia First National Bank od ręki udzieliła pod jego zastaw kredytu hipotecznego na resztę. Wkrótce major zaskoczył go ponownie, wręczając kolejny czek jako należność za meble i sprzęt gospodarstwa domowego wypożyczone z Oklahoma Home Furnishings.

Teraz pozostało mu tylko odwiedzić miejscowy dom towarowy i zaopatrzyć się w zapas prześcieradeł, ręczników i podobnych artykułów, a potem wypełnić lodówkę jedzeniem.

Nowa siedziba majora Lowella wzbudziła zdziwienie sąsiadów, kiedy najpierw się okazało, że nie ma żadnej pani domu, a potem do majora wprowadził się potężnej postury czarny kapitan.

Na pedałów nie wyglądali, ale kto tam wie, w dzisiejszych czasach?

Różne rzeczy mówiono w sąsiedztwie do piątku, kiedy przed dom majora zajęła elegancko ubrana, wysoka, urodziwa Murzynka. Wysiadła z taksówki i uśmiechnęła się szeroko na widok wiszącej na drzwiach wielkiej podkowy wypełnionej kwiatami i przepasanej szarfą ze złotym napisem WITAJ NA DZIKIM ZACHODZIE, ANTOINETTE. Klucz dostała od Phila pocztą, bo z uwagi na zajęcia w bazie nie mógł jej odebrać z lotniska.

Antoinette, wbrew oporom rodziców, którzy uważali, że nie uchodzi, żeby porządna dziewczyna leciała tysiące kilometrów od domu po to, żeby spędzić weekend z żołnierzem, została stałym gościem domu przy Bubbling Creek Lane 2340. Była tam właśnie, kiedy w noworoczne popołudnie zadzwonił telefon. Była tam też Harriet Albright, asystentka wiceprezesa miejscowej filii First National Bank. Harriet, rudowłosa rozwódka, z niecierpliwością oczekiwała obiecanej przez majora Lowella okazji do „zwęglenia kilku steków” w jego domu. Po dyskretnym zasięgnięciu wiadomości na temat majora, kiedy okazało się, że jego zdolność kredytowa nie budzi najmniejszych zastrzeżeń, nie miała nawet nic przeciwko temu, kiedy się dowiedziała, że major mieszka z kolorowym kolegą i że gościem będzie również narzeczona tego kolegi, także kolorowa.

Harriet nigdy nie miała przesądów rasowych, a poza tym w promieniu kilkuset kilometrów nie było w okolicy kawalera, o którym sam dyrektor nowojorskiej

centrali banku, udzielając mu referencji jako klientowi, mówilby per „bardzo bogaty”.

Craig był w kuchni z Antoinette, której frytek po alzacku właśnie kosztował, kiedy prosto w ucho zadzwonił mu telefon wiszący na wytapetowanej na bledożółty kolor ścianie.

Był już po czterech martini i czuł się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatniego roku.

- Słucham - rzucił w słuchawkę, biorąc z półmiska kolejną frytkę.
 - Z majorem Lowellem proszę - odezwał się jakiś wyraźnie wojskowy głos.
 - A z jakim numerem chciał się pan połączyć? - Lowell nie miał ochoty wracać do bazy w wolny dzień, tylko po to, żeby teraz robić to, co mógłby równie dobrze zrobić jutro rano.
 - Z tym, który dostałem z informacji - rozmówca nie chciał się dać zbić z tropu i dojść do wniosku, że to pomyłka. - To pan, Lowell?
 - Tak jest, sir - na wszelki wypadek odpowiedział Lowell.
 - Nazywam się Roberts. Mamy wspólnego znajomego, Boba Bellmona.
 - Rozumiem, sir.
 - Szukam pana i kapitana Parkera już od czwartku. Kapitan Parker jest tam z panem, jak sądzę?
 - Tak jest.
 - Chciałbym pana odwiedzić z małżonką, panie majorze - powiedział Roberts, ale z tonu głosu wynikało jasno, że o cokolwiek chodzi, nie jest to sprawa natury towarzyskiej. - Czy moglibyśmy wpaść za godzinę?
 - A czy mógłby pan mi podać choćby w zarysie, o co chodzi, panie... pułkowniku?
 - Podpułkowniku. Jestem dowódcą lotnictwa US Army w bazie.
 - Jesteśmy właśnie w połowie... to znaczy mieliśmy właśnie jeść kolację, sir.
 - W porządku, a więc za półtorej godziny - postanowił rozmówca. - Bubbling Creek Lane 2340, czy tak?
 - To ten dom z tabliczką SPRZEDANE przybitą do większej tablicy z napisem UMEBLOWANY MODEL.
 - Właściwie dlaczego jeszcze nie zdjęliście tej tablicy? - spytała Antoinette z uśmiechem
 - Zwykły numer ulicy wysiada przy niej w przedbiegach, nieprawdaż?
- Antoinette roześmiała się.
- Ile razy przychodzi mi ochota wyciągnąć was z wojska i zmusić, żebyście

dorośli, widzę tę koszmarną tablicę i przypominam sobie, że mam do czynienia z dwoma obibokami bez oglądy. To chyba lepiej, że moi rodzice nie mieli okazji was poznać.

- Dowiedz się, że Kongres ogłosił wszem i wobec, że jesteśmy dżentelmenami - odparł na to Lowell i klepnąwszy ją w tyłek, podszedł do Phila, który mieszał następną porcję martini, by powiedzieć mu, co się szykuje.

Godzinę i kwadrans po telefonie pułkownik i jego żona wysiedli ze swojego mercury'ego coupe i podeszli do drzwi domu przy Bubbling Creek Lane 2340. Pułkownik wcisnął guzik dzwonka i rozległy się pierwsze tony piosenki Chatka ciasna, ale własna. Pani Roberts zachichotała.

Drzwi otworzył Lowell, ubrany w koszulkę polo i stare spodnie.

- Pułkownik Roberts, jak mniemam? - odezwał się do gościa.

- Bardzo mi się podoba wasz gong - powiedziała pani Roberts z szerokim uśmiechem na twarzy.

- O, proszę zaczekać, aż będzie pani miała szansę ujrzeć tapetę w ubikacji na dole - odparł Lowell. - Przedstawia ona artystyczną wizję słynnego belgijskiego posążku chłopca, który robi, no, sama pani wie co.

- Fantastyczne!

Uśmiechnęli się do siebie.

- Proszę, niech państwo wejdą.

Roberts bez słowa uściśnął podaną dłoń i goście weszli do środka. Kapitan Philip Sheridan Parker IV i Antoinette Ferguson wstali z kanapy, by się przywitać.

- Boże, Phil, aleś ty wyrósł. - Pani Roberts była wyraźnie zaskoczona na widok kapitana Parkera.

- Przepraszam, ale nie...

- Bill zabrał mnie na swoją misję kaperowniczą jako dowód na to, że przynajmniej ożenił się z kimś, kogo od biedy można uznać za przyjaciela - wyjaśniła. - Poznałam cię w Riley, to było jeszcze przed wojną. Nasi rodzice do dziś wymieniają kartki na święta. Nazywam się, to znaczy wtedy się nazywałam, Jeanne Whitman.

- Oczywiście! - Twarz Phila rozjaśnił uśmiech. - Co słytać u ojca?

- Wszystko w porządku. A u twojego? Moi starzy mieszkają teraz w Carmel.

- Moi wciąż tuż za bramą Riley. - Obrócił się do Antoinette. - Pani Roberts, chciałbym pani przedstawić doktor Antoinette Ferguson i panią Albright.

- Doktor medycyny czy nauk humanistycznych? - zainteresowała się pani Roberts.

- Jestem anatomopatologiem.

- A Harriet jest bankowcem - włączył się Lowell. - Proszę to koniecznie uwzględnić, kiedy będzie pani pisać do jego matki.

- No dobrze. Skoro powinności towarzyskie mamy już za sobą, może mogłabyś zabawić panie historyjkami z życia wojskowych, a my moglibyśmy w tym czasie porozmawiać?

- Naprawdę mi przykro, że muszę wpychać się na wasze przyjęcie - uśmiechnęła się zakłopotana żona pułkownika - ale kiedy Bill się do czegoś zapali, nic nie jest go w stanie powstrzymać.

- Możemy porozmawiać na osobności? - zapytał Roberts.

- Napije się pan czegoś, sir?

- Nie i obawiam się, że pan już dziś trochę za dużo wypił, Lowell.

- Mimo to mam zamiar wypić co najmniej jeszcze jedno martini, sir. Chodźmy na górę, przerobiliśmy tam jedną z sypialni na coś w rodzaju biura. - Wziął do ręki dzbanek z martini, nalał do kieliszka i podał Robertsowi. Pułkownik zawahał się, ale po chwili ustąpił i przyjął drinka. Lowell nalał następnego i podał Parke-
rowi, ale ten pokręcił przecząco głową. Lowell wziął go więc sobie i wskazał Robertsowi schody.

- A więc, sir - powiedział Lowell, kiedy dotarli na górę i Roberts zajął jedyny fotel - o co ten cały raban?

- Mam do was dwa pytania i proszę, żebyście udzielili szczerzej odpowiedzi. Obaj gospodarze skinęli głowami.

- Jakie macie zdanie na temat lotników US Army?

Phil Parker wzruszył swymi potężnymi ramionami.

- Niezbyt pochlebne, żeby być szczerym, sir. Prawdę mówiąc, nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiałem, ale teraz, kiedy o nich myślę, też ich nie darzę zbyt dużym szacunkiem. Czy to wystarczająco szczerą odpowiedź, sir?

- Lowell? - zapytał Roberts, nie odpowiadając na pytanie.

- Zawsze mnie zastanawiało, jak to jest, że US Army nie widzi nic zdrożnego w oddawaniu czołgu za ćwierć miliona dolarów z czteroosobową załogą pod dowództwo sierżanta, ale musi mieć poruczników, kapitanów, ba, nawet majorów do powożenia dwuosobowymi samolotami po piętnaście tysięcy sztuka.

- Innymi słowy, nie darzycie lotników, czy też ogólnie, lotnictwa US Army, zbyt wielkim szacunkiem?

- Chce pan szczerzej odpowiedzieć? - zapytał Lowell. - Proszę bardzo. W Armii jest miejsce dla lotnictwa. Bóg mi świadkiem, że nie ma lepszego sposobu na

kontrolowanie marszu kolumny pancernej. Wiem, bo sam z nich korzystałem. Zastanawiało mnie co innego: dlaczego nie uzbroić tych samolocików na przykład w rakiety? Byłyby doskonale jako środek do zwalczania czołgów. Ale nic się w tym zakresie nie dzieje. Lotnictwo US Army woli dalej być zgrają podniebnych szoferaków na oficerskich etatach, bawiących się w Siły Powietrzne.

- Krótko mówiąc, piloci lotnictwa US Army to obiboki, czy tak pan uważa?

- Jeśli pana uraziłem, sir, to przepraszam, nie miałem zamiaru. Sam się pan o to prosił. Ja, podobnie jak Phil, nie zastanawiałem się zbytnio nad lotnictwem US Army, poza wspomnianymi rozważaniami na temat sensowności ich oficerskich etatów.

- Zgadzam się, że niektórzy lotnicy US Army są dalecy od ideału. Część z nich na przykład to oficerowie, którzy nie sprawdzili się gdzie indziej, w swojej podstawowej specjalności, ale wyczuli pismo nosem i złożyli podania o przeniesienie do lotnictwa, bo mieli do wyboru latanie albo zwolnienie z wojska.

- Czyżby nasza reputacja nas wyprzedziła, sir? - zapytał Lowell.

- Wiem o was mnóstwo różnych rzeczy, w tym te nie najlepsze - odparł Roberts.

- Aha, a więc skoro tak konkursowo podpadliśmy, oferuje nam pan wyjście awaryjne w postaci lotnictwa US Army? Nie wydaje mi się, sir, żebyśmy mieli aż tak zszarganą opinię, żeby to usprawiedliwiało równie desperacki krok z naszej strony. Serdecznie panu dziękujemy, ale nie skorzystamy.

- Zamknij się, Craig - powiedział ostrym tonem Phil. - Pułkownik jest naszym gościem. Przepraszam, sir, trochę wypiliśmy i nie oczekiwaliśmy gości.

- Mimo to nie powinniście zapominać o tym, że jesteście oficerami i dżentelmenami - odparł Roberts i spiorunował Lowella wzrokiem, wyraźnie oczekując od niego przeprosin. Nie doczekał się. - Na kursach lotniczych w Szkole Artylerii są trzydzieści dwa miejsca - kontynuował po przeciągającej się chwili pełnego napięcia milczenia. - Ponieważ w ciągu pierwszych dwóch tygodni zdarza się, że ktoś odpadnie, dowództwo szkoły ma prawo dopełniać kurs oficerami obecnymi na miejscu. Program szkolenia, majorze Lowell, musi iść naprzód, niezależnie od tego, ilu oficerów w nim uczestniczy.

- I co, akurat zrobiło się miejsce dla dwóch oficerów, tak? - zapytał Parker.

- No cóż, szkoda, że wyprawa do nas okazała się stratą czasu, sir - powiedział

Lowell. - Prędzej odejdę do cywila, niż zostanę latającym szoferem.

- Na liście oczekujących jest w tej chwili dziewiętnastu oficerów, którzy walczą o te miejsca - odparł niezrażony Roberts.

- No to dlaczego pan przyszedł z tym do nas? - zapytał Parker.

- W pańskim wypadku, kapitanie Parker, dlatego że został mi pan przedstawiony jako solidny i godny zaufania oficer z długimi rodzinnymi tradycjami wojskowymi, z którym wojsko źle obeszło się w Korei.

Parker nic nie odpowiedział. Roberts z kolei spojrzął na Lowella.

- A panem, Lowell, zainteresowałem się po przeczytaniu raportu kontrwywiadu.

- Cóż pan w nim wyczytał?

- Że ma pan polityczne poparcie na najwyższych szczeblach. I że utrzyma je pan, niezależnie od tego, która partia wygra, ponieważ nie wynika ono z osobistych układów, tylko z tego, że urodził się pan jako dziedzic wręcz nieprzyzwoicie wielkich pieniędzy.

- Nigdy nie starałem się korzystać z mojej pozycji finansowej, by w jakikolwiek sposób zapewnić sobie specjalne traktowanie - odparł Lowell powoli i dobitnie.

Parker, rozpoznając oznaki zbliżającego się ataku furii, spojrzął na niego z troską.

- Z poprzedniego przydziału, do Bordentown, zwolnił pana zastępca szefa sztabu po interwencji starszego senatora z Nowego Jorku.

- Zostałem postawiony przed faktem dokonanym. To mój kuzyn załatwił tę sprawę. Nie chce, żebym wrócił do Nowego Jorku i zajął moje miejsce w firmie.

- Wierzę panu. Ja wierzę, ale nikt inny. Poza tym jakoś nie protestował pan zbyt ostro przeciw specjalnemu potraktowaniu w tym wypadku.

- Jasna cholera! Wiedziałem, że prędzej czy później wyjdzie coś takiego - po kiwał głową Lowell.

- To jeszcze nie koniec świata, Lowell.

- Jeżeli pan się o tym dowiedział, sir, to wkrótce będzie wiedzieć cała pieprzona Armia.

- Jak już mówiłem, pańskie wpływy mogą mi się przydać. Ta reklamarska przejażdżka spod Pusan jakoś niezbyt mnie zachwyciła. Miał pan szczęście, że was nie wybili do nogi.

- Ja tam byłem, sir, a pan nie, więc proszę mi nic nie mówić o Grupie Bojowej Lowell. To było właściwe taktyczne użycie czołgów w tej sytuacji.

- Kochał pan dowodzić, co, majorze? Szkoda, że już nigdy pan nie dostanie żadnego dowództwa w broni pancernej.

- Zdaje się, że pan jest o tym przekonany o wiele bardziej niż ja, sir.

- Nie musi mi pan wierzyć, majorze. Ale może przekonają pana Paul Jiggs albo Bob Bellmon?

- Rozmawiał pan z nimi o tym?

- Gardła sobie zdzierali, żeby mi pana wcisnąć, Lowell. Panu natomiast znakomicie wychodzi zniechęcanie mnie do siebie, niezależnie od tego, czy pan ma te swoje wpływy polityczne czy nie.

Lowell popatrzył na niego i po chwili mierzenia się wzrokiem Roberts po prostu podniósł słuchawkę telefonu.

- Centrala? Proszę z pułkownikiem Paulem Jiggsem z Akademii Wojennej w Waszyngtonie.

Lowell sięgnął do widełek i przerwał połączenie.

- Dziwi mnie trochę, że pułkownik Jiggs podnosi sprawę moich politycznych koneksji.

- Nie powinienem tego panu mówić, bo grozi to w pana wypadku jeszcze większą arogancją. Widzę jednak, że zaczynam się powoli przebijać przez grubą powłokę pozorów przemądrzałego dupka, którą się pan otacza, i to napawa mnie nadzieją, więc zaryzykuję. Jiggs powiedział mi, że jest pan doskonałym dowódcą w polu, doskonałym oficerem operacyjnym i kutym na cztery łapy cwaniakiem. Powiedział też, że przy odrobinie szczęścia wyrośnie pan z pozy zadufanego dupka, a wtedy będę miał z pana pożytek. Wiedział, że będę potrzebował dobrych dowódców i jeszcze lepszych speców od planowania operacyjnego, a raczej nie mam co liczyć na to, że będą do mnie walić drzwiami i oknami.

- O ile dobrze rozumiem, daje mi pan do zrozumienia, że mam szansę na objęcie jakiegoś dowództwa w lotnictwie US Army, czy tak? Co to ma być, wzmocniony pluton Piper Cubów?

- Co by pan powiedział na kompanię helikopterów z raketami?

- Pan śni na jawie, pułkowniku. Siły Powietrzne nigdy się na to nie zgodzą.

- Może to i sen, ale widzę w nim całe dywizje, w całości transportowane i wspierane przez lotnictwo US Army.

- No jasne, zakrywające niebo falangi L-19, Beaverówi i H-13 -sarkastycznie podsumował Lowell.

- Mówiłem ci, żebyś uważał na słowa - rzucił Parker.

- Ale to mówi mój mózg, a nie woda.

- No dobra. Czas na punkt czwarty, wnioski. Majorze, siedzi pan w gównie po uszy. Jest pan o wiele za młody na swój stopień i na dokładkę ma pan z ostatniego przydziału opinię służbową, która będzie panu przez lata wisiła kamieniem u szyi.

Nie ma pan żadnej, ale to żadnej szansy na objęciu dowództwa batalionu czołgów. Zresztą, jeśli akurat nie jest pan zalany, sam ma pan na tyle oleju w głowie, żeby to rozumieć. A kiedy przyjdzie czas rozważania pańskiego awansu na podpułkownika, jeśli pan tego oczywiście w ogóle dożyje, komisja będzie wybierać pomiędzy panem i jakimś oficerem bez wpisu w opinii, że działa zbyt impulsywnie, by można mu powierzyć jakiegokolwiek stanowisko dowódcze. Jak pan myśli, kogo wybierze komisja?

- Dotarł pan także do mojej opinii służbowej, pułkowniku? Ho, ho, pan też ma niezłe wejścia.

- Owszem, mam. I jestem wśród moich kolegów niemal równie niepopularny jak pan.

- Kto awansuje oficera, który dziesięć lat latał Piperem?

- Za dziesięć lat nikt nie będzie pamiętał Piperów. A kiedy wówczas zaczną poszukiwać ludzi na stanowiska dowódców batalionów lotniczych, to będą ich szukać wśród lotników. Sami mówiliście, że uważacie lotników US Army za durniów i odpady. Na tle takiej konkurencji nie ma pan raczej szans na przejście z pozycji najmłodszego majora w Armii na najstarszego, Lowell.

- A co pan będzie z tego miał, sir?

- Już mówiłem. Zarówno Bob Bellmon, jak i Paul Jiggs zarekomendowali mi pana jako najlepszego oficera operacyjnego, jakiego w życiu widzieli. No i pańskie polityczne koneksje.

- Ciągłe pan mówi w pierwszej osobie, sir - zauważył Parker. - To brzmi, jakby pan był właścicielem lotnictwa US Army.

Roberts obrzucił go zimnym spojrzeniem.

- W tej chwili jestem jednym z trzech nadal czynnych oficerów, którzy ukończyli pionierski kurs pilotów łącznikowych. Dwaj pozostali właśnie idą na emeryturę. Ku sporemu zaskoczeniu moich szanownych kolegów z West Point, którzy co do jednego uważali wtedy, że wyrzucam swoją karierę do kibla i spuszczam wodę, przez wszystkie te lata awansowałem razem z nimi. Jestem jednym z niewielu ludzi, którzy mają w naszym wojsku wizję organizacji jednostek w całości transportowanych na pole walki powietrzem. A więc, owszem, panie kapitanie, ma pan rację, twierdząc, że uważam lotnictwo US Army za swoją działkę.

- I naprawdę uważa pan, że ujdzie to panu na sucho? - zapytał Lowell.

- Mam nadzieję. Ciężko na to pracuję.

- Co ty na to, Phil?

- Gadane to on ma, nie? - odparł kapitan Parker. - Nadawałby się na handlarza

trumien. Umie człowieka przekonać, że naprawdę nie może się obejść bez okuć z prawdziwego brązu.

- Musiałem zrobić w życiu mnóstwo rzeczy wbrew swojej woli, ale nikt mnie nie zmusi, żebym pozwolił dwóm półgłówkom wyśmiewać się ze mnie! - uniósł się Roberts, wyraźnie tracąc cierpliwość.

- Naprawdę postawił mnie pan przed czymś, czego nie oczekiwałem, sir - odparł uspokajająco Lowell. - Chciałbym się nad tym zastanowić. Kiedy musi pan poznać odpowiedź?

- W tej chwili, do jasnej cholery! - warknął Roberts, czerwony na twarzy z wściekłości.

- Jadąc tu, spotkałem się z ojcem. Powiedział mi, że robię ten sam błąd, który robi tu wielu - powiedział Parker. Roberts i Lowell spojrzeli na niego zaintrygowani. - Powiedział mi, żebym nie mylił kawalerii z czołgami i że na polu bitwy zawsze będzie miejsce dla kawalerii.

- O czym pan, do cholery, mówi? - zapytał Roberts.

- Bóg nie dał Mojżeszowi na górze Synaj kamiennej tablicy, na której było napisane, że kawalerzysta musi być na koniu, tak to ujął. Craig, sam mówią o uzbrajaniu lekkich samolotów czy helikopterów. Szybko przemieszczająca się, lekko opancerzona siła zbrojna, niewymagająca dróg... A cóż to niby, do cholery, jest, jeśli nie kawaleria?

- Mówisz, że ten facet może mieć rację? - zastanowił się Lowell.

- A jakie mam inne perspektywy? Dużo widziałeś dowódców parku sprzętu w stopniu oficera sztabowego? Może pan na mnie liczyć, sir.

- Hej, Phil! Nie rób nic pochopnie. To trzeba przemyśleć, bo jak i tam spieszymy sprawę, przyjacielu, to już będzie po nas. Jak szybko chce pan dostać odpowiedź, panie pułkowniku?

- Już. Jutro o ósmej zero-zero mam mieć dwóch nowych na kursie. Czy to będziecie wy, czy ktoś inny, to już zależy tylko od was.

- No, skoro tak, to chyba potrzebujemy jeszcze po kolejce martini.

- To znaczy?

- To znaczy, sir - odparł Parker - niech się lotnictwo strzeże, bo nadchodzą Księżę i King Kong.

- Mam nadzieję, że żaden z was, nicponie, nie uważa, że mi robi łaskę - powiedział wciąż wściekły, ale podał obu rękę i uśmiechnął się.

Antoinette nie wyglądała wcale na zachwyconą, kiedy po rozmowie z pułkownikiem Robertsem powiedzieli jej, że jutro o ósmej rano ruszają na podbój przestworzy. Kiedy na potwierdzenie tego skończyli z martini i przeszli do szprycera, zrobiła się naprawdę nieznośna. Kiedy Harriet w końcu pojechała do domu, zrobiło się jeszcze gorzej. W końcu poszła do kuchni i przygotowała jeszcze jeden dzbanek martini. Kiedy zapytali, dla kogo to, skoro oni muszą wytrzeźwieć do rana, odparła, że jest w takim nastroju, że sama go wypije, a potem może zrobi jeszcze jeden.

- Możesz mi powiedzieć, o co chodzi? - zapytał Parker.

Zanim odpowiedziała, opróżniła niemal duszkiem kieliszek martini.

- No właśnie, o co chodzi? To dobre pytanie - wycedziła.

- Jezu, poderwałem alkoholickę. - Phil próbował obrócić wszystko w żart.

- *In vino veritas* - odparła.

- *Ergo sum* - odparł Lowell, także po łacinie.

- *E pluribus unum* - dorzucił Phil i obaj się roześmiali.

- Pieprz się, Phil! - krzyknęła wściekła i rozplakała się.

- Kurczę, co się stało? - zapytał Philip, na wpół zły, na wpół zatroskany.

- Przykro mi, drogie dzieci, ale mały Craig musi już iść spać - odparł Lowell, tonem mamusi, która każe dziecku iść do domu właśnie w chwili, kiedy zaczyna się ono dobrze bawić.

- Zostań! - rozkazała mu Antoinette.

- A co j a ci zrobiłem? - zapytał, ale został.

- Mam tego dosyć! - orzekła z naciskiem.

- Czego?

- Życia cholernej markietanki.

- Przykro mi, że tak to odbierasz - odparł Phil.

- Nie jestem taka jak ta twoja wywłoka, Craig!

- Harriet? Hej, jeśli Harriet jest problemem, to już jest rozwiązany. Ja też mam jej po dziurki w nosie. Czy teraz mogę się już położyć?

- Nie, nie o to mi chodziło. Ja już dłużej tak nie mogę! Muszę podjąć decyzję.

- W jakiej sprawie? - zapytał przygaszony nagle Phil.

- Ile razy tu przyjeżdżam, przekonuję się, że dam radę namówić cię, żebyś się zwolnił z wojska i pojechał ze mną do domu, do Bostonu. I za każdym razem nic z tego nie wychodzi.

- I nie wyjdzie, Toni - odparł Phil. - Ja jestem żołnierzem.

- A ja lekarką.
- I co, nasze drogi się nie przecinają, tak?

Uniosła zapłakaną twarz i pokiwała głową, a łzy znów popłynęły jej po policzkach.

- Słuchajcie, nie wiem jak wy, ale ja już mam dosyć tego pieprzenia w bambus - powiedział Lowell, wstając.

- Uważaj na słowa, Craig!

- Słuchaj, gorylu - powiedział, wchodząc na schody - albo ona cię kocha i chce za ciebie wyjść, żeby ci rodzić dzieci, albo nie. Prosta sprawa: albo rybki, albo akwarium. Kłóćcie się o to, ile chcecie, choćby i całą noc, ale jeśli znowu zaczniesz histeryzować, wylej na nią kubek wody, żeby się uciszyła. Chcę się prześpać.

Pięć minut później zastukano do jego drzwi. Kapitan Philip Sheridan Parker IV i panna Antoinette Elaine Ferguson ogłosili mu jako pierwszemu wieść o tym, że chcą się połączyć świętym węzłem małżeńskim.

- Za dwa tygodnie, Craig. Cichy, skromny ślub. Nasi rodzice i prawie nikogo więcej. No i oczywiście ty.

- Ale bez Harriet?

- Bez Harriet - powiedziała Antoinette. Pochyliła się nad nim i pocałowała go.

- Domyślam się, że to oznacza, że będę musiał sobie poszukać nowego miejsca do mieszkania? - zapytał Lowell.

- Przecież to twój dom, głąbie!

- Wynajmij mi jeden pokój, to ci dam za niego dobrą cenę.

3

Fort Sili, Oklahoma

14 stycznia 1953

Pastor podpułkownik James Jackson Glover, zwany „bratem Jackiem”, główny kapelan bazy Fort Sili, był członkiem Kościoła Południowych Baptystów z Daphne w Alabamie. Jego poglądy na temat kolorowych odpowiadały wyniesionym z domu przekonaniom, ale zachowywał je dla siebie. Wszyscy żołnierze byli w końcu trzódką Pana, a w dodatku tu była Armia Stanów Zjednoczonych, a nie Daphne w stanie Alabama. W siłach zbrojnych po drugiej wojnie światowej nie było miejsca dla przesądów rasowych i brat Jack zawsze robił, co mógł, by je zwalczać lub przynajmniej potępiać. Mimo to nie mógł znaleźć określenia lepiej pasującego do oficera, który zgłosił się do niego pięć dni temu, niż „zadzierający nosa czarnuch”.

Otworzył przed nim drzwi swojej świątyni i serce i naprawdę chciał mu zapewnić posługę duchową na poziomie tej, jaką zapewniał jego kolegom wyznania protestanckiego, niezależnie od koloru skóry. Oficer żądał jednak udzielenia ślubu i brat Jack poczuł się w obowiązku wyjaśnić mu, że sakrament małżeństwa to nie jest coś, na co należy się decydować szybko i lekko, nie poprzedziwszy podjęcia decyzji mnóstwem modlitw. Młoda para powinna ponadto wysłuchać nauk przedmażeńskich, których regularnie udzielał, i chętnie na nie młodego oficera i jego wybrankę zapisze.

- Ojczy, proszę mi nie zawracać głowy swoimi naukami - odparł tamten. - Potrzebuję tylko kaplicy na kilka godzin za pięć dni. Przywiozę własnego kapłana i naprawdę nie mam ani czasu, ani ochoty na nauki przedmażeńskie. Nad decyzją o zawarciu tego małżeństwa zastanawiałem się zaś długo i intensywnie.

- A pańska wybranka?

- Moja wybranka jest doktorem medycyny i zastanawiała się nad tym, co traci, chyba jeszcze intensywniej ode mnie.

- Kapitanie, moje nauki cieszą się uznaniem samego generała. Dowódca bazy zaleca, by podlegających mu oficerów i żołnierzy zachęcać do brania w nich udziału, zanim zdecydują się wziąć na siebie odpowiedzialność związaną z zawarciem związku małżeńskiego.

- Z całym szacunkiem, pułkowniku, czy będę mógł skorzystać z kaplicy za pięć dni?

Nawet nie starał się ukryć zniecierpliwienia.

Brat Jack nie zdziwiłby się wcale, gdyby wybranką kapitana okazała się biała kobieta. Był taki typ kobiet, wyzwolone młode intelektualistki z Północy, które były naprawdę napalone na takich czarnych byczków. Ale okazało się, że dziewczyna też jest czarna. Pojawiła się w jego biurze dwa dni później, przynosząc zaświadczenie z parafii. Zażądał go od kapitana, uzależniając od tego przekazanie kaplicy cywilnemu kapłanowi. Naprawdę ładna dziewczyna, ocenił brat Jack. Na pewno miała w swoich żyłach mnóstwo arabskiej, a może nawet białej krwi. Nie miała takiej płaskiej, małpiej twarzy jak większość z nich. Wyglądała inteligentnie i może nawet naprawdę była doktorem medycyny, jak twierdził ten zwalasty smoluch, za którego miała wyjść za mąż. W każdym razie tak wpisała w dokumentach.

Potem zaczęły się dziać rzeczy, które dopiero wzbudziły niepokój brata Jacka. Ci cholerni liberałowie zepsuli wojsko na tyle, że milczał, bo nie chciał mieć kłopotów z NAACP* o czepianie się kolorowych.

* National Association for the Advancement of Colored People - Narodowe Stowarzyszenie na rzecz Rozwoju Ludności Kolorowej, założona w 1910 roku organizacja mająca na celu ochronę praw obywatelskich upośledzonych z powodu segregacji rasowej warstw społeczeństwa amerykańskiego, skupiająca się jednak przede wszystkim na prawach Murzynów. Bardzo wpływowa, gdyż członkostwo w NAACP było w latach pięćdziesiątych bardzo popularne wśród wywodzących się z Północy osobistości życia politycznego i kulturalnego - należał do niego m.in. Frank Sinatra (przyj. tłum.).

Któregoś razu wszedł do kaplicy i zastał tam adiutanta generała, wtykającego nos w każdy kąt. Kiedy go zapytał, czym może służyć, generalski fagas odparł, że jego szef kazał mu dopilnować, żeby jego kaplica - jego kaplica! - była przygotowana jak należy na ślub czarnego kapitana. Brat Jack nie mógł tak po prostu zadzwonić do dowódcy bazy i zapytać, co spodziewał się znaleźć i czego się obawiał, ale na wszelki wypadek wezwał ministrantów i kazał im wysprzątać kaplicę na wysoki połysk. I tak była zawsze posprzątana jak należy, ale kaplicy nigdy dość czystości, zwłaszcza jeśli patrzy na to generalski adiutant.

Ledwie tamten poszedł w swoją stronę, do kaplicy przybyła pani Roberts, żona dowódcy lotnictwa bazy, i też zaczęła węszyć po kątach. Ta z kolei powiedziała mu, że będzie się tu żenił stary przyjaciel rodziny, więc chce dopilnować, żeby wszystko było jak należy. Oczywiście okazało się, że tym przyjacielem rodziny był czarny kapitan, który miał sprowadzić własnego pastora.

Zresztą oczekiwał, że ów kapłan skontaktuje się z nim przed uroczystością, żeby mógł chociaż zapoznać go z nieznanym mu budynkiem i rozkładem pomieszczenia. Kiedy do ostatniego dnia przed wyznaczonym terminem ślubu nic takiego nie nastąpiło, brat Jack zadzwonił do stowarzyszenia pastorów w Lawton i zapytał o kolorowych kolegów z okolicy, którzy mogliby udzielać ślubu w jego kaplicy czarnemu kapitanowi. Dostał trzy nazwiska ewentualnych kandydatów, zadzwonił do nich wszystkich, ale żaden nawet nie słyszał o kapitanie Parkerze.

W dniu ślubu brat Jack poszedł do kaplicy, by dotrzymać słowa danego generałowi i dopilnować ze swej strony, żeby w kaplicy wszystko było w jak najlepszym porządku. Na parkingu przed kaplicą zauważył stojącą tam M40 - samobieżne działko kal. 155 mm, zwane Long Tom, zamontowane na podwoziu gąsienicowym. Nie miał pojęcia, po co się tam znalazła, i poszedł do kierowcy spytać, co tu robi. Mechanik powiedział mu tylko, że dostał rozkaz doprowadzić M40 pod kaplicę, gdzie czekał na niego adiutant generała, ale nie ma pojęcia po co.

A potem dziwne zdarzenia zaczęły się sypać jak z rękawa. Pod kaplicę zajechały dwie ciężarówki z Lawton, wyładowane kwiatami. Pojawiła się pani Roberts

i zaczęła dyrygować ich rozmieszczaniem w kaplicy. Żeby pokazać, jak jest wyzwolony od przesądów, musiał jej w tym oczywiście pomóc. Właśnie tym się zajmował, kiedy zobaczył, że drzwi kaplicy znowu się otwierają i staje w nich czarny major w mundurze galowym i z szablą u boku.

- Przyjechałem z szablami - powitał go tubalnym głosem, który wypełnił całą kaplicę. - Gdzie skazaniec?

Major nazywał się Green i przedstawił się jako przewodniczący lokalnego oddziału związku absolwentów Norwich. Bardzo narzekał, że powiadomiono go w ostatniej chwili i że miał spore problemy, żeby zebrać dwunastu oficerów po Norwich, nawet jeśli on sam miał być jednym z nich. Brat Jack w życiu nie słyszał o żadnym Norwich i nie miał pojęcia, co to takiego, a poza tym major Green najwyraźniej w świecie był pod dobrą datą. Czuć było od niego jak z gorzelnicy na dobry metr.

No a potem zdarzyło się coś, co omal nie załamało brata Jacka. Znowu otworzyły się drzwi kaplicy i wszedł generał major. W pierwszej chwili brat Jack zauważył tylko gwiazdki, a dopiero potem krzyże na klapach kurtki mundurowej gościa. W całej Armii Stanów Zjednoczonych był tylko jeden kapelan w stopniu generała - ordynariusz połowy US Army.

Pani Roberts podbiegła i pocałowała go w oba policzki.

- Ojciec Dan! - zawołała, choć brat Jack wiedział, że ordynariusz jest wyznania episkopalnego, a nie katolikiem. - Jak się cieszę, że ojciec zdążył do nas w tak krótkim czasie!

- Mało że zdążyłem na czas, to jeszcze w jakim stylu! E. Z. mnie przywiózł.

- Jest tutaj? Gdzie?

- Bar w kasynie jest już otwarty. A gdzież by indziej? - Dopiero teraz zauważył brata Jacka. - Kapelanie, naprawdę przepraszam, że pojawiłem się tak niezapowiedzianie i jeszcze kłusuję po cudzym pastwisku, udzielając ślubów, ale przebyłem całą drugą wojnę światową z pułkownikiem Parkerem i chrzciliśmy pana młodego, więc uznałem, że moim obowiązkiem jest też udzielić mu ślubu.

- Taki gość to dla nas zaszczyt - wymamrotał brat Jack. A więc to był ten kapłan z zewnątrz, który miał udzielać ślubu czarnemu kapitanowi! Boże, co to się na tym świecie wyrabia. - Czy mogę w czymś pomóc?

- Posprzątać bałagan, jak skończymy - odparł z uśmiechem ordynariusz połowy. - Znam tę kaplicę jak własną kieszeń. Kiedyś była moja. Te nowe organy to moja robota. Stare psuły się co najmniej raz w miesiącu.

I jakby tego jeszcze było mało, potem przybyli goście. W tym oficer, o którym ordynariusz mówił per „E. Z.” Okazał się nim nikt inny jak tylko nowy zastępca szefa sztabu US Army, generał armii Black. W dodatku zalatujący gorzałą jak major Green, albo i bardziej.

Brat Jack musiał przyznać ordynariuszowi, że w jego wykonaniu episkopalna ceremonia ślubna, choć krótka, miała sporo klasy. Mógł jej zarzucić jedynie to, że nie dawała kapłanowi dość czasu na wyczerpujące pouczenie młodej pary o odpowiedzialności, jaka ciąży na niej wobec Boga i wspólnoty, oraz o obowiązkach wiążących się z zawarciem ślubu. Szpaler oficerów z uniesionymi szablami, pod którymi przeszła młoda para, prezentował się naprawdę wspaniale. Dalej nie wiedział, co to jest stowarzyszenie absolwentów Norwich, ale postanowił się tym potem zainteresować. Może uda się ich wynajmować na inne śluby? Ten numer z szablami przydawał łałości ładnego akcentu podkreślającego wojskowy charakter uroczystości.

Natomiast pomysł z działem samobieżnym, które miało odgrywać rolę ślubnej karocy, był katastrofą. Tego brat Jack spodziewał się od samego początku. Po pierwsze, kiedy uruchomiono silnik, jego ryk zagłuszył triumfalne tony organów. Panna młoda była wyraźnie przerażona, kiedy wraz z panem młodym wsiadała do tego warczącego potwora. A kiedy dojechali na wesele do kasyna, cała jej śnieżnobiała suknia ślubna była utyłana smarem.

Co gorsza, brat Jack nie pomylił się, przewidując jeszcze jeden skutek tej jazdy - potężne działo samobieżne zryło świeży asfalt parkingu przed kaplicą i całej drogi do kasyna, gdzie odbyło się wesele, które można było określić jedynie mianem pijackiej orgii.

Nic na to nie mógł poradzić. Kiedy bowiem młoda para stanęła pod szpalerem połyskujących w słońcu szabel, zastępca szefa sztabu US Army, generał Black, po którym widać było wyraźnie, że wzruszenie pogłębiło jeszcze stan, w który przed rozpoczęciem ceremonii wprowadził się w barze, wywołał (po imieniu!) czarnego pułkownika, ojca pana młodego, i wskazał mu ryczącą maszynę.

- Chodź, Phil. To chyba nasza ostatnia szansa - powiedział, po czym kazali mechanikowi i dowódcy działu wynosić się z ich miejsc i sami je zajęli, by odwieźć kapitana Philipa Sheridana Parkera IV i świeżo upieczoną panią kapitanową na wesele.